

ANNE RICE

KRZYK W NIEBiosa

(Tłumaczyła Agnieszka Rzepa)

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Guido Maffeo został wykastrowany i wysłany na nauki do najlepszych mistrzów śpiewu w Neapolu, kiedy skończył sześć lat.

Przedtem znał tylko niezmienny głód i okrucieństwo dużej wieśniaczej rodziny, której był jedenastym potomkiem. Przez całe życie Guido pamiętał, że pierwszy dobry posiłek i miękkie łóżko dali mu ci, którzy uczynili z niego eunucha.

Pokój, do którego zaprowadzono go w górskim miasteczku Caracena, był przepiękny. Miał prawdziwą podłogę, wyłożoną gładkimi kamiennymi płytami, a na ścianie Guido po raz pierwszy w życiu ujrzał tykający zegar i bardzo się go przestraszył. Mężczyźni o łagodnych głosach, którym oddała go matka, poprosili, żeby dla nich zaśpiewał. W nagrodę dostał później kielich czerwonego wina, szczerze osłodzonego miodem.

Kiedy rozebrali go i położyli w ciepłej kąpieli, był już tak słodko senny, że niczego się nie bał. Delikatne ręce masowały mu kark. Ponownie zanurzając się w wodzie, Guido czuł, że dzieje się z nim coś cudownego i ważnego. Nikt i nigdy jeszcze tak się nim nie zajmował.

Prawie już spał, kiedy wyjęto go z kąpieli i przywiązano do stołu. Przez moment czuł, że spada. Głowę miał niżej niż nogi. W chwilę później, ciasno przymocowany, znowu zasypiał, czując gładzące go między nogami jedwabiste dłonie. Dawały mu cień grzesznej rozkoszy. Kiedy zobaczył nóż, zaczął krzyczeć, otwierając szeroko oczy.

Wyginał się. Usiłował zerwać więzy. Ale tuż obok zabrzmiał karcąco jakiś miękki, kojący głos: - Och, Guido, Guido!

Te wspomnienia nigdy go nie opuściły.

Tamtej nocy obudził się na śnieżnobiałych prześcieradłach, przesiąkniętych wonią zmiażdżonych zielonych liści. Mimo bólu między nogami wygramolił się z łóżka i stanął zdumiony przed chłopczykiem w lustrze. Szybko zorientował się, że to jego własne odbicie, które dotychczas widział tylko w spokojnej tafli wody. Przyglądał się swoim ciemnym lokom, dokładnie dotykał całej twarzy, szczególnie małego, płaskiego nosa, który wydawał mu się podobny raczej do grudki mokrej gliny niż do nosów innych ludzi.

Mężczyzna, który wszedł wtedy do pokoju, nie ukarał go, tylko nakarmił, podając zupę srebrną łyżką. Dodawał mu odwagi, przemawiając w dziwnym języku. Na ścianach wisiały małe,

kolorowe wizerunki wielu twarzy. Wschodzące słońce wydobyło ich szczegóły. Na podłodze Guido zobaczył parę błyszczących, czarnych butów z cienkiej skórki, tak małych, że pasowały na jego stopę. Wiedział, że je dostanie.

Był rok 1715. Ludwik XIV, *le roi soleil* Francji, właśnie zmarł. Rosją władał car Piotr Wielki.

W dalekiej północnoamerykańskiej kolonii Massachusetts Benjamin Franklin kończył dziewięć lat. Jerzy I wstąpił właśnie na tron angielski.

Afrykańscy niewolnicy uprawiali pola Nowego Świata po obu stronach równika. W Londynie wieszano ludzi za kradzież bochenka chleba. W Portugalii palono żywcem za herezję.

Wytworni panowie zakładali ogromne białe peruki, kiedy wychodzili z domu; nosili szable i zażywali tabaki z małych, zdobnych tabakierek. Ubierali się w spodnie zapinane pod kolanem na sprzączkę, pończochy, buty na wysokich obcasach. Ich płaszcze ozdabiały olbrzymie kieszenie. Damy w gorsetach z mnóstwem falbanek przyklejały do policzków zalotne muszki, tańczyły menueta w krynolinach, prowadziły salony, zakochiwały się, cudzołożyły.

Ojciec Mozarta jeszcze się nie urodził. Jan Sebastian Bach miał trzydzieści lat. Galileusz nie żył od siedemdziesięciu trzech lat. Izaak Newton był starcem, Jean Jacques Rousseau dzieckiem.

Opera włoska podbiła swat. Tegoż roku Neapol miał ujrzeć "Il Tigrane" Alessandra Scarlattiego, a Wenecja "Narone fatta Cesare" Vivaldiego. Najznamienitszym kompozytorem Londynu był Georg Friedrich Haendel.

Duża część słonecznego Półwyspu Apenińskiego znajdowała się pod obcą dominacją. Arcyksiążę Austrii władał Mediolanem na północy i Królestwem Neapolu na południu.

Guido nie wiedział nic o wielkim świecie. Nie mówił nawet językiem swojego ojczystego kraju. Nie widział niczego, co mogłoby się równać z Neapolem, a konserwatorium, w którym go umieszczono, z widokiem na morze i miasto wydawało mu się olśniewającym pałacem.

Nigdy jeszcze nie dotykał tkaniny równie delikatnej jak ta, z której uszyto podarowane mu czarne szaty i czerwoną szarfę. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę tu zostanie, aby - już zawsze - śpiewać i grać. Niemożliwe, żeby to było przeznaczone właśnie jemu. Kiedyś w końcu odeślą go do domu.

Nie zrobili tego.

Kiedy w duszne popołudnia fiesty w nieskazitelnym odzieniu kroczył zatłoczonymi ulicami razem z innymi wykastrowanymi dziećmi, a jego czyste, brązowe loki lśniły w słońcu, był dumny, że jest jednym z nich. Ich hymny wznosiły się w powietrze jak szczególna woń lilii i świec. Kiedy weszli do wysokiego kościoła i ich cienkie głosy rozbrzmiały nagle potęgą wśród oszałamiającego Guida splendoru, po raz pierwszy poczuł się naprawdę szczęśliwy.

Całymi latami powodziło mu się doskonale. Obowiązująca w konserwatorium dyscyplina była dla niego niczym. Śpiewał sopranem, na którego dźwięk pękało szkło. Odkąd tylko dostał do ręki pióro, zapisywał niezdarnie melodie, ucząc się komponować, zanim jeszcze umiał czytać i pisać. Nauczyciele go uwielbiali.

Jednak wraz z upływem czasu zaczął pojmować coraz więcej. Bardzo szybko zorientował się, że nie wszyscy muzycy, z którymi się styka, zostali wykastrowani jako mali chłopcy. Niektórzy z nich byli mężczyznami, żenili się, płodzili dzieci. Jednakże nawet dla najlepszego skrzypka, najbardziej twórczego kompozytora sława, bogactwo, splendor wielkich śpiewaków-kastratów pozostawały niedosiężne.

Chóry kościelne, dworskie orkiestry i opery całego świata poszukiwały włoskich muzyków. Ale świat wielbił tylko sopranistów. To o nich wiedli spory królowie, to na ich widok publiczność wstrzymywała oddech. To śpiewak nadawał operze prawdziwy sens. Nicolino, Cortono, Ferreri pamiętani byli jeszcze długo po tym, kiedy ci, którzy dla nich komponowali, odeszli w zapomnienie. A w małym światku konserwatorium Guido należał do grupy uprzywilejowanych wybrańców, których lepiej żywiono, ubierano, umieszczano w cieplejszych pokojach, pielęgnując ich niezwykły talent.

Obserwując wciąż powiększające się zastępy kastratów, patrząc, jak w miejsce starych pojawiają się młodsi, Guido zauważył wkrótce, że z setek idących corocznie pod nóż zaledwie garstka obdarzona jest pięknym głosem. Przybywali zewsząd: Giancarlo, wiodący śpiewak tokańskiego chóru, wykastrowany w wieku dwunastu lat dzięki uprzejmości maestra, który przywiózł go do Neapolu; Alonso, pochodzący z rodziny muzyków, którego operację zaaranżował jego wuj - eunuch; albo dumny Alfredo, mieszkający w domu swego protektora od tak dawna, że nie pamiętał już ani swoich rodziców, ani chirurga.

No i byli jeszcze niedomyci, niepiśmienni chłopcy, nie znający dialektu Neapolu - chłopcy jak on sam.

Teraz stało się dla niego jasne, że rodzice sprzedali go bez zastanowienia. Był ciekaw, czy przedtem jakiś maestro odpowiednio wsłuchał się w jego głos. Niczego takiego sobie nie przypominał. Możliwe, że złapano go w sieć zarzuconą bez namysłu, z przekonaniem, iż zawsze znajdzie się w niej coś godnego uwagi.

Wszystko to Guido zauważał tylko mimochodem. Był wiodącym śpiewakiem chóru, solistą na scenie konserwatorium, sam pisał już ćwiczenia dla młodszych uczniów. Zanim skończył dziesięć lat, miał okazję słyszeć Nicolina w operze, dostał własny klawikord, zezwolono mu ćwiczyć do późnej nocy. W nagrodę otrzymał ciepłe koce, ładny płaszcz - więcej niż kiedykolwiek miałby odwagę zażądać. Od czasu do czasu pozwalano mu śpiewać przed zachwyconą publicznością w olśniewających wnętrzach prawdziwego pałacu.

Zanim pojawiły się wątpliwości drugiej dekady życia, Guido nauką i regularnymi ćwiczeniami stworzył sobie solidne podstawy do robienia kariery. Jego wysoki, czysty, nadzwyczajnie dźwięczny i elastyczny głos był już teraz otwarcie podziwiany.

Jednak, jak to bywa z każdą ludzką istotą, krew jego przodków, mimo zmian wywołanych kastracją, nie przestawała go kształtować. Jego krewni byli smagli i przysadziści, więc on też nie wyrósł na wiotkiego i prostego niczym trzcina eunucha, jak większość jego kolegów. Jego krępa, proporcjonalna sylwetka dawała złudzenie siły. Chociaż brązowe kędziory i namiętne usta czyniły twarz Guida podobną do oblicza cherubinka, ciemny puch nad górną wargą dodawał jej męskości.

Właściwie byłby całkiem pociągający, gdyby jego nos, spłaszczony na skutek upadku w dzieciństwie, nie wyglądał jakby zgmiotła go jakaś potężna pięść, a z brązowych, pełnych uczucia oczu nie wyzierała podstępna, wieśniacza brutalność jego dziadów. Ich małomówność i spryt objawiły się w nim jako pilność i stoicyzm. Podczas kiedy oni walczyli z żywiołami, on z żarem godził się poświęcić wszystko dla swojej muzyki.

W jego manierach i wyglądzie nie można było jednak wyczuć braku ogłady. Chłonał, co tylko mógł, naśladować pełen wdzięku sposób bycia swych nauczycieli, ucząc się od nich poezji, łaciny i klasycznego języka włoskiego. Wyrósł więc na młodego śpiewaka o niezłej prezencji, niepokojąco przy tym powabnego dzięki łatwo zauważalnym cechom szczególnym. Przez całe życie miał słyszeć, jak mówiono: "Jakież on brzydki" lub "Skąd, jest uroczy!"

Nie zdawał sobie sprawy tylko z tego, jak groźne jest jego spojrzenie. Był potomkiem ludzi brutalniejszych niż zwierzęta, którymi się opiekowali, i sam też wyglądał jak ktoś, kto nie

zawaha się przed niczym. W oczach, płaskim nosie, lubieżnych ustach, w całej twarzy Guida był gniew. Nie zdając sobie z tego sprawy, osłonił się nim jak tarczą ochronną. Nikt nie próbował go napastować.

Był jednak powszechnie lubiany. Normalni chłopcy czuli do niego taką samą sympatię jak kastraci. Skrzypkowie przepadali za nim, bo każdy z nich go fascynował, pisał też dla nich wspaniałe utwory. Zaczął być znany jako ciche, poważne, delikatne niedźwiedziątko, którego nie można się było bać, jeśli się je znało.

Pewnego ranka, kiedy Guido miał już prawie piętnaście lat, obudzono go i kazano zejść do gabinetu Maestra. Nie zaniepokoiło go to. Nigdy nie był w tarapatkach.

- Usiądź! - powiedział jego ulubiony nauczyciel, Maestro Cavalla. Pozostali otoczyli go kołem. Nigdy jeszcze nie traktowali go tak przyjacielsko, jednak ten krąg twarzy sprawiał na nim nieprzyjemne wrażenie. Od razu domyślił się, dlaczego. Odezwało się wspomnienie pokoju, w którym go wykastrowano, pomyślał sobie jednak, że to o niczym nie świadczy.

Maestro, siedzący za rzeźbionym biurkiem, zanurzył pióro w kałamarzu, wypisał na kawałku pergaminu jakies cyfry i podał mu go. Grudzień 1727. Cóż to może znaczyć? Przez ciało Guida przebiegł dreszcz.

- To data - powiedział Maestro prostując się - twojego pierwszego występu jako *primo uomo* w rzymskiej operze.

A więc udało mu się.

Nie będzie śpiewał w chórze kościelnym w parafiach w głębi kraju ani w katedrach wielkich miast. Nie czekał na niego nawet chór Kaplicy Sykstyńskiej. To wszystko było poza nim, a marzenie, które rok po roku inspirowało ich wszystkich, bez względu na to, czy byli biedni czy bogaci i skąd pochodzili, miało się właśnie dla niego spełnić: opera.

- Rzym - szeptał, wychodząc samotnie na korytarz. Na zewnątrz stało dwóch uczniów. Wydawało się, że na niego czekają. Przeszedł, jakby ich nie zauważył. Wyszedł na podwórze. - Rzym - szepnął raz jeszcze i rozkoszował się tym dźwiękiem, eksplozją głosek, które od dwóch tysięcy lat ludzie wypowiadali z zachwytem i przerażeniem: Rzym.

Tak, Rzym, potem Wenecja, Bolonia, Wiedeń, Drezno, Paryż, Praga - wszystkie linie frontu, które zdobywali kastraci. Londyn, Moskwa, znowu Palermo. Nieomal roześmiał się w głos.

Ktoś dotknął jego ramienia. Nie spodobało mu się to. Ciągle jeszcze widział rzędy łóż i wiwatującą publiczność. Kiedy wizja zniknęła, ujrzał wysokiego, smukłego eunucha o skośnych oczach, który pochodził z północy Włoch i zawsze był od niego lepszy. Tuż obok stał Alfredo, bogacz, który miał stale kieszenie pełne pieniędzy.

Chcieli, żeby poszedł z nimi do miasta; mówili, że Maestro dał mu cały dzień na świętowanie. Wtedy zorientował się, kim jest. Ci chłopcy byli wschodzącymi gwiazdami konserwatorium.

On stał się teraz jednym z nich.

Kiedy Tonio Treschi miał pięć lat, matka zepchnęła go ze schodów. Nie zrobiła tego specjalnie. Chciała go tylko uderzyć, a on ześlizgnął się w tył po marmurowej płycie i, spadając bez końca, czuł, jak ogarnia go przerażenie.

Nawet to mógłby zapomnieć, jednak jej miłość na co dzień pełna była nieprzewidywalnego okrucieństwa. Emanujące z niej szalone ciepło z minuty na minutę mogło przeistoczyć się w brutalność. Tonio żył rozdarty między przerażającą potrzebą jej obecności i nieopanowanym strachem.

Jednak tego wieczora, chcąc mu to wynagrodzić, wzięła go do Bazyliki Świętego Marka, żeby mógł ujrzeć swego ojca, idącego w procesji. Ogromny kościół, do którego się udawali, był kaplicą doży, a ojciec Tonia był Wielkim Radcą.

Wszystko to wydawało mu się później snem; ale to nie był sen. Tonio zapamiętał te chwile na całe życie.

Po upadku ukrył się przed nią na wiele godzin w czeluściach ogromnego Palazzo Treschi. Nikt nie znał lepiej od niego wszystkich czterech pięter tej wielkiej, chylącej się ku upadkowi renesansowej rezydencji. Żaden pokój czy skrzynia, w której można byłoby się schować, nie były mu obce i zawsze mógł tam się skryć, na jak długo chciał.

Mrok nie przerażał go. Nie martwił się, że może się gdzieś zgubić. Nie bał się szcurów, a nawet z pewną ciekawością śledził ich spieszne wędrówki po korytarzach. Lubił cienie na ścianach, drobne fale zamglonego światła z Canale Grande, przebiegające przez sufity zdobne w wizerunki starców. Znał te stęchłe pokoje lepiej niż świat poza nimi. To był krajobraz jego dzieciństwa, a wszystkie zagmatwane ścieżki poznaczone zostały śladami jakichś ucieczek i wypraw.

Jednak chwile spędzone bez matki były cierpieniem, więc udręczony i drżący przywłókł się w końcu do niej, jak zawsze, gdy służba przerwała już poszukiwania.

Leżała szlochając, kiedy się pojawił: pięcioletni spragniony zemsty mężczyzna o twarzy czerwonej i brudnej od płaczu. Postanowił oczywiście, że nie odezwie się do niej, jak długo będzie żył. To nic, że nie mógł bez niej wytrzymać nawet chwili.

Kiedy otworzyła ramiona, wskoczył jej na kolana i jedną ręką obejmując ją za szyję, a drugą ściskając ramię aż do bólu, siedział przytulony do jej piersi nieruchomo, jakby nie żył. Nie

wiedział, że sama była wtedy jeszcze prawie dzieckiem. Czuł, jak go całuje po policzkach, po włosach i ta czułość rozbroiła go. Gdzieś pośród bólu błysnęła myśl, że jeśli mocno ją przytuli, jeśli ją tak zatrzyma, to pozostanie taka jak teraz, a ta druga istota nie wyłoni się już z niej, aby go zranić.

Matka wyprostowała się, przyglądając niesforne loki swoich sztywnych czarnych włosów, a jej brązowe oczy, wciąż zaczerwienione od płaczu, zabłysły nagle podnieceniem. - Tonio! - powiedziała, kołysząc się jak dziecko. - Jest jeszcze trochę czasu. Sama cię ubiorę. - Zaklaskała w ręce. - Zabieram cię do Bazyliki Świętego Marka.

Chociaż piastunki Tonia powiedziały "nie", nic nie mogło jej powstrzymać. Jakaś radość wypełniła cały pokój, świece mrugały i drżały w rękach podążających za nimi służących, palce matki zręcznie zapinały jego satynowe spodenki i kamizelkę z brokatu. Śpiewając starą pieśń, zaczęła czesać grzebieniem jedwabiste, czarne loki Tonia i gwałtownie pocałowała go dwa razy.

Kiedy szli przez korytarz, a on, podeksycytowany stukiem na marmurze swoich zdobnych pantofli, wysunął się do przodu, cały czas słyszał za plecami jej cichy śpiew.

Była śliczna w swojej czarnej aksamitnej sukni, z rumieńcem barwiącym ciemną skórę. Kiedy usiadła w mrocznym *felze* gondoli, jej twarz o skośnych oczach wyglądała w świetle latarni jak oblicze Madonny na starych bizantyjskich malowidłach. Wzięła go na kolana. Zaciągnięto zasłony. - Kochasz mnie? - spytała. Drażnił się z nią. Zbliżyła swój policzek do jego twarzy, dotykała jego rzęs swoimi tak długo, aż wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. - Kochasz mnie? - zawołała, ściskając jego ramię. A kiedy powiedział: - Tak - czuł jak gorąco go obejmuje i przez chwilę leżał nieruchomy, jakby sparalizowany, w jej ramionach.

Prawie tańczył, kiedy prowadziła go przez plac. Wszyscy tu byli! Kłaniał się i kłaniał, ręce wyciągały się do jego włosów, damy przytulały go do wonnych spódnic. Signore Lemmo, młody sekretarz ojca, podrzucił Tonia w górę siedem razy, zanim matka powiedziała, żeby przestał. A piękna kuzynka, Catrina Lisani, z dwójką własnych synów u boku, podniosła welon, wzięła Tonia na ręce i przytuliła z mocą do swych białych, pachnących piersi.

Kiedy tylko przekroczyli próg ogromnego kościoła, Tonio zamilkł. Po raz pierwszy widział coś takiego. Wszystkie marmurowe kolumny otoczone były wieńcami świec, pochodnie gorzały w lichtarzach, podsycane podmuchami powietrza z otwartych drzwi. Z olbrzymich kopuł patrzyły na niego anioły i święci, wszędzie dokoła łuki, ściany, sklepienia pulsowały niezliczoną ilością złotych iskieł.

Zapraǳnął, żeby matka wzięła go w ramiona, i bez słowa zaczął się wdrapywać na nią jak na drzewo. Pod jego ciężarem zatoczyła się ze śmiechem w tył.

Nagle tłum zaszeleścił jak liście na wietrze. Zagrzmiały trąby. Tonio obracał się desperacko we wszystkie strony, próbując je zobaczyć. - Spójrż! - szepnęła matka, ściskając go za rękę. Nad głowami ludzi, pod kołyszącym się baldachimem, pojawił się doża na swoim potężnym tronie. Powietrze wypełniła ostra, dusząca woń kadzidła. Trąby brzmiały teraz przenikliwie, wspaniale, zimno.

Nadeszli odziani w olśniewające szaty członkowie Wielkiej Rady. Tonio usłyszał przepelniony dziewczęcą ekscytacją szept matki: - Twój ojciec!

Pojawiła się wysoka, koścista postać Andrei Treschiego. Rękawy jego szaty sięgały ziemi, siwe włosy wyglądały jak lwia grzywa, głęboko osadzone jasne oczy patrzyły wprost przed siebie jak oczy posągu. - Tatuś! - zabrzmiał przenikliwy szept Tonia. Ludzie odwracali głowy, rozległ się stłumiony śmiech. Kiedy spojrzenie Radcy znalazło w tłumie syna, jego stara twarz zmieniła się, rozbłysła niemalże ekstatycznym uśmiechem, ożywiły się oczy. Matka zaczerwieniła się.

Niespodziewanie i jakby znikąd wybuchnęły potężnym śpiewem wysokie, czyste głosy. Tonio poczuł, jak coś ściska go za gardło. Przez sekundę siedział sztywny, tak zaskoczony pieśnią, że nie mógł się poruszyć. Potem zaczął się wiercić, wznosił oczy do góry, tak że przez chwilę świece oślepiły go. - Siedz grzecznie! - Matka prawie nie mogła go utrzymać. Śpiew rozbrzmiewał dźwięczniej, pełniej. Przychodził falami z obu stron ogromnej nawy. Tonio niemalże widział splatające się melodie: dużą złotą siatkę zarzuconą na pluskające morze w drgających promieniach słońca. Nawet powietrze było muzyką. I wreszcie, tuż nad sobą, ujrzał śpiewaków. Stali na wielkich galeriach po obu stronach kościoła; mieli otwarte usta, ich twarze błyszcząły w świetle. Wyglądali jak anioły na mozaikach.

Tonio błyskawicznie zsunął się na ziemię. Czuł dotyk ręki matki, która próbowała go złapać. Szedł szybko pośród otaczających go spódnic i peleryn, przez woń perfum i zimowe powietrze, aż zobaczył otwarte drzwi, a za nimi schody. Kiedy piął się w górę, ściany dookoła niego wydawały się pulsować akordami muzyki organów, aż nagle stanął w ciepłej galerii, wśród tych wysokich śpiewaków.

Zapanowało poruszenie. Tonio był już przy samej barierce i patrzył w oczy olbrzymowi, z którego ust płynął głos tak czysty i złoty, jak dźwięk trąbki. Mężczyzna śpiewał tylko jedno

słowo: "Alleluja", brzmiące niczym szczególny apel, wezwanie. Pozostali podjęli nagle jego wołanie i powtarzali je raz po raz; ich głosy nakładały się na siebie, a chór po przeciwnej stronie kościoła odpowiedział im jeszcze donośniej.

Tonio otworzył usta i wraz z wysokim chórzystą zaśpiewał "Alleluja". Ręka mężczyzny zacisnęła się przyjaźnie na jego ramieniu, a on sam kiwał głową i, nie wypowiadając ani słowa, mówił swoimi dużymi, brązowymi, jakby zaspanymi oczami: - Tak, śpiewaj! - Tonio poczuł przez szatę jego szczupły bok, a tuż potem ramię, obejmujące go w pasie i podnoszące w górę.

Pod nim, w dole, był blask, doża na swoim obciążonym złotą materią tronie, członkowie Senatu w purpurowych szatach, radcy w szkarłacie, wszyscy patrycjusze Wenecji w białych perukach, ale on utkwiał oczy w twarzy śpiewaka i słuchał własnego głosu, brzmiącego jak dzwoneczek na tle śpiewu tamtego. Ciało Tonia odpłynęło. Opuścił je, wydzwignięty w powietrze, kiedy ich głosy zlały się z sobą. Ujrzał, jak rozkosz zastępuje senność w drżących oczach chórzysty. Zdziwił go potężny dźwięk, dobywający się z piersi mężczyzny.

Kiedy spoczywał znów w ramionach matki, ona uniosła wzrok ku kłaniającemu się głęboko roslemu śpiewakowi i rzekła: - Dziękuję, Alessandro.

* * *

- Alessandro, Alessandro - szeptał Tonio i, tuląc się do niej w gondoli, spytał z desperacją: - Mamo, będę śpiewać tak jak on, kiedy urosnę? Będę śpiewać jak Alessandro? - Nie potrafił jej tego wyjaśnić. - Mamo, chcę być jednym z tych śpiewaków!

- Och, na Boga, Tonio, nie! - Wybuchnęła śmiechem i, czyniąc jakiś skomplikowany ruch nadgarstkiem, skierowany do jego piastunki Leny, podniosła oczy ku niebu.

W całym domu, aż po dach, coś jęczało i stukało. Kiedy Tonio spojrział w stronę ujścia Canale Grande, oczekując nieskończonej ciemności laguny, ujrzał morze w ogniu: setki, tysiące światełek podskakujących na wodzie, zupełnie jakby wylało się na nią całe drżące światło wypełniające bazylikę. Matka powiedziała mu pełnym szacunku szeptem, że to urzędnicy państwowi płyną oddać cześć relikwiom świętego Jerzego.

Przez chwilę nie było słyhać nic prócz świstu wiatru, który dawno już połamał kruche kratki podpierające rośliny zniszczonego ogródka na dachu. Gdzieniedzie leżały jeszcze przy nich uschnięte, wyrwane z korzeniami drzewka. Ich liśćmi szarpał i szeleścił wicher.

Tonio pochylił głowę i delikatną szyję ku ciepłym rękom matki. Tulił się do niej, czując niemy, obezwładniający strach.

Tej nocy leżał w łóżku przykryty po brodę i nie mógł zasnąć. Usta śpiącej obok matki były rozluźnione, twarz, jakby wbrew jej woli, stała się łagodna. Brwi miała ściągnięte, wydawało się, że coś ją dręczy, że nie śpi. Ojciec nigdy nie spędzał nocy z nimi, zawsze pozostawał w swoich apartamentach.

Tonio boso wysunął się spod przykrycia na zimną podłogę. Był pewien, że gdzieś wśród nocy chodzą uliczni śpiewacy. Z trudem otworzył drewniane okiennice i słuchał z zadartą głową, dopóki nie wpadł mu w ucho daleki głos tenora. Dołączył się do niego bas, zagrział dysonans strun i głośniejszą, wyżej poniosła się melodia.

W nocnej mgle niknęły formy i kształty, poniżej lśniła tylko aureola jedynej żywicznej pochodni, której ciężka woń mieszała się ze słonym zapachem idącym od morza. Kiedy słuchał, obejmując dłońmi kolana, z głową wspartą o wilgotną ścianę, był znowu na galerii chóru w bazylice. Głos Alessandra umykał mu, ale doskonale pamiętał to uczucie, ten senny podmuch muzyki. Otworzywszy usta, zawtórował dalekim ulicznym śpiewakom i na ramieniu poczuł znów dłoń Alessandra.

Co zaczęło go tak nagle dręczyć? Co go tak niepokoiło? Przenikliwy, nie zamglony jeszcze językiem pisma umysł podsunął mu znowu obraz tej dłoni, spoczywającej tak delikatnie na jego szyi, i falujących rękawów, z których się wysuwała. Wszyscy inni znani mu wysocy mężczyźni musieli się pochylać, żeby pogłaskać chłopca tak małego jak on. Przypomniawszy sobie, że nawet wtedy na galerii, w czasie śpiewu, był zaskoczony, iż ta ręka spoczęła na nim bez trudności. Ramię, które uniosło go w górę, oraz dłoń, obejmująca jego pierś, jakby był lalką, i unosząca ku muzyce, wydawały się monstrualne, magiczne.

Pieśń dręczyła go, odciągała od tych myśli. Melodia zawsze tak na niego działała, sprawiała, że pragnął klawikordu, na którym grała matka, jej tamburynu lub po prostu dźwięku ich splecionych głosów. Czegokolwiek, byle tylko trwała. Niespodziewanie, drżąc z zimna na parapecie, zasnął.

Miał siedem lat, kiedy dowiedział się, że Alessandro i wszyscy wysocy śpiewacy z Bazyliki Świętego Marka są eunuchami.

Zanim skończył dziewięć lat, wiedział już też dokładnie, co wycięto, a co zostawiono tym podobnym do pajaków istotom oraz że to z powodu tej potwornej operacji są tak wysocy, mają niezwykle długie kończyny, a ich kości nie stają się tak twarde, jak kości zdolnych do ojcostwa mężczyzn.

Było ich wielu. Śpiewali we wszystkich kościołach Wenecji, a kiedy nadchodziła starość, uczyli muzyki. Guwerner Tonia, Beppo, był eunuchem.

W operze, do której go nie zabierano, gdyż był jeszcze na to zbyt mały, traktowano ich jak cud objawiony. Nazajutrz po każdym przedstawieniu służba z westchnieniem zachwytu wymawiała imiona Nicolina, Carestiniego, Senesina. Raz nawet matka zdecydowała się opuścić swoją samotnię, skuszona występem Farinellogo: młodego eunucha z Neapolu, którego nazywano Chłopcem. Tonio bardzo wtedy płakał, że nie może z nią iść. Kiedy wiele godzin później obudził się, zobaczył, że wróciła już i siedzi w ciemności przy klawikordzie. Jej welon skrzył się kroplami deszczu, a ona, z twarzą białą jak buzia porcelanowej lalki, niepewnym, cichym głosem nuciła arie Farinellogo.

Cóż, ubodzy robili, co mogli, żeby zarobić na strawę. Te cudowne, wysokie głosy będą brzmieć już zawsze. Jednak ilekroć Tonio zobaczył na ulicy Alessandra, zastanawiał się, czy Alessandro wtedy płakał, czy nie usiłował uciec i dlaczego matka nie próbowała go ukryć. W jego pociągłej twarzy o niemalże dziewczęcej, delikatnej skórze, obramowanej lśniąco kasztanowymi włosami można było zauważyć tylko senne zadowolenie. Gdzieś w głębi drzemał głos, czekający na chwilę na galerii chóru kościelnego, na złote opony w tle, które w oczach Tonia zrównywały Alessandra z aniołami.

W tym czasie Tonio zdawał już sobie też sprawę z tego, że nazywa się Marc Antonio Treschi i jest synem Andrei Treschiego, który kiedyś komenderował okrętami la Serenissimy na dalekich morzach, a po latach służby w Najwyższym Senacie został właśnie wybrany do Rady Trzech: budzącego strach triumwiratu sędziów, który miał prawo dokonywać aresztowań, sądzić, wydawać wyroki i wykonywać je bez względu na to, kogo dotyczyły, nawet gdyby była to kara śmierci.

Innymi słowy, ojciec Tonia należał do ludzi potężniejszych od samego doży.

Nazwisko Treschich widniało w Złotej Księdze od tysiąclecia. Długo trzeba by wyliczać należących do tego rodu admirałów, ambasadorów, prokuratorów i senatorów. Również nieżyjący od dawna trzech bracia Tonia - synowie pierwszej, także spoczywającej już w mogile, żony Radcy - zajmowali wysokie stanowiska. On sam, kiedy tylko skończy dwadzieścia trzy lata, niewątpliwie będzie jednym z dostojników, przemierzających piazzettę przed Broglio mieszczącym urzędy państwowe. Przedtem czeka go nauka na uniwersytecie w Padwie, dwa lata służby na morzu, pewnie jakieś dalekie podróże po świecie. Na razie spędzał długie godziny w bibliotece palazzo pod cierpliwym, acz czujnym okiem nauczycieli.

* * *

Na ścianach wisiły portrety czarnowłosych Treschich o jasnych cerach i szerokich, wysokich czołach, zwieńczonych obfitością zaczesanych w tył włosów; mężczyzn drobnych, lecz wysokich, mężczyzn ulepionych z tej samej gliny. Już jako mały chłopiec Tonio zauważył, że przypomina niektórych z nich bardziej niż pozostałych; zmarłych wujków, kuzynów. No i braci: Leonarda, strawionego przez gruźlicę w pokoju na górze, Giambattistę, który zatonął u wybrzeży Grecji, i Philippo, zmarłego na malarię na jakimś dalekim przyczółku imperium.

Gdzieniegdzie, wśród gęstego tłumu bogato odzianych postaci, na obrazach przedstawiających młodego jeszcze Andree w otoczeniu braci i bratanków, pojawiała się twarz ładząco podobna do twarzy Tonia, oblicze młodego człowieka o szeroko rozstawionych oczach i szerokich, pełnych ustach, zawsze gotowych do śmiechu. Trudno było jednak przypisać każdej postaci imię, odróżnić wśród tego tłumu jedną osobę od drugiej. Istniały już tylko w historii, w pięknych opowieściach o odwadze i poświęceniu.

Wszyscy trzech bracia, ojciec i jego posepna pierwsza żona spoglądali z największego obrazu w złożonych ramach, umieszczonego w długiej jadalni.

- Obserwują cię - dokuczała Toniowi jego piastunka Lena, nalewając zupę. Próbowwała go w ten sposób rozbawić, bo chociaż była stara, wciąż tryskała humorem. Właściwie bardziej opiekowała się matką chłopca niż nim samym. Nie domyślała się nawet, jak cierpiał, patrząc na te rumiane, doskonale oddane twarze. Tak bardzo pragnął, żeby jego bracia żyli, byli z nim tu i teraz. Chciał, by pokoje wypełniał cichy śmiech i zgiełk głosów. Czasem próbował sobie wyobrazić, jak by to było: bracia siedzący przy długim stole, Leonardo podnoszący w górę kielich, Philippo opisujący bitwy morskie i matka Tonia rozwierająca szeroko z ekscytacji swoje wąskie oczy, które robiły się takie małe, kiedy była smutna.

Powoli zaczął sobie jednak zdawać sprawę, jak absurdalna była ta zabawa. Przeraził się. Zanim mógł docenić wagę tej wiadomości, powiedziano mu, że tylko jeden z synów znamienitych weneckich rodzin żeni się. Działo się tak w imię tradycji, która była już prawem. Przed laty w ich rodzinie żonę wziął sobie Philippo. Nie mieli dzieci, więc po jego śmierci wróciła do swojej rodziny. Gdyby któryś z tych cieni zdążył splodzić syna, noszącego nazwisko Treschich, Tonio wcale by nie było! Jego ojciec nigdy nie ożeniłby się po raz drugi. Tonio po prostu by nie istniał. Umierając bezpotomnie, darowali mu życie.

Początkowo nie mógł sobie tego uprzytomnić, wkrótce jednak przyzwyczaił się do myśli, że on i jego bracia nigdy nie mogliby się spotkać. Mimo to ciągle fantazjował, ziejące pustką pokoje zapełniał światłem, dźwiękami muzyki, ściszonymi głosami mężczyzn i kobiet - swoich krewnych, tłumem bezimiennych kuzynów. Zawsze był tam ojciec - jadł kolację, tańczył, brał w ramiona swego najmłodszego syna i pokrywał go gorącymi pocałunkami.

Tonio rzadko widywał ojca.

Kiedy Lena przychodziła po niego, szepcząc nerwowo, iż Andrea posłał po syna, nie miał jednak wątpliwości, że jak zawsze będzie wspaniale. Ubierała go w żakiecik z rdzawego lub ciemnoniebieskiego aksamitu, który szczególnie lubiła matka. Włosy, którym z tej okazji pozwolono zwisać luźno, bez podtrzymującej je zwykle wstążki, szciotkowała, dopóki nie nabrały połysku. Złościł się wtedy, że będzie wyglądał jak małe dziecko. Wyciągała potem zdobne szlachetnymi kamieniami pierścienie, pelerynkę podbitą futrem i jego małą, wysadzaną rubinami szpadę. Był gotów. Obcasy stuknęły rozkosznie po marmurze.

Spotkanie odbywało się zawsze w Wielkim Salonie na pierwszym piętrze. Była to największa z ogromnych komnat pałacu, ozdobiona jedynie długim, obficie rzeźbionym stołem. Mogło na nim leżeć trzech mężczyzn, jeden za drugim. Podłoga z kolorowego marmuru przedstawiała mapę świata, sufit był bezkresną niebieską przestrzenią, a zawieszzone w niej anioły rozwijały długą, krętą wstęgę z łacińskim napisem. Z otwartych drzwi prowadzących do innych pokoi dochodziło przyćmione światło. Kiedy padało na wiotką, niemalże widmową postać Andrei Treschiego, pełne było jednak ciepła poranka.

Tonio skłaniał się, podnosił wzrok i napotykał niezmiennie zadziwiająco go przerażającą witalnością spojrzenie ojca, jego oczy tak młode, jakby nie należały do tej kościstej twarzy, płonące niepowstrzymaną dumą i miłością.

Andrea schylał się, żeby ucałować syna. Długo, bezdźwięcznie dotykał jego policzka miękkimi jak pył ustami, a czasem, chociaż Tonio stawał się z każdym rokiem cięższy i wyższy, brał w ramiona, podnosił i przyciskał z mocą do piersi, szepcząc jego imię, jakby to było błogosławieństwo.

W pobliżu stali służący. Uśmiechali się, mrugali. Wprowadzali do komnaty podmuch ożywienia. I nagle było już po wszystkim. Podbiegłszy szybko do okna w pokoju matki na górze, Tonio patrzył, jak gondola ojca odpływa kanałem w kierunku piazzetty.

Nikt nie musiał mu mówić, że jest ostatnim z Treschich. Śmierć doświadczyła wszystkie gałęzie ogromnego rodu tak dotkliwie, że nie żył już nawet żaden kuzyn noszący to nazwisko. Tonio "ożeni się młodo", musi być przygotowany do przyjęcia na siebie rozlicznych obowiązków. Czasem, kiedy bywał chory, drżał, widząc w nocy pojawiającą się w drzwiach twarz ojca, i zasypiał, czując, że dzieli łożę ze wszystkimi krewnymi.

Podniecało go to i przerażało. Nie mógł sobie przypomnieć chwili, kiedy dostrzegł pełne wymiary swojego kosmosu. Wydawało się, że cały świat przepływa przed jego progiem szerokimi, zielonymi wodami Canale Grande. Przez okrągły rok sunęły tędy setki czarnych, lśniących gondoli, biorących udział w regatach; w sobotnie wieczory lata odbywały się bogate parady, a *peotti* znamienitych rodzin przyozdobione były wtedy girlandami i złożonymi figurami bogów i bogiń; dzień w dzień można było zobaczyć pochody patrycjuszki, podążających w łodziach ozdobionych barwnymi kobiercami, aby wypełniać obowiązki państwowe. Z małego, drewnianego balkonu nad frontowymi drzwiami Tonio widział zakotwiczone w lagunie dalekie statki. Słyszał cichy odgłos wydawanych przez nie salw i dźwięk trąb przed Pałacem Dożów.

Bez końca brzmiały pieśni gondolierów, rytmiczne głosy tenorów, odbijające się echem od oliwkowych i różowych ścian, głębokie, słodkie brzdąkanie pływających orkiestr. W nocy pod gwiazdami krążyli kochankowie. Bryza niesła daleko serenady. Nawet nad ranem, kiedy było mu nudno lub smutno, mógł zawsze obserwować niekończący się hałaśliwy pochód łodzi, wiozących warzywa na targi w Rialto.

Jeszcze zanim Tonio skończył trzynaście lat, miał dosyć oglądania świata przez okno.

Gdyby tak znalazła się tu chociaż część tego, co widział, albo, jeszcze lepiej, gdyby on mógł się stąd wydostać!

Palazzo Treschi było dla niego nie tylko domem, było więzieniem. Nauczyciele starali się nigdy nie zostawiać go samego. Beppo, stary kastrat, który dawno już stracił głos, uczył go

francuskiego, poezji i kontrapunktu, a Angelo, młody, poważny ksiądz o ciemnych włosach i drobnej sylwetce - łaciny, włoskiego i angielskiego. Dwa razy w tygodniu przychodził mistrz fechtunku. Tonio musiał wiedzieć, jak poprawnie posługiwać się szpadą, chociaż nie wydawało się, że ta umiejętność kiedykolwiek mu się przyda, i ćwiczenia traktowano raczej jako rozrywkę. Był też i *ballerino*, uroczy Francuz, uczący go drobnych kroczków kadryla i menueta w takt odpowiedniej, radosnej melodii, wygrywanej przez Beppa na klawikordzie. Wprowadzał on również ucznia w tajniki gentelmańskich manier - mówił, jak ucałować dłoń damy, kiedy i jak się kłaniać...

Toniowi sprawiało to przyjemność. Czasem w samotności udawał, że walczy, przecinając szpadą powietrze, lub tańczy z dziewczyną podobną do tych, które widywał na wąskich *calli*.

Jednak poza niekończącymi się świętami kościelnymi, Wielkim Tygodniem, Wielkanocą, zwykłym splendorem i muzyką niedzielnych mszy, nie było dla niego ucieczki innej niż wyprawa w głąb domu, do zaniedbanych pokoi najniższego piętra, gdzie nikt nie mógł go znaleźć. Tutaj, ze świeczką w dłoni, zagłębiał się czasem w grube tomy rodzinnych archiwów, w zadziwiające, pokryte pleśnią zapisy zagmatwanej historii rodu. Nawet suche fakty i daty, kruche kartki szeleszczące niebezpiecznie w palcach, rozpałały jego wyobraźnię: kiedy dorośnie, będzie przemierzał oceany, nosił szkarłatne szaty senatora; nawet tron doży nie był poza jego zasięgiem - był w końcu jednym z Treschich.

Krew pulsowała mu w żyłach z ekscytacji. Myszkował z jeszcze większą ochotą. Mocował się z nie używanymi od lat zasuwami, wpatrywał się w obce twarze na wiekowych obrazach, wyciągniętych z wilgotnych kątów. Stare magazyny ciągle pachniały korzeniami z Orientu. Łodzie przywoziły je kiedyś wprost pod drzwi palazzo, gdzie rozładowywano majątek w postaci dywanów, drogich kamieni, cynamonu, jedwabiu. Ciągle znajdowały się tu wilgotne zwoje konopnej liny, źdźbła słomy i intensywne, różnorakie, kuszące wonie.

Od czasu do czasu przystawał. Tajemniczy płomyczek tańczył niepewnie w przeciągu. Słyszał przepływającą pod domem wodę, głucho skrzypienie pali. Kiedy zamykał oczy, gdzieś z wysoka dobiegało go wołanie matki.

Tutaj nikt nie mógł go odnaleźć. Pająki przebiegały lekko po krokwiach, a kiedy gwałtownie przesunął dłoń ze świeczką, ukazała się sieć: kunsztowna, złota. Połamane okiennice otworzyły się pod dotykiem ręki, przez zakratowane szkło dostało się do wnętrza szare

popołudniowe światło, a Tonio zobaczył szczury, płynące statecznie przez zaśmieconą, leniwą wodę.

Zrobiło mu się smutno. Wystraszył się. Niespodziewanie poczuł nieokreślony ból i strach, który odbierał wszystkiemu blask.

Jego ojciec był tak stary. Matka tak młoda. Gdzieś w głębi czyhała na niego groza. Czego się bał? Nie wiedział. Ale wydawało mu się, że samo powietrze wokół przesiąknięte jest tajemnicą. Jakieś wypowiedziane szeptem imię, którego nie chciano powtórzyć, dawne właśnie wspomniane ukradkiem w rozmowach służby. Ogarnęła go niepewność.

Może zresztą przyczyną był fakt, że jego mama czuła się przez całe życie tak nieszczęśliwa.

Odkąd wybrano Guida do robienia kariery scenicznej, pracował zacięcie i spędzał każdą noc wśród blasku opery, obserwując artystów i śpiewając w chórze, jeśli zachodziła taka potrzeba. Wychodził z głową szumiącą od oklasków oraz zapachem perfum i pudru w nozdrzach.

Sam już nie komponował, zarzucił to na rzecz licznych ćwiczeń i arii autorstwa innych, przeznaczonych na ten i następny sezon.

Owe lata przepełnione były tak cudowną intensywnością, że nie zboczył z obranego kursu, nawet mimo budzących się w nim namietności.

Już znacznie wcześniej Guido pogodził się z myślą, że wszelkie namietności pozostaną dla niego obce.

Pociągało go życie w celibacie. Wierzył w to, co mówiono na kazaniach. Jako eunuch nigdy nie będzie mógł się ożenić, bo celem małżeństwa jest płodzenie potomstwa. Papież nigdy jeszcze nie dał dyspensy eunuchowi. Będzie więc wiódł życie kapłana, jedyne życie pełne dobra i łaski, jakie wolno mu było prowadzić. Ponieważ uważał eunuchów za kapłanów muzyki, całkowicie się z tym pogodził.

Jeśli w ogóle zastanawiał się, co będzie musiał poświęcić w zamian, czuł niemą pewność, że nigdy nie dane mu będzie tego pojąć w pełni. - Cóż to dla mnie? - myślał, wzruszając ramionami. Jego wola była niezłomna, a śpiew znaczył wszystko.

Mimo to, pewnej nocy, po późnym powrocie z opery, miał niesamowity sen. Pieścił w nim małą pulchną śpiewaczkę, którą dostrzegł na scenie. Widział jej nagie, krągłe ramiona i miejsce, w którym z ich spadzistej pełności wyłaniała się kształtna szyja. Przebudził się spocony, nieszczęśliwy.

W ciągu następnych kilku miesięcy sen pojawił się jeszcze dwa razy. Całował tę kobietę, zginał jej ramię w łokciu i dotykał ustami tworzącej się tam delikatnej fałdki. Pewnej nocy, kiedy się ocknął, wydawało mu się, że słyszy jakieś głosy w ciemnej bursie, szepty, ciche kroki. Wokół raz po raz rozbrzmiewał stłumiony śmiech.

Wcisnął głowę w poduszkę. Przed oczyma przesuwały mu się różne obrazy: czy to byli lubieżni kastraci, czy kobiety?

W kaplicy nie mógł potem oderwać oczu od stóp stojącego obok niego Gina. Widok wrzynającego się w jego wysokie podbicie skórzanego paska sprawił, że coś dziwnego ścisnęło

go za gardło. Obserwował mięśnie przesuwające się pod obcisłymi pończochami Gina. Wypukła łydka wydawała mu się piękna, zachęcająca. Pragnął jej dotknąć i patrzył zasmucony, jak chłopak odchodzi, aby przyjąć przy ołtarzu komunię.

Pewnego popołudnia, pod koniec lata, czarny żakiet, ciasno opinający sylwetkę stojącego przed nim młodego maestra, tak go rozproszył, że wcale nie mógł śpiewać. Był to człowiek żonaty, miał dzieci. Przychodził codziennie uczyć poezji i dykcji, którą każdy śpiewak musi dokładnie opanować. - No dlaczego - mruknął Guido sam do siebie - tak się gapię na ten płaszcz? - Jednak ilekroć mężczyzna odwracał się, Guido obserwował tkaninę, przylegającą ciasno do karku i opinającą mocno pas, falującą delikatnie w okolicy bioder, i znów pragnął jej dotknąć. Ilekroć przesunął po niej wzrokiem, czuł coś zbliżonego do bezgłośnego i niewidzialnego uderzenia.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, miał wrażenie, że maestro uśmiecha się do niego. Mężczyzna usiadł i, przesuwając się na krzesło, szybkim ruchem dłoni ułożył wygodniej spoczywający między nogami ciężar. Spojrzał na Guida niewinnym wzrokiem. Niewinnym?

W czasie kolacji ich oczy ponownie się spotkały. Później, przy wieczornym posiłku, także.

Powoli, leniwie, ciemność pokryła góry, zasnęła witraże matową czernią, kiedy Guido, jakby wbrew swej woli, szedł pustym korytarzem, mijając od dawna już nie zamieszkałe pokoje. Dotarł do drzwi maestra i kątem oka ujrzał niewyraźną męską sylwetkę. Srebrne światło, wlewające się przez otwarte okno z kwaterami, padało na jego kolana i założone ręce.

- Guido! - szepnął w mroku maestro.

To było jak sen, tylko wyraźniejsze i nie tak naturalne; ten ostry, skrzypiący odgłos stóp Guida, przesuwających się po kamiennej podłodze, i cicho zamykające się za nim drzwi.

Chwiejące się cienie drzew raz po raz przysłaśniały światła mrugające na wzgórzu za oknem. Młody nauczyciel wstał i zatrzasnął malowane okiennice. Guido przez moment nic nie widział, oddychał chrapliwie, gwałtownie, aż nagle dostrzegł znów te jasne, skupiające w sobie całe światło ręce, rozpinające spodnie maestra.

A więc nauczyciel znał i dzielił z Guidem sny o tajemnym grzechu!

Guido wyciągnął dłoń, jakby jego własne ciało nie było mu posłuszne. Padł na kolana i natychmiast wziął w usta tę tajemnicę, ten organ grubszy i dłuższy od jego własnego, przedtem czując jeszcze przez chwilę gładką, nie owłosioną skórę brzucha maestra.

Niepotrzebne mu były żadne wskazówki. Czuł, jak członek pęcznieje mu w ustach, reagując na dotyk języka i zębów. Cały był już ustami, wbijał palce w pośladki nauczyciela, nagił, żeby wysunął biodra do przodu, a jego rytmiczne desperackie jęki zagłuszały powolne westchnienia tamtego.

- Powoli - szepnął maestro - ooch, powoli! - Ale wypchnął biodra w przód i przycisnął do twarzy Guida wszystkie splątane zapachy swojego ciała, wilgotne, kręte włosy i samą skórę o smaku soli i piżma. Guido wydał gardłowy krzyk, czując suche, szarpiące spełnienie własnej namiętności.

W tej samej chwili, kiedy osłabiony i drżący od szoku, przylgnął do łona maestra, poczuł strumień nasienia mężczyzny, wypełniający jego usta. Otworzył się na tę próbującą go zdławić wyśmienitość i gorycz. Opuścił głowę, upadł bezwładnie. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli nie zdoła tego przełknąć, dostanie torsji.

Nie spodziewał się, że to się tak nagle i całkowicie skończy.

Wreszcie naprawdę poczuł mdłości i musiał odsunąć się, usiłując nie otwierać ust pod ich naporem.

- Chodź... - szepnął nauczyciel. Chwycił Guida za ramiona i próbował go podnieść, ale Guido położył się na podłodze. Wczołgał się pod klawikord, przycisnął czoło do zimnych kamieni. Chłód był mu potrzebny.

Wiedział, że maestro kłęczy przy nim. Odwrócił twarz.

- Guido - szepnął delikatnie mężczyzna. - Guido... - powtórzył karcącym głosem. Kiedy ostatnio słyszał ten zwodniczy głos?

Jęk, który Guido wydał z siebie, był tak pełen rozpacz, że zaskoczył jego samego.

- Nie, Guido, nie... - maestro kucnął. - Posłuchaj mnie, młodzieńcze - przekonywał.

Guido zakrył uszy dłońmi.

- Słuchaj - nalegał uparcie mężczyzna, pocierając palcami włosy na jego szyi. - Sprawiasz, że wszyscy uginają przed tobą kolana - szepnął.

Odpowiedziała mu cisza. Zaśmiał się cicho, delikatnie, bez cienia drwiny.

- Jeszcze się przekonasz - powiedział. Wstał. - Przekonasz się, kiedy w uszach zabrzmia ci brawa, kiedy obsypią cię hołdami i kwiatami.

Mariannie rzadko zdarzało się teraz uderzyć Tonia. Miał trzynaście lat i był już prawie jej wzrostu.

Nie odziedziczył jej ciemnej skóry ani bizantyjskich oczu. Jego cera była jasna, ale miał równie gęste czarne loki i zwinną, niemalże kocią sylwetkę. Kiedy jak zwykle tańczyli razem, zaś ona kołysała biodrami i klaskała w dłonie, a Tonio zataczał wokół niej szybkie kręgi, uderzając przy tym w tamburyn, wyglądali jak bliźnięta; jak światło i ciemność.

Pląsali w rytm gorączkowego ulicznego tańca *furlana*, którego nauczyły ich służące. Kiedy stary kościół, znajdujący się za pałacem, organizował swój doroczny targ *sagra*, wychylali się z tylnych okien domu, żeby obserwując dziewczęta służebne, wirujące w krótkich spódnicach, nauczyć się jeszcze lepiej tańczyć.

Cokolwiek robili wspólnie - czy był to taniec, śpiew, gra czy też czytanie książek, Tonio zawsze przewodził. Szybko zorientował się, że była bardziej dzieckiem niż on sam. Nigdy nie chciała go skrzywdzić. Kiedy była w ponurym nastroju, czuła się bezradna; cały świat walił jej się na głowę, a Tonio łgnący do niej z zapłakaną twarzą i przestraszony, przerażał ją. Wtedy wymierzała nerwowe klapsy, krzyczała przeraźliwie, czasem nawet rzucała czymś w kierunku Tonia, zasłaniając uszy dłońmi, żeby nie słyszeć jego łkania.

Nauczył się ukrywać swój strach w takich chwilach, usiłował ją ukoić, odwrócić uwagę od tego, co ją dręczyło. Jeśli tylko mógł, wyciągał Mariannę na dwór i zapewniał jej rozrywki.

Jedynym niezawodnym sposobem była zawsze muzyka.

Wychowała się na muzyce. Osierocona tuż po urodzeniu, została umieszczona w Ospedale della Pietà, jednym z czterech sławnych klasztornych konserwatoriów Wenecji, którego chór i orkiestra, składające się wyłącznie z dziewcząt, zadziwiały Europę. Kiedy była małą dziewczynką, tamtejszym Maestro di Capella był nie kto inny, jak sam Antonio Vivaldi. Uczył ją śpiewać i grać na skrzypcach, gdy miała zaledwie sześć lat. Już wtedy ujawnił się niezwykle talent Marianny.

W jej pokoju leżały stopy nut utworów Vivaldiego. Były tam wokalizy dla dziewczynek zapisane jego własną ręką. Zawsze posyłała po partytury jego najnowszych oper.

Od chwili, kiedy dostrzegła, że Tonio odziedziczył jej talent wokalny, obdarzyła go desperacką, gorzką miłością. To ona nauczyła go pierwszych pieśni; uczyła grać i śpiewać ze

słuchu wszystko i to tak, że nauczyciele mogli się tylko dziwić. Czasem mówiła: “Gdybyś urodził się bez słuchu muzycznego, utopiłabym cię. Albo siebie”. Wierzył w to, kiedy był mały.

Nawet w najgorszych chwilach, kiedy oddech matki cuchnął winem, a jej oczy były szkliste i okrutne, Tonio pojawiał się, jasny i kapryśny, aby zwabić ją do klawikordu.

- Chodź, mamó - mówił spokojnie, jakby nic się nie stało. - Chodź, mamó, zaśpiewaj ze mną.

Jej komnaty, zalane słońcem poranka, wyglądały zawsze tak ślicznie: łoże zasłane było białym jedwabiem, a w szeregu luster odbijały się tapety zdobne w wizerunki cherubinów i girlandy. Zegary, przeróżne zegary, które tak lubiła, tykały na stolikach, skrzyniach, na marmurowym kominku. Pośród tego wszystkiego była ona, z włosami w nieładzie, ze szklanką wydzielającą kwaśny zapach w dłoni. Patrzyła na niego, jakby nie poznając.

Nie czekał dłużej. Zdejmował pokrowiec z podwójnego rzędu klawiszy z kości słoniowej i zaczynał grać. Często były to utwory Vivaldiego, Scarlattiego lub łagodniejsze i melancholijne kompozycje patrycjusza Benedetto Marcello. Już po chwili czuł, jak matka miękko siada przy nim na ławce.

Dźwięk splatających się głosów przepelniał go radością. Jego mocny, jasny sopran wznosił się wyżej, lecz jej miał bogatszą, fascynującą barwę. Niecierpliwie przesuwała stare partytury w poszukiwaniu swoich ulubionych arii albo sama układała nowe melodie do fragmentów nowo poznanych przez niego poezji, które na jej życzenie recytował.

- Świetnie potrafisz naśladować! - mówiła, kiedy idealnie powtórzył po niej jakiś skomplikowany pasaż. Powoli, umiejętnie wzmacniała kolejno i przyciszała nutę, aby usłyszeć, jak Tonio bezbłędnie ją odtwarza. Nagle chwyciła go ciepłymi, bardzo silnymi dłońmi i szeptała:

- Kochasz mnie?

- Oczywiście, że cię kocham. Mówiłem ci to wczoraj i przedwczoraj, a ty ciągle zapominasz - drażnił się z nią. Odpowiadała przeszywającym, pełnym uczucia okrzykiem. Przygryzała usta, jej oczy robiły się niezwykle szerokie, potem zwały się. Zawsze wtedy dawał jej to, czego chciała, ale gdzieś w środku cierpiał.

Codziennie rano, kiedy się budził, wiedział, czy jest wesoła, czy smutna. Czuł to. Odliczał godziny nauki, myśląc, kiedy będzie mógł się wyniknąć i iść do niej.

Ale nie rozumiał jej.

Zaczynał też zdawać sobie sprawę z tego, że samotność, której doświadczał jako dziecko, te ciche i puste pokoje, wielki, mroczny pałac, były takie nie tylko z powodu wieku i staroświeckiej srogości ojca, ale i jej nieśmiałości, samotnictwa. Dlaczego nie miała przyjaciół, skoro Pietá równie pełna była dam z towarzystwa, co i sierot, a wiele z nich przez małżeństwo weszło do dobrych rodzin?

Nigdy nie mówiła o tym miejscu; nigdy nie wychodziła z domu. A kiedy kuzynka Catrina Lisani przychodziła z wizytą, Tonio wiedział, że zostaje tak krótko przez uprzejmość. Marianna żyła jak zakonnica w klasztorze. Nosiła się na czarno, ręce składała na kolanach, jej ciemne włosy miały połysk i gładkość satyny. Catrina, ubrana w wesoły, wzorzysty jedwab z mnóstwem żółtych kokardek, musiała sama prowadzić rozmowę.

Czasem przychodził z nią jej towarzysz, bardzo układny i przystojny cavalier servente, będący również jakimś dalekim kuzynem, chociaż Tonio nie mógł nigdy zapamiętać dokładnego pokrewieństwa. Była to prawdziwa rozrywka, gdyż szedł on z Toniem do Wielkiego Salonu, gawędząc o tym, co pisały gazety i co działo się w teatrze. Nosił buty o czerwonych obcasach i monokl na niebieskiej wstążce. Chociaż był patrycjuszem, spędzał czas na nieróbstwie, w towarzystwie kobiet. Tonio wiedział, że Andrea nie pochwałałby obecności kogoś takiego przy jego żonie i on sam też by się na to nie zgodził.

Mimo to wydawało mu się, że gdyby Marianna miała takiego kawalera, zaczęłaby wychodzić z domu i spotykać się z ludźmi, którzy od czasu do czasu przychodziliby też do pałacu, a cały świat stałby się zupełnie inny.

Jednak myśl o obecności jakiegoś *cavalier servente* tak blisko niej, w gondoli, przy stole, na mszy, odstręczała Tonia. Czuł palącą, rozdzierającą zazdrość. Żaden mężczyzna prócz niego nie był jeszcze tak blisko niej.

- Gdybym tylko mógł być jej *caualier servente*... - wzdychał. Z lustra patrzył na niego wysoki młody mężczyzna z twarzą dziecka. - Dlaczego nie mogę jej bronić? - szepnął. - Dlaczego nie mogę jej uratować?

Cóż można zrobić z kobietą, która coraz częściej ceni butelkę wina wyżej od światła dnia?

Choroba! Melancholia! Tak to nazywano. Zanim Tonio skończył czternaście lat, Marianna już zawsze wstawała z łóżka późnym popołudniem. Często była "zbyt zmęczona", by śpiewać, z czego się cieszył, bo nie mógł znieść widoku niepewnego kroku, którym poruszała się po pokoju. Przeważnie była na tyle rozsądna, że zostawała w łóżku. Leżała z wychudzoną twarzą, z wytrzeszczonymi, błyszczącymi oczami, wsparta o białe poduszki i słuchała każdego koncertu, jaki dla niej przygotował.

Kiedy nadchodził zmierzch, robiła się już kłótniwa i dziwaczna. Oczywiście, że nie chce iść do Pieta. Czemu miałaby chcieć tam iść? Pewnego wieczora spytała: - Czy wiesz, że kiedy tam mieszkałam, wszyscy mnie znali? Byłam tematem rozmów w całej Wenecji. Gondolierzy twierdzili, że jestem najlepszą śpiewaczką ze wszystkich czterech szkół, że nigdy jeszcze takiej nie słyszeli. Imię "Marianna" znały salony Paryża i Londynu; słyszano o mnie w Rzymie. Pewnego lata pływałam łodzią po Brencie. Śpiewaliśmy we wszystkich willach, a potem tańczyliśmy, jeśli przyszła nam ochota; piliśmy wino ze wszystkimi gośćmi...

Tonio był wstrząśnięty.

Lena umyła ją i uczesała, jakby była dzieckiem, nalała wina dla uspokojenia, a potem wzięła Tonia na stronę.

- Wszystkie dziewczęta z konserwatorium obdarzane są takimi pochwałami. To nic takiego, głuptasie - mówiła. - Tak samo jest dzisiaj. Zapytaj Bruna. Gondolierzy zachwycają się tymi dziewczętami bez względu na to, czy są wielkimi damami, które mają poślubić patrycjuszy, czy tylko bezimiennymi dziećmi. To nie to samo co być na scenie, więc czemu tak patrzysz, na Boga!

- Powinam była robić karierę sceniczną! - odezwała się niespodziewanie Marianna. Odrzuciła przykrycia. Jej chwiejąca się głowa opadała w przód, strumyczki włosów spływały na ziemistą twarz.

- Cicho już, cicho - uspokajała ją Lena. - Tonio, wyjdź na chwilę.

- Dlaczego ma wyjść? - odezwała się Marianna. - Czemu zawsze go gdzieś odsyłasz? Śpiewaj, Tonio. Obojętne co, byłeś śpiewał, śpiewaj to, co sam wymyśliłeś. Powinam była uciec

z operą, ot co! Żyłbyś na walizkach, bawił się rekwizytami za kulisami. A tymczasem, proszę bardzo - Jego Ekscelencja Marc Antonio Treschi...

- To już czyste szaleństwo! - przerwała jej Lena.

- Tak, tylko nie wiesz - krzyknęła Marianna - że to zakłady dla obłąkanych tworzą szaleńców!

Przyszły okropne czasy.

Kiedy Catrina Lisani pojawiała się z wizytą, Lena pozbywała się jej, powołując się na jakieś nie sprecyzowane diagnozy i tymi samymi wymówkami zatrzymywała Andreego Treschiego, przybywającego na poranne odwiedziny w sypialni żony rzadko, lecz regularnie.

Po raz pierwszy Tonio miał ogromną ochotę wymknąć się z palazzo.

Miasto wpadło w ferwor przygotowań do największego z weneckich świąt - święta Wniebowstąpienia zwanego Senza, kiedy to doża wypływał swoją przepięknie złoconą barką *Bucintoro*, aby wrzucić w morze obrzędowy pierścień, symbol zaślubin z Adriatykiem i władzy Wenecji nad nim. Wenecja i morze, starodawne, święte zaślubiny. Na samą myśl o tym, Tonio czuł przebiegające po plecach przyjemne dreszcze, chociaż wiedział, że zobaczy tylko tyle, ile uda mu się dojrzeć z dachów. A kiedy wyobraził sobie następujące potem dwa tygodnie karnawału, gdy na *calli* i przystaniach dojrzał zamaskowane postacie - maski nawet w twarzach dzieci i kołysanych w ramionach niemowląt, wszystkich podążających na piazza - czuł przyprawiające go o mdłości oczekiwanie i złość.

Dokładniej niż zwykle zbierał drobne podarunki, które rzucał w nocy śpiewakom, aby zostali pod jego oknem. Znalazł zepsuty złoty zegarek, owinał go cienką jedwabną chusteczką i cisnął w dół. Nie wiedzieli, kim jest. Pytali o to czasem w swoich pieśniach.

Pewnej nocy, kiedy czuł się bardziej beztroski niż zwykle, a Senza miała się rozpocząć już za dwa tygodnie, zaśpiewał w odpowiedzi: "Jestem tym, który dzisiejszej nocy kocha was bardziej niż ktokolwiek w Wenecji!"

Jego głos odbijał się od kamiennych ścian. Był tak podekscytowany, że nieomal wybuchnął śmiechem, ale śpiewał dalej, wplatając w pieśń wszystkie znane mu kwieciste wiersze na cześć muzyki, dopóki nie zorientował się, że jest śmieszny. Mimo to czuł się wspaniale. Nie zauważył nawet ciszy panującej w dole. Kiedy z wąskiego chodnika podniosły się w górę burzliwe oklaski i okrzyki aplauzu, cichy śmiech i nieśmiałość pokryły jego twarz rumieńcem.

Oderwał potem zdobne w klejnoty guziki od swojego żakietu i rzucił pieśniarzom.

Czasem jednak śpiewacy przychodzili bardzo późno. A czasem wcale. Może na zamówienie śpiewali serenady dla dam lub pieśni dla kochanków nad brzegiem kanału. Nie wiedział. Siedząc przy oknie z łokciami wspartymi o wilgotny parapet, marzył, że znalazł jakieś nie znane nikomu piwniczne drzwi i odszedł ze śpiewakami. Marzył, że nie jest bogaty, nie jest patrycjuszem, a ulicznikiem, mogącym śpiewać i grać na skrzypcach do woli przez całą noc, we wszystkie cztery strony tej gęsto zabudowanej, kamiennej krainy z baśni, tego otaczającego go ciasno miasta.

Narastało w nim uczucie, że coś musi się wydarzyć. Wydawało się, że nic gorszego nie może go już w życiu czekać.

Aż pewnego popołudnia Beppo z głupoty przyprowadził Alessandra, wiodącego śpiewaka z Bazyliki Świętego Marka, aby posłuchał, jak Tonio śpiewa z matką.

Już jakiś czas przedtem Beppo czuwał przy drzwiach sypialni Marianny, aby spytać, czy zezwoliliby na taką wizytę. Był bardzo dumny z głosu Tonio, a Mariannę podziwiał niczym jakiegoś serafina.

- Ależ oczywiście, przyprowadź go, kiedy tylko będziesz chciał - odparła wesoło. Pochłaniała drugą butelkę białego hiszpańskiego wina i spacerowała w szlafroku. - Przyprowadź go. Bardzo chętnie się z nim zobaczę. Jak chcesz, to dla niego zatańczę. Tonio zagra na tamburynie. Zrobimy sobie prawdziwy karnawał.

Tonio czuł się upokorzony. Lena położyła swoją panią spać. Beppo oczywiście powinien się domyślić. Ale Beppo był stary. Jego małe niebieskie oczka migotały jak niepewne płomyki. I oto w kilka dni później w salonie stał odziany przepięknie w kremowy aksamit i kaftan z zielonej tafty Alessandro, wyraźnie zachwycony tym szczególnym zaproszeniem.

Marianna spała głęboko przy zaciągniętych kotarach. Toniowi szybciej udałoby się obudzić Meduzę.

Przeczesał włosy grzebieniem, włożył swój najlepszy żakiet i poszedł sam zaprosić Alessandra na pokoje, tak jakby był panem domu.

- Nie wiem, co robić, signore - powiedział. - Moja matka jest chora, a ja krępuję się śpiewać dla pana sam. - Jednak czuł się uszczęśliwiony nawet tym małym, niespodziewanym towarzystwem. Blask słońca zalewał rzeźbiony mahoń i adamaszek, które stanowiły wystrój pokoju. Mimo wyblakłego dywanu i wysokich sufitów, było w nim coś ładnego.

- Przynieś kawę - powiedział do Beppa i otworzył klawikord.

- Proszę wybaczyć, Wasza Ekszelencjo - odezwał się cicho Alessandro. - Nie spodziewałem się, że będę przeszkadzał.

Miał delikatny i senny uśmiech. Bez szat chórzysty daleko mu było do eteryczności. Był ogromnym mężczyzną, którego gesty ratowała przed niezręcznością tylko ich płynność.

- Miałem nadzieję, że wolno mi będzie usiąść gdzieś na uboczu, gdy będziecie śpiewać z matką. Nie chciałem niepokoić - mówił. - Beppo dużo mi opowiadał o waszych duetach, no i pamiętam twój głos, Ekszelencjo. Nigdy go nie zapomniałem.

Tonio zaśmiał się. Wiedział, że jeśli ten człowiek wyjdzie, to wybuchnie płaczem, tak czuł się samotny. - Proszę siadać, signore - powiedział. Z ulgą powitał pojawienie się Leny z dymiącym czajnikiem i Beppa podążającego tuż za nią z plikiem nut.

Tonio był zdesperowany. Do głowy przyszedł mu wspaniały, dojrzały pomysł zabawienia Alessandra w sposób tak doskonały, by powracał tu potem częściej. Wziął ostatnią operową partyturę Vivaldiego, "Montezuma". Arie były mu obce, ale nie mógł zaryzykować melodii starej i nużącej, więc po chwili śpiewał już żywy, dramatyczny utwór. Jego głos szybko się rozgrzewał.

Nigdy jeszcze nie śpiewał w tym pokoju. Było tu więcej nagiego marmuru niż draperii i gobelinów. Śpiew brzmiał donośnie, cudownie. Kiedy nagle zamilkł, zmroziła go cisza. Nie spojrzął na Alessandra. Czuł, że wzbiera w nim dziwne uczucie, niepewne szczęście.

Potem pod wpływem impulsu odwrócił się i skinął na Alessandra. Był nieomal zdziwiony, widząc, że eunuch wstaje i siada przy klawikordzie. I kiedy zaczął szybko pierwszy duet, usłyszał, jak za nim ten wspaniały głos, ta nabrzmiała siła, podnosi, unosi jego własny.

Po tym był jeszcze jeden duet, i jeszcze jeden, a kiedy nie mogli już znaleźć więcej, przerabiali arie na duety. Śpiewali z partytury wszystko to, co im się podobało, kilka utworów, które nie przypadły im do gustu, potem wybierali inną muzykę. W końcu Alessandro dał się namówić na dzielenie z Toniem małej ławeczki i wypili razem kawę, którą im przyniesiono.

Śpiewali i śpiewali, aż wreszcie zniknęły wszystkie dzielące ich formalności. Byli po prostu parą ludzi. Nawet ich głosy były inne, kiedy rozmawiali. Alessandro wskazywał na poszczególne aspekty tej czy innej kompozycji. Od czasu do czasu przestawał śpiewać i nalegał, że musi usłyszeć Tonia samego, a potem obsypywał go gorącymi pochwałami, jakby chcąc przekonać, że posiada wielki dar i nie jest to czczy komplement.

W końcu zamilkli obaj, kiedy postawiono przed nimi kandelabr. W domu panowała ciemność. Było późno, a oni zapomnieli o całym świecie.

Tonio milczał. Przygnębiał go widok przedmiotów wyglądających jak cienie. Pokój wydawał się otchłanią, a obraz odbijających się w szkle migotliwych świateł kanału budził w nim pragnienie rozświetlenia komnaty wszystkimi świecami, jakie udałoby się znaleźć. Głowa wciąż pulsowała muzyką i bólem. Kiedy ujrzał nikły uśmiech na twarzy Alessandra, zamyślenie, spojrzenie pełne podziwu, czuł jak ogarnia go nieodparta miłość do niego.

Chciał opowiedzieć mu o tej nocy, dawno temu, kiedy po raz pierwszy śpiewał w Bazylice Świętego Marka, jak bardzo mu się to podobało i że nigdy tego nie zapomniał. Nie potrafił ubrać w słowa pierwszego, dziecinnego marzenia, żeby być śpiewakiem. Nie mógł powiedzieć, że oczywiście nigdy nim nie zostanie, i wyjaśnić, z czego wynikała śmieszność sytuacji: z jego niewiedzy, że Alessandro jest... kim? Poczł nagle upokorzenie, zatrzymał rozpędzone myśli.

- Słuchaj, musisz zostać na kolacji - powiedział wstając. - Beppo, proszę, powiadom Angela, że pragnę, by też z nami jadł. I zawiadom zaraz Lenę. Zjemy w głównej jadalni.

Stół został szybko nakryty odpowiednim obrusem i srebrami. Tonio zażądał więcej kandelabrow i już wkrótce, usadowiwszy się u szczytu stołu, jak zawsze to robił, kiedy był sam, zatopił się w rozmowie.

Alessandro często się śmiał. Długo odpowiadał na pytania. Chwalił wino. Zaczął też opisywać ostatni bankiet wydany przez dożę.

Było to jedno z tych ogromnych przedsięwzięć, na których do stołów zasiadały setki gości, a przez otwarte drzwi wchodzili z piazzetty ludzie, aby to oglądać.

- Brakowało jednej srebrnej tacy - Alessandro uśmiechnął się, podnosząc w górę swoje gęste, ciemnobrązowe brwi. - Proszę sobie tylko wyobrazić, Wasza Ekscelencjo, tych wszystkich dostojników państwowych czekających cierpliwie, aż srebro zostanie jeszcze raz przeliczone. Ledwo powstrzymałem się od śmiechu.

Sposób, w jaki opowiadał tę historyjkę, nie wyrażał jednak braku szacunku. Szybko przeszedł do następnej. Był na swój sposób wytworny. Jego twarz lśniła w blasku świec z lekka nieziemską gładkością.

Przez cały czas Tonio nie mógł przestać myśleć o tym, że siedzący cicho u jego prawego boku Angelo i Beppo robią wszystko, czego zażąda. Kiedy zauważył, że przydałaby się druga butelka wina, Angelo natychmiast po nią posłał.

- I koniecznie jakiś deser - dodał Tonio. - Jeśli nie ma nic w domu, pošlij kogoś po czekoladę albo lody.

Beppo patrzył na niego z wyraźnym podziwem, a Angelo był jakby trochę wystraszony.

- Ale powiedz mi, jak to jest, kiedy śpiewa się dla króla, dla króla Francji, króla Polski...

- Tak samo jak wtedy, gdy śpiewa się dla innych, Wasza Ekscelencjo - odparł Alessandro.

- Zawsze pragnę zrobić to bezbłędnie. Cierpiałbym, słysząc fałsz. Dlatego nigdy nie śpiewam, kiedy jestem sam w domu. Nie chcę usłyszeć czegoś, co nie jest... idealne.

- A opera? Nigdy nie chciałeś śpiewać na scenie? - naciskał Tonio.

Alessandro złożył ręce, splatając palce na wzór wieżyczki. Najwyraźniej zamyślił się nad odpowiedzią.

- Śpiewanie w świetle rampy to zupełnie coś innego - odparł. - Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Cóż, widzieliście śpiewaków w...

- Nie, jeszcze nie - przerwał mu Tonio i poczuł, że się czerwieni. Alessandro zda sobie teraz sprawę z tego, jak młody jest Tonio i jakie dziwne jest to małe przyjęcie.

Ale jego towarzysz po prostu mówił dalej. Wyjaśniał, że na scenie trzeba się wcielić w inną osobę, grać - pokazywać się, być widzianym. W kościele sytuacja wygląda zupełnie inaczej - jest tylko unoszący się nad wszystkim głos.

Tonio pociągnął następny łyk wina i kiedy właśnie miał wyznać, jak bardzo chce iść do opery, zauważył, że Angelo i Beppo spieszenie powstali. Alessandro spojrział nagle poza kraniec stołu. I też się podniósł. Tonio zrobił to samo, zanim jeszcze wyłuskał z niebieskawego mroku postać swego ojca.

Andrea wszedł właśnie do komnaty. W jego czerwone szaty zaplątało się światło. Za nim stała grupa ludzi: signore Lemmo, jego sekretarz i czereda młodzieńców, zawsze podążająca za Andrea w nadziei nauczenia się od szanownego starca retoryki i polityki.

Tonio opanował natychmiast taki strach, że nie mógł zebrać myśli.

Kimże był, żeby zapraszać gościa na kolację? Andrea stał już tuż przed nim. Tonio pochylił się, żeby pocałować rękę ojca. Nie miał pojęcia, co może się zdarzyć.

Spostrzegł, że ojciec się uśmiecha.

Patrzył z absolutnym zdziwieniem, jak Andrea zajmuje krzesło obok Alessandra. Zezwolono zostać kilku z młodych ludzi. Kiedy signore Lemmo rozkazał staremu lokajowi

Giuseppe zapalić świece na ścianach, boazeria z niebieskiej satyny nabrała nagle życia i rozbłysła pięknem.

Andrea rozmawiał, dowcipkował. Przyniesiono kolację dla niego i jego towarzyszy, dolano wina do kieliszka Tonia, a ojciec obdarzył go spojrzeniem pełnym żywiołowego ciepła, delikatności i bezgranicznej miłości.

* * *

Jak długo to trwało? Dwie godziny, trzy? Kiedy Tonio leżał potem w łóżku, jego myśli lgnęły do każdej sylaby, każdego wybuchu śmiechu. Wrócili później do salonu i po raz pierwszy w życiu Tonio śpiewał dla swojego ojca. Alessandro śpiewał również. Pili razem kawę, dzielili się plasterkami świeżego melona, przyniesiono też pięknie uformowane lody, które rozdzielono na srebrne talerzyki, a Andrea zaproponował Alessandrovi zapalenie fajki i nawet sugerował, żeby jego syn też jej spróbował.

Andrea, którego twarz opięta była przezroczystą skórą tak ciasno, że można było odgadnąć kształt czaszki, wyglądał w tym towarzystwie staro. Jego wiecznie promienne oczy jak zawsze drastycznie odbijały się od reszty oblicza. Niemniej zdarzało się, że usta drżały mu niepewnie, a kiedy wstawał, by pożegnać Alessandra, wyglądało na to, iż wysiłek sprawia mu ból.

Musiało być już po północy, kiedy goście się rozeszli. Tym samym wolnym, uważnym krokiem Andrea podążył za Tonim do jego pokoi, w których bywał tylko wtedy, kiedy syn chorował. Stał w drzwiach niemalże ceremonialnie i oglądał wszystko z wyraźną aprobatą. Zdawał się zbyt wielki, zbyt wytworny na to miejsce, pośrodku którego wyrastał, jak snop migoczącego purpurowego światła.

W świetle świecy rzadkie siwe włosy, które unosiły się lekko wokół jego twarzy, jarzyły się jak niknący płomień.

- Jesteś prawdziwym gentlemanem, mój synu - rzekł. W jego głosie nie było wymówki.

- Wybacz mi, ojcze - szepnął Tonio. - Mama była chora, a Alessandro...

Andrea przerwał mu nieznacznym gestem.

- Jestem z ciebie zadowolony, synu - powiedział. A jeśli myślał jeszcze o czym innym, ukrył to.

Leżąc w łóżku, Tonio czuł dręczący niepokój. Nie mógł się wygodnie ułożyć, bolały go ręce i nogi.

Ta kolacja, taka zwyczajna, była jakby wyjęta ze snów, z fantazji, w których jego bracia powracali do życia. Nawet ojciec pojawił się przy stole! A teraz, kiedy już było po wszystkim, czuł w środku ból, którego nic nie mogło ukoić.

W końcu, kiedy zegary w całym domu wybijały trzecią, wstał i, wsunąwszy do kieszeni, niepotrzebnie, świeczkę i zapałkę siarkową, wyszedł.

Spacerował po wyższych piętrach, po dawnych pokojach Leonarda, gdzie jak szkielet stało jego łóżko, po apartamentach, w których Filippo mieszkał ze swoją młodą żoną. Zostały po nich tylko wyblakłe ślady po obrazach na ścianach. Wszedł do małego studia, w którym na półkach wciąż stały książki Giambattisty, a potem, minąwszy pokoje służby, dotarł na dach.

Miasto widać było przez mgłę, nadającą mu szczególne piękno. Ciemne dachy lśniły wilgocią, a w oddali, na tle nieba, niezmiennie, różowo lśniły światła piazzzy.

Nachodziły go dziwne myśli. Kto zostanie jego żoną? Imiona i twarze zamkniętych w klasztorze kuzynek nic mu nie mówiły. Wyobraził ją sobie, wesołą i łagodną, jak odrzuca welon, by zaśmiać się tajemniczo i namiętnie. Nigdy nie będzie smutna, nie dotknie jej melancholia. Będą wydawać razem wielkie bale i tańczyć przez całą noc. Urodzą im się silni synowie. Każdego lata, wraz z innymi znamienitymi rodzinami, będą się udawali do willi nad Brentą. Pozwoli nawet jej starym ciotkom i niezameżnym kuzynkom, wujom i braciom zamieszkać w tym domu. Zrobi tu dla nich miejsce. Ściany pokryją nowe tapety, nowe draperie. Noże zedrą pleśń z fresków. Nie będzie tu już pustych i zimnych miejsc, a jego synowie będą mieli przyjaciół, setki przyjaciół przewijających się przez dom ze swoimi nauczycielami i piastunkami. Widział dziesiątki tych dzieci ustawionych do menueta, wspaniałe pastelowe jedwabie ich surducików i sukienek, dom rozbrzmiewający muzyką. Nigdy nie zostawi swoich dzieci samych. Choćby był nie wiem jak zajęty sprawami państwa, nigdy, przenigdy nie zostawi ich samych w tym pustym pałacu, nigdy...

Kiedy zszedł w dół po kamiennych schodach i zanurzył się w lodowate powietrze apartamentów matki, ciągle jeszcze chodziło mu to po głowie.

Zapalił zapałkę, gwałtownie pocierając nią po podeszwie buta, i przytknął do małej świeczki. Matka leżała tak głęboko uspiąca, że nic nie mogło jej przeszkodzić. Kiedy przysunął się bliżej, poczuł ciepły oddech, jednak jej twarz była doskonale niewinna w swej cudownej gładkości. Bardzo, bardzo długo stał, przyglądając się jej. Widział ostre zakończenie brody, błądy zarys szyi.

Zdmuchnąwszy świecę, wdrapał się obok niej na łóżko. Jej ciało pod przykryciem było ciepłe. Przysunęła się do niego blisko, dotykała dłonią ramienia Tonia, jakby chciała się do niego przytulić.

Leżał tak, śniąc dla niej sny.

Widział modne damy na mszy, byli tam też *cavalieri serventi*. Wszystko na nic. Z niejasnym uczuciem przerażenia obserwował przesuwający się przed nim w wyobraźni obraz jej życia. Dostrzegł samotność bez nadziei, stopniowe chylenie się ku ruinie.

Po długiej chwili matka zajęczała cicho przez sen. Jęk stawał się coraz głośniejszy.

- Mamo - szepnął. - Jestem tutaj, z tobą.

Próbowała usiąść. Otoczył ją szkaradny welon splecionych włosów i błyszczącego światła.

- Podaj mi kielich, moje kochanie, mój skarbie - powiedziała.

Odkorkował butelkę. Patrzył, jak pije i opada na poduszki. I przez długi czas, zgarnawszy jej włosy z czoła, wsparty na łokciu, po prostu na nią patrzył.

Następnego ranka nie mógł uwierzyć w wiadomość, którą oznajmił mu Angelo: mieli odtąd codziennie spacerować przez godzinę po piazzy. - Oczywiście oprócz dni karnawału! - dodał ze złością. A potem powiedział jeszcze wojowniczo i niepewnie, jakby tego nie pochwałał: - Twój ojciec uważa, że jesteś już na to wystarczająco dorosły.

Po krótkich chwilach spędzonych z młodym maestro, świat zaczął pulsować pokusą, jakby Guido posiadał nagle widoczny dla wszystkich znak lub opadły mu łuski z oczu. Co noc, leżąc w łóżku, słyszał w ciemności odgłosy miłości. A w operze kobiety otwarcie się do niego uśmiechały.

Wreszcie pewnego wieczora, kiedy inni przygotowywali się do snu, skrył się w samym końcu prowadzącej na poddasze sieni. Noc ukrywała go, kiedy siedział tak, w ubraniu, z nogą na szerokim parapecie. Po godzinie, może niecałej, z ciemności zaczęły się wyłaniać niewyraźne postacie, drzwi otwierały się i zamykały, a światło księżyca ukazało Gina, kiwającego zapraszająco palcem.

W przytulnej, czystej wnęce, w której trzymano pościel, Gino obdarzył go najdłuższym, najbardziej namiętnym uściskiem. Prawie całą noc leżeli na posłaniu ze złożonych prześcieradeł, pozwalając niknąć oszalamiającym falom rozkoszy, aby potem je wskrzesić i przedłużać w nieskończoność. Skóra Gina była gładka, piękna. Miał mocne usta i nie lękające się niczego palce. Delikatnie pieścił uszy Guida, ścisnął do bólu sutki, całował włosy pomiędzy jego nogami, z największą cierpliwością dążąc do brutalniejszych oznak namiętności.

Przez następne noce Guido dzielił się swoim nowym towarzyszem z Alfredo, później z Alonso. Czasem w ciemności leżeli spleceni we dwóch lub we trzech. Nierzadko Guido spoczywał w objęciach chłopców leżących pod nim i na nim, a kiedy ostre pchnięcia Alfreda doprowadzały go do krawędzi bólu, twarde, chciwe usta Alonsa wiodły go ku ekstazie.

Nadszedł jednak dzień, kiedy Guido zarzucił te doskonale opracowane schadzki na rzecz gwałtowniejszych, nieczułych pchnięć “normalnych” uczniów. Nie bał się nieokaleczonych mężczyzn, nie zdając sobie zresztą sprawy, że jego groźne spojrzenie zawsze trzymało ich na odległość.

Jednak tych włochatych, chrząkających młodzieńców również nie bardzo lubił. Było w nich coś brutalnego i prostego, co czyniło ich w końcu mało interesującymi.

Chciał eunuchów, apetycznych, doskonałych ekspertów od spraw cielesnych.

Eunuchów albo kobiet.

Może miało tak być, może nie, w każdym razie to z kobietami zbliżył się najbardziej do spełnienia. Zbliżał się tylko, bo nie kochał. Poza tym było ono obezwładniające. Jego

ulubienicami były uliczne dziewczyny, biedne, zawsze głupie, usatysfakcjonowane złotą monetą, zachwycone jego chłopięcym wyglądem, podziwiające jego ubranie i maniery. Rozbierał je szybko w wynajętym w tym celu pokoju nad tawerną, a im nigdy nie przeszkadzało, że jest eunuchem, liczyły może na trochę czułości. Nawet jeśli miały jakieś obiekcje, to i tak więcej ich nie spotykał, zawsze były jakieś inne. W miarę jak rosła sława Guida, wszystkie drzwi stawały przed nim otworem. Po wieczerzach, na których śpiewał, piękne damy prowadziły go ukradkiem do sekretnych komnat.

Przyzwyczał się do jedwabnych prześcieradeł, złożonych cherubów, hasających nad owalnymi lustrami, i pianistych baldachimów. Zanim skończył siedemnaście lat, jego kochanką - czasem tylko, tajemnie - była śliczna, dwukrotnie zamężna i bardzo bogata hrabina. Jej powóz często zabierał go sprzed tylnych drzwi opery. Zdarzało się, że po godzinach ćwiczeń otwierał okno swojego pokoju na poddaszu i widział, jak pojazd toczy się pod ciężkimi gałęziami drzew.

Wydawała mu się wtedy stara, już nie w kwiecie wieku, ale wciąż pełna namiętności i dręczącej natarczywości. Kiedy w jego ramionach pokrywała się aż po sutki piersi szkarłatnym rumieńcem i przymykała oczy, ogarniało go uniesienie.

To były wspaniałe, radosne chwile. Guido był już niemalże gotów wyruszyć do Rzymu, by zagrać tam swą pierwszą główną rolę. W wieku osiemnastu lat mierzył pięć stóp dziesięć cali i dysponował głosem zdolnym bez akompaniamentu wypełnić z niewyobrażalną czystością ogromną salę. W tymże roku stracił głos na zawsze.

Chociaż pozwolenie na spacer do piazzy nie było dużym zwycięstwem, Tonio przez kilka następnych dni szalał z radości. Niebo wydawało się bezkresnym błękitem, wszędzie wzdłuż kanału ciepły wiaterek szarpał prążkowanymi markizami, a kwietniki na oknach pełne były świeżych wiosennych kwiatów. Nawet Angelo najwyraźniej dobrze się bawił, chociaż wyglądał w swojej cienkiej, czarnej sutannie wątko i jakby niepewnie. Nie omieszkał powiedzieć Toniowi, że na zbliżającą się Senzę przybywali tu ludzie z całej Europy. Wszędzie rozbrzmiewała obca mowa.

Kawiarnie, zajmujące już nie tylko małe, zaniedbane wnętrza, ale i arkady, pełne były biednych i bogatych gości, wśród których biegały panny służebne z obnażonymi rozkosznie ramionami, ubrane w krótkie spódnice i jaskrawoczerwone staniki. Jedno spojrzenie na nie wystarczyło, by Tonio poczuł wzbierającą żądzę. Wyglądały niewypowiedzianie pięknie ze swoimi wstążkami i lokami, z obciążniętymi w pończochy kostkami, które tak doskonale było widać. Pomyślał, że gdyby zaczęły się tak ubierać damy, oznaczałoby to koniec cywilizacji.

Co dzień zmuszał Angela do trochę dłuższej, nieco dalszej przechadzki.

Piazza oferowała widowisko, z którym nic nie mogło się równać: pod łukami kościołów bazarze gromadzili wokół siebie zasłuchanych ludzi, dokoła spacerowali patrycjusze w galowych strojach, a damy, wolne od czarnych vesti, w których chodziły do kościoła w dni świąteczne, prezentowały strojne kreacje z wzorzystego jedwabiu. Nawet w żebrakach było coś interesującego.

A przecież była jeszcze Merceria. Ciągnąc za sobą Angela koło wieży zegarowej i spoglądającego z niej lwa świętego Marka, Tonio szedł spiesznie po tej brukowanej marmurem ulicy, na której można było spotkać wszystkich rzemieślników Wenecji. Byli tu złotnicy, aptekarze, były koronkarki i modystki, eksponujące ekstrawaganckie kapelusze pełne ptaków i owoców oraz najnowszy paryski model kapelusza, w który wystrojona została wielka francuska lalka.

Nawet te proste rzeczy sprawiały mu rozkosz, przepychał się więc dalej do Panetterii z mnóstwem wypieków, do targów rybnych Pescherii, a dotarwszy do mostu Rialto, spacerował wśród sprzedawców warzyw.

Tonio odkrył, że pragnie tanich mięs i złego wina, dlatego po prostu, iż tak egzotycznie wyglądają, ale Angelo oczywiście nie chciał nawet słyszeć o wstąpieniu do kawiarni lub tawerny. Tonio usiłował jednak być rozumny.

Na wszystko przyjdzie czas. Teraz, gdy zapalczywy podopieczny Angela przerósł go i z łatwością nakłaniał wciąż do jakiegoś nowego łobuzerstwa, staruszek bardziej niż kiedykolwiek wyglądał jak sucha łupinka człowieka, którym był w młodości. Wyrwawszy przekupniowi gazetę, Tonio zdołał przeczytać sporo ploteczek, nim Angelo zorientował się, co robi.

Największą pokusę stanowili jednak dla Tonia sprzedawcy książek. Widział zebranych w ich sklepach gentlemanów, pijących kawę i wino, słyszał raz po raz wybuchy śmiechu. Tutaj dyskutowano o teatrze lub o zaletach kompozytorów oper, które miały wkrótce zostać wystawione. Tu można było kupić zagraniczne gazety, rozprawy polityczne, tomiki poezji.

Angelo ciągnął go za sobą. Czasem wędrowali na sam środek placu i Tonio, obracając się dookoła, miał wspaniałe uczucie, że unosi go przesuwający się tłum. Od czasu do czasu zaskakiwał go trzepot skrzydeł podrywających się do lotu gołębi.

Gdyby pomyślał o Mariannie, siedzącej w domu za zasłoniętymi drapowanymi kotarami, rozplakałby się.

Chodzili tak od czterech dni, z których każdy był bardziej zajmujący i ekscytujący niż poprzedni, gdy dostrzegli Alessandra i zdarzył się drobny incydent, który wprawił Tonia w konsternację.

Był zachwycony widokiem Alessandra, a gdy ujrzał, że zmierza on w kierunku sklepu z książkami, dostrzegł w tym szansę dla siebie. Angelo nie mógł go nawet dogonić, więc już po chwili Tonio znalazł się w zapchanym różnościami sklepiku, pośród dymu tytoniowego oraz aromatu kawy, i lekko dotykał rękawą Alessandra, by zwrócić na siebie uwagę.

- O, Wasza Ekscelencja! - objął go szybko Alessandro. - Jak miło was widzieć. Dokąd idziecie?

- Za panem, signore - odparł Tonio, czując nagle, że jest bardzo młody i zabawny. Lecz Alessandro, z gładką uprzejmością natychmiast powiedział, jak wielką przyjemność sprawiła mu kolacja, którą niedawno razem jedli. Wydawało się też, że wokół nich wszyscy zajęci są ożywioną rozmową, Tonio miał więc przyjemne uczucie anonimowości. Ktoś mówił o operze i tym neapolitańskim śpiewaku, Caffarellim. - Najlepszy na świecie - powtarzali. - Nieprawdaż?

Ktoś wyraźnie wymienił nazwisko "Treschi", potem wspomniał je raz jeszcze wraz z imieniem "Carlo".

- Nie przedstawiś nas? - zabrzmiał znów głos tego samego mężczyzny. - To musi być Marc Antonio Treschi.

- Całkiem podobny do Carla - powiedział ktoś inny i Alessandro, odwróciwszy Tonia delikatnie w stronę grupy młodych mężczyzn, zaczął wymieniać ich nazwiska, na które reagowali skinieniem głowy, po czym ktoś spytał Alessandra, czy uważa, że Caffarelli jest najlepszym śpiewakiem w Europie.

Wszystko to wydawało się TONIOWI cudowne. Alessandro obdarzał go uprzejmościami, więc chłopak, w nagłym przypływie wylewności, zaproponował mu kielich wina.

- Z przyjemnością - odparł od razu śpiewak. Wziął dwie londyńskie gazety i szybko za nie zapłacił. - Caffarelli - powiedział przez ramię. - Cóż, dopiero gdy go usłyszę, będę wiedział, czy jest świetny.

- Czy to jakaś nowa opera? Czy ten Caffarelli ma tu przyjechać? - pytał Tonio. Niezmiernie podobało mu się to miejsce, a nawet to, że wszyscy chcieli go poznać.

Lecz Alessandro prowadził go w stronę drzwi. Kilka osób uniosło się ze skinieniem głowy.

Wtedy nastąpiło spotkanie, które zmieniło kolor nieba, wygląd śnieżnobiałych chmur i sprawiło, że cały ten dzień rozbrzmiał tajemnicą.

Jeden z młodych patrycjuszy szedł za nimi pod arkady. Był to wysoki blondyn o włosach przyprószonych siwizną i ciemnej, opalonej skórze, jakby przebywał w jakimś tropikalnym kraju i był z tego powodu wyczerpany. Nie miał na sobie odświętnych szat, a tylko luźne, przybrudzone *tabarro* i wydawał się niemal groźny, czego Tonio, podniósłszy ku niemu wzrok, nie mógł sobie niczym wytłumaczyć.

- Czy ty mógłbyś wybrać kawiarnię? - pytał właśnie Alessandro. Trzeba to było zrobić w odpowiedni sposób. Alessandro onieśmiał Angla. Onieśmiał go też zresztą ostatnio i Tonio. Życie stawało się coraz przyjemniejsze.

Ale nagle ten mężczyzna dotknął ramienia Tonia.

- Nie pamiętasz mnie, prawda, Tonio? - spytał.

- Nie, *signore*. Muszę wyznać, że nie. - Uśmiechnął się. - Proszę wybaczyć.

Ogarnęło go jednak dziwne uczucie. Ten człowiek mówił uprzejmym tonem, ale jego wyblakłe, niebieskie oczy, łzawiące jakby z powodu choroby, były zimne.

- Ciekaw jestem - odezwał się mężczyzna - czy miałeś ostatnio jakieś wiadomości od swego brata Carla?

Tonio długo się w niego wpatrywał. Miał wrażenie, jakby wszystkie dźwięki piązzy zlały się w jeden brzmiący dysonansami szum, a pulsowanie, które czuł w uszach, nagle wszystko zniekształciło. Chciał powiedzieć spieszenie: - Musiał się pan pomylić... - Jednak miał wrażenie, że traci oddech i robi mu się słabo w sposób tak dziwny, iż poczuł zawrót głowy.

- Brata, signore? - spytał.

Carlo. Imię to rozbrzmiewało echem w jego głowie i jeśli umysł może mieć jakiś kształt, to umysł Tonia stał się w tej chwili ogromnym, niekończącym się korytarzem. Od jego ścian odbijał się szept: Carlo, Carlo, Carlo. - Całkiem podobny do Carla - powiedział ktoś przed chwilą, a wydawało się, jakby słowa te zabrzmiały całe lata temu.

- Nie mam brata, signore.

Zdawało się, że minął wiek. Mężczyzna wyprostował się, a jego załzawione oczy zwęziły się z zastanowieniem. Cała postać świadomie i dramatycznie wyrażała oburzenie. Nie był jednak zdziwiony, choć pragnął na takiego wyglądać. Nie, był gorzko usatysfakcjonowany.

Najbardziej zadziwił jednak Tonia Alessandro, który nagłaco mówił, że muszą już iść. - Wybacz pan, Ekscelencjo - powiedział, a uścisk jego dłoni na ramieniu chłopca stał się nieco nieprzyjemny.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz nic o swym bracie? - powiedział mężczyzna z pogardliwym uśmiechem, zniżając głos, co sprawiło, że znów wydawał się groźny.

- Pomylił się pan - rzekł Tonio, albo tylko wydawało mu się, że mówi. Odczuwał wszystkie nieprzyjemne symptomy obezwładniającego bólu głowy, prócz samego bólu, i zaczęło w nim rodzić się jakieś instynktowne poczucie lojalności. Ten człowiek chciał go skrzywdzić. Wiedział o tym. - Moim ojcem jest Andrea Treschi, signore. Nie mam brata. Gdyby raczył się pan przedstawić...

- Przecież znasz mnie, Tonio. Przypomnij sobie. A jeśli chodzi o twego brata, to właśnie niedawno byłem z nim w Stambule. Z niecierpliwością oczekuje na wiadomości o tobie. Pyta, czy jesteś zdrowy, czy wyrosłeś na wysokiego chłopca. Jesteś do niego zadziwiająco podobny.

- Musicie nam wybaczyć, Ekscelencjo - odezwał się niemal grubiańsko Alessandro. Wydawało się, że gdyby mógł, stanąłby między TONIEM a tym człowiekiem.

- Jestem twoim kuzynem, Tonio - odezwał się mężczyzna z tą samą ponurą wzdargą. - Nazywam się Marcello Lisani. I przykro mi, że będę zmuszony powiedzieć Carlowi, że nic o nim nie wiesz.

Zawrócił w stronę sklepu, spoglądając przez ramię na Alessandra. - Te cholerne, nieznośne eunuchy - mruknął.

Tonio wzdrygnął się. Słowa te pełne były takiej pogardy, z jaką mówiło się "flądry" albo "suki".

Alessandro tylko spuścił wzrok. Zamarł w bezruchu, po czym jego usta rozciągnęły się w cierpliwym półuśmiechu. Dotknął ramienia Tonio, wskazując na kawiarnię pod arkadami.

W chwilę potem siedzieli na grubo ciosanych ławach na skraju piazza, ogrzewani promieniami przedzierającego się pod głęboki łuk słońca, a Tonio tylko mgliście zdawał sobie sprawę z tego, że jego marzeniem było pić wino w kawiarni, w której wielcy panowie bratali się z bandytami.

W innej sytuacji poczułby rozkoszny dreszcz na widok zbliżającej się do nich ślicznej dziewczyny. Miała piękne brązowe włosy, przeplatane złotymi kosmykami, które niewypowiedzianie mu się podobały, a jej oczy wydawały się łączyć te same jasne i ciemne odcienie. Tym razem ledwo ją zauważył. Angelo mówił, że ten człowiek był szalony. Angelo najwyraźniej nigdy o nim nie słyszał.

Alessandro zaczął już uprzejmą rozmowę na temat pięknej pogody.

- Znasz ten stary dowcip - mówił do Tonio poufnym tonem, tak swobodnie, jakby ten mężczyzna wcale go nie obraził. - Jeśli będzie brzydka pogoda, a Bucintoro zatonie, doża może spaść wprost do łóżka żony, by wreszcie skonsumować małżeństwo.

- Ale kim był ten człowiek i o czym mówił? - szeptał Angelo. Mamrotał coś o patrycjuszach, ubierających się w nieodpowiednie szaty.

Tonio patrzył wprost przed siebie. Przed oczyma pojawiła mu się śliczna dziewczyna. Szła w jego kierunku, niosąc wino na tacy i żując irysa w tym samym rytmie, w jakim poruszały się jej biodra. Cały czas uśmiechała się ze szczerym zadowoleniem. Kiedy stawiała kielich, pochylała się tak nisko, że pod jej miękko marszczącą się, głęboko wyciętą bluzką zobaczył oba różowe sutki! Rozszalały się w nim namiętności. W innej chwili, innego dnia... wszystko

wydawało się nierealne; jej biodra, wspaniała nagość ramion i te piękne, piękne oczy. Wydawało mu się, że jest w jego wieku, a coś w jej zachowaniu sugerowało, że może - mimo całej swej uwodzicielskości - zacząć chichotać.

- I czemu miałby zmyślać takie bzdury! - mówił dalej Angelo.

- Nie uważasz, że powinniśmy przestać o tym mówić? - rzekł miękko Alessandro.

Rozłożył angielskie gazety i spytał Angela, czy kiedykolwiek pociągała go opera.

- Rozpusta - mruknął Angelo. - Tonio - rzekł, zapominając, jak zawsze, gdy byli sami, zwracać się do niego oficjalnie - nie znasz tego człowieka, prawda?

Tonio wbił wzrok w wino. Chciał się napić, ale nie mógł się ruszyć.

I po raz pierwszy podniósł wzrok na Alessandra. Jego głos zabrzmiał cicho i chłodno, gdy pytał:

- Czy mam brata w Stambule?

Minęła północ. Tonio stał w ogromnym, wilgotnym wnętrzu Wielkiego Salonu, a ponieważ zamknął drzwi, którymi wszedł, nic nie widział. W oddali dzwony kościelne wybiły pełną godzinę. Trzymał w dłoni dużą zapalną siarkową i świecę.

Jednak czekał. Na co? Żeby ucichły dzwony? Nie był pewien.

Cały wieczór był dla niego cierpieniem, aż do tego momentu.

Większości z tego, co się zdarzyło, nie mógł sobie nawet przypomnieć. W pamięci utkwiły mu tylko dwie, zupełnie ze sobą nie związane rzeczy:

Po pierwsze to, że gdy wstawał, dziewczyna z kawiarni otarła się o niego i szepnęła ochoczo: - Proszę o mnie pamiętać, Wasza Ekscelencjo. Mam na imię Bettina. - Przenikliwy śmiech, ładny śmiech. Dziewczęcy, zakłopotany i całkowicie szczery. Miał ochotę ją podszczypnąć i ucałować.

Po drugie, Alessandro nie odpowiedział na jego pytanie. Alessandro nie powiedział, że to nieprawda! Alessandro tylko odwrócił wzrok.

A jeśli chodzi o mężczyznę, którego Angelo zlekceważył, kilkanaście razy nazywając go niebezpiecznym młodym szaleńcem, to rzeczywiście był on kuzynem Tonia. Pamiętał go. Niemożliwe, by on właśnie popełnił taki błąd!

Ale co przede wszystkim tak go niepokoiło? Czyżby złudne, mroczne uczucie, że i on coś sobie przypomina? Carlo. Słyszał już przedtem to imię. Carlo! Ktoś wypowiadający dokładnie te same słowa: "Całkiem podobny do Carla". Ale czyj to był głos, skąd dobiegał i jak on sam mógł dożyć czternastu lat, nie wiedząc, że ma brata? Czemu nikt mu o tym nie powiedział? Czemu nawet jego nauczyciele o tym nie wiedzieli?

Ale Alessandro wiedział.

Alessandro wiedział, inni też wiedzieli. Ludzie ze sklepu z książkami wiedzieli!

Może nawet Lena. Może dlatego tak się nagle rozzłościła, gdy ją o to zapytał.

Miał zamiar zrobić to podstępnie. Powiedział, że przyszedł tylko zobaczyć się z matką. Marianna wyglądała jak śmierć. Delikatna skóra pod jej oczami przybrała niebieski odcień, a twarz powlekała przerażająca bladość. A potem Lena kazała mu odejść i powiedziała, że później spróbuje na chwilę postawić panią na nogi. A co on rzekł? W jakie ubrał to słowa? Czuł się tak poniżony, tak głęboko nieszczęśliwy. - Jeden z nas... słyszał... imię Carlo.

- Mieszkały tu setki Treschich, nim zaczęłam służyć. - Byłaby to całkiem zwyczajna odpowiedź, gdyby Lena nie poszła za nim. - I nie denerwuj matki, wypytując o nich - powiedziała, mając oczywiście na myśli tych, którzy już nie żyli. Matka nigdy nie patrzyła na ich portrety. - I nie zadawaj głupich pytań nikomu innemu.

To był jej największy błąd. Wiedziała. Na pewno wiedziała.

Teraz wszyscy byli już w łóżkach. Dom, jak zawsze o tej porze, należał do niego i tylko do niego. W ciemności czuł się niewidzialny i lekki. Nie chciał zapalać świecy. Ledwie mógł znieść echo swych najcichszych kroków.

Przez długą chwilę stał nieruchomo, próbując sobie wyobrazić, co by było, gdyby ściągnął na siebie gniew ojca. Ojciec nigdy jeszcze nie był na niego zły. Nigdy.

Nie mógł wytrzymać tego nawet chwili dłużej. Krzywiąc się na dźwięk zapalanej zapalki, stał bez tchu, patrząc jak płomień świecy rośnie i blade światło zalewa całą ogromną komnatę. Była tak rozległa, że w rogach czaiły się jeszcze resztki mrocznych cieni. Ale widać było obrazy.

Od razu ruszył, by się im dokładnie przyjrzeć.

Jego brat Leonardo, tak, i Giambattista w mundurze, tak, i Philippo ze swą młodą żoną Theresą. Znał ich wszystkich, teraz jednak spojrzął znów na twarz, której szukał. Podobieństwo było przerażające.

“Całkiem podobny do Carla...”. Słowa te rozbrzmiewały mu hałaśliwie w uszach. Przysunął świecę do płótna i przesunął nią, póki nie zniknęły denerwujące refleksy. Młodzieniec miał takie same gęste, czarne włosy jak on, to samo wysokie, szerokie i całkowicie płaskie czoło, nieco zbyt szerokie usta, te same wystające kości policzkowe. Spośród wszystkich podobnych mężczyzn wyróżniały go oczy osadzone tak daleko od siebie, jak oczy Tonia. Były duże i czarne, patrząc w nie, miało się wrażenie płynięcia. Oczywiście Tonio nigdy o tym nie wiedział, ale inni odczuwali to samo, patrząc na niego. Teraz zdał sobie z tego sprawę, wpatrując się w małą replikę samego siebie, zagubioną pośród tuzina podobnych, ubranych na czarno i patrzących na niego łagodnie mężczyzn.

- Ale kimże jesteś? - szepnął. Spoglądał na wszystkie twarze po kolei; byli tu kuzyni, których nie znał. - To niczego nie dowodzi. - Nie mógł jednak nie zauważyć, że jego dziwny sobowtór stoi tuż przy Andrei. Właściwie między nim a Leonardem, a ręka Andrei spoczywa na jego ramieniu!

- Nie, niemożliwe - szepnął. Był to jednak dowód, którego szukał. Poszedł do innych obrazów. Była tu Chiara, pierwsza żona Andrei, a mały "Tonio" siedział wraz z braćmi u jej stóp.

Dowodów było jednak więcej.

Zdał sobie z tego sprawę, kiedy stał tam jak przykuty do jednego miejsca. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające tylko matkę i ojca z synami; żadnych kuzynów, żadnych obcych.

Najszybciej i najciszej jak mógł otworzył drzwi do jadalni.

Tuż za stołem wisiało duże płótno rodzinne, które zawsze go dręczyło. Nawet z miejsca, w którym stał, mógł dojrzeć, że nie było na nim Carla, i zrobiło mu się słabo. Nie wiedział, czy powodem tego była ulga czy zawód, bo być może nie miał jeszcze podstaw, by czuć jedno czy drugie.

Coś jednak zastanowiło go w tym obrazie. Po jednej stronie stojącego Andrei i siedzącej postaci jego zmarłej żony byli Leonardo i Giambattista. Po drugiej stał tylko Philippo.

- To przecież normalne - szepnął. - W końcu było tylko trzech braci; cóż można by zrobić, jeśli nie postawić dwóch po jednej stronie... - Ale rozmieszczenie postaci wydawało się dziwne. Philippo nie stał tuż za ojcem. Obok niego była mroczna otchłań, w którą niezgrabnie spływała szata Andrei, powodując, że lewa część postaci wydawała się szersza niż prawa.

- To niemożliwe. Nieprawdopodobne - szepnął Tonio. Jednak im bliżej podchodził, tym silniejsze stawało się wrażenie asymetrii.

Lewa część szaty Andrei miała inny kolor! Zaś ciemność między jego ramieniem, a ręką Philippa była jakby niejednolita.

Ostrożnie, niemalże niechętnie Tonio uniósł świecę i wspiął się na palce, by spojrzeć wprost na obraz.

Przez czerń bez wątpienia prześwitywała, jakby zerkając przez zasłonę, postać młodzieńca, który wyglądał dokładnie tak jak on.

Niemalże krzyknął. Drżenie nóg zmusiło go do przykucnięcia, musiał się nawet oprzeć o ścianę palcami lewej dłoni. Potem znów zmrużył oczy i dojrzał postać przezierającą przez farbę, jak często zdarza się w obrazach olejnych, które zamalowano. Przez całe lata nic nie widać. Potem sylwetka, wyglądająca niemalże jak upiór, zaczyna ukazywać się na powierzchni.

Tak stało się i w tym przypadku. Oto pojawił się młodzieniec z sympatyczną twarzą, a w mrocznym świetle, który zamieszkiwał, ojciec obejmował go ramieniem.

Kiedy nazajutrz po południu wrócił do domu, okazało się, że pytała o niego matka.

- Obudziła się, kiedy cię nie było - szeptała mu Lena tuż przy drzwiach. - Wpadła w furję. Tłukła flakoniki z perfumami, rzucała różnymi przedmiotami. We mnie. Chciała, żebyś był tu z nią, a ty spacerowałeś sobie po piazzie.

Słuchał jej, niemalże nie rozumiejąc, co mówi, niezdolny się tym przejąć.

Dopiero co widział się na piazzie z Alessandrem, który szybko, czule wymówił się i odszedł, nim Tonio zdążył zacząć ponownie go wypytywać.

A Tonio nie wiedział, czy zaryzykowałby jeszcze raz zadanie tego pytania, nawet gdyby miał po temu okazję.

Prześladowała go jedna myśl: jego brat żyje. Jest teraz w Stambule, żywy. I cokolwiek spowodowało, że został wygnany z domu, musiała być to rzecz tak okropna, iż jego obraz i nazwisko zostały wyklęte. Nie jestem ostatnim z rodu. On tam jest; dzieli tę odpowiedzialność ze mną. Ale dlaczego się nie ożenił? Cóż za okropną zbrodnię musiał popełnić, że ród Treschich zmuszony był czekać na niemowlę?

- Idź, porozmawiaj z nią. Dzisiaj czuje się lepiej - powiedziała Lena. - Mów do niej, spróbuj nakłonić, żeby się nie kładła, żeby się wykapała i ubrała.

- Tak, tak - mruknął. - Dobrze, za chwilę.

- Nie, Tonio. Idź do niej teraz.

- Daj mi spokój, Leno - rzekł półgłosem. Po czym spostrzegł, że wpatruje się w otwarte drzwi, w pokój otulony draperiami cieni.

- Dobrze... zaczekaj - szepnęła nagle Lena.

- O co tym razem chodzi? - chciał wiedzieć Tonio.

- Nie pytaj jej o tego... tego, o którym wspominałeś wczoraj, słyszysz?

Zupełnie jakby czytała w jego myślach. Przez dłuższą chwilę nie odrywał od niej oczu. Wpatrywał się w jej prostą, pomarszczoną twarz, którą wiek wyprał z kolorów. Patrzył w jej małe oczy bez wyrazu, w których nie było otwartości, jaką zauważał w oczach Beppa. Wręcz przeciwnie: wydawały się zimne i twarde jak zaokrąglone kamyki.

Zaczęło go ogarniać dziwaczne uczucie. Towarzyszyło mu już właściwie od dwóch dni, ale teraz znacznie przybierało na sile. Związane było ze strachem, z tajemnicami, z niewyraźnym

dziecięcym przeczuciem spraw, o których nie wspomina się w domu, z wolno narastającą świadomością, że matka jest tak młoda, a ojciec tak stary, z przeświadczeniem, że Marianna jest nieszczęśliwa. Nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć. Bał się, naprawdę bał się, że wszystkie te sprawy mogą być jakoś powiązane. A może najstraszniejszy był fakt, iż nie istniał między nimi żaden związek, że wszystko, co działo się w tym domu, to po prostu życie. Może tak wyglądał ludzki żywot, może wszyscy czuli się samotni i od czasu do czasu obawiali się rzeczy nienazwanych, a za oknem widzieli innych, zaplątanych w iluzję trosk i szaleńczych zajęć.

Ale dla każdego z nas życie jest tym ciemnym domem.

Nie powiedział sobie tego wyraźnie. Czuł to. Czuł, że wzbiera w nim zniecierpliwienie i gniew na matkę. Nie potrafił sobie sama poradzić. Tłucze różne przedmioty. Miota się po swej komnacie.

Cóż, on musi sobie radzić. Musi znaleźć odpowiedź. Jakieś proste wyjaśnienie tego, że przez całe życie myślał, iż nie ma brata. Obcował z duchami, podczas gdy w Stambule żył ten uciekinier.

- Co ci jest? - szepnęła Lena. - Czemu tak na mnie patrzysz?

- Idź już. Chcę zostać z matką.

- Doprowadź ją do porządku, ubierz ją - naciskała. - Jeśli tego nie zrobisz, Tonio, to nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się nie wpuszczać tu twego ojca. Był dzisiaj przy drzwiach komnaty. Jest zmęczony moimi wymówkami. Ale jakże mogę pozwolić, żeby ją zobaczył w takim stanie!

- Czemu by nie?! - powiedział Tonio z nagłym gniewem.

- Nie wiesz, co mówisz, biedne dziecko - odparła. A kiedy wkroczył do sypialni, zamknęła za nim drzwi.

* * *

Marianna siedziała przy klawikordzie. Wspierała się na łokciu, tuż obok stał kielich wina i butelka, a drugą ręką wygrywała szybkie, dźwięczne nuty.

Kotary zasłaniały popołudniową jasność, a światła dostarczały trzy świece.

Trzy cienie matki tańczyły na podłodze i klawiaturze, trzy przejrzyste zasłony ciemności przesuwwały się godnie, gdy się poruszała.

- Kochasz mnie? - spytała.

- Tak - odparł.

- To czemu wyszedłeś? Czemu mnie zostawiłeś?

- Wezmę cię ze sobą. Od dzisiaj będziemy wychodzić na spacer każdego popołudnia.

- Spacerować? - szepnęła. Jeszcze raz zagrała te same nuty. - Powinieneś był mi powiedzieć, że wychodzisz.

- Nie usłyszałybyś...

- Nie mów takich wstrętnych rzeczy! - krzyknęła.

Usiadł obok na wykładanej miękko ławeczce. Jej ciało wydało mu się zimne. Czuć było od niej stęchlizną, zapachem tak niepotrzebnym, tak sprzecznym z pięknem jej woskowej twarzy. Miała wyszczotkowane włosy. Przywodziły mu na myśl przytulającego się do niej wielkiego, czarnego kota.

- Pamiętasz tę arię? - szepnęła. - Tę z Gryzeldy? Zaśpiewasz mi ją?

- Możemy śpiewać razem...

- Nie, nie teraz - odparła. Wiedział, że ma rację. Pod wpływem wina głos całkowicie wymykał jej się spod kontroli.

Znał tę pieśń na pamięć i zaczął nucić półgłosem, jakby była przeznaczona tylko dla jej uszu. Czuł, jak się o niego opiera. Jęknęła cichutko, tak jak to robiła w czasie snu.

- Mamo - powiedział nagle. Przestał grać. Odwróciwszy się, objął ją i spojrzał na jej niewyraźny profil. Przez chwilę rozpraszał go potrójny cień, który leżał tuż przy niej na podłodze. - Mamo, muszę cię prosić, żebyś wysłuchała pewnej historii i powiedziała mi, co o niej wiesz.

- Jeśli są w niej wróżki, duchy i czarownice, to może mi się spodoba - odparła.

- Być może są - rzekł.

Wciąż odwracała wzrok, a Tonio opowiadał jej dokładnie o Marcello Lisanim, jego słowach i swych własnych poszukiwaniach obrazu.

Opisał dokładnie portret w jadalni i upiorną sylwetkę, która wyłaniała się spod farby.

Mówił, a ona bardzo wolno odwracała w jego stronę twarz. Początkowo nie zauważył w tym nic dziwnego, prócz faktu, że naprawdę go słuchała.

Stopniowo oblicze Marianny zaczęło się zmieniać. Wydawało się, że z jej twarzy opadła, odmieniając ją w nieokreślony sposób, ciężka zasłona znużenia i słabnącego zamroczenia alkoholem.

W ostrości, jakiej nabrała jej twarz, kiedy go słuchała, w jej głębokiej fascynacji było coś nienormalnego.

Zaczął się bać.

Zamilkł. Patrzył na nią, nie wierząc własnym oczom, i czuł, że matka staje się innym człowiekiem.

Zmiana ta zaszła subtelnie, powoli, ale była całkowita, co na długą chwilę odebrało mu głos.

Ujrzał ją całą: koronkowy szlafrok, nagie stopy, kanciastą twarz o skośnych, bizantyjskich oczach i małe, bezbarwne usta, które drżały teraz jak całe jej ciało.

- Mamo? - szepnął.

Dotknęła jego nadgarstka gorącą dłonią.

- W tym domu są jego portrety? - spytała. Na jej twarzy nie malował się żaden wyraz. Wyglądała dzięki temu młodo, dziwnie niewinnie, jakby ta sprawa całkowicie ją pochłaniała. - Gdzie?

Kiedy tylko się podniósł, ona też natychmiast wstała. Wyciągnęła swą żółtą narzutkę i stała obok czekając, aż Tonio wyjmie świecę z lichtarza, po czym pospieszyła za nim.

- Gdzie? - pytała. Otworzył drzwi i wskazał na wielki portret rodzinny.

Wpatrzyła się w niego, a potem zdeorientowana spojrzała na Tonia.

- Pokażę ci - zapewnił ją szybko. - Kiedy spojrzysz się z bliska, niezwykle wyraźnie można dostrzec jego postać. Chodź. - Podprowadził ją do obrazu.

Świeca okazała się niepotrzebna. Przez gotyckie okna dzielone słupkami wpływało popołudniowe światło, a oparcia krzesel były ciepłe w dotyku.

Podprowadził ją pod obraz i powiedział: - Patrz, patrz przez czerń.

Potem podniósł ją, zdziwiony, że jest tak lekka i że jej ciałem wstrząsają niewidoczne dreszcze. Zawieszona w powietrzu, położyła dłoń na obrazie, zaciskając palce na ukrytym kształcie, i natychmiast go dojrzała. Czuł jej zdziwienie, z którym wolno chłonęła wszystkie szczegóły, jakby ta wynurzająca się z mroku postać naprawdę wychodziła z ram.

Marianna wydała najpierw cichy, potem głośniejszy, szybko zdławiony jęk. Zacisnęła usta i wykonała nagle tak gwałtowny ruch, że Tonio postawił ją na podłogę. Zatoczyła się w tył.

Znów jęknęła, rozszerzając oczy.

- Mamo? - Nagle zaczął jej się bać. Powoli zdał sobie sprawę, że twarz Marianny przeobraziła się w tę doskonałą maskę wściekłości, którą tyle razy widywał w dzieciństwie.

Uniósł ręce, nim zdążył sobie zdać sprawę, że powinien to zrobić, mimo to pięść matki trafiła go prosto w policzek. Niespodziewany ból nagle go rozwścieczył.

- Przestań! - krzyknął. Uderzyła jeszcze raz, dosięgła go jej lewa ręka. Marianna raz po raz wydawała ciche jęki przez ściśnięte zęby.

- Przestań, mamo, przestań! - krzyczał, chroniąc twarz skrzyżowanymi dłońmi. Narastała w nim wściekłość. - Nie będę tego znosił. Przestań.

Ale ciągle dosięgały go ciosy, a Marianna krzyczała. Nigdy jeszcze tak jej nie nienawidził.

Kiedy chwycił ją za nadgarstek, odpychając od siebie, zaczęła okrutnie ciągnąć go lewą ręką za włosy. - Nie rób tak! - krzyczał. - Nie rób!

Objął ją, przycisnął do piersi, jakby chciał zmiażdżyć, i trzymał tak, bezbronną. Łkała; przedtem podrapała go do krwi. Poczul palący wstyd zauważywszy, że ktoś otwiera drzwi do Wielkiego Salonu.

Nim Marianna zdążyła się zorientować, co się dzieje, Tonio ujrzał już swego ojca wraz z sekretarzem, signore Lemmo, który wycofał się i zniknął.

A kiedy znów uderzyła Tonia i zaczęła na niego krzyczeć, Andrea podszedł bliżej.

Musiała najpierw dojrzeć jego szatę, tę wielką kolorową plamę, i od razu osłabła, zwiotczała. Andrea wziął ją w ramiona; rozłożył ręce i powoli ją objął.

Tonio obserwował to bezradnie, z płonąca twarzą. Nigdy przedtem nie widział jeszcze, jak ojciec obejmuje matkę. Marianna nie odwzajemniała jego uścisku, jakby nie chciała zbrukać szat. Histerycznie płacząc, pragnęła ukryć się we własnych ramionach.

- Moje dzieci - szepnął Andrea. Łagodnymi, piwnymi oczami oglądał jej luźny szlafrok, bosc stopy, po czym powoli, ze smutkiem spojrzął na syna.

- Chcę umrzeć. - Wstrząsnął nią dreszcz. - Chcę umrzeć... - Głos wydobywał się z głębi jej gardła. Andrea delikatnie dotknął jej włosów dłonią. Potem rozsunął białe palce, położył na głowie Marianny i przycisnął ją do piersi.

Tonio otarł łzy grzbietem dłoni. Podniósł głowę i cicho powiedział:

- To moja wina, ojcze.

- Ekscelencjo, pozwólcie mi umrzeć - szepnęła.

- Odejdź, synu - odrzekł delikatnie Andrea. Jednak skinieniem dał Toniowi znak, by do niego podszedł, i mocno ścisnął jego dłonie. Miał zimne, suche ręce, ale ich uścisk był niewypowiedzianie czuły. - Odejdź i zostaw mnie z matką.

Tonio stał nieruchomo. Wpatrywał się w nią, w szczupłą, wstrząsaną łkaniem plecy, lśniąca falę włosów spływającą na ramię ojca. Błagał Andreę milczeniem.

- Idź, synu - powtórzył ojciec z niezwykłą cierpliwością. Nim puścił rękę Tonia, ścisnął ją delikatnie swymi miękkimi, suchymi palcami, jakby chciał dodać mu otuchy, i wskazał na otwarte drzwi.

Gdyby Guido był normalnym chłopcem, w tym właśnie okresie życia jego głos zmieniłby się, z chłopięcego sopranu stałby się niższym tenorem lub basem. Dla eunuchów był to zawsze niebezpieczny okres. Nie wiadomo czemu, ciało jakby starało się dokonać cudu, którego nie jest już w stanie wyczarować. Próżny wysiłek zagraża głosowi, więc wielu nauczycieli śpiewu nie pozwala kastratom używać go przez te miesiące. Jest nadzieja, że dzięki temu szybciej się zregeneruje.

I na ogół tak się dzieje.

Ale czasem eunuch traci głos.

I właśnie Guidowi przydarzyła się ta tragedia.

Minęło pół roku, nim ktokolwiek mógł być tego pewien. Dla Guida były to miesiące niewypowiedzianych cierpień. Raz po raz był w stanie wydobyć z siebie tylko zachryple, kalekie dźwięki. Jego mistrzowie byli w rozpacz. Gino i Alfredo nie mogli spojrzeć mu w oczy. Nawet ci, którzy mu zazdrościli, zamarli z przerażenia.

Ale rzecz jasna nikt, nawet Maestro Cavalla, który szkolił Guida, nie odczuł tej straty tak jak on.

Pewnego popołudnia, zebrawszy wszystkie pieniądze z uroczystości i kolacji, na których śpiewał, złoto, którego nie miał czasu roztrwonić, zarzuciwszy na plecy węzełek z ubraniami, Guido zniknął bez słowa.

Szedł bez przewodnika. Nie miał mapy. Od czasu do czasu pytał kogoś o drogę w czasie swej dziesięciodniowej podróży po stromych, zakurzonych drogach wiodących w głąb Kalabrii.

W końcu dotarł do wioski Caracena. Wyruszył stamtąd o świcie, w zakiecie ubrudzonym słomą, na której spał w karczmie. Wspiąwszy się na wzniesienie, ujrzał dom, w którym się urodził. Był w dokładnie takim samym stanie, jak dwanaście lat przedtem, gdy go opuszczał.

Przy ogniu stała przysadzista, krępa kobieta o zapadniętych z braku zębów okrągłych policzkach i zamglonych oczach. Jej skóra błyszczała od tłuszczu, którego używała do gotowania. Przez chwilę nie był pewien. Potem dokładnie ją poznał.

- Guido - szepnęła.

Ale bała się go dotknąć. I schyliwszy się nisko, wytarła miejsce, gdzie miał usiąść.

Weszli jego bracia. Mijały godziny. W kącie tłoczyły się brudne dzieci. W końcu pojawił się ojciec, tak samo niezgrabny jak zawsze, i stanął nad nim, by podać obiema dłońmi prosty kielich pełen wina. Matka położyła przed nim obfitą kolację.

Wszyscy wpatrywali się w jego luksusowy żakiet, skórzane buty i szablę w srebrnej pochwie, którą nosił u boku.

Guido siedział, patrząc w ogień, jakby nikogo wokół nie było.

Od czasu do czasu jego oczy przesuwwały się, jak za pociągnięciem sznurka.

Spoglądał na tę grupę krzepkich mężczyzn o czarnych dłoniach porośniętych włosami, pokrytych brudem, mężczyzn ubranych w baranie kozuchy, w niewyprawione skóry.

- Co ja tu robię? Po co przyszedłem? Podniósł się do wyjścia.

- Guido - powiedziała znów matka. Szybko wytarłszy dłonie podeszła, jakby chciała dotknąć jego twarzy. Dopiero po raz drugi ktoś się tu do niego odezwał.

Coś uderzyło go w jej głosie. Brzmiał w nim ten sam ton, co w słowach młodego maestra w ciemnej sali ćwiczeń; ten sam, co w słowach człowieka, który trzymał mu głowę w czasie kastracji.

Wbił w nią wzrok. Zaczął przeszukiwać kieszenie. Wyjął prezenty, które dostał za wszystkie koncerty. Broszę, złoty zegarek, tabakierki wykładane perłami, a w końcu złote monety, które rozdał całej rodzinie. Ich ręce wydawały się takie suche, zupełnie jak glina zaschnięta na skale! Matka płakała.

O zmroku był już z powrotem w karczmie w Caracenie.

Kiedy tylko Guido dotarł do kipiącego życiem centrum Neapolu, sprzedał pistolet. Dostał za niego tyle, że starczyło na wynajęcie pokoju nad tawerną. Zamówił butelkę wina i podciął sobie żyły, a gdy z nadgarstków płynęła krew, siedział pijąc alkohol, póki nie stracił przytomności.

Ale znaleziono go, nim umarł. Zaniesiono do konserwatorium. Tam obudził się we własnym łóżku z owiniętymi opatrunkiem rękoma i ujrzał płaczącego nad nim Maestra Cavallę, swego nauczyciela.

Co się działo? Co naprawdę się zmieniało? Tonio przez tak długi czas żył z przerażającym przekonaniem, iż nic nigdy nie ulegnie zmianie, że nie mógł się teraz odnaleźć.

Ojciec od dwóch dni przychodził co jakiś czas do pokoju matki. Odwiedził ją lekarz. A każdego ranka Angelo zamykał drzwi do biblioteki i mówił: - Ucz się. - Nie wychodzili już na piazzę. Był też pewien, że w nocy słyszał płacz Marianny. Alessandro przebywał w pałacu. Tonio widział go przez moment. Z pewnością słyszał też głos swej kuzynki, Catriny Lisani. Przychodzili, wychodzili, a jednak ojciec nie posłał po niego. Nie zażądał wyjaśnień. A kiedy Tonio podchodził do drzwi matki, nie wpuszczano go, jak kiedyś nie wpuszczano ojca. Potem Angelo zabierał go z powrotem do biblioteki.

Później przysłała wiadomość, że Andrea potknął się na nabrzeżu, wchodząc do gondoli. Nigdy jeszcze nie opuścił obrad Senatu lub Wielkiej Rady, a tego ranka upadł i, chociaż było to tylko zwichnięcie, nie mógł iść za dożą w czasie Senzy.

Tonio zastanawiał się, czemu o tym mówią, skoro Andrea był niezniszczalny i potężny jak sama Wenecja? Nie mógł myśleć o nikim prócz Marianny.

Najgorsze było to, że podczas godzin oczekiwania przepełniała go niezaprzeczalna radość. Powróciło uczucie, że coś musi się zdarzyć! A kiedy pomyślał o tym, jak krzyczała i biła go w jadalni, czuł się jak zdrajca!

Chciał, żeby została przyłapana. Żeby ojciec pojął źródło jej choroby. Niech odbierze jej wino, każe jej przestać pić, wyciągnie z ciemności, w której marniała jak śpiąca księżniczka z francuskiej bajki.

Ale przecież nie po to zaprowadził ją do jadalni! Nie miał zamiaru jej zdradzić. Czemu nikt się na niego nie złościł? Po co ją tam wziął? Nie mógł znieść myśli, że jest teraz z lekarzami, z kuzynkami, które nie są jej prawdziwą rodziną. Twarz mu płonęła. Miał łzy w oczach. To było najgorsze.

Gdzieś w głębi, poza jego zasięgiem, tkwiła tajemnica wyjaśniająca, czemu tak się zmieniła, krzyczała, biła go. Kim był tajemniczy brat ze Stambułu?

Druga noc po tym zdarzeniu przyniosła odpowiedź na wszystkie jego pytania.

Nie miał o tym pojęcia, gdy jadł samotnie kolację w swoim pokoju. Śliczne niebo koloru głębokiego błękitu rozświetlał księżyc, wiała wiosenna bryza i zdawało się, że nad całym

kanalem rozlegają się pieśni wioślarzy. Podchwytywali jeden po drugim fragmenty melodii; brzmiały głębokie basy, wysokie tenory, a gdzieś z daleka dochodziły dźwięki skrzypiec i fletów ulicznych śpiewaków.

Kiedy leżał w odzieniu na łóżku, zbyt zmęczony, by zadzwonić na służącego, wydawało mu się, że usłyszał w labiryncie domu śpiew matki. Zdecydował, że to głupia myśl i wtedy do jego uszu doszedł wysoki i wyjątkowo potężny sopran Alessandra.

Kiedy zamknął oczy i wstrzymał oddech, zdołał usłyszeć gwałtowne dźwięki klawikordu.

Właśnie gdy wydało mu się to wszystko realne, rozległo się pukanie do drzwi i stary sługa ojca, Giuseppe, kazał mu podążać za sobą. Ojciec pragnął go widzieć.

Od razu dojrzał go wśród zebranych. Andrea leżał w łóżku wsparty na poduszkach. Miał królewski wygląd. Był ubrany w ciemnozielony aksamitny szlafrok, przypominający krojem patrycjuszowskie szaty.

Wydawał się jednak słaby, odległy.

Pozostali znajdowali się w pewnej odległości od niego, a kiedy Tonio wszedł, matka wstała od klawikordu. Miała na sobie różową jedwabną sukienkę, jej talia była przerażająco szczupła, a twarz pokrywała bladość. Wróciła już jednak do siebie i żywe oczy zdradzały, że zna jakiś wspaniały sekret. Dotknęła jego policzka ciepłymi ustami; wydawało się, że chciałaby mówić, ale wiedziała, iż musi poczekać.

Stała bardzo blisko Tonia, gdy ten schylił się, by pocałować rękę ojca.

- Usiądź tu, synu - odezwał się Andrea, po czym od razu zaczął opowiadać, a jego głos miał w sobie coś z beczasowości tak charakterystycznej dla tej żywej twarzy. Dzięki temu wiek ojca wydawał się po prostu drobną niesprawiedliwością losu.

- Ci, którzy kochają prawdę bardziej niż mnie, nieraz powtarzali, że nie należę do tej epoki.

- Jeśli to prawda, to nasza epoka jest stracona, signore - odparł natychmiast Lemmo.

- Pochlebstwo i bzdura - powiedział Andrea. - Obawiam się jednak, że to prawda. Nasza epoka rzeczywiście jest stracona, ale nie ma między tymi faktami żadnego związku. Jak zacząłem mówić, nim mój sekretarz pospieszył z niepotrzebnymi słowami otuchy, nie jestem z tych czasów i nie poddawałem się im.

Nie będę cię jednak zanudzał litaniami mych błędów, gdyż uważam, że okazałaby się ona daleko bardziej nużąca niż pouczająca. Doszedłem do wniosku, że twoja matka, a ty z nią,

musicie zobaczyć więcej świata. Alessandro, który od dawna pragnął opuścić kaplicę doży, zgodził się zamieszkać z nami. Od dzisiaj, synu, będzie ci udzielał lekcji muzyki, jako że masz duży talent, a perfekcja osiągnięta w tej sferze może nauczyć się wiele o pozostałych dziedzinach życia, jeśli tylko będziesz tego chciał. Alessandro będzie też jednak towarzyszył twojej matce poza domem i chciałbym, byś ty na ten czas także oderwał się od nauki i wychodził z nimi. Matka jest aż blada od samotniczego życia; nie pozwól, aby była wciąż tak niepoprawnie nieśmiała. Musisz przypilnować, by w tym roku cieszyła się karnawalem i chodziła do opery. Dopilnuj, aby przyjmowała zaproszenia, które wkrótce zacznie dostawać i żeby pozwoliła Alessandrowi zabierać was wszędzie, gdzie zechce.

Tonio zerknął na Mariannę. Nie mógł się oprzeć. Dostrzegł jej niepowstrzymaną radość. Alessandro z podziwem patrzył na Andreę.

- Zaczyna się dla ciebie nowe życie - stwierdził ojciec. - Ufam, że z niejaką radością dostosujesz się do jego wymagań. Zaczynasz pojutrze: udasz się na Senzę. Ja nie mogę iść. Ty będziesz reprezentował rodzinę.

Tonio usiłował ukryć ekscytację. Starał się nie wyglądać na zbyt uradowanego, ale jego usta same rozciągały się w uśmiechu, mimo że je przygryzał i nisko schylał głowę, szepcząc pełne szacunku słowa zgody.

Kiedy uniósł wzrok, ojciec się uśmiechał. Przez chwilę wydawało się, że Andrea z zadowoleniem patrzy na pokój i znajdujących się w nim ludzi z jakiegoś specjalnego punktu obserwacyjnego. A może tylko zagłębił się we wspomnieniach. Potem radość powoli zniknęła z jego twarzy i ojciec Tonia z pewną rezygnacją dał zebrany znak, by odeszli.

- Muszę zostać sam na sam z synem - powiedział, ujmując dłoń Alessandra. - Nim go stąd wypuszczę, z pewnością zrobi się późno. Musisz mu więc rankiem pozwolić się wyspać. Ach, i jeszcze coś, żebym nie zapomniał. Pomyśl o ważnych pytaniach, które mógłbyś zadać jego stałym nauczycielom. Niech poczują się potrzebni; zapewnij ich, nie mówiąc o tym otwarcie, że nie zostaną zwolnieni.

W uśmiechu Alessandra, w skinięciu, którym bez najmniejszego zdziwienia odpowiedział na tę prośbę, był jakiś spokojny wdzięk.

- Zabierz świece do mojego gabinetu - powiedział Andrea do sekretarza.

Z trudnością podniósł się z łóżka. Drzwi były pozamykane, pokoje prawie puste.

- Ekscelencjo, proszę, zostańcie tutaj - odezwał się signore Lemmo.

- Odejdź - odparł Andrea z uśmiechem. - A kiedy umrę, nie mów nikomu, jaki byłem na ciebie zły.

- Wasza Ekszelencjo!

- Dobranoc - powiedział Andrea. Signore Lemmo wyszedł.

Andrea ruszył w kierunku otwartych drzwi, ale Toniowi dał ręką znak, że ma zaczekać. Chłopiec patrzył, jak wchodzi do dużego, prostokątnego pokoju, którego on sam nigdy jeszcze nie widział. Tego, w którym stał, też zresztą przedtem nie odwiedzał, ale ten drugi fascynował go o wiele bardziej. Między wychodzącymi na kanał oknami o wielu szybach od podłogi do sufitu umocowane były półki pełne książek. Na ścianach dostrzegł mapy przedstawiające ogromne ziemie weneckiego imperium. Jednak nawet z miejsca, w którym stał, widział, że jest to Wenecja z dawnych czasów. Czyż nie stracono wielu z tych posiadłości? Lecz na tej ścianie Wenecja Eugenejska była wciąż potężnym mocarstwem.

Zorientował się, że ojciec stoi za progiem i spogląda na niego, niemalże zagubiony we własnych myślach.

Tonio ruszył przed siebie.

- Nie, czekaj - powstrzymał go Andrea. Jego szept był tak cichy, jakby mówił sam do siebie. - Nie spiesz się, by tu wkroczyć. Teraz wciąż jeszcze jesteś chłopcem. Kiedy opuścisz ten pokój, musisz być przygotowany do objęcia roli pana domu, gdy ja odejdę. Pomyśl jeszcze przez chwilę o złudach, w które wierzysz. Delektuj się swą niewinnością. Można ją docenić, dopiero gdy się ją straci. Przyjdź, gdy będziesz gotów.

Tonio milczał. Spuścił oczy i świadomie podporządkował się temu rozkazowi, przebiegając myślami całe swe życie. W wyobraźni stał w archiwum piętro niżej; słyszał szczury, ruch w wodzie. Sam dom, zakotwiczony od dwóch wieków w rozciągającym się pod nim bagnie, wydawał się poruszać. Kiedy podniósł wzrok, odezwał się szybko, cicho: - Ojczy, pozwól mi wejść.

Andrea przywołał go skinieniem dłoni.

Minęło dziesięć godzin, nim Tonio ponownie otworzył drzwi gabinetu ojca. Szedł przez Wielki Salon, w kierunku drzwi wejściowych pałacu, otoczony sączącym się zewsząd czystym, porannym blaskiem słońca.

Andrea kazał mu wyjść i stanąć samotnie na piazzy, by obejrzeć codzienne widowisko spieszących po Broglio wielkich mężów stanu. Tonio pragnął tego teraz bardziej niż czegokolwiek innego. Miał wrażenie, że otacza go błoga cisza, której żaden obcy nie może zakłócić.

Zszedłszy na małą przystań przed domem, pozdrowił przepływającego obok gondoliera i ruszył na piazzettę.

Nazajutrz miała zacząć się Senza, tłum był więc nie mniejszy niż zawsze. Mężowie stanu ustawili się długim szeregiem przed Pałacem Dożów, odbierając pełne szacunku pocałunki składane na szerokich rękawach szat i kłaniając się ceremonialnie sobie nawzajem.

Tonio nie myślał wiele o tym, że był sam, wolny. Nie miało to już takiego znaczenia.

Opowieść ojca obfitowała w zaskoczenia i przesiąknięta była głębokim smutkiem. A historia rodu Treschich okazała się tylko częścią.

Przez całą młodość Tonio był przekonany, że Wenecja odgrywa w Europie poważną rolę. Wpojono w niego głęboką wiarę, że Serenissima ma najstarszy, najsilniejszy rząd we Włoszech. Słowa: imperium, Kandia, Morea przywodziły mu na myśl niewyraźne wspomnienie sławetnych bitew.

Jednak w czasie tej jednej nocy państwo weneckie zestarzało się, stało się dekadentkie. Zachwiało się w posadach, zaczęło się chylić ku świetnej, wspaniałej ruinie. Kandię stracono w 1645 roku, a wojny, w których Andrea walczył z synami, nie zdołały przywrócić jej państwu. W 1718 Wenecję raz na zawsze wypędzono z Morei.

Właściwie, prócz samego miasta i posiadłości na stałym lądzie, w jego okolicy nic nie zostało z imperium. Ocalała Padwa, Werona, inne małe miasteczka i długi ciąg wspaniałych willi nad Brentą.

Ambasadorowie weneccy nie mieli już dużych wpływów na zagranicznych dworach, a dyplomaci, którzy przyjeżdżali do miasta, zainteresowani byli raczej rozrywką niż polityką.

Przyciągał ich ogromny prostokąt piazzы i bachanalia towarzyszące odbywającemu się trzy razy w roku karnawałowi. Kusił ich widok czarnych jak węgiel gondoli sunących zalanymi wodą ulicami, niewyobrażalne bogactwo i piękno Bazyliki Świętego Marka, sieroty śpiewające w Piecie. Opera, malarstwo, wierszowane pieśni gondolierów i kandelabry z hut szkła w Murano.

To była współczesna Wenecja, w tym tkwił jej powab i siła. Wszystko, co Tonio znał i kochał, odkąd tylko pamiętał; i nic więcej.

Jednak było to jego miasto, jego kraj. Ojciec mu je przekazał. Wśród ginących w mrokach przeszłości bohaterów heroiczných dziejów, którzy po raz pierwszy wkroczyli na te zamglone mokradła, byli jego przodkowie. Źródłem fortuny Treschich, jak i wielu innych weneckich majątków, był handel ze Wschodem.

Bez względu na to, czy Serenissima rządziła światem, czy tylko nad nim triumfowała, była ona przeznaczeniem Tonia.

Jej niepodległość leżała w jego rękach, tak jak w rękach tych wszystkich patrycjuszy, którzy jeszcze byli u steru państwa.

- Do ostatniego tchnienia będziesz starał się utrzymywać wrogów z dala od granic Wenecji Eugenejskiej - rzekł później Andrea głosem tak młodym i energicznym jak jego błyszczące oczy.

Był to ciężki obowiązek dla patrycjusza w wieku, gdy większość fortun zrobionych na handlu ze Wschodem została roztrwoniona na hazard, przepych i ceremonie. Ród Treschich ponosił za to odpowiedzialność.

W końcu nadeszła chwila, w której Andrea musiał wyjawić własną historię.

- Wiem, że dowiedziałeś się o istnieniu twego brata Carla - powiedział, odchodząc od spraw ogólnych, a w jego spokojnym głosie po raz pierwszy dało się wyczuć drżenie emocji. - Kiedy tylko wyszedłeś za próg domu, świat pospieszył, by obedrzyć cię ze złudzeń opowieścią o tym skandalu sprzed lat. Alessandro opowiedział mi o przyjacielu twego brata, jedynym z jego licznych sprzymierzeńców, który wciąż walczy ze mną w Wielkiej Radzie, na forum Senatu i wszędzie, gdzie mają oni wpływy. A matka powiedziała mi o tym, co odkryłeś na portrecie w jadalni.

Nie przerywaj mi, synu. Nie jestem na ciebie zły. Muszę ci powiedzieć to, co inni przekręcą i użyją do swych własnych celów. Słuchaj i staraj się to pojąć:

Cóż mi zostało, gdy w końcu, po tylu porażkach, wróciłem z morza do domu? Straciłem trzech synów, żona zmarła po długiej, bolesnej chorobie. Czemuż Bóg sprawił, że przetrwała tylko najmłodsza latorośl, syn tak buntowniczy i gwałtowny, że największą przyjemność czerpał z przeciwstawiania się ojcu?

Widziałeś jego portret, zauważyłeś, jak jesteś do niego podobny. Wasze podobieństwo kończy się jednak na cechach zewnętrznych, ty bowiem bez wątpienia masz charakter. Twój brat Carlo uosabiał wszystko, co było najgorsze w tamtych czasach. Pławił się w rozkoszach życia, zakochiwał w primadonnach, był próżniakiem, wielbicielem poezji, hazardu i alkoholu, wiecznym dzieckiem, które odrzuca zaszczyt służby państwowej i nie gustuje w cichej odwadze.

Andrea zamilkł, jakby nie był pewien, co mówić. Potem ciągnął znużonym głosem: - Wiesz tak samo jak ja, że małżeństwo bez pozwolenia Wielkiej Rady oznacza wygaśnięcie patrycjuszowskiego rodu. Jeśli weźmiesz sobie żonę nie pochodzącą ze znanej rodziny, bez majątku, imię Treschich zostanie wykreślone ze Złotej Księgi, a wasze dzieci będą niczym więcej niż normalnymi obywatelami Serenissimy.

A jednak, chociaż od namiętności Carla zależała przyszłość rodu, spędzał on czas w towarzystwie utracjuszy, odrzucając ze wzgardą wszystkie małżeńskie partie, jakie starałem się dla niego zdobyć!

W końcu sam wybrał sobie żonę, tak jakby brał kochankę. Dziewczę bez nazwiska i majątku, córkę arystokraty spoza Wenecji, której jedyną zaletą była uroda. Powiedział: "Kocham ją. Nie poślubię żadnej innej!" Kiedy odmówiłem jego prośbie, usiłując pokierować nim tak, jak było to moim obowiązkiem, wyszedł z domu oszołomiony alkoholem i udawszy się do klasztoru, w którym przebywała, wydostał ją stamtąd kłamstwem i podstępem!

Andrea tak się zdenerwował, że musiał przerwać.

Tonio miał ochotę wyciągnąć rękę i uspokoić ojca. Jego cierpienia sprawiały chłopcu fizyczny ból, a cała opowieść przerażała go.

Andrea westchnął. - Czy nie jesteś zbyt młody, by pojąć ten skandal? Znamienitsi od niego ludzie skazywani byli za taki czyn na banicję, ścigani w całej Wenecji Eugenejskiej, więzieni.

Andrea znów przerwał. Nawet w złości nie stać go było na opowiadanie tej historii. - To właśnie zrobił mój syn - rzekł. - Był z niego diabeł z piekła rodem, wierz mi. Tylko nasze

nazwisko i pozycja powstrzymały rękę sprawiedliwości, błagałem bowiem, by dano mu czas na opamiętanie.

Ale twój brat stanął przede mną w samo południe na środku Broglio. Był pijany, miał dzikie oczy, mamrotał przekleństwami i przysiągł swą wieczną miłość tej zrujnowanej dziewczynie. “Kup jej miejsce w Złotej Księdze!” - zażądał. “Jesteś bogaty. Uda ci się to osiągnąć!” Po czym, przy spoglądających na nas kanclerzach i senatorach, oświadczył: “Daj mi swą zgodę albo ożenie się z nią bez twego pozwolenia.”

- Pojmujesz, Tonio? - Andrea nie posiadał się teraz ze złości. - Był moim jedynym spadkobiercą. I starał się wymusić na mnie zgodę na ten skandaliczny związek! Musiałbym kupić jej miejsce w Złotej Księdze, uczynić z niej patrycjuszkę, dać pozwolenie na małżeństwo lub patrzeć jak idą na marne moje wysiłki, obserwować koniec rodu starego jak sama Wenecja!

- Ojczy! - Tonio nie był w stanie zachować milczenia. Andrea nie dał sobie jednak przerwać.

- Patrzyła na mnie cała Wenecja - mówił drżącym głosem. - Czy miałem dać się wyprowadzić w pole najmłodszemu synowi? Moi rodacy, mężowie stanu... wszyscy czekali w pełnym zaskoczenia milczeniu.

A jego ukochana... co z nią się stanie? Postanowiłem w złości doprowadzić do spotkania z dziewczyną, która sprawiła, że mój syn zapomniał o obowiązkach...

Po raz pierwszy od godziny Andrea spojrzął na Tonia. Przez chwilę zdawało się, że stracił wątek i pograżył się w myślach o tym, na co się wtedy przygotował. Za chwilę jednak zaczął mówić dalej:

- Kogo ujrzałem? - westchnął. - Salome, która rzuciła diabelski urok na zamroczone zmysły mego syna? Nie. Nie, to było niewinne dziewczątko! Dziecko w twoim wieku, o chłopięcej budowie ciała, słodkie, śniade, pełne nieokiełznanej niewinności, jaka charakteryzuje mieszkańców lasu. Dziewczyne, która wiedziała o sprawach świata zaledwie tyle, ile Carlo zechciał jej powiedzieć. Och, nie oczekiwałem, że poczuję współczucie dla tej kruchej dziewczynki, dla jej utraconej czci.

Czy możesz sobie wyobrazić gniew, jakim zapalałem do człowieka, który tak bezmyślnie ją zdeprawował?

Tonia opanowała bezgłówną panikę. Nie mógł się już dłużej powstrzymać: - Proszę, ojczy, uwierz, że we mnie masz posłusznego syna - szepnął.

Andrea skinął głową. Znow skierował wzrok na Tonia. - Przez wszystkie te lata obserwowałem cię uważniej, niż zdawałeś sobie z tego sprawę, i nie wyobrażasz sobie nawet, w jakim stopniu jesteś spełnieniem mych modlitw.

Widać jednak było, że nic nie jest go w stanie w tej chwili ukoić. Parł naprzód, jakby opowiadanie było najlepszym wyjściem z sytuacji, jakby nie miał innego wyboru.

- Nie aresztowano twego brata. Nie został wygnany. To ja kazałem go pojmać i umieścić na statku do Sztambułu. To ja zdobyłem tam dla niego posadę, dając do zrozumienia, że póki żyję, nigdy nie ujrzę rodzinnego miasta.

To ja skonfiskowałem jego bogactwa, odmawiając jakiegokolwiek finansowego wsparcia, póki nie ugiął karku i nie przyjął proponowanego stanowiska. I to ja, ja pojąłem na starość żonę, a ona dała mi dziecko, od którego zależy teraz przetrwanie rodu.

Przerwał. Był zmęczony, ale nie skończył jeszcze swej opowieści.

- Mogła go osiągnąć o wiele srozsza kara! - oświadczył, patrząc znow wprost na Tonia. - Może powstrzymała mnie miłość do jego matki. Wszyscy wiedzieli, że od urodzenia był jej największą radością. - Oczy Andrei zamglily się, jakby po raz pierwszy nie był pewien swych myśli. - Bracia tak go kochali! Nie drażniła ich jego frywolność. Uwielbiali jego dowcipy, wiersze, które pisał, błahe opowiadki. Świata poza nim nie widzieli! "Carlo, Carlo!" Łaska boska sprawiła, że żaden z nich nie dożył chwili, gdy ten nieodparty urok uwiódł niewinnej dziewczę, gdy porywczosć zmieniła się w nieposłuszeństwo.

Dobry Boże, cóż mogłem zrobić? Wybrałem jedyne honorowe wyjście, jakie mi pozostało.

Zmarszczył brwi. Zmęczenie sprawiło, że mówił ciszej. Na chwilę pograżył się w myślach. Wkrótce odzyskał siły.

- Potraktowałem go łagodnie - stwierdził z uporem. - Tak, łagodnie. Wkrótce przyzwyczaił się do swych obowiązków. Dobrze sobie żyje z pensji, jaką mu przyznałem. Jednak, pracując posłusznie w służbie interesów Republiki na Wschodzie, raz po raz prosił, by pozwolono mu wrócić. Błagał o moje przebaczenie. Ale nigdy nie pozwolę mu wrócić do domu!

Taki stan rzeczy nie będzie jednak trwał wiecznie. Ma przyjaciół w Wielkiej Radzie, w Senacie - chłopców, którzy wzrastali wraz z nim. Kiedy umrę, powróci do tego domu, którego własności nigdy go nie pozbawiłem. Ale ty, Tonio, będziesz tu panem. Pojmiesz w przyszłości żonę, którą już dla ciebie wybrałem. Twoje dzieci odziedziczą fortunę i nazwisko Treschich.

Poranne słońce rozświetliło złotego lwa świętego Marka. Skapało potokiem białego, migocącego światła wysokie, pełne wdzięku arkady, ginące w różnobarwnym, ruchliwym tłumie ludzi, i wzlatującą jak włócznia ku niebu ogromną dzwonnice.

Tonio stał przed mieniącymi się mozaikami nad wejściem do bazyliki. Patrzył na cztery wielkie brązowe konie na piedestałach.

Pozwolił, by potraçał go przesuwający się wokół tłum, czasem nieświadomie poruszał się z nim, ale nie spuszczał oczu ze wznoszących się wokół portyków i kopuł.

Nigdy przedtem nie czuł do Wenecji takiej miłości, takiego oczyszczonego i bolesnego oddania. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest zbyt młody, by w pełni pojąć tragedię, która jej dosięgła. Wydawała się niezmienna, bogata, wspaniała.

Jednak zaledwie godzinę temu opuścił go zmizerowany, wyczerpany człowiek, na którego starej twarzy malowała się rezygnacja, napelniająca Tonia przerażeniem. Przypomnił sobie ostatnie słowa ojca:

- Wróci, kiedy umrę. Znów zmieni ten dom w pole bitwy.

Nie rzadziej niż co pół roku dostaję list pisany jego ręką, w którym przysięga, że poślubi kobietę, którą mu wybiorę, bylebym tylko pozwolił mu ponownie zobaczyć ukochaną Wenecję.

Nigdy się nie ożeni!

Pragnąłbym widzieć na własne oczy, jak prowadzisz swą oblubienicę do ołtarza, ujrzeć twych synów, patrzeć, jak po raz pierwszy wkładasz patrycjuszowskie szaty i zajmujesz należne ci miejsce w Radzie.

Nie starczy mi jednak na to czasu, a Bóg dał wyraźne znaki, że muszę cię przygotować na to, co cię czeka.

Czy wiesz, czemu posyłam cię w świat i dlaczego odbieram ci dzieciństwo opowiadką, że masz pilnować matki? Wysyłam cię, abyś był gotowy, gdy przyjdzie na to czas. Musisz znać świat, jego pokusy i wulgarność.

Pamiętaj, że chociaż mnie tu już nie będzie, gdy twój brat ponownie zagości pod tym dachem, będziesz miał po swojej stronie Wielką Radę i prawo. Podtrzyma cię moja niezłomna wola. A twój brat, jak przedtem, przegra bitwę. Ty jesteś moją nieśmiertelnością.

Nad dachami wyginał się łuk błękitnego nieba bez skazy, po którym płynęło w kierunku lądu zaledwie kilka chmurek. Służący oznajmiali w całym domu, że morze jest spokojne i *Bucintoro* z pewnością bezpiecznie zawiezie dożę do San Nicolo del Lido. Przez pootwierane okna wychodzące na kanał wpadała balsamiczna bryza, z parapetów spływały dywany w olśniewających kolorach, nad nimi zaś trzepotały sztandary. Wszystkie domy wzdłuż brzegu przystrojone były w ten sposób, tworząc widowisko wspanialsze, niż kiedykolwiek zdarzyło się Toniowi oglądać.

Kiedy wraz z Marianną i Alessandrem schodzili do małej przystani, ubrani w stroje o wesołych barwach, złapał się na tym, że szepce: - Jestem tu, to wszystko dzieje się naprawdę. - Wydawało mu się niemożliwe, że stał się częścią krajobrazu, który tak często obserwował z daleka.

Ojciec machał im z balkonu nad głównym wejściem. Gondola była wyłożona niebieskim aksamitem i ozdobiona girlandami kwiatów. Pojedyncze długie wiosło zostało ozłoczone. Bruno, ubrany w jaskrawy błękitny mundur, skierował łódź na wodę, między gondole innych znamienitych rodzin, podążających w tym samym kierunku. Podskakując na falach za płynącymi przed nimi setkami ludzi, kierowali się z prądem do ujścia kanału, w stronę piazzetty.

Gondole kołysały się w przód i w tył, starając się utrzymać swe miejsce w kolejce czekających. - Jest tam - szepnął Alessandro i wskazał na zakotwiczone, błyszczące i lśniące *Bucintoro*. Ta wspaniała, złoto-purpurowa galera dźwigała tron doży i mnóstwo złoczonych posągów. Tonio podniósł matkę, obejmując jej wiotką kibić, by mogła lepiej widzieć i, podniósłszy wzrok, uśmiechnął się na widok bezgłośnego zdziwienia Alessandra.

Sam nie mógł powstrzymać ekscytacji. Pomyślał, że do końca życia zapamięta chwilę, kiedy w powietrze wleciał przenikliwy, wspaniały dźwięk trąb i piszczałek oznajmiających, iż doża jest przenoszony z pałacu.

Morze było pełne kwiatów; dokoła, na załamujących się falach, unosiły się płatki, sprawiające wrażenie, że woda zmieniła się w ląd. Najpotężniejsi sędziowie odpływali w złoczonych łodziach, za nimi podążali ambasadorowie i nuncjusz papieski. Wielkie okręty wojenne i kupieckie, pokrywające całą lagunę, oddały salwę honorową i rozwinęły flagi.

Wreszcie cała patrycjuszowska flota ruszyła w kierunku latarni morskiej na Lido.

Okrzyki, machanie, rozmowy, śmiech: wszystko to zlewało się w uszach Tonio w jeden wspaniały ryk.

Nic jednak nie mogło się równać z okrzykiem, który rozległ się, gdy doża wrzucił w morze pierścien. Biły wszystkie dzwony wyspy, grzmiały trąby, tysiące ludzi wiwatowało pełną pierśią.

Całe miasto zdawało się unosić na wodzie i wydawać jeden zbiorowy krzyk, po czym wszystko zamilkło, a łodzie powracały do miasta wybranymi trasami, ciągnąc za sobą kanałami długie treny jedwabiu i atlasu. Chaotyczny, szalony, olśniewający odwrót. Słońce oślepiło Tonio, podniósł więc dłoń, by osłonić oczy, a Alessandro go podtrzymał. Tuż obok płynęli Lisani. Ich gondolierzy ubrani byli na różowo, służba rzucała za łódź białe kwiaty, a Catrina, w wydymanej przez wiatr sukni ze srebrzystego adamaszku, przesyłała obiema dłońmi pocałunki.

Już to starczało, by go zachwycić. Czuł się wyczerpany, niemal oszołomiony i pragnął ukryć się w jakimś małym, zacienionym miejscu tylko po to, by delektować się swymi przeżyciami.

Cóż jeszcze mogło się zdarzyć? Kiedy Alessandro oznajmił, że udają się na ucztę do Pałacu Dożów, Tonio niemalże wybuchnął śmiechem.

Setki gości siedziały przy długich stołach ozdobionych białą materią. W bogato rzeźbionych srebrnych kandelabrach płonęły świece, na które wydano majątek, a przez drzwi przesuwał się korowód sług, niosących na ogromnych tacach wymyślne dania - owoce, lody, dymiące talerze mięsa. Pod ścianami ustawiały się tłumy prostych ludzi, by obserwować to niekończące się przedstawienie.

Tonio prawie niczego nie spróbował. Marianna wciąż szeptała mu do ucha o tym, co zauważyła, kim jest ta czy inna osoba, a Alessandro ściszym głosem przekazywał jej ploteczki ze świata, który był wspaniały, bezpieczny i zadziwiający. Toniowi wino od razu uderzyło do głowy. Po drugiej stronie jasnej, zadymionej przepaści widział Catrinę, obfitość jej blond włosów poskręcanych w drobne, idealne w kształcie loczki i bujną pierś ozdobioną diamentami.

Na jej policzkach rozkwitały rumieńce, które nagle przywiodły mu na myśl wszystkie idealne piękności z portretów. Była niezwykle wyraźna, wspaniała.

Alessandro zachowywał się tak swobodnie! Kroił Mariannie mięso na talerzu, przestawiał świeczniki, jeśli ją oślepiały, i nigdy całkowicie się od niej nie odwracał. - Doskonały *cavalier servente* - myślał Tonio.

Jednak kiedy na niego patrzył, znów zaczynała go intrygować zagadka eunuchów. Od lat o tym nie myślał. Co odczuwał Alessandro? Jak żył, będąc taką istotą? I chociaż magnetyzowały go leniwe dłonie śpiewaka, jego na wpół opuszczone powieki, ten cudowny wdzięk, z jakim wykonywał każdy gest, czuł, że wstrząsa nim dreszcz. Czy nigdy nie buntuje się? Nigdy nie trawi go gorycz?

Ponownie rozbrzmiewały dźwięki skrzypiec. Na początku stołu rozległ się gromki wybuch śmiechu. Obok przeszedł signore Lemmo, skinąwszy szybko głową.

Zaczął się karnawał. Wszyscy wybierali się na piazę.

Na widok publiczny zostały wystawione wspaniałe obrazy, a wyroby ze złota i szkła skrzyły się i migotały w świetle płynącym z kawiarni pełnych ludzi, którzy wybrali się tu na czekoladę, wino czy lody. Sklepy jaśniały blaskiem pienistych żyrandoli oraz wystawionych na sprzedaż wspaniałych materii i nawet sam tłum wydawał się błyszczącą masą olśniewającego atlasu, jedwabiu i adamaszku.

Ogromny plac rozciągał się w nieskończoność. Dzięki blaskowi światła było jasno jak w samo południe, a nad całą tą przestrzenią królowały półkoliste mozaiki Bazyliki Świętego Marka, które wydawały przyćmione błyski, jakby żyły i obserwowały wszystko.

Alessandro pilnował, by jego podopieczni trzymali się blisko niego. To on zaprowadził Tonia i Mariannę do sklepiku, w którym od razu przyodziano ich w domina i maski.

Tonio nigdy przedtem nie miał na sobie zrobionej z kredowo-białej tkaniny maski o kształcie ptasiego dzioba, która zakrywała nie tylko twarz, ale i głowę ozdobioną czarnym welonem. Zapach przylegającego do oczu i nosa materiału wydawał mu się dziwny. Drgnął, ujrawszy w lustrze swą odmienioną twarz obcego człowieka. Ale domino, sięgająca ziemi czarna szata, dawała im wszystkim prawdziwą anonimowość. Nie można było teraz odróżnić, kto jest mężczyzną, kto kobietą. Spod domina nie widać było ani skrawka sukni Marianny: wyglądała jak słodko, dźwięcznie śmiejący się skrzat.

Alessandro robił przy niej wrażenie upiora.

Wstąpiwszy ponownie w krąg oślepiającego światła, stali się po prostu trójką osób pośród setek tak samo bezimiennych, zagubionych w tłumie ludzi bez oblicza. Trzymali się mocno, podczas gdy w powietrzu rozbrzmiewała muzyka i krzyki, a coraz to nowe osoby pojawiały się w szalonych, fantastycznych kostiumach.

Ponad rzeszą ludzi wyrosły ogromne postacie bohaterów commedii del'arte. Kukły wyglądały tak, jakby rozdymała je monstrualna siła życia, ich malowane twarze błyskały groteskowo w świetle pochodni. Tonio zauważył nagle, że Marianna aż zgięła się w pół ze śmiechu. Alessandro szepnął jej najwyraźniej coś do ucha, podtrzymując ramieniem. Drugą ręką matka trzymała się Tonia. Ktoś krzyknął: - Tonio, Marianno!

- Ćććć, skąd możesz wiedzieć, kim jesteśmy! - powiedziała matka. Ale Tonio rozpoznał już kuzynkę Catrinę. Jej maska zakrywała tylko górną część twarzy, więc pod nią widać było usta Catriny: mały, czerwony półksiężyc, obnażony i rozkoszny. Poczul przyływ namiętności. Wprawiło go to w zakłopotanie. Przyszła mu na myśl Bettina, słodka kelnereczka. Czy udałoby mu się ją odnaleźć?

- Mój drogi! - Catrina przyciągnęła go do siebie. - To ty, nieprawdaż? - Po pocałunku, jakim go obdarzyła, niemalże zakreśliło mu się w głowie.

Odsunął się. Rozwścieczał go twardy organ, który nagle poczuł między nogami, wolałby umrzeć, niż pozwolić, by to zauważyła, ale kiedy dłoń Catriny zsunęła się na jego szyję i znalazła jedyne odsłonięte miejsce, czuł, że jest na krawędzi jakiegoś poniżającego wstrząsu, którego nie będzie w stanie ukryć. Przyciskała się do niego, kontakt z jej ciałem zmuszał Tonia do kapitulacji.

- Cóż się stało waszemu ojcu, że was opuścił? - spytała Catrina. Po czym, dzięki Bogu, zaczęła obdarzać wyrazami swego głębokiego uczucia Mariannę.

Przed oczyma Tonia pojawił się nagle ich dom: ciemne pokoje, mroczne korytarze. Ujrzał ojca stojącego samotnie na środku słabo oświetlonego gabinetu; poranne słońce sprawiało, że płomienie świec wyglądały jakby były z czegoś zrobione, a na kościstych barkach Andrei spoczywało brzemień historii.

Otworzył okna. Raz po raz padały wonne fale deszczu, nie na tyle jednak ulewnego, by spłoszyć ludzi z placu. Był jeszcze pełen, gdy w końcu wymknęli się z tłumu w ślad za Alessandrem, który poprowadził ich wąskimi schodkami do kanału i ruchem dłoni wezwał gondolę. Teraz Tonio ściągał z siebie wilgotne, zmięte rzeczy i wsparty łokciem na parapecie patrzył ponad ścianę pobliskiego budynku, w zadymione niebo, na którym nie było gwiazd. Ujrzał tylko cienkie, srebrne strużki padającego cicho deszczu.

- Gdzie się podziiali ci śpiewacy? - szepnął. Chciał pogрузić się w smutku. Pragnął odczuć utratę niewinności, ciężar życia, ale jeśli to, co czuł, było strapieniem, to miało ono w sobie

niezwykłą słodycz. Bez chwili zastanowienia podniósł głos i wezwał śpiewaków długim okrzykiem. Czuł, jak jego śpiew przeszywa ciemność. Czuł, jak rozwiera mu się gardło. Nuty wyrwały się na wolność, niby coś dotykającego, a gdzieś z roztaczającego się poniżej mrocznego, pogmatwanego świata odezwał się lżejszy, delikatniejszy głos, głos wzywającej go kobiety.

Wyśpiewywał jej jakieś bzdury. Śpiewał o wiosnie, kwiatach i deszczu, a jego słowa pełne były bogatych obrazów. Głos Tonia stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie chłopak zamilkł i wstrzymał oddech do chwili, gdy przebrzmiało echo.

Wszędzie dokoła, w ciemności, byli śpiewacy. Tenory podchwyciły melodię, którą zaczął, jakiś głos dobiegł z okolic kanału, rozległ się brzęk tamburynów i brzdąkanie gitar. Osunąwszy się na kolana, Tonio położył ręce na parapecie i śmiał się cicho, czując jak otula go sen.

Przed oczyma pojawił mu się zbłąkany obraz. Ubrany w szkarłatną szatę Carlo w uścisku ojca. I nagle wydało mu się, że jest w jakimś innym miejscu, zagubiony w niekończącym się zgiełku. Słyszał krzyk matki.

- Czemu krzyczy? - Uszu Tonia dobiegł gwałtowny, serdeczny głos ojca, umknęły mu jednak jego słowa. Tak naprawdę nigdy jeszcze nie odważył się zadać tego pytania:

- Czy była dziewczyną, której nie chciał poślubić Carlo? Czy o to chodzi? Czy to z nią Carlo nie chciał stanąć przed ołtarzem? Ale dlaczego? Dlaczego? Kochała go? Czy wydano ją potem za tak starego człowieka...

Wzdrygnął się i przebudził. Choć było ciepło i wilgotno, wstrząsnął nim dreszcz. Pomyślał, że nigdy, nigdy więcej nie wolno mu wspominać jej o tym. Ponownie zagłębiwszy się w sen, ujrzał twarz brata ukazującą się powoli na powierzchni obrazu w jadalni.

Angelo i Beppo byli skonfundowani. Lena robiła zamieszanie wokół sukni matki, chociaż ta powtarzała: - Nikt jej nawet nie zobaczy, Leno! Będę miała na sobie domino.

Alessandro w beznamiętny sposób opanował jednak sytuację. Czy Angelo i Beppo nie mogliby iść się zabawić? Nie minęło pięć minut, gdy skłonili się i zniknęli.

* * *

Piazza była teraz tak zatłoczona, że ledwo mogli się ruszyć. Dookoła powyrastały platformy, na których pokazywali swoje sztuczki kuglarze i mimowie, w klatkach warczały dzikie zwierzęta, a poskramiacze strzelali z batów.

Tonio miał wrażenie, że raz po raz wpadają w żywy strumień, który niesie ich bezwolnie w stronę przepelnionych kawiarni lub unosi poza portyki. Gdzieś tam łączywie pili brandy i kawę; czasem siadali ciężko na jakimś stole, żeby odpocząć. Własne głosy, dobiegające spoza masek, wydawały im się dziwne.

Wszędzie pojawiali się ludzie w ekstrawaganckich kostiumach. Hiszpanie, Cyganki, Indianie z dzikich ostepów Ameryki Północnej, żebracy w aksamitnych łachmanach, młodzi mężczyźni przebrani za kobiety o pomalowanych twarzach, z dużymi perukami na głowach, kobiety w męskich strojach, niezwykle ponętne w jedwabnych spodniach i obcisłych pończochach.

Mieli tyle rozrywek do wyboru, że nie mogli się na żadną z nich zdecydować. Marianna pragnęła poznać swoje przeznaczenie, ale nie chciała stać w kolejce do stołu, przy którym wróżka szeptała tajemnice przez długą tubę wprost do ucha zainteresowanej osoby tak, by nikt inny nie słyszał, jaki czeka ją los. Przybywało dzikich zwierząt. Ryk lwów był emocjonujący. Jakaś kobieta złapała Tonia w pasie, zawirowała z nim dwa, trzy razy w dzikim tańcu i puściła. Mogła być równie dobrze pomywaczką, jak goszczącą w mieście księżniczką. W pewnej chwili wsparł się o filary bazyliki. Z jego umysłu, jak rzadko kiedy, zniknęła wszelka myśl i pozwolił, by tłum przeobraził się we wspaniałą, różnobarwny obraz. Na odległej scenie odgrywano komedię, krzyki aktorów przebijały się przez zgiełk, a Tonio całkiem niespodziewanie zapragnął rozplątać się i wypoczywać w ciszy pałacu.

Poczuł, że dłoń Marianny wysuwa się z uścisku jego ręki, a gdy się odwrócił, nie mógł jej odnaleźć.

Przenosił wzrok z miejsca na miejsce. Gdzie się podział Alessandro?

Wydawało się, że wysoka postać na wprost Tonia to na pewno on, ale postać oddalała się. Krzyknął głośno, lecz nawet sam nie usłyszał swego głosu. Spojrzawszy w tył, ujrzał niewielką osobkę w masce i dominie w ramionach innego przebierańca. Całowali się albo szeptali coś do siebie, bo peleryna obcego zasłaniała im obojgu twarze. - Mamo! - Ruszył w kierunku małej postaci, ale nim zdołał do niej dotrzeć, rozdzielił ich tłum.

Wreszcie tuż za sobą usłyszał wołanie Alessandra. - Tonio! - Już od jakiegoś czasu krzyczał do niego, używając właściwego tytułu "Ekscelencjo!", ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

- Zniknęła! - powiedział Tonio z rozpaczą.

- Jest tutaj - odparł Alessandro i znów tuż przed Toniem pojawiła się mała, dziwaczna, patrząca wprost na niego postać o ptasiej twarzy.

Zdarł własną maskę, by otrzeć pot i na chwilę zamknął oczy.

Wrócili do domu dopiero na dwie godziny przed początkiem przedstawienia. Marianna rozpuściła swe długie, czarne włosy i stała jak zaczarowana, patrząc gdzieś w bok szklistymi oczami. Ujrzawszy poważną minę Tonia, wspięła się na palce, by go pocałować.

- Słuchaj, mamo... - Odsunął się gwałtownie. - Czy kiedy staliśmy przy drzwiach bazyliki, ktoś... czy ktoś...? - Przerwał, nie był w stanie mówić dalej.

- Czy ktoś co? O co ci chodzi? - spytała ciepło. Potrząsnęła włosami. Rysy jej twarzy były ostre, rozciągała usta w zaskoczonym uśmiechu. - Nie pamiętam nic, co wydarzyłoby się przy drzwiach bazyliki. Kiedy tam byliśmy? Całe godziny temu. Poza tym - zaśmiała się - ty i Alessandro strzeżecie mojego honoru.

Patrzył na nią z uczuciem niezwykle bliskim przerażeniu.

Siadła przed lustrem, a Lena zajęła się odpinaniem zatrzasek jej sukni. Wykonywała szybkie, pewne ruchy. Marianna podniosła zatyczkę butelki wody kolońskiej i trzymała ją przy ustach.

- Cóż ja na siebie włożę? Cóż ja włożę? A ty? Ty, który od lat błagałeś o pójście do opery? Nie wiesz, kto dzisiaj śpiewa? - Odwróciła się wsparta rękami o brzegi miękkiej ławy, podniosła na niego wzrok. Suknia zsunęła się z ramion tak nisko, że niemal odsłoniła całe jej piersi, lecz Marianna wydawała się tego nie zauważać. Wyglądała jak dziecko.

- Ale mamo, wydaje mi się, że widziałem, jak...

- Przystaniesz wreszcie?! - krzyknęła nagle. Zaskoczona Lena odsunęła się, ale Tonio nie zrobił ani kroku.

- Przestań tak na mnie patrzeć - powiedziała piskliwym głosem, zakrywając uszy dłońmi, jakby chciała go stłumić. Zaczęła dyszeć, zdawało się, że jej twarz o napiętej skórze skręcają okrutne skurcze.

- Nie... nie - szepnął Tonio. Gładził ją po włosach, głaskał, póki nie wypuściła głośno powietrza i nie zwiotczała. Spojrzawszy na niego, uśmiechnęła się znów tym olśniewającym, pięknym uśmiechem, który tak go przerażał. Jednak uśmiech trwał tylko przez chwilę. Miała wilgotne oczy.

- Tonio, nie zrobiłam nic złego - mówiła błagalnie, jakby była tylko jego młodszą siostrą.
- Nie waż się wszystkiego zepsuć, nie możesz tego zrobić. Przez te wszystkie lata tylko raz brałam wcześniej udział w karnawale. Nie próbuj... nie...

- Mamo! - Przytulił ją do siebie. - Przepraszam.

Kiedy tylko weszli do łoży, Tonio wiedział, że nie będzie w stanie nic usłyszeć.

Nie zaskoczyło go to. Słyszał wystarczająco dużo opowieści na temat tego, co działo się w operze, i wiedział, że ponieważ dziś odbywały się trzy przedstawienia, ludzie będą bez końca chodzić z jednego budynku do drugiego. Catrina Lisani, w atlasowej masce, siedziała już tyłem do sceny i grała w karty ze swym siostrzeńcem imieniem Vincenzo. Dzieci Lisanich machaniem i sykiem usiłowały zwrócić uwagę osób siedzących pod nimi. Stary senator, mąż Catriny, drzemał w złożonym fotelu, budząc się niespodziewanie, by ponarzekać, że chciałby dostać kolację.

- Chodź tu, Alessandro - rzekła Catrina - i powiedz mi, czy to wszystko prawda o Cafarellim. - Wybuchnęła śmiechem, nim Alessandro zdążył pocałować jej rękę. Ale ruchem dłoni poprosiła Mariannę, by usiadła przy niej.

- Czy wiesz, ile znaczy dla mnie, moja droga, wreszcie cię tu widzieć, patrzeć jak się bawisz i zachowujesz jak człowiek?

- Jestem człowiekiem w każdym calu - szepnęła Marianna. Niemal przytuliła się do Catriny; było w tym coś nieodparcie dziewczęcego. Toniowi wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek, nawet on sam, był dla niej niedobry. Nagle zachciało mu się płakać. I śpiewać.

- Graj, graj - ponaglał Vincenzo.

- Nie rozumiem, czemu - odezwał się stary senator, który był jednak o wiele młodszy od Andrei - muszę czekać, aż zacznie się ta cała muzyka, zanim będę mógł zjeść kolację.

Służący w liberiach wchodzili i wychodzili, roznosząc wino w kryształowych kieliszkach. Stary senator wylał wino na swą krezę i bezradnie patrzył na czerwoną plamę. Był kiedyś przystojnym mężczyzną i nadal robił wspaniałe wrażenie. Jego siwe włosy od skroni układały się w schludne fale, miał czarne jak węgiel oczy i haczykowany nos, który wydawał się wyrażać dumę senatora, gdy ten podniósł głowę. Teraz jednak wyglądał jak dziecko.

Tonio przesunął się do przodu. Parter, tak jak i trzy rzędy balkonów nad nim, był już wypełniony.

Wszędzie siedziały maski, od gondolierów na samym dole do poważnych kupców i ich małżonek - odzianych w tak stosowną czerń - na górze. Wznoszący się falami szum rozmów i brzęk kieliszków wydawały się nie mieć żadnego dostrzegalnego rytmu.

- Jesteś na to co prawda zbyt młody, Tonio - powiedziała Catrina przez ramię - ale pozwól, że opowiem ci o Cafarellim... - Nie patrzył na nią, bo chciał uniknąć widoku tej rozkosznie zwierzęcej szczeliny ust, nagich i czerwonych, które widać było pod maską. Dzięki niej oczy wydawały się kocie. Ramiona Catriny, otoczone ciemnoczerwonym atłasem, zdawały się tak miękkie, że aż zacisnął zęby, wyobrażając sobie, jak je bezlitośnie ścisną.

Słuchał jednak uważnie jej błahych plotek dotyczących wielkiego kastrata, który miał dzisiaj śpiewać, i tego, że w Rzymie mąż jego kochanki przyłapał go z nią w łóżku. Catrina powiedziała „w łóżku”. Twarz zaczęła go palić na myśl, że słuchają tego matka i Alessandro! Zmuszony do ucieczki, Cafarelli spędził mokrą noc w zbiorniku na wodę. Jeszcze długo potem siepacze męża tej damy podążali za nim wszędzie, ale ona dała mu z kolei do obrony własnych siepaczy, którzy mu towarzyszyli, aż wreszcie śpiewak rzucił wszystko i opuścił miasto.

Tonio przypomniał sobie niewyraźnie słowa Andrei, coś o świecie; o tym, że świat wystawia nas na próbę. Świat... Nie mógł teraz jednak myśleć o nikim prócz Cafarellego. Za chwilę po raz pierwszy w życiu miał usłyszeć wielkiego kastrata i wszystko inne mogło poczekać, zresztą i tak nie mógł mieć na to żadnego wpływu.

- Podobno każdemu jest w stanie stawić czoła, a żadnej pięknej primadonny nawet na chwilę nie zostawiłby samej. Czy to wszystko prawda, Alessandro?

- Wie pani o wiele więcej niż ja, signora - roześmiał się Alessandro.

- Dam mu pięć minut - oświadczył Vincenzo. - Jeśli nie zdoła w tym czasie zdobyć mego serca lub ucha, idę do San Moise.

- Nie bądź śmieszny, dzisiaj wszyscy są tutaj - odparła Catrina. - To najważniejsze miejsce w mieście, a poza tym pada deszcz.

Tonio usiadł okrakiem na krześle, odwrócił je w tył i patrzył na daleką, zasłoniętą kurtyną scenę. Słyszał śmiech matki. Stary senator oświadczył właśnie, że powinni wszyscy iść do domu i posłuchać jakiejś piosenki w wykonaniu Marianny i Tonia. Potem mógłby zjeść kolację. - Niedługo zaśpiewasz dla mnie, moja droga, prawda?

- Czasem wydaje mi się, że wyszłam za mąż za żołądek - powiedziała Catrina. - W takim razie graj o wszystkie części swej garderoby, jedną po drugiej - zwróciła się do Vincenza.

- Zaczynj od kamizelki; albo nie, od koszuli. Podoba mi się twoja koszula.

W tym czasie poniżej, z tyłu widowni, wybuchła walka. Słysząc było krzyki, ciężkie odgłosy stóp, ale szybko przywrócono porządek. Między siedzeniami chodziły śliczne dziewczęta, sprzedając wino oraz inne napoje i przekąski.

Alessandro wyrósł jak cień za Toniem, przy ścianie łoży.

Właśnie wtedy zaczęli ukazywać się muzycy. Zagłębiali się w miękkich krzesłach, ruszając latarenkami i szeleszcząc kartkami papieru. Wszyscy przeglądali libretta, które przedtem sprzedawano spieszenie w hallu.

Kiedy ukazał się młody, nieznaną kompozytor opery, z góry rozległy się okrzyki na jego cześć i szmer oklasków.

Ściemniono światła, wciąż było jednak zbyt jasno. Kompozytor miał źle dobraną perukę i ciężki płaszcz z brokatu, był przy tym niezmiernie zdenerwowany.

Alessandro chrząknął z dezaprobatą.

Kompozytor usiadł ciężko i niezgrabnie do klawikordu. Muzycy unieśli smyczki i nagle cały budynek przeniknęła radosna melodia.

Była piękna, lekka, uroczyta, bez śladu tragedii czy złych przeczuć i natychmiast oczarowała Tonia. Pochylił się w przód, a tłum za nim rozbrzmiewał dźwiękiem rozmów i śmiechu. W miejscu, gdzie zakręcał balkon, siedziała rodzina Lemmo i zajadała już kolację. Z ustawionych przed nimi srebrnych talerzy unosiła się para. Jakiś Anglik bezskutecznie syczał, usiłując uciszyć widownię.

Kiedy jednak podniosła się kurtyna, z wszystkich ust wyrwały się okrzyki. Na tle bezkresnego błękitu nieba, usianego migoczącymi czarodziejsko gwiazdami, stały złożone portyki i łuki. Chmury zasłoniły gwiazdy, a wznosząca się w nagłej ciszy muzyka, wydawała się

sięgać sufitu. Kompozytor uderzał w klawisze, jego upudrowane loki powiewały, a tymczasem na scenie pojawiły się wspaniale ubrane kobiety i mężczyźni, którzy rozpoczęli sztywny, lecz konieczny recytatyw, stanowiący wprowadzenie do znanej dobrze i całkowicie niedorzecznej treści opery. Ktoś był w przebraniu, kogoś innego porwano, pobito. Ktoś oszaleje. Odbędzie się bitwa między niedźwiedziem a potworem morskim, po czym bohaterka znajdzie sposób, by wrócić do męża, który myśli, że jest martwa.

Czyjś brat bliźniak zostanie obdarzony łaską bogów za pokonanie wroga.

Tonio później nauczy się na pamięć libretta. Teraz nie zwracał na to uwagi. Denerwował go śmiech matki i nagłe okrzyki rodziny Lemmo, której podano właśnie bogato ozdobioną rybę, pieczoną na ruszcie.

- Przepraszam. - Wepchnął się za Alessandra.

- Dokąd idziesz? - Potężna dłoń śpiewaka z łatwością zamknęła nadgarstek Tonio w swym ciepłym uścisku.

- Na dół. Muszę słyszeć Caffarellego. Zostań z matką, nie spuszcza jej z oka.

- Ależ, Wasza Ekscelencjo...

- Tonio - poprawił go z uśmiechem. - Błagam, Alessandro! Przysięgam, że pójde tylko na parter, będziesz mnie stąd widział. Muszę słyszeć Caffarellego!

Nie wszystkie miejsca były zajęte. W połowie przedstawienia pojawi się o wiele więcej gondolierów, jako że zostaną wpuszczeni za darmo, i wtedy dopiero zrobi się zamieszanie. Teraz jednak Tonio bez trudu dotarł w pobliże sceny, przepychając się przez tłum nieokrzesanych, prostych ludzi, dopóki nie usiadł o kilka stóp od huczącej, grzmiącej orkiestry.

Czuł się jak w ekstazie, bo słyszał tylko muzykę.

W tym momencie pojawiła się na scenie wysoka, majestatyczna postać wielkiego Caffarellego.

Niektórzy twierdzili z przekonaniem, że ten uczeń Porpory był największym śpiewakiem na świecie. Kiedy podchodził do rampy w swej ogromnej peruce i powiewającej, karminowej pelerynie, wyglądał raczej jak bóg niż król, którego grał. Pozwalał wszystkim sycić się widokiem swej delikatnej, przystojnej postaci. Potem odrzucił głowę w tył. Zaczął śpiewać, a na dźwięk potężnej, kolejno wzmocnionej i przyciszanej nuty, w operze zapadła cisza.

Toniowi zaparło dech w piersiach. Siedzący obok niego gondolierzy wydawali ciche jęki i okrzyki przyjemnego zaskoczenia.

Nuta stawała się to głośniejsza, to cichsza, wlatywała ku niebu, jakby nawet sam kastrat nie mógł jej zatrzymać. Kiedy tego dokonał, od razu zaczął arię, sprawiając wrażenie, jakby nie musiał zaczerpnąć przedtem oddechu, a orkiestra spieszyła się, by za nim nadażyć.

Miał niewiarygodny głos, który wprawdzie nie był przenikliwy, lecz miał w sobie jakąś gwałtowność. Zdawało się, że nim skończył, niemalże doskonale rysy jego twarzy wykrzywiła wściekłość.

Chociaż otoczone białymi lokami oblicze Caffarellego zostało pomalowane i upudrowane, choć nadano mu jak najbardziej cywilizowany wygląd, oczy śpiewaka płonęły, gdy kroczył po scenie, kłaniając się obojętnie tym, którzy klaskali i kiwali głowami z łóż. Spoglądał na parter i raz po raz, jakby z cieniem wyrachowania, rzucał spojrzenia na wyższe rzędy.

Kiedy zaczęła śpiewać primadonna, zdawało się, że cała opera rozpada się, a może po prostu Tonio dopiero teraz dostrzegł całe to zamieszanie: damy ze szczotkami i grzebieniami oraz służę, który spieszył właśnie, by pokryć perukę Caffarellego grubszą warstwą pudru.

Cienki głosik primadonny brzmiał dzielnie nad akompaniamentem klawesynu. Caffarelli stał tyłem do niej, jakby nie istniała; udał ziewanie, a w operze ponownie rozległ się szmer rozmów, głucha fala, która przytępiła ostrze muzyki.

Tymczasem otaczający Tonio prawdziwi sędziowie przedstawienia wyrażali wulgarne, lecz niezwykle trafne opinie. Wysokie dźwięki produkowane dziś przez Caffarellego nie były najlepsze; primadonna okropna. Jakaś dziewczyna zaproponowała Toniowi kieliszek czerwonego wina. Kiedy szukając monet rzucił okiem na jej ukrytą za maską twarz, poczuł, że to z pewnością Bettina! Jednak przypomniał sobie ojca i zaufanie, jakim niedawno został przez niego obdarzony; opuścił oczy, czerwieniąc się mocno.

Caffarelli znów podszedł do rampy. Odrzucił w tył czerwoną pelerynę. Wbijał pełen złości wzrok w rząd krzeseł. Po czym ponownie zabrzmiała ta wspaniała, raz mocniejsza, raz cichsza, pulsująca nuta. Tonio widział pot błyszczący na twarzy śpiewaka, jego olbrzymią pierś nadymającą się pod lśniącym metalem greckiej zbroi. Klawesyn zaczął grać niepewnie. Powstało jakieś zamieszanie.

Caffarelli nie śpiewał właściwej melodii, tylko coś, co natychmiast wydało się znajome. Nagle Tonio - jak i wszyscy inni - zdał sobie sprawę, że kastrat odtwarza dopiero co przebrzmiałą arię primadonny, bezlitośnie przy tym kpiąc ze śpiewaczki. Struny usiłowały dopasować się do jego śpiewu, kompozytor wpadł w osłupienie. Tymczasem Caffarelli śpiewał zawodzącym

głosem, z taką przerażającą łatwością odtwarzając wszystkie tryle swej poprzedniczki, że jej talent wydawał się całkowicie bez znaczenia.

Wyśmiewał jej długie, kolejno wzmacniane i przyciszane nuty.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem, ale nie zeszła ze sceny, a pozostali śpiewacy z zażenowania pokryli się purpurą.

Z balkonów zaczęły dochodzić gwizdy. Wielbicie primadonny tupali nogami i potrząsali zawzięcie pięściami, a zwolennicy Caffarellego trzęśli się ze śmiechu.

Skupiwszy wreszcie na sobie uwagę każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w operze, Caffarelli zakończył tę farsę bezbarwną, nosową parodią delikatnej końcówki roli primadonny, po czym z obezwładniającą siłą głosu rozpoczął swą *aria di bravura*.

Tonio osunął się na krzesło i uśmiechnął się szeroko.

A więc wszystkie pochwały były uzasadnione. Głos Caffarellego brzmiał jak żywy instrument, tak potężny i wspaniale nastrojony, że nic nie wytrzymało porównania z nim.

Kiedy śpiewak zamilkł, z każdego zakątka opery rozległy się oklaski. Lojalni obrońcy primadonny usiłowali stłumić ten wybuch entuzjazmu, ale zmuszeni byli mu ulec.

Dookoła Tonia rozlegały się okrzyki pochwały:

- *Evviva il coltello!*

- *Evviva il coltello!* - wołał z nimi. - Niech żyje nóż! - nóż, który uczynił tego człowieka kastratem, usuwając jego męskość po to, by zachować na zawsze ten wspaniały sopran.

Po przedstawieniu czuł się oszołomiony. Nawet to, że Marianna była zbyt zmęczona, by iść do pałacu Lisanich, nie miało większego znaczenia. Niechże zaszczyty spadają na niego pojedynczo. Na zawsze zapamięta tę noc; Caffarelli będzie częstym gościem w jego snach.

Wszystko to byłoby wspaniałe, gdyby przepychając się z matką przez drzwi nie usłyszał słów wypowiedzianych tuż przy nim, krótko i wyraźnie - ...zupełnie jak Carlo. - Odwrócił się. Ujrzał wiele twarzy, ale nagle zdał sobie sprawę, że to Catrina rozmawia ze starym senatorem, który rzekł właśnie: - Tak, tak, drogi bratanku, mówimy o tym, że jesteś bardzo podobny do brata.

Wszystkie następne noce karnawału Tonio spędzał na występach Caffarellego, zapominając o wszelkich innych pokusach.

Każda z weneckich oper dawała jedno przedstawienie przez cały sezon, ale nic nie mogło skłonić go do obejrzenia chociażby części tego, co działo się gdzie indziej. Większość ludzi powracała tu wiele razy, by obserwować czary, w których mocy pozostawał też Tonio.

Caffarelli nigdy nie wykonał żadnej arii dwa razy w ten sam sposób, a znużenie, które opanowywało go między tymi wspaniałymi momentami, wydawało się czymś o wiele bardziej rozpaczliwym niż zwykłą pozą, która miała zirytować innych.

W jego wiecznym niepokoju było coś ponurego. Źródłem ciągłej pomysłowości wydawała się rozpacz.

Raz za razem, wyłącznie za sprawą jego osobistej mocy, stawał się cud:

Caffarelli podchodził do rampy, wyrzucał w przód ramiona, brał w posiadanie całą publiczność i niszczył partyturę kompozytora, wprawiając w popłoch muzyków, którzy usiłowali spieszyć za nim. Sam, bez czyjejkolwiek pomocy tworzył muzykę, która była właściwie duszą opery.

I chociaż potępiano go, to wiadomo było, że gdyby nie on, wszystko mogłoby pójść na marne.

Kompozytor nierzadko szalał z wściekłości, gdy opadła kurtyna. Tonio często ukrywał się w cieniu, by usłyszeć, jak klnie: - Nie śpiewasz tego, co napisałem. W ogóle nie zwracasz na to uwagi.

- Więc pisz to, co śpiewam! - warczał w odpowiedzi neapolitańczyk. Raz Caffarelli wyciągnął nawet szablę i popędził za kompozytorem do drzwi.

- Zatrzymajcie go, zatrzymajcie go, albo zginie z mojej ręki! - krzyczał kompozytor, biegnąc tyłem między rzędami. Dla wszystkich było jednak jasne, że jest przerażony. Caffarelli ryczał pogardliwym śmiechem.

Znieważył kompozytora wbijając czubek rapiera w jego guziki. W tym momencie tylko twarz, na której brakowało zarostu, wskazywała na to, że jest eunuchem.

Jednak wszyscy, nawet Tonio, wiedzieli, że to Caffarelli czyni operę tym, czym jest.

Neapolitańczyk uganiał się za kobietami po całej Wenecji. Bez względu na porę wchodził lub wychodził z pałacu Lisanich, by pogawędzić z patrycjuszami, którzy spieszyli nalać mu wina czy podać krzesło. Tonio, zawsze pozostający w pobliżu, obdarzał go uwielbieniem. Uśmiechał się, widząc rumieniec na twarzy matki, która także podążała wzrokiem za Caffarellim.

Tak wspaniale się bawiła, że Tonio lubił patrzeć i na nią. Nie chowała się już po kątach, jej oczy jarzyły się ciekawością. Teraz nawet tańczyła z Alessandrem.

Tonio zajął miejsce wśród przepięknie ubranych mężczyzn i kobiet tworzących majestatyczny szereg, który rozciągał się wzdłuż Wielkiego Salonu Palazzo Lisani. Wykonywał dokładnie wymierzone kroki menuetów, podekscytowany widokiem tonących w krezach piersi, wspaniałych ramion i policzków, które musiały być miękkie jak kocie futerka. W powietrzu żeglowały na srebrnych tacach kieliszki szampana.

Francuskie wino, francuskie perfumy, francuska moda.

Wszyscy oczywiście podziwiali Alessandra. Wyglądał w swym eleganckim ubraniu jak uosobienie prostoty, a jednak wydawał się tak wielki i pełen gracji, że Tonio czuł do niego ogromną miłość.

Późno w nocy rozmawiali w cztery oczy.

- Obawiam się, że po jakimś czasie nasz dom wyda ci się ponury - powiedział kiedyś Tonio.

- Wasza Ekscelencjo! - odparł ze śmiechem Alessandro. - Ja nie dorastałem we wspaniałym pałacu. - Przebiegł wzrokiem po wysokim suficie swego nowego pokoju, ciężkich, zielonych zasłonach przy łóżku, po rzeźbionym biurku i nowym klawikordzie. - Jeśli pomieszka tu ze sto lat, to być może dom zacznie mi się wydawać ponury.

- Chcę, żebyś pozostał tu na zawsze, Alessandro - rzekł Tonio.

Przez chwilę w jakiś niewypowiedziany, cudowny sposób wyobraził sobie, jak ten człowiek spędza życie wśród kutek w złocie ozdób Bazyliki Świętego Marka, dążąc do doskonałości. Nic dziwnego, że był tak dyskretnie poważny i w subtelny sposób pewny siebie. Wyrażał bogactwo, wykwintne maniery i piękno, które zawsze go otaczały.

Czemu nie miałby iść przez salon Catriny z tak naturalną elegancją?

Tonio zastanawiał się jednak, co ludzie naprawdę myśleli o Alessandrze. Co myśleli o Caffarellim? I czemu z taką udręką Tonio wyobrażał sobie neapolitańczyka w łóżku z

którkolwiek z kręcących się koło niego dam? Zdawało się, że wystarczyłoby skinienie dłoni, by za nim poszły.

Tonio zaczął rozważać, co on sam robiłby z nimi, nie brakowało bowiem pań posyłających mu zachęcające spojrzenia ponad koronkowymi wachlarzami. Na parterze teatru czuł słodki zapach tysiąca Bettin.

- Masz czas, Tonio. Masz czas - powtarzał sobie. Wolałby umrzeć, niż zawieść ojca. Cała jego przyszłość błyszczała i migotała w magicznym świetle tego nowego obowiązku, świeżych faktów.

W nocy klękał w swym pokoju przed Madonną i modlił się: - Błagam, nie pozwól, by to się skończyło. Niech trwa na zawsze.

Ale nadchodziło już lato. Było duszno. Wkrótce karnawał rozpadnie się jak domek z kart, a zacznie się villeggiatura - letnisko i wszystkie wielkie rody udadzą się do swych willi nad Brentą. Nikt nie chciał znosić smrodu kanałów i nieprzeliczonych stad komarów.

- A my zostaniemy tu sami; nie, proszę, niee!

Kiedy dni pozostające do końca karnawału można już było policzyć na palcach jednej ręki, pewnego ranka, wraz ze sługami, przynoszącymi czekoladę i kawę, przyszedł Alessandro i usiadł przy łóżku Tonio.

- Ojciec jest z ciebie bardzo zadowolony - rzekł. - Wszyscy mówią mu, że zachowujesz się jak wzór gentlemana.

Tonio uśmiechnął się. Pragnął zobaczyć się z ojcem. Ale już dwa razy signore Lemmo powiedział mu, że to wykluczone. Wydawało się, iż przez jego apartament przewija się niezwykle wielu ludzi. Tonio wiedział, że niektórzy z nich byli prawnikami, inni starymi przyjaciółmi. Nie podobało mu się to.

Ale na jakiej podstawie przypuszczał, że po tej długiej nocy intymności nastąpi coś tak nowego jak częste rozmowy? Ojciec należał do państwa, teraz tak samo jak przedtem. Skoro więc kostka nie zagoiła się i nie mógł wychodzić, kiedy zechce, państwo musi przyjść do niego. Oto wyjaśnienie tego, co się dzieje.

Alessandro myślał jednak o czymś innym.

- Widziałeś kiedyś willę Lisanich niedaleko Padwy? - spytał. Tonio wstrzymał oddech.

- Spakuj się. Jeśli nie masz stroju do jazdy konnej, to poślij Giuseppe po krawca. Ojciec pragnie, żebyś pojechał tam na całe lato, a twoja kuzynka z rozkoszą będzie cię gościła. Ale,

Tonio - ciągnął (dawno przestał już, na prośbę Tonia, tytułować go w oficjalny sposób) - pomyśl nad pytaniami, które mógłbyś zadać nauczycielom. Wydaje im się, że są tu zbędni; obawiają się, że zostaną zwolnieni. Oczywiście nic takiego się nie stanie. Jada z nami. Jednak pilnuj, żeby czuli się ważni.

- Jedziemy do willi Lisanich! - Tonio podskoczył i otoczył Alessandra ramionami.

Śpiewak musiał zrobić krok w tył, ale dużymi, leniwymi dłońmi przesunął delikatnie po włosach Tonia, odgarniając je z czoła.

- Nikomu o tym nie mów - szepnął - ale jestem równie podekscytowany jak ty.

Kiedy zagoiły się rany na nadgarstkach, Guido pozostał w konserwatorium, w którym wyrósł, oddając się nauczaniu i stosując przy tym dyscyplinę, jaką niewielu z jego uczniów było w stanie znieść. Mimo geniuszu, który posiadał, brak mu było współczucia.

Nim skończył dwadzieścia lat, wykształcił kilku wspaniałych uczniów, którzy zaczęli śpiewać w Kaplicy Sykstyńskiej.

Byli to kastraci, których głosy, bez szkolenia i instynktu Guida, mogły się okazać bezwartościowe. Chociaż byli oni wdzięczni za nauki, które ich wywyższyły, bali się jednak panicznie tego młodego eunucha i cieszyli się z rozstania z nim.

Właściwie wszyscy uczniowie Guida czasem, jeśli nie ciągle, nienawidzili go.

Jednak mistrzowie z konserwatorium darzyli go miłością.

Jeśli w ogóle było w ludzkiej mocy “stworzenie” głosu tam, gdzie nie był on dany przez Boga, Guido mógł sobie z tym poradzić. Raz po raz obserwowali ze zdziwieniem, jak wpaja rzemiosło muzyczne tym, którym brakowało oryginalności i talentu.

Przysyłali do Guida tępaków i tych nieszczęsnych chłopczyków, których owalaszono na długo przedtem, nim ich głos okazał się nic nie wart.

Robił z nich niezłych, wykwalifikowanych i całkiem przyjemnie brzmiących sopranistów.

Nie znosił tych uczniów. Ich mizerne osiągnięcia nie dawały mu żadnej trwałej satysfakcji. Muzyka była dla niego nieskończenie cenniejsza niż on sam, nie znał więc dumy.

Ból i monotonia życia zmusiły go do zagłębienia się w tajniki kompozycji. Zaniedbał je przez wszystkie dawne lata, kiedy marzył o życiu śpiewaka, i inni prześcignęli go, a ich oratoria lub nawet opery doczekały się już premier. Mistrzowie nie spodziewali się od niego żadnych osiągnięć w tej dziedzinie i obciążając od rana do wieczora nauczaniem, udzielali mu reprimendy za samotną pracę długo w noc.

W bólu, który odczuwał Guido, nie było jednak cienia wahania. Ustępował innym umiejętnościom kompozytorskimi. Nigdy się jednak nie zawahał. Wolał obywać się bez snu, pracować bez końca. Spod jego ręki wychodziły oratoria, kantaty, serenady, całe opery. Gdyby miał choć jednego ucznia o wspaniałym głosie, mógłby się nie spieszyć i komponując dla niego odzyskać przychylność tych, którzy teraz nie chcieli go już słuchać. Ten głos byłby inspiracją i

bodźcem, którego tak potrzebował. Wtedy przyszliby następni, gotowi, chętni śpiewać to, co dla nich napisał.

Na razie jednak nieszczęśni, mali podopieczni Guida usiłowali śpiewać jego pieśni, nie wkładając w to ani zrozumienia, ani wdzięku.

W długie, letnie popołudnia, gdy miał już dosyć duszącej kakofonii pokoju ćwiczeń, przypasywał do boku szablę, wkładał swą jedyną porządną parę ozdobionych sprzączką butów i bez wyjaśnień ruszał do kipiącego życiem miasta.

W niewielu europejskich miastach wrzał taki ruch i rozbrzmiewało tyle głosów, co w rozciągającym się na ogromnej przestrzeni portowym Neapolu.

Ulicami miasta, pełnego przepychu i świetności nowego dworu Burbonów, płynęły prawdziwe rzeki ludzi różnego stanu, którzy przybyli, by obejrzeć wspaniałe wybrzeże, przepiękne kościoły, pałace, zamki, olśniewające piękno okolicy, wyspy. Nad wszystkim tym królowała widoczna na tle zamglonego nieba potężna sylwetka Wezuwiusza i ogromne, sięgające horyzontu morze.

Ulicami mknęły z hukiem i stukotem złocone powozy, słudzy w liberiach trzymali się ich malowanych drzwi, biegali lokaje. Po promenadach spacerowały kurtyzany przyozdobione wspaniałe klejnotami i koronkami.

Po delikatnych wzniesieniach pędziły kolaski, przebijając się przez wzbierający tłum, a kierujący pojedynczymi końmi woźnice krzyczeli: - Przejście dla mego pana! - Na każdym rogu stali sprzedawcy świeżych owoców i mrożonej wody.

Jednak w tym raj, w którym z każdej szczeliny wyrastał kwiat, a na wzgórzach rozciągały się winnice, panowała zgnilizna biedy. Niespokojni *lozzaroni* - wieśniacy, wałkonie, złodzieje - włóczyli się bez celu pośród prawników, urzędników, wielkich panów, dam i mnichów w brązowych sutannach, albo rozkładali się na schodach katedr.

Guido, popychany przez tłum, przyglądał się temu wszystkiemu z niemą fascynacją. Czuł morską bryzę. Bywało, że ledwo co udawało mu się uniknąć kół powozu.

Ten mocno zbudowany mężczyzna, pod którego czarnym płaszczem rysowały się masywne ramiona, ubrany w spodnie oraz w zabłocone i pokryte kurzem pończochy, nie wyglądał na muzyka, młodego kompozytora, a już najmniej na eunucha. Mógł być jednym z tych zaniedbanych gentlemanów o dłoniach czystych, jak ręce zakonnic, którego stać było na wypicie wina w ogródkach winiarń, do których wchodził.

Usiadłszy przy zatłuszczonym stole, opierał się o płataninę winorośli pokrywającej mur, niemalże nieświadom brzęku pszczoł i woni kwiecica. Słuchał dźwięków mandoliny spacerującego w pobliżu śpiewaka. I obserwując jak morski błękit nieba ustępuje miękko różowej mgłę, czuł, że wino koi jego ból. A jednak właśnie wino pozwalało temu cierpieniu rozkwitać.

Łzy błyszczące w oczach Guida nadawały im groźny połysk. Rwała mu się dusza, cierpienie wydawało się nieznośne.

Nie rozumiał jednak w pełni jego istoty.

Czuł tylko, jak każdy inny nauczyciel śpiewu, że pragnie zapalonych, utalentowanych uczniów, przed którymi mógłby odkryć cały swój geniusz. Słyszał już, jak tym nieznanym śpiewakom udaje się tchnąć życie w jego arie.

To oni muszą pokazać jego muzykę na scenie, dać ją całemu światu, tylko oni mogą pozwolić Guidowi Maffeo wykorzystać jedyną szansę zyskania nieśmiertelności, jaka została mu dana.

Ale czuł też nieznośną samotność.

Czuł się tak, jakby jego własny głos był kochankiem, który go porzucił.

Wyobrażając sobie młodzieńca, który potrafiłby śpiewać tak, jak on sam już nie mógł, ucznia, któremu zdradziłby wszystkie tajniki swej sztuki, przeczuwał, że tym samym skończyłaby się jego samotność. Wreszcie ktoś by go rozumiał, zdawał sobie sprawę, do czego dąży! W takich chwilach znikła wszelka, różnica między potrzebami duszy i serca Guida.

Na niebie rozbłysły gwiazdy, przeświecające przez chmury, które wyglądały jak morska mgła. Gdzieś bardzo daleko, w ciemności, zamigotała nagle błyskawica wydobywająca się z wulkanu.

Guidowi nie dane było jednak zetknąć się z obiecującymi głosami. Był zbyt młodym maestrem, by je przyciągnąć. Wspaniali uczniowie podążali do takich sław jak Porpora, który uczył Cafarellego i Farinellego.

A chociaż mistrzowie Guida byli zadowoleni z oper, które pisał, ciągle ginęły one w bagnisku konkursów. Jego kompozycje określano jako "zbyt specyficzne" albo jako "imitacje bez wyobraźni".

Czasem wydawało się, że zmoże go mozolna praca. Z każdą chwilą uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że jeden wspaniały uczeń zmieniłby wszystko.

Ale by przyciągnąć dobrych uczniów, musi najpierw wykształcić na sławę jedną z miernot, które mu przysyłano.

Czas mijał. Zadanie okazało się niemożliwe do wykonania. Guido nie był przecież czarodziejem, a zaledwie geniuszem.

Kiedy skończył dwadzieścia sześć lat, uzyskał od przełożonych niewielką sumą pieniędzy i urlop, po czym ruszył szukać w całej Italii nowych głosów, licząc rozpaczliwie na to, że kogoś znajdzie.

- Może mu się uda. - Maestro Cavalla wzruszył ramionami. - Zobaczcie, ile już osiągnął! -
Więc chociaż smutno im było, że odchodzi na tak długo, dali mu swe błogosławieństwo.

Tonio przez całe życie słyszał opowieści o tym wspaniałym letnim wypoczynku zwanym villeggiatura, o długich kolacjach przy stołach nakrywanych koronkami i srebrem do każdego dania, o następujących później leniwych przejażdżkach po Brencie. Cały czas będą im grali muzykanci, a może nawet od czasu do czasu, kiedy nie będzie profesjonalistów, Tonio zagra z Marianną. Wszystkie rodziny stworzą swe własne małe orkiestry - ktoś będzie umiał grać na skrzypcach, ktoś inny na kontrabasie, jakiś senator będzie grał na klawesynie z równym talentem jak płatny muzyk. Zaprosi się dziewczęta z konserwatorium; będą zabawy na świeżym powietrzu, pikniki na trawie, jazda konna, fechtunek dla rozrywki i wspaniałe, wielkie ogrody oświetlone latarenkami.

Tonio zapakował wszystkie stare nuty, zastanawiając się mglście, jak będzie się czuł, śpiewając w pokoju pełnym ludzi. A Marianna z nerwowym śmiechem przypominała mu o obawach, jakie żywił w związku z nią ("Moje niewłaściwe zachowanie!"). Niemniej zdziwił go widok matki spacerującej po pokoju w gorskiej i koszulce, podczas gdy obok siedział Alessandro z filiżanką herbaty. Rankiem, gdy mieli już wyjeżdżać, do drzwi Tonia zapukał gwałtownie signore Lemmo. - Ojciec... - wyjąkał. - Czy jest z tobą?

- Ze mną? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał Tonio.

- Nie mogę go znaleźć - szepnął signore Lemmo. Nikt nie może go znaleźć.

- Ależ to absurdalne! - odparł Tonio.

Jednak wkrótce zorientował się, że w domu panuje zamieszanie.

Wszyscy zostali zaangażowani w poszukiwania. Marianna i Alessandro, którzy czekali z kuframi przy drzwiach, podnieśli się, gdy tylko im to oznajmił.

- Czy ktoś zaglądał do archiwów na dole? - spytał Tonio. Signore Lemmo natychmiast udał się tam, lecz powrócił z wiadomością, że na niższym piętrze nikogo, jak zwykle, nie ma. - A strych? - rzekł Tonio. Tym razem nie czekał jednak na nikogo, miał bowiem silne przeczucie, że właśnie tam znajdzie ojca. Nie wiedział czemu, ale w czasie całej drogi po schodach był tego pewien.

Kiedy jednak dotarł na strych, zatrzymał się, bowiem z drzwi na końcu korytarza sączyło się światło. Tonio znał te pokoje. Wiedział, gdzie spała służba, gdzie spędzali noce Angelo i Beppo, ale ta komnata zawsze była zamknięta. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, udało mu się

dostrzec przez dziurkę od klucza meble. Próbował otworzyć zamek. Nigdy jednak nie zdołał dostać się do środka. Nagle pojawił się cień podejrzenia. Tonio ruszył szybko przez korytarz, niejasno zdając sobie sprawę z tego, że podąża za nim signore Lemmo.

Andrea był w tym pokoju. Stał przy frontowych oknach wychodzących na wodę, ubrany tylko we flanelową koszulę nocną. Łopatki tworzyły wybrzuszenia w cienkiej tkaninie. Słysząc było jakieś ciche dźwięki, jakby mówił do siebie. Albo się modlił.

Tonio czekał przez dłuższą chwilę, przesuwając wzrokiem po ścianach, po obrazach i lustrach, które wciąż jeszcze tu wisiały. Dawno temu musiał pęknąć dach i podłogę pokryły ciemne plamy. Nad tym wszystkim unosił się zapach stęchlizny i zaniedbania. Tonio zauważył, że łóżko wciąż jeszcze było nakryte wilgotną, zniszczoną kołderką. Nie zdjęto zasłon. Brakowało jednego kasetonu. A na stoliku przy krześle obitym adamaszkiem stała pokryta ciemnym osadem szklanka. Leżała tam też jakaś rozłożona książka, a pozostałe, stojące na półkach, wzduły się, rozrywając skórzane oprawy.

Nikt nie musiał mu mówić, że był to pokój Carla. Nie potrzebował niczyjego potwierdzenia na to, że opuścił on go spiesznie i nigdy już tu nie wrócił.

Zaszokował go widok stojących przy łóżku kapci. Zauważył zjedzone przez szczury świece w lichtarzach. A przy skrzyni stał krzywo, jakby go tam ktoś rzucił, obraz. Był oprawiony w znajomy owal i kwadrat ze złota, których ciąg ozdabiał znajdującą się poniżej galerię i Wielki Salon. Najwyraźniej stamtąd zabrano to malowidło.

Przedstawił, oddaną doskonalej niż na innych obrazach, twarz brata, który z całkowitym spokojem patrzył szeroko rozstawionymi, czarnymi oczami na tę zniszczoną komnatę.

- Proszę zaczekać na zewnątrz - cicho odezwał się Tonio do signore Lemmo.

Z szeroko otwartego okna rozciągał się widok na czerwone, spadziste dachy, których monotonię rozpraszały gdzieś ogródki, wieżyczki i odległe kopuły Bazyliki Świętego Marka.

Z ust Andrei wydobył się gwizdzący dźwięk. Tonio poczuł przenikliwy ból w skroniach.

- Ojczy? - rzekł podchodząc.

Andrea niechętnie odwrócił głowę. W piwnych oczach nie pojawił się nawet znak, że poznaje Tonia. Jego twarz wyglądała na bardziej wychudzoną niż zwykle i błyszczała gorączką. Oczy, zawsze tak bystre, jeśli nie surowe, były teraz mętne, jakby pokrywało je bielmo.

Jego oblicze zaczęło się powoli rozjaśniać. - Chcę powiedzieć, że... że nie cierpię tego - szepnął.

- Czego, ojcze? - spytał Tonio. Był przerażony. Działo się coś okropnego.

- Karnawał, karnawał - wyjąkał Andrea drżącymi ustami. Położył dłoń na ramieniu Tonia.

- Jestem... jestem... muszę...

- Czy zejdiesz na dół, ojcze? - spytał ostrożnie młody Treschi. Nagle, na jego oczach, twarz ojca zaczęła się w straszliwy sposób zmieniać. Widział, jak rozszerzają mu się oczy, wykrzywiają usta.

- Co ty tutaj robisz?! - szepnął. - Jak dostałeś się do tego domu bez mojego pozwolenia? - Wyprostował się z ogromnym, miazdzącym gniewem.

- Ojcze! - szepnął jego syn. - To ja... Tonio.

- Ach! - Uniesiona dłoń ojca zawisła w powietrzu.

Nastąpił niekończący się moment zawieszenia, w czasie którego wszystko stało się nagle jasne.

Andrea patrzył na syna ze wstydem i zażenowaniem. Ogromna troska sprawiła, że zaczęły mu się trząść ręce, drżały usta. - Ach, Tonio - powiedział. - Mój Tonio!

Przez długą chwilę obaj milczeli. Z korytarza dochodziły szeptu innych. Wkrótce zamilkły.

- Ojcze, chodź do łóżka - rzekł Tonio. Po raz pierwszy czuł przez materię kości starca.

Wydawał się taki lekki, tak pozbawiony witalności czy siły, jakby został całkowicie pokonany.

- Nie, nie teraz. Wszystko ze mną w porządku - odparł Andrea. I z niejakim brakiem delikatności zdjął dłoń Tonia ze swego ramienia, po czym znów podszedł do otwartego okna.

Daleko w dole gondole sunęły po zielonej wodzie jak strąki grochu. Barka posuwała się wolno ku lagunie. Na jej pokładzie grała pogodnie niewielka orkiestra, a poręcze oplatały róże i lilie. Małe postacie migwały i obracały się, wchodząc pod baldachim z białego jedwabiu, i wydawało się, że w górę wzlatuje stłumiony śmiech.

- Czasem wydaje mi się, że starzeć się i umierać w Wenecji jest wbrew dobremu smakowi! - powiedział Andrea. - Dobry smak, jakby całe życie nie było niczym więcej - mówił z wściekłością. Zaschło mu w gardle, niemalże rzeził. - Ty wielka dziwko! - sapał, wpatrując się w dalekie, srebrne kopuły.

- Tato - szepnął Tonio.

Dotknęła go szponiasta ręka. - Mój synu, nie masz czasu na powolne dorastanie. Już raz ci to mówiłem. Bacz na moje słowa. Musisz sobie uświadomić, że jesteś już mężczyzną i nie zważając na chemiczne cuda boskie powinieneś zachowywać się tak, jakby była to całkowita prawda. Wtedy wszystko ułoży się właściwie, słyszysz?

Wbijał w Tonia wyblakłe oczy, których spojrzenie stawało się ostre, po czym znów wzrok zachodził mu mgłą. - Kiedyś mógłbym ci dać imperium, dalekie morza, świat. Dziś jestem w stanie darować ci tylko tę prawdę: kiedy uznasz, że jesteś mężczyzną, staniesz się nim. Wszystko inne samo się ułoży. Pamiętaj!

Dopiero po dwóch godzinach udało się przekonać Tonia, by pojechał nad Brentę. Alessandro dwa razy wchodził do pokoju ojca, by oznajmić po powrocie, że nie ma odwołania od tego rozkazu. Mieli udać się do willi Lisanich. Andrea martwił się, że już są spóźnieni. Chciał, by natychmiast wyjechali.

W końcu signore Lemmo kazał wszystkim zająć miejsca w gondolach i wziął Tonia na stronę.

- On cierpi, Tonio - rzekł. - Nie chce, byście ty i twoja matka widzieli go w takim stanie. Posłuchaj mnie. Nie daj mu poznać, że się martwisz. Poślą po ciebie, jeśli zajdzie jakakolwiek większa zmiana.

Kiedy wypływali z małej przystani, Tonio tłumiał płacz.

- Wytrzymaj oczy - szepnął Alessandro, pomagając mu wejść do łodzi. - Stoi na balkonie, by nas pożegnać.

Tonio spojrział w górę. Ujrzał podtrzymywaną z obu stron widmową postać. Andrea miał na sobie szkarłatne szaty, przygładzone włosy i sztywny uśmiech, jakby wyrzeźbiony z białego marmuru.

- Nie zobaczę go więcej - szepnął Tonio.

Dzięki Bogu, mała łódka była szybka, a kanały kręte. Kiedy Tonio usiadł w końcu w *falze*, wybuchnął cichym, ale niemożliwym do opanowania płaczem.

Cały czas czuł ciężar dłoni Alessandra.

A kiedy podniósł wreszcie wzrok, zauważył, że Marianna wygląda przez okno z niezmiernie tęsknym wyrazem twarzy.

- Brenta. - Niemalże śpiewała. - Nie widziałam stałego lądu od czasu, gdy byłam małą dziewczynką.

W królestwie Neapolu i Sycylii Guido nie znalazł uczniów, dla których warto byłoby wrócić do domu. Od czasu do czasu prezentowano mu jakiegoś obiecującego chłopca, ale nie miał odwagi powiedzieć jego rodzicom, że radzi dokonanie “operacji”.

Natomiast wśród już wykastrowanych młodzieńców nie trafił na ani jednego, którego warto byłoby zachęcać do dalszej nauki.

Pospieszył więc w głąb Państwa Kościelnego, do samego Rzymu, a później dalej na pomoc, do Toskanii.

Noce spędzał w hałaśliwych gospodach, dni w wynajętych powozach, czasem jadał obiady w towarzystwie interesownych przyjaciół bogatych rodzin. Cały jego ubogi dobytek mieścił się w sfatygowanej skórzanej walizie; w rękę ścisnął sztylet, który miał go obronić przed bandytami czyhającymi wszędzie na podróżnych.

Odwiedzał kościoły niewielkich miasteczek. Obejrzał opery we wszystkich wioskach i miastach.

Nim opuścił Florencję, znalazł dwóch dosyć utalentowanych chłopców, których umieścił w klasztorze, skąd miał ich później wziąć do Neapolu. Nie byli cudownymi dziećmi, ale los obdarzył ich szcudziej niż tych, których Guido słyszał dotychczas, a poza tym młody maestro obawiał się wyruszyć w drogę powrotną z niczym.

W Bolonii przesiadywał w kawiarniach, spotykał się ze znamienitymi agentami teatralnymi. Spędzał całe godziny ze śpiewakami, którzy zbierali się w nadziei otrzymania jakiejś oferty na nadchodzący sezon, i ciągle liczył na to, że usłyszy o jakimś chłopcu obdarzonym wspaniałym głosem, który marzyłby o scenie i doceniłby szansę studiowania w wielkich konserwatoriach Neapolu.

Od czasu do czasu starzy przyjaciele, którzy byli z nim w klasie, stawiali mu coś do picia. Zadowoleni ze spotkania, pewni swej obecnej przewagi nad Guidem, z dumą opowiadali o swych przygodach.

Nie znalazł nic.

Kiedy jednak nadeszła wiosna, powietrze stało się cieplejsze i słodsze, a gałęzie topól znów pokryły się liśćmi, Guido ruszył dalej na północ, w kierunku największej zagadki Italii: wspaniałej i starej Republiki Wenecji.

Andrea Treschi zmarł w czasie najstraszniejszych sierpniowych upałów. Signore Lemmo natychmiast przesłał Toniowi wiadomość, że jego opiekunami są teraz Catrina i jej mąż, a Carlo Treschi, wezwany przez ojca do domu, gdy tylko śmierć starca zaczęła wydawać się pewną, już wypłynął ze Sztambułu.

CZĘŚĆ DRUGA

1

Dom przepełniony był atmosferą śmierci i obcymi ludźmi. Starszymi mężczyznami w czarnych i szkarłatnych szatach, niekończącym się szeptem.

A potem z apartamentu ojca dobiegł ten potworny dźwięk, nieludzki ryk. Słyszał, jak się zaczął, jak nabierał na sile.

Kiedy wreszcie z rozmachem otworzyły się drzwi, na korytarz wyszedł jego brat Carlo. Spojrzał mu w oczy z najbledszym, najlżejszym uśmiechem pełnym nieśmiałości i klęski, który stanowił przejrzystą zasłonę ogromnego zażenowania, mającego ukryć oburzenie.

Patrzył, jak Carlo płynie po Canale Grande. Przyglądał się, jak stoi na dziobie łodzi, a wilgotna bryza rozwiewa z tyłu jego pelerynę. Oglądał czarne włosy, znajomy kształt głowy. Obserwował, jak Carlo wychodzi na ląd. Czekał na niego na szczycie schodów.

Czarne oczy, takie same jak jego własne, i wzdrygnięcie się, jakim Carlo zareagował, gdy zauważył to podobieństwo. Jego twarz, większa i opalona, nagle zapłonęła uczuciem. Carlo podszedł, wyciągnął ręce ugięte w powitalnym geście i wzięwszy Tonia w ramiona, przytulił go tak mocno, że chłopcu wydawało się, iż czuje westchnienie brata, nim jeszcze je usłyszał.

Czego Tonio oczekiwał? Wrogości? Goryczy? Sprytu zrodzonego z namiętności? Na tej twarzy malowała się taka otwartość, takie szczere ciepło! Ręce Carla śmiało go pieściły, jego usta spoczywały na czole Tonia. W dotyku starszego brata była pełna miłości poufalość i przez sekundę, gdy stali objęci ramionami, Tonio odetchnął ze skrywaną, niewypowiedzianą ulgą.

- Przyjechałeś - szepnął.

A jego brat powiedział głosem tak cichym, że wywołało to zaledwie drobny szum w jego masywnej piersi:

- Tonio.

A potem początek tego ryku, tego przerażającego, coraz głośniejszego ryku, warczenie przez zaciśnięte zęby, pięść opadająca raz za razem na stolik ojca.

- Carlo! - powiedziała Catrina, podnosząc się za plecami Tonia z szelestem jedwabiu. Stała z odrzuconym w tył żałobnym welonem i smutną twarzą, gdy otworzyły się drzwi i wyłonił się z nich Carlo.

Ciche dźwięki, szepty. Catrina pospieszyła za nim korytarzem. Signore Lemmo bezgłośnie, spiesznie chodził tam i z powrotem. Marianna odziana w żałobny strój patrzyła wprost przed siebie.

Od czasu do czasu Tonio dostrzegał błysk przesuwających się w jej palcach paciorków różańca i blask oczu, gdy podnosiła na moment wzrok.

Nawet nie uniosła głowy, kiedy Carlo wszedł do pokoju. On w milczeniu obserwował ją kątem oka.

W końcu skłonił się aż do ziemi. - Signora Treschi - powiedział. Wyglądał tak jak na portretach i zdawało się, że palące słońce Lewantu tylko pogłębiło naturalny odcień jego karnacji. Grzbiety dłoni miał porośnięte ciemnymi włosami. Zdawał się z niego emanować nikły, piżmowy, korzenny zapach wschodnich perfum. Prawą dłoń Carla ozdabiała trzy pierścienie.

A teraz gdzieś za zamkniętymi, jeszcze jednymi drzwiami, Catrina starała się go przebłagać.

Na szczycie schodów pojawił się Beppo, za którym ukazała się wysoka postać Alessandra.

Śpiewak otoczył Tonia ramieniem. Szybko, cicho ruszyli do pokoju chłopca.

Zza murów dobiegał ich przez chwilę głos Catriny: - Jesteś w domu, rozumiesz, w domu, a przy tym wciąż jesteś młody, dookoła toczy się życie...

Potem usłyszeli przerywający jej słowa niższy, niezrozumiały grzmot złości Carla.

Kiedy zamknęły się drzwi, Alessandro zdjął swą ciemnoniebieską pelerynę. Spływały z niego krople deszczu, a duże, marzycielskie oczy śpiewaka pociemniały ze zmartwienia.

- A więc już tu jest - szepnął.

- Musisz zostać przy mnie, Alessandro. Potrzebuję cię - rzekł Tonio. - Jeszcze przez cztery lata będziesz mi potrzebny w tym domu; dopóki nie poślubię Franceski Lisani. Mój ojciec opisał to wszystko w testamencie, w instrukcjach dla opiekunów majątku.

Ale przez te cztery lata, Alessandro, będą musiał mieć nad bratem przewagę.

Alessandro przycisnął palce do ust Tonia, jak anioł składający ostatnią pieczęć w chwili stworzenia.

- To nie ty masz zdobyć przewagę, Tonio, musi zatriumfować wola twego ojca i wola tych, którzy mają ją wykonać. Czy został wydziedziczony?

Wypowiadając ostatnie słowo, zniżył głos. Byłaby to rzecz straszna, do której mogłoby dojść tylko wówczas, gdyby Carlo kiedykolwiek podniósł ręką na ojca z zamiarem skrzywdzenia go. Coś takiego nigdy nie miało miejsca.

- Majątek nie został podzielony - mruknął Tonio. - Ale polecenia mego ojca są jasne. Mam się ożenić. Większa część majątku przeznaczona została na moją naukę, praktykę i potrzeby, jakie będę miał jako mąż stanu. Carlowi przyznano niewielką sumkę i poradzono, by poświęcił się mym dzieciom...

Alessandro skinął głową. Nie był zdziwiony.

- Alessandro, on jest oburzony! Żąda wyjaśnień, dlaczego ma się do tego stosować. Jest najstarszym synem...

- W Wenecji nie ma to znaczenia, Tonio - przypomniał mu śpiewak. - Ojciec ciebie wybrał do ożenku. Cała ta sprawa nie powinna cię przerażać. Nie ty, ale prawo i twoi opiekunowie mają na to wpływ.

- On chce wiedzieć, Alessandro, czemu los rodu ma zależeć od chłopca...

- Tonio, Tonio - szepnął Alessandro. - Nie mógłbyś mu ustąpić, nawet gdybyś chciał. Przestań o tym myśleć. Nie wiem, na ile to pomoże, ale zostanę z tobą.

Tonio wziął głęboki oddech. Patrzył tak, jakby nie dotarły do niego wszystkie te zapewnienia. - Alessandro, gdybym tylko mógł nim pogardzić... - zaczął.

Alessandro skłonił głowę na jedną stronę, a na jego twarzy malowała się niewyczerpana cierpliwość.

- Ale on nie wydaje się... jest taki...

- Nie masz na to wpływu - powiedział cicho Alessandro.

- Co o nim wiedziałeś? - naciskał Tonio. - Na pewno wiedziałeś, że istnieje.

- Owszem - odparł śpiewak i, nie zdając sobie z tego sprawy, odgarnął z czoła Tonia kosmyk włosów. Położył dłoń na ramieniu chłopca. - Ale tylko tyle, co wszyscy inni. Był porywczym młodzieńcem. Domem wstrząsnęła śmierć: śmierć jego matki, braci. Niewiele więcej mogę ci powiedzieć.

- Catrina nim nie pogardza - szepnął Tonio. - Współczuje mu!

- Współczuje mu, Tonio, ale jest twą opiekunką i poprze cię. Kiedy zrozumiesz, że nie masz na te sprawy żadnego wpływu, uspokoisz się.

- Ale powiedz mi, Alessandro... ta kobieta, której nie chciał poślubić. Całe lata temu, gdy ojciec pragnął doprowadzić do tego małżeństwa...

- Nic o tym nie wiem - rzekł Alessandro, potrząsając nieznacznie głową.

- Odmówił ożenku z dziewczyną, którą wybrał dla niego ojciec. Uciekł z jakąś panną z klasztoru, ale ta dziewczyna, której nie chciał, Alessandro - czy to była moja matka?

Alessandro miał już zaprzeczyć, ale zatrzymał się i przez chwilę wydawało się, że nie rozumie pytania.

- Jeśli była dziewczyną, której Carlo nie chciał, ta sytuacja będzie dla niej nie do wytrzymania...

Alessandro milczał przez chwilę. - Nie była dziewczyną, której poślubienia odmówił - powiedział cicho.

Ciemny, pusty dom, obce dźwięki.

Wspiął się po schodach na najwyższe piętro.

Wiedział, że Carlo jest w swym starym pokoju; widział tak rzadko tu spotykane światło dnia wymykające się spod drzwi na zakurzony korytarz.

Dziś rano przy śniadaniu brat pytał o Tonia, posłał swych tureckich służących, by zaprosili go na dół, ale Tonio siedział samotnie w łóżku i, ukrywając twarz w dłoniach, szeptał tym obcym ludziom jakieś wymówki.

Teraz podszedł szybko na palcach do drzwi, i obserwował, jak Carlo chodzi między zniszczonymi rzeczami, patrzył na łóżko - platformę kurzu i łachmanów, na napuchniętą od deszczu książkę w ręku Carla, który przewracał jej ciężkie i wciąż wilgotne stronicę. Czytał szeptem, stojąc na tle błękitu nieba zaćmionego przez brudne szyby, i zdawało się, że jego szept pasuje do tego miejsca. Wymawiając słowa monotonicznie, rytmicznie, głośniejsz, choć do siebie, prawą ręką wykonywał delikatne ruchy.

Dostrzegł Tonia. Na jego twarzy pojawił się ten, jakże ciepły, wyraz. Oczy otoczyły wywołane uśmiechem fałdki. Zamknawszy książkę, położył na niej otwartą dłoń.

- Wejdz, braciszku - powiedział. - Jak widzisz... cóż, nie wiem, co począć. Nie mogę zaprosić cię, byś zasiadł ze mną w moich dawnych apartamentach.

W jego głosie nie brzmiała ironia, jednak Tonio gwałtownie się zaczerwienił i nieprzytomny ze wstydu spuścił wzrok, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Czemu od razu nie kazał sługom przygotować tego pokoju? Dlaczego o tym nie pomyślał? Dobry Boże, w końcu od niedawna był panem domu! I jeśli nie on, to kto miałby wydać ten rozkaz? Spojrzał na poplamione ściany, z których łuszczyła się farba, na zniszczony dywan.

- Od razu widać, jak mnie tu kochano - westchnął Carlo. Odłożył książkę, przesuwając wzrokiem po splekanych suficie. - Jak dbano o rzeczy drogie memu sercu, ocalono przed molami me ubrania i przechowywano książki w suchym, bezpiecznym miejscu.

- Wybaczcie mi, signore!

- I za cóż? - Carlo wyciągnął dłoń, a kiedy Tonio się zbliżył, brat przyciągnął go do siebie i chłopak znów poczuł rozgrzewające ciepło, siłę. A gdzieś w dalekim, wolnym od trosk zakątku jego umysłu pojawiła się myśl: - Tak będę wyglądał jako mężczyzna. Niewiele osób może znać przyszłość w takim stopniu, jak ja ją znam.

Carlo pocałował go delikatnie w czoło.

- Cóż mogłeś na to poradzić, braciszku?

Nie czekał na odpowiedź. Znów otworzył książkę, przesuwając dłonią po literach wydrukowanych na rozpadających się stronicach: tytuł napisanej po angielsku sztuki brzmiał "Burza", pod nim widać było dwie równe kolumny druku. Carlo zaczął znów czytać rytmicznym szeptem:

- "Ojca morskie tulą fale..." - Gdy znów podniósł wzrok, zdawało się, że widok Tonio go rozprasza.

- O co chodzi? Co widzisz? Czy mną pogardzasz? - myślał Tonio. Zniszczony pokój zaczął na niego napierać, kurz go dusił, lecz po raz pierwszy udało mu się wciągnąć w płuca odór wszystkich tych rozpadających się, gnijących rzeczy.

Ale jego brat nie odwrócił wzroku, sam nie był świadom wyrazu swych czarnych oczu.

- Pierwsze dziecko z tego związku - szepnął Carlo. - Dziecko zrodzone z wyżyn namiętności. Obdarzone wszelkimi błogosławieństwami, jak mówi przysłowie, pierwsze dziecko. - Ściągnął brwi, zeszywniały mu kąciki ust.

- Ja byłem ostatnim z potomstwa rodziców - ciągnął - a tak jesteśmy podobni. Nie ma więc żadnej reguły. Pierwsze czy ostatnie dziecko, różnica tylko w uczuciach ojca względem pierwszego dziecka!

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, signore.

- Oczywiście, że nie. Czemu miałbyś rozumieć? - rzekł Carlo głosem tak samo spokojnym, delikatnym, pozbawionym złości jak przedtem. Zastanawiając się, spojrział na Tonia, jakby sprawiało mu to przyjemność. Tonio czuł, jak wiednie i staje się nie-szczęśliwy pod wpływem tego wzroku.

- Rozumiesz więc? - spytał Carlo. - Rozejrzyj się. - W jego głosie znów czaił się ten ryk.

- Pozwólcie, signore, że każę sługom wysprzątać pokój...

- Będziesz tak dobry? Jesteś tu w końcu panem, prawda? - Miał jeszcze bardziej napięty głos.

Tonio spojrział mu w oczy. To nie był gniew, lecz oburzenie. Potrząsnąwszy bezradnie głową, odwrócił wzrok.

- Nie, to nie twoja wina braciszku - rzekł Carlo. - Jakież z ciebie książątko! - dodał z najdelikatniejszą szczerością. - Jak musiał cię kochać! Odważę się przypuścić, że i ja bym cię kochał, gdybym był twym ojcem.

- Powiedźcie, signore, jak mamy darzyć się wzajemną miłością!

- Ależ ja cię kocham - szepnął Carlo. - Jednak zostaw mnie tu samego, nim powiem coś, czego będę żałować. Zrozum, że nie jestem jeszcze sobą, a przybyłem do tego domu raczej po to, by odnaleźć siebie, którego tu zabito i położono na spoczynek. Snuję się więc po pałacu, jakbym sam był widmem, a gdy jest się w takim stanie ducha, niebezpiecznie blisko pojawiają się piekielne myśli i słowa.

- Niech pan więc opuści to miejsce. Proszę... Może pan zająć jego apartamenty na piętrze, signore...

- Oddajesz mi te pokoje, braciszku?

- Nie chciałem powiedzieć, że je panu daję, signore. Nie miałem zamiaru pana w ten sposób obrazić. Miałem na myśli to, że oczywiście może je pan zająć.

Carlo uśmiechnął się, podniósł wzrok i opuścił na stół książkę, którą trzymał w dłoni. Po czym znów, niemal gwałtownie, ujął głowę Tonia w obie ręce.

- Och, czemuż nie jesteś zepsutym, aroganckim chłopcem? - szepnął. - Czemu nie mogę potępić go i za to, że ci pobleżał?

- Nie powinniśmy rozmawiać o tych sprawach, signore. W przeciwnym razie nie, będziemy mogli się znieść.

- I jesteś jeszcze przy tym zmyślny, mądry i odważny, tak, odważny, braciszku. Stajesz ze mną twarzą w twarz, rozmawiasz. Czy powiedziałeś przed chwilą, że mam ci wskazać, jak winniśmy się darzyć wzajemną miłością?

Tonio skinął głową. Wiedział, że gdyby zaczął mówić, głos by mu się załamał. I stojąc tak blisko Carla, że musiał trzymać się sztywno wyprostowany, pochylił się, dotknął ustami policzka brata i usłyszał, jak Carlo wzdycha, znów obejmując go ramieniem.

- To takie skomplikowane, takie skomplikowane - powiedziała Catrina. Minęła już północ i w całym domu, prócz pokoju, po którym chodził Carlo, panowała ciemność. Tonio wyczuwał w jego gwałtownych słowach wpływ wina. Nie ściszał głosu.

- Ale przecież wróciłeś bogaty, jesteś jeszcze młody... Na Boga, czy to miasto nie ma do zaoferowania dosyć, by uszczęśliwić cię bez żony i dzieci? Jesteś wolny...!

- Skończyłem z wolnością, signora. Wiem, co można kupić. Wiem, co można mieć. Tak, przez piętnaście lat byłem bogaty, młody i wolny! Kiedy on żył, cierpiałem męki czyśćca, ale teraz, kiedy nie żyje, przeżywam piekło! Proszę nie mówić mi nic o wolności! Odbyłem wystarczającą pokutę, by móc się ożenić i...

- Carlo, nie możesz wystąpić przeciw niemu!

Służący o ciemnych twarzach zamiatali korytarz. Przy drzwiach do dawnych komnat Andrei zatrzymywali się młodzieńcy; wczesnym rankiem przybył Marcello Lisani, by przy długim stole w jadalni zjeść z Carlem śniadanie.

- Wejdz, Tonio! - Dojrawszy przez otwarte drzwi przechodzącego korytarzem brata, Carlo przywołał go gestem dłoni, wstając natychmiast. Krzesło odsunęło się w tył po płytkach.

Tonio uklonił się szybko i uciekł. A gdy znalazł się we własnym pokoju, stanął cicho przy drzwiach, jakby znalazł sobie tu jakąś kryjówkę.

- Nie, nie jest zrezygowany - Catrina potrząsnęła głową. Sprawdzając lekcje Tonia, na sekundę zmrużyła bystre, niebieskie oczy, po czym oddała kartkę Alessandrowi. Miała przy sobie w skórzanych okładkach plik papierów dotyczących tego, ile zapłacić kucharzowi, lokajowi, nauczycielom, ile zrobić zapasów jedzenia i czego jeszcze potrzeba.

- Ale musisz to znosić w milczeniu - dodała, ujmując dłonie Tonia. - Nie wolno ci go sprowokować.

Tonio skinął głową. Siedzący w rogu pokoju Angelo, wymizerowany i niespokojny, zerkał znad brewiarza.

- Pozwól mu więc zebrać starych przyjaciół, zorientować się, kto ma wpływy, kto piastuje wysokie stanowiska - Catrina nachyliła się bliżej, spojrzała mu w oczy, a jej głos przycichł. - I pozwól, by wydawał pieniądze na cokolwiek zechce. Przywiózł do domu fortunę. Narzeka na te ciemne draperie. Tęskni za weneckimi luksusami, francuskimi świecidełkami i ładnymi tapetami. Pozwól mu...

- Dobrze, dobrze... - odparł Tonio.

Tonio co rano patrzył, jak wychodzi z domu, zbiega po schodach, dzwoniąc kluczami i pobrzękując szablą u boku. Głośny dźwięk jego kroków na marmurze był tu czymś tak dziwnym, że zdawał się on żyć własnym życiem. A przez uchylone drzwi do swojego pokoju Tonio widział rząd białych peruk, spoczywających na wypolerowanych, drewnianych głowach, i słyszał szept Andrei: "strojniś".

- Braciszku, zjedz dziś ze mną kolację. - Czasem wydawał się wyłaniać z cienia, jakby tam na niego czyhał.

- Wybaczcie mi, proszę, signore, ale nie jestem w nastroju. Mój ojciec... Tonio był pewien, że skądś dolatuje śpiew jego matki.

Alessandro późnym popołudniem siedział w bibliotece nieruchomo jak posąg. Odgłosy kroków na schodach. A przez otwarte drzwi dobiegał jej głos śpiewający meloncholiwną pieśń podobną do hymnu. Kiedy jednak Tonio podniósł się, by ją odnaleźć, okazało się, że właśnie wychodzi.

W rękę trzymała książeczkę do nabożeństwa. Opuściła welon, chyba nie chciała na niego patrzeć. - Lena ze mną pójdzie - odparła. Dziś Alessandro nie był jej potrzebny.

- Mamo! - Tonio pospieszył za nią do drzwi. Nuciała coś. - Czy jest ci teraz dobrze? Powiedz.

- Czemu o to pytasz? - Powiedziała to tak lekko. Błyskawicznie wyciągnęła dłoń spod cienkiej, czarnej siateczki i uszczypnęła go w nadgarstek. Był zaskoczony. Przez chwilę czuł ból; rozżółcił się.

- Jeśli nie jest ci tu dobrze, mogłabyś przenieść się do Catriny - odparł, obawiając się, że odejdzie i jej pokoje także staną się obce, puste.

- Jestem w domu swego syna - odrzekła. - Otwórz drzwi - zwróciła się do odźwiernego.

* * *

W bezsenne noce leżał wsłuchując się w ciszę. Cały świat, znajdujący się poza drzwiami jego pokoju, zdawał się obcym terytorium - korytarze, znajome przestrzenie, nawet wilgotne i zaniedbane miejsca. Z dołu dochodziły wybuchy śmiechu. Słyszał - chociaż właściwie nikt nie powinien być w stanie tego usłyszeć - nikły, niemal niezauważalny dźwięk poruszających się po domu ludzi.

Z daleka słyhać było ostry, niepowstrzymany kobiecy krzyk. Przewrócił się na drugi bok i zamknął oczy, po czym zdał sobie sprawę, że głos ten dobiega z wnętrza domu.

Spał. Śnił. Otworzywszy drzwi usłyszał na nowo tę samą rozmowę. Catrina mówiła piskliwie, cienko. Czyżby łkała?

Był wczesny wieczór. Wśród dźwięków nocy rozbrzmiewał również nikły, daleki zgiełk październikowego karnawału. Zaledwie o kilka metrów dalej, w Pałacu Trimani, odbywał się wielki bal, a Tonio stał samotnie w długiej jadalni i złożony dłoń na drapowanej kotarze patrzył w dół na przyplływające i odpływające łodzie.

Pod oknem, na przystani, tuż przed Leną i Alessandrem stała jego matka. Długi, czarny welon sięgał rąbka sukni, a wiatr sprawiał, że gaza, z której był zrobiony, opinała jej twarz, czyniąc z niej rzeźbę. Marianna czekała na gondolę.

A czy on był w domu?

Wielki Salon wyglądał jak morze smolistej czerni.

Kiedy zaczął rozkoszować się jego ciszą i spokojem, usłyszał pierwszy dźwięk. Ktoś poruszał się w ciemności, pojawiła się woń wschodnich perfum o zapachu piżma, skrzypnęły drzwi, czyjaś stopa delikatnie dotknęła podłogi tuż za Toniem.

- Złapany na pełnym morzu - pomyślał, spoglądając na migocący kanał. Nad dalekim Placem Świętego Marka płonęło niebo.

Włosy porastające kark Tonia zjeżyły się. Poczł nikły nacisk ciała stojącego za nim mężczyzny.

- W dawnych czasach - szepnął Carlo - wszystkie kobiety nosiły takie welony. Dodawało im to piękna. Nosiły ze sobą po ulicach jakąś tajemnicę, coś wschodniego...

Kiedy Tonio wolno podniósł wzrok, zobaczył go tak blisko, że mogliby się dotknąć. Czerń płaszcza Carla przecinała ozdobna, lśniąca, biała koronka, która wydawała się raczej mirażem niż kawałkiem materiału. Jego peruka o doskonale skręconych lokach nad uchem, o

włosach nad czołem wymodelowanych tak naturalnie, że wyglądały jak prawdziwe, lekko pobłyskiwała.

Podszedł do szyby i wyjrzał. Niezwykle podobieństwo między nimi irytowało Tonia jak zwykle, gdy je zauważał. Przy skąpym blasku świecy skóra Carla wydawała się bez skazy. Jediną wskazówką wieku były te, tak widoczne, gdy zaczynał się szeroko uśmiechać, zmarszczki w kącikach oczu.

Teraz właśnie jego twarz złagodniała pod wpływem jednego z tych uśmiechów, wyrażających niepohamowaną tkliwość, która zaprzeczała panującej między nimi wrogości.

- Unikasz mnie, Tonio. Noc po nocy - rzekł. - Zjedźmy teraz wspólnie kolację. Stół jest nakryty. Dania są gotowe.

Tonio ponownie odwrócił się w stronę kanału. Matka odpłynęła. Noc, mimo poruszających się mozolnie łódek, zdawała się tchnąć pustką.

- Myślami jestem przy ojcu, signore.

- Ach, twój ojciec! - Ale Carlo nie odwrócił się. W ciemności poruszali się tureccy służby, zapalający niewielkimi świeczkami wszystkie wieloramienne kandelabry: na stole i na skrzyniach pod tym prześladowującym go obrazem.

- Siadaj, braciszku.

- Chcę cię pokochać - myślał Tonio - bez względu na to, co zrobiłeś. Myślałem, że da się to jakoś naprawić.

I opuściwszy głowę, Tonio usiadł, jak często mu się to zdarzało, u szczytu stołu. Natychmiast zorientował się, co zrobił, i zaraz podniósł wzrok, by spojrzeć na brata.

Serce zabiło mu szybciej. Przyglądał się przyjaźnie promiennemu uśmiechowi Carla. Przy śnieżnej bieli peruki jego skóra zdawała się jeszcze ciemniejsza, a gdy siedział tak, patrząc na Tonia bez urazy czy potępienia, wyraźniej dostrzegało się piękno jego wysoko umieszczonych brwi.

- Jesteśmy ze sobą skłóceni - rzekł Carlo, a jego uśmiech ustąpił powoli spokojniejszemu, naturalniejszemu wyrazowi twarzy. - Choćbyśmy dokładali jak największych starań, by udawać, że tak nie jest, jesteśmy ze sobą skłóceni i, chociaż minął już prawie miesiąc, nie możemy nawet podzielić się chlebem.

Tonio ze łzami w oczach skinął głową.

- A podobieństwo między nami - ciągnął Carlo - jest po prostu niesamowite.

Tonio zastanawiał się, czy można wyczuć miłość wyrażaną bez słów? Czy Carlo dostrzegał ją w jego oczach? Po raz pierwszy, siedząc niezwykle nieruchomo i nie będąc w stanie wykrztusić nawet najprostszycy słów, zdał sobie sprawę, jak bardzo pragnął zaufać bratu. Zaufać mu, wierzyć w niego, zwracać się po pomoc. Było to jednak niemożliwe. Skłóceni. Chciał wyjść z komnaty, lecz obawiał się brawurowej, dziwnej elokwencji brata.

- Mój przystojny braciszek - szepnął Carlo. - Francuskie stroje - zauważył z niemalże niewinnym błyskiem w dużych, ciemnych oczach. - Taka delikatna sylwetka, po matce, jak przypuszczam, i jeszcze jej głos, ten prześliczny sopran.

Tonio rozmyślnie odwrócił wzrok. Czuł rozdzierający ból. Ale jeśli nie porozmawiają teraz, cierpienie tylko się pogłębi.

- Kiedy była dziewczyną - rzekł Carlo - i śpiewała w kaplicy, wzruszała nas do łez. Nigdy ci o tym nie mówiła? Ach, jakież składano jej hołdy, gondolierzy ją uwielbiali!

Tonio powoli znów skierował na niego wzrok.

- Była z niej prawdziwa syrena - dodał Carlo. - Nikt ci o tym nie opowiadał?

- Nie - odparł niepewnie Tonio. Czuł, że brat obserwuje, jak wierci się na krześle i znów pospiesznie odwraca wzrok.

- A była przy tym także piękna, piękniejsza nawet, niż jest teraz... - Carlo ściszył głos do szeptu.

- Lepiej niech pan tak o niej nie mówi, signore! - wyrwało się Toniowi, nim jeszcze zdążył pomyśleć.

- Czemu? Co się stanie - głos Carla był wciąż spokojny - jeśli będę o niej tak mówił?

Tonio spojrzał na niego. Uśmiech Carla zmieniał się, był coraz szerszy, chłodniejszy. Tonio pomyślał, że wśród wyrazów ludzkiej twarzy niewiele jest straszniejszych od takiego uśmiechu.

Kryło się za nim to cierpienie, podniecenie i wściekłość, którą wyrażał najpełniej ryk dochodzący zza zamkniętych drzwi. Uśmiech nie był więc w rzeczywistości zimny, a tylko pełen rozpaczycy i wrażliwości.

- Nie ja do tego doprowadziłem! - szepnął nagle Tonio.

- Więc ustąp mi! - odparł Carlo.

A więc doszło do tego!

Co dzień obawiał się tej chwili. Odszedłby, gdyby nie to, że na jego dłoni spoczywała ręka Carla i miał wrażenie, iż jest niemalże przywiązany do stołu. Czuł, jak oblewa go pot, a pokój wydał mu się nagle niezmiernie zimny. Wpatrywał się w płomienie świec, które, być może, oślepiły go, i wiedział, że nie może zrobić nic, by zapobiec tej sytuacji.

- Nie pragniesz usłyszeć, jak ja to przeżyłem? - szepnął Carlo.- Dzieci są ciekawe. Czy w tobie nie ma tej naturalnej chęci? - Twarz nabrzmiała mu od gniewu, ale nie zniknął z niej uśmiech, a głos opadł na ostatniej sylabie, jakby obawiał się własnej siły.

- Signore, nie ze mną prowadzi pan spór. Niech się pan do mnie nie zwraca.

- Zdziwiasz mnie, braciszku. Niczym nie można cię zastraszyć, prawda? Jest chyba w tobie żelazo, które było w nim, i jej pełna irytacji niecierpliwość. Ale wysłuchasz mnie.

- Myli się pan, signore! Nie wysłucham pana! Proszę się zwrócić ze swoją sprawą do tych, których wyznaczono do rządzenia nami, naszym majątkiem, naszymi decyzjami.

I czując przemożny wstręt do brata, Tonio wyjął dłoń z jego uścisku.

Ale twarz Carla magnetyzowała go. Była jakby młodsza niż być powinna, pełna porywczosci i strapienia. Rzuciła Toniowi wyzwanie, błagała go, nie było w niej śladu tego, jak powiedział Carlo - żelaza, które rzeczywiście Tonio dostrzegł u ojca.

- Czego pan ode mnie chce, signore? - rzekł. Wyprostował się i wciągnął powoli powietrze. - Proszę mi wyjaśnić, signore, co mam robić?

- Powiedziałem, byś mi ustąpił! - Carlo znów podniósł głos. - Nie widzisz, co on mi zrobił? Okradł mnie, ot co, a teraz stara się uczynić to po raz drugi, ale mu się nie uda, zapewniam cię!

- Jakim cudem? - spytał Tonio. Czuł, że drży, lecz była w nim też radość, która opanowuje wszystkich wzbraniających się przed czymś. - Czy mam wymyślać przeszkody, kłamstwa? Sprzeciwiać się woli ojca, dlatego że pan mnie o to poprosił? Nie wiem, czy jest we mnie żelazo, signore, ale z pewnością płynie we mnie krew Treschich, a pan tak źle mnie ocenił, że nie wiem nawet, jak mogę panu ten błąd udowodnić.

- Czyżbyś w żadnym calu nie był dzieckiem?

- Jestem dzieckiem, signore i dlatego muszę to wszystko teraz znosić - odparł Tonio. - Ale pan jest mężczyzną i wie z pewnością, że nie ja jestem sędzią, do którego powinien pan skierować swą prośbę. Nie ja powiadomiłem pana o wyroku.

- Wyrok, tak wyrok! - rzekł Carlo niepewnym głosem. - Jak świetnie dobierasz słowa, jakże dumny byłby z ciebie ojciec: jesteś taki młody, bystry i tak odważny...

- Odwaga! - powiedział łagodniej Tonio. - Zmusza mnie pan do mnożenia słów. Nie chcę się kłócić! Proszę pozwolić mi odejść, to dla mnie piekło! Brat przeciwko bratu!

- Tak, brat przeciwko bratu - odparł Carlo. - A co z resztą rodziny? Co z twoją matką? Gdzie jest jej miejsce w tym wszystkim? - szeptał, przysuwając się tak blisko, że Tonio wzdrygnął się, wciąż nie mogąc oderwać od niego oczu.

- Powiedz! - zażądał Carlo. - Jak to jest z twoją matką? Tonio był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć. Został przyciśnięty do oparcia krzesła. Wpatrywał się w swego sobowtóra. Powróciło mgliste uczucie obrzydzenia.

- Pana słowa wydają mi się zbyt dziwne, signore.

- Czyżby? Wyteż umysł, jesteś przecież mądry, wodzisz swych nauczycieli za nos. Powiedz, czy jest zadowolona, że przeżyje swe dni w domu syna jako wdowa w żałobie?

- Cóż innego mogłaby robić? - szepnął Tonio.

Powrócił znów ten uśmiech, niemalże słodki, a tak kruchy. - W tym człowieku nie ma prawdziwego zła - powiedział sobie Tonio z rozpaczą. - Nie ma go nawet teraz. Jest tylko ogromne niezadowolenie. Niezadowolenie tak straszne, że Carlo nie dopuścił jeszcze do siebie myśli o porażce czy goryczy.

- Ile ma lat? - spytał Carlo. - Dwa razy tyle co ty? A czymże więcej było do tej pory jej życie niż więzieniem? Wkroczyła do tego domu jako dziewczyna, prawda? Nie musisz mi odpowiadać, pamiętam ją.

- Proszę nic nie mówić o mojej matce.

- Ty nie pozwalasz mi mówić o twej matce? - Carlo pochylił się w przód. - Czy nie należy do tej samej rodziny co my obaj? Czyż nie żyła w tym domu przez piętnaście lat z moim ojcem jak w grobie?

- To obrzydliwe, co pan mówi! - szepnął Tonio. - Jeszcze jedno słowo na jej temat...

- Czyżbyś mi groził? Twe szpady są dla mnie zabawkami, chłopcze. Na twej przystojnej twarzy nie pojawił się jeszcze nawet cień zarostu, a głos masz równie słodki jak ona. Przynajmniej tak mi powiedziano. Nie groź mi. Będę o niej mówił, co mi się spodoba. I zastanawiam się też, jak długo trzeba by z nią rozmawiać, aby zaczęła przeklinać wszystkie te lata!

- Na Boga, jest przecież żoną twego ojca! - wydusił Tonio przez zaciśnięte zęby. - Możesz wywierać presję na mnie, nie boję się ciebie. Ale ją zostaw w spokoju, rozumiesz, albo - choć jestem dzieckiem - wezwę na pomoc wszystkich, którzy zechcą mnie wesprzeć! To było piekło, piekło takie, jak przedstawiali je poeci i malarze.

- Presję? - Carlo zaśmiał się cicho, jakby szczerze. Twarz mu się wygładziła, oczy lekko rozszerzyły. Komu byłaby potrzebna presja? Jest wciąż kobietą, braciszku. I to samotną, pozbawioną męskich pieścizot, jeśli w ogóle jeszcze je pamięta. Kiedy odchodziła od zmysłów, dał jej eunucha na kochanka. Ja nie jestem eunuchem. Jestem mężczyzną, braciszku.

Tonio wstał. Ale Carlo był tuż obok.

- Jesteś diabłem z piekła rodem, tak jak mówił! - szepnął Tonio.

- A więc tak powiedział! - krzyknął Carlo. Chwycił go za łokieć. Jego twarz ściągnęło cierpienie, rozdzierał go ból, gdy zwrócił się do Tonia. - Mówił, że jestem diabłem, tak? A czy powiedział ci, co on mi zrobił? Czy powiedział, co mi odebrał? Piętnaście lat na wygnaniu! Ile może znieść człowiek? Gdybym był diabłem, znosiłbym to piekło z szatańską siłą!

- Żal mi pana! - Tonio uwolnił się, gwałtownie wyszarpnąwszy ramię. - Żal mi pana. - Stali twarzą w twarz. Z tyłu mieli stół. Słudzy opuścili pokój; wszędzie płonęły świece. - Przysięgam przed Bogiem, że żal mi pana, ale nic nie mogę zrobić, a ona jest równie bezsilna jak ja.

- Bezsilna? Doprawdy? Jak długo wytrzymasz w domu, w którym wszyscy zwrócą się przeciwko tobie?

- Jest moją matką, nigdy nie wystąpi przeciwko mnie.

- Nie bądź tego taki pewien. Zadaj sobie najpierw pytanie, jakim przestępstwem zasłużyła sobie na piętnaście lat wygnania? - Zbliżał się, w miarę jak Tonio się od niego odsuwał.

- Ja zawiniłem tym, że urodziłem się pod inną gwiazdą, z innym usposobieniem. Nie znosił mnie od dnia mych narodzin i nikt nie mógł go przekonać, że mam jakiegokolwiek przymioty. Oto mój grzech. Ale czym ona zawiniła, że raczył uczynić z niej swą żonę, gdy była jeszcze dziewczynką, i zamurować żywcem w tym domu, dając jej do towarzystwa jedynie dziecko?

- Odejdź - powiedział Tonio. Za drzwiami widział ciemną studnię Wielkiego Salonu. A jednak nie potrafił się uwolnić, mimo że Carlo nawet go nie dotykał.

- Powiem ci, czym zgrzeszyła - rzekł Carlo. - Czy jesteś gotów tego wysłuchać? Potem zobaczymy, czy możesz zabronić mi o niej z tobą rozmawiać! Jej grzechem było to, że mnie kochała i poszła ze mną, gdy przyszedłem po nią do Piety!

- Kłamiesz!

- Nie...

- Nie ma w tym słowa prawdy...

- Nie, mówię szczerą prawdę. Wiesz o tym. Odgadłeś. A jeśli nie, to idź pytać o prawdę twojego eunucha, idź do swej ukochanej kuzynki Catriny. Idź na ulice, gdzie wszyscy to pamiętają. Wziąłem ją z tego klasztoru, bo jej pragnąłem, a ona pragnęła mnie. On nawet nie chciał na nią spojrzeć.

- Nie wierzę ci!

Tonio uniósł dłoń, jakby chciał uderzyć Carla, ale teraz nawet nie widział go wyraźnie. Miał przed sobą tylko zamazany kształt, który zbliżał się, mijał girlandy świec, stawał się to ciemniejszy, to zupełnie bez wyrazu.

- Błagałem, by pozwolił mi ją poślubić! Błagałem na kolanach! Wiesz, co odpowiedział? Drwił, że pochodzi ze szlachty ze stałego ładu, nie ma posagu, jest sierotą. On wybierze mi żonę! I wybrał przeżyłą sekutnicę, ze względu na jej bogactwo, majątek; dlatego że mnie nienawidził! "Ojczy", błagałem, "idź do Piety, popatrz na nią". Tutaj kłęczałem, zaklinając go.

A gdy stało się najgorsze, gdy mnie odesłał, sam, wybrał ją za żonę! Tę szlachciankę ze stałego ładu, bez posagu, sierotę - i ożenił się z nią! Kupił jej miejsce w Złotej Księdze! Mógł to zrobić dla mnie! Dla mnie! Ale odmówił! I wygnawszy mnie, wziął ją dla siebie, słyszysz? Płacz, tak, płacz, braciszku! Płacz nad nią i nade mną! Nad naszą nierozważną miłością, nad niemiłymi przygodami, które tak szybko nas spotkały, nad tym, jak za to obydwoje zapłaciliśmy!

- Przestań, nie będę tego słuchał! - Tonio zasłonił uszy dłońmi. Miał zamknięte oczy. - Jeśli nie przestaniesz, to jak Bóg mi miły... - Wyciągnął rękę, a gdy odnalazł framugę drzwi, złożył na niej głowę, niezdolny wydobyć z siebie ani słowa więcej, niezdolny powstrzymać bezsilnego łkania.

- Przyjdź dziś w nocy pod jej drzwi - mówił za nim cicho Carlo. - Jeśli chcesz, podsłuchuj przez dziurkę od klucza. Należała do mnie wtedy i będzie należała teraz. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj ją!

Nie miał maski, nie miał *tabarro*. Przepychał się przez wilgotny, rozkrzyczany tłum, czując czasem fale zacieklego deszczu zacinające po twarzy, póki nie dotarł do kawiarni, w której otoczyło go gorące, lepkie powietrze. - Bettina! - szepnął. Przez chwilę była jakby niepewna, po czym podążyła ku niemu, torując sobie drogę wśród gości, ich wilgotnych peleryn, wśród ludzi o twarzach zasłoniętych przerażającymi maskami, wśród klaunów i potworów. Miała na głowie spiczasty, czarny kapturek. Wyciągnęła ręce do Tonia, szybko go złapała. - Tędy, Wasza Ekscelencjo! - rzekła, prowadząc go do schodów, wiodących na pobliską przystań.

Kiedy tylko gondola odbiła od nabrzeża, Bettina znalazła się w jego ramionach na podłodze w *felze*, szarpała jego kamizelkę i koszulę, podnosiła spódnice, oplatając Tonia nogami.

Dokoła, na wodzie, słychać było szum obfitego deszczu; od czasu do czasu krople uderzały w wygięty most nad nimi, czasem strumienie deszczu pędziły szybko niewidzialnymi rynsztokami. Łódź zdawała się kołysać niebezpiecznie pod ciężarem Tonia: *felze* pachniało kurzem, rozgrzaną skórą i wonią dymu, dolatującą spomiędzy nagich nóg dziewczyny, z miejsca pełnego gorących, wilgotnych włosów. Kiedy wtulał tam głowę, zacisnął zęby, gdy doleciał go ten zapach. Czuł jedwabistą skórę jej ud na policzkach, potem szarpiące go z zapalem małe dłonie. Dźwięk niepowstrzymanego śmiechu w uszach, jej piersi tak duże, że zdawały się wylewać w jego dłonie. Rozpięła mu spodnie; wypłynęła, jasna i śliczna, z bluzki i spódnicy. Gładziła go palcami, chciała, by stwardniał, prowadziła go.

Obawiał się, że będzie się śmiała, gdy spostrzeże, iż jest tylko chłopcem, że to jest suche, ale ona tylko popędzała go, by ją pokrył. Wdarł się do niej, do jej wnętrza, eksplozje w głowie wymazywały czas, stratę, przerażenie. Nawet jedna myśl mogłaby go zniszczyć.

Szukał więc dłońmi gorącej skóry pod kolanami Bettiny, wilgoci i ciepła pod jej piersiami, jej zaokrąglonych łydek i ust, otwartych, pożądlivych ust, tak śmiałych, dyszących, pełnych cichego, porywczego chichotu. Mnóstwa maleńkich szparek, fałd, sekretów. Woda pluskała o łódkę, od czasu do czasu dolatywała skądś muzyka, to cicha, to głośniejsza. Czasem leżał pod Bettina, rozkoszując się jej ciężarem, czasem znów kładł ją na ziemię, unosząc za tę gorącą fałdkę i liżąc jej gładki brzuch.

A kiedy wreszcie leżał wyczerpany, czuł, że nawet morskozielony zapach wody jest tu ważny, nawet stęchła woń porośniętych mchem fundamentów, sięgających dna kanału i miękkiej ziemi, która była Wenecją. Wszystko to wiązało się ze słodyczą, solą, drogim mu śmiechem

Bettiny i zacinającym, srebrnym deszczem wpadającym przez maleńkie okienka, padającym mu na twarz, gdy leżał tak przytulony do niej.

Gdyby mogło to trwać wiecznie, gdyby mogło wymazać wszystkie myśli, cały ból i tragedię, gdyby mógł ją brać wciąż na nowo, a świat nie wracałby do niego, Tonio nie musiałby przebywać w domu, w tych pokojach, słuchać tego głosu. Wtulił się w ciemność i położył dłonie na tył głowy, by nie słyszała, że płacze.

Dręczyły go głosy.

Zdawały się płynąć tymi maleńkimi, zatłoczonymi kanałami, nad którymi widać było niewielkie okna, a w dzień zwisała na sznurach bielizna; na nabrzeżach leżały kupy śmieci, a gdy podniosło się wzrok, można było dojrzeć biegające przy murach szczury, przykucnięte, zwawe, jakby latały. Koty miauczały przeciągle, głośno w ciemności. Słyszał pluskanie i bulgotanie wody. Czuł się lekki i cudownie spokojny, chociaż Bettina wciąż go nagabywała.

- Kocham, kocham, kocham...

I znowu te głosy. Uniósł głowę. Ten tenor, poznałby go wszędzie i, tak, bas, ten flet i skrzypce. Wsparł się na łokciu, czując jak łódź kołysze się i przesuwa. To jego śpiewacy!

- Co się stało, Wasza Ekscelencjo? - szepnęła. Była naga, na kolanach trzymała swoje rzeczy: bezkształtny kopczyk ciemności. Miała doskonale ukształtowane ramiona, jej oczy wyglądały w białej twarzy jak dwa nieistniejące punkty.

Usiadł wyprostowany, delikatnie uwolnił się z jej uścisku. - Miałem ją - myślał. - Kochałem się z nią, miałem ją, poznałem ją. - Ale nie było w tym żadnego smaku, żadnego cudownego dreszczyku, przylgnął więc do niej na chwilę, wdychając woń włosów i całując jej twarde, okrągłe czoło. Głosy zbliżały się. Tak, to byli jego śpiewacy! Najprawdopodobniej wracali do domu. Gdyby mógł ich prześcignąć... Wcisnął koszulę do spodni, związał włosy.

- Nie odchodźcie, Ekscelencjo! - błagała.

- Najdroższa - rzekł, wkładając w dłoń złote monety i zaciskając na nich jej paluszki. - Czekaj na mnie jutro w nocy, tuż po zmroku. - Wciągnął jej spódnicę przez głowę, obciągnął miękką, zmiętą bluzkę i ciasno zawiązał gorset, czując ostatni dreszcz rozkoszy na widok tego, jak ją otulał i przylegał do ciała.

Śpiewacy znajdowali się już niemalże nad kanałem i był z nimi Ernestino - ileż razy słyszał to imię pod swym oknem? Basem śpiewał Pietro. Śpiewał lekko, jego głos, mimo iż głęboki, był doskonale czysty. A skrzypkiem był dzisiaj Felix.

Łódź odpłynęła spiesznie, zostawiając go pod pobliskim mostem, i zniknęła w mroku. Żałował przez chwilę, że nie jest pijany i nie miał na tyle przytomności umysłu, by kupić dzban wina na piazzę. Ostrożnie przeszedł przy ścianie do schodów. Kamienie były tak śliskie, iż z łatwością mógłby zsunąć się do wody.

Jak wyglądają? Tak źle ich widział w ciemności. Czy go poznają?

W świetle płynącym z otwartych drzwi od razu dostrzegł niewielką grupę. Ernestino, potężny, przysadzisty, niedbale odziany brodacz śpiewał serenadę kobiecie o szerokich ramionach, która siedziała przygarbiona na schodku i cicho śmiała się z niego. Skrzypek podskakiwał to tu, to tam, zawzięcie pracując smyczkiem. Muzyka była przenikliwa i słodka.

Tonio podniósł głos o oktawę wyżej niż Ernestino i wraz z nim odśpiewał tę samą pieśń. Ernestino wzmacniał lub przyciszał nutę; Tonio widział, jak zmienia się wyraz jego twarzy.

- To niemożliwe! - krzyknął Ernestino. - To mój serafin, moje książętko z Palazzo Treschi!

I otworzył ramiona, podniósł Tonia w górę, podrzucając go i okręcając, nim w końcu znów postawił na ziemię. - Ale co wy tutaj robicie, Eksceleńco?

- Chcę z wami śpiewać - odparł Tonio. Przyjął zaproponowany mu dzban wina. Pił, alkohol ściekał mu po brodzie. - Gdziekolwiek się wybieracie, chcę z wami śpiewać.

Odrzucił głowę w tył. Deszcz zacinał go w powieki, a Tonio wyśpiewywał wznoszące się bez końca nuty pełne czystej, wspaniałej koloratury. Słyszał, jak odbijają się od murów; zdawało się, że wznoszą się aż do nieba. W ciemności migotały światła zdradzające kształt małych okienek. Rozległ się głębszy śpiew Ernestina, wspierający głos Tonia i znów opadający, by śpiew młodego Treschiego mógł szybować. Ernestino czekał na ostatnią frazę, by dołączyć do Tonia i zakończyć pieśń w pełnej uniesienia harmonii.

Ktoś krzyknął ostro - Brawo! - i zdawało się, że same mury rozbrzmiały komplementami, niktymi, gdy tylko przebrzmiały. Felix rzucił się do zbierania monet spadających na kamienie.

Aż do świtu błakali się, śpiewając na wszystkich wietrznych przystaniach, które udało im się znaleźć. Ramię w ramię przemierzali sieć schodów. Czasem ściany tak mocno ich otulały, że musieli iść szeregiem, ale głosy zyskiwały wtedy nadprzyrodzone brzmienie. Tonio znał wszystkie ich ulubione pieśni; uczył ich innych. Raz po raz zaglądał do dzbana, a gdy ten był już pusty, kupował następny.

Gdziekolwiek by nie zawędrowali, otwierały się nad nimi okna spizarni. Czasem zatrzymywali się na dłużej, by śpiewać serenady jakiejś niewyraźnej postaci. Spacerowali pod wielkimi pałacami, odciągając bogato ubranych panów i panie od trwających długo w noc gier hazardowych i kolacji. Krew pulsowała Toniowi w głowie. Chodził nieuważnie, ślizgał się na gładkich kamieniach, ale jego głos nigdy jeszcze nie tchnął tak niepowstrzymaną siłą. Ernestino i Pietro szaleli za nim, a gdy spuszczał z tonu, śmiechem zmuszali go do jeszcze niezwyklejszych wyczynów, oklaskując przenikliwe, wysokie nuty, długie, czułe ściszenie i wzmacnianie nut, gdy dźwięki stawały się coraz wolniejsze, pełne słodkiego, pieszczotliwego smutku. Przypominał sobie, że raz kołysał się, skrzyżowawszy ręce na piersi, Ernestino prowadził go, śpiewając jakąś kołysankę, a noc zdawała się nie mieć kształtu ani końca. Księżyc od czasu do czasu uwalniał się z zasłony ciężkich chmur, by oświetlić ciche, srebrzyste strumienie deszczu.

Smutek był ponętym uczuciem. Można było niemalże przekonać samego siebie, że ma jakąś zrozumiałą przyczynę.

Był dzień.

Na piazzy poniewierały się śmieci. Spod arkad dochodziły jakieś krzyki. Niewielkie grupki masek tańczyły ramię w ramię, cała populacja czarno ubranych ludzi o twarzach koloru czaszki. Nawet ogromny kościół zdawał się migotać i drgać w porannym deszczu, jakby został namalowany jak teatralne dekoracje na jedwabiu zwieszającym się z nieba.

Bettina miała twarz napuchniętą od snu, spinała włosy i spieszyła, by go obsłużyć.

Położyła przed nim gorący chleb, masło, mocną turecką kawę. Na kolanach złożyła mu serwetkę, a gdy nie podnosił głowy, zrobiła to za niego.

Przesunął palcami po jej bladej szyi i spytał:

- Kochasz mnie?

Dopiero po tygodniu zdobył się na to, by podejść do drzwi matki, ale powiedziano mu, że wyszła do kościoła. Potem spała.

A gdy przyszedł następnym razem, wyszła do Palazzo Lisani.

Kiedy przychodził ją odwiedzić, była wszędzie, tylko nie na miejscu.

Piątego z kolei ranka śmiał się głośno, odchodząc od jej drzwi.

Po czym ogarnęła go paraliżująca cisza, w której nie mógł i nie chciał jej szukać.

Bez względu na to, jak mocno z braku snu bolała go głowa, mył się, połykał śniadanie i udawał się w końcu do biblioteki.

Catrina Lisani przyszła mu powiedzieć, że Carlo, dzięki wielkiej fortunie, jaką zdobył w Lewancie, spłacił wszystkie długi obciążające majątek, a teraz zamierza odrestaurować willę Treschich nad Brentą.

Tonio był tak zmęczony swymi całonocnymi serenadami, że prawie jej nie słuchał.

- Dobrze się sprawuje, nie uważasz? - spytała. - Wypełnia swój obowiązek. Twój ojciec nie mógłby liczyć na nic lepszego.

Tymczasem Carlowi towarzyszyli wszędzie trzej siepacze: silni, milczący strażnicy, którzy włóczyli się po domu, usiłując rozpląnąć się w mroku. Podążali za nim każdego ranka, gdy w swych nowych patrycjuszowskich szatach wychodził, by kłaniać się senatorom i radcom na Broglio.

Przymiłał się wszystkim dokoła, stało się więc jasne, że zamierza znów wkroczyć w życie publiczne.

Tonio nabrał zwyczaju udawania się na piazzettę co rano po nocnych wędrówkach. Z daleka obserwował brata. Mógł sobie tylko wyobrażać treść tych szybkich rozmów. Uściski dłoni, ukłony, stłumiony śmiech. Pojawił się Marcello Lisani; spacerowali razem na tle masztów i przyćmionego blasku wody, zagłębiając się w tłum.

A Tonio, przekonany, że Carlo nie wróci jeszcze przez długi czas, wślizgiwał się do domu, przemierzał nie kończący się stary korytarz, póki nie dotarł do apartamentów matki. Nikt nie odpowiadał na jego pukanie. Zbywano go dobrze mu znanymi wymówkami.

Catrina wkrótce zorientowała się, co robi Tonio. Żył oczekiwaniem na ciemność, która tak szybko spadała na dom z zimowego nieba. Wtedy wychodził. Stał na schodach, czekając na Ernestino i całą grupę, która miała po niego przyjść.

Catrina szalała. - Więc to ty jesteś śpiewakiem, o którym wszyscy mówią! Tak dłużej nie może trwać. Tonio, wysłuchaj mnie. Pozwalasz, by zżerała cię jego zawiść...

- Tak, ale czemu mi nic nie powiedziałaś - myślał, jednak nie zdobył się na wyszeptanie tego. Nauczyciele go ganili. Odwracał wzrok. Na twarzy Alessandra bez wątpienia malował się strach.

Nadchodził wieczór. Nie był w stanie dłużej tego znieść. Dom był ponury i niechętnie ulegał delikatnemu, wiosennemu zmrokowi. Wsparł się o drzwi. Początkowo czuł słabość, lecz później, ogarnięty gniewem napierał na te podwójne drzwi, póki nie wyłamał zasuw i nie ujrzał pustych apartamentów.

Przez chwilę nie był w stanie rozróżnić w ciemności nawet najbardziej znajomych kształtów. Wkrótce przed jego oczyma zaczęła powoli rysować się sylwetka matki, siedzącej nieruchomo przy toalecie.

Gdzieś światło tańczyło na jej srebrnych szczotkach i grzebieniach. Nagle zabłysł naszyjnik z pereł i Tonio zdał sobie sprawę, że siedziała samotnie w ciemności, ubrana nie w swój czarny, żałobny strój, ale w coś strojnego, jaskrawego, zdobnego małymi klejnotami, które rozbłyskiwały i gasły jak małe światełka, gdy podnosiła dłonie, by zakryć nimi twarz.

- Czemu zniszczyłeś drzwi?

- Dlaczego nie odpowiadałaś na pukanie?

Dostrzegł jej białe palce wplecione we włosy. Skrzyżowała ramiona na piersiach jak święta i pochyliła głowę, jakby się kłaniała. Ujrzał jej biały kark, włosy zsuwające się dwiema falami w przód i zwisające przed nią jak zasłona.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała nagle.

- Co mam zamiar zrobić? A cóż ja mogę zrobić? - odparł z gniewem. - Czemu o to pytasz? Spytaj mych opiekunów, prawników ojca. Nie mam na to żadnego wpływu, nigdy nie miałem. Ale ty, co ty robisz?

- Czego ode mnie chcesz? - szepnęła.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?! - Zbliżył się do jej twarzy, usta wykrzywił mu grymas. - Czemu, czemu musiałem usłyszeć z jego ust, że byłaś tą dziewczyną, że ty i on...

- Przestań, na Boga, przestań! - krzyknęła. - Zamknij drzwi, zamknij drzwi! - I podniósłszy się gwałtownie, przebiegła obok niego, zatrzasnęła drzwi, które siłą otworzył, po czym rzuciła się do okna i zaciągnęła ciężkie, aksamitne zasłony. Otoczyła ich teraz całkowita ciemność.

- Czemu mnie dręczysz? - pytała. - Co ja mam wspólnego z waszą rywalizacją? Na Boga, Tonio, spędziłam w tym domu pół życia, czytając ci bajki! Byłam wtedy dzieckiem. Nie byłam starsza niż ty teraz! Nie wiedziałem, czym jest świat, więc poszłam z Carlem, kiedy po mnie przyszedł!

Ale powiedzcie o tym tobie? Jakże miałam to zrobić? Kiedy odesłano Carla, Jego Ekscelencja mógł mnie z powrotem zamknąć w Piecie albo w jeszcze gorszym miejscu. Umarłabym tam! Straciłam honor, a nic ponad to nie miałam, póki mnie tu nie przyprowadził, nie pojął za żonę, nie dał swojego nazwiska. Przez piętnaście lat próbowałam być signorą Treschi, twą matką, chciałam być taką, jak tego pragnął. Ale jakże miałam ci o tym, na Boga, powiedzieć? Błagałam Carla, żeby ci niczego nie zdradzał! Prócz tych kilku nocy, które spędziłam z nim, gdy byłam dziewczyną, żyłam jak zakonnica, a czymże sobie zasłużyłam na tę pobożną profesję? Czy widzisz przed sobą twarz i postawę świętej? Jestem kobietą, Tonio!

- Ale mam, teraz, z nim, pod dachem mego ojca...

Poczuł dotknięcie jej dłoni, nim jeszcze usłyszał szmer towarzyszący jej ruchom. Próbowała naprędce zakryć mu rękami twarz i oczy, chociaż i tak nic nie widział. Złożyła wilgotne, drżące palce na powiekach Tonia, czoło gładkie jak kamień przytknęła do jego ust, jej ciało to się do niego zbliżało, to oddalało.

- Proszę, Tonio... - łkała cicho. - To, co robię z nim teraz, nie ma znaczenia. Nie jestem w stanie zapobiec waszej rywalizacji. Ty jesteś bezsilny. Ja też. Och, proszę, proszę...

- Wesprzyj mnie, mamu - szepnął. - Bez względu na to, co wydarzyło się w przeszłości, teraz wesprzyj mnie. Jestem twoim synem. Potrzebuję cię.

- Wspieram cię. Naprawdę. Ale jak zawsze jestem bezsilna.

Wtuliła się głową w jego ramię, jej piersi falowały miękko. Podniósłszy wolno rękę, odnalazł jedwabistą masę jej włosów i pogładził je.

- To musi minąć - rzekł.

Pod koniec miesiąca Carlo przegrał swoje pierwsze wybory. Starsi członkowie Wielkiej Rady zaczęli znowu mówić o wysłaniu go na zagraniczną placówkę. Jego młodzi zwolennicy sprzeciwiali się temu.

A długie paragrafy testamentu Andrei miały najwyraźniej pozostać raz na zawsze niezmiennie.

Pod zdecydowanymi, złowieszczymi ostrzeżeniami, że starszy syn nie powinien się żenić, znajdowała się nie pozostawiająca wątpliwości klauzula, której nie można było złamać:

Andrea ustanowił swój majątek majoratem. Znaczyło to, że nigdy nie będzie on mógł zostać podzielony lub sprzedany. Dziedziczyć go mieli tylko synowie Marca Antonia Treschiego. Cokolwiek więc nie zrobiłby Carlo, przyszłość rodziny należała do Tonia.

Tylko jeśli Tonio umarłby bezpotomnie lub okazał się niezdolny do płodzenia dzieci, istniała możliwość uznania potomstwa Carla dziedzicami majątku.

Carlo nie robił teraz nic, co można by uznać za porywcze lub niegodziwe. Wydawało się, że wziął sobie do serca napomnienie starszych wiekiem przyjaciół Andrei, iż skandalem byłoby sprzeciwiać się woli zmarłego ojca. Dalej wydawał duże sumy pieniędzy na dom, wliczając w to podwyżkę pensji dla nauczycieli brata.

Przyjął wszystkie służalcze obowiązki, jakimi obciążyło go państwo, zajął się dogadzaniem wszystkim znaczniejszym ludziom i wkrótce stał się wzorowym patrycjuszem.

Jeśli ktoś tego nie zauważył, to inni spieszyli wyjaśnić, że otrzymanie ważnego stanowiska w Wenecji wymagało pieniędzy, pieniądze potrzebne były do wychowania synów, tak by w przyszłości mogli służyć krajowi, a Carlo był - o ironio! - tym Treschim, który je miał. Stąd więc osoby, chcące wyrobić sobie wpływy, zaczęły zwracać się do niego. Było to naturalne w świecie polityki.

Tymczasem Carlo świetnie się bawił. Nie robił nic nieprzystojnego, ale odwiedzając kogo się dało, jedząc obiady dosłownie wszędzie, poświęcając każdą wolną chwilę hazardowi, chodząc do teatrów, pozwalał się wszystkim poznać jako prawdziwy syn swego rodzinnego miasta.

Tonia nigdy nie było w domu. Często sypiał z Bettiną nad małą, należącą do jej ojca tawerną niedaleko piazzę. Dwa razy kuzyn Lisani wezwał go na dywanik z powodu tego zachowania i groził gniewem Wielkiej Rady, jeśli Tonio nie zacznie postępować jak patrycjusz.

Ale jego życie toczyło się na wąskich uliczkach. W ramionach Bettiny.

A gdy w wielkanocną niedzielę rozbrzmiały dzwony kościołów, jego głos był już na ulicach Wenecji legendą.

Na schodach za Canale Grande ludzie zaczęli go słuchać, oczekiwać. Ernestino nigdy jeszcze nie widział takiego deszczu złotych monet. A Tonio wszystkie je mu oddawał.

Doskonała przyjemność, jaką te noce dawały Toniowi, była wszystkim, czego pragnął, ale sam jeszcze nie rozumiał w pełni jej znaczenia.

Wiedział tylko, że gdy spojrzy w usiane gwiazdami niebo i poczuje delikatną, słoną, morską bryzę, będzie mógł pełnym gardłem śpiewać najdziksze miłosne pieśni. Być może tylko ten głos został mu z tego, co było do niedawna ojcem, matką, synem, rodziną Treschich. Może to dlatego, że śpiewał sam, a nie z nią. Ona go odrzuciła, więc zwrócił się ku światu i zdawało się, że może wyśpiewać każdą nutę, utrzymać ją bez końca. Czasem śpiewając marzył o Caffarellim, wyobrażał sobie siebie na scenie, ale jednocześnie wszystko to było słodsze, ważniejsze, bardziej zabarwione luksusem, smutkiem, patosem.

Ludzie płakali w oknach. Opróżniając trzosa, zapewniali o swej miłości. Chcieli znać imię młodzieńca śpiewającego niebiańskim sopranem, posyłali lokai z zaproszeniami na posiłki do modnych domów dla niego i jego towarzyszy. Nigdy ich nie przyjmował.

Ale aż do samego ranka, gdy niebo stawało się bledsze, podążał za Ernestinem do jego ulubionych miejsc.

- Jeszcze nigdy w życiu - rzekł Ernestino - nie słyszałem takiego głosu. Bóg was nazaczył, signore. Śpiewajcie, póki możecie, bo niedługo na zawsze utracicie te wysokie tony.

Jego słowa przedarły się przez delikatne opary alkoholu, zyskując swe prawdziwe znaczenie. Męskość, strata głosu wraz z tyloma innymi rzeczami.

- Czy dzieje się to niespodziewanie? - szepnął. Opierał głowę o ścianę. Podniósł dzban i poczuł, że rozlewa wino. Zbyt często mu się to zdarzało. Musiał jednak usunąć z ust tę gorycz.

- Na Boga, Wasza Ekscelencjo, czy nigdy nie znaliście chłopca, którego głos się zmienia?

- Nikogo nie znałem oprócz starszego mężczyzny i bardzo młodej kobiety - odparł. - Nic nie wiem o chłopcach, niewiele o mężczyznach. A jeśli już o tym mówimy, to niewiele też wiem o śpiewaniu.

Jakaś postać zasłoniła kwadrat nieba na końcu schodów, na których stali. Zdawała się dotykać otaczających ją murów i Tonia ogarnął nagle niepokój.

- Czasem przebiega to szybko - mówił Ernestino. - Czasem ciągnie się długo, głos się łamie. Różnie to bywa. Ale wy, Ekscelencjo, jesteście wysocy jak na swój wiek, a przy tym... przy tym... - Uśmiechnął się, biorąc dzban. Tonio wiedział, że myśli o Bettinie. - ...Cóż, wam może się to przydarzyć wcześniej niż innym. - Na tym zakończył i, objąwszy Tonia ciężkim ramieniem, poprowadził go naprzód.

Postać odeszła.

Tonio uśmiechnął się, ale nikt tego nie zauważył. Myślał o słowach, które skierował do niego ojciec, o jego niemalże ostatnich słowach i nagle obezwładnił go taki ból, że nawet w swej niewielkiej kompanii poczuł się samotny.

“Kiedy uznasz, że jesteś mężczyzną, staniesz się nim.” Czy umysł mógł rozkazywać ciału? Potrząsnął głową, pogrążony w myślach. Poczul nagły, straszliwy gniew na Andreę.

Wydało mu się to równie niewybaczalne jak to, że włóczy się z prostymi śpiewakami po tej plugawej, pokracznej ulicy. Szedł jednak dalej, jeszcze mocniej wspierając się na Ernestinie.

Dotarli do kanału. Przed nimi, pod mostem, pod którym zebrali się gondolierzy, płonęły latarnie.

Znów pojawiła się tam ta postać; poznał to po mocnej budowie ciała i po wzroście. Mężczyzna najwyraźniej im się przyglądał.

Tonio sięgnął po szablę i przez chwilę stał, jak przykuty do miejsca.

- Co się stało, Wasza Ekscelencjo? - pytał Ernestino. Od tawerny Bettiny dzieliło ich tylko kilka kroków.

- Ten tam - szepnął Tonio. Ugiął się pod wagą własnych podejrzeń, brzydził się nimi. - Posyłać do mnie śmierć, ot tak, w osobie jakiegoś płatnego mordercy? - Czuł się, jakby już wymierzono mu cios, jakby ta scena nie rozgrywała się już w świecie żywych, w jakimś koszmarnym miejscu, gdzie na moście stały straże, a ci obcy popędzali go, by wszedł pod jakiś portal.

- Nie przejmujcie się, Wasza Ekscelencjo - rzekł Ernestino. - To tylko pewien maestro z Neapolu. Nauczyciel śpiewu, który szuka tu małych chłopców. Nie zauważyliście go przedtem? Podąża za wami jak cień.

Był już świt, gdy Tonio przebudził się z pijackiego snu na stole tawerny i uniósł głowę. Siedząca obok Bettina trzymała rękę pod jego płaszczem i ogrzewała mu plecy, jakby chciała

ochronić przed budzącym się słońcem, a Ernestino, nie wiadomo czemu, prowadził gniewną kłótnię z jej ojcem.

O ścianę opierał się przysadzisty mężczyzna o brązowych włosach i dużych, groźnych oczach; miał nos spłaszczony jakby na skutek uderzenia. Był młody. Miał na sobie postrzępiony płaszcz, u boku szablę z mosiężną rękojeścią. I unosząc kufel, patrzył impertynencko na Tonia.

W Bazylice Świętego Marka panował niemal całkowity mrok; w ogromnym kościele pulsowało tylko kilka rozproszonych świateł, zapalających w złotych mozaikach blade iskry. Stary Beppo, nauczyciel Tonia, trzymał w ręku świecę i patrzył z niepokojem na młodego maestra z Neapolu, Guida Maffeo.

Tonio stał samotnie na lewym chórze. Właśnie skończył śpiewać i w kościele wciąż słychać było wyraźne echo ostatniej nuty, jakby nic nie mogło jej przerwać.

Alessandro stał bez słowa z dłońmi splecionymi za plecami i spoglądał w dół na stojące obok mniejsze postacie Beppa i Guida Maffeo. On pierwszy dostrzegł grymas na twarzy Maffea. Beppo nie zauważył tego i, nie licząc pierwszych gwałtownych słów wypowiedzianych z gardłowym południowłoskim akcentem, najwyraźniej był oszołomiony.

- Z najpotężniejszego weneckiego rodu! - Guido powtórzył ostatnie słowa Beppa. Pochylił się nieco, by spojrzeć ze złością w twarz starego eunucha. - Przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym wysłuchał weneckiego patrycjusza!

- Ależ, signore, to najwspanialszy głos Wenecji!

- Wenecki patrycjusz!

- Ale signore...

- Signore... - odważył się delikatnie wtrącić Alessandro. - Beppo być może nie zdawał sobie sprawy, że szukacie uczniów do konserwatorium. - Alessandro wyczuł to nieporozumienie niemalże od samego początku.

Beppo ciągle nic nie pojmował. - Ależ signore - naciskał - chciałem... Chciałem, by wysłuchał pan tego głosu dla własnej przyjemności.

- Dla własnej przyjemności mogłem zostać w Neapolu - warknął Guido.

Alessandro odwrócił się do Beppa i, najwyraźniej ignorując niemożliwy, południowłoski akcent mistrza, rzekł miękkim, weneckim dialektem: - Beppo, maestro szuka małych kastratów.

Beppo był niepocieszony.

Tonio zszedł z chóru; jego szczupła, ciemno odziana sylwetka wyłoniła się z mroku w ślad za odgłosem kroków.

Śpiewał bez akompaniamentu, wypełniając głosem kościół, co wywarło na Guidzie niesamowite wrażenie.

Chłopiec wkroczył niemalże w wiek męski, jego głos stracił więc już niewinność. Do lekkości brzmienia niewątpliwie przyczyniły się lata ćwiczeń. Miał jednak wrodzone zdolności i z łatwością osiągał doskonałą wysokość tonu. A chociaż był to młodzieńczy sopran, który jeszcze nie zaczął się zmieniać, była w nim już nuta męskości.

Jego śpiew miał też i inne zalety, których zły i wyczerpany Guido nie chciał już nawet się doszukiwać.

Patrzył na młodzieńca, który niemalże dorównywał mu wzrostem. Zdał sobie sprawę, że prawdą było przypuszczenie, które zrodziło się w nim, gdy tylko usłyszał głos dochodzący z chóru: to był ten arystokrata-wagabunda przemierzający nocą ulice; ciemnooki chłopak o jasnej cerze i twarzy wyrzeźbionej z najczystszonego marmuru. Był szczupły, elegancki, przypominał ciemne postacie Botticellego. Bez wyniosłości, której Guido spodziewał się po wszystkich arystokratkach, kłaniał się swym nauczycielom - jakby nie byli jego podwładnymi.

Nie wiadomo, czego można się spodziewać po tych weneckich patrycjuszach. Guido nie znał jeszcze ludzi traktujących zwyczajowo swe otoczenie z taką uprzejmością. Może było to związane z faktem, że w tym mieście wszyscy chodzili pieszo. Nie był pewien. Nie obchodziło go to. Kipiał wściekłością.

Zauważył jednak, że mimo całej uprzejmości na twarzy chłopca maluje się roztargnienie. Zostawiał całe zgromadzenie ze słowami pokornych, lecz obojętnych przeprosin na ustach.

Kiedy opuszczał kościół i wzburzonych nauczycieli, przez drzwi wpadł do wnętrza oślepiający blask słońca.

- Musicie przyjąć me przeprosiny, signore - rzekł Alessandro. - Beppo nie miał zamiaru marnować waszego czasu.

- Och, nie. Nie, nie, nie... nienienie! - szepnął Beppo, nadając temu zaprzeczeniu zróżnicowaną intonację prawdziwego zdania.

- A kimże jest ten arogancki młodzieniec? - spytał władczo Guido. - Ten patrycjuszowski syn o krtani godnej bogów, którego nie obchodzi nawet, czy jego śpiew zrobił dobre wrażenie?

Dla Beppa było już tego za wiele i Alessandro też zdecydował się odprawić Guida. Chociaż grubiańskość nie leżała w naturze Alessandra, również i on zaczął tracić cierpliwość. Ponadto krył głęboko w sercu sekretną nienawiść do tych, którzy wyruszali z konserwatoriów

Neapolu na poszukiwanie młodych kastratów. Szkolenie, jakiemu w dzieciństwie poddano go w tym odległym, południowym mieście, było tak okrutne i bezlitosne, że usunęło z jego pamięci wszelkie wspomnienia czasów wcześniejszych. Kiedy Alessandro miał dwadzieścia lat, spotkał na Placu Świętego Marka jednego ze swych braci, ale nawet wtedy nie poznał mężczyzny, który rzekł: - Widzisz? To krzyżyk, który nosiłeś jako dziecko. Matka ci go przesyła. - Pamiętał krzyżyk, ale matki nie.

- Wybaczcie, maestro - powiedział, pochylając się, by spojrzeć w srogą twarz Guida. Wziął od Beppa świeczkę. - Chociaż chłopak nigdy nie byłby na tyle grubiański, by to powiedzieć, nie ma on najmniejszej wątpliwości, że jego głos podoba się każdemu, kto go usłyszy. Weźcie też, proszę, pod uwagę, że przyszedł tu dzisiaj tylko z uprzejmości dla swego nauczyciela.

Ten gbur był jednak nie tylko niewychowany, ale i odporny na wszelkie zniewagi. Nawet nie słuchał tego, co mówił Alessandro. Pocierał za to dłońmi skronie, jakby dokuczał mu ból głowy. W jego oczach, zbyt dużych, by przypominały oczy zwierza, płonęła jednak zwierzęca złośliwość.

Wtedy dopiero, kiedy stanął blisko niego ze świecą w ręku, Alessandro zdał sobie sprawę, że ma przed sobą wyjątkowo dobrze zbudowanego kastrata. Przyjrzał się jego gładkiej twarzy. Nie, nigdy nie wyrosła na niej broda. A więc to jeszcze jeden eunuch.

O mało nie wybuchnął śmiechem. Miał go za prawdziwego mężczyznę z nożem za pasem. Opanowały go dziwne uczucia. Nieco łagodniej patrzył teraz na Guida. I to nie dlatego, że było mu go żal, ale ponieważ należał do wielkiego bractwa, którego członkowie lepiej niż inni byli zdolni docenić nieskazitelne piękno głosu Tonia.

- Jeśli pozwolicie, signore, mogę wam zarekomendować kilku innych chłopców. W San Giorgio jest pewien eunuch...

- Słyszałem go - szepnął Guido, bardziej do siebie niż do Alessandra. - Czy jest najmniejsza szansa, by ten chłopak... Ile znaczy dla niego jego talent? - Ale nim jeszcze spojrział na Alessandra, wiedział, że to po prostu śmieszne.

Alessandro nawet nie zaszczycił tego pytania odpowiedzią.

Zapadła cisza. Guido odwrócił się i postąpił kilka kroków po nierównej, kamiennej podłodze. Trzymana przez Alessandra świeca migotała i zdawało mu się, że w jej złudnym świetle jeszcze wyraźniej słyszy westchnienie, które wymknęło się nauczycielowi śpiewu.

Alessandro widział jego zgarbione ramiona. Czuł emanujące z niego jakieś uczucie, niemalże smutek. Niemalże smutek. W tym eunuchu była pewna gwałtowność, z którą Alessandro nieczęsto się spotykał. Nawiedziło go krótkie, ale wyraźne wspomnienie okrucieństwa i poświęceń, jakie sam musiał wycierpieć w Neapolu. Z niechęcią poczuł, że budzi się w nim szacunek dla Guida Maffeo.

- Podziękujesz w moim imieniu twojemu patrycjuszowi, dobrze? - mruknął pokonany Guido. Ruszyli do drzwi. Ale Alessandro zatrzymał się z ręką na klamce.

- Powiedzcie mi - rzekł poufnym tonem - co naprawdę o nim myślicie?

Od razu pożałował tego pytania. Ten ciemny, niski mężczyzna był zdolny do wszystkiego.

Jednak, ku jego zdziwieniu, Guido nie powiedział nic. Stał wpatrując się w migoczącą świecę ze spokojnym, filozoficznym wyrazem twarzy. Alessandro powtórnie wyczuł emocje Guida, emocje zbyt gwałtowne i zastanawiające.

Następnie maestro uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

- Oto co myślę: żałuję, że usłyszałem ten śpiew. Alessandro odpowiedział uśmiechem. Byli muzykami, eunuchami; rozumieli się.

Nim dotarł do pałacu, zaczęło padać. Liczył na to, że Tonio będzie na niego czekał przed kościołem, ale zawiódł się. I kiedy Alessandro wkroczył do Wielkiego Salonu przylegającego do biblioteki, zauważył, że Beppo wciąż jest wzburzony. Wyłuszczył całą tę upokarzającą historię Angelowi, który słuchał jej, jakby na jego oczach w potworny sposób znieważano nazwisko Treschich.

- To wina Tonia - powiedział w końcu. - Powinien dać sobie spokój z tym śpiewaniem. Czy rozmawiałeś z signorą? Jeśli tego nie zrobisz, to ja się tym zajmę.

- To nie ma nic wspólnego z Tonim - odparł Beppo. - Skądże ja miałem wiedzieć, że szuka małych kastratów? Pytał mnie o głosy, wzorowe głosy. Powiedział: "Powiedz, gdzie mogę znaleźć..." Och, to okropne, okropne!

- Już po wszystkim - rzekł Alessandro.

Właśnie słyszał, jak zamykają się frontowe drzwi pałacu. Doskonale rozpoznawał też kroki Carla.

- Tonio powinien być teraz w bibliotece - stwierdził stanowczo Angelo - i uczyć się.

- No skąd ja mogłem wiedzieć? Prosił: "Powiedz, gdzie mogę znaleźć najwspanialsze głosy!" Odparłem: "Signore, przybyliście do miasta, w którym wszędzie można znaleźć najwspanialsze głosy, ale jeśli... jeśli..."

- Porozmawiasz z signorą? - spytał Angelo, patrząc na Alessandra.

- A Tonio był doskonały, sam wiesz Alessandro...

- Porozmawiasz z signorą? - Angelo uderzył pięścią w stół.

- O czym ma rozmawiać z signorą?

Angelo wstał. Pytanie pochodziło od Carla, który właśnie wszedł do pokoju.

Alessandro szybkim gestem poprosił o dyskrecję. Nie patrzył na Carla. Nie chciał dawać mu nawet cienia władzy większej niż ta, którą miał jego brat. Powiedział cicho: - Tonio był ze mną na piazzy w czasie, kiedy powinien się uczyć. To moja wina. Ekscelencjo, wybaczenie. Dopilnuję, by się to więcej nie powtórzyło.

Tak jak oczekiwał, pan domu pozostał na to obojętny.

- Ale o czym tu rozmawialiście - spytał niemalże uparcie.

- Och, o ohydnej, głupiej pomyłce - odrzekł Beppo. - Ten człowiek jest teraz na mnie zły. Obraził mnie. I był tak niegrzeczny dla młodego pana. Co ja mam mu teraz powiedzieć?

Tego już było za wiele, dla Alessandra. Podniósł w górę ręce, przeprosił i wyszedł, a Beppo opowiadał całą historię, włącznie z tytułem hymnu, który odśpiewał w kościele Tonio i o tym, jak doskonale to zrobił.

Carlo zaśmiał się krótko i ruszył w kierunku schodów.

Nagle stanął. Jego dłoń spoczywała na marmurowej balustradzie. Znieruchomiał. Wyglądał jak ktoś, kto niespodziewanie poczuł przenikliwy ból w boku i nie może się poruszyć, nie czyniąc go jeszcze dotkliwszym.

Potem bardzo wolno odwrócił głowę i spojrzał na starego kastrata.

Oburzony Angelo czytał już książkę, wsparty łokciami o stół. A stary eunuch potrząsał głową.

Carlo zrobił kilka kroków w stronę drzwi pokoju.

- Opowiedz mi to jeszcze raz - rzekł cicho.

Niebo było perłowe. Przez długą chwilę na wodzie nie błyszczały żadne światła, po czym nagle, rozproszone wśród mauretańskich łuków i zakratowanych okien, zamigotały pochodnie, oświetlające bramy i wejścia do domów. Tonio siedział przy stole w jadalni i patrzył na czterdzieści szybek, z których składało się najbliższe okno, widoczne dzięki związaniu po bokach błękitnych jak niebo kotar. Spływały po nim krople deszczu, rozbłyskujące złotem, gdy czasem rozświetliła je latarnia niesiona przez przechodnia. Wtedy świat za szybami ginął w ciemności. Kiedy światło zniknęło, po drugiej stronie kanału pojawiały się znów mroczne, potężne kontury, a niebo błyszczało i perliło się jak zawsze.

Tworzył głośno wiersz przy nieznacznym akompaniamencie muzyki, coś o wcześniej zapadającej ciemności, która otwiera drzwi i ulice, tak by mógł na nie wyjść. Był zmęczony, przepełniał go wstyd i myślał, że jeśli Ernestino z towarzyszami nie wyruszą w ten deszcz, to on sam go pokona, sam znajdzie miejsce do śpiewania, w którym - anonimowy i obezwładniony alkoholem - będzie mógł wznosić pieśń, póki nie zapomni o wszystkim.

Tego popołudnia wyszedł z Bazyliki San Marco pełen rozpacz. Przypomniawszy sobie wszystkie procesje, które widział tu w dzieciństwie, ojca idącego za baldachimem doży, woń kadzidła, te niekończące się, przejrzyste fale eterycznego śpiewu.

Później udał się z kuzynką Catriną odwiedzić jej córkę Franceskę w klasztorze, w którym miała ona przebywać do dnia, gdy zostanie jego żoną. Następnie wrócili w deszczu do domu, gdzie został sam na sam z Catriną.

Nie mieli zamiaru się kochać; on i ta starsza od jego matki kobieta. Ale zrobili to. Ciepły pokój był przepełniony blaskiem ognia na kominku i wonią perfum. Zadziwiło ją doświadczenie Tonia, wigor, z jakim wdarł się między jej nogi. Jej ciało było tak soczyste i pełne, jak to sobie wyobrażał. Czuł później przerażający wstyd. Załamała się cała konstrukcja jego życia.

- Czemu tak się zachowujesz? - pytała. Musi zrezygnować z nocy poza domem; czy kiedykolwiek wzorowe zachowanie mogło być ważniejsze? Leżąc wśród wonnych poduszek powiedział, że dosyć dziwne wydają mu się te napomnienia. - Jak możesz pozwolić, by tak cię niszczyła jego zła wola? - naciskała.

Nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi. Cóż mógł rzec? "Dlaczego nie ostrzegłaś mnie, że to ona była tą dziewczyną? Czemu nikt mnie nie ostrzegł?"

Nie potrafił nic powiedzieć, gdyż z dnia na dzień rósł w nim strach, obawa zbyt straszna, by mógł zdobyć się na wyartykułowanie jej sam przed sobą, a cóż dopiero na podzielenie się nią z innymi. Odwrócił się od Catriny.

- Już dobrze, mój trubadurze - szepnęła. - Śpiewaj póki możesz; młodzi ludzie robili już gorsze rzeczy. Przez jakiś czas możemy to wytrzymać. Mimo całej swej absurdalności, twoje śpiewanie jest nieszkodliwe. - Po czym, drażniąc go delikatnie między nogami, rzekła. - Bóg świadkiem, że niedługo już będziesz cieszył się tym pięknym sopranem.

Głos, odbijający się od złotych ścian pustego kościoła, wrócił, by z niego kpić.

Powrócił do domu. I po co? Żeby dowiedzieć się od Leny, że brat odesłał z pałacu Alessandra, twierdząc, iż jego usługi jako nauczyciela Tonia są zbędne? Alessandro odszedł. Matka przebywała gdzieś za zamkniętymi drzwiami, niedostępna.

Siedział teraz samotnie przy stole w jadalni, przy którym już całymi miesiącami nie spożywał posiłków, i nawet nie drgnął na odgłos kroków rozbrzmiewających w tym wielkim ciemnym domu; nie zareagował słysząc, że ktoś wkracza do pokoju, nie poruszył się też na skrzyp dwojga zamykanych masywnych drzwi.

Światło chyba jakoś się zmieniło.

Nie mógł go bez końca unikać.

Niebo ciemniało. Ze swojego miejsca widział jeszcze linię, na której kończyła się woda. Nie odrywał od niej oczu, chociaż, jak mu się zdawało, podeszły do niego dwie osoby. Niemalże z rozpaczą opróżnił butelkę wina, przelewając je do swego kielicha. - A więc i ona przyszła - pomyślał. - Zadają mi katusze.

Jakaś ręka sięgnęła, by nalać wina do butli.

- Zostaw nas teraz samych - odezwał się brat Tonia.

Mówił do sługi, który postawił butelkę na stół i odszedł szurając sucho po kamieniach. Jak szczur biegnący zakurzonym korytarzem.

Tonio odwrócił się powoli, by spojrzeć na tę parę. A tak, i ona była tu z nim. Oślepiły go świece. Uniósł dłoń, by osłonić oczy i wtedy upewnił się, że - jak zauważył wcześniej - miała czerwoną, napuchniętą twarz.

Carlo zachowywał się w niezwykle nieokrzesany sposób, jakby jakaś kłótnia doprowadziła go do granic wytrzymałości. Kiedy pochylił się, wsparłszy mocno dłonie o stół

przed Toniem, jego młodszy brat pomyślał: - Pogardzam tobą! Tak, teraz naprawdę tobą pogardzam!

Tym razem nie było uśmiechu. Nie było udawania. Rysy jego twarzy stały się ostrzejsze, jakby na skutek świadomości czegoś nowego.

Tonio podniósł srebrny kielich, wyczuł pod palcami ozdabiający go kamień. Powoli znów przeniósł wzrok na wodę. Na ostatni srebrny błysk na niebie.

- Powiedz mu - zażądał jego brat.

Tonio wolno podniósł oczy.

Matka wpatrywała się w Carla z przerażeniem.

- Powiedz mu! - powtórzył Carlo. Odwróciła się, by wyjść z komnaty, ale Carlo był szybszy i chwycił ją za nadgarstek. - Powiedz mu.

Potrząsnęła głową. Patrzyła na niego, jakby nie wierzyła, że robi jej coś takiego.

Tonio powoli wstał od stołu, odsunął się od oślepiającego blasku świec, by uważniej przyjrzeć się jej twarzy, na którą powoli wypełzał gniew.

- Powiedz mu teraz, przy mnie! - ryknął Carlo.

Ale ona, jakby zaraził ją własną wściekłością, krzyknęła:

- Niczego takiego nie zrobię, ani teraz, ani nigdy! - Zaczęła drżeć. Twarz zmarszczyła jej się jak buzia małego dziecka. Carlo chwycił nagle Mariannę obiema rękami i zaczął nią potrząsać.

Tonio nie ruszał się. Wiedział, że jeśli się poruszy, nie będzie w stanie panować nad tym, co się wydarzy. Nie ulegało teraz wątpliwości, że jego matka należy do tego mężczyzny.

Carlo powstrzymał się.

Marianna stała zakrywając uszy dłońmi. Po czym spojrzała na Carla i raz jeszcze poruszyła ustami, jakby mówiła "nie". Miała tak wykrzywioną twarz, że ledwie można było ją rozpoznać.

Z ust Carla zaczął znów wydobywać się ten ryk, ten potworny ryk, jakby oplakiwał śmierć, z którą nigdy nie będzie w stanie się pogodzić. Podniósł prawą rękę i z całej siły uderzył Mariannę.

Zatoczyła się w tył.

- Jeśli jeszcze raz ją uderzysz, Carlo, to rozwiążemy tę sprawę między sobą raz na zawsze
- rzekł Tonio.

Po raz pierwszy użył jego imienia, ale trudno było powiedzieć, czy Carlo to zauważył.

Patrzył przed siebie. Wydawało się, że nie słyszy płaczu Marianny. Drżała coraz gwałtowniej, nagle zaczęła krzyczeć:

- Nie, nie będę wybierać między wami!

- Powiedz mu teraz przede mną i przed Bogiem prawdę! - ryknął Carlo.

- Dosyć tego! - rzekł Tonio. - Przestań ją dręczyć. Jest równie bezsilna jak ja. Cóż mogłaby mi powiedzieć, by to cokolwiek zmieniło? Że jesteś jej kochankiem?

Tonio spojrział na matkę. Nie mógł znieść jej bólu. Wydawał się on o wiele dotkliwszy niż długie lata przerażającej samotności.

Pragnął dać jej jakoś znać, bezgłośnie, wyrazem oczu, barwą głosu, że ją kocha. I że teraz nie oczekuje od niej niczego więcej.

Odwrócił wzrok, po czym spojrział na zwróconego w jego stronę mężczyznę.

- To nie ma sensu - powiedział Tonio. - Nawet pod wpływem was obojga nie mógłbym zwrócić się przeciw memu ojcu.

- Twemu ojcu? - szepnął Carlo. - Twemu ojcu! - Wypluł z siebie te słowa, zdawał się być na krawędzi hysterii.

- Spójrz na mnie, Marcu Antonio. - Zbliżył się gwałtownie do Tonia. - Spójrz na mnie. Ja jestem twoim ojcem!

Tonio zamknął oczy.

Ale słyszał nadal ten głos, coraz ostrzejszy, cieńszy, niemalże załamujący się:

- Nosła cię w swym łonie, gdy weszła do tego domu, jesteś owocem mej miłości do niej! Ja jestem twoim ojcem i stoję tu w obliczu bastarda, którego postawiono ponad mnie. Słyszysz? Czy Bóg mnie słyszy? Jesteś moim synem, a postawiono cię ponad mnie. Oto co ona może i musi ci powiedzieć!

Zamilkł ze ściśniętym gardłem.

A kiedy Tonio otworzył oczy, ujrzał przez migotanie łez, że twarz Carla zmieniła się w maskę bólu i że tuż przy nim stoi Marianna, zasłaniając mu gwałtownie usta dłonią. Carlo z mocą odepchnął ją w tył.

- Ukradł mi żonę - krzyknął. - Ukradł mi syna, ten dom, wziął Wenecję i moją młodość, ale przysięgam ci, że nie będzie dłużej triumfował! Spójrz na mnie, Tonio, spójrz na mnie! Ustąp mi! Albo przysięgam na Boga, że nie będę odpowiedzialny za to, co ci się przydarzy!

Toniem wstrząsnął dreszcz.

Czuł się tak, jakby te słowa fizycznie go raniły, a przecież tak szybko przebrzmiały, że prawie nie pamiętał ich dźwięku, znaczenia. Były tylko bezlitosne, stłumione uderzenia.

Dookoła niego, w całym pokoju zdawał się narastać smutek. Jak wielka chmura zbierająca się w morderczym pędzie. Otulała go. Zakryła ich i oddzieliła od niego. I zostawiła go samego w tym ciemnym miejscu. Wpatrywał się milcząc w rozmazane światła, przesuwane się wolno niewidocznym strumieniem za oknami.

Wiedział o tym. Wiedział o tym, gdy ten człowiek po raz pierwszy wziął go w ramiona, coś szeptało mu o tym w snach, zdawał sobie z tego sprawę, gdy matka biegła po ciemnym pokoju szepcząc: - Zamknijcie drzwi, zamknijcie drzwi. - Tak, wiedział o tym.

Jednak zawsze była jeszcze szansa, że to nieprawda, że to tylko jakiś nie oparty na niczym koszmar, jakiś obrzydliwy, nierealny wytwór wyobraźni.

Ale to była prawda, a jeśli to była prawda, Andrea także o tym wiedział.

To, co zdarzy się teraz, nie miało znaczenia. Nie było ważne, czy wyjdzie, ani co powie. Zdawało się, że nie ma własnej woli, jakiegokolwiek celu. Nie miało znaczenia, że obok ktoś wyraził ten smutek. To matka łkała.

- Zapamiętaj moje słowa - szepnął Carlo.

Jego mroczna postać znów zmaterializowała się przed Toniem.

- Ach, jakież to twoje słowa mam zapamiętać? - westchnął Tonio. Mój ojciec. Ten człowiek. Ten człowiek! - Groźbę śmierci? - szepnął. Wyprostował się, patrząc prosto przed siebie. - To pierwsza rada, jakiej mi udzieliłeś. Jakże szybko pojedналиśmy się jako ojciec i syn!

- Posłuchaj tej rady! - krzyknął Carlo. - Powiedz, że nie możesz się żenić. Powiedz, że przyjmiesz święcenia kapłańskie. Albo że lekarze znaleźli u ciebie jakiś niedorozwój. Obojętne co. Ale powiedz to i ustąp mi!

- To kłamstwa - odparł Tonio. - Nie mogę ich użyć. - Był tak znużony. - Mój ojciec. - Ta myśl przegnała wszelki rozsądek, a gdzieś daleko, daleko poza jego zasięgiem stał Andrea, osuwający się w chaos. Czuł pełne goryczy, najstraszniejsze, okropne rozczarowanie, że nie jest synem Andrei. I jeszcze ten stojący przed nim oszalały, zropaczony człowiek, który zwracał się do niego z błaganem.

- Nie urodziłem się twoim bastarden - rzekł z wysiłkiem Tonio. Jakież katusze sprawiło mu wypowiedzenie tych słów! - Urodziłem się pod tym dachem i zgodnie z prawem jako syn

Andrei. I nie jestem w stanie tego zmienić, chociaż rozpowszechniasz swe obrzydliwości po całej Wenecji Eugenejskiej. Nazywam się Marc Antonio Treschi. Andrea obarczył mnie pewnym obowiązkiem i nie zniosę jego przekleństwa z nieba ani przekleństwa tych, którzy nas otaczają i nie znają nawet połowy ciężaru, który dźwigam!

- Sprzeciwiasz się ojcu! - ryknął Carlo.

- Niech i tak będzie! - Tonio podniósł głos. Toczył najcięższą walkę swego życia, by tu pozostać, ciągnąc dalej tę rozmowę, odpowiedzieć na wszystko raz na zawsze. - Nie mogę sprzeciwić się temu rodowi, tej rodzinie, człowiekowi, który wiedział o wszystkim i zdecydował się wyznaczyć nam obojgu drogę życia!

- Cóż za lojalność! - Carlo zdawał się wzdychać i drżeć, rozciągał usta w uśmiechu. - Bez względu na to jak mnie nienawidzisz, jak bardzo pragniesz mnie zniszczyć, nie uczynisz nic niezgodnego z interesami rodu!

- Nie nienawidzę cię! - oświadczył Tonio.

Zdawało się, że Carlo zaskoczony brzmieniem tego okrzyku uniósł wzrok, który przez moment przepelniało rozpaczliwe uczucie.

- Ja też nigdy nie żywiłem do ciebie nienawiści - rzekł, wciągając powietrze, jakby po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę. - Marcu Antonio - powiedział i, nim Tonio zdołał go zatrzymać, ujął obie jego dłonie. Byli tak blisko siebie, że mogliby się objąć, pocałować.

Na twarzy Carla malowało się zdziwienie, niemalże przerażenie. - Marcu Antonio - powtórzył łamiącym się głosem. - Nigdy nie żywiłem do ciebie nienawiści...

Padał deszcz. Być może ostatni wiosenny deszcz. Był tak ciepły, że nikomu nie przeszkadzał. Pokrywał piazza srebrem, potem srebrzystym błękitem, a od czasu do czasu zmieniał wielki kamienny plac w płachtę skrzężącej się wody. Gdzieniedzie pod pięcioma łukami bazyliki przechodziły spiesznie postacie owinięte fałdzistymi szatami. Światła otwartych kawiarni były zamglone.

Guido nie był tak pijany, jakby tego pragnął. Nie podobała mu się hałaśliwość i jasność tego miejsca, lecz jednocześnie czuł się tu bezpieczny. Właśnie otrzymał z Neapolu kolejną ratę swego stypendium i zastanawiał się, czy nie powinien wyjechać do Werony lub Padwy. Wenecja była wspaniałym miastem, jedynym, jakie napotkał w czasie swej wędrówki, które spełniało wszystkie oczekiwania. A jednak zdawało się zbyt ciasne, ciemne, ograniczające. Co noc wracał na piazza tylko po to, by ujrzeć tę ogromną połąć ziemi i nieba, aby poczuć, że może swobodnie oddychać.

Patrzył na strumienie deszczu załamujące się na łukach arkad. W drzwiach pojawiła się ciemna postać, weszła do wnętrza. Po czym znów widać było gnany wiatrem deszcz. Niemalże czuł jego krople na swej ciepłej twarzy i grzbietach splecionych dłoni. Opróżnił kielich. Zamknął oczy.

Gwałtownie je otworzył, gdyż ktoś usadowił się tuż przy nim.

Odwrócił się powoli i ujrzał mężczyznę o pospolitej, brutalnej twarzy, tak niedbale ogolonej, że pozostała na niej niebieskawa szczecina.

- Czy maestro z Neapolu znalazł, czego szukał? - spytał mężczyzna ściszoneg głosem.

Guido nie spieszył się z odpowiedzią. Napił się białego wina. Następnie wypił łyk kawy tak gorącej, że aż parzyła. Lubił, kiedy smak kawy wzmacniał poczucie ukojenia wywołane przez wino.

- Nie znam cię - rzekł, patrząc na otwarte drzwi. - Jak to się dzieje, że ja jestem ci znajomy?

- Mam ucznia, który by cię zainteresował. Chciałby, abyś od razu zabrał go do Neapolu.

- Nie bądź taki pewien, że mnie ten twój uczeń zainteresuje - odparł Guido. - I kimże on jest, że każe się zabrać do Neapolu?

- Tylko głupca by to nie zainteresowało - powiedział mężczyzna. Przynął się tak blisko, że maestro czuł ciepło jego oddechu. I jego zapach.

Guido mechanicznie spojrział w bok na swego rozmówcę. - Przejdź do rzeczy - rzekł - albo zostaw mnie w spokoju.

Twarz mężczyzny wykrzywił nikły uśmiech. - Też mi eunuch - mruknął.

Guido bardzo powoli, ale znacząco wsunął dłoń pod pelerynę i zacisnął palce na rękojeści sztyletu. I uśmiechnął się, nie zdając sobie sprawy z tego, jak przerażające mogą się wydawać części jego twarzy kontrastujące ze sobą: zmysłowe usta, spłaszczony nos i oczy, które stawały się czasem zamglone i piękne.

- Wysłuchaj mnie - szepnął powoli mężczyzna. - A jeśli kiedykolwiek powtórzysz komuś to, co powiem, lepiej byłoby dla ciebie, by twoja stopa nigdy nie postąpiła w tym mieście.

Rzucił spojrzenie w stronę drzwi, po czym mówił dalej: - Chłopak pochodzi z wysokiego rodu. Pragnie poświęcić wiele dla swego głosu. Są jednak tacy, którzy będą próbowali go od tego odwieść. Całą sprawę należy załatwić delikatnie i bardzo szybko. Pragnie wyjechać, jak tylko to się dokona, rozumiesz? Na południe od Wenecji leży miasto zwane Flowigo. Udaj się tam dziś wieczorem, idź do zajazdu. Chłopak do ciebie przyjdzie.

- Jaki chłopak? Kto? - Guido zmrużył oczy. - Rodzice muszą się na to zgodzić. Sędziowie...

- Jestem Wenecjaninem. - Na twarzy obcego człowieka trwał niezmacony uśmiech. - Ty nie. Weź chłopaka do Neapolu, to wystarczy.

- Powiedz mi teraz, kto to jest! - W głosie Guida zabrzmiała nuta groźby.

- Znasz go. Słyszałeś go dziś po południu w bazylice. Słyszałeś go ze śpiewakami na ulicach.

- Nie wierzę ci! - szepnął Guido.

Mężczyzna pokazał mu skórzaną sakiewkę. - Wracaj do karczmy - rzekł. - Przygotuj się do natychmiastowego wyjazdu.

Guido stał chwilę przed drzwiami w strumieniach deszczu, jakby mogło mu to przywrócić zdrowe zmysły. Ożywiły się ośrodki mózgu, których nie używał przez całe życie; czerpał niezwykłą radość z przebiegłości. Część jego osobowości kazała mu natychmiast znaleźć jakiś statek i uciekać z tego miasta. Inna część podpowiadała, że i tak zdarzy się, co ma się zdarzyć, czy on będzie tu, by na tym skorzystać, czy nie. Ale co właściwie kryła przyszłość? Przestraszył

się, gdy poczuł, że jakaś dłoń spoczęła na jego łokciu. Nawet nie zauważył, że ktoś się zbliża. Przez cienką, lodowatą zasłonę deszczu nie mógł dostrzec wyrazu twarzy tego człowieka. Czuł tylko na ramieniu dłoń sprawiającą mu ból, gdy mężczyzna powiedział: - Proszę ze mną, maestro.

Tonio po raz pierwszy dostrzegł całą tę trójkę w tawernie.

Był niezwykle pijany. Spędził jakiś czas na górze z Bettiną i kiedy zszedł na dół do zadymionej sali, opadł na ławkę przy ścianie i nie mógł dalej się ruszyć. Musiał porozmawiać z Ernestino, wyjaśnić, że dzisiaj nie będzie mógł iść z nim i pozostałymi. Nic nie mogło wyrazić tych wszystkich potworności. Nie napisano jeszcze odpowiedniej muzyki.

Kiedy wyteżał oczy w zakopcony mrok, przysłała mu do głowy dziwna myśl: już dawno powinien był stracić przytomność. Nigdy jeszcze po wypiciu takiej ilości alkoholu nie udało mu się przetrwać, by obserwować własną dezintegrację.

Cała sala drgała, pod ciemnymi od sadzy lampami przesuwały się ciężkie postacie, na stół przed nim opadł kufel.

Miał właśnie wypić, gdy ujrzał twarze tych ludzi, wyluskał je z tłumu jedna po drugiej, wszystkie przekrzywione pod takim kątem, że zdawało mu się, iż obserwują go tylko jednym okiem.

W tym momencie, gdy skojarzył sobie tę trójkę i poznał kim są, przez pijackie otepienie poczuł ukłucie paniki, która niemalże wywołała desperację.

Sala nie zmieniła się. Walczył z opadającymi powiekami. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podniósł nawet kufel i wypił wino. Poczuł, że rzuca się w przód, patrząc wyzywająco na tę trójkę. Potem uderzył tyłem głowy o ścianę.

W myślach rozpaczliwie zaczynał mu się rysować jakiś plan. Nie był jednak w stanie go sprecyzować. W jego skład wchodziło ustalenie, jak daleko znajdował się od Palazzo Lisani i jaka trasa była najpewniejsza. Uniósł dłoń, jakby usiłował schwycić nitki prowadzące go przez schodki i kanały, po czym wszystko zniknęło. Ujrzał, że zbliża się do niego jeden z trzech mężczyzn.

Formował ustami słowa, ale w tym hałasie nie było słycać zdania, które wypowiedział. Brzmiało ono: "Mój brat nasłał na mnie morderców". Słycać w nim było nutę zdziwienia. Zdziwienia tym, że to naprawdę się działo i że dotychczas nie sądził, by było to możliwe!

Carlo! Carlo, który tak rozpaczliwie pragnął, by Tonio zrozumiał! To niepojęte! Ale prawdziwe! Musiał uciekać z tego miejsca.

Wielki siepacz usadowił się naprzeciwko niego, olbrzymie ramiona zasłaniały całą karczmę, gdy przysuwał do Tonia swą dużą twarz: - Wracajcie do domu, signore... - szepnął. - Wasz brat musi z wami rozmawiać.

- Oooo, nie. - Tonio potrząsnął głową.

Wyciągnął rękę, by skinąć na Bettinę, i poczuł, że unosi się, jakby był lekki niczym piórko. Miał wrażenie, że jego stopy objijają się o jakieś splątane kończyny i nagle został wywleczony na schody. Łapczywie łykał powietrze. Deszcz delikatnie uderzał go w policzki. Usiłując stać, wsparł się o wilgotną ścianę.

Odwracając ostrożnie głowę, zdał sobie sprawę, że jest wolny.

Zaczął biec.

Od czasu do czasu czuł ból w stopach, ale wiedział, że porusza się szybko i pędzi w kierunku mgły wiszącej nad kanałem. Rzucił się w przód i nim pociągnięto go, opierającego się, w tył, w mrok, przez moment widział latarnie na przystani. Wyjął sztylet i wbił go w coś miękkiego. Potem coś zadźwięczało na ziemi. Siłą otwarto mu usta, trzymano go.

Z całej siły konwulsyjnie wyginał ciało. Potem krztusząc się i walcząc o oddech, gdy wciskano mu w usta knebel, poczuł pierwszy łyk wina.

Raz udało mu się wyrzucić je z siebie ruchem, który pozostawił po sobie ból w żebrach. Ale potem wlano następną porcję. Czuł, że jeśli nie uda mu się zamknąć ust lub uwolnić się, to zwariuje. Albo utonie.

Guido nie spał. Trwał w stanie, który czasem daje więcej odpoczynku niż sen, gdyż można się nim delectować. Leżąc na plecach w niedużym klasztorным pokoju, w maleńkim miasteczku Flovigo, patrzył na drewniane, opatrzone okiennicami okno, które otworzył na oścież przed wiosennym deszczem.

Niebo stawało się coraz jaśniejsze. Do świtania pozostała może godzina. I chociaż normalnie byłoby mu zimno, bo choć był kompletnie ubrany, to wraz z wiatrem do pokoju wlatywał deszcz - tym razem nie czuł chłodu. Powietrze mroziło mu skórę, ale nie przenikało głębiej.

Już od kilku godzin myślał, a jednocześnie nic nie rozumiał. Jeszcze nigdy w życiu nie miał takiej pustki w głowie i nie czuł przy tym takiego ożywienia umysłu.

Znał fakty. Ale nie myślał o nich, chociaż raz po raz pojawiały się one w jego rozważaniach.

Zdawał sobie na przykład sprawę z tego, że w Wenecji szpiedzy sędziów są wszędzie; wiedzą, kto jadł mięso w piątek i kto bije swoją żonę. A przedstawiciele sędziów mogą w każdej chwili aresztować, kogo zechcą, i wziąć do więzienia, w którym mogła go czekać egzekucja przez otrucie, uduszenie czy utopienie w środku nocy.

Wiedział, że ród Treschich jest potężny, a Tonio jest ulubionym synem.

Zdawał sobie sprawę, że w wielu częściach Italii kastracja dla powodów innych niż medyczne była zabroniona, jeśli nie wyrazili na nią zgody rodzice chłopca i on sam.

Wiedział, że jeśli chodziło o biedaków, nie miało to żadnego znaczenia.

Wiedział, iż wśród bogatych taka operacja była rzeczą niesłychaną.

Zdawał sobie sprawę, że ta odległa wioska leży wciąż w obrębie Państwa Weneckiego.

Pragnął się z niego wydostać. Znał korupcję południowych Włoch. Nie wiedział, jak skorumpowane jest to państwo.

Pamiętał, że każdy eunuch, którego znał, został wykastrowany jako mały chłopiec, gdy tylko jądra stały się ciężkie. Nie wiedział, jakie były tego powody, czy działo się tak ze względu na głos, czy ze względu na bezpieczeństwo operacji.

Wiedział, że Tonio Treschi ma piętnaście lat. Zdawał sobie sprawę z tego, że głos zazwyczaj załamuje się w trzy lata później. I że sopran, który słyszał w bazylice, był wciąż nie zmieniony, całkowicie czysty.

Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. I nie myślał o tym. Nie rozmyślał też o przyszłości, o tym, co może mu się przytrafić za godzinę czy nazajutrz.

Jednak od czasu do czasu cała ta wiedza gdzieś ulatywała. I Guido zagłębiał się, nie analizując we wspomnieniach chwili, w której po raz pierwszy usłyszał głos Tonia Treschi.

Było to pewnej mglistej nocy, leżał wtedy w łóżku jak teraz w pokoju we Flovigo, kompletnie ubrany, przy otwartym oknie. Minęły już najgorsze zimowe mrozy i wkrótce miało się zrobić na tyle ciepło, by podróż nie stwarzała wielkich niedogodności.

Będzie mu żal opuszczać Wenecję, która go zauroczyła, a jednocześnie wydawała mu się odpychająca. Przerazało go jej bogate kupiectwo i tajemniczy, zawily system rządów. Codziennie spacerował po Broglio i piazza, przyglądając się całemu widowisku i ceremoniom związanym z

urzędami państwowymi. A tamtejsi amatorzy, ci bogaci muzycy, którzy dysponowali wspaniałymi umiejętnościami i talentem, byli dla niego niezwykle uprzejmi.

Nadszedł jednak czas, by opuścić miasto. Czas wracać do Neapolu z dwoma chłopcami, którzy czekali na niego we Florencji. Nie mógł znieść myśli o nich; żaden z nich nie był wyjątkowy. Obawiał się ewentualnych wymówek ze strony zwierzchników.

Nie przejmował się tym jednak. Był już wszystkim zbyt zmęczony. Dobrze będzie znów zacząć uczyć, bez względu na przeszkody. Pragnął znaleźć się w Neapolu, w komnatach konserwatorium, w którym spędził całe życie.

Potem usłyszał ten śpiew.

Początkowo nie widział w nim nic ponad zwyczajną, uliczną rozrywkę. Był dobry, dosyć ciekawy. W Neapolu słyszał dużo podobnych rzeczy.

Wreszcie ponad inne głosy wznosił się sopran, który zaskoczył go wspaniałym tonem i godną podziwu elastycznością.

Wyszedł z łóżka i zbliżył się do okna.

Wyrastające przed nim mury zasłaniały niebo. Poniżej ujrzał wzdłuż kanału krążącą wokół pochodni i latarni, wijącą się i unoszącą mgłę. Wyglądała jak coś żywego, podążała wodną ścieżką, szukała światła swoimi mackami. Nie podobał mu się ten widok.

Nagle poczuł się w tym labiryncie jak w pułapce, zapragnął otwartej przestrzeni, widowiska gwiazd ześlizgujących się po łuku nieba do Zatoki Neapolitańskiej.

Ale ten głos, ten głos, który zdawał się unosić wraz z mgłą, sprawiał mu ból! Po raz pierwszy w życiu słyszał głos, którego nie potrafił zidentyfikować. Należał do mężczyzny, kobiety czy dziecka?

Koloratura była tak lekka, zmienna, że mógł wydobywać się z kobiecego gardła. Ale nie. Było w nim coś ostrego, niesprecyzowanego, charakterystycznego dla męskich głosów. I był młody, bardzo młody. Ale komu chciałoby się tak wyćwiczyć jakiegoś chłopca? Kto wyjawilby mu tyle sekretów?

Bezbłędnie ciągnął nutę, wplatając ją w akompaniament skrzypiec, wznosząc ponad ich dźwięk, obniżając i z łatwością wyposażając ją w ozdobniki.

Nie brzmiały w nim instrumenty dęte, a raczej drewniane, przypominał bardziej ciemne brzmienie skrzypiec niż płaski dźwięk trąbki.

Kastrat, to musiał być kastrat!

Przez chwilę wahał się między pragnieniem odszukania go, a chęcią wsłuchania się po prostu w jego głos. Nie wchodziło w grę, by młoda osoba śpiewała z takim uczuciem. A jednak uszy go nie myliły. Ten głos zatrzymywał go i zachwycał akrobatyczną giętkością, zabarwioną głębokim smutkiem.

Tak, smutek. Wciągnął buty, zarzucił ciężką pelerynę i wyruszył na poszukiwanie tego śpiewaka.

To, co ujrzał, zaskoczyło go, ale nie całkowicie.

Podążając za grupą muzyków do tawerny, zauważył wkrótce, że jest to chłopiec, prawie mężczyzna. Wysokie, giętkie dziecko o twarzy anioła i ruchach dorosłego człowieka. Był bogaty: jego szyję otaczały najwspanialsze weneckie koronki, palce zdobiły granaty osadzone w srebrze misternej roboty. Jego towarzysze nazywali go z czułością i uczuciem "ekscelencją".

- Żyję - myślał Tonio. - Jestem w jakimś pokoju. - Dookoła chodzili i rozmawiali ludzie. Jeśli żył, to może ma szansę wyjść z tego cało. I nie mylił się; Carlo by mu tego nie zrobił, nie Carlo. Z ogromnym wysiłkiem udało mu się otworzyć oczy. Ponownie otoczyła go ciemność, ale znów rozwarł powieki i ujrzał cienie rozmawiających ludzi, prześlizgujące się po ścianach i niskim suficie.

Znał ten głos; należał do Giovanniego, siepacza Carla, który stał wciąż przy jego drzwiach, a teraz mówił coś cicho i groźnie.

Czemu jeszcze go nie zabili? Co się działo? Nie odważył się ruszyć, póki się do tego nie przygotował, a przez zmrużone oczy dostrzegł wychudzonego, brudnego człowieczka trzymającego w rękach jakąś walizę i powtarzającego:

- Nie zrobię tego. Chłopak jest za duży.

- Jest wystarczająco młody. - Siepacz Giovanni zaczynał tracić cierpliwość. - Rób, co ci kazano, i zrób to dobrze.

O czym mówili? Co zrobić? Po jego lewej stronie stał siepacz imieniem Alonso. Drzwi znajdowały się za plecami mężczyzny o zapadniętych policzkach, który oświadczył właśnie:

- Nie wezmę w tym udziału - i zaczął cofać się w kierunku wyjścia. - Nie jestem rzeźnikiem, tylko lekarzem...

Ale Giovanni chwycił go brutalnie i popchnął w przód, póki jego oczy nie spoczęły na Toniu. - Nieee...

Tonio uniósł się właśnie, gdy Alonso usiłował go przytrzymać, i z rozpędem potoczył się w przód, przewracając stojącego mu na drodze wychudzonego mężczyznę. Walczył, a cały pokój płonął mu przed oczami, kopał, kiedy unoszono go z podłogi. Ujrzał, jak otwiera się waliza, wypadają noże, słyszał, że człowieczek mamrocze jakąś szaleńczą modlitwę. Potem schwycił dłonią czyjąś twarz, orał ją paznokciami, a prawą pięścią uderzał w brzuch, odpychając mężczyznę w tył. Coś się tłukło, łamało się drewno i nagle Tonio uwolnił się tak niespodziewanie, że aż upadł.

Wilgotna ziemia ugięła się pod jego stopami, kamienie przecinały buty i przez chwilę zdawało się, że zwycięży, że go pochłonie i ukryje noc. Ale nawet wtedy czuł ich uderzenia.

Ponownie go złapano; ryczał, wrzeszczał. Zanieśli go z powrotem do pokoju, jakiś mężczyzna całym swym ciężarem przygniótł go do nędznego posłania.

Wbił zęby w jego mięśnie i włosy, walczył z całej mocy, czując, jak rozwierają mu nogi. Słyszał rozdieraną materię, nim jeszcze zimne powietrze dotknęło jego nagiego ciała.

- Neeeeee! - ryczał przez zaciśnięte zęby, po czym ryk uwolnił się od wszelkich słów, stał się nieludzki, potężny, oślepiający, ogłuszający.

Wraz z pierwszym ciosem noża zrozumiał, że bitwa została przegrana i dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, co mu robią.

Guido dostrzegł, że niebo nad miasteczkiem Flovigo staje się bladożółte. Leżał niczym zabity, obserwując, jak deszcz jaśnieje od tego światła, na tyle by zmienić się w zasłone spływającą z jego okna na pola.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie był przygotowany na ekscytację, z jaką wstał, by je otworzyć.

Stał za nimi mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał w weneckiej kawiarni. Wepchnął się do pokoju i bez słowa otworzył owiniętą w skórę paczuszkę, zawierającą kilka dokumentów.

Obracając się w prawo i lewo, westchnął raptownie z irytacją widząc, że nie pali się żadna świeca, po czym zbliżył się do wilgotnego okna i przejrzał papiery z uwagą kogoś, kto nie umie ani czytać, ani pisać. Następnie przekazał je Guidowi wraz z jeszcze jedną paczuszką.

Maestro od razu ją rozpoznał. Zawierała wszystkie jego listy polecające z Neapolu; nawet nie wiedział, że zginęła. Był wściekły.

Skierował jednak uwagę na dokumenty. Wszystkie napisane były po łacinie i podpisane przez Marca Antonio Treschiego, wyrażały zaś jego wolę poddania się kastracji dla zachowania

głosu, zwalniając kogokolwiek ze współudziału w tej decyzji. Nazwiska lekarza nie wymieniano dla jego własnego bezpieczeństwa.

Ostatni z nich był kopia listu zaadresowanego do rodziny chłopca, w którym jasno wyrażał on chęć zapisania się do Conservatorio San Angelo w Neapolu i studiowania pod opieką maestra Guida Maffeo.

Guido wpatrywał się w to z osłupieniem.

- Ja do tego nie podzegałem! - rzekł.

Siepacz tylko się uśmiechnął. - Czekaj już powóz, który zawiezie was na południe, jest też wystarczająca ilość pieniędzy na zmianę koni i woźnicy, gdzie tylko będziesz chciał to zrobić, aż do Neapolu - powiedział. - A oto sakwa chłopca. Jak już mówiłem, jest bogaty. Ale nie zobaczy grosza więcej, nim nie zapisze się do twojego konserwatorium.

- Rodzina musi wiedzieć, że nie miałem z tym nic wspólnego! - wyjąkał Guido. - Rząd wenecki musi wiedzieć, że nie maczałem w tym palców.

Siepacz zaśmiał się krótko. - Któż w to uwierzy, maestro?

Guido gwałtownie odwrócił się do niego tyłem. Ze złością patrzył na dokumenty.

Siepacz stanął przy nim jak zły anioł.

- Gdybym był w twojej skórze, maestro - powiedział - nie czekałbym, aż ten chłopak się przebudzi. Podano mu bardzo silne opium. Wziąłbym go teraz i uciekał stąd. Oddaliłbym się od granic tego państwa tak daleko i tak szybko, jak to tylko możliwe. I proszę się opiekować chłopcem. Tylko on jeden może cię oczyścić z zarzutów.

Guido wszedł do domku, w którym spał Tonio. Ujrzał jego pomazaną krwią twarz, usta i szyję niebieską od siniaków. Dostrzegł wreszcie ręce i nogi chłopca związane szorstkim konopnym sznurem. Na twarzy nie było śladu życia.

Guido cofnął się z długim, niskim jękiem. Podniósł w górę oczy, obnażył zęby. Jęk trwał, jakby nie był w stanie go przerwać. Potem zamarł mu w gardle, zdławiony falą mdłości. Wbił wzrok w zakrwawiony materac. Wpatrywał się w noże leżące wśród słomy i brudu na ziemi i drżąc na całym ciele czuł, jak znowu wzbiera w nim jęk.

Kiedy wreszcie zamilkł, siepacz już wyszedł i pozostawił go z Toniem w tym pokoju. Przez otwarte drzwi widział miasto tak spokojne, jakby było niezamieszkane.

Podszedł do łóżka. Chłopak wyglądał jak trup i Guido przez długi czas nie mógł zdobyć się na to, by zbliżyć dłoń do jego otwartych ust i spróbować wyczuć najlżejsze tchnienie.

Chłopak żył. Miał wilgotną, rozpaloną od gorączki skórę.

Guido odgarnął podarte ubranie Tonia i przyjrzał się okaleczeniom.

Woreczek mosznowy został rozcięty, jego zawartość wyrznięto, a ranę niedbale wypalono. Z czasem moszna skurczy się i zniknie.

Kiedy jednak Guido przestał dotykać blizny, jego ciałem wstrząsnęły konwulsje wywołane jeszcze jednym, oczywistym odkryciem.

Patrzył na leżący bezwładnie członek chłopca i zauważył, że zaczynał on już zyskiwać męskie wymiary.

Na ten widok, mimo kłującej w oczy okropności pokoju, skrwawionego, posiniaczonego chłopca i lypiącego spoza otwartych drzwi siepacza, ogarnęło go dzikie przerażenie.

Maestro nie znał się na funkcjonowaniu ludzkiego ciała. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie tajemnicze siły pokonały go, odbierając mu głos, gdy był już na progu wielkości. Wiedział tylko, że tej okropnej przemocy towarzyszyła jeszcze być może bardziej przerażająca niesprawiedliwość.

Powoli dotknął białej twarzy śpiącego chłopca, usiłując wyczuć najdrobniejszą szorstkość męskiego zarostu.

Nie udało mu się jej znaleźć.

Pierś Tonia również nie była porośnięta włosami. Zamknawszy oczy, Guido bezbłędnie przywołał z pamięci brzmienie tego wysokiego, czystego głosu, który ze zwielokrotnioną siłą niósł się pod kopułami Bazyliki Świętego Marka.

Był bez skazy, doskonały.

A jednak Guido dostrzegął przed sobą pierwsze oznaki męskości.

W drzwiach pojawił się siepacz. Jego masywne ramiona wypełniły je i zasłoniły światło, więc nie można było dostrzec rysów twarzy, gdy odezwał się niskim, przepelnionym groźbą głosem:

- Zabierz go do Neapolu, maestro. Naucz go śpiewać. Powiedz mu, że jeśli tam nie zostanie, to umrze z głodu, gdyż nie dostanie nic od rodziny. Naucz go poza tym dziękować losowi za to, że uszedł z życiem, które niechybnie straci, jeśli kiedykolwiek wróci do Wenecji Eugenejskiej.

O tej samej porze w Wenecji Carlo Treschi został zbudzony przez oszalałą Catrinę Lisani, ściskająca w ręku długi i zawity list od Tonia, w którym zdradzał on swój zamiar pójścia pod nóż, by zachować głos i chęć zapisania się do neapolitańskiego Conservatorio San Angelo.

Od razu wyprawiono posłańców do budynku rządowego i nim minęło południe, wszyscy szpiedzy w całym państwie szukali Tonia Treschi.

Aresztowano Ernestina i jego grupę śpiewaków.

Angelo, Beppo i Alessandro zostali wezwani na przesłuchanie.

Tymczasem aż siedmioro patrycjuszy, tak panów jak i dam, wyznało, że ugościli napitkiem i jadłem młodego maestra z konserwatorium San Angelo w Neapolu, który wielokrotnie pytał o szlachetnie urodzonego ulicznego śpiewaka.

Wreszcie zalany łzami Beppo przyznał się, że doprowadził do spotkania tej dwójki w bazylice. Natychmiast został uwięziony.

Carlo, ze szczerymi łzami i nieprzystojną elokwencją, oskarżał siebie o doprowadzenie do tej przerażającej sytuacji, jako że nie ukrócił nierozsądnego i przesadnego upojenia brata muzyką. Nie dostrzegł czającego się w tym niebezpieczeństwa. Słyszał nawet o spotkaniu Tonia z maestrem z Neapolu i bezmyślnie je zlekceważył.

Wyglądał na niepocieszonego, szepcząc z zapuchniętą od płaczu twarzą i drżącymi dłońmi te skierowane przeciw samemu sobie oskarżenia przy osobach, które go przesłuchiwały.

Wszystko to było absolutnie szczere, jako że wtedy właśnie zaczął się zastanawiać, czy plan się powiedzie, i był obłędnie przerażony.

Tymczasem Marianna Treschi usiłowała rzucić się z okna pałacu. Powstrzymali ją słudzy.

A mała Bettina płakała opowiadając o tym, jak nic - ani sen, ani uciechy z kobietami, nie były w stanie zniechęcić Tonia do śpiewania.

O północy nie znaleziono jeszcze ani maestra z Neapolu, ani Tonia, a we wszystkich otaczających Wenecję miasteczkach policja wyciągała z łóżek lekarzy, którzy kiedykolwiek mogli mieć coś wspólnego z kastracją śpiewaków.

Uwolniono Ernestina, który opowiadał teraz wszystkim, jak bardzo gnębiła Tonia nieuchronna strata głosu. W kawiarniach i tawernach nie rozmawiano o niczym innym niż o tej sprawie oraz o talencie, urodzie i lekkomyślności chłopca.

Kiedy senator Carlo Lisani wrócił wreszcie nad ranem do domu, zastał tam swą małżonkę, Catrinę, niemalże w hysterii.

- Całe miasto chyba oszalało, żeby dawać temu wszystkiemu wiarę! - krzyczała. - Dlaczego nie aresztowałeś Carla i nie oskarżyłeś go o zamordowanie brata? Dlaczego Carlo wciąż pozostaje przy życiu?!

- Signora... - Jej mąż ze znużeniem zagłębił się w fotelu. - Żyjemy w osiemnastym wieku i daleko nam do Borgiów. Nie ma dowodów na morderstwo ani żadne inne przestępstwo, jeśli już o tym mowa.

Catrina zaczęła krzyczeć bez opamiętania. Zdołała w końcu wyjąkać, że jeśli Tonio nie zostanie do południa odnaleziony żywy, Carlo umrze. Sama natychmiast tego dopilnuje.

- Signora - odezwał się ponownie jej małżonek. - To prawda, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chłopak nie żyje albo został owałaszony. Ale jeśli zajmiesz się pozbawieniem Carla Treschiego życia, to jednocześnie na wieczność weźmiesz na siebie odpowiedzialność, której nie będzie z tobą dzielił żaden z polityków: odpowiedzialność za wygaśnięcie rodu Treschich.

CZEŚĆ TRZECIA

1

Nim zapadła noc, dotarli do Ferrary, a Tonio odzyskał przytomność. Potrzęsany przez powóz podążający żyzną równiną, otwierał od czasu do czasu oczy, które zdawały się nic nie widzieć.

Kiedy zatrzymali się w małej karczmie na obrzeżach miasta, Guido od razu zaniósł go do łóżka. Związał mu ręce. Dotknął palcami jego czoła.

Duże okna pokoju zasłaniał rząd drżących, zielonych topoli. Przed zachodem słońca zaczął padać deszcz.

Guido miał butelkę wina. Postawił świeczkę na stoliku stojącym przy głowie Tonio i, usadowiwszy się w nogach łóżka, czekał.

Wczesnym wieczorem zapadł w drzemkę.

Kiedy otworzył oczy, nie wiedział, dlaczego się obudził. Przez chwilę zdawało mu się, że jest w Wenecji. Po czym przypomniał sobie wszystko, co zaszło.

Zmrużył oczy, chroniąc je przed błyszczącą w mroku małą aureolą świecy. Wydał stłumiony okrzyk.

Tonio Treschi siedział w rogu oparty plecami o ścianę, szparki jego oczu błyszczały w ciemności. Guido nie wiedział, od jak dawna mógł nie spać.

Czuł jednak, że grozi mu niebezpieczeństwo. - Napij się trochę wina - powiedział po włosku. Ale chłopak nie odpowiedział. Guido dostrzegł wtedy, że Tonio ma już rozwiązane ręce, a sukienna szarfa, która je krępowała, leży na podłodze.

Chłopiec nawet na chwilę nie spuszczał z niego zaczerwienionych, wąskich oczu. Okalający je siniec w kolorze głębokiej purpury sprawiał, że miały absolutnie wrogi wyraz.

Guido pociągnął łyk wina ze stojącego przy nim kielicha. Następnie wyjął z walizy dokumenty i położył je przed Tonio na szorstkim białym prześcieradle.

Oczy chłopca przesunęły się po łacińskich literach. Ale Tonio nie czytał dokumentów, a tylko na nie patrzył.

Potem spojrzał na Guida.

I tak szybko wstał z rożka, że przyparł maestra do ściany, nim ten zorientował się, co się dzieje. Ścisnął rękami gardło Guida, który musiał zmobilizować wszystkie siły, by go odepchnąć.

Wymierzył chłopakowi potężny cios w głowę, a ten najwyraźniej zachwiał się na nogach i, niezdolny do obrony, upadł, podpierając się rękami. Całe jego ciało drżało, a kiedy zamknął oczy, jego twarz pokryła się czerwienią.

Nie opierał się, gdy Guido ponownie umieścił go przy ścianie. Tak powoli podnosił powieki, jakby znów tracił przytomność.

Guido schwycił go obiema rękami za ramiona. Patrzył w oczy diabła; albo szaleńca.

- Słuchaj - rzekł półgłosem. - Nie miałem nic wspólnego z tym, co ci zrobiono. Lekarz, który cię wykastrował, najprawdopodobniej nie żyje. Ci, którzy go zabili i mnie by się pozbyli, gdybym odmówił wywiezienia cię z Wenecji Eugenejskiej. Ty także straciłbyś życie. Tak powiedzieli.

Usta chłopca ruszały się, jakby przeżuwał ich wnętrze, zbierał ślinę.

- Nie wiem, kim byli ci mężczyźni. A ty? - spytał Guido.

Chłopak trysnął mu w twarz takim strumieniem śliny, że Guido puścił go i przez chwilę stał zasłaniając dłońmi oczy.

Kiedy spojrział na swoje ręce, ujrzał na nich krew.

Postąpił w tył. Usadowił się na płaskim drewnianym krześle, na którym przedtem siedział, i poczuł, że głowa opada mu w tył i dotyka tynku.

Oczy chłopca nie zmieniły wyrazu, ale jego ciało, które wydawało się niemalże świecić w ciemności, zaczęło drżeć, a wreszcie trząść się.

Kiedy Guido wstał, by owinąć Tonia kocem, ten odsunął się, sycząc w weneckim dialekcie coś, co brzmiało jak "Nie dotykaj mnie".

Guido ponownie wycofał się i przez pełną godzinę siedział obserwując chłopca, którego wyraz twarzy nie zmienił się nawet na chwilę. Nie zachodziły żadne zmiany. Nic się nie działo. Aż wreszcie Tonio uległ słabości oraz chorobie i zsunął się na materac.

Nie był w stanie opierać się, gdy Guido go przykrywał. Ani, jak się zdawało, nie miał siły protestować, gdy uniósł mu głowę i kazał wypić wino.

Kiedy znów się położył, jego oczy zdawały się dwoma kawałkami szkła, a gdy Guido mówił do niego, tylko od czasu do czasu przesuwały się po suficie.

Maestro nie spieszył się. W karczmie panowała cisza, na niebie, za przesuwanymi się cieniami topoli, raz po raz pojawiały się błyszczące, maleńkie gwiazdy. Cichym, wyważonym

głosem opisywał mężczyznę, który zaczął go w Wenecji i ludzi, którzy zmusili go do przybycia do Flavigo. Następnie opowiadał o papierach, na których widniał podpis Tonia.

Bez komentarza wyjaśnił dokładnie, w jaki sposób on sam został zamieszany w całą sprawę oraz jak zostało to wykorzystane przez tych ludzi, by zmusić go do wywiezienia Tonia z Państwa Weneckiego. Wreszcie opisał chłopcu należący do niego powóz, powiedział o sakwie oraz o tym, że jeśli Tonio pragnie, Guido może go zabrać do Conservatorio San Angelo.

Wyjaśnił, że wybór należy do Tonia. Następnie przerwał, by wreszcie wyznać półgłosem, że siepacz stwierdził, iż chłopiec nie może liczyć na dalsze finansowe wsparcie, jeśli nie uda się do konserwatorium, aby tam pozostać.

- Niemniej możesz sam zdecydować, czy pojedziesz ze mną, lub robić, co ci się podoba - rzekł Guido. Sakwa była ciężka.

Chłopiec odwrócił głowę i zamknął oczy, a ruch ten zdawał się tak wymowną prośbą o ciszę, że maestro nie powiedział już nic więcej.

Stał z rozłożonymi rękami, oparty o ścianę, póki nie usłyszał równego oddechu Tonia.

Z oblicza młodzieńca zniknął wszelki ślad szaleństwa; jego twarz odcinała się od poduszki biała i łagodniejsza niż przedtem. Wargi wyglądały znów jak doskonale wykrojone, a jednocześnie miękkie usta małego chłopca. Błade światło, igrające na doskonale rzeźbionej twarzy Tonia, ukazywało jej prawdziwe piękno.

Światło prześlizgiwało się po linii szczęki, wystających kościach policzkowych, gładkiej płaszczyźnie czoła.

Guido podszedł bliżej. Długo przyglądał się szczupłym, zwiotczalym w czasie snu kończynom chłopca i jego na wpół ściśniętej dłoni, spoczywającej na przykryciu.

Jego czoło było teraz ciepłe. Tonio nawet nie drgnął, gdy mistrz go dotknął.

Prześliznąwszy się przez drzwi, Guido wyszedł na rozciągające się za oknem otwarte pole.

Chmury zasłoniły księżyc. Z tego punktu pod nieboskłonem nie rozbłyskały nawet światła miasta.

Idąc przez wysoką, wilgotną trawę Guido znalazł wkrótce suche miejsce, gdzie mógł położyć się na plecach i szukać na niebie kilku ukazujących się od czasu do czasu gwiazd.

Ogarniało go potworne przerażenie.

Przychodziło jak chłód zimy; znał je z przeszłości i poznawał po drzeniu, które zawsze mu towarzyszyło, oraz po dziwnym smaku w ustach, jakby miał mdłości.

Tylko że torsje nie nadchodziły. Był zdrowy, pusty, całe jego życie nic po prostu nie znaczyło. Nigdy nie stanowiło niczego innego ponad splot absurdalnych przypadków, nie wydarzyło się w nim nic godnego ani dobrego, nic, co mogłoby dać pocieszenie.

To, że Wenecjanie mogli go zabić, nie miało najmniejszego znaczenia. Nie było to ważniejsze niż jakiegokolwiek inne wydarzenie z życia Guida. I wbrew swej woli znalazł się znów w tym pokoju w Neapolu, w którym zapiwszy się do nieprzytomności, usiłował popełnić samobójstwo, otwierając sobie żyły.

Pamiętał go dokładnie. Malowane ściany, kwiecisty wzór ozdabiający brzegi sufitu. Przypomniawszy sobie, z jaką obsesją myślał w tych ostatnich chwilach o morzu i jak pięknie je sobie wyobrażał.

Zwilgotniały mu oczy. Poczł, że po policzku spływają łzy, a rozciągające się nad nim niebo zdawało się mleczne i rozjaśnione niepożądanym białym światłem, które chętnie zakryłby błogosławionym mrokiem.

Słyszał teraz, znów wbrew swej woli, rozbrzmiewający w splątanych, weneckich uliczkach głos Tonia Treschi i poczuł, jak pokój w Neapolu, w którym był tak niewypowiedzianie szczęśliwy, gdy myślał, że umrze, zlewa się z Wenecją, w której słuchał tego wspaniałego śpiewu.

Nagle zrozumiał, z czego wyrastała dzika, niezgłębiona ciemność duszy, która usiłowała go pochłonać.

- Jeśli ten chłopak nie przetrwa, jeśli jakoś nie uda mu się poradzić sobie z gwałtem, który na nim uczyniono, zniszczy to i mnie.

Niedługo potem wstał z trawiastego posłania i wrócił do karczmy. Nie był jeszcze w stanie iść na górę do pokoju, usiadł więc na kamiennym stopniu i cicho zapłakał.

Minęły lata, odkąd ostatni raz ronił łzy, albo tak mu się zdawało. Z pewnością całe lata, odkąd pozwolił im płynąć tak obficie.

Przestał dopiero, gdy usłyszał własne łkanie.

Ze zdumieniem uniósł głowę.

Na rozjaśnionym niebie pojawiły się pierwsze nitki błękitu przeszywające bezkresne pole chmur. Schyliwszy głowę wstał i otarł rękawem łzy.

Ale kiedy odwrócił się i spojrzął na wąskie, przytulone do ściany schodki, ujrzał na górze szczupłą i jakby kruchą postać Tonia.

Chłopiec patrzył na niego. Nawet na chwilę nie spuścił z Guida łagodnych, czarnych oczu, gdy ten do niego podchodził.

- Jesteś tym maestrem, którego poznałem, prawda? - spytał cicho Tonio. - Maestrem, dla którego śpiewałem w Bazylice Świętego Marka?

Guido skinął głową. Uważnie przyglądał się jego białej twarzy, wilgotnym ustom, oczom, które wciąż chorobliwie błyszczały.

Ledwie udawało mu się znieść widok tej sponiewieranej, złamanej niewinności. Cicho pomodlił się o to, by chłopak go nie opuścił.

- Czy to nade mną płakałeś? - spytał Tonio.

Guido milczał przez chwilę. Poczul zwykły przyływ gniewu, pod którego wpływem jego twarz zaczerwieniła się, wykrzywiły się kąciki ust. Po czym nagle zdał sobie sprawę, tak wyraźnie, jakby ktoś szepnął mu to do ucha, że owszem, to prawda; płakał właśnie nad tym chłopcem.

Jednak przełknął tylko ślinę i nie powiedział nic. Wpatrywał się w Tonia z posępnym zdziwieniem.

Nagle na jeszcze przed chwilą beznamietnej, niemalże anielskiej twarzy chłopca pojawił się, równie delikatny co przerażający, wyraz goryczy. Ostrości dodała mu ukazująca się zwolna wrogość, a oczy błysnęły tak groźnie, że Guido powoli odwrócił wzrok.

- Cóż, musimy opuścić to miejsce - szepnął chłopiec. - Trzeba ruszyć w dalszą podróż. Muszę się zająć pewną sprawą.

Guido patrzył, jak odwraca się i idzie z powrotem do pokoju. Wszystkie dokumenty leżały na stole. Chłopak zebrał je teraz i podał mistrzowi.

- Kim byli mężczyźni, którzy to zrobili? - spytał nagle Guido. Tonio zakładał pelerynę. Podniósł wzrok, jakby pochłaniały go jakieś myśli.

- Głupcami - odparł - na usługach tchórza.

Tonio niemalże nie odezwał się słowem przez całą drogę do Bolonii, wielkiej, ruchliwej stolicy północy.

Jeśli coś mu dolegało, skrzętnie to ukrywał, a gdy Guido zachęcał go do odwiedzenia lekarza, jako że zawsze istniało niebezpieczeństwo infekcji, zdecydowanie odwracał głowę.

Zdawało się, że jego twarz odmieniła się już na stałe. Wydłużyła się, usta stały się harde. Oczy nadal błyszczały jak w gorączce, chociaż były szeroko otwarte i pozornie obojętne na wiosnę, którą rozkwitała północnowłoska wieś.

Wydawały się również nie zauważać fontann, pałaców i zatłoczonych ulic tego wielkiego miasta.

Jednak po dokonaniu ekstrawaganckiego zakupu w postaci zdobnej w klejnoty szpady, sztyletu i dwóch pistoletów o perłowych rękojeściach, przy którym obstawał, Tonio nabył także nowy strój i dobraną do niego pelerynę. Następnie poprosił Guida uprzejmie (jak na razie we wszystkim był uprzejmy, unikając jednocześnie posłuszeństwa i uległości), by znalazł mu prawnika, który zajmuje się sprawami muzyków.

W Bolonii nie stanowiło to żadnego problemu. Kawiarnie roiły się od śpiewaków i muzyków z całej Europy, którzy przybyli tu specjalnie po to, by poznać agentów i impresariów, a ci później mogli zdobyć dla nich pracę na nadchodzący sezon. Nie musieli długo pytać, by znaleźć się w biurze kompetentnego prawnika.

Tonio zaczął dyktować list do Najwyższego Trybunału w Wenecji.

Stwierdzał w nim, że poświęcił się dla swego głosu i absolutnie nie można winić za taki rozwój wypadków żadnego mieszkańca Wenecji.

Oczyścił z zarzutów swych byłych nauczycieli oraz wszystkich, którzy zachęcali go do miłowania muzyki, jak również Guida Maffeo oraz innych ludzi związanych z Conserwatorio San Angelo, bowiem dowiedzieli się oni o jego zamierzeniach dopiero po fakcie.

Najważniejsze było dla niego jednak to, by nie obarczać winą jego brata Carla.

- Jako że jest on teraz jedynym zdrowym na ciele i zdolnym do ożenku potomkiem naszego zmarłego ojca, nie podlega dyskusji, iż należy uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności za moje czyny, by mógł wypełnić swe obowiązki względem przyszłej żony i dzieci - rzekł Tonio.

Podpisał list. Prawnik, nie mrugnawszy nawet okiem na jego dziwne brzmienie, poświadczył go. Guido zrobił to samo.

Jedną kopię wysłano zaraz do kobiety nazwiskiem Catrina Lisani z prośbą, by bezzwłocznie przesłała rzeczy Tonia do Neapolu. I czy nie można by natychmiast dać małego posagu Bettinie Sanfredo, pracującej jako kelnerka w karczmie swego ojca, by dobrze wyszła za mąż?

Następnie Tonio powrócił do klasztoru, w którym zamieszkiwali i wyczerpany padł na łóżko.

Tej nocy Guido często budził się, by ujrzeć kompletnie ubranego Tonia czekającego w rogu pokoju na nadejście poranka. Przed północą chłopak rzucał się niespokojnie przez sen, krzyczał nawet, po czym budził się, a jego twarz stawała się pozbawiona wyrazu i nieczytelna jak zawsze.

Nie można było nawet domyślić się, jak dotkliwy ból skrywał Tonio, chociaż czasem Guidowi zdawało się, że czuje cierpienie emanujące z jego nieruchomej postaci, spoczywającej niespokojnie w rogu trzęsącego się powozu. Czasem maestro miał ochotę przemówić, ale nie potrafił się na to zdobyć i ogarniało go to samo przerażenie, które opanowało go pamiętnej nocy w Ferrarze. A jednak czuł się upokorzony tym, że chłopak widział, jak łka i tak otwarcie spytał, czy on jest powodem tych łez. Guido zapomniał całkowicie, że nic na to nie odpowiedział.

* * *

Kiedy wreszcie we Florencji dotarli do dwóch chłopców, których Guido zostawił tam do czasu powrotu do Neapolu, widać było, że ich obecność w powozie najwyraźniej wstrząsnęła TONIEM. Zachowywał się tak, jakby nie mógł oderwać od nich oczu.

Jednak w Sienie kupił obu chłopczykom nowe buty i peleryny oraz zamówił dla nich przy stole słodycze. Dzieci, dziewięcio- i dziesięcioletki, były nieśmiałe i posłuszne; żadne z nich nie odważyło się odezwać czy poruszyć, jeśli od nich tego nie zażądano. Jednak młodszy chłopiec, Paolo, miał najwyraźniej poczucie humoru i od czasu do czasu nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu, na widok którego Tonio zawsze gwałtownie odwracał wzrok. Pewnego razu Guido przebudził się z drzemki i ujrzał, że Paolo usadowił się wygodnie tuż przy boku Tonia. Padał deszcz. Nad łagodnymi, soczyście zielonymi wzgórzami pojawiła się błyskawica i z każdym grzmotem chłopiec przysuwał się coraz bliżej, aż wreszcie, nawet na niego nie spojrzawszy, Tonio otoczył go ramieniem. Oczy młodzieńca zaszyły mgłą, a gdy zacisnął palce na nodze Paola,

by mocno go trzymać, zdawało się, że wzbierają w nim jakieś nieopanowane emocje. Ale później zamknął oczy, głowa opadła mu na bok, jakby miał złamany kark. A powóz podskakując toczył się dalej w ciepłym, wiosennym deszczu w kierunku Wiecznego Miasta.

Chociaż Tonio pozostawał ślepy na posępny przepych Rzymu, nim dotarli do Porto del Populo, przedmiotem jego obsesyjnego zainteresowania w miejsce chłopców stał się Guido. Jego oczy nadal płonęły tą samą cichą wrogością. Bezlitośnie obserwowały Guida, jego sposób chodzenia, siedzenia, nawet rzadkie włosy porastające grzbiety dłoni maestra. A kiedy dzielili nocą pokój, Tonio odważnie patrzył, jak Guido rozbiera się i przyglądał się jego długim, pozornie silnym rękóm, potężnej piersi, szerokim ramionom.

Guido znosił to w milczeniu.

Jednak, chociaż sam nie wiedział dlaczego, zaczynało go to dręczyć. Ciało nie miało dla niego większego znaczenia. Już jako mały chłopiec występował na scenie konserwatorium, zmieniając kostiumy, malując się czy w inny sposób strojąc i przebierając się. Przyzwyczajony był więc do cech szczególnych własnego ciała. Wiedział na przykład, że dzięki potężnej sylwetce wygląda dobrze w męskich rolach i jeśli jego ogromne oczy zostaną mocno pomalowane, to zyskują nadprzyrodzony wyraz.

Ale nagość, drobne defekty ciała oraz fakt, że jest poddany dokładnej obserwacji, nie miały dla niego żadnego znaczenia.

A jednak spojrzenie tego chłopaka było tak bezceremonialne i nieugięte, że zaczynało go irytować. Pewnego wieczora, gdy nie był już w stanie dłużej go znieść, odłożył łyżkę i skierował oczy na Tonia.

Spojrzenie chłopca było tak nieruchome i wrogie, że Guido pomyślał przez chwilę, iż Tonio musi być szalony. Po czym zdał sobie sprawę, że młodzieniec jest do tego stopnia pochłonięty obserwowaniem go, iż nie zdaje sobie nawet sprawy, że Guido również na niego patrzy. Zupełnie jakby maestro był jakimś martwym przedmiotem. Tonio nie reagował na jego spojrzenie, lecz wreszcie przesunął wzrok, kiedy sam zechciał i skierował go na gardło mistrza. A może na opasujący je kołnierz z białego płótna? Guido nie miał pojęcia. Tonio patrzył teraz na jego dłonie, po czym znów wprost w oczy maestra, jakby ten był jakimś malowidłem.

Ignorował Guida tak całkowicie, tak otwarcie, że mistrz poczuł, jak ogarnia go złość. Był niezwykle wybuchowy, najbardziej ze wszystkich w konserwatorium, co mogli poświadczyć

wszyscy jego uczniowie. Ten chłopak miał doświadczyć po raz pierwszy gniewu, na który złożyły się wszystkie drobne urazy.

W końcu wykonywał wszystkie rozkazy tego dziecka, jakby nie był niczym więcej niż jego lokajem.

Do głosu zaczęła dochodzić zakorzeniona w nim nienawiść do całej arystokracji i Guido zdał sobie nagle sprawę, że miesza różne sprawy.

Tonio odłożył serwetkę i wstał od stołu.

Tej nocy, jak i podczas wszystkich poprzednich, korzystali z najbogatszego noclegu, jakim dysponowało miasto - w tym wypadku był to zasobny klasztor wynajmujący gentlemanom, którzy mogli sobie na to pozwolić, duże, wspaniale umeblowane pokoje.

Tonio wyszedł z ich prywatnej jadalni, w której chłopcy wciąż skrobali talerze, i udał się do wąskiego ogrodu otoczonego wysokim murem.

Guido długo siedział, rozmyślając. Myśli kołatały mu się po głowie jeszcze wtedy, gdy prowadził chłopców do łóżka i patrzył, jak wślizgują się pod przykrycia.

Jednak wychodząc w noc, nadal nie rozumiał przyczyny własnego gniewu. Wiedział tylko, że złości go ten chłopak, jego lekceważące spojrzenie i wieczne milczenie. Starał się pamiętać o bólu i rozpaczy, które młodzieniec niewątpliwie cierpiał. Ale nie mógł o tym myśleć. Przez cały czas starał się wymazać wspomnienia z pamięci, gdyż po prostu były one zbyt straszne.

Ilekczoć umysł zmuszał go do zastanawiania się, co dzieje się teraz z chłopcem, co myśli i czuje, jakiś uparty wewnętrzny głos mówił Guidowi z tym kpiącym tonem wyższości: - Ależ ty zawsze byłeś eunuchem, nigdy się nie dowiesz. Bez względu na przyczynę czuł wściekłość, gdy wszedł do ogrodu i ujrzał w świetle księżyca, nad stawem kształtu muszli, ogromną, pochyloną statwę, a przed nią szczupłą, prostą jak struna postać Tonio Treschiego.

W Rzymie pełno jest posągów trzy-, czterokrotnie większych od normalnego człowieka. Wydaje się, że wyrastają w każdym najmniejszym zakątku miasta, przy murach i nad bramami, górując nad nieskończoną różnorodnością fontann. I chociaż nie zwróciłoby się na nie większej uwagi w kościele czy ogromnym pałacu, jeśli ujrzy się je niespodziewanie w jakimś niewielkim miejscu, wrażenie jest często wstrząsające.

W takiej chwili ogarnia człowieka poczucie groteskowości. W podobnym otoczeniu posągi wyglądają jak olbrzymy i wydają się tak rzeczywiste, jakby miały nagle zacząć oddychać, a potem wyciągnąć jedną z potężnych dłoni i gnieść wszystkich dookoła.

Szczegóły statuy zapadają w pamięć. Człowiek zauważa poruszające się pod marmurem mięśnie, żyły na grzbietach dłoni, karb na paznokciu. Ale całość wydaje się potworna.

Kiedy Guido wyszedł z klasztoru i stanął za Toniem na wąskiej przestrzeni, ogarnęło go wstrząsające uczucie.

O ścianę wspierał się jakiś bóg, pochylając w przód ogromną, brodatą twarz. Między jego rozwartymi na tle nieba palcami sączyła się woda, spływająca niżej na powierzchnię stawu zalaną światłem księżyca.

Tonio Treschi wpatrywał się w jego obnażoną pierś i szerokie biodra ginące w luźnej materii, z której wylaniała się potężnie umięśniona noga, unosząca cały ciężar olbrzyma.

Guido odwrócił wzrok od monstualnego boga; na powierzchni falującej wody ujrzał rozproszoną księżycową poświatę. Kątem oka zauważył, że chłopak odwrócił się w jego stronę. Czuł, jak przesuwa po nim nieugiętym, zachłannym spojrzeniem.

- Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz? - spytał gwałtownie i nim zdążył się powstrzymać, zacisnął dłoń na luźnej materii okrywającej ramię Tonia.

Wyczuł zdziwienie chłopaka. W świetle księżyca dojrzał zmianę, jaka zaszła w wyrazie jego twarzy, a także wiotczące, a potem poruszające się bezgłośnie i głupio, usta.

Ostre, wyraźne rysy jego młodzieńczej twarzy rozplynęły się w bezradności i poczuciu winy. Zdawało się, że gdyby mógł, wyjąkałby jakieś słowa zaprzeczenia. Zaczął mówić, przerwał, po czym porzucił ten zamiar. Głowa mu się trzęsła.

Guido był również bezradny. Jeszcze raz wyciągnął dłoń, jakby chciał go dotknąć, ale zawisła ona w powietrzu i maestro patrzył z potwornym strachem, jak chłopiec zdaje się słabnąć.

Tonio spuścił wzrok. Podniósł ręce i wpatrywał się kolejno w swe rozwarte dłonie. Wykonał ruch, jakby usiłował schwycić coś w powietrzu, a może tylko przyjrzeć się własnym ramionom. Tak, patrzył na swoje ramiona i nagle z jego gardła zaczęło wydobywać się rżenie, stłumiony jęk.

Odwróciwszy się do Guida dyszał, jakby był niemym zwierzęciem, niezdolnym wypowiedzieć ani słowa; coraz szerzej rozwierał oczy, w których malowała się coraz większa rozpacz.

Nagle Guido pojął wszystko.

Ale chłopak ciągle dyszał, wciąż wpatrywał się w swe podniesione ręce, po czym nagle uderzył się nimi w piersi, a stłumiony jęk przerodził się w coraz głośniejszy, gardłowy krzyk.

Guido wziął go w ramiona i z całej siły przytulił sztywne ciało Tonia do piersi, póki chłopak nie zwiotczał i nie zamilkł w jego uścisku.

Młodzieniec nieruchomo wspierał się o ramię Guida i nim został cicho odprowadzony do łóżka, wyszeptał mu do ucha tylko jedno słowo: “potwór”.

Do Neapolu dotarli pierwszego dnia maja, ale nawet długa jazda przez zielone pola pszenicy nie przygotowała ich na oszałamiający widok ogromnego, skapanego w słońcu miasta, opadającego kaskadami w dół wzgórza, z błyskiem pastelowych ścian i rozkwitających ogródków na dachach, by zamknąć w uścisku czysty błękit zatoki, port pełen białych żagli i Wezuwiusza posyłającego w bezchmurne niebo pióropusz dymu.

Powóz przedzierał się, kołysząc, przez otaczający go, stworzony jakby przez ciepłe, wonne powietrze tłum niestrudzonych mieszkańców miasta, pędzące karoce, blokujące droge osły i sprzedawców ulicznych, zachwalających głośno swe towary lub podchodzących do samych okien, by zaoferować lody, miazdżony lód czy świeżego arbuza.

Woźnica traskał z bata, konie mozolnie wchodziły na wzgórze, a za każdym zakrętem krzywej uliczki przed oczyma podróżnych otwierała się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nowa panorama wybrzeża i morza.

Tak wyglądał raj. Guido nie miał nagle co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie był przygotowany na dobre samopoczucie, które go ogarnęło.

Nie można było patrzeć na tę obfitość liści i kwiatów, poszarpaną linię brzegu, na tę złowieszczą górę, nie czując radości przenikającej całe jestestwo człowieka.

Guido zauważył, jak podniecone były maluchy, szczególnie Paolo, młodszy z nich, który wskoczył Toniowi na kolana i wychylił się z okna. Również i Tonio całkowicie zapomniał o wszystkim innym. Usiłował dojrzeć Wezuwiusza, skąd tylko się dało.

- Ależ on bucha dymem - szepnął.

- Bucha dymem! - powtórzył Paolo.

- Owszem - odparł Guido. - Już od dawna zdarza się to od czasu do czasu. Ale nie przejmuj się tak. Nikt nie wie, kiedy naprawdę zdecyduje się dać nam pokaz.

Tonio poruszał ustami, jakby się modlił.

Kiedy konie wkroczyły stukając kopytami na podwórzec przy stajniach, Tonio pierwszy wyskoczył z powozu, trzymając w ramionach Paola. I postawiwszy chłopca na ziemi, podążył za nim na dziedziniec. Przesunął wzrokiem po otaczających go ścianach, wznoszących się ponad ozdobione romańskimi łukami krużganki. Były porośnięte prawie całkowicie łopoczącym

niesformnie dzikim winem, które rozbłyskiwało małymi, białymi kielichami w kształcie trąbek i rozbrzmiewało pieśnią tysiąca pszczoł.

Przez otwarte drzwi płynęły hałaśliwe dźwięki instrumentów. Przy szybie pojawiły się małe twarze. A fontanna, ozdobiona podniszczonymi, zaplamionymi przez czas cherubinami, lgnącymi do otwartego rogu obfitości, trysnęła rozbłyskującym w słońcu, obfitym i zapierającym dech w piersiach strumieniem kropli.

Maestro Cavalla natychmiast wyszedł z biura i objął Guida.

Maestro, wdowiec, którego synowie od dawna odeszli na zagraniczne dwory, darzył Guida wyjątkową miłością. Guido zdawał sobie z tego sprawę, a teraz sam poczuł nagły przypływ ciepłych uczuć do tego mężczyzny. Maestro postarzał się; czyżby nie dało się tego uniknąć? Włosy całkiem mu posiwiały.

Odesłał maluchów, zbywszy ich niedbałym powitaniem, po czym skierował wzrok na elegancką, odległą postać Wenecjanina, spacerującego między porastającymi dziedzińcem drzewkami pomarańczy, których kwiaty zmieniły się już w maleńkie zawiązki owoców.

- Musisz mi zaraz wyjaśnić, co się dzieje - rzekł Maestro półgłosem. Ale kiedy ponownie spojrzął na Guida, natychmiast zamknął go w gorącym uścisku, obejmując przez chwilę swego dawnego ucznia, jakby wsłuchiwał się w jakiś odległy dźwięk.

Guida od razu ogarnęła ekscytacja. - Dostałeś chyba mój list z Bolonii?

- Owszem. Codziennie odwiedzają mnie też ludzie z ambasady weneckiej. Oskarżyli mnie o owalaszanie ich książątka pod tym dachem i grożą, że postarają się o pozwolenie na przeszukanie budynku.

- No to poślij po nich - warknął Guido. Ale ogarnął go strach.

- Czemu posunąłeś się tak daleko dla tego chłopaka? - wypytywał cierpliwie Maestro.

- Zrozumiesz, gdy usłyszysz jego głos - odparł Guido.

Maestro uśmiechnął się. - Widzę, że jesteś sobą, nic się nie zmieniło.

I po chwilowym wahaniu zgodził się, by - przynajmniej na razie - Tonio dostał osobny pokój na poddaszu.

Tonio wolno wchodził po schodach. Nie mógł się powstrzymać od spoglądania w tył na zatłoczone pokoje ćwiczeń, przez których otwarte drzwi można było dojrzeć setkę albo i więcej chłopców ćwiczących grę na różnych instrumentach. Były tam wiolonczele, kontrabasy, flety;

wśród tego hałasu rozbrzmiewał czasem głośny ryk trąb, a to tu, to tam, dzieci - co najmniej tuzin - waliły w klawisze klawikordu.

Nawet na korytarzach siedzieli przy ławkach chłopcy pochłonięci lekcjami. Jeden ćwiczył w rogu przy schodach grę na skrzypcach, a inny potraktował półpiętro jak własne biurko i gdy Tonio wraz z Guidem przechodzili obok niego, pisał ze schyloną głową, nie przerywając nawet na chwilę pracy nad harmonizacją jakiejś kompozycji.

Same schody zostały tak wytarte tysiącami stóp przesuwających się po nich przez tyle wieków, że stopnie stały się wklęsłe. Wszystko tutaj zdawało się surowe i czyste, niemalże jałowe. Guido nigdy wcześniej tego nie zauważył.

Nie mógł odgadnąć myśli Tonia, nie wiedział też, że chłopak ten przez całe życie nawet przez jeden dzień nie był poddany dyscyplinie jakiegokolwiek instytucji wychowawczej.

Tonio nie wiedział też nic o dzieciach. Wpatrywał się w nie, jakby były jakimś nadprzyrodzonym zjawiskiem.

Zatrzymał się bezradnie przy drzwiach długiej sypialni, w której Guido spędzał noce, gdy był chłopcem, po czym z niejaką ochotą pospieszył za nim korytarzem na poddaszu do mającego należeć tylko do niego małego pokoju o pochyłym dachu.

Wszystko było tu schludne i przygotowane na przyjęcie jakiegoś nadzwyczajnego mieszkańca, kastrata, który wyróżniłby się przez ostatnie lata przebywania w konserwatorium. Guido też raz spał w tej komnacie.

Na otwierających się do wewnątrz okiennicach mansardowego okna wymalowane zostały zielone liście i ogromne, miękkie róże. Podobny kwiatowy wzór zdobił szczyty ścian.

Jaskrawe ozdoby z emalii pokrywały biurko i krzesło. Na dobytek Tonia czekała już ciemnoczerwona komoda o złoconych brzegach.

Chłopak przesuwiał spojrzeniem po pokoju, gdy nagle dojrzał ponownie przez otwarte okno odległy, niebieskawy szczyt Wezuwiusza i jakby mimowolnie ruszył w jego kierunku.

Przez całą wieczność stał wpatrując się w pióropusz dymu, wznoszący się prosto do białych, rozpraszających się chmur, po czym wreszcie znów odwrócił się do Guida. W jego wzroku było bezgłośnie zdumienie. Bez śladu krytyki czy niezadowolenia patrzył na umeblowanie pokoiku. Zdawało się, że przez chwilę podobało mu się to, co ma przed oczami. Jakby każdy człowiek mógł dzień po dniu, godzina po godzinie nieść brzemień swego bólu, nie zaznając żadnej ulgi. Znów odwrócił się w stronę wulkanu.

- Chciałbyś wspiąć się na Wezuwiusza? - spytał Guido. Tonio odwrócił się, a Guido zdziwił się na widok radości rozjaśniającej jego twarz. Było to znowu rozpromienione oblicze chłopca.

- Kiedyś się tam wybierzemy, jeśli chcesz - rzekł maestro.

Tonio po raz pierwszy uśmiechnął się do niego.

Guido był zaszokowany, widząc, jak twarz chłopca pochmurnieje na wieść, że musi spotkać się z przedstawicielami Wenecji w Neapolu.

- Nie mam ochoty na spotkanie z nimi - szepnął Tonio.

- Nie można go unikać - odparł Guido.

Kiedy zebrali się na parterze w przestronnym biurze Maestra Cavalli, Guido zrozumiał powściągliwość Tonia.

Dwójka najwyraźniej nieznanych Toniowi Wenecjan wkroczyła do komnaty z paradą, która kojarzyła się z poprzednim wiekiem. W swych ogromnych perukach i szatach przypominali galeony wpływające na pełnych żaglach do wąskiej przystani.

Przyglądali się Toniowi z nieskrywaną pogardą. Zadawali pytania gwałtownie, z wrogością.

Powieki Tonia lekko drgały; chłopak okrył się śmiertelną bladością i nerwowo ścisnął splecione z tyłu dłonie. Odpowiadał, że tak, sam zdecydował się na ten czyn, nie, nikt z tego konserwatorium nie starał się na niego wpłynąć, tak, przeprowadzono zabieg, nie, nie podda się oględzinom, nie, nie poda nazwiska lekarza. I raz jeszcze, że nikt z tego konserwatorium nie wiedział o jego planach...

Tutaj przerwał mu rozwścieczony Maestro Cavalla, który posługując się weneckim dialektem równie szybko i pewnie jak Tonio, oświadczył, że konserwatorium przeznaczone jest dla muzyków, nie lekarzy. W tym miejscu nigdy nie przeprowadza się operacji na chłopcach! - Nie mamy z tym nic wspólnego.

Wenecjanie uśmiechnęli się szyderczo.

Guido o mało nie zareagował w ten sam sposób, ale zdołał utrzymać swe uczucia na wodzy.

Przesłuchanie najwyraźniej się skończyło. Zapadła niepewna cisza; zdawało się, że starszy Wenecjanin zmagają się z jakimiś skrytymi emocjami.

Wreszcie odchrząknął i niskim, niemalże szorstkim głosem, spytał:

- Marcu Antonio, czy nic więcej się za tym nie kryje?

Tonio nie był na to przygotowany. Zacisnął zbiele usta, po czym, najwyraźniej niezdolny wydusić z siebie słowa, potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Źrenice rozszerzyły mu się nieco, jakby specjalnie pragnął zyskać zamazany obraz.

- Czy zrobiłeś to z własnej woli, Marcu Antonio? - mężczyzna postąpił krok w przód.

- Signore - rzekł Tonio nieswoim głosem. - Mój czyn jest nieodwołalny. Czy pragnie pan, bym zaczął żałować decyzji, którą podjąłem?

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby tłumił w sobie słowa, które zamierzał wypowiedzieć. Następnie uniósł prawą dłoń, w której trzymał cały czas niewielki zwój papieru i matowym głosem rzekł szybko, z goryczą:

- Walczyłem z twym ojcem w Lewancie, Marcu Antonio. Stałem na pokładzie jego statku w Pireusie. Nie sprawia mi więc przyjemności, że muszę ci oznajmić to, co zapewne i tak już wiesz: odwróciłeś się od swego ojca, rodziny i kraju. Zostajesz odtąd po wsze czasy wygnany z Wenecji. Ponadto rodzina oddaje cię do tego konserwatorium, w którym musisz pozostać, gdyż w przeciwnym razie nie otrzymasz od niej żadnego finansowego wsparcia.

Maestro nie posiadał się ze złości. Był wściekły. W osłupieniu patrzył na zamknięte drzwi.

Następnie usiadł przy biurku, zebrał papiery Tonia do czarnej skórzanej teczki i ze złością odsunął je na bok.

Guido poprosił gestem o chwilę cierpliwości.

Tonio stał nieruchomo, a kiedy wreszcie zwrócił twarz w kierunku Maestra, ozdabiał ją wystudiowany, pusty wyraz. Zdradzał go tylko czerwony poblask oczu.

Ale Maestro był zbyt urażony, oburzony i całkowicie pochłonięty złością, by wyczuwać cokolwiek dookoła.

Mruczał do siebie półgłosem, że zachowanie Wenecjan było po prostu śmieszne, po czym wybuchnął nagle krzyżąc, że ich wzniosłe oświadczenia nic właściwie nie znaczyły. - Skazać dziecko na banicję! - wyjąkał.

Wysypał na biurko zawartość sakiewki Tonia, zapisał, co w niej było, po czym włożył wszystko do szuflady, którą zamknął, jakby była to sprawa bezdyskusyjna, po czym wyprostował się; by przemówić do Tonia.

- Jesteś teraz uczniem tego konserwatorium - zaczął - i ze względu na twój wiek zgodziłem się, byś na razie zajmował osobny pokój na poddaszu, z dala od pozostałych eunuchów. Musisz jednak natychmiast włożyć czarną szatę przepasaną czerwoną szarfą, którą noszą wszyscy mali kastraci. W tym konserwatorium panuje zwyczaj wstawania na dwie godziny przed świtem, a zajęcia kończą się o ósmej wieczór. Po popołudniowym posiłku będziesz miał godzinę na odpoczynek, przysługują ci też dwie godziny sjesty. Kiedy tylko twój głos zostanie przetestowany i...

- Nie mam zamiaru wykorzystywać mojego głosu - wtrącił cicho Tonio.

- Słucham? - Maestro przerwał swą tyradę.

- Nie mam zamiaru uczyć się śpiewu - powtórzył Tonio.

- Co?

- Jeśli jeszcze raz przejrzy pan te dokumenty, zauważy pan, że chociaż pragnę zajmować się muzyką, nigdzie nie jest napisane, że muszę uczyć się śpiewu... - Tonio przybrał znów twarde wyraz twarzy, chociaż drżał mu głos.

- Maestro, pozwólcie mi porozmawiać z chłopcem... - zaczął Guido.

- Nie zamierzam też nosić żadnych strojów - ciągnął Tonio - które ogłaszałyby wszem i wobec, że jestem... kastratem.

- Co to wszystko ma znaczyć! - Maestro wstał, przyciskając zbieleńnięte palce do stołu.

- Będę się uczył muzyki... gdy na instrumentach klawiszowych i smyczkowych, kompozycji, czegokolwiek zapragniecie, ale nie mam zamiaru studiować śpiewu! - rzekł Tonio. - Ani teraz, ani w przyszłości nie będę śpiewał! I nie będę chodził przebrany za kapłona!

- To czyste szaleństwo! - Maestro zwrócił się w stronę Guida. - Czy wszyscy mieszkańcy tego trzęsawiska na północy postradali zmysły? Czemu, na Boga, zgodziłeś się więc na kastrację? Sprowadź lekarza! - rozkazał Guidowi.

- Chłopiec został wykastrowany, Maestro. Proszę pozwolić mi spróbować go przekonać.

- Przekonać! - Maestro spojrzał gniewnie na Tonia. - Podlegasz mojej opiece i rozporządzeniom - rzekł i, sięgnąwszy po leżący obok niego na stole starannie złożony czarny strój, pchnął go w stronę chłopca. - I będziesz chodził w tradycyjnych szatach kastratów.

- Nigdy! Podporządkuję się wszystkiemu, prócz rozkazowi śpiewania i noszenia tego stroju.

- Proszę kazać mu odejść, Maestro - powiedział Guido. Kiedy Tonio wyszedł, Maestro opadł z powrotem na fotel.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał. - Pod tym dachem znajduje się dwustu uczniów i nie mam zamiaru...

- Proszę, Maestro, pozwólcie chłopcu zapisać się na kurs ogólny, a ja spróbuję go przekonać.

Maestro milczał przez chwilę. Wreszcie nieco się uspokoił i spytał: - Czy słyszałeś, jak śpiewa?

- Tak - odparł Guido. - I to nie raz.

- Jaki ma głos?

Guido zastanowił się. - Kiedy czyta się w samotności nową partyturę, zamknąwszy oczy, można usłyszeć ją wykonaną z idealną perfekcją... ten chłopak ma taki głos, jaki słyszy się wtedy w myślach.

Maestro przemyślał jego odpowiedź. Następnie skinął głową. - Dobrze, spróbuj go przekonać. Jeśli twoja próba zawiedzie, nie zgodzę się więcej, by rozkazywał mi jakiś wenecki patrycjusz.

Nie można było obudzić się, ani uciec od tego koszmaru. Trwał. Tonio znajdował się w tym samym miejscu, ilekroć otworzył oczy. Dwie godziny przed świtaniem rozległ się pierwszy dzwonek. Tonio usiadł wyprostowany jak lalka przymocowana do łańcucha, za który ktoś pociągnął. Był zlany potem; przed nim rozciągało się czarne niebo ozdobione bogactwem gwiazd żeglujących wolno w dół, do morza i przez chwilę - tylko przez chwilę - w obrazie tym było tak niewypowiedziane piękno, że zdawał się dłonią złożoną na głowie chłopca.

Niemożliwe, żeby naprawdę to wszystko przeżywał, by znajdował się teraz w tym niskim pokoju, pięćset mil od Wenecji, żeby dokonano na nim takiej operacji!

Wstał, umył twarz i wyszedł, potykając się, na korytarz, by z trzydziestką kastratów wyłaniających się rzędem z sypialni zejść w dół po kamiennych schodach.

Po korytarzach krążyło jak termity dwustu uczniów, skądś dobiegał płacz małego dziecka - kwilące, rozpaczliwe łkanie. Wszyscy bez słowa zajmowali swoje miejsca przy klawikordach, wiolonczelach, biurkach.

Budynek rozbrzmiał przenikliwymi dźwiękami, fragmentami melodii ginącymi w powszechnym dysonansie. Trzaskały drzwi. Tonio usiłował słuchać Maestra, którego sylwetka rozmywała mu się przed oczyma. Szybko prześlizgiwał się po pojęciach ledwo dla Tonio zrozumiałych: Kiedy pozostali uczniowie maczali pióra w kałamarzach, Tonio również energicznie przystąpił do ćwiczenia, licząc jedynie na to, że tajemnica tego, jak mu podołać, wyjaśni się sama w czasie pisania.

Kiedy zasiadł wreszcie do klawikordu, grał, póki nie zaczęły boleć go plecy. Te kilka słodkich godzin, podczas których robił to, co zawsze potrafił robić, złagodziły wszystkie stesy, i cierpienia, jakie przeżył w ciągu dnia; przez chwilę dorównywał wszystkim uczniom w jego wieku, którzy - gdyby nie przebywali w konserwatorium od dzieciństwa - mogliby zostać tu przyjęci tylko z powodu swych niesłychanych umiejętności i talentu.

- Nie wiesz nawet, jak trzymać skrzypce? Nigdy na nich nie grałeś? - Przesuwając smyczek po strunach usiłował uniknąć tego dysonansu, pisku. Plecy bolały go tak bardzo, że od czasu do czasu garbił się, bez względu na to jak ostre padały słowa i z jaką siłą bat opadał na stojący przed Toniem pulpit.

Gdyby mógł choć na chwilę zagłębić się w muzykę, dać jej się unieść! Ale w jego koszmarnym śnie było to niemożliwe. W tym świecie muzyka była zgiełkiem, pokutą, dwoma młotami bijącymi w skroniach. Na grzbiecie dłoni poczuł ostre uderzenie bata i wbił oczy w pojawiającą się pręgę; ból ogarnął całe ciało, a pręga stawała się wypukłą, jakby żyła własnym życiem.

Śniadanie. Misy parującego, ciepłego jedzenia, które przyprawiało go o mdłości. W jego ustach wszystko traciło smak, jakby miała mu zostać odmówiona nawet najdrobniejsza przyjemność. Nie zgodził się siedzieć z pozostałymi kastratami; grzecznie, delikatnie poprosił o inne miejsce.

- Usiądziesz tam, gdzie ci kazano. - Cofnął się przed zbliżającą się postacią, która dotykając jego ramienia pięścią, rzekła stanowczo: - Usiądziesz tam.

Czuł jak płonie mu twarz. Nie był w stanie opanować tego żaru. Wszyscy obecni w tej cichej komnacie delikatnie mu się przyglądali - z ich neapolitańskiego dialektu rozumiał tylko słowa "weneckie książątko". Wszyscy wiedzieli, co mu zrobiono, był jednym z nich. Te pochylone głowy, okaleczone ciała, te istoty, które nigdy nie były i nie będą mężczyznami.

- Załóż czerwoną szarfę!

- Nie!

To nie dzieje się w rzeczywistości. To wszystko nieprawda. Nagle zapragnął wstać i wyjść do ogrodu, ale nawet swoboda ruchów była tutaj zabroniona, milczenie przykuwało chłopców do miejsc wyznaczonych im na ławie, chociaż gdzieś za Toniem rozległ się pogardliwy szept: Czemu nie wsadzicie sobie szarfy w spodnie, signore, nikt się wtedy niczego nie domyśli! - Odwrócił się gwałtownie. Kto wypowiedział te słowa? Wszystkie twarze, na których gościły kpiące, przebiegłe uśmieшки, straciły nagle wyraz.

Otworzyły się drzwi Guida Maffeo. Wszedł do jadalni. Tonio błogosławił ciszę, która zapadła, nawet jeśli zmuszony byłby przez dwie godziny wpatrywać się w te zimne, okrutne twarze, te złośliwe oczy! Owałaszony mistrz owałaszonych. A najgorsze było to, iż Guido wiedział dokładnie, co przydarzyło się Wenecjaninowi, wiedział, że to naprawdę jest koszmar. Zdawał sobie sprawę, co kryje się pod tą obojętną maską gniewu.

- Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz?

- Nie wiesz dlaczego? Dlatego, że obydwaj jesteśmy potworami i chcę zobaczyć, czym stanę się w przyszłości!

Dlaczego nie uderzył Tonia? Na co czekał? Co kryło się za niezmienną maską okrucieństwa tego człowieka, w którym wszystko zdawało się tchnąć fascynacją i pokusą. - Dlaczego nie potrafię przestać na niego patrzeć, chociaż nie mogę znieść jego widoku? - Kiedyś, gdy Tonio był jeszcze dzieckiem, matka wymierzała mu raz po raz policzki krzyżąc: "Przestań płakać, przestań! Czego ty ode mnie, na Boga, chcesz? Przestań!" Spoglądając na Guida Maffeo, myślał: - Po raz pierwszy zaczynam to rozumieć. Nie mogę znieść twoich pytań, zostaw mnie w spokoju!

- Proszę, Boże, zostaw mnie teraz w spokoju!

- Siedź więc cicho. Obserwuj. I słuchaj.

Wprowadza do pokoju tego bladego eunucha-potwora. Nie chcę tego słuchać, to prawdziwa męka. I zaczyna uczyć; nie jest głupcem, jest może lepszy niż wszyscy pozostali razem wzięci, ale nigdy, nigdy nie będzie nauczał mnie.

Kiedy o ósmej wieczorem odezwał się dzwonek, Tonio, tak zmęczony, że idąc po schodach z trudnością podnosił nogi, opadł w dół, zapadł się w senne koszmary zamknięte w koszmarze codzienności. Proszę, pozwól mi nie śnić choć przez jedną noc. Jestem taki wyczerpany. Nie mogę walczyć w czasie snu, bo oszaleję.

Znów ktoś stanął za drzwiami. Tonio uniósł się na łokciu. Potem otworzył drzwi tak gwałtownie, że stojący za nimi chłopiec, zaskoczony, nie zdążył uciec. Było ich dwóch. Pchali się, jakby chcieli wejść do pokoju. - Wynoście się! - warknął.

- Chcemy tylko zobaczyć weneckiego księcia, który nie chce się zniżyć do noszenia czerwonej szarfy. Śmiech, śmiech, śmiech.

- Ostrzegam was, odsuńcie się.

- No, trzeba przyznać, że nie jesteś zbyt miły, a nie jest też grzecznie kazać nam stać w drzwiach...

- Ostrzegam was...

- Och, doprawdy?

Obydwaj wpatrywali się w jego sztylet. Wyższy chłopak, któremu szczupłe, zwisające ręce nadały już monstrualny wygląd, zaśmiał się nerwowo. - Czy Maestro wie, że masz coś takiego?

Tonio niespodziewanie pchnął go lewą ręką i obydwaj chłopcy stracili równowagę, po czym umknęli z pokoju z tym samym dziwnym śmiechem. Ich głosy nie brzmiały normalnie,

nawet gdy mówili: kiedy przestali je kontrolować, starać się mówić niżej, rozbrzmiewał w nich piskliwy ton. A więc jeszcze i to. Nagle wyobraził sobie, że w przyszłości nie będzie mógł nawet głośno się odezwać.

Zaczął ciągnąć ciężkie łóżko. Początkowo nie poddawało się, aż wreszcie, jakby zerwał je z uwięzi, zaczęło się przesuwac po gołej podłodze tak, że mógł przystawić je do drzwi. Dopiero wtedy ponownie ułożył się do snu.

Ale kątem oka dostrzegł, iż niebo rozbłysło nagle czerwienią, a wyobraźnia podpowiedziała mu, że rozległ się jakiś stłumiony dźwięk. Zdawało mu się, że w całym budynku ktoś się porusza. Zbliżywszy się do okna ujrzał, jak ogromna góra w oddali płonie.

Zawsze pojawiają się dwa koszmary senne.

Pierwszy:

Biegniesz po tych schodach i udaje ci się uciec. Kiedy ręce wyciągają się, by cię zatrzymać, rzucasz się w przód, upadasz na nabrzeże, ale potem staczasz się do wody i jesteś bezpieczny. Płyniesz cicho, szybko, jak szczur, a oni biegną bezradnie wzdłuż brzegu. Jesteś przerażony. Ale udaje ci się umknąć! Wrzucasz wszystko do kufrów i toreb podróżnych, pędzisz schodami, żeby wydostać się z pałacu, z Wenecji. Uciekłeś!

A potem światło prawdy przebijające się przez mrok marzeń sennych, ta potworna świadomość, że śpisz, że rzeczywistość jest zupełnie inna, że śnisz!

To wszystko zdarzyło się naprawdę i, och, jakże ułatwiłeś im zadanie! Śpiewając, śpiewając, śpiewając. Przez chwilę niemalże słyszysz swój głos odbijający się od wilgotnych murów, dzięki czemu brzmi on głośniejsz niż w najbardziej szalonych marzeniach i niemal możesz go słuchać bez nieprzytomnej wściekłości.

Sen drugi:

Ciągle tam są. Odrośły i wciąż masz je między nogami. A może nie zostały wycięte tak jak trzeba? Może została jakaś niewielka część, z której wyrosły całe? Zrobili potworny błąd. W każdym razie one ciągle tam są, a lekarz wyjaśnia ci, jakby było to oczywiste, że owszem, coś takiego zdarza się, jeśli zabieg nie został przeprowadzony w czystości; owszem, całkowicie odrosły, sam możesz je obejrzeć, jeśli chcesz.

Siedział w mroku. Nie pamiętał, że opuścił ciepłe łóżko. W każdym razie był teraz przy oknie; czuł jak słona, morska bryza rozprasza gorące powietrze uwięzione pod niskim sufitem. Nagle przeraził go fakt, że jest w stanie dotknąć dłonią sklepienia nad głową, ale opadł w dół,

wsparłszy się splecionymi rękami na parapecie i patrząc na rozmazujące mu się przed oczyma światła miasta, opadające w dół. Słuchał, słuchał. Jego uszu dobiegał jakiś odległy rytm, dochodzący jakby z tawerny. A może to miejscowi uliczni śpiewacy wędrowali po tych łagodnych wzniesieniach. Otworzył usta, jakby walczył o oddech i zamknął oczy.

Sny.

Jest lato i we wszystkich ogromnych, pustych komnatach pałacu panuje żar. Liczy szybki okien, każde ma ich około czterdziestu. Leży nagi obok matki, która zdjęła wszystko z górnej połowy ciała, jej piękne piersi są obnażone, gorące powietrze przesuwają się po wilgotnych kosmykach włosów spoczywających na czole i policzku. Matka drży, odwraca się do niego, puchowy materac ugina się z jękiem; Marianna zmusza Tonia do położenia się na boku, przyciąga go do siebie tak blisko, że chłopak czuje na swych nagich plecach jej gorące piersi; na dotyk jej ust jeżą się drobne włoski porastające jego kark.

Oooooch, Boże, nieeee, to tylko sen!

Brzęk dzwonka.

Wszystko zaczyna się od początku.

- Załóż czerwoną szarfę!

- Nie!

- Chcesz zostać za to wychłostany?

Niczego nie chcę.

Czemu nigdy nie śni mi się, że mam go w ręku, że nie ma szansy uciec i mogę zrobić mu to, co on zrobił mnie, to samo - gdzie podziewa się ten sen?

- Co masz nadzieję w ten sposób zyskać? - Guido Maffeo spacerował po pokoju. - Odezwij się, Tonio! Porozmawiaj ze mną! Sam zapisałeś się do tego konserwatorium, nie zmuszałem cię. Co chcesz osiągnąć tym milczeniem, tym...

Nie wytrzymam tego. Nie zniosę ze spokojem tych wykrzywionych gniewem twarzy. Błagam, by nie wymierzano mu chłosty. Proszę zostawić to mnie. Ależ zostawiłem ci to, a on uparcie odmawia...

- Załóż ją.

- Nie.

Pierwsze smagnięcie, musisz bronić się przed bólem, nie udaje się, drugie uderzenie, to nie do zniesienia, i trzecie, czwarte, piąte, nie myśl o tym, myśl o czymś innym, o jakimkolwiek innym miejscu, o czymś innym, czymś innym.

- Załóż ją.

- Nie.

W takim razie powiedz mi, mój delikatny Wenecjaninie, skoro jesteś taki wykształcony, co czeka eunucha, który nie śpiewa?

Stoją wszyscy rzędem przed główną bramą. Idą podwójnym szeregiem z założonymi w tył rękami, czerwone szarfy przedzielają dokładnie na pół czarną, miękką materię szat, na karkach spoczywają czarne wstążki. Kiedy otwiera się brama, wychodzą równym krokiem. Czy to możliwe, bym szedł w procesji z tymi eunuchami, kapłanami, tymi owalaszonymi potworami?

To straszniejsze niż gdyby obdarto mnie z ubrania, a jednak poruszam się, stawiam jedną stopę przed drugą i wydaje się, że świat złożony jest z ludzi, którzy całymi ławami pchają się, by lepiej widzieć, a głosy chłopców unoszą się, splatają, po raz pierwszy brzmią tak pięknie, tak pewnie, te głosy wznoszą się coraz wyżej w powietrze, rozgłaszają to, i każdy, kto na nas spojrzy, wie, wie dokładnie, bez względu na czerwoną szarfę czy jej brak, kim jestem.

To dzieje się naprawdę, chociaż jest nie do zniesienia. Przywodzi na myśl opisy barbarzyńskich egzekucji - człowiek nie jest w stanie wyobrazić sobie myśli i uczuć tego, który znajduje się w samym środku; który prowadzony wśród tłumu, nie może nawet zasłonić twarzy dłońmi, bo ma je związane za plecami. Cały należysz do otaczającego cię świata, a jednak patrzysz przed siebie, jakby nic takiego się nie działo, zawieszasz spojrzenie na jakiejś chmurze gnanej szybko morską bryzą, spoglądasz na fasadę kościoła.

Kimże są ci Włosi z południa, jeśli nie światem, całym światem!

Uciec, uciec z tego miejsca!

- Jeśli stąd uciekniesz - mówi złośliwy, ponury Guido Maffeo, który tak dobrze o wszystkim wie - to dokąd pójdziesz?

- Nie!

- Aż się prosisz, żeby cię stąd wyrzucono!

Tym razem, kiedy padają uderzenia, staraj się myśleć o bólu, a nie walczyć z nim, bo jeśli się nad tym zastanowić, to wszystko co spotyka cię w życiu, w przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości, ma obdrzeć cię ze zdrowego rozsądku. Więc myśl o bólu. W końcu ma on jakieś

granice. Mógłbyś przedstawić na wykresie, w jaki sposób ogarnia ciało. Ma początek, środek i koniec. Wyobraźmy sobie, że jest kolorowy. Pierwsze smagnięcie jest jakie, czerwone? Czerwone, przechodzi w jaskrawą żółć. A to jest ponownie czerwone, czerwone, nie żółte, a potem białe, białe, białe, białe.

- Błagam, Maestro, proszę zostawić go mnie.

- Będziesz śpiewał albo zostaniesz usunięty z tej szkoły...

- Dokąd pójdziesz...

No właśnie. Dokąd pójdziesz? Czemu uwięziłeś się w tym pałacu, w którym są tylko sale tortur, czemu nie opuścisz tego miejsca? Bo jesteś potworem, a to jest szkoła dla takich jak ty i jeśli stąd wyjdiesz, to będziesz całkowicie, absolutnie samotny! Sam będziesz musiał zmagać się z tym!

Nie płacz przy obcych. Przełknij łzy. Nie łkaj przy nich! Niech twój płacz leci w niebiosa, w niebiosa, w niebiosa.

- Co usiłujesz osiągnąć? Czy sam wiesz, do czego dążysz? Guido chodził w tę i z powrotem, a jego twarz wykrzywiał gniew. Zamknął drzwi pokoju ćwiczeń i przypiął klucz do paska.

- Czemu zasztyletowałeś tego chłopca?

- Nie zasztyletowałem go. Ma tylko niewielką ranę, będzie żył.

- Tak, tym razem przeżyje!

- Wdarł się siłą do mojego pokoju. Dręczył mnie!

- A co będzie następnym razem? Maestro zabrał ci szpadę, sztylet i pistolety, które kupiłeś, ale to niczemu nie zapobiegnie, prawda?

- Nie, jeśli nadal będą mi dokuczać, jeśli będę otoczony dręczycielami! Wtedy to nic nie pomoże!

- Nie rozumiesz, że nie możesz dalej tak się zachowywać? W przeciwnym razie zostaniesz wydalony z konserwatorium! Rana, którą zadałeś Lorenzo, mogła go zabić!

- Daj mi spokój!

- Ach, więc dlatego płaczesz! Powtórz to raz jeszcze, chcę to usłyszeć.

- Daj mi spokój!

- Nie dam ci spokoju, póki nie zaczniesz śpiewać! Wydaje ci się, że nie wiem, co cię powstrzymuje? Że nie wiem, co ci się przydarzyło? Dobry Boże, czy jesteś szalony, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że ryzykowałem życie, aby cię tu przywieźć, chociaż lepiej byłoby dla mnie, gdybym pozbył się ciebie i twych oprawców? A przecież wywiozłem cię z Wenecji Eugenejskiej i sprowadziłem tutaj, gdzie emisariusze rządu twojego państwa mogli przysłać swoich siepaczy, którzy poćwiartowaliby mnie na ulicy, gdyby im tylko przyszła na to ochota!

- Po co to zrobiłeś? Nie prosiłem cię o to! Czego ode mnie chcesz?

Guido uderzył go. Nim zdążył się powstrzymać, wymierzył mu policzek tak silny, że Tonio zatoczył się w tył, dotykając dłońmi twarzy, jakby nic nie widział. Guido wymierzył mu jeszcze jeden policzek. Po czym złapał go obiema rękami i uderzył głową chłopca o ścianę.

Z ust Tonia wydobył się krótki, gardłowy jęk. Ręce Guida schwyciły go raz jeszcze, wykręcając mu szyję.

Wreszcie odsunął się, ściskając lewą dłońią prawy nadgarstek, jakby usiłował powstrzymać się od wymierzenia Toniowi jeszcze jednego razu. Odwrócił się plecami do chłopca i stał nieco pochylony, jakby pragnął ukryć się w sobie.

Tonio stał w ciszy i był zły na siebie, że nie potrafi powstrzymać łez. Wreszcie z rezygnacją wyjął chusteczkę i gwałtownie je otarł.

- W porządku - powiedział Guido przez ramię ledwo słyszalnym głosem. - Możesz znów tam siedzieć. I przyglądać się.

Gorące, popołudniowe słońce padało na kamienną podłogę i ścianę. Tonio, przesunawszy ławkę w miejsce, w którym mógłby odpoczywać w jego promieniach, usiadł wygodnie i zamknął oczy.

Pierwszy ćwiczył mały Paolo, którego silny głos wypełniał pokój jak pogodny dźwięk złotego dzwoneczka. Z lekkością wykonywał arpeggia, a wzmacniając i przyciszając nuty sprawiał, że brzmiała w nich niemalże radość.

Otworzywszy oczy, Tonio ujrzał tył brązowej głowy chłopca. Zaczął zasypiać słuchając i nieco się zdziwił, słysząc napomnienie Guida i zauważając, jak doskonale wychwycił wszystkie błędy Paola. Ale czy były to rzeczywiście błędy? Guido mówił: - Słyszę twój oddech, widzę go. Zaśpiewaj to jeszcze raz, ale nie wypuszczaj powietrza i tym razem... tym razem... tym razem... - Głosik wznosił się i opadał, ciągnąc te długie, wzruszające nuty...

Kiedy Tonio powtórnie się przebudził, w pokoju było już inne dziecko, śpiewające głosem kastrata, głosem o ton bogatszym, może nieco ostrzejszym od głosu zwyczajnego chłopca. Guido był zdenerwowany. Z trzaskiem zamknął okno. Chłopak już wyszedł, a Tonio przecierał oczy. Czyżby zrobiło się chłodno? Słońce zaszło, ale w pokoju było rozkosznie ciepło, a wzdłuż całego parapetu jego znajdującego się na pierwszym piętrze, głęboko osadzonego okna, trzepotały białe kwiaty dzikiego wina, nie mającego końca ni początku.

Wstając poczuł nagły ból w plecach. Co Guido robi przy oknie? Nie widział nawet jego głowy, a tylko zgarbione ramiona i jakiś niewyraźny ruch w ogrodzie, biegające, krzyczące dzieci.

Potem Guido podniósł się, a z nim jakby uniosło się głębokie westchnienie emanujące z tych ciężkich kończyn, masywnych ramion, kudłatej głowy.

Odwrócił się do Tonia. Jego twarz zdawała się ciemna w porównaniu z jasnym tłem krużganka obramowanym łukiem arkady. Tam słońce padało wciąż, choć pod innym kątem, na drzewka pomarańczowe.

- Jeśli się nie zmienisz - zaczął - Maestro di Capella usunie cię w ciągu tygodnia. - Mówił tak niskim i nieokrzesanym głosem, że Tonio nie poznałby, iż to on. - Nie mogę temu zapobiec. Zrobiłem wszystko, co było można.

Tonio wpatrywał się w niego z pewnym zaskoczeniem. Widział, jak ruchliwa twarz Guida, na której tak często malowała się doskonała złość, łagodnieje i przybiera wyraz jakiejś potwornej przegranej. Chłopiec nie potrafił tego pojąć. Chciał spytać: - Czemu ma to dla ciebie takie znaczenie, dlaczego się mną opiekujesz? Czemu zajmowałeś się mną w Ferrarze i dlaczego obchodzę cię teraz? - Czuł się równie bezradny, jak w tę noc w Rzymie, gdy w ogrodzie klasztornym Guido z wściekłością spytał: - Dlaczego tak się we mnie wpatrujesz?

Potrząsnął głową, próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Pragnął oponować mówiąc, że uczył się wszystkiego innego, co mu kazano i podporządkował się miażdżącym, bezlitosnym przepisom; dlaczego, dlaczego... Ale wiedział dlaczego! Nie zgodzą się na nic innego.

- Maestro! - szepnął. Słowa nie chciały wydostawać się z zaschniętego gardła. - Proszę tego ode mnie nie żądać. To mój głos, nie mogę go panu oddać. Nie należy do pana, bez względu na to, jak daleko podróżował pan, by go tu ze sobą przywieźć i ile przecierpiał pan w Wenecji, by sprowadzić go tu dla swych własnych celów! Należy do mnie, a ja nie mogę śpiewać. Nie mogę! Proszę nie żądać ode mnie niemożliwego!

Nigdy już nie będę śpiewał, ani dla pana, ani dla siebie, ani dla nikogo innego!

* * *

W pokoju panował mrok, chociaż niebo za krużgankiem, ponad najwyższymi szczytami dachu budynku, pokryło się równomiernie purpurą. Cienie spływały z czterech pięter konserwatorium na ogród, w którym tylko gdzieś można było rozróżnić jakiś kształt, gałęzie ciężkie od pomarańczy i lilie migoczące w ciemności jak woskowe świece. Niektóre okna lśniły blaskiem świeczek. Z każdego zakątka dobiegały grane późną nocą melodie lepszych muzyków, te rytmiczniejsze, niekończące się dźwięki wygrywane na wszystkich piętrach.

Nie tworzyły kakofonii. Brzmiały jak potężny szmer, jakby cały budynek żył i szumiał sprawiając, że na Tonia spłynął przedziwny spokój.

Może był już tak zmęczony złością i goryczą, że pozwolił, aby na chwilę odeszły? Poprosił, by na jakiś czas zostawiły go w samotności? Nie dumał o Wenecji czy o Carlu, nie wyszarpywał tych myśli z każdego zakątka pamięci, w którym się kryły. Jego umysł był raczej w tej chwili podobny do szeregu pustych pokoi.

Czuł spokój i wiedział, że gdyby mógł go odczuwać cały czas, miejsce to stałoby się dla niego wspaniałe.

Tak, chociaż na chwilę trzeba pozwolić sobie na zapomnienie.

Spróbuj sobie wyobrazić, że życie ciągle jest możliwe do przeżycia, że jest nawet... nawet przyjemne. I że jeśli byś tego zapragnął, mógłbyś, być może, podejść do tego wciąż jeszcze otwartego instrumentu i siedząc przy nim, złożysz palce na klawiszach, mógłbyś, gdybyś chciał, zaśpiewać. Śpiewałbyś o smutku, bólu, niewypowiedzianym bólu, ale mógłbyś to robić. Mógłbyś właściwie robić, cokolwiek byś chciał, gdyż wszystko, co cię od tego powstrzymuje, opadłoby jak łuska z twego ciała. Ciało, które należy do człowieka; chociaż przez jakąś niehumanitarną niesprawiedliwość stało się potworne, teraz jednak może już powrócić do swej prawdziwej postaci.

Leżał z otwartymi oczami na wąskiej ławie, na której być może spał i Guido po jednej ze swych pracowitych sesji. Tonio myślał: - Tak, spróbuj sobie to wyobrażać, jak długo się da.

Niebo ściemniało. Ogród się zmienił. Widoczne za jednym z łuków arkad drzewko pomarańczowe, któremu cienie dodawały pełności, teraz straciło kształt. Nie było już wcale widać fontanny ani białych lilii. Tylko światła po drugiej stronie podwórza świeciły wyraźnie, jak mnogość morskich latarni.

Leżał nieruchomo, zastanawiając się, czemu pozwolono mu tu zostać, czemu pozwolono mu przebywać w tym pustym pokoju i zapaść w głęboki, pusty sen.

Przyszło mu do głowy, że może, skoro drzwi i okna były pozamykane, mógłby podejść do tego klawikordu, położyć na nim dłonie i... Ale nie. Jeśli posunie się za daleko, przegra wszystko. Znow zamknął oczy.

Nie mógł znieść nawet myśli o swym głosie. Nie potrafił wytrzymać choćby przelotnego wspomnienia nocy, w czasie których wędrował po uliczkach Wenecji i, zakochany w śpiewie, ułatwiał zadanie swemu bratu. Jeśli się ugnie, zawsze już będą go prześladowały obsesyjne, bezlitosne myśli o tym. Będzie się zastanawiał, co teraz się o nim mówi i czy ktoś uwierzył w kłamstwo, że Tonio sam wyrządził sobie taką krzywdę.

Ale nie to było sednem sprawy. Chodziło o to, że jeśli teraz wydobędzie z siebie głos, pozwoli mu wzlecieć, nie będzie to już głos chłopca, który śpiewając dawał z siebie wszystko, a będzie on należał do tej istoty, która nigdy się nie zmieni. Nie mógł o tym nawet myśleć; czuł się wtedy, jakby im ulegał, jakby przyjmował tę rolę z koszmaru sennego, którą specjalnie dla niego napisano, zupełnie jakby śpiewał najbardziej odrażającą partię w jakiejś operze.

Na sam dźwięk swego śpiewu w myślach czuł wstyd, wstyd. Równie dobrze mógłby rozdrzeć szaty i pozwolić im patrzeć na te blizny, na te wysuszone, puste...

Wciągnął powietrze i przestał o tym myśleć. Siedział teraz na ławie.

Ale gdy usłyszał otwierające się drzwi, ukrył twarz w dłoniach.

Był pewien, choć nie wiedział dlaczego, że przyszedł Guido, i czuł, że powraca do rzeczywistości, która gotowa jest go schwycić.

Podniósł wzrok, zdecydowany poddać jej się raz jeszcze, i ujrzał, że stoi przed nim Maestro di Capella, signore Cavalla i trzyma w wyciągniętych rękach szpadę Tonia. - Weź ją - szepnął.

Tonio nic z tego nie rozumiał. Na stole ujrzał swój sztylet, pistolety i sakwę, którą Maestro odebrał mu pierwszego dnia.

Twarz Maestra Cavalli spopieliała. Nie malowała się już na niej złość. W jej miejsce pojawiło się jakieś potworne uczucie, którego Tonio nie potrafił zidentyfikować. Nic nie pojmował.

- Nie ma żadnego powodu, dla którego miałbyś pozostawać dłużej w tym konserwatorium - rzekł. - Napisałem do twojej rodziny w Wenecji, że muszą znaleźć ci jakieś inne miejsce. Ale nie wolno ci tu dłużej przebywać. Musisz opuścić szkołę.

Przerwał. Mimo mroku Tonio dostrzegał, jak drżała mu broda. Powodem tego nie był jednak gniew. - Tak. Przyniesiono już twoje kufry. Powóz czeka na podwórku koło stajni. Musisz wyjechać.

Tonio nie odzywał się. Nie wziął nawet szpady.

- Czy to Maestro Guido podjął taką decyzję? - spytał.

Maestro Cavalla zrobił parę kroków w bok i położył szpadę na łóżku. Wyprostowawszy się, spojrzał przeciągle na Tonia.

- Chciałbyś zobaczyć, do czego doprowadził twój upór? Chcesz?

- Nie.

- Nie mogę wyjechać, nie bez rozmowy z nim!

- Nie.

- Przecież nie może mi pan zabronić...

- Wszystkiego mogę ci zabronić tak długo, jak długo przebywasz pod tym dachem! - rzekł Maestro. - A teraz odejdz stąd i zabierz smutek, który tu sprowadziłeś! Idź!

Tonio patrzył oszołomiony na wychodzącego Maestra Cavallę.

Stał nieruchomo.

Po czym przypasawszy szpadę, uzbrojony w pistolety i sztylet, zabrał sakwę i powoli otworzył drzwi.

Korytarz prowadzący do frontowych drzwi konserwatorium był pusty. Biuro Maestra ziało mrokiem jak ciemna jaskinia; wyglądało na dziwnie zaniedbane, bowiem niezmiennie pozostawało zamknięte.

W całym budynku zdawał się nie rozlegać żaden dźwięk. Panowała dziwna cisza, nawet z długiej sali ćwiczeń, w której o tej porze przebywało zawsze kilku chłopców, nie dochodziły żadne odgłosy.

Tonio przeszedł przez korytarz i zajrzał do sieni ciągnącej się aż na tył budynku, gdzie za drzwiami płonęło światło.

Zdawało mu się, że dojrzał sylwetkę Maestra Cavalli, który zaczął zbliżać się do niego wolnym, rytmicznym krokiem. Jego postać ginęła w mroku. Szedł z dziwną determinacją. Tonio obserwował to z pełną niepokoju ciekawością, aż wreszcie ponownie stanął twarzą w twarz z tym mężczyzną.

- Chciałbyś zobaczyć, do czego doprowadził twój upór? Chcesz ujrzeć to na własne oczy?

Zacisnął dłoń na nadgarstku Tonia i szarpnął go w przód. Tonio opierał się, ale Maestro pociągnął go raz jeszcze.

- Gdzie mnie pan prowadzi? - spytał. - I po co?

Milczenie.

Szedł szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na ból w nadgarstku, i wpatrywał się w profil Maestra.

- Proszę mnie puścić! - zażądał, kiedy dotarli do ostatnich drzwi. Ale Maestro pociągnął go z wściekłością i wepchnął do oświetlonego pokoju.

Przez chwilę Tonio nie widział nic. Podniósł dłoń, by osłonić oczy przed blaskiem kilku świateł. Wreszcie dojrzał rząd łóżek i ogromny krucyfiks na ścianie. Przy każdym łóżku stały szafki. Podłoga była goła. W tym długim pokoju, zajmowanym przez dwóch śpiących na jego końcu chłopców, panowała woń choroby.

W łóżku po lewej stronie leżała jeszcze jedna osoba, której duża, przysadzista sylwetka rysowała się pod przykryciem. Jej twarz była całkowicie nieruchoma, jak śmiertelna maska.

Tonio nie mógł się poruszyć. Maestro Cavalla uderzył go boleśnie w plecy. Jednak chłopak dalej stał nieruchomo, póki Maestro nie pociągnął go w przód i nie zmusił do zatrzymania się przy łóżku.

To był Guido.

Włosy miał odgarnięte z czoła, jakby były bardzo mokre, a jego twarz, nawet w tym przyćmionym świetle, nie miała koloru twarzy żywego człowieka.

Tonio otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym zacisnął je i spostrzegł, że cały drży, a jego głowa staje się coraz lżejsza. Odnosił wrażenie, że jego ciało straciło wagę i wkrótce wypłynie z tego pokoju, jakby uniesiony w powietrze. Czuł, że otwiera usta i formuje w nich słowo. Obraz leżącej przed nim umarłej jakby postaci zadrżał, jak gdyby znajdowała się ona za szybą, po której spływają krople deszczu.

Dookoła niej pojawiły się twarze, twarze tych młodych nauczycieli, którzy przepychali i przeciągali go przez wszystkie ćwiczenia, w jakich szukał zapomnienia. Patrzyli na niego z bezgłośnym oskarżeniem i nagle Tonio usłyszał potworny, nieludzki jęk, który, jak zdał sobie sprawę, wydobywał się z jego własnych ust.

- Maestro - wyjąkał. Poczul gorycz w ustach.

Nagle na własne oczy ujrzał cud. Człowiek leżący na łóżku nie był martwy. Poruszał oczyma, a jego pierś unosił najlżejszy oddech.

Zdał sobie sprawę, że stoi nad maestrem i jeśliby chciał, mógłby dotknąć jego twarzy. Nikt nie starałby się go powstrzymać. Nikt nie starałby się chronić mistrza. Tonio jeszcze raz wypowiedział to samo słowo.

Ogromne brązowe oczy Guida otworzyły się i mistrz niewidzącym wzrokiem wpatrzył się w Tonia. Potem, jego oczy powoli się zamknęły.

Brutalne ręce schwyły Tonia, zmusiły go do przejścia przez całą infirmerię, wypchnęły na korytarz. Maestro di Capella przeklinał go.

- Rybacy dojrzeni w świetle księżycy, jak płynie na otwarte morze. Gdyby go nie zobaczyli, gdyby nie było księżycy... Jego oczy błyszczały, trzęsła mu się potężna szczeka.

Ten chłopak, którego wychowałem jak własne dziecko, który śpiewał anielskim głosem; już dwa razy wyrwałem go ze szponów śmierci! Raz, kiedy stracił głos i nic nie mogło mu go zwrócić i teraz znów, z twojego powodu!

Przyparł Tonia do drzwi wiodących na krużganek i wyteżał w mroku oczy, jakby koniecznie musiał ujrzeć jego twarz.

- Wydaje ci się, że nie wiem, co ci się przydarzyło? Że nie oglądałem po wielokroć tego samego?

Tak, tyle że tu cała tragedia tkwi w tym, iż zrobiono to tobie, weneckiemu księciu! Bogatemu, przystojnemu, wchodzącemu w męskość chłopcu, przed którym życie stało otworem i zdawało się składać z samych rozrywek, które gdybyś chciał, mógłbyś zrywać jak owoce z drzewa!

Och, cóż za tragedia! - Zdawał się wypluwać z siebie słowa. - A co znaczyło to dla niego? A dla całej reszty tych chłopców? Czyżby byli zwykłymi potworami, którym w dzieciństwie obcięto coś, czego i tak nie warto było posiadać? Tak ci się wydaje?

A ty kim byłeś, kim miałeś ambicje zostać? Pawiem krocącym dumnie po Broglio w tym próżnym, władczym mieście, które jest zepsute do samej głębi? Rząd złożony z peruk i bogatych szat paradujących przed lustrem, pijany od widoku własnego odbicia i nie mający pojęcia, że poza jego maleńką strefą wpływów świat... tak, świat... wzdycha ciężko i podąża dalej.

Cóż pomyślałbyś, moje ty dumne, eleganckie, młode książątko, gdybym ci oznajmił, że ani trochę nie dbam o twoje stracone królestwo, o twoją ślepa, nadętą szlachtę, ponurych mężczyzn i wymalowane dziwki. Leżałem między tymi udami, wypilem swoją porcję na balu maskowym, w który zmieniliście życie, i powiadam ci, że nie jest on wart nawet pyłu na naszych stopach.

Przez całe życie spotykałem takich próżniaków: aroganckich, zepsutych, nie czyniących nic, prócz chępliwego dbania o ochronę swego prawa do absolutnie bezwartościowego życia, do najwyższego przywileju nierobienia od kołyski po grób niczego znaczącego.

Ale twój głos! Ach, twój głos, który co noc prześladował mojego ukochanego Guida i doprowadził go do szaleństwa, twój głos to zupełnie inna sprawa! Gdybyś był obdarzony chociaż połową talentu, o jakim mi mówił, gdyby choć częściowo płonął w tobie ten święty ogień,

mógłbyś zmienić zwykłych ludzi w karły i potwory! Londyn, Praga, Wiedeń, Drezno, Warszawa - wymień, jakie chcesz miasta. Czy w jakimś zapomnianym zakątku twojego śmierdzącego miasta nie ukryto kuli ziemskiej? Czy wiesz, jak duża jest Europa, czy może nigdy ci o tym nie powiedziano?

We wszystkich tych stolicach mogłeś rzucać ludzi na kolana, całe tysiące ludzi, którzy wysłuchaliby twego śpiewu i wynieśli twe nazwisko z oper i kościołów na ulice! Powtarzaliby je sobie jak modlitwę od krańca do krańca kontynentu, mówiliby o tobie, jak mówią o władcach, bohaterach, o nieśmiertelnych.

Oto czym mógł być twój głos, gdybyś tylko pozwolił mu unieść się z tej ruiny, jaką byłeś; gdyby stać cię było na to, by wykuć go z cierpienia, bólu i zwrócić Bogu, który cię nim obdarzył!

Ale ty należysz do tego pradawnego rodzaju ludzi, którzy nie uznają prócz siebie żadnej arystokracji, tych robaków żerujących na martwym ciele Państwa Weneckiego, tych dzielnych obrońców najwyższego przywileju nierobienia niczego, niczego, niczego! I dlatego marnujesz jedyną siłę, dzięki której mógłbyś zdobyć przewagę nad każdym normalnym mężczyzną!

Nie będę dłużej znosił twojej obecności pod tym dachem. Nie czuję teraz dla ciebie żadnej litości. Nie potrafię ci pomóc. Jesteś tylko wybrykiem natury posiadającym nie przeznaczony mu dar, a nie ma niczego bardziej godnego pogardy! Opuść to miejsce, wyjedź stąd. Nigdzie indziej nie masz żadnej szansy na znalezienie odpowiedniego miejsca dla swojego nieszczęścia.

Wulkan znów przemówił.

Odległy łoskot, cichy, bezkształtny, potworny dźwięk przetaczał się po stokach wzgórz zalanych światłem księżyca, jak głębokie westchnienie dobiegające z każdej rysy i szczeliny starych, krętych uliczek. Zdawało się, że ziemia gotowa była w każdej chwili zacząć się wybrzuszać i trząść, co zdarzyło się już nieraz, by pochłonać te rudery i pałace, które z jakichś nieznanych dla człowieka przyczyn przetrwały wszystkie poprzednie masakry.

Ludzie, tłoczący się na wszystkich balkonach i dachach, patrzyli w stronę dobrze widocznych na tle szerokiej panoramy nieba dymów i błyskawic, które rozświetlały ich podekscytowane twarze. Horyzont jaśniał olśniewającym blaskiem księżyca w pełni, więc kiedy Tonio schodził ze wzgórza, było jasno jak w dzień. Nogi niosły go ślepo przez rozległe piazze i aleje do położonych niżej dzielnic miasta.

Trzymał się prosto. Szedł wolno, z gracją; z ramion zwisała mu ciężka, podbita jedwabiem peleryna. Prawą dłoń wspierał na rękojeści szpady, jakby wiedział jednak, gdzie może dotrzeć, co może zrobić, co może mu się przydarzyć.

Ból pozbawił go wszelkiego czucia. Zmroził mu skórę jak mocny podmuch lodowatego wiatru, tak że Tonio był świadom swego ciała: zimnej twarzy, zimnych dłoni i nóg, niosących go bezmyślnie w kierunku morza i mola, rozbrzmiewającego stukotem powozów i galopujących przed nimi koni ozdobionych pióropuszcami.

Od czasu do czasu zmuszony był się zatrzymać, wstrząsany gwałtownym dreszczem, który na chwilę unosił go, po czym Tonio opadał na ziemię zdezorientowany, a jego mimowolny jęk ginął w tłumie, który potrącał go i popychał naprzód.

Omiął przekupniów oraz sprzedawców słodczy, napojów owocowych i białego wina, spacerujących muzyków i ocierające się o niego piękne ulicznice, których śmiech brzmiał jak tysiące dzwoneczków. Panowała atmosfera rozgrywającej się w samo południe uroczystości, jakby wszyscy założyli, że zanim wulkan w końcu wybuchnie i pogrzebie ich w swych popiołach, muszą żyć, jak gdyby po śmierci nie istniało nic.

Ale tej nocy wulkan nikogo nie pogrzebie. Będzie grzmiał, pluł rozżarzonymi kamieniami i parą w bezchmurne niebo. Wysoko nad falami świeci księżyc, zalewający powodzią światła ludzi, którzy pływają w ciepłym morzu i zabawiają się na brzegu.

To tylko Neapol, tylko raj. Ziemia, niebo, morze, Bóg i człowiek - i żadne z nich nie mogło zranić Tonia.

Docierał do niego jedynie ból, ten ból jak mrozący skórę i przenikający aż do kości chłód, który obejmował całe ciało i zamykał w nim odretwiącą duszę Tonia. W końcu chłopak wszedł, potykając się, na piasek, w fale Morza Śródziemnego i zwiotczał, zgiął się w pół, jakby zadano mu ostatni, śmiertelny cios. Poczł ciepło omywającej go wody.

Miał jej pełne buty; ochlapał sobie twarz, po czym poprzez huk fal usłyszał w sekretnej komnacie swego ucha własny krzyk.

Stał na brzegu spienionego morza, spoglądając raz po raz w tył, na pędzące złocone koła i przebiegających po kamieniach jak zjawy lokai, którzy prawie nie dotykali stopami ziemi, na konie w uzdach przyozdobionych dźwięczącymi dzwoneczkami, kitami i świeżymi kwiatami. Nagle z tego strumienia pojazdów, poruszających się po szerokim łuku szosy ciągnącej się przez całe miasto, wypadła, kołysząc się, kolaska podążająca w jego stronę. Zeskoczył z niej woźnica, strzepnął pelerynę Tonia i, wymachując z szalonym niepokojem rękami, zaproponował mu zajęcie miękkiego siedzenia we wnętrzu pojazdu.

Chłopak, nieco oszołomiony neapolitańskim dialektem, bardzo długo się w niego wpatrywał:

U stóp Tonia falowało morze. Woźnica wyciągnął go z wody, gestykulacją wyrażając ogromny niepokój o los wspaniałego ubrania - zapiaszczonych spodni i koronkowego gorsu błyszczącego od kropli wody.

Nagle Tonio wybuchnął śmiechem. Następnie wyprostował się i przekrzykując ryk morza oraz stukot pojazdów rzekł, wykorzystując swą ograniczoną znajomość miejscowego dialektu:

- Zaprowadź mnie na wulkan.

Woźnica odsunął się.

- Teraz? O tej porze? Lepiej udać się tam w dzień, gdy...

Tonio potrząsnął głową. Wyciągnął z sakwy dwie złote monety i wcisnął je w rękę swego rozmówcy. Na jego twarzy gościł ten przedziwny uśmiech człowieka, który wie, że osiągnie wszystko, co zechce, bowiem tak naprawdę na niczym mu nie zależy. Powiedział:

- Nie. Zaprowadź mnie na wulkan. Tak wysoko jak dasz radę.

* * *

Szybko przejechali przez peryferie miasta; minęło jeszcze jednak dużo czasu, nim zaczęli wjeżdżać na łagodne wzniesienie porośnięte sadami i gajami oliwnymi, oświetlanymi przepięknie przez ogromny księżyc, a ryk wulkanu zaczął stawać się coraz głośniejszy.

Tonio rozpoznawał już zapach popiołu. Czuł go na twarzy i w płucach. Zasłonił usta, wstrząsany kaszlem. Tymczasem z niebieskawego mroku wyłoniły się małe domki. Ich mieszkańcy, siedzący w otwartych drzwiach, podnieśli się na widok podskakującej latarni, po czym wycofali się widząc, że woźnica batem popędza konia do dalszej drogi.

Zbocze stawało się jednak coraz bardziej strome i nierówne, aż w końcu znaleźli się w miejscu, powyżej którego koń nie był w stanie się wspiąć.

Zatrzymali się w gąszczu oliwek, pomiędzy którymi Toniowi udawało się czasem dostrzec ogromny, lśniący półksiężyc Neapolu.

Rozległ się niewyraźny ryk wulkanu, tak długi i niepokojący, że Tonio, nie zdając sobie z tego sprawy, przywarł do ścianki kolaski. Niebo rozjaśniło się nagle, ukazując ogromny słup dymu, przecięty dokładnie na pół oślepiającym błyskiem, a hałas spotęgował się, stał się ogłuszający.

Tonio wyskoczył i kazał woźnicy odjechać. Ten zaczął protestować. Kiedy chłopak usiłował odejść, ze splątanych gąszczy wyłoniły się dwie inne mroczne postacie. Byli to przewodnicy, za dnia prowadzący ludzi na wulkan, którzy i teraz gotowi byli wciągnąć Tonia na górę.

Woźnica odradzał mu tę wyprawę; nawet jeden z przewodników nieco się ociągał. Nim wywiązała się kłótnia, Tonio zapłacił jednemu z mężczyzn i przyjąwszy od niego kij, na którym miał się wspierać, chwycił skórzany rzemień zwisający z tylnej części paska tego człowieka. Ten zaczął go, tak przymocowanego, ciągnąć w ciemność.

Ziemia wydała jeszcze jeden ryk, jeszcze raz błysk jak za dnia rozświetlił powykręcane drzewa, w których można było teraz dostrzec niewielki domek. Kiedy z góry zaczął lecieć grad małych kamyczków, spadających dookoła z głuchym łomotem, pojawiła się następna postać. Jeden z kamieni uderzył Tonia bezboleśnie w ramię. Chłopak krzyknął do przewodnika, by kontynuował marsz.

Człowiek, który właśnie się ukazał, machał do nich rękami.

- Nie możecie iść wyżej! - oświadczył i zbliżył się do Tonia. Światło księżyca wyluskało go spomiędzy gałęzi oliwek. Miał wychudzoną twarz i wylupiające oczy, jakby trawiła go jakaś

wyniszczająca choroba. - Wracajcie! Nie rozumiecie, że grozi wam niebezpieczeństwo? - krzyknął.

- Idziemy dalej - rzekł Tonio do przewodnika.

Ale ten zatrzymał się.

Obcy mężczyzna wskazał na znajdujący się przed nim duży kopiec.

- Zeszłej nocy rósł tu tej samej wielkości zagajnik. W ciągu kilku godzin ziemia pod nim wybrzuszyła się. Jeśli pójdziecie wyżej, będziecie igrać ze śmiercią.

Uchylił się przed następnym gradem szybujących w powietrzu kamieni. Tym razem Tonio poczuł, że po policzku spływa mu smużka krwi, chociaż nie słyszał ani nie czuł kamyka, który go uderzył.

- Idziemy dalej - powiedział do przewodnika.

Ten wbił w ziemię swój kostur. Podciągnął Tonia o kilka jardów wyżej, po czym zatrzymał się. Gestykulował rękami, ale pośród ryku wulkanu Tonio nie słyszał, jakie towarzyszyły temu słowa. Jeszcze raz krzyknął, aby ruszyć dalej. Widział jednak, że jego towarzysz ma już dosyć i nie musi go do dalszej wędrówki. Błagał Tonia w swym neapolitańskim dialekcie, by nie szedł dalej. Odpiął go od rzemienia, a kiedy chłopak zaczął wspinać się w górę, wbijając palce w ziemię, przewodnik krzyknął po włosku, tak że Tonio był w stanie go zrozumieć:

- Wulkan pluje dzisiaj lawą, signore. Proszę spojrzeć w górę. Nie możecie iść wyżej!

Tonio leżał na ziemi, osłaniając prawą dłońią oczy, a lewą złożywszy na ustach. Przez zawieszony w powietrzu sadze widział niewyraźnie po prawej stronie nikłe połyskiwanie spływającego po stoku strumienia lawy, który ginął gdzieś w mglistych kształtach roślinności. Chłopak znieruchomiał, wpatrując się w niego. Z góry posypało się jeszcze więcej popiołu, znów pojawiły się kamienie, spadające mu na plecy i głowę. Zasłonił ją obiema rękami.

- Signore! - krzyknął przewodnik.

- Odejdź! - wrzasnął Tonio. Nie oglądając się w tył, by sprawdzić, czy jego rozkaz został wykonany, zaczął wspinać się po stoku na czworakach, biegnąc coraz szybciej, chwytając za korzenie i nadpalone gałęzie, wbijając czubki butów w miękką ziemię.

W powietrzu znów zaczęły latać fragmenty skał; wulkan wypluwał je rytmicznie, ale Tonio nie był w stanie określić częstotliwości tych wybuchów. Zresztą nie obchodziło go to. Raz po raz padał na ziemię, by ochronić twarz, i podnosił się, jak najszybciej mógł. Nawet przez

popiół, którego chmura wisiała teraz nad nim, widać było niebo rozjaśnione ziejącym wyżej ogniem.

Zatrzymał go atak kaszlu. Pobiegł dalej. Teraz jednak osłaniał usta chusteczką i poruszał się wolniej. Miał posiniaczone dłonie i kolana, a grad kamieni zranił go tym razem w czoło i prawe ramię.

Ryk wulkanu raz jeszcze osiągnął ogłuszającą moc. Noc ponownie rozbłysła światłem dnia.

Tonio spostrzegł, że za rosnącymi przed nim na wpół martwymi drzewami zaczyna się podnóże ogromnego stożka. Był już prawie na szczycie Wezuwiusza.

Wbił palce w ziemię. Odpadała, miał jej pełne garście, żwir i kamyczki wpadały mu do ust, aż nagle poczuł, że całe podłoże porusza się! Ziemia się wybrzuszyła. Ogłuszył go potworny ryk. Dym i popiół wirowały w oślepiającym słupie światła, w którego blasku ukazała się stromizna wysokiego, jałowego stożka wznoszącego się ku niebu. Tonio znów ruszył w przód. Szukał po omacku drzewa, które stało zaledwie kilka jardów dalej, jak ostatni powykręcany, umęczony wartownik. Jeszcze raz poczuł, jak ziemia wyrzuca go w górę, a samo drzewo rozpadło się na pół z potwornym trzaskiem.

Jedna jego połowa poleciała na prawo i rozbiła się z ogłuszającym łoskotem. Z otwierających się dookoła szczelin unosiła się gorąca para. Tonio z desperacją zaczął zsuwać się w tył.

Poślizgnął się. Do ust dostała mu się ziemia, zwiędłe liście przyklejały się do powiek. Tak oślepiony, dostrzegał wciąż czerwony blask, jakby coś eksplodowało. Z całej siły przywarł do gruntu, który unosił się razem z nim w górę, przewrócił go na bok. Ale Tonio leżał nieruchomo. Załamał się, słysząc jeszcze jeden rozdzierający powietrze ryk. Chociaż jego gardło wydawało z siebie konwulsyjne okrzyki, chociaż palce wpijały się w rumowisko kamieni, Tonio nie słyszał żadnego wydawanego przez siebie dźwięku, nie czuł własnego życia. Stał się częścią góry i wzburzonego kotła w jej wnętrzu.

Ciepłe promienie słońca padały mu na twarz.

W powietrzu wisiał dym w postaci tysięcy małych cząsteczek. Gdzieś daleko śpiewały jednak ptaki. Nie był to wczesny ranek. Sądząc z pozycji słońca na niebie i ciepła jego promieni padających na twarz i dłonie Tonia, musiało być już południe. Z wnętrza góry dochodził zaledwie cichy pomruk.

Dopiero co otworzył oczy. Przez długą chwilę leżał zupełnie nieruchomo, po czym zorientował się, że stoi przed nim jakiś człowiek.

Jego postać drgała na tle niebieskiego nieba; mężczyzna miał tak suchotniczy wygląd i dzikie oczy, że zdawał się śmiercią we własnej osobie. Za nim rozciągały się porośnięte bujną roślinnością i powykręcanymi drzewami zielone wzgórza przechodzące w żyzną równinę, na której leżało kłębowisko kolorów i światła - Neapol.

Przed TONIEM nie stała jednak śmierć, a tylko człowiek, który poprzedniej nocy wyszedł ze swej chaty, ostrzegając go, aby nie szedł wyżej.

Bez słowa wyciągnął do chłopca rękę. Podniósł go z błotnistej ziemi i poprowadził wolno w dół.

Kiedy tylko Tonio dotarł do miasta, udał się do jednego najlepszych *alberghi* na Molo i wynajął sobie drogi apartament, w którym, wysławszy sługę po świeżą bieliznę, mógł się wykapać.

Po kąpieli kazał wynieść wannę i stał samotnie przez chwilę nago przed lustrem. Następnie włożył czystą koszulę, układając uważnie koronki przy kołnierzu i mankietach, wyczyszczony wcześniej szczotką surdut, spodnie i pończochy, po czym wyszedł na werandę.

Na śniadanie przyniesiono mu owoce, czekoladę i turecką kawę, którą tak zawsze lubił pić w Wenecji.

Siedział na świeżym powietrzu, patrząc na poranny ruch uliczny, białą plażę i błękitno-zieloną wodę.

Na morzu setki łodzi i okrętów rybackich dryfowało w stronę portu.

Pod nim, na placu zwanym Largo, toczyło się ruchliwe życie codzienne, do którego przyzwyczał go Neapol.

Tonio rozmyślał.

Rzadko kiedy w życiu było mu to tak potrzebne.

Był w Neapolu od czternastu dni. A przedtem, po opuszczeniu tego brudnego pokoju we Flovigo, przez czternaście dni podróżował. Przez cały ten czas najprawdopodobniej wcale nie myślał.

To, co mu się przydarzyło, całkowicie go przytłoczyło. Jednak nie był w stanie tego objąć ani wyjść poza to zdarzenie, którego wszystkie aspekty gnębiły go jak brzęczące pszczoły z piekła rodem, wysłane, by pozbawić go zdrowych zmysłów. I prawie im się to udało. Targany nienawiścią, oplakując mężczyznę, którym nigdy nie będzie, wymierzał ciosy wszystkim dookoła, nawet samemu sobie, bez celu, bez nadziei, nie naprawiając nic i nie pokonując nikogo.

Miał to już za sobą.

Wszystko się zmieniło.

Nie był jednak całkowicie pewien, dlaczego.

Podczas nocy, w czasie której leżał na Wezuwiuszu, poruszając się tylko wtedy, gdy góra zdecydowała się nim poruszyć, przeżył wszystko, co najstraszniejsze. Teraz miał to już za sobą.

Najważniejsza była w całej tej zmianie świadomość - nie będąca wynikiem ataku gniewu czy bólu, ale rozmyślań dokonywanych na zimno, w czasie niebezpieczeństwa - że jest teraz całkowicie sam.

Nie ma nikogo.

Zło, które wyrządził mu Carlo, było nieodwracalne.

To zło oddzieliło Tonia od wszystkich, których kochał. Całkowicie. Taki, jakim jest teraz, nigdy nie będzie mógł żyć pośród krewnych czy przyjaciół. Ich współczucie i przerażenie po prostu zniszczyłyby go.

Nawet gdyby nie wygnano go z Wenecji, który to nieodwracalny fakt nappełniał go rozdzierającym poczuciem poniżenia, nigdy nie mógłby tam wrócić. Wenecja i wszyscy, których znał i kochał, byli dla niego straceni.

W porządku. To tyle, jeśli chodzi o łatwiejszą część całej sprawy.

Teraz część trudniejsza.

Andrea również go zdradził. Musiał wiedzieć, że Tonio nie jest jego synem. A jednak Andrea kazał mu wierzyć, że nim jest, postawił go w opozycji do Carla, jeszcze po śmierci toczył swe bitwy rękami Tonia. Potworna, potworna zdrada.

Ale nawet teraz Tonio wiedział, co Andrea miałby na swą obronę. Gdyby nie on, kimże byłby Tonio? Pierwszym z żalosnej gromady bastardów, dzieci zhańbionego arystokraty i upadłej wychowanki klasztoru? Jakie miałby życie? Andrea ukarał zbuntowanego potomka, który na nic sobie nie zasłużył, ocalił honor rodziny i uczynił Tonia swym synem.

Lecz nawet wola Andrei nie mogła czynić cudów. Wraz z jego śmiercią upadły złudy i prawa, które stworzył w swym własnym domu. Nigdy nie powiedział Toniowi, co go czeka. Wysłał go na bój, wyposażając tylko w kłamstwa i półprawdy.

Czy przeliczył się w swej dumie? Tonio nigdy się tego nie dowie.

Wszystko, z czego zdawał sobie teraz sprawę i co rozumiał, to jedynie to, że nie jest synem Andrei. Człowiek, który stworzył mu jakiś los i przeznaczenie, odszedł, a jego wiedza i zamiary na zawsze już pozostaną poza zasięgiem Tonia.

Tak, stracił Andreeę.

A cóż zostało z rodziny Treschich? Carlo, Carlo, który wyrządził mu krzywdę; Carlo, który nie miał odwagi go zabić, ale był na tyle przebiegły, by wiedzieć, że ze względu na los rodu Tonio nigdy nie wskaże go jako winnego.

Sprytny; tchórzliwy, ale bardzo sprytny. Ten zepsuty, zbuntowany mężczyzna, który z miłości do kobiety skazał kiedyś ród na wygaśnięcie, teraz odbuduje go, bazując na okrucieństwie i przemocy wobec swego nieskazitelnego syna.

A więc opuścili go wszyscy z rodziny Treschich: Andrea, Carlo.

A jednak w jego żyłach płynęła krew Treschich. Trwała w nim miłość do tych, którzy żyli wcześniej od ojca i dziadka, miłość do Treschich, którzy przyjdą po nich, do dzieci, które będą musiały odziedziczyć tradycje i siłę rodziny w świecie, choć niewielu lub może nikt nie będzie pamiętał Tonia, Carla, Andrei i tego przerażającego kłębowiska niesprawiedliwości, cierpienia.

Tak, to było trudne.

Teraz przyjdzie najtrudniejsze.

Jaka przyszłość czekała Tonia? Co wyłoniło się z tego chaosu? Co stało się z Toniem Treschim, który siedział teraz sam na werandzie w Neapolu na południu Włoch, w cieniu Wezuwiusza, wpatrując się w wiecznie zmieniającą się powierzchnię morza?

Tonio Treschi był eunuchem.

Tonio Treschi był tym pół-mężczyzną, mniej niż mężczyzną, który wzbudzał pogardę każdego normalnego mężczyzny. Tonio Treschi był czymś strasznym, żalonym, co dręczyło

kobiety i niezmiernie niepokoiło mężczyzn, celem żartów i wiecznego napastowania, nieuniknionym złem kościelnych chórów i operowej sceny, czymś, co pozbawione sztuczek, wdzięku i wznoszącej się wysoko muzyki było po prostu monstrualne.

Przez całe życie będzie słyszał za plecami szepty i oglądał pogardliwe uśmiechy, uniesione brwi, kpiące, wyrafinowane gesty! Jakże dobrze rozumiał wściekłość dumnego śpiewaka Caffarellego stojącego w światłach rampy, patrzącego z gniewem na Wenecjan, którzy przyszli obejrzyć go jak dworską małpę wykonującą wokalne akrobacje.

Już zamknięty w konserwatorium, którego trzymał się jak więzień-rozbitek, przywierający na obcych wodach do resztek okrętu, widział nienawiść do samych siebie u tych wykastrowanych chłopców, którzy naigrzaniem się próbowali go zmusić, by dzielił ich poniżenie. Wślizgując się nocą do jego pokoju syczeli w ciemności z niezwykłym okrucieństwem: "Jesteś taki sam, jak my!"

Tak, był taki sam, jak oni. I jakże dobrze wiedział o tym świat! Małżeństwo było mu zakazane, nie mógł już dać swego nazwiska nawet najbliższej kobiecie czy znajdującemu się w największej potrzebie pasierbowi. Kościół też nigdy go nie przyjmie, chyba że, na najniższe stanowisko zakonne, a i to za specjalną dyspensą.

Nie, został wygnany z łona rodziny, Kościoła, z każdej wielkiej instytucji tego świata prócz jednej.

Było nią konserwatorium. I świat muzyki, do którego go ono przygotowuje.

Żadne z nich nie miało najmniejszego związku z tym, co zrobili mu ludzie jego brata.

Gdyby nie to konserwatorium i muzyka, czekałby go rzeczywiście los gorszy od śmierci.

Tak nie było.

Kiedy leżał na łóżku we Flovigo i Alonso, siepacz jego brata przyłożył mu pistolet do głowy mówiąc: - Żyjesz; korzystaj z tego i opuść to miejsce - Tonio myślał, że to gorsze od śmierci. - Zabij mnie - chciał rzec, lecz nie miał wtedy nawet na tyle siły woli, by to zrobić.

Ale dzisiaj na wulkanie nie chciał umrzeć. Było przecież konserwatorium i była muzyka, która nawet w chwili najdotkliwszego bólu rozbrzmiewała w jego myślach, czysta i wspaniała.

Na twarzy Tonia pojawiła się nikła fala uczucia. Patrzył w morze. Dzieci, jak wielkie stado jaskółek, wchodziły w jego fale i wychodziły z nich.

Cóż więc robi?

Wiedział. Wiedział już wtedy, kiedy schodził z wulkanu. Miał przed sobą dwa zadania.

Pierwsze to zemsta na Carlu. To zajmie trochę czasu.

Carlo bowiem musi się najpierw ożenić i mieć dzieci; zdrowe, silne dzieci, które dorosną do dnia, gdy same się pożenią i będą mogły spłodzić własne potomstwo.

A wtedy dostanie Carla. Nie było ważne, czy sam przetrwa tę zemstę. Najprawdopodobniej nie uda mu się to. Dopadnie go Wenecja albo siepacze brata, ale nie wcześniej nim dotrze do Carla i szepnie mu do ucha: - Teraz to sprawa między nami.

Nie był pewien, co zrobi później. Kiedy przypominał sobie tych mężczyzn we Flovigo, nóż, przebiegłość i nieodwracalność wszystkiego, wydawało mu się, że dla jego ojca, który mimo swych trzydziestu pięciu lat tyle już przeszedł i tak kochał, śmierć byłaby zbyt prostą i łagodną karą.

Wiedział tylko, że pewnego dnia Carlo znajdzie się w jego mocy, tak jak on był w mocy tych ludzi we Flovigo, i będzie wtedy marzył o śmierci, jak marzył o niej Tonio, kiedy siepacz szepnął mu do ucha: - Żyjesz.

Wtedy będzie go mogła pojmać straż przyboczna Carla, Wenecja, synowie jego brata, obojętnie kto. Carlo zapłaci już wtedy za wszystko.

Drugie zadanie.

Będzie śpiewał.

Zrobi to dla siebie, ponieważ tego pragnie, bez względu na to, czy jest to jedyna rzecz, jaką może robić eunuch, czy nie. Nie miało znaczenia, iż taki właśnie los przeznaczył mu brat i jego towarzysze. Zrobi to, ponieważ uwielbia, chce tego, a jego głos jest jedyną rzeczą, jaka mu jeszcze została z tych, które kiedyś kochał.

Cała wspaniała ironia losu! Teraz głos nigdy go nie opuści, nigdy się nie zmieni.

Tak, robi to dla siebie, przyłoży się do tego ze wszystkich sił i pozwoli się zawieść wszędzie, gdzie może zaprowadzić go głos.

Kto wie, jak wspaniale może się to okazać? Niebiańska wspaniałość kościelnych chórów, cudowne widowisko teatru, o którym nie odważył się teraz nawet myśleć, ale to właśnie mogło mu dać jedyną okazję spędzenia kilku chwil z boskimi aniołami.

* * *

Słońce stało wysoko na niebie. Uczniowie konserwatorium dawno ułożyli się do gorącego, niespokojnego snu w czasie sjesty.

Jednak pod nim kipiło życie Largo. Rybacy wracali z połowem. A przy odległym murze ustawiono przed przewalającym się tłumem scenę, na której grubiańsko gestykulował jaskrawo ubrany Punchinello.

Tonio obserwował przez chwilę tę samotną postać, której nieokrzese słowa dochodziły go raz po raz przez harmider placu, po czym wstał i wszedł do małego pokoju, by zebrać kilka rzeczy, które miał ze sobą.

Jeszcze jedną rzecz przyniósł ze stoków Wezuwiusza.

Tego nie był może najbardziej pewien, wiedział o tym wyraźnie, nie ubierając w słowa, gdy przebudził się w słońcu i ujrzał kołyszące się nad nim, pełne wdzięku ciało.

W takich chwilach myślał o słowach Andrei: - Musisz sobie uświadomić, że jesteś już mężczyzną... zachowywać się, jakby była to całkowita prawda. Wtedy wszystko ułoży się jak trzeba.

Przypasał szpadę, zarzucił na ramiona pelerynę i jeszcze raz spojrzął w lustro na swą młodą sylwetkę i twarz.

- Tak - szepnął. - Musisz sobie uświadomić, że jesteś już mężczyzną, wtedy się nim staniesz i niech szlag trafi tych, którzy twierdzą inaczej!

W ten sposób uda mu się to pokonać. Istniał tylko ten jeden sposób i w tej cichej chwili spędzonej przed lustrem pozwolił sobie na akceptację całego dobra, które kiedyś przekazał mu "ojciec". Zniknął gniew. Zniknęła nienawiść. Wyparowała gdzieś ślepa wściekłość.

Pozostał jednak strach, którego mimo całej jasności umysłu nie był jeszcze w stanie przeanalizować. Wiedział, że w nim tkwi. Czuł jego obecność z taką pewnością, z jaką czuje się zagrożenie płonącego tuż obok ognia; nie był jednak w stanie się do niego przyznać, uznać jego istnienia.

Być może cicho postanowił sobie zostawić ten problem na przyszłość. Powiedział: - Nie będę o nim myślał, a wtedy z czasem zostawi mnie w spokoju. - Strach podsyciły jednak wyraziste, dręczące wspomnienia Catriny Lisani wspierającej się na poduszkach w swym łóżku, małej Bettiny, jego dziewczyny z tawerny, unoszącej spódnicę w ciemnym wnętrzu gondoli. Najpotworniejsze było może jednak to, iż miało to coś wspólnego z jego matką, krążącą w ciemnej sypialni i szepczącą bez końca: - Zamknij drzwi, zamknij drzwi; zamknij drzwi.

W pewnej chwili wszystkie te myśli zakrzepły tak, że Tonio zatrzymał się, opuszczając swój apartament w *albergo*. Stał ze zgarbionymi ramionami, jakby dosięgnął go potężny cios. Wkrótce jednak w jego umyśle zapanowała pustka. Trzy kobiety zniknęły.

Majające nad nim, przytulone do wzgórz Neapolu konserwatorium miało w sobie jakąś tajemną, przyciągającą siłę kochanka.

Kiedy dotarł do bram konserwatorium i wspiał się niezauważony po schodach do swego pokoju, który zastał niemalże w takim stanie, w jakim go zostawił, panowała wciąż cisza sjęsty. Patrząc na swój kufer i kilka ubrań, które ktoś tak troskliwie wyjął z komody, by Tonio je sobie zabrał, poczuł niemalże namacalny spokój tego miejsca.

Wciąż leżała tam czarna szata. Włożył ją, zdjawszy przedtem surdut, podniósł z podłogi czerwoną szarfę, przewiązał się nią w pasie i mijając cicho sypialnię pełną drzemiących chłopców, ponownie zszedł na dół, do drzwi gabinetu Guida.

Guido nie odpoczywał.

Spojrzał znad klawikordu z natychmiastowym gniewem, którym zawsze reagował, gdy przeszkadzano mu w pracy. Oniemiał na widok stojącego w drzwiach Tonia.

- Czy uda się przekonać Maestra, by dał mi jeszcze jedną szansę? - spytał chłopak.

Czekał, stojąc z założonymi w tył rękami.

Guido nie odpowiedział. Miał tak groźny wyraz twarzy, że Tonio przez chwilę zdawał sobie sprawę ze sprzecznych uczuć, jakie do niego żywił. Wyłoniła się z nich jedna myśl: ten człowiek musi być moim nauczycielem. Nie do pomyslenia było, by miał go uczyć ktoś inny. Kiedy pomyślał, jak Guido wszedł do morza, by się unieścić, na krótką chwilę poczuł ciężar nie wyjawionego uczucia, które dręczyło tego mężczyznę od dwudziestu ośmiu lat. Nie dopuścił go do swego serca. Czekał.

Guido skinął na niego dłonią. Przerzucił zawzięcie nuty.

Tonio ujrzał szklanę wody na małym stolczku przy klawikordzie i opróżnił ją.

Spojrzał na nuty. Była to kantata Scarlattiego; nie znał jej, ale znał Scarlattiego.

Guido zaczął grać wstęp, jego nieco krótkie palce zdawały się dosłownie fruwać po klawiszach, a Wenecjanin zaczął na doskonałym tonie ciągnąć pierwszą nutę.

Własny głos wydawał mu się potężny, nienaturalny, niemożliwy do opanowania. Potrzebował ogromnej siły woli, by zmusić się do odśpiewania kolejnych fragmentów utworu, które dopisał nauczyciel i ozdobników, które dodał do partytury. Wreszcie miał wrażenie, że brzmi nieźle, prawie dobrze; kiedy skończył, miał dziwne uczucie, że płynie. Zupełnie jakby minęło mnóstwo czasu.

Zdał sobie sprawę, że Guido patrzy poza niego. Maestro di Capella wszedł przez otwarte drzwi i również wpatrywał się w Guida.

- Zaśpiewaj to dla mnie jeszcze raz - powiedział Maestro, zbliżając się do nich.

Tonio nieznacznie wzruszył ramionami. Nie mógł jednak zdobyć się na to, by spojrzeć wprost na tego człowieka. Spuścił oczy i podniósłszy wolno prawą dłoń, dotykał tkaniny, z której zrobiona była jego szata, jakby poprawiał od niechcienia jej prosty kołnierzyk. Czuł jak ta materia otacza go, wyróżniając w sposób, w jaki nic jeszcze nie uczyniło go tak innym i w tej chwili milczenia przypominał sobie szorstkie słowa potępienia, które skierował do niego ten człowiek.

Miał wrażenie, że stało się to w innym wieku, a co zostało powiedziane, nie miało żadnego znaczenia.

Spojrzał na duże dłonie Maestra, na włosy porastające grzbiety jego palców. Patrzył na szeroki, czarny skórzany pas, którym przewiązana była jego sutanna. Bez wysiłku wyobraził sobie znajdujące się pod nią nie okaleczone genitalia mężczyzny. I podniósłszy wzrok, ujrzał cień zgolonego ciemnego zarostu Maestra, porastającego mu brodę i gardło.

Ale oczy Maestra, w które odważył się wreszcie spojrzeć, zaskoczyły go.

Były miękkie, rozszerzał je podziw i oczekiwanie. Guido patrzył na Tonia z taką samą miną. Obydwaj wpatrywali się w niego jak zaczarowani, czekając.

Wypuścił powietrze i zaczął śpiewać. Tym razem doskonale słyszał własny głos.

Pozwolił nutom unosić się, podążał za nimi myślą, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by je modulować. Nadszedł czas na prostszą, bardziej namiętną część pieśni. Jego głos wzniósł się jak na skrzydłach. I w którejś niemożliwej do określenia chwili powróciła do niego z całą swą czystością radość.

Miał wtedy ochotę łkać.

Gdyby istniały łzy, które mógłby przelać, płakałby bez względu na to, że nie był sam, a oni by to widzieli.

Znów powrócił do niego głos.

Pieśń skończyła się.

Patrzył poza krużganek, na światło migoczące w liściach i czuł, że ogarnia go przemożne, rozkoszne zmęczenie. Popołudnie było ciepłe. Z daleka dolatywały ciche dźwięki bawiących się dzieci.

Wyrósł przed nim jakiś cień. Odwróciwszy się niemalże z ociąganiem, spojrzął w twarz maestra Guida.

Guido wziął go w ramiona, a Tonio powoli, niepewnie poddał się temu uściskowi.

Miał wrażenie, że przypomina sobie pewną kobietę, kiedy obejmował kogoś innego, chwilę której towarzyszyło to samo słodkie, gwałtowne, nie wyjawione uczucie. Ktokolwiek to był, kiedykolwiek się to zdarzyło, należało już do przeszłości. Nie mógł przywołać tego momentu w pamięci.

Maestro Cavalla postąpił w przód.

- Masz wspaniały głos - powiedział.

CZEŚĆ CZWARTA

1

Rozpakowując tego popołudnia w konserwatorium swój kufer (a rodzina rzeczywiście przysłała mu wszystko, co do niego należało), układając kilka ulubionych strojów w czerwono-złotej komodzie, a książki na półkach, Tonio zdawał sobie sprawę, że transformacja, której doznał na Wezuwiuszu, ma dopiero przejść ostateczny test.

Dlatego też nie chciał wynieść się z tego pokoju, chociaż Maestro di Capella natychmiast zaproponował mu zamieszkanie w nieużywanym apartamencie na pierwszym piętrze, jeśli tylko tego chce. Tonio pragnął widzieć przez okno Wezuwiusza i leżąc nocą w łóżku, patrzeć na płomień wulkanu jarzący się na tle nieba rozjaśnionego światłem księżyca. Chciał na zawsze zapamiętać, iż na szczycie tej góry zrozumiał, co znaczy być całkowicie samotnym.

W chwili kiedy przyszłość zaczynała odkrywać przed nim prawdziwe znaczenie jego nowego życia, musiał wesprzeć się na swych postanowieniach. Czekają go momenty przenikliwego bólu. Miał przeczucie, że bez względu na to, jak bardzo był teraz zrezygnowany, czy jak przerażająco cierpiał przez ostatni miesiąc, najgorsze miało dopiero nadejść.

Nie mylił się.

Chwile pełne bólu przyszły od razu.

Nadeszły w to samo ciepłe, słoneczne południe, kiedy wyjmował z kufra brokatowe i aksamitne okrycia, w które ubierał się kiedyś; na kolacje i bale w Wenecji, gdy wydobył obszytą futrem pelerynę, którą otulał się siedząc na parterze teatru, gdzie szalały przeciągi i patrzył na twarz śpiewaka Caffarellego.

Cierpiał też, gdy tego wieczora zajął miejsce wśród innych kastratów w jadalni, ignorując szok malujący się na ich wrogich twarzach.

Znosił to wszystko ze spokojem. Skinieniem głowy witał innych uczniów. Posłał rozbrajający uśmiech tym, którzy z niego kpili. Dotknął dłonią włosów małego Paola, który towarzyszył mu w podróży z Florencji i później często usiłował się do niego zbliżyć.

Z tym samym pozornym spokojem przekazał swą sakwę w ręce Maestra di Capella.

Uśmiechnął się też łaskawie, gdy kazano mu oddać szpadę i sztylet. Ale z wewnętrznym drżeniem odmówił dostosowania się do tej prośby, potrząsając nieznacznie głową, jakby nie

rozumiał po włosku. Z pistoletów oczywiście zrezygnuje. Ale ze szpady? Nie, uśmiechnął się. Nie może tego zrobić.

- Nie studiujesz na uniwersytecie - powiedział ostro Maestro. - Nie będziesz hulał do woli w lokalnych tawernach. Czy muszę ci przypominać, że Lorenzo, uczeń, którego zraniłeś, wciąż leży w łóżku? Nie życzę sobie więcej kłótni. Oddaj mi szpadę i sztylet.

Znów ten łaskawy uśmiech. Toniowi było niezwykle przykro z powodu tego, co przydarzyło się Lorenzo. Ale Lorenzo wszedł do jego pokoju. Tonio był zmuszony się bronić. Nie mógł oddać szpady. Nie wyraził też chęci zrezygnowania z mniejszego sztyletu.

Nikt nie byłby w stanie zauważyć, jak bardzo zaskoczyło go to, że Maestro di Capella mu uległ.

Znalazłszy się w zaciszu swego pokoju na poddaszu, zaczął się z tego śmiać. Spodziewał się, że nakaz: "Uświadom sobie, że jesteś już mężczyzną" stanie się jego tarczą przeciw upokorzeniom, ale nie sądził, iż podziała on także na innych! Zaczynał sobie uświadamiać, że nauczył się na Wezuwiuszu pewnego sposobu postępowania. Bez względu na to, co czuje, będzie się zachowywał tak, jakby nie odczuwał nic, a wtedy wszystko lepiej się ułoży.

Oczywiście głęboko żałował szkody, jaką wyrządził Lorenzo. Chłopak zasłużył sobie na to, ale może narobić kłopotów.

Tonio wciąż o tym rozmyślał, gdy w godzinę po zapadnięciu zmroku na korytarzu starszych kastratów usłyszał chłopców, którzy byli odpowiedzialni za pilnowanie porządku w sypialni i w przeszłości wraz z Lorenzo przychodzili do pokoju Tonia, by go gnębić.

Tym razem był przygotowany na ich przybycie. Zaprosił ich do środka, i, przepaszając za brak kielichów czy pucharów, poczęstował butelką doskonałego wina, które przyniósł z nadmorskiego *albergo*. Wkrótce zaopatrzy się w kieliszki. Czy napiją się z nim? Gestem wskazał im miejsce na łóżku, a sam zajął stojące przy biurku krzesło i zaproponował następną porcję wina. I jeszcze jedną, widząc jak bardzo im smakuje.

Nie potrafili się temu oprzeć.

Tonio robił wszystko z tak spokojną pewnością siebie, że nie byli pewni, czy powinni mu odmawiać.

Tonio przyglądał im się po raz pierwszy i, robiąc to, zaczął bawić ich rozmową. Mówił cichym głosem o pogodzie w Neapolu i kilku osobliwościach tego miasta na tyle dużo, że nie ciążyło im milczenie.

Nie sprawiał jednak wrażenia człowieka gadatliwego, takim bowiem nie był.

Próbował ich ocenić, ustalić, który z nich, jeśli w ogóle był taki, pozostawał lojalny w stosunku do Lorenza leżącego wciąż w łóżku, ponieważ rana uległa zakażeniu.

Najwyższy z chłopców miał na imię Giovanni. Pochodził z północnych Włoch, miał osiemnaście lat i dysponował znośnym głosem, który Tonio słyszał w pracowni Guida. Nigdy nie będzie występował w operze, ale dobrze radził sobie jako młody maestro z małymi chłopcami i z pewnością w tej roli będzie go w przyszłości chciał zatrudnić chór kościelny. Wiązał swoje rzadkie włosy czarną, jedwabną wstążką, nadając im kształt charakterystyczny dla peruki z warkoczykiem. Miał łagodne, nieciekawe, prawdopodobnie tchórzliwe oczy.

Wydawało się, że chętnie zaakceptuje Tonia.

Był też Piero, blondyn, również pochodzący z północy, który posyłał kiedyś syczącym głosem tyle epitetów pod adresem Tonia, po czym odwracał głowę, jakby to nie on je wypowiedział. Miał lepszy głos - kontralt. Kiedyś mógłby stać się wspaniałym, ale w odczuciu Tonia, który słyszał go w kościele, czegoś mu brakowało. Może namiętności, może wyobraźni. Pił teraz wino z pogardliwym uśmieszkiem, a jego oczy błyszczały zimno i podejrzliwie. Kiedy jednak Tonio zwrócił się do niego, chłopak wydawał się topnieć w oczach. Puszył się, odpowiadając na pytania Wenecjanina. A więc pragnął, by zwracano na niego uwagę.

Pod koniec tej krótkiej wizyty usiłował umizgiwać się do Tonia i zrobić na nim wrażenie, jakby Tonio był starszy, jakby był jego przełożonym.

Znajdował się wreszcie wśród nich i szesnastoletni Domenico. Był on obdarzony tak doskonałą urodą, że mógł uchodzić i za mężczyznę, i za kobietę. Ponieważ śpiewając często całkowicie napełniał płuca powietrzem i miał przy tym giętkie kości eunucha, dobrze rozwinięła mu się klatka piersiowa, tak że zyskał kobiece kształty: wąską talię, nad którą można było zauważyć wybrzuszenie wyglądające na biust. Było ono jednak tak subtelne, że mogło pozostać niedostrzeżone. Jego czarne rzęsy i różowe usta lśniły, jakby były pomalowane. Oczywiście nie były. Na palcach nosił całą kolekcję pierścieni, które błyszczały w świetle, gdy niezwykle powoli, z wyszukany wdziękiem poruszał dłońmi. Jego kręcone włosy zwisały aż do ramion. Były tylko nieco zbyt długie. Nie odzywał się ani słowem, co spowodowało, że Tonio zdał sobie sprawę, iż nigdy, ani w mowie, ani w czasie śpiewu, nie słyszał głosu Domenica. Zaintrygowało go to, Domenico po prostu zawsze tylko obserwował. Nawet widok trafionego sztyletem Lorenza nie wywołał żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy.

Teraz, gdy przejął butelkę wina, wytarłszy przedtem usta koronkową chusteczką, zatrzymał wzrok na Toniu. Peszył go tym spojrzeniem. Oceniał Wenecjanina w jakiś nowy sposób. Tonio pomyślał: - Ta istota tak dobrze zdaje sobie sprawę ze swej piękności, że obca jest jej wszelka próżność.

W najbliższym przedstawieniu operowym, które miało się odbyć na scenie konserwatorium, Domenico miał zagrać rolę pierwszej śpiewaczki. Tonia zafascynowała nagle perspektywa ujrzenia tego chłopca zmienionego w dziewczynę. Pomyślał o fiszbinach gorsetu zaciskających się wokół talii Domenica i zaczerwienił się tak, że stracił wątek tego, o czym opowiadał mu Giovanni.

Przestał więc zastanawiać się nad rolą Domenica. Po czym zaczęła dręczyć go myśl, że ten chłopak to właściwie kobieta w spodniach. Wciągnął niepewnie powietrze. Domenico lekko przechylał głowę w jedną stronę. Niemalże się uśmiechał. W blasku świecy jego skóra była jak porcelana. Podbródek przecinało charakterystyczne dla mężczyzn zagłębienie, co czyniło go jeszcze bardziej bałamutnym.

Kiedy chłopcy odeszli, Tonio siedział na brzegu łóżka rozmyślając. Zdmuchnął świecę, położył się i usiłował zasnąć, a kiedy sen nie chciał od razu nadejść, zaczął sobie wyobrażać, że jest na Wezuwiuszu. Znów poczuł tę drżącą ziemię, czuł ją na swych powiekach.

Na całe lata pozostało to jego rytuałem: przypominanie sobie dotyku tej ziemi i ryku wulkanu.

Po tej pierwszej nocy Tonio nie musiał jednak więcej kusić snu.

Następnego ranka, chociaż wciąż był posiniaczony po nocy spędzonej na wulkanie, obudził się w wyjątkowo dobrym humorze. Miał od razu rozpocząć naukę z Guidem.

Nawet kolory i zapachy konserwatorium dosyć przypadły mu do gustu. Szczególnie lubił panującą w korytarzach woń, którą kojarzył z instrumentami drewnianymi. Podobały mu się dźwięki dochodzące z budzącego się do życia pokoju ćwiczeń.

Jedząc ze smakiem niewyszukane śniadanie, ze szczególną lubością pijąc świeże mleko, spostrzegł przez okno refektarza pełne czaru poranne gwiazdy.

Pomyślał, iż powietrze jest nieomal jedwabiste. Było nęcąco ciepłe. Miało się wrażenie, że można by wyjść na dwór nago.

Radowało go, że wstał tak wcześnie.

Nawet Guido Maffeo mu się podobał.

Jego maestro siedział przy klawikordzie, robiąc piórem notatki, i zdawało się, że pracuje od wielu godzin. Świeca prawie się wypaliła; ciemność za oknem zmieniała się w mgłę. Usadowiwszy się na ławce przy ścianie, by poczekać, Tonio po raz pierwszy obejrzał dokładnie ten mały gabinet.

Pokój był kamienny; twarda podłoga wydawała się nieco przytulniejsza tylko dzięki prostemu dywanikowi. A jednak wszystkie sprzęty - klawikord, wysokie biurko, krzesło, ława - były bogato zdobione malowanymi motywami kwiatowymi i lśniąca emalią. Ożywiały zimne ściany. Maestro w swym czarnym zakiecie z małym płóciennym kołnierzykiem wyglądał ponuro, jak duchowny, ale niezwykle pasował do tego miejsca.

Tonio pomyślał, że nie zawsze tak okropnie wyglądał. Właściwie był całkiem przystojny. Ale na obliczu Guida często malowało się tyle złości, a brązowe, nieco za duże oczy nadawały jego twarzy awanturniczy wyraz. Była ona jednak ruchliwa i wyrazista, tak pełna różnych emocji i uczucia, że Tonio nie mógł się oprzeć jej fascynującej sile.

Nie potrafił jednak przypominać sobie Guida we Flovigo, w Ferrarze czy w Rzymie, w ogrodzie, w którym się objęli. Gdyby o tym myślał, pogardzałby nim. Starał się więc wygnać te chwile z pamięci.

W końcu maestro odłożył pióro, zdmuchnął świecę, z której został zaledwie trzepoczący, nieprzejrzysty płomyk w niebieskawej świetlanej aureoli i bez żadnego formalnego powitania powiedział:

- Masz wyjątkowy głos. Nieraz ci to już mówiono - ciągnął, jakby się z kimś spierał - więc nie oczekuj ode mnie dalszych pochwał, póki nie zasłużysz sobie na nie. Przez lata robiłeś to, co lubiłeś, a czego nie rozumiałeś i śpiewałeś pieśni dobrze tylko dlatego, że masz doskonały słuch, a inni dobrze je przy tobie wykonywali. Uchyłałeś się od wszystkiego, co zdawało ci się trudne, szukając schronienia w tym, co dawało radość i było łatwe. Nie panujesz więc nad swym głosem i masz wiele złych nawyków.

Przerwał i przesunął dłonią po swych brązowych, kręconych włosach, jakby mu się bardzo nie podobały. Wyglądały jak czupryna jakiegoś cherubinka z obrazu namalowanego w zeszłym wieku, były tak samo bujne i miały wykręcone na zewnątrz końce; zdawały się jednak zaniedbane i nieco zakurzone.

- Masz przy tym piętnaście lat, a to bardzo wiele, jeśli chce się zacząć poważną naukę śpiewu - ciągnął. - Jednak już teraz mogę ci powiedzieć, że za trzy lata będziesz gotów do występowania na wszystkich scenach Europy, jeśli wykazesz posłuszeństwo w stosunku do moich zaleceń. Nie ma dla mnie znaczenia, czy chcesz zostać wielkim artystą, czy nie. Nie obchodzi mnie to. Nie pytam cię o to. Masz wspaniały głos, dlatego nauczę cię, jak być wspaniałym śpiewakiem. Wyuczę cię tak, byś mógł występować na scenie, na królewskim dworze, w całej Europie. Potem będziesz mógł z tym zrobić, co zechcesz.

Tonio był wściekły. Wstał i zbliżył się do rzucającego groźne spojrzenia człowieka o spłaszonym nosie, siedzącego przy klawikordzie.

- Mógłbyś mnie zapytać, czemu wczoraj wróciłem! - rzekł swym najwynioślejszym, najchłodniejszym tonem.

- Nie waż się więcej tak do mnie odzywać - rzekł Guido z szyderczym uśmiechem. - Jestem twoim nauczycielem.

I nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, omówił pierwsze ćwiczenie.

Zaczęli ten dzień prostymi *Accentus*.

Kazano Toniowi odśpiewać sześć coraz wyższych nut: do, re, mi, fa, sol, la. Następnie pokazano mu te same nuty z bardziej skomplikowanymi ozdobnikami, tak że wykonując je jako

całość, śpiewał wznosząc się łagodnie melodię, z występującymi raz po raz fluktuacjami, a każdej nucie towarzyszyły co najmniej cztery inne, trzy wznoszące się, jedna opadająca.

Należało to wykonać na jednym oddechu, traktując każdą nutę z taką samą uwagą. Jednocześnie trzeba było doskonale wyartykułować samogłoski. Całość miała być doskonale płynna.

Należało powtarzać tę melodię wiele razy, dzień po dniu, bez akompaniamentu klawikordu, aż do chwili gdy będzie wydobywała się z gardła Tonia naturalnie i równo, jak złoty strumień, a po oddechu, który chłopiec wciąga na początku śpiewu, i zasapaniu na końcu, nie będzie śladu.

W pierwszy dzień Tonio miał wrażenie, że zwariuje od tego śpiewu.

Ale następnego dnia zaczynając ćwiczenie z przekonaniem, że ta monotonia to subtelniejszy rodzaj tortury, zauważył w sobie zmiany. Miał wrażenie, że jego złość uformowała się w bańkę, która tego popołudnia w pewnej chwili pękła. Jej ścianki opadły jak płatki otulające pąk, a ze środka wyłonił się ogromny kwiat.

Kwiatem tym była hipnotyczna siła nut, które wykonywał Tonio, dryfowanie wraz z nimi, łagodna, senna świadomość, że za każdym razem, gdy raz jeszcze zaczynał pracę nad *Accentus*, zmagął się z jakimś nowym, fascynującym aspektem tego zadania.

Nim minął tydzień tych ćwiczeń, Tonio stracił rachubę różnych problemów, które rozwiązał; wiedział tylko, że jego głos całkowicie się zmienia.

Raz po raz Guido wytykał mu, że śpiewa do, re i mi z większym uczuciem niż pozostałe tony. Czyżby je bardziej pokochał? Musi mieć ten sam stosunek do wszystkich. Guido powtarzał też wciąż "*Legato*", kazał łączyć dźwięki powoli, doskonale. Siła głosu nie miała znaczenia. Nie chodziło też o wyrażanie uczuć. Jednak każdy ton musiał być piękny. Nie wystarczy zaśpiewanie tonu o idealnej wysokości (kilka razy niemalże niechętnie oznajmił Toniowi, że ma on dar wykonywania dźwięków o idealnej wysokości, chłopak jednak od dawna wiedział o tym od Alessandra), każdy ton musi być sam w sobie cudny jak kropla złota.

Potem maestro siadał i mówił: - Jeszcze raz od początku - i Tonio, chociaż ćmiło mu się w oczach i bolała go głowa, zaczynał od pierwszej nuty i płynnie przechodził do następnych.

Wreszcie z niezawodnym wyczuciem, kiedy całe ciało mrowiło już Tonia od niezmiernego wyczerpania, Guido zwalniał go z tego ćwiczenia i posyłał do wysokiego biurka, by - stojąc - rozwiązał jakiś problem dotyczy kompozycji czy kontrapunktu.

- Nie będziesz więcej siadał przy biurku. Nachylenie się nad nim nie wychodzi na dobre klatce piersiowej. Nie wolno ci robić nic, co mogłoby zaszkodzić twemu głosowi czy klatce piersiowej - mówił. I Tonio, chociaż bolały go nogi, pochylał tylko głowę, wdzięczny, że dano mu szansę, by na chwilę wygnać z umysłu brzmienie *Accentus*.

Wtedy jednak przychodził je mordować jakiś młodszy uczeń.

Nie wiedział, od jak dawna wykonuje to elementarne ćwiczenie, gdy Guido wreszcie dodał po dwie nuty na górze i na dole skali i pozwolił mu śpiewać całość szybciej, później jeszcze nieco prędzej. Dodatkowe cztery nuty były swego rodzaju wydarzeniem i Tonio oznajmił sarkastycznie, że powinien dostać pozwolenie na upicie się dla uczczenia tego.

Guido zignorował tę uwagę.

Wreszcie pewnego popołudnia, gdy Tonio już miał się zbuntować, Guido dał mu niespodziewanie kilka dopiero co napisanych arii pełnych różnorodnych zmian i pozwolił akompaniować sobie na klawikordzie.

Tonio chwycił te pieśni w ręce, nim jeszcze przebrzmiały jego podziękowania. Były dla niego równie piękne jak kąpiel pod letnimi gwiazdami w ciepłym morzu. Zaśpiewał drugą z nich od początku do końca, nim zdał sobie sprawę, że oczywiście przysłuchuje mu się Guido. I za chwilę powie, że zrobił to okropnie.

Zaczął świadomie używać tego, czego nauczył się śpiewając *Accentus* i zorientował się, że cały czas korzystał z tej wiedzy. Artykułował słowa tych pieśni bardzo wyraźnie, ale bez wysiłku; śpiewał płynnie, kontrolował się i to niesłychanie ułatwiało mu natychmiastowe pojmowanie muzyki.

W takich chwilach po raz pierwszy doświadczał poczucia władzy.

I kiedy wracał do ćwiczeń, myślał o swym głosie w tych właśnie kategoriach.

Później tego samego wieczora zdawało mu się, że nie jest w stanie myśleć o swych nogach, stopach czy miękkiej poduszce, by się nie przewrócić; miał wrażenie, że nie jest człowiekiem. Stał się drewnianym instrumentem, z którego pod czyimiś palcami wydobywał się jego własny głos. Czuł dobywający się z własnego ciała śpiew, jego równe, gładkie brzmienie.

Nim pozwolono Toniowi wspiąć się na schody wiodące do jego pokoju, zaczęło mu się kręcić w głowie. Rzucając się na łóżko, uświadomił sobie, że od dziesięciu dni ani razu nie pomyślał o tym, co przydarzyło mu się, nim tutaj przybył.

Następnego ranka Guido powiadomił go, że ponieważ zrobił wspaniałe postępy, zaczął ćwiczyć *Esclamazio*. W przypadku jakiegokolwiek innego ucznia taki przeskok byłby nie do pomyślenia, ale Guido miał własną teorię co do kolejności zadań.

Pierwsze *Esclamazio* polegało na wolnym, doskonale kontrolowanym wzmocnieniu i przyciszaniu nuty, począwszy od cichej tonacji, poprzez coraz głośniejszy śpiew, aż do końcowego, powolnego wyciszenia. Mogło ono również zaczynać się od głośnego śpiewu, cichnąć i znów rosnąć aż do gromkiego zakończenia.

W obu przypadkach najważniejsze było absolutne panowanie nad głosem. Tutaj siła głosu była bez znaczenia. Również i w tym przypadku nuta musiała być doskonale piękna. Także to ćwiczenie wykonywał Tonio całymi dniami, najpierw na nucie A, potem E, wreszcie O, nim ponownie przeszedł do *Accentus*.

Wszystkie te ćwiczenia wykonywał w cichej, kamiennej komnacie, bez akompaniamentu klawikordu, a maestro przysłuchiwał mu się w tym czasie, jakby wsłuchiwał się w dźwięki, które nie dochodziły do uszu Tonio.

Chłopak uświadamiał sobie czasem, iż pogardza tym mężczyzną tak bardzo, że mógłby go uderzyć. Z przyjemnością wyobrażał sobie, że naprawdę wymierza Guidowi cios; później wstydział się tych myśli.

Mimo tych cichych ataków niewyrażonej złości, Tonio zdawał sobie sprawę, iż tak naprawdę dręczy go fakt, że Guido czuje do niego absolutną wzdę.

Początkowo mówił sobie, że jego nauczyciel ma po prostu takie maniery, jest barbarzyński. Guido jednak nigdy nie był z niego zadowolony, rzadko uprzejmy, a jego zwyczajowa szorstkość zdawała się skrywać jakąś głębszą niechęć i irytację. Zdarzały się chwile, że Tonio czuł emanującą z Guida pogardę, jakby ten wprost mu o niej powiedział, a wtedy zaczynała mu zagrażać przeszłość wraz ze wszystkimi jej niewypowiedzianymi upokorzeniami.

Wówczas, drżąc z gniewu, Tonio dawał mu jedyną rzecz, której tamten pragnął: głos, głos, głos. Później, poddając się sennie, przebiegał jeszcze myślą wydarzenia minionego dnia w poszukiwaniu najdrobniejszego wspomnienia nauczycielskiej pochwały.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Tonio wpadł w potworną pułapkę - usiłował zyskać od Guida jakiś wyraz uczucia, zainteresowania.

Rankami próbował nawiązać rozmowę. Czy Guidowi nie wydaje się, że jest dzisiaj cieplej? Co dzieje się teraz na scenie konserwatorium? Czy muszą minąć lata, nim Toniowi

będzie wolno brać udział w szkolnych przedstawieniach? Ale chyba to przedstawienie będzie mógł zobaczyć?

Guido odpowiadał na to wszystko bardzo opryskliwie, ale bezosobowo. Potem podnosił głowę znad kartki, na której pisał, i mówił: - Dzisiaj śpiewając będziesz przetrzymywał wszystkie nuty dwa razy dłużej; a *Esclamazio* mają być doskonałe.

- Ach, znów tak doskonałość! - szeptał Tonio.

Guido zbywał to milczeniem.

Czasem była już dziesiąta w nocy, nim pozwolił Toniowi odejść. Tonio słyszał potem *Esclamazio* w snach i budził się z dźwiękiem tych przeciągłych nut w uszach.

Wreszcie przeszli do nauki pierwszych ozdobników.

Na razie Tonio nauczył się podstaw panowania nad oddechem i brzmieniem głosu oraz całkowitej koncentracji na tym, co śpiewa.

Proces okraszania melodii ozdobnikami był jednak bardziej skomplikowany. Tonio musiał nauczyć się nie tylko nowych dźwięków czy ich kombinacji, ale także umiejętności samodzielnego wyczuwania, kiedy należy je dodać do melodii.

Najpierw nauczył się ozdobnika zwanego *tremolo*. Polegał on po prostu na szybkim powtarzaniu jednego dźwięku. Na przykład śpiewając A trzeba było wydobyć z siebie A A A A A, doskonale kontrolując śpiew, a przy tym z idealną płynnością, tak by tony zlewały się ze sobą oraz by jednocześnie dokładnie słychać było następujące po sobie eksplozje kolejnych dźwięków.

Kiedy znużyło go to, a melodia wydobywała się z jego ust z niejaką naturalnością, przeszedł do ozdobnika zwanego *trill*, polegającego na szybkim powtarzaniu jednej nuty na zmianę z sąsiednią, wyższą nutą, w dużym tempie, na jednym, długim oddechu, jak na przykład ABABABABABABABA.

Po długich tygodniach spędzonych na ćwiczeniu *Accentus* i przeciągłych, bogatych nut *Esclamazio*, sprawiało mu to dużą przyjemność. A zadanie utrzymania absolutnej kontroli nad głosem, panowania nad nim, zaczęło stanowić oszałamiające wyzwanie.

Z dnia na dzień szybciej i na dłużej poddawał się hipnotycznemu działaniu muzyki. Czasem na godzinę przed zakończeniem ćwiczeń Tonio nabierał nowego wiatru w skrzydła i wykonywał te ćwiczenia pełen natchnionego wdzięku i bezinteresowności.

Nie istniał. Był tylko głosem. Ciemność otulała pokój. Świeca migotała nad leżącą przed chłopcem zapisaną kartką. Słyszał nieziemskie dźwięki, tak przypominające przebłyski abstrakcyjnej formy pojawiające się w jego umyśle, że nappełniało go to niemalże przerażeniem.

Pracował bez końca. Zmuszał się do tego.

Było bardzo późno.

Czasem do komnaty wchodził Maestro di Capella mówiąc, że czas już kończyć. Tonio opadał wtedy na ławę i opierał głowę o ścianę, a Guido siadał czasem do klawikordu. Głębokie, dźwięczne tony zalewały pokój. Patrząc na niego, Tonio czuł pustkę ciała i duszy.

Wtedy Guido mówił: - Wyjdź. - I Tonio, nieco zaskoczony i ponizony, szedł na górę i natychmiast zasypiał.

Nie dawano mu już do śpiewania arii, z których czerpał tyle radości, skrócono nawet czas poświęcony na naukę kompozycji, aby mógł spędzać dni na ćwiczeniach.

Jeśli jednak głos Tonia wykazywał jakiegokolwiek objawy nadwreżenia, Guido natychmiast przerywał naukę. Czasem Tonio po prostu odpoczywał, podczas gdy inni uczniowie odbywali lekcje. Pochłaniały go wtedy ich niemożliwe do przewyciężenia błędy czy też bardzo powoli poddające się ćwiczeniom uchybienia.

Obserwując te zajęcia, Tonio znajdował czasem pocieszenie w tym, że Guido zdawał się pogardzać innymi uczniami równie mocno jak nim. Czasem dawało mu to ukojenie. Bywały jednak chwile, że czuł się przez to jeszcze gorzej, a kiedy Guidowi zdarzało się uderzyć ucznia, co działo się często, doprowadzało to Tonia do wściekłości.

Pewnego dnia, kiedy nauczyciel zbił małego Paola, chłopca, który jechał z nim z Florencji, Tonio stracił panowanie nad sobą i powiedział Guidowi stanowczo, że jest nieokrzesanym i prostackim wieśniakiem przebranym w szlachecki strój jak tańczący niedźwiedź.

Spośród osób, które wznieciły uczucia Wenecjanina, czy też wywołały jego współczucie, nie potrafi zapomnieć tylko Paola. Nie miało to jednak nic wspólnego z całą niesprawiedliwością czynu Guida. Paolo dostosowywał się do wymagań maestra, jak tylko potrafił. Z natury był psotny, skory do śmiechu i za to przede wszystkim został zbity. Tonio szalał z gniewu.

Ale Guido tylko się zaśmiał.

Objął Toniowi śpiewanie pasaży, które miało być zwieńczeniem wszystkich poprzednich lekcji.

Polegało ono na rozbijaniu linii melodycznej na drobne wartości rytmiczne, nie zmieniając przy tym słownego sensu i czystości tematycznej pasażu. Guido wyjaśniał to na podstawie słowa *Sanctus*. Kompozytor mógł zapisać go w postaci dwóch nut, z których druga byłaby wyższa niż pierwsza. Tonio musi jednak podzielić pierwszy dźwięk, *Sanc*, na siedem lub osiem nut o różnej długości i wysokości, obniżających się jednak w końcu i przechodzących płynnie w drugi dźwięk czy nutę *Tus*, która również musi składać się z siedmiu czy ośmiu nut i zakończyć się nieodwołalnie i pięknie na tym samym drugim dźwięku.

Ćwiczenie tych ozdobników i pasaży, tak jak zapisał je Guido, miało być dopiero początkiem. Później Tonio będzie musiał nauczyć się tworzenia ze smakiem i doskonałą synchronizacją własnych ozdobników do nie upiększonej kompozycji. Musi wiedzieć, kiedy kolejno wzmacniać i przyciszać nutę, jak długo ją utrzymywać, czy rozbijać pasaż na dźwięki tej samej czy różnej długości i do jakiego stopnia może sobie pozwolić na wznoszenie czy obniżanie brzmienia tych dodatkowych nut. Musi też cały czas tak artykułować słowa kantaty czy arii, by mimo tych wszystkich wspaniałych ozdobników, znaczenie tekstu było dla wszystkich jasne.

Było to z grubsza wszystko, czego Guido miał nauczyć Tonia. Reszta polegała na wariacjach i udoskonaleniach.

W normalnych warunkach doskonale opanowanie tego zabierało uczniowi pięć lat - o wiele wolniej przechodził on od *Accentus* do *Esclamazio* i ozdobników. Guido karmił jednak Tonia nauką w tak szybkim tempie z oczywistych przyczyn: aby go nie znudzić oraz dlatego, że Tonio dowiódł, iż świetnie to wszystko pojmuje.

Był w stanie pracować nad wszystkimi aspektami swej techniki wokalne naraz; Guido zaczął więc pisać dla niego coraz trudniejsze wokalizy. Miał oczywiście wiele starych ksiąg nauczycieli z poprzednich wieków, a również z początków wieku siedemnastego, ale jak większość mistrzów sam pisał ćwiczenia wiedząc, czego najbardziej potrzebuje Tonio.

Kiedy Tonio zrozumiał, że ćwiczenia te stanowią podstawę jego nauki i ma jeszcze przed sobą doskonalenie przy ich pomocy głosu, póki nie stanie się on tak mocny, niezmienny i piękny jak szereg doskonale odlanych dzwonów uderzanych raz po raz z dokładnie tą samą siłą, wybuchnął płaczem leżąc na klawikordzie i złożony głowę na splecionych ramionach.

Czuł się tak zmęczony na ciele i umyśle, że zdawało mu się, iż nigdy przedtem nie zaznał ani prawdziwego snu, ani wyczerpania. Nie zważał na wściekłe spojrzenie Guida Maffeo.

Nienawidził maestra! Tak samo jak on nie znosił jego. Niech i tak będzie. Pomyśleć, że przysiągł sobie robić to wszystko dla siebie, dla własnej przyjemności! Nagle ogarnęło go przerażenie. Jeśli tego zaniecha, cóż mu zostanie?

Kręciło mu się w głowie, jakby miał stracić równowagę i nagle zdał sobie sprawę z nieświadomionej sfery snów, które zawsze zapominał o poranku. Jakieś drzwiczki już, już miały się otworzyć, ukazując nocne koszmary i nicość. Tonio łkał gorzko, pragnąc, by Guido Maffeo wyszedł. Niech wyjdzie z pogardą, no już! Niech się wynosi! To właśnie powiedziała w takiej chwili maestro: - Wynos się!

- Mam chropowaty głos - rzekł wreszcie Tonio. - Jest nierówny, rozbrzmiewa i łamie się w moim gardle, kiedy chce. Dotąd nauczyłem się tylko dostrzegać, jak bardzo jest zły!

Guido patrzył na niego ze złością. Potem jego twarz stała się dziwnie pozbawiona wyrazu.

- Mogę iść do łóżka? - szepnął Tonio.

- Jeszcze nie. Idź do pokoju i przebierz się. Zabieram cię do opery.

- Co? - Chłopak podniósł głowę. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. - Wychodzimy, idziemy do opery?

- Owszem, jeśli przestaniesz mazać się jak dzieciak. Natychmiast idź się przebrać.

Tonio biegł przeskakując po dwa stopnie. Ochlapał twarz zimną wodą i zaczął wyciągać swoje piękne stroje, których nie nosił od momentu opuszczenia Wenecji. Po chwili miał już na sobie żakiet z ciemnoniebieskiego brokatu, najpiękniejsze białe koronki i ozdobione sprzączką buty. I przypasując do boku szpadę, znalazł się nagle na niższym piętrze, przy apartamencie Guida.

Wtedy przypomniał sobie, że nim gardzi. I że nie jest dzieckiem, które nigdy nie było w operze. Wkrótce jednak znowu o tym zapomniał. Właściwie czuł się tak szczęśliwy, że sam nie był w stanie tego pojąć. Niemalże śmiał się w głos.

Kiedy pojawił się Guido, Tonio - przygotowany na jego zwykły strój - był zaskoczony. Maestro miał na sobie żakiet z czekoladowego aksamitu o odcieniu dokładnie takim samym jak jego brązowe oczy i przyczesane gładko włosy, pod którym widać było kamizelkę ze złocistego jedwabiu. W świetle ozdabiające jego szyję koronki, chociaż nie tak wyszukane jak Tonia, lekko błyszczały, a jego oczy były niepokojąco duże. Gdyby okazał choć trochę uprzejmości, lekko się uśmiechnął, byłby bez wątpienia przystojny. Ale Guido jak zawsze był szorstki i zadumany.

Tonio zeszywniał na widok jego ponurej miny. I podążył za nim do pierwszej ruchliwej ulicy, na której zatrzymali powóz, mający zawieźć ich do Teatro San Bartolommeo.

Mieścił się on w starym, jasno oświetlonym, i zatłoczonym budynku. W zadymionych pokojach gry panował zgiełk. Niespokojna, hałaśliwa publiczność oglądała już przedstawienie. W tym teatrze wystawiano w Neapolu opery heroiczne - poważne - przed arystokratyczną publicznością, która zapełniała pierwsze rzędy krzesel.

Dla Tonia wszystko to stanowiło wizję. Zupełnie jakby nigdy przedtem nie miał do czynienia z takim przepychem, nie znał od dzieciństwa żyrandolów z Murano, nigdy nie widział takiej obfitości woskowych świec.

Guido bezwzględnie zyskał teraz w jego oczach na godności i oglądzie. Wydawał się niemalże gentlemanem. Kupił libretto i partyturę, po czym powiódł Tonia nie do hałaśliwych łóż, ale na dół, na najdroższe parterowe miejsca, znajdujące się tuż przy rampie.

Nie zaczęła się jeszcze nawet druga połowa pierwszego aktu, najważniejsze arie były więc przed nimi. Kiedy tylko Guido usadził się wygodnie, przysunął Tonia blisko swego boku.

- A więc to ma być ta bestia, która warczy na mnie już ponad miesiąc - myślał Tonio. Zaskoczyło go to. Nie mógł przestać wpatrywać się w Guida.

W przedstawieniu brało udział dwóch kastratów, wyjaśnił maestro, i śliczna, mała primadonna, jednak - jak twierdził - to stary eunuch zaćmi wszystkich swym śpiewem i nie dlatego, by miał dobry głos, ale ponieważ doskonale opanował technikę.

Tonio był oczarowany, gdy usłyszał śpiew kastrata. Miał on jedwabisty, pełen czułości głos. Publiczność nagrodziła go rześistymi oklaskami. - I to nie jest wspaniały głos? - szepnęła Tonio.

- Wszystkie wysokie nuty śpiewał falsetem, ponieważ nie ma aż tak szerokiej skali głosu. Ale tak doskonale nad nim panuje, że nie zdołałeś tego zauważyć. Następnym razem wsłuchaj się dokładnie, to zrozumiesz, co mam na myśli. Tempo jest dobrane specjalnie dla niego, by mógł poświęcić każdemu dźwiękowi jak największą uwagę. W rzeczywistości dysponuje już tylko środkową częścią skali głosu, zaś reszta to czysta technika.

Tonio zauważył później, że to wszystko prawda. Tymczasem primadonna urzekła wszystkich swym spontanicznym, uczuciowym śpiewem. Guido stwierdził jednak, że wyrosła ona na ulicach, śpiewając pod oknami jak Tonio, więc chociaż wysokie nuty śpiewała tak, że słuchający dostawali z zachwyty dreszczy, to wcale nie potrafiła sobie radzić z niższymi dźwiękami. Ginęły one w akompaniamencie klawikordu. Widać było tylko jej ruszające się bezgłośnie usta.

Inną niespodzianką okazał się młody kastrat, dysponujący ładnym kontraltem, rzadko spotykanym u mężczyzn. Jego głos lśnił, przywodził na myśl aksamit, ale gdy śpiewak wykonywał wysokie nuty, stawał się chropowaty.

Każda z tych dwóch młodych osób mogła zaćmić starego kastrata dzięki swym naturalnym talentom, ale że nie wiedzieli, jak to zrobić, więc on raz po raz stawał w światłach rampy i sprawiał, że publiczność milkła.

Guido nie zadowolili się jednak tylko śpiewem. Zwrócił Toniowi uwagę na partyturę i na to, że najwyraźniej dodano pewne arie specjalnie dla określonych głosów. Uświadomił mu, że między młodszym kastratem a primadonną toczy się współzawodnictwo, a stary eunuch śpiewając stoi niezwykle nieruchomo, gdyż gestykułując swymi nadzwyczaj długimi i chudymi ramionami ośmieszyłby się. Natomiast młody kastrat był przystojny, co zadowalało publiczność,

i przyjmował pełne wdzięku pozy, jak starożytne posągi. Primadonna nie potrafiła regulować oddechu, ale miała w sobie dużo ciepła.

Nim opadła kurtyna, Tonio zdążył już między aktami wypić o wiele za dużo białego wina i kłócił się zawzięcie z Guidem o to, czy muzyka, której słuchali, była bezwstydną imitacją dzieł Scarlattiego, czy też czymś rzeczywiście nowym. Guido twierdził, że jest w niej oryginalność i Tonio powinien poznać więcej dzieł neapolitańskich kompozytorów, gdy nagle podekscytowany tłum zaczął ich nieść przez hall.

Mężczyźni i kobiety rozmawiali z Guidem. Do otwartych drzwi podjeżdżały jeden po drugim powozy.

- Dokąd jedziemy? - spytał Tonio. Kręciło mu się w głowie, a kiedy powóz ruszył, niemalże stracił równowagę. Zauważył, że siedząca naprzeciw dama śmieje się z niego. Miała czarne włosy i mlecznobiałą szyję; jej ramiona zakrywały rękawy z przejrzystej tkaniny, a grzbiety dłoni zdobiły małe dołeczki.

* * *

Tonio nie pamiętał momentu wejścia do tego budynku. Szedł przez niekończący się łańcuch ogromnych pokoi usianych rozpryskami jaskrawych kolorów, w których tak lubowali się neapolitańczycy, pełnych złożonych i emaliowanych mebli, stojących przy ścianach, okien zasłoniętych kotarami z brokatu przewiązаныmi sznurami z chwaścikami, żyrandoli otoczonych skorupą białego wosku i aureolą łagodnego światła. Setki muzyków, należących do różnych orkiestr, gładziło smyczkami błyszczące skrzypce, dęło w złote rogi, napełniając szerokie, marmurowe korytarze falującą, niemalże agresywną muzyką.

W powietrzu płynęły tace białego wina. Tonio chwycił jeden kielich i wypił duszkiem jego zawartość, po czym wziął następny; służący w peruce i niebieskim, atlasowym żakiecie, stał nieruchomo jak posąg, wreszcie odszedł.

Nagle Tonio zgubił się. Od dawna nie widział nigdzie Guida i co chwila zaczęły go kobiety, zwracające się do niego po francusku, po włosku i po angielsku. Podpłynęła do niego starsza dama i wyciągając swe długie ramię, jakby była to laseczka, chwyciła go i przyciągnęła do siebie, póki nie dotknęła suchymi ustami piersi Tonia. - Promienne dziecię - powiedziała w neapolitańskim dialekcie.

Uwolnił się, stracił równowagę i zdecydował, że musi stąd uciec. Gdziekolwiek by się nie zwrócił, jego wzrok padał na doskonale piękną skórę i niewielkie wzniesienie piersi nad

kawałkiem wstążki. Jakaś kobieta, śmiejąca się tak szaleńczo, że straciła oddech, trzymała w dłoniach swe ozdobione koronkami piersi, jakby jej wzorzysta taftowa suknia mogła w tym miejscu pęknąć w szwach. Ujrzawszy go, zasłoniła usta białym, koronkowym wachlarzem ozdobionym półkolem czerwonych róż.

Pochylał się nad stołem bilardowym. Nagle zdał sobie sprawę, że stojący na drugim końcu sali wychudzony, najwyraźniej trawiony gruźlicą mężczyzna, o skórze tak białej, że niemal widać było przez nią kości, wpatruje się w niego i posyła mu uśmiech.

Przez chwilę nie przypominał sobie, kto to jest, wiedział tylko, że musi go znać. Nagle uświadomił sobie, że to ta żywa wizja śmierci, która nad nim stanęła na Wezuwiuszu. Ruszył w stronę tego człowieka. Tak, to był ów gruźlik, tyle że ubrany teraz we frywolny żakiet z brokatu przetykanego złotą nicią, co nadawało mu krzykliwy wygląd marmurowych, kościelnych posągów świętych, które czasem wierni przystrajają w szaty z prawdziwego materiału.

Głowę mężczyzny zdobiła pudrowana peruka; jego głęboko osadzone, pełne cieni oczy przesuwają się po zbliżającej się postaci Tonia niemalże z lubością.

Jeszcze jedna taca z trunkami, jeszcze jeden kruchy kielich w dłoni Tonia. Stał tuż przy tym człowieku, patrzyli na siebie.

- Żywy i cały - odezwał się mężczyzna głuchym, łamiącym się głosem. I natychmiast, jakby opanował go nagły ból, przycisnął chusteczkę do ust. Pierścienie na jego palcach zdawały się utrzymywać tylko na białych kościach. Wycofał się lekko pochylony, otoczyły go wirujące spódnice.

- Chcę stąd wyjść - szepnął Tonio. - Muszę się stąd wydostać.

Kiedy zaczęła się do niego zbliżać jeszcze jedna kobieta, posłał jej tak wrogie spojrzenie, że odeszła urażona. Zawrócił i potykając się wszedł do pustej jadalni, w której stał długi stół, zastawiony - jak się zdawało - na kilkaset osób, ozdobnymi talerzami i świeżymi, ciętymi kwiatami.

Daleko od niego przy ścianie, koło jednego z osadzonych głęboko arkadowych okien, stała samotna młoda kobieta i przyglądała mu się.

Przez krótką chwilę zdawało mu się, że jest to primadonna z opery i ogarnęła go fala desperacji. Słyszał jej pełny, lubieżny głos, przed oczyma pojawiły mu się raz jeszcze te małe piersi, unoszące się w rytm niewyćwiczonych oddechów, i poczuł jak desperację zastępuje panika.

Ale to nie była primadonna, a jakaś inna młoda kobieta o takich samych jasnych włosach i niebieskich oczach, nieco jednak wyższa, drobnej budowy ciała. Jej oczy były ciemne, niemalże granatowe. Miała na sobie gładką suknię z fioletowego jedwabiu, bez wszystkich tych falbanek i wstążek, które dostrzegł na scenie. Strój ten doskonale podkreślał jej ręce i ramiona. Wydawało się, że obserwowała Tonia już od dłuższego czasu i, zanim się pojawił, płakała.

Wiedział, że musi wyjść z tego pokoju. Jednak patrząc na nią, poczuł gniew i jakąś dziwną, pijacką namiętność. Dziewczyna była giętka, z jej starannie ułożonych loków wymykały się śliczne, drobne kosmyki, które w blasku świecy wyglądały jak aureola.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął się do niej zbliżać. Nie przyciągała go jednak tylko jej uroda. Coś w jej postaci sugerowało zepsucie i obojętność na konwenanse. - Płacze, płacze - myślał. - Czemu ona płacze? - Potknął się. Był bardzo pijany. Świeca stojąca na obrusie zachwiała się i przewróciła. Zgasła, posyłając wprost pod sufit pasmo wonnego dymu.

Znalazł się tuż przy dziewczynie, podziwiając te granatowo-niebieskie oczy, w których nie czaił się strach przed nim.

Nie było w nich strachu. Nie było. A czemuż, na Boga, miałyby się go bać? Nie miał zamiaru jej dotknąć. A jednak wyciągnął dłoń.

Nagle w jej oczach, bez żadnego powodu, znów pojawiły się łzy. Łkała bezradnie.

Sama położyła głowę na jego ramieniu.

Była to chwila pełna udręki. Przerazająca. Jej miękkie, jasne włosy dotykające policzka Tonia pachniały deszczem, a w rozwartym dekolcie jej sukni ujrzął piersi, które go dotykały. Wiedział, że jeśli od niej nie odejdzie, to uderzy ją, wyrządzi jej jakąś potworną krzywdę, a jednak przytulał tę dziewczynę tak mocno, że z pewnością musiała czuć ból.

Dotknął jej podbródka i uniósł głowę. Otoczył jej usta swoimi i wtedy usłyszał krzyk. Wrywała się.

Zdawało się, że upadł w tył. Dziewczyna była bardzo, bardzo daleko od niego, a jej zacieniona twarz zdawała się tak niewinna i pełna cierpienia, że Tonio odwrócił się i wybiegł z komnaty. Biegł, póki nie znalazł się w samym centrum balu, pośród wielu tancerzy.

- Maestro - szeptał, kręcąc się bezradnie, a kiedy Guido niespodziewanie złapał go za ramię, Tonio nalegał, by stąd w tej chwili wyszli.

Starsza kobieta kiwała do niego głową. Stojący obok człowiek wyjaśnił, że markiza pragnie z nim zatańczyć. - Nie potrafię... - Potrząsnął głową...

- Potrafisz - zadudnił mu w ucho głos Guida. Czuł jego rękę na swym karku.

- Niech cię szlag - szepnął. - Muszę się stąd wydostać... masz mi pomóc... wrócić do konserwatorium.

Ale już kłaniał się tej starej kobiecie, całując jej dłoń. Wyraz jej twarzy, ruin pozostałych po urodzie, był pełen słodczy i nawet w sposobie, w jaki podawała mu zwiędnięte ramię, był wdzięk.

- Nie, maestro! - szepnął.

Obracała się lekko w swych białych pantofelkach. Toniowi cała sala wirowała przed oczami. Nie może więcej ujrzyć tej złotowłosej dziewczyny. Nie może! Zwariowałby, gdyby nagle się ukazała, ale jednocześnie tak chciałby dać jej o tym znać.

Właściwie o czym?

Że to nie jego wina; ani jej.

Stał naprzeciwko markizy, orkiestra od jakiegoś czasu grała kadryla, a Tonio jakimś cudem ruszał w przód, skłaniał się partnerce, rozłączając się z nią, by przejść wzdłuż długiego szeregu par, dokładnie tak, jak robił to wcześniej tysiące razy, wciąż jednak zapominał, co właściwie robi!

Pojawił się Guido. Jego brązowe oczy zdawały się być za duże na tle twarzy.

Po chwili Tonio opierał się już na jego ramieniu i coś do kogoś mówił, usprawiedliwiał się, że musi wyjść, wydostać się z tego miejsca, dostać się do własnego pokoju, swojego pokoju, albo iść na wulkan. Tak, na wulkan, do tego właśnie nie potrafił sam przed sobą się przyznać i było to nieznośne.

- Jesteś zmęczony - rzekł Guido.

Potrząsnął przecząco głową. Nie mógł nikomu tego powiedzieć, ale myślał, że nigdy więcej nie będzie mógł spać z kobietą, była nieznośna. Jeśli nie przestanie o tym myśleć, zacznie krzyczeć. Gdzie ona jest? Nawet przez chwilę nie wierzył, że Alessandro naprawdę mógłby to robić! Matka wydawała mu się takim dzieckiem, i Beppo, nie, to nieprawdopodobne. I Caffarelli; co naprawdę robił, gdy zostawał z nimi sam na sam?

Guido wsadzał go od powozu. - Chcę iść na wulkan! - powtórzył Tonio z wściekłością. - Zostaw mnie w spokoju. Chcę iść, wiem, gdzie się udaję.

Powóz ruszył. Tonio widział gwiazdy, czuł na twarzy ciepłą bryzę, patrzył na porośnięte liśćmi gałęzie pochylające się w dół, jakby pragnęły go pogłaskać. Jeśli pomyśli teraz o Bettinie

w gondoli, o miękkim gniazdku białych nóg, jedwabistej skórze wnętrza jej uda, to zwariuje. Wygnali go! Nigdy więcej nie postanie tam jego stopa, dopóki... a kiedy...

Osunął się na Guida. Stali przy bramie konserwatorium; Tonio rzekł: - Chcę umrzeć. Wyjawiam ci mój ból, wolę umrzeć. - Ale znów przemówił do niego ten wewnętrzny głos: - Jesteś już mężczyzną - i Tonio poszedł na górę do łóżka, jakby nic nie przeżywał.

Wkrótce stało się jasne, że ilekroć Tonio był zbyt zmęczony, by pracować, Guido przygotowywał dla niego jakąś nagrodę. Wychodzili wtedy do opery albo Tonio dostawał jaką prostą arię, której śpiewanie sprawiało mu przyjemność. Guido nie dał się jednak w tym względzie oszukać. Wiedział, kiedy jego uczeń nie jest w stanie nic więcej zrobić, i pewnego popołudnia, gdy Tonio jak zawsze starał się go zniechęcić, zabrał go na dół, do teatru konserwatorium.

- Siedz tutaj. Obserwuj i słuchaj - rzekł, zostawiając Tonio w ostatnim rzędzie krzeseł, gdzie chłopak mógł niezauważony rozprostować obolałe kończyny.

Dźwięki dobywające się z tego pomieszczenia zawsze niezwykle ciekawiły Tonio.

Z radością przekonał się, że teatrzyk jest urządony z równym przepychem jak te, które znał z weneckich pałaców. Dookoła biegł jeden rząd łóż ozdobionych szmaragdowymi zasłonami, a łuk proscenium błyszczał od złożonych ślimacznic i aniołów.

Na parterze ćwiczyło około dwudziestu pięciu muzyków - zdumiewająca liczba, jako że nawet opery zatrudniały tylu tylko na niektóre przedstawienia. Wszyscy pracowali nad swymi własnymi zadaniami, nie zwracając uwagi na śpiewaków ćwiczących gamy i na ucznia-kompozytora nazwiskiem Loretti, złoścącego się, że w takim tempie nigdy nie zdąży przygotować przedstawienia przed premierą, która miała odbyć się dokładnie za dwa tygodnie.

Guido, zatrzymawszy się w drzwiach, zareagował na to śmiechem i powiedział Toniowi, że wszystko idzie doskonale.

Tonio drgnął, jak przebudzony ze snu, gdyż wśród chodzących tu i ówdzie członków obsady dostrzegł Domenica, tego pięknego sylfa, którego widywał ostatnio tylko przy stole w czasie kolacji.

Myśląc o tej sali czy nadchodzącym przedstawieniu, zawsze przypominał sobie Domenica.

Kompozytor właśnie wszystkich zwoływał.

Skończyła się przerwa, w małym teatrze szybko zapadła cisza, a muzycy zaczęli grać uverturę.

Bogactwo dźwięku zaskoczyło Tonia; ci chłopcy byli lepsi od profesjonalistów, których słyszał w Wenecji. Gdy na scenie pojawili się pierwsi śpiewacy, zdał sobie sprawę, że uczniowie ci są już gotowi do występów w całej Europie.

Neapol z pewnością był muzyczną stolicą Włoch, chociaż Wenecjanie szydzili z takiego stwierdzenia, a w tej chwili łagodnego spokoju, słuchając ślicznej, żywej muzyki, Tonio pomyślał: - Neapol to moje miasto.

Poczuł ulgę. Ból odzywający się w jego nogach po tylu godzinach stania, zdawał się być niemalże rozkoszny. Nachyliwszy się nad zaokrąglonym oparciem stojącego przed nim krzesła z zielonego aksamitu, splótł ramiona na jego rzeźbionym obramowaniu i złożył na nich brodę.

Pojawił się Domenico. Chociaż miał na sobie tę co zwykle czarną szatę i czerwoną szarfę, wyglądał, jakby zmienił się w kobietę, której rolę grał. W każdym jego geście była ustepliwość i gracia, które sprawiły, że Tonio poczuł się nagle napięty i oburzony.

Rozpraszał go tylko głos chłopca. Był wysoki, czysty i, w przeciwieństwie do falsetu, całkowicie przejrzysty. Domenico najwyraźniej dysponował fenomenalną skalą sopranową, a płynność, z jaką łączył kragłe dźwięki, kazała się Toniowi wstydzić swych własnych miernych wyników w śpiewaniu *Accentus*.

- To dopiero głos, z którym trzeba się liczyć - westchnął, gdy tylko Domenico skończył śpiewać i zszedł ze sceny. Była to jednak tylko próba, więc chłopak zatrzymał się na krawędzi podwyższenia i przyjąwszy senną pozę, jakby opierał się wygodnie o powietrze jak o drzewo, zdawał się patrzeć przez salę wprost na Tonia.

Tonio był tak pochłonięty obserwacją jego szczupłej, kanciastej sylwetki, zapadniętych policzków i głęboko osadzonych, czarnych oczu, że nie zauważył nawet zbliżającej się do niego postaci.

Nagle uświadomił sobie, że pada na niego jakiś cień. Podniósł wzrok w chwili, gdy zamilkła muzyka, a w teatrze zapadła cisza.

Obok stał Lorenzo, kastrat, którego miesiąc temu Tonio pchnął nożem, ponieważ tamten go dręczył.

Tonio zeszywniał.

Wstał powoli. Niepewnie przesunął wzrokiem po tym wyższym od siebie, ciemnoskórym i ciemnowłosym chłopaku, który wyglądał na czupurnego. Jak wielu kastratów zdawał się on jednak rozkwitać, mimo że miał nieciekawą, mało charakterystyczną twarz.

Wbił oczy w Tonia. Próba została przerwana.

Tonio nie miał żadnej broni.

Jednak witając Lorenza delikatnym skinieniem głowy, uniósł prawą dłoń, jakby chciał sięgnąć po coś wiszącego u pasa. Potem nieco ją opuścił, jakby miał zamiar wsunąć ją pod szatę, sięgając po sztylet. Gest był przedłużony, wykalkulowany.

Jednak Lorenzo zdawał się tego nie zauważać. Stał napięty, z zaciśniętymi dłońmi. Odpowiedział ukłonem na skiniecie Tonia, uśmiechając się przy tym szeroko i podle.

W teatrze panowała absolutna cisza.

Następnie Lorenzo, ostrożnie się wycofawszy, odwrócił się i wyszedł.

Tonio stał nieruchomo i rozmyślał. Oczekiwał jakiegoś ataku ze strony tego chłopaka. To, co się stało, było jednak o wiele gorsze. Oznaczało, że Lorenzo pragnie go zabić.

Tego popołudnia wyszedł za zgodą Guida z konserwatorium, by sprowadzić do swego pokoju ślusarza i wsunawszy sztylet za pas, nigdzie się już bez niego nie ruszał. Nikt nie mógł zauważyć tej broni pod szatą Tonia. Gdziekolwiek by nie wychodził, zachowywał teraz ostrożność. Uważnie nasłuchiwał, nim w ciemności nocy zaczął się wspinać po schodach.

Jednak nie bał się. Nagle zdał sobie sprawę z całej absurdalności tej sytuacji: nie obawiał się Lorenza, gdyż był to tylko eunuch!

Potrząsnął głową pełną kłębiących się myśli. Czy na to liczył Carlo? Że Tonio jest tylko eunuchem?

Nagle ogarnęło go takie cierpienie, że zapragnął sięgnąć do mózgu brata i zgnieść to gniazdo myśli. Nie wiedział, jak zmienią go lata, nie wiedział, jak wpłynęły na tego ciemnoskórego chłopca z południowych Włoch, którego tak bezmyślnie ugodził nożem, gdy czuł się jak osaczone zwierzę. Ale czy może spodziewać się po nim mniej niż po sobie samym?

Wraz z upływem czasu Tonio zaczął liczyć na to, że Lorenzo go zaatakuje, i zastanawiał się, jak rozegra się walka.

Opanowywały go nieco krwiożercze zapędy, gdy o tym myślał, przypominając sobie swe zmagania z innymi, myśląc nie o tych potwornych, ogłuszających razach, które powaliły go na podłogę we Flovigo, ale o chwili, gdy był już prawie wolny. Potem, zapominając chwilowo o bólu, myślał chłodno, rozsądnie: - Uporam się z tym problemem, kiedy będę musiał.

Jednak w ciągu kilku najbliższych tygodni nie zdarzyło się nic prócz tego, że Lorenzo zmienił miejsce przy stole w jadalni tak, iż teraz Tonio widział go i ten złowieszczy uśmieszek, towarzyszący zawsze jakiemuś uprzejmemu gestowi.

Godziny, które Tonio spędzał z Guidem, zyskały teraz swego rodzaju ustaloną rutynę, rozświetlaną od czasu do czasu wspaniałymi małymi zwycięstwami, chociaż Guido zachowywał się chłodniej niż kiedykolwiek. Mimo to coraz częściej zabierał gdzieś Tonia wieczorami.

Chodzili razem na opery komiczne, które - jako że rzadko występowali w nich kastraci - podobały się Toniowi bardziej, niż się tego spodziewał, oraz na inne przedstawienia tej samej opery poważnej w San Bartolommeo.

Tonio nie chciał jednak chodzić z Guidem po przedstawieniach na żadne bale ani kolacje. Maestro był zdziwiony. Nieco rozczarowany. Wreszcie zauważył chłodno, że takie rozrywki są korzystne dla Tonia. Chłopak jednak powtarzał zawsze, że jest zmęczony lub wolałby od rana zacząć ćwiczyć. Guido przyjmował te usprawiedliwienia, wzruszając ramionami.

W czasie takich rozmów Toniowi robiło się zimno i oblewał się potem. Wystarczyło, że pomyślał o otaczających go kobietach, a już ogarniał go dławiący strach. Po czym, wbrew własnej woli, przypomniał sobie Bettinę w gondoli; miał wrażenie, że czuje delikatne kołysanie łodzi, zapach wody, że oddycha weneckim powietrzem, a wreszcie znów ogarniało go to ciepło, które czuł, gdy do niej wchodził, wspomnienie wilgotnej, małej, włochatej szparki między nogami dziewczyny i niewiarygodnie miękkiej skóry wnętrza jej ud, między które wsuwał czasem przed zbliżeniem twarz.

W takich chwilach nieruchomiał, milkł i wyglądał przez okno powozu, jakby pochłaniały go kojące myśli.

Kiedy pewnej nocy wracał z San Bartolommeo, przyszło mu do głowy, że nie będzie całkiem bezpieczny, póki nie dotrze do konserwatorium. Dziwna myśl, jako że Lorenzo, ilekroć się spotkali, obdarzał go podstępny uśmieszkiem i najwyraźniej tam właśnie czekał na okazję zranienia go.

Jednak pierwsza część wieczorów spędzanych poza szkołą była dla Tonia wszystkim. Uwielbiał opery Neapolu, zauważał wszystkie niuanse przedstawień. Zdarzało się, że po kilku kieliszkach wina stawał się rozmowny i w swej porywczosci wpadali sobie nawzajem z Guido w słowo.

Bywały też chwile, w których spływała na Tonia zadziwiająca świadomość osobliwości tego wszystkiego. Jego stosunki z Guidem były przeważnie wrogie. Wyniosłość Tonia dorównywała czasem zgorzkniałości maestra.

Pewnej nocy jechali wzdłuż półkolistego brzegu morza, powietrze było słone i ciepłe. Mieli ze sobą kupioną przez Guida butelkę wina, dach powozu był otwarty, a gwiazdy zdawały się błyszczeć wyjątkowo nisko i jasno na czystym niebie. Tonio zaczął nagle cierpieć męczarnie z powodu oziębłości panującej między nim a nauczycielem. Patrzył na profil Guida, odcinający się na tle białej piany, która zdawała się smagać czarną wodę, i myślał: - Oto gburowaty tyran, który czyni me życie tak smutnym, podczas gdy zaledwie kilka słów pochwały ułatwiłoby wszystko. Siedzi tu teraz, ubrany jak gentleman w piękny strój i rozmawia ze mną, jakbyśmy byli dwójką przyjaciół konwersujących w salonie. Ma dwie osobowości. - Tonio westchnął.

Guido nie zdawał sobie sprawy z myśli Tonia. Opisywał mu umierającego na gruźlicę utalentowanego kompozytora nazwiskiem Pergolesi, którego w czasie premiery jego opery w Rzymie tak wyśmiano, że nigdy już nie wrócił po tym do siebie. - Rzymska publiczność jest najgorsza - westchnął Guido. Potem spojrzał roztargnionym wzrokiem na morze. Dodał, że Pergolesi całe lata temu wstąpił do Gesu Christo Conservatorio i był teraz w wieku Guida. Gdyby on sam poświęcił się całkowicie kompozycji, mógłby teraz marzyć o rzymskiej publiczności.

- A dlaczego nie zająłeś się komponowaniem? - spytał Tonio.

- Byłem śpiewakiem - mruknął Guido. Wtedy Tonio przypomniał sobie tę gorącą przemowę, jaką uraczył go Maestro Cavalla w dzień, w którym Tonio wyszedł na wulkan. Zażenowało go nagle to, iż o niej zapomniał. Był tak pochłonięty swymi własnymi problemami, cierpieniem, powrotem do równowagi, drobnymi zwycięstwami, że prawie wcale nie myślał o siedzącym przy nim teraz człowieku. - A więc to dlatego mną gardzi - pomyślał.

- Muzyka, którą mi pokazywałeś... to twoje kompozycje, prawda? - spytał. - Są cudowne!

- Nie próbuj mi mówić, co z tego, co robię, jest dobre, a co złe! - Guido nagle zawrzał gniewem. - To ja powiem, ci, kiedy moja muzyka będzie dobra, tak samo jak poinformuję cię, kiedy będzie dobry twój śpiew!

Tonio czuł się urażony. Pociągnął duży łyk wina i bez ostrzeżenia, niespodziewanie nawet dla samego siebie, otoczył Guida ramionami.

Guido był wściekły. Brutalnie go odepchnął.

Tonio ze śmiechem wzruszył ramionami. - O ile pamiętasz, ty też mnie raz, nawet dwa razy, objąłeś - rzekł - więc i ja obejmuję cię od czasu do czasu...

- Po co?! - warknął Guido. Odebrał Toniowi wino i napił się.

- Bo nie pogardzam tobą, tak jak ty mną. Nie mam takiej podzielonej osobowości.

- Pogardzam tobą? - ryknął Guido. - Nic mnie nie obchodzisz. Interesuje mnie tylko twój głos. Zadowolony?

Tonio zapadł się w czarne, skórzane siedzenie i spojrzał w gwiazdy. Spochmurniał. - Co mnie obchodzą uczucia tego gburą? - myślał. - Czy koniecznie muszę go polubić? Czemu nie mogę po prostu przyjąć tego, co mi ofiarowuje...? - Ogarnął go chłód. Poczul drzenie zwiastujące powrót znajomego bólu. Zaczął nagle rozmyślać o operze, której wysłuchali, takim czy owym drobnym muzycznym problemie - o czymkolwiek, byle odwrócić myśli od poczucia samotności, które niespodziewanie go ogarnęło. Wydawało mu się niemożliwe, by mieszkał kiedyś w pałacu w Wenecji z ojcem, matką i służącymi, którzy byli częścią jego życia, niemalże rodziną i... Ale był w Neapolu, nad morzem, w swym nowym domu.

W dwa dni później Guido poinformował Tonia na końcu wyjątkowo niezorganizowanego, gorącego popołudnia, że będzie mógł zaśpiewać w czasie przedstawienia opery w konserwatorium niewielką partię w chórze.

- Ale premiera jest już jutro - odparł chłopak. Poderwał się jednak na równe nogi.

- Zaśpiewasz tylko dwie linijki tekstu na końcu - rzekł Guido. - Na nauczenie się ich starczy chwila, a tobie dobrze zrobi, jeśli już teraz zakosztujesz sceny.

Tonio nawet nie marzył, że przyjdzie to tak szybko.

Samo przebywanie za kulisami niezwykle go ekscytowało. Nie mógł się napatrzeć na wszystko, co działo się dookoła.

Zaglądał do garderób zasypanych pióropuszcami i kostiumami, pełnych stołów zastawionych pudełkami z farbą i pudrem, z podziwem patrzył, jak obciążone liny unoszą powoli w czarną nicość nad sceną długi szereg ozdobnych łuków, po czym bezgłośnie opuszczają je w dół. Zdawało mu się, że na olbrzymiej przestrzeni za kurtyną w tyle sceny stworzono niekończący się labirynt, w którym leżały porzucone zwłoki innych oper. Tonio znalazł tam złotą karetkę pokrytą trzepoczącymi, papierowymi kwiatami oraz przejrzyste materie z ledwo widocznymi śladami malunków księżycy i gwiazd.

Chłopcy biegali w tę i z powrotem ze szpadami w rękach lub wlekli złożone wazy pełne papierowych liści.

Kiedy zaczęła się próba, Tonio ze zdumieniem ujrzał, jak z tego chaosu wyłania się ład, śpiewacy na dany znak wypływają na scenę, orkiestra zaczyna pełen werwy akompaniament, całość staje się zwarta, akcja toczy się szybko, rozbrzmiewają jedna po drugiej czarowne arie, wykonywane zadziwiająco elastycznymi głosami.

Następnego dnia nie był w stanie skoncentrować się na ćwiczeniach, aż wreszcie Guido ograniczył je tylko do wersów, które Tonio miał odśpiewać tego wieczora w chórze.

Dopiero na godzinę przed podniesieniem kurtyny ujrzał całą obsadę w kostiumach.

Publiczność już wchodziła. Przez bramy wjeżdżał powóz za powozem. Na korytarzach toczyły się ożywione rozmowy, a ustawione wszędzie świece dodawały budynkowi radosnego ciepła, wlewając życie w różne zakątki, które na co dzień ginęły w wieczornym mroku. Wielki salon wypełniała miejscowa arystokracja, która przyszła, by obejrzeć tych młodych śpiewaków i kompozytorów, gotowych już wkrótce sięgnąć po sławę.

Spiesząc za kulisy, Tonio zaczął szaleć ze zdenerwowania. Został obsadzony jako żołnierz i miał na sobie jeden ze swych barwniejszych, weneckich żakietów - czerwony ze złotym haftem - teraz zaś zakładano mu wstęgę biegnącą przez ramię aż do rękojeści szabli, jak noszono je w poprzednim wieku.

- Siadaj - powiedział ktoś, wskazując na mały stoliczek przed lustrem. Tonio został szybko okryty, tak by można mu było upudrować włosy, aż staną się zupełnie białe. Wzdrygnął się, gdy zręczne ręce zaczęły pudrować mu twarz, a kiedy zakończono robienie makijażu, wpatrzył się zafascynowany w lustro.

Widok własnych oczu tak mocno pomalowanych na czarno zaintrygował go i zaniepokoił.

Jednak wszędzie dokoła przesuwwały się malowane twarze o skórze, która zdawała się niemalże błyszczeć.

Zerkając przez szparkę w rogu sceny ujrzał, że loże są pełne. Wszędzie widać było białe peruki, klejnoty, błyszczący atlas i taftę. Tonio odsunął się, czując w sobie dziwaczne pulsowanie i bezbronność.

Niemożliwe, by występował na scenie przed wszystkimi tymi mężczyznami i kobietami, którzy zaledwie sześć miesięcy temu... Przestał myśleć i zamknął oczy. Musi opanować drżenie

rąk i nóg, gwałtowne bicie serca. Pierwsze łzy zaczęły go kłuć w oczy, nim zdążył temu zapobiec.

Odwróciwszy się szybko, rzucił się w wir zajęć toczących się za kurtyną. W odległym lustrze ujrzał siebie: niewinnego, świeżego chłopca o spokojnym wyrazie twarzy podobnym do tych, które zdobią oblicza spoglądających kątem oka z obrazów mężczyzn w białych perukach. Na jego usta wypłynął zaledwie cień uśmiechu, gdy trapiący go ból rozplynął się jak na rozkaz. Pomyślał, że być może za każdym razem będzie to coraz łatwiejsze.

Był zachwycony tym, co działo się dookoła! A jeśli nawet przesywało go na wylot uczucie upokorzenia, to było ono tylko brzmieniem basu rozlegającym się cicho na tle piękniejszej, głośniejszej muzyki. Dotknął swej upudrowanej twarzy; rzucił jeszcze jedno rozmyślne spojrzenie na odległe odbicie własnej sylwetki w lustrze, na ustach pojawił mu się na dłużej szeroki uśmiech. Odwrócił wzrok.

Za kulisy wszedł Maestro di Capella i wyciągnął obie ręce do młodej boginki, która właśnie się ukazała. Białe loki spływały jej aż na plecy, skórę miała gładką jak porcelana i ozdobioną tak subtelnymi i pięknymi rumieńcami, że Toniowi na ten widok aż zaparło oddech w piersiach.

Przez całą wieczność wpatrywał się w tę zmysłową pannę i drgnął, uświadomiwszy sobie, że na tej scenie nie może być żadnych kobiet, a przed nim stoi Domenico!

Maestro di Capella wbijał mu w głowę ostatnie rady. Domenico zerknął w bok ujrzawszy Tonia, nieco szerzej otworzył oczy i wygiął słodko usta.

Tonio był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć mu na to gestem. Przyglądał się sylwetce tej istoty, jej wąskiej talii, różowym, koronkowym falbankom, które stawały się coraz szersze im bliżej piersi były przyszyte, i wreszcie niewielkiemu przedziałkowi między dwoma zachwycającymi wzniesieniami różową wstążką. - To niemożliwe - myślał.

Potem Domenico, uniósłszy sutą spódnicę z białego atlasu, przeszedł koło Maestra di Capella i na oczach wszystkich pocałował Tonia w policzek, ten zaś odsunął się jak oparzony. Dookoła rozbrzmiewał śmiech.

- Dosyć tego! - rozkazał Maestro.

Domenico zmienił się w kobietę! Teraz zaś, odwróciwszy się z pełną gracji, subtelną zalotnością, szepnął matowym, czułym głosem, że wczuwa się już tylko w kobiecą rolę, którą ma odegrać na scenie. Znów zabrzmiały śmiechy.

Tonio ukrył się jednak w cieniu. Opuszczano już na właściwe miejsca pierwsze malowane łuki, stanowiące dekorację. Większa część akcji będzie się rozgrywać na tle klasycznego ogrodu. Nieważne, że toczyła się ona w starożytnej Grecji, a te odziane w żakiety i peruki postacie grały wieśniaków!

Giovanni, Piero i inni obsadzeni w głównych rolach kastraci stanęli już gotowi na swych miejscach, a słudzy zawzięcie usuwali szczotkami puder z klap ich strojów.

Ktoś powiedział, że to wielka szansa dla Lorettiego, ponieważ na przedstawienie przyszła hrabina i jeśli wszystko pójdzie choćby w części tak, jak powinno, to być może w przyszłym roku będzie już komponował dla opery San Bartolommeo.

Tymczasem Loretti wszedł za kulisy i błagał Domenica, aby trzymał się taktu, na co ten odpowiedział łaskawym skinieniem głowy.

Loretti zasiadł już ponownie przy klawikordzie. Na sali panował półmrok, tylko niektórzy stojący przy drzwiach służący trzymali w rękach zapalone świece. Za kulisami ktoś upadł w ciemności, zawieszona na linach kurtyna drżała, a orkiestra zaczęła grać z całym agresywnym kunsztem, jaki może prezentować duża grupa muzyków w królewskim teatrze.

Tonio miał wrażenie, że to najdłuższy wieczór w jego życiu. W jego trakcie zdarzały się przeróżne potknięcia, a jednak w światłach rampy, w obliczu publiczności, której obecność jednoczyła tę grupkę szalonych, utalentowanych chłopców, raz po raz rozkwitała magia ich doskonałości. Arie wspaniale wznosiły się i opadały przy dźwięcznym akompaniamencie klawikordu, głos Domenica szybował jak boskie pienia w mitycznym lesie. Ukazywał się skąpany w niezwykłym świetle, opuszczał scenę z nadzwyczajnym wdziękiem i wciąż obdarzał Tonia promiennym uśmiechem.

Kiedy wreszcie przyszła jego kolej, Tonio wyszedł na scenę gnębiony bólem głowy. Ogromnie podekscytowany czuł aż do szpiku kości, że jest częścią tej olśniewającej iluzji. Słyszał swój głos wzmocniony śpiewem innych, a chociaż tam, gdzie siedziała publiczność, dostrzegał zaledwie delikatne lśnienie, czuł jej obecność w panującym dokoła mroku. Po finale rozległa się prawdziwa burza oklasków.

Nawet gdyby chwycili się za ręce, nie mogliby odczuwać większej wspólnoty w swej radości. Kłaniali się wiele razy. Ktoś szepnął, że Domenico ma teraz zagwarantowaną sławę. Śpiewał lepiej niż ktokolwiek inny występujący obecnie na scenach Neapolu, co zaś do Lorettiego, to spójrzcie tylko!

Za kurtynę wszedł Maestro Cavalla i obejmował swych śpiewaków, jednego po drugim, póki nie doszedł do Domenica. Uczynił gest, jakby chciał uderzyć tę piękną dziewczynę, która uchyliła się z cichym, zachrypniętym śmiechem.

Oznajmił, że są teraz wszyscy zaproszeni do hrabiny; tak, teraz, wszyscy. Chwycił Tonia za ramiona i ucałował go w oba policzki, starł nieco farby z jego twarzy i rzekł: - Masz ją teraz we krwi, nigdy się od tego nie uwolnisz.

Tonio uśmiechnął się. W uszach rozbrzmiewały mu wciąż oklaski.

Wiedział jednak, że nie wolno mu, że nie może iść z nimi do hrabiny.

Przez chwilę zdawało się, że nie uda mu się tego uniknąć. Był zaskoczony, że tylu chłopców pragnie, by do nich dołączył. Piero powiedział: - Musisz iść z nami - i szepnął, że nie będzie tam Lorenza.

Kiedy Tonio, odpinając od szpady błękitną wstęgę, spieszył do prowadzącego do ogrodu wyjścia dla aktorów, ktoś skinął na niego z garderoby. Panował półmrok. Sięgnął po ukryty w żakiecie sztylet. - Chodź tu! - szepnął ktoś raz jeszcze.

Podszedł powoli i lewą ręką pchnął drzwi.

Po obu stronach dużego lustra stojącego w pokoju paliły się świece; dookoła wisiały na hakach wspaniałe suknie, peruki spoczywały na ślepych, drewnianych głowach, wszędzie leżały stosy pantofli. Domenico, który go tu przywołał, szybko zamknął i zaryglował drzwi.

Tonio zaciskał palce na rękojeści sztyletu. Wkrótce jednak zrozumiał, że w pokoju nie ma nikogo więcej.

- Muszę iść - rzekł, odwracając wzrok od tej fałdki, która dawała tak wspaniałe złudzenie kobiecych piersi.

Domenico opierał się o drzwi, a jego twarz w pełnym cieni mroku sprawiała wrażenie połyskliwej i delikatnej. Kiedy się uśmiechnął, dołeczki w jego buzi pogłębiały się, światło jeszcze piękniej igrało na kościach policzkowych. Przemówił kobiecym, lekko zachrypłym czułym głosem.

- Nie obawiaj się go - szepnął.

Tonio uświadomił sobie, że zrobił krok w tył. Serce biło mu z niepokojem.

- Kogo? - spytał.

- Lorenza, rzecz jasna - odparł szorstko aksamitny głos. - Nie pozwolę mu wyrządzić ci krzywdy.

- Nie zbliżaj się! - powiedział ostro Tonio. Zrobił jeszcze jeden krok w tył.

Domenico tylko się uśmiechnął i skłonił w lewo głowę tak, że białe, upudrowane loki zsunęły mu się z ramienia na wzniesienie piersi.

- Chcesz powiedzieć, że to mnie się obawiasz.

Zmieszany Tonio odwrócił wzrok. - Muszę stąd wyjść - powiedział.

Domenico westchnął. Nagle otoczył Tonia ramionami, przylgnął do niego miękkimi piersiami. Tonio zatoczył się w tył, na lustro. Stał teraz między migoczącymi świecami. Musiał wesprzeć się rękami o zwierciadło, by złapać równowagę.

- Boisz się mnie - szepnął Domenico.

- Sam nie wiesz, czego chcesz! - krzyknął Tonio.

- Wiem za to, czego ty pragniesz. Dlaczego obawiasz się po to sięgnąć?

Tonio miał zamiar pokręcić głową, ale nie zrobił tego, wpatrzywszy się w oczy Domenica. Niemożliwe, by ta pianka, ta magia, kryła jakikolwiek męski pierwiastek. Kiedy ujrzał, że zbliżają się do niego wilgotne, rozchylone usta, zamknął oczy i usiłował się odsunąć. Mógłby przecież jednym uderzeniem powalić tę istotę na podłogę, a jednak cofał się, jakby coś miało go sparzyć!

Poczuł, że Domenico przytula się do niego całym ciałem, pod atlasową suknią czuł kształt jego uda, a wreszcie dłoń chłopaka sięgającą do jego spodni.

Mało brakowało, by go nie uderzył. Ale w tej samej chwili, w której ręka Domenica znalazła jego członek i pobudziła go pieszczotami do życia, poczuł na twarzy jego policzek i dotknięcie rzęs.

Tonio był tak zaszokowany, że o mało wszystkiego nie zepsuł.

Jeszcze raz zamknął oczy. Kiedy Domenico pocałował go, Wenecjanin poczuł wzbierającą namiętność. Domenico rozsunął materiał i uwolnił członek Tonia, pozwalając mu się całkowicie rozprostować, po czym spojrział w dół i wymamrotawszy jakieś przekleństwo, raz jeszcze uniósł w górę twarz i szorstko pocałował Tonia, rozchylając mu usta, odbierając oddech, kształtując jednocześnie i utwardzając to, co tak mocno dzierzył w dłoni.

Tonio nie potrafił się powstrzymać od włożenia ręki pod suknię, lecz kiedy poczuł tam ten twardy, mały organ, cofnął ją jak oparzony. Domenico raz jeszcze go pocałował.

Po chwili obydwaj klęczeli, aż wreszcie Domenico położył się na plecach przed Toniem na kamiennej podłodze, oddając mu się, jakby był kobietą.

Otwór był wąski, och, tak wąski, tak przypominający kobietę, przy wejściu nawet węższy i szorstki, tak że Tonio zacisnął zęby i wydał okropny jęk. Wchodził do niego coraz gwałtowniej, aż wreszcie poczuł, że sięga szczytu; leżał potem drżąc.

Spoglądał w dół na Domenica. Nie pamiętał, by się od niego odsuwał, a jednak siedział teraz oparty o lustro i patrzył na podnoszącą się, jak zawsze, leniwie i wdzięcznie z podłogi dziewczynę. Stała nad nim.

Oszłomienie odebrało mu mowę. I wszystko zdarzyło się tak szybko, jak zawsze. Nie było żadnej różnicy! Poczul bezmyślne pragnienie, by podnieść się i raz jeszcze wziąć tę postać w ramiona, zacałować ją, zgnieść ją pocałunkami.

Zerwać tę wstążeczkę z jej piersi i zobaczyć, co się pod nią kryje!

Domenico rozpiął już zatrzaski sukni i pozwolił jej opaść. Tonio wzdrygnął się na widok cienkiej jak pajęczyna koszuli. Ona też została rzucona na podłogę. Domenico uniósł i odłożył wielką, białą perukę i, nachylając głowę w przód, po męsku potrząsnął wilgotnymi, czarnymi lokami.

Tonio wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczami. Nie miał ciała kobiety, z całą pewnością nie, nie było to jednak również ciało mężczyzny.

Miał płaską klatkę piersiową. Tylko rozwinięte płuca dawały jej ten pełny kształt. Pokrywała ją piękna, jak wszędzie, skóra. Penis, krótki, ale dosyć gruby, był teraz twardy i najwyraźniej gotowy do wzięcia tego, co zostanie mu zaoferowane.

Najdziwniejsze było to, że otaczające członek włosy nie rosły jak u mężczyzn, rozrastając się aż na brzuch. Tworzyły ciemny, odwrócony trójkąt o prostej, jakby przyciętej brzytwą podstawie, jak u kobiety.

Tonio pochłaniał wzrokiem całe ciało Domenica: piękna skóra, szczupłe, pełne wdzięku nogi, śliczna twarz pokryta jeszcze resztkami farby i gęste, ciemne włosy opadające w dół jak loki marmurowych aniołów.

Ta właśnie istota upadła teraz na kolana.

Tonio odwrócił się.

- Myślisz pewnie, że żądam od ciebie czegoś, czego wcale nie musisz mi dawać? - szepnął Domenico. - Weź mnie jeszcze raz, tym razem na gołej podłodze, od której oddzielać mnie będzie tylko twoja dłoń - rzekł, po czym położył się na brzuchu, wciągając Tonia na siebie.

Tonio wyprostował się, patrząc na jego małe, twarde pośladki. Pochłaniało go wspomnienie tego ciasnego otworu, którego szorstki wlot wydawał się niemalże zbyt wąski, i jego ciepłego wnętrza. Nagle położył się, ubrany, na obnażonym ciele Domenica, poczuł w zębach jego nagi kark, a Domenico ujął dłoń Tonia, wsunął ją pod własny gładki brzuch i zacisnął na swym grubym, twardym penisie.

Tonio poczuł, że sztywnieje, dyszy. Znów wdarł się do wnętrza Domenica i wymierzył mu pełne złości pchnięcia. Bolesnie zaciskał dłoń na jego członku, ruszał nią, jakby chciał go urwać; a chłopak jęczał, aż wreszcie, kiedy Tonio znów poczuł szczyt rozkoszy, również i Domenico zadrżał pod nim.

Tonio zsunął się na bok i wyczerpany położył się na plecach.

Kiedy otworzył oczy, Domenico był już kompletnie ubrany; przez jedno ramię miał przerzuconą swą szkarłatną pelerynę.

- Chodźmy, wołają nas! - Uśmiechnął się. - Musisz zmyć farbę z twarzy. Pospiesz się!

Tonio prawie go nie słyszał. Wydawało mu się, że Domenico jest kobietą w męskim przebraniu, tak jak przedtem był mężczyzną ubranym w damskie szaty. Tonio uniósł ramię i próbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się to.

W jego głowie panował pozbawiony myśli zamęt. Nie czuł się szczęśliwy. Doznawał ulgi potężniejszej niż kiedykolwiek i milcząc wykonywał polecenia Domenica.

Kiedy jechali ciemnym powozem w kierunku Sorrento, do domu hrabiny Lamberti, przez całą drogą zasypywał Domenica gwałtownymi pocałunkami. Jednak gdy chłopak sięgnął do spodni Tonia i dotknął blizny przy jego członku, Tonio ledwo powstrzymał się, by go nie uderzyć. Powstrzymał się, gdyż wystarczyło mu, że mógł zmiażdżyć Domenica w dłoniach, jak coś, co pragnie zostać zmiażdżone, potrzebuje tego i przyłgnąć do niego, posiąść go jeszcze raz w powozie kołyszącym się miarowo w światłach latarni.

Późną nocą Tonio po raz wtóry ujrzał w pustej jadalni młodą, złotowłosą kobietę, którą wcześniej spotkał w domu hrabiny. Tym razem nie była już tak smutna. Śmiała się i rozmawiała w tańcu ze swym partnerem. Ostro zarysowane, pięknie zaokrąglone, choć proste, ramiona dodawały jej ruchom niemal beztróskiego wdzięku, kiedy unosiła wszystkie swe niebieskie spódnice; w jej jasne włosy wplecione były niedbale białe kwiaty.

Jednak kiedy ich oczy spotkały się, Tonio odwrócił wzrok. I zapragnął, by właśnie dzisiaj nie było jej na balu. Nie mógł jednak powstrzymać się od spojrzenia na nią.

Taniec się skończył. Wysoki gentleman w białej peruce szepnął jej coś do ucha i twarz dziewczyny znów rozbłysła śmiechem. Tonio nie pamiętał, że ma tak ładną szyję, ani że jej piersi tak pięknie wypełniają stanik sukni, a gdy dostrzegł błękitną materię, opinającą ciasno talię, mimo woli zacisnął zęby. Zdawało mu się, że przez wszystkie splątane głosy dochodzi do niego śmiech tej kobiety. Wkrótce jednak ona sama odwróciła zawstydzona wzrok, pozornie zajęta czym innym. Tak jak przedtem wydawała się teraz prawie smutna i Tonio szalenie zapragnął z nią porozmawiać.

Od razu wyobraził sobie, że znajduje się z nią sam na sam w jakimś nieznanym miejscu i wyjaśnia, iż nie jest prostakiem czy niegodziwcem i nie miał zamiaru jej znieważyć. Pomyślał, że musi mieć diabelne szczęście, skoro nie czyhają na niego teraz już dwaj mężczyźni: Lorenzo i ojciec tej dziewczyny.

W tej właśnie chwili, gdy coraz bardziej zaczęły go ogarniać takie myśli, odnalazł go Domenico i ujrawszy tak blisko promieniejącą twarz, przypomniał sobie, że ma w swej mocy tę olśniewającą istotę, której pożąдали inni, Tonio poczuł znów wzbierającą szybko żądzę. Miał ochotę posiąść go natychmiast, na podłodze sali balowej. Niczego nie pragnął teraz bardziej, niż jakiejś ciemnej komnaty, bez niebezpieczeństwa, że ktoś ich zaskoczy.

Wciąż jednak jego wzrok padał na tę piękną dziewczynę.

Czasem widział, jak siedzi samotnie, roztargniona, z poważną twarzą i złożonymi bezczynnie na kolanach rękami, na brzeżku wyściełanego krzesła.

Również i teraz miał wrażenie, że dziewczyna o nic nie dba, że nie miałaby na tyle przytomności umysłu, by zaprotestować, gdyby ktoś ją podniósł i porwał. Widział już siebie, jak rozpuszcza jej jasne włosy, odgarnia ręką kosmyki z czoła. Wyobrażał sobie, jak loki blondynki spadają na porywającą pochyłość jej ramion, po czym on sam raz jeszcze je odsuwa, by całować szyję dziewczyny. Te myśli doprowadzały go do szału.

Po długiej chwili dziewczyna spojrzała raz wprost na niego. Chociaż stał bardzo daleko, zdawało się, że cały czas była świadoma, iż jej się przygląda. Ujrzał jej ciemnoniebieskie oczy i miał się odwrócić, stał jak przykuty do miejsca, żałując, że w ogóle kiedykolwiek ją zobaczył.

Tonio miał wrażenie, że Guido wie o jego "romansie" z Domenico. Tak naprawdę jednak maestro nie dał mu tego po sobie poznać.

Zachowywał się równie chłodno co zwykle, zaś oszałamiające tempo postępów Tonia absorbowало go tak całkowicie, że nie było miejsca na niepotrzebne złośliwości. Całymi godzinami pochłaniała ich obu praca, a Tonio miał teraz taki sam rozkład zajęć jak starsi uczniowie.

Śpiewał przez dwie godziny, powtarzał to ćwiczenie przez następne dwie godziny przed lustrem, zwracając uwagę na postawę i gesty, jakby był na scenie, zaś po posiłku oddawał się pracy nad librettami oraz dykcją. Potem przychodził czas na ćwiczenie kontrapunktu i improwizacji. Powinien być w stanie podchwycić każdą melodię i sam dodać do niej odpowiednie ozdobniki. Zawzięcie pracował przy tablicy, Guido zaś poprawiał wyniki jego starań, nim pozwolił mu odśpiewać daną melodię.

Następna godzina poświęcona było komponowaniu, a dzień kończył się śpiewaniem. W przerwach brał udział w zajęciach chóru i próbował następnej opery, która miała być wystawiona z końcem lata.

Czasem chłopcy występowali popołudniami w kościołach i brali udział w procesjach.

Kiedy Tonio po raz pierwszy dołączył z własnej woli do idącego powoli ulicami podwójnego szeregu kastratów, przeżył to tak boleśnie, jak się spodziewał. Jakaś część jego ja, dumna i być może wciąż przepelniona gorzkim cierpieniem, nie mogła pogodzić się z tym, że jak wystrojony wałach paraduje przed oczami tłumu.

Pokonanie tych cierpień za każdym razem wzmacniało jego wolę. Kiedy udało mu się przebić przez pogardę dla tego, co rozgrywało się przed jego oczyma, dostrzegał różnorakie nowe aspekty swej sytuacji. Zauważał podziw w oczach gapiów; patrzyli oni na starszych kastratów z szacunkiem, wyteżali się, by słyszeć ich głosy, starali się nawet zapamiętać rysy twarzy poszczególnych eunuchów.

Szybujące w letnim powietrzu hymny i sam rozświetlony, wonny kościół emanowały jakimś zmysłowym urokiem. Wreszcie ukojony drobnymi spostrzeżeniami, zajęty doskonaleniem własnego śpiewu Tonio zaczął czerpać z tego wszystkiego niejaką przyjemność. W tych

kościółach pełnych złocen i wyglądających jak żywe posągów marmurowych świętych przeżył chwile cichej radości.

Wciąż gnębiło go jednak przeczucie, że Guido wie o jego nocnych spotkaniach z Domenico i nie aprobeuje ich.

Właściwie sam Tonio ich nie pochwałał. Co noc, bez względu na porę, kiedy szedł na górę, znajdował w swych pokojach Domenica. Chłopak był zawsze świeży, pachniał jakąś wodą kolońską, rozpuszczone włosy spływały mu na ramiona. Kiedy podnosił się z łóżka Tonia, na którym spał, jego ciało wydawało się czasem tak ciepłe, jakby miał gorączkę. Gnębiło go po prostu pożądanie. Oddawał Toniowi usta, nagie kończyny i nie dbał o to, co ten z nim zrobi. Ich stosunki były zawsze brutalne. Zawsze wyglądały jak gwałty, czasem w ich trakcie porozumiewali się za pomocą słów używanych w tak gwałtownych sytuacjach, kiedy indziej odbywali przed nimi pozorowaną walkę. Tonio zrywał z Domenica koronkową koszulę, spodnie. Przesuwał dłonią po jego skórze, sprężystej i doskonałej jak skóra niemowlęcia. Czasem bił go po twarzy albo zmuszał go, by oddał się jego gwałtowi na kolanach, jakby się modlił. Uprzednio jednak Domenico kusił go do uprawiania najrozkoszniejszych pieszczot. Pochylał się między nogi Tonia i ssał go, pożerał, jęcząc przy tym cicho, jakby - co było dla Tonia niepojęte - ten akt wystarczał, by go zaspokoić.

Wszystko to jednak niezmiennie kończyło się gwałtem, podczas którego Tonio ścisnął członek tamtego i wdzierał się do niego nie bacząc na nic, bez śladu delikatności, jakby chciał go po dwakroć ukarać.

Tonio dziwił się, że Domenico więcej nie potrzebuje, niczego więcej się nie domaga. Domenico był zawsze zadowolony. Zdarzały się szalone chwile w czasie dnia, najczęściej ciche godziny sjeisty, kiedy skinięciem dłoni przywoływał on Tonia do jakiegoś pustego pokoju ćwiczeń, w którym raz jeszcze odtwarzali tę walkę, a pikanterii dodawało jej niebezpieczeństwo i tajemnica. Ochota Tonia na stosunki z tym chłopcem, zarówno kiedy był on ubrany, jak i wtedy gdy był nagi, nie słabła. Nie był tylko pewien, co sprawia mu większą przyjemność. Często wszystkie ich kontakty przenikało wspomnienie Domenica w kobiecym stroju. Parę razy Tonio naprawdę uderzył go w twarz, skuszony jej doskonałością, pięknnością rysów i obfitością perfumowanych włosów.

Uległość Domenica w łóżku dziwiła Tonia, gdyż w stosunku do wszystkich innych chłopak zachowywał się chłodno i bezkompromisowo. Domenico był, jak kiedyś podejrzewał

Tonio, ponad próżność i zwykle złośliwości. Nie zachowywał się jednak w stosunku do innych po przyjacielsku, a czasem nawet, chociaż robił to z inteligencją, bywał obraźliwy, szczególnie dla innych eunuchów.

Mimo to noc w noc prowokował Tonia do namiętnej brutalności.

Tonio bardzo się tego wstydził. Czemu wciąż dawał się wciągnąć w tę bezpieczną walkę, dlaczego świadomość, że inni muszą o tym wiedzieć, wywoływała w nim zarazem dumę i poczucie hańby?

Kiedy przypadkiem dowiedział się od eunucha Piero, że ostatnim "bardzo dobrym przyjacielem" Domenica był normalny chłopiec, skrzypek imieniem Francesco, sam się dziwił, że wiadomość ta tak bardzo go rozbawiła i usatysfakcjonowała. A więc spełniał swe zadanie równie dobrze co ten owłosiony, nie wykastrowany Mediolańczyk o brutalnym wyglądzie?

Wstydził się jednak. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, czemu uczucie to gnębiło go szczególnie wtedy, kiedy pomyślał, że Guido wie o wszystkim.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby rozmawiali czasami z Domenico, gdyby dzielili jakieś inne przyjemności. Ale rzadko kiedy się do siebie odzywali!

Domenico śpiewał w chórze w San Bartolommeo, więc nieczęsto bywał w konserwatorium, w pełnym świetle widywali się zaś z TONIEM najczęściej w czasie jakiegoś balu czy kolacji po operze.

Tonio zaczął bowiem znów na nie chodzić, ilekroć zaprosił go Guido.

Guido najwyraźniej był z tego zadowolony. Stwierdził kiedyś cichym głosem, iż wydaje mu się, że takie uroczystości powinny sprawiać chłopcu w wieku Tonia przyjemność. Tonio uśmiechnął się. Jak mógłby opowiedzieć nauczycielowi o życiu, które prowadził w Wenecji? Rzekł po prostu, że południowa arystokracja nie robi na nim szczególnego wrażenia. - Tak wielką wagę przywiązują do tytułów - mruknął - i wydają się tacy... z siebie zadowoleni i gnuśni.

Od razu tego pożałował. W słowach tych rozbrzmiewała bezczelność i snobizm. Guido będzie wściekły. Ale nie. Guido zamyślił się nad tym zdaniem, jakby nie przyszło mu do głowy, że może się poczuć urażony.

* * *

Pewnej nocy, po wyjątkowo wykwintnej kolacji w domu hrabiny Lamberti, w czasie której wszędzie pełno było służących - jeden z nich stał za każdym siedzącym przy stole gościem, inni ustawieni byli przy malowanych ścianach, gotowi w każdej chwili napełnić

gościowi kielich czy zapalić mu świeczką tureckiego papierosa - Tonio ujrzał niezwykłą scenę: Guida swobodnie rozmawiającego z najwyraźniej znajomymi mu kobietami.

Młody maestro, ubrany w czerwień i złoto doskonale uwypuklającego jego brązowe oczy oraz włosy, zdawał się całkowicie swobodny i pochłonięty jakimś pytaniem. W pewnej chwili uśmiechnął się, potem wybuchnął głośnym śmiechem: wyglądał wtedy na swój wiek - młodo, subtelnie, zdawał się okazywać zdolność do wyrażania uczuć, o które Tonio nigdy by go nie podejrzewał.

Tonio nie mógł oderwać od niego oczu. Jego uwagi nie rozproszył nawet Domenico, który zaczął właśnie śpiewać do wtóru klawikordu. Obserwował reakcję Guida na jego występ: patrzył na niego bardzo długo, aż wreszcie oczy maestra znalazły go w tłumie i na jego twarzy pojawił się poważny, chłodny wyraz, nawet złość. Tonio wzdrygnął się, nim zdołał oderwać od niego wzrok. Skierował oczy na Domenica, który po zakończeniu występu, kiedy w komnacie rozbrzmiały oklaski, posłał mu jedno ze swych pełnych łaskawości spojrzeń, odbijających świadomość, że Tonio ma nad nim władzę.

- Cóż za hańba - pomyślał Tonio.

Nienawidził siebie i wszystkich dokoła. - Po cóż się nad tym zastanawiać? - szepnął sam do siebie. Zawędrował samotnie do jakiegoś ciemnego pokoju, pewnie rzadko otwieranego, gdyż panowała w nim wilgoć, i spacerował tam w świetle księżyca sączącym się przez wysokie, łukowate okna, myśląc: - Czemu tak mną pogardza, dlaczego tak się tym przejmuję? Niech go szlag!

Ogarnął go wstyd. Czyżby dlatego, że był kochankiem chłopca?

Tak, to przerażające. Wiedział jednak, dlaczego nim został. Zdawał sobie sprawę, że za każdym razem, robiąc to z Domenico, udawał sobie, że jest w stanie to robić, więc jeśli zechce, jego kochanką zostanie kobieta.

Z zaskoczeniem powitał trzask drzwi za plecami. Nawet tutaj znalazł go jakiś sługa; zadziwiająco, że nie stoją w każdym ciemniejszym miejscu.

Odwróciwszy się, ujrzał Guida.

Zapłonął nienawiścią. Pragnął go zranić. Ogarnęły go nieokiełznane, głupie myśli. Uda, że stracił głos, tylko po to, by zobaczyć, co na to powie Guido; zachoruje, by sprawdzić, czy go to zmartwi. Szaleństwo! - Niezły jesteś - mruknął cicho sam do siebie.

Tonio wiedział oczywiście, że Guido postrzega tylko chłopaka czekającego cierpliwie, aż maestro przemówi. Był z tego zadowolony.

- Czujesz się tym wszystkim zmęczony? - spytał delikatnie nauczyciel.

- Co cię to może obchodzić? - odparł szyderczo Tonio. Guido był zaskoczony.

- Niespecjalnie mnie to obchodzi - odparł. - Pytam, bo sam jestem tym znużony. Mam ochotę wyjść do miasta, do jakiejś gospody na uboczu.

- Późno już, maestro - rzekł Tonio.

- Jeśli chcesz, możesz jutro dłużej pospać - powiedział Guido - a jeśli wolisz, możesz sam wrócić do domu. Idziesz ze mną?

Tonio nie odpowiedział.

Ma siedzieć w gospodzie z innym eunuchem? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Wulgarni mężczyźni, przepychanki, grubiański śmiech, kobiety w krótkich spódnicach, rozdające wszystkim uśmiechy.

Przypomniały mu się wszystkie ciepłe, zatłoczone tawerny Wenecji, kawiarnia ojca Bettiny i inne miejsca, które odwiedzał w te ostatnie dni z Ernestinem i jego ulicznymi śpiewakami.

Tęsknił za tym wszystkim; zawsze mu tego brakowało. Krzepiącego wina, tytoniu, tej szczególnej przyjemności picia alkoholu w męskim towarzystwie.

Przede wszystkim jednak brakowało mu poczucia, że może iść tam, czy gdziekolwiek indziej, bez tego dręczącego poczucia bezbronności.

- Chłopcy często tam chodzą - rzekł Guido. - Prawdopodobnie są tam teraz wszyscy, którzy byli dziś w operze.

To oznaczało, że siedzieli tam zarówno starsi kastraci, jak i inni muzycy. Tonio natychmiast ich sobie wyobraził.

Guido wychodził z pokoju. Zaczął zachowywać się niezwykle chłodno. - Wracaj, jeśli chcesz - powiedział przez ramię. - Zakładam, że mogę ci zaufać, iż będziesz się odpowiednio zachowywał.

- Czekaj, idę z tobą - zawołał Tonio.

Tawerna była zatłoczona i gwarna. Byli tam muzycy z konserwatorium; Tonio rozpoznał też od razu wielu skrzypków z opery. Mimo obecności kilku aktorek, tłum składał się jednak przede wszystkim z mężczyzn, między którymi krążyły gdzieś ładne dziewczyny

służebne, usiłujące nadażyć z obsłużeniem wszystkich podnoszących dłonie klientów i odpowiedzieć na dochodzące zewsząd wołanie o wino.

Tonio zauważył, że Guido czuje się tu całkowicie swobodnie i zna nawet obsługującą ich kobietę. Zamówił najlepsze wino, dla niego ser i owoce, po czym, usadowiwszy się wygodnie w drewnianej niszy, w której siedzieli, wyciągnął nogi i patrzył z zadowoleniem na pijący w przyćmionym świetle tłum.

Ze smakiem popijał wino z cynowego kielicha. - Równie dobrze mógłbym być tu sam - pomyślał Tonio. - Jestem w Wenecji, siedzę w kawiarni ojca Bettiny i, jeśli nie wyjdę na spotkanie czekających na mnie siepaczy mego brata, wszystko to okaże się snem. - Potrząsnął głową, pociągnął wina i zaczął się zastanawiać, czy ci grubiańscy mężczyźni widzą w nim normalnego chłopca, czy kastrata.

W pomieszczeniu było wielu eunuchów i nikt nie zwracał na nich większej uwagi, niż tłum w weneckich kawiarniach zwracał na Alessandra, gdy ten przychodził napić się kawy i posłuchać operowych ploteczek.

Tonia paliła jednak twarz i kiedy duża grupa mężczyzn siedzących przy długim stole zaczęła śpiewać, z ulgą zauważył, że wszystkie oczy zwróciły się na nich.

Opróżnił swój kielich i dolał sobie jeszcze wina. Patrzył przed siebie na kruchy drewniany blat stołu błyszczący jak wypolerowany od tłuszczu, na którym od czasu do czasu wykwitwały krople. Zastanawiał się, ile czasu musi minąć, nim on i chłopak, który zszedł z Wezuwiusza staną się jedną osobą.

Pieśń skończyła się. Kilku muzyków, prawdopodobnie artyści uliczni, zaczęło śpiewać do wtóru mandoliny. Ich pieśń brzmiała dziko, barbarzyńsko, dziwnie, zupełnie inaczej niż melodie północy. Być może więcej w niej było wpływów hiszpańskich.

Tonio zamknął oczy, pozwolił głosowi tenora przepływać przez swe myśli, a kiedy ponownie rozwarł powieki, jego kielich był pusty. Zdawał sobie sprawę, że Guido patrzy, jak napełnia go po raz trzeci. Maestro nie powiedział jednak nic.

Nie pamiętał, kiedy do ich stolika podszedł Lorenzo. Wiedział tylko, że nim podniósł wzrok i ujrzał go, długo zdawał sobie sprawę z tego, że ktoś przy nim stoi. Głowa chłopaka zasłaniała światło, które dawały wiszące nisko lampy, więc Tonio nie widział dobrze jego twarzy.

- O co chodzi, Lorenzo? - spytał chłodno Guido.

Lorenzo zgiął się w łuk i nagle ryknął na Guida w neapolitańskim dialekcie.

Tonio zerwał się na nogi. Lorenzo wyjął sztylet. Otaczający ich ludzie zamilkli; w ciszy słyhać było tylko rozkaz Guida, by Lorenzo opuścił gospodę. Tonio rozumiał tyle, że maestro czymś Lorenzowi groził.

Zdawał też sobie jednak sprawę z tego, że nie miało to żadnego znaczenia. Wreszcie nadeszła ta chwila. Na twarzy Lorenza malowała się nienawiść i spryt. Był też bardzo pijany i kiedy zbliżał się powoli do Tonia, wyglądał równie niebezpiecznie, jak wyglądałby każdy inny mężczyzna.

Tonio zrobił krok w tył. Nie był w stanie jasno myśleć. Musiał wydobyć swą broń, ale wiedział, co się stanie, kiedy po nią sięgnie. Jedna z kelnererek ciągnęła Lorenza za rękaw, a mężczyźni siedzący przy długim stole wstali i otoczyli ich. Guido nagle pchnął Lorenza ze złością; tłum rozstał się, ale chłopak utrzymał równowagę.

Tonio zdążył też już wyciągnąć swój sztylet.

- Nie szukam z tobą zwady - powiedział po włosku. Lorenzo obrzucał go po neapolitańsku obelgami.

- Mów tak, żebym mógł cię zrozumieć - rzekł Tonio. Wino jakby wyparowało mu z żył. Był teraz opanowany i mówiąc, myślał zupełnie coś innego. Na chwilę ogarnął go prawdziwy strach, wyobraził sobie, jak ostrze wbija się w jego ciało, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie ma czasu na przerażenie, że może go ono pokonać. Odsunął się i stanął dalej, by lepiej widzieć tego o wiele od siebie wyższego chłopaka z niezmiernie długimi ramionami eunucha, gotowymi wbić w niego to śmiercionośne ostrze.

Kiedy Guido raz jeszcze podszedł, by odsunąć Lorenza, ten odwrócił się w tył i wszyscy zdali sobie sprawę, że jest gotów spełnić swą groźbę i pchnąć Guida nożem.

W mroku zwarła się z nimi jeszcze jedna postać odciągająca Guida.

Kiedy Maffeo raz jeszcze usiłował chwycić Lorenza, a ten odwrócił się, by go zaatakować, Tonio wydał z siebie ryk i ruszył w przód. Lorenzo natychmiast odwrócił się w jego stronę. Potem wszystko działo się tak szybko, że Tonio nie był w stanie nikomu tego opowiedzieć. Eunuch rzucił się na niego, wyrzucił w przód długie ramię, a Tonio uchylił się, przeszedł pod nim, uniknął go i poczuł, jak ostrze jego sztyletu dosięga Lorenza. Coś jednak je zatrzymało, więc Tonio pchnął mocniej, przebił materiał, ciało, kość, czy też cokolwiek innego, co stało mu na drodze, i poczuł, że wchodzi tak gładko, aż Tonio opadł na Lorenza.

Chłopak zacisnął lewą dłoń na twarzy Tonia, a ten wyszarpnął z niego sztylet. Wtedy Lorenzo zatoczył się w tył.

Przez tłum przebiegło westchnienie. Lorenzo zmrużył z nienawiścią powieki, uniósł sztylet i nagle jego oczy rozszerzyły się.

Upadł martwy na podłogę gospody u stóp Tonia. Tonio wpatrzył się w niego.

Zdawało się, że tłum stał się jedną ludzką masą, delikatnie wypychającą Tonia z gospody. Jakaś kobieta krzyczała. Tonio nie wiedział, co się z nim dzieje. Jakieś ręce obróciły go, pchnęły, wyprowadziły przez drzwi w ciemną alejkę; ktoś szybko dał mu znak, by uciekał, tędy! Nagle zaczął popychać go Guido.

Nie mógł wiedzieć, że tłum instynktownie pragnął go ochronić. Zostanie wezwana policja; wybronili już mordercę. Nie chcieli, by policja cokolwiek załatwiała.

Tonio był tak słaby i przerażony, że Guido musiał wciągnąć go do powozu i przepchnąć przez bramę konserwatorium. Nawet kiedy wprowadził go do swej ciemnej pracowni, Tonio wciąż patrzył w stronę, z której przyszli.

Usiłował coś powiedzieć, ale Guido gestem kazał mu milczeć. - Ale ja... ja... - Tonio dyszał, jakby nie mógł oddychać. Guido potrząsnął głową. Podniósł brodę, po czym jego twarz przybrała wyraz nakazujący ciszę. Kiedy spostrzegł, że Tonio go nie rozumie, rzekł: - Nic nie mów!

Przez cały następny dzień Tonio zmagał się z ćwiczeniami, zdziwiony tym, że jest w stanie na tyle kontrolować głos, by przez nie przebrnąć.

Jeśli kiedykolwiek formalnie potwierdzono śmierć Lorenza, Tonio nic o tym nie słyszał. Jeśli znaleziono ciało i przyniesiono je do konserwatorium, nic o tym nie wiedział.

Nie zjadł ani śniadania, ani popołudniowej przekąski, bowiem na myśl o jedzeniu ogarniało go obrzydzenie; co jakiś czas kładł się w swym pokoju i zastanawiał się nad przyszłością.

Rzecz jasna, najlepszą wskazówką, iż Tonio nie zostanie aresztowany, był fakt, że Guido zachowywał się tak jak zazwyczaj. Wiedział, był pewien, że Guido powiedziałby mu o niebezpieczeństwie.

Kiedy jednak wszyscy zebrali się w jadalni na wieczorny posiłek, wyczuł, że przez salę przebiega subtelny, lecz zauważalny prąd. Wszyscy na niego zerkali.

Normalni chłopcy, których unikał tak starannie jakby nie istnieli, teraz delikatnie i niezwykle znacząco kiwali do niego głowami, gdy spotkali się z nim oczami. A mały Paolo, kastrat z Florencji, któremu zawsze udawało się usiąść blisko Tonia, tak się w niego wpatrywał, że aż przestał jeść. Na jego okrągłej twarzy z zadartym noskiem malowała się głęboka fascynacja i chłopczyk raz po raz uśmiechał się psotnie. Inni kastraci najwyraźniej okazywali Toniowi szacunek, jako pierwszemu podawali mu chleb i wspólny dzban wina.

Nigdzie nie było widać Domenica; Tonio po raz pierwszy pragnął jego obecności i to nie w łóżku na górze, lecz tutaj, u swego boku.

Kiedy wszedł do teatru na wieczorną próbę, Francesco, skrzypek z Mediolanu, podszedł do niego i spytał uprzejmie, czy w dawnych latach spędzonych w Wenecji słyszał kiedykolwiek wielkiego Tartiniego.

Tonio szepnął twierdzącą odpowiedź. Tak, również Vivaldiego; słyszał ich obu ostatniego lata nad Brentą.

Wszystko to było tak niespodziewane i dziwne!

Wreszcie wyczerpany znalazł się we własnym pokoju. Wiedział, że w ciemności kryje się Domenico, chociaż go nie widział. Wreszcie Tonio nie był w stanie powstrzymać się dłużej i wybuchnął:

- To głupie, nierozważne i głupie, że ten chłopak zginął.

- Pewnie taka była boska wola - odparł Domenico.

- Żartujesz sobie ze mnie! - oburzył się Tonio.

- Nie. Tak naprawdę, nie potrafił śpiewać. Wszyscy o tym wiedzieli. A czymże jest eunuch, który źle śpiewa? Lepiej, że umarł. - Domenico z absolutną szczerością wzruszył ramionami.

- Maestro Guido jest eunuchem, który nie potrafi śpiewać - szepnął ze złością Tonio.

- I dlatego dwa razy targnął się na własne życie - odparł chłodno Domenico. - Poza tym jest on najlepszym nauczycielem w konserwatorium. Wszyscy wiedzą, że jest lepszy od Maestra Cavalli. Ale Lorenzo? Cóż mógłby robić Lorenzo? Skrzeczeć w wiejskim kościele, w którym nikt by się na tym nie poznał? Świat jest pełen takich eunuchów. To była ręka Boża. - I ponownie, ze znużeniem, wzruszył ramionami.

Jego ramię oplótło Tonia w pasie, jak przyjazny wąż. - Poza tym - powiedział Domenico - czym się tak martwisz? Nie miał rodziny.

- A policja?

Domenico wybuchnął szczerym śmiechem. - Boże, jakimże spokojnym i porządnym miastem musi być Wenecja! Chodź. - I zaczął całować Tonia.

Tak skończyła się najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek ze sobą odbyli.

Tej samej nocy, gdy Domenico spał, Tonio cicho usiadł przy oknie.

Śmierć Lorenza wprawiła go w osłupienie. Nie chciał przestać o tym myśleć, chociaż przez długie chwile nie rozmyślał, a po prostu wpatrywał się w szczyt Wezuwiusza. Rozbłyskiwały przy nim bezgłośnie światła, a smuga dymu znaczyła ścieżkę lawy spływającej do morza.

Siedział, jakby opłakiwał Lorenza, nad którym nikt inny nie płakał.

Nie pragnąc tego, znalazł się znów daleko, w tym miasteczku na obrzeżach Państwa Weneckiego, sam, pod gwiazdami. Biegł. Słyszał chrzęst ziemi pod stopami, czuł jak chwytają go siepacze. Zaniesiono go z powrotem do brudnego pokoiku. Walczył z nimi z całej siły, podczas gdy oni, jak w koszmarze sennym, raz za razem powalali go.

Wstrząsnął nim dreszcz. Spojrzał na wulkan. - Jestem w Neapolu - pomyślał, a jednak jego wspomnienia rozwijały się niczym nierealny sen.

Flovido zmieniło się w Wenecję. Trzymał w ręku sztylet i tym razem stał twarzą w twarz z innym przeciwnikiem.

Jego matka płakała i płakała, jak w ostatnią noc w jadalni; włosy zasłaniały jej twarz. Nawet się nie pożegnali. Kiedy to zrobią? W tych ostatnich chwilach nie przyszło mu na myśl, że zostaną rozdzieleni. A teraz matka nie przestawała płakać, jakby nic nie mogło jej pocieszyć.

Uniósł nóż. Czuł, jak mocno zaciska dłoń na rękojeści. I wtedy dostrzegł znajomy wyraz twarzy - co to było? Przerazenie malujące się na obliczu Carla? Zaskoczenie? Napięcie zniknęło.

Znajdował się w Neapolu. Wyczerpany złożył głowę na parapecie

Otworzył oczy. Przed nim budziło się miasto. Słońce posyłało pierwsze promienie w mgłę otulającą drzewa. Morze błyszczało jak metal.

- Nie ciebie miałem zabić, Lorenzo - pomyślał. A jednak ten chłopak zatarł mu się już w pamięci. W tamtym obrzydliwym momencie Tonio, widząc ostrze noża i leżące na podłodze gospody ciało, czuł dumę.

Załamany, pochylił głowę. Rozumiał tę dumę w najmniejszych szczegółach. Miał świadomość całej chwały i znaczenia swego przerażającego czynu.

Tego, że z łatwością był w stanie to zrobić i zrobi raz jeszcze!

Twarz śpiącego Domenica, leżącego na poduszce w tak swobodnej pozie, była gładka.

Widok tego piękna, które dawano mu hojnie i często, sprawił, że Tonio poczuł się całkowicie samotny.

Kiedy w godzinę później wszedł do pokoju ćwiczeń, potrzebował muzyki i Guida. Czuł, że jego głos odpowiada na wyzwania tego dnia z nową czystością i zapałem. Najtrudniejsze, najbardziej zawile problemy zdawały się znikać w obliczu jego upartego ataku. Nim nadeszło południe, ukoła go możliwość uczynienia pięknym każdego najprostszego tonu.

Wieczorem, ubierając się do wyjścia, zdał sobie sprawę, że jego surdut jest od pewnego czasu za ciasny. Przyglądał się swym wyciągniętym ręką. I spojrzawszy niemal ukradkiem w lustro, zdziwił się, że bardzo urósł w tak krótkim czasie.

Nie było wątpliwości, że Tonio gwałtownie rośnie; za każdym razem, gdy to zauważył, czuł słabość, tracił nagle oddech.

Ale zatrzymywał to dla siebie. Nowe surduty kazał szyć z nieco dłuższymi rękawami wiedząc, iż wkrótce z nich wyrośnie i choć Guido bezlitośnie zmuszał go do pracy, cały Neapol zdawał się wychodzić z siebie, by go rozpraszać.

W lipcu widział oszalałymi uroczystości ku czci świętej Rozalii, kiedy to sztuczne ognie rozświetliły całe morze i zdawało się, że na wodzie rozbłysły światłem tysiące łodzi.

Teraz, w sierpniu, z odległych wzgórz Apulii i Kalabrii zeszli pasterze odziani po wiejsku w baranie skóry, grając na fujarkach i nieznanymi Toniowi instrumentach strunowych. Odwiedzali kościoły i domy arystokracji.

W sierpniu miała miejsce procesja do Madonny del Piè di Grotta. Chłopcy z najlepszych neapolitańskich konserwatoriów nieśli jej figurę pod balkonami i oknami, które na tę okazję zostały pięknie i z przepychem ozdobione. Minęły letnie upały, zrobiło się nieco chłodniej.

A we wrześniu chłopcy przez dziewięć dni zbierali się rano i po południu w kościele franciszkanów - był to obowiązek, dzięki któremu konserwatorium zostało zwolnione z pewnych podatków.

Tonio wkrótce zgubił się w tych wszystkich dniach ku czci świętych, ulicznych jarmarkach, świętach i oficjalnych uroczystościach, w których brał udział. Kiedy nie był jeszcze odpowiednio przygotowany, często milczał, stojąc w chórze, lub śpiewał tylko kilka taktów. Ponieważ jednak Guido trzymał go zawsze do późna i zmuszał do wczesnego wstawania, by ćwiczyć, Tonio coraz więcej dowiadywał się o muzyce i o tym, jak należy dobrze ją wykonywać.

Przeróżne gildie organizowały ogromne, dokładnie opracowane procesje, w czasie których chłopcy jechali czasem na platformach dźwigających żywe obrazy. Brali też udział w pogrzebach.

Każda godzina między tymi uroczystościami zapełniona była zajęciami z Guidem. Tonio spędzał je na ćwiczeniach w pustym, kamiennym pokoju, a jego głos zyskiwał na elastyczności i doskonałości.

Na początku jesieni Tonio otrzymał list od swej kuzynki, Catriny Lisani, i był zaskoczony, że zrobił on na nim tak małe wrażenie.

Pisała, iż przyjeżdża do Neapolu, by się z nim zobaczyć. Natychmiast odpisał, że nie wolno jej tego robić. Oznajmił, że zostawił przeszłość za sobą i jeśli nawet Catrina pojawi się w Neapolu, nie spotka się z nią.

Miał nadzieję, iż więcej nie dostanie od niej listu, nie było jednak czasu, by się nad tym zastanawiać i roztrząsać.

Kiedy otrzymał następną wiadomość od Catriny, odpisał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, gotów jest opuścić Neapol, by uniknąć spotkania z nią.

Jej następne listy były już inne. Rozpaczliwe pragnienie zobaczenia się z Tonim sprawiło, że jej ostrożny styl ożywiła szczerość:

Wszyscy opłakują Twój wyjazd. Napisz, czego pragniesz, a prześlę ci to. Póki nie dostałam listu od Ciebie i nie porównałam go z Twoimi dawnymi notatkami z lekcji, nie wierzyłam, że żyjesz, chociaż tak mi mówiono.

Napiszę Ci o wszystkim, co chciałbyś wiedzieć. Matka poważnie zachorowała po Twoim zniknięciu, lecz teraz jest już zdrowa.

A Twój brat, Twój oddany brat! Tak bardzo obwinia się za Twój wyjazd, że tylko płęć piękna jest w stanie go pocieszyć. Spożywa to lekarstwo z dużą ilością wina. Nic jednak nie jest w stanie przeszkodzić jego porannej obecności na Wielkiej Radzie.

W tym momencie Tonio odłożył list, którego słowa paliły go. - Już nie jest jej wierny - myślał. - Czy ona o tym wie? Matka była też chora, niewątpliwie zatręły ją kłamstwa, które kazał jej przełknąć, tylko czemu Tonio ma o tym wszystkim czytać? Jednak raz jeszcze rozłożył pergamin:

Pisz do mnie, o czym zechcesz. Mój mąż broni Twych praw w Radzie, a wygnanie też kiedyś w końcu się skończy. Kocham Cię, najdroższy kuzynie.

Minęły tygodnie, nim jej odpisał. Powiedział sobie, że te kilka lat musi należeć do niego i nigdy już nie chce żadnych wiadomości z Wenecji ani od niej, ani od kogokolwiek innego.

Jednak pewnego wieczora, pod wpływem jakiegoś niespodziewanego, niewytłumaczalnego impulsu usiadł i napisał krótką, lecz uprzejmą odpowiedź na jej list.

Później dostawał od niej wieści nie rzadziej niż co dwa tygodnie. Często niszczył listy, by zniknęła pokusa czytania ich raz po raz.

Z Wenecji nadeszła jeszcze jedna sakwa. Miał więcej pieniędzy, niż mógł wydać.

Tej zimy sprzedał powóz, którego nigdy i tak nie używał, a nie chciał go utrzymywać. Wychodząc z założenia, iż jeśli ma już mieć długie, szczupłe ciało eunucha, to musi je przynajmniej dobrze ubierać, zamówił rzeczy wspanialsze niż kiedykolwiek.

Maestro Cavalla i Guido docinali mu z tego powodu; Tonio był jednak hojny, dawał pieniądze ulicznym żebrakom i kiedy tylko mógł, przynosił prezenty dla małego Paola.

Mimo to wciąż był bogaty. Carlo tego pilnował. Tonio mógł zainwestować w coś swe fundusze. Nigdy jednak nie znalazł na to czasu. Chociaż Tonio miał dni tak wypełnione różnymi zajęciami, wydarzeniami, walką i ciągłą pracą, to jednak był zaskoczony, gdy pewnego ranka Guido oznajmił, że będzie śpiewał partię solową w świątecznym oratorium. Święta! A więc jest tutaj już pół roku!

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Myślał o tym, że właśnie w czasie świątecznej mszy w Bazylice Świętego Marka śpiewał po raz pierwszy z Alessandrem, gdy miał zaledwie pięć lat.

Ujrzał flotyllę gondoli płynących, by uczcić szczątki świętego Jerzego. W jednej z nich będzie teraz Carlo. Usiłował o tym nie myśleć.

Uświadomił sobie, że Domenico wkrótce wyjeżdża z Neapolu do Rzymu.

W noworoczną noc otwierającą rzymski karnawał miał zadebiutować w Teatro Argentina.

Co powiedział Guido? Tonio ma śpiewać; co ma śpiewać? Wyszeptał jakieś przeprosiny i kiedy maestro powtórzył, że Tonio będzie śpiewał solo w świątecznym oratorium, chłopak potrząsnął głową.

- Nie mogę - powiedział. - Nie jestem jeszcze gotowy.

- Kimże jesteś, by mówić mi, czy jesteś gotowy, czy nie? - spytał Guido. - Oczywiście, że jesteś. Nie kazałbym ci śpiewać, gdybyś nie był.

Tonio nie potrafił oprzeć się wizji błyszczących latarenek przesuwających się po czarnej lagunie, kiedy flotylla gondoli płynęła w czasie świąt do relikwii świętego Jerzego.

Za oknem ogród konserwatorium pławił się w promieniach słońca, które zmieniało każdy z łuków krużganka w obraz liści trzepoczących na tle żółtego światła. Nie, światło było właściwie zielonkawe. Tonio myślami przebywał jednak gdzie indziej. W Bazylice Świętego Marka. Matka mówiła: - Patrz! To twój ojciec!

- Proszę nie poddawać mnie tej próbie, maestro - szepnął. Użył swego całego weneckiego, dobrego wychowania. - Nie ufam własnemu głosowi; jeśli będę zmuszony śpiewać sam, zawiodę.

Wywarło to bardzo dobry wpływ na Guida, który właśnie zaczynał wpadać w gniew.

- Może to ja cię zawiodłem, Tonio? Jesteś już w stanie zaśpiewać solo!

Tonio nie odpowiedział. Był zbyt zdziwiony - nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej Guido zwrócił się do niego po imieniu. Nie spodziewał się też, że zrobi to na nim takie wrażenie.

Jeszcze raz powtórzył, iż nie może śpiewać solo. Usiłował rozwiać wizję Bazyliki San Marco. Stojący tuż przy nim Alessandro powiedział: - Nigdy w to nie uwierzyłem!

Kiedy dzień chylił się już ku końcowi, Tonio był wyczerpany. Guido nie powiedział więcej ani słowa na temat sola, ale było ono prawdopodobnie jednym ze świątecznych utworów, które dał Toniovi do odśpiewania. Chłopcu zdawało się, że ma brzydki, niepodatny głos.

Zniechęcony i niespokojny wspinał się po schodach do swojego pokoju. Nie miał ochoty widzieć się z Domenico, ale pod drzwiami migotała wąska smuga światła. Domenico był ubrany, jakby wieczorem gdzieś wychodził.

- Jestem zmęczony - powiedział Tonio i, by zaznaczyć to dobitnie, odwrócił się do niego plecami. Często przed wyjściem Domenica na jakieś spotkanie odbywali szybki stosunek. Ale tej nocy nużyła go sama myśl o tym.

Wbił wzrok w swoje dłonie. Czarna szata była już za krótka; z premedytacją unikał spojrzenia na własne odbicie w lustrze.

- Ale na dzisiejszy wieczór przygotowałem coś szczególnego - rzekł Domenico. - Nie pamiętasz? Mówiłem ci przecież.

W jego głosie brzmiała bojaźliwa nuta. Tonio odwrócił się, by lepiej widzieć go w blasku świecy. Był wspaniale wystrojony i nosił ubrania z równą gracją, jak postacie z francuskich sztychów przedstawiających modę. Tonio po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że patrzy sobie prosto w oczy, mimo iż Domenico był od niego o dwa lata starszy. Poczul, że chyba straci zmysły, jeśli się go nie pozbędzie.

- Jestem zmęczony, Domenico - szepnął, zły sam na siebie za to grubiaństwo. - Zostaw mnie samego...

- Ależ Tonio! - Domenico był najwyraźniej zaskoczony. - Wszystko przygotowałem. Uprzedzałem cię. Rankiem wyjeżdżam. Nie mogłeś o tym zapomnieć... - Jego głos zamarł.

Tonio nigdy jeszcze nie widział takiego poruszenia na jego twarzy. Dodawało to Domenikowi uroku, który w Wenecjaninie obudził pożądanie.

Nagle zrozumiał, co tamten próbuje mu powiedzieć. Oczywiście! Była to przecież ich ostatnia noc, gdyż Domenico bezzwłocznie wyjeżdża do Rzymu! Wreszcie nadeszła chwila, o której mówili wszyscy. Maestro Cavalla pragnął, by Domenico przybył tam jak najszybciej i zaczął próby z Loretim. Loretto walczył z nim o możliwość napisania własnej opery dla Domenica. Maestro, jako że miał więcej dobrego smaku niż talentu, wyraził na to zgodę.

Tak więc nadeszła ta chwila, a Tonio gotów był o niej zapomnieć.

Od razu zaczął się ubierać, bezskutecznie usiłując sobie przypomnieć, o czym to Domenico go uprzedzał.

- Wynająłem dla nas pokój i zamówiłem kolację w Albergo Inghilterra - wyjaśnił mu towarzysz. Był to ów luksusowy przybytek, w którym Tonio odpoczywał po nocy spędzonej na wulkanie. Kiedy usłyszał tę nazwę, zatrzymał się na chwilę, po czym wciągnął buty i zdjął z haka szpadę.

- Przepraszam. Sam nie wiem, o czym myślę - mruknął.

Jeszcze bardziej zawstydził się, gdy wszedł na pokoje. Nie był to ten sam apartament, który wynajmował przedtem. Roztaczał się z niego widok na morze; przez dopiero co wymyte okna widać było piasek, który w świetle księżycy wydawał się całkowicie biały.

Łóżko stało w osobnym pokoju oświetlonym już kilkoma kandelabrami. W głównej komnacie znajdował się nakryty obrusem i srebrami stół.

Wszystko to było bardzo piękne i Tonio nie mógł skoncentrować się na słowach Domenica.

Ten zaś opowiadał o rywalizacji Loretiego z jego nauczycielem, o swej niepewności co do reakcji rzymskiej publiczności i zastanawiał się, dlaczego musi jechać do tego miasta, zamiast debiutować w Neapolu. Wiadomo przecież, jaką krzywdę Rzymianie wyrządzili Pergolesiemu.

- Pergolesi... Pergolesi... - szepnął Tonio. - Wszyscy wymieniają to nazwisko...

Były to jednak zaledwie pozory rozmowy. Tonio wodził wzrokiem po białej boazerii na ścianach, ozdobionej malowanymi zielonymi liśćmi oraz niebieskimi i czerwonymi kwiatami. W przyćmionym świetle wszystko zdawało się zakurzone, okryte cieniem, a sprężysta, biała skóra Domenica wyglądała tak ładnie, że...

Powinien był mu kupić jakiś prezent. Okropne, że tego nie zrobił. I co miał właściwie, do cholery, powiedzieć na to wszystko?

- Pojedziesz? - powtórzył Domenico.

- Co? - wyjąkał Tonio.

Domenico z obrzydzeniem rzucił nóż. Zagryzł usta. Wyglądał teraz jak przepiękne, rozszoszczone i zakłopotane dziecko. Spojrzał na Tonia, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

- Jedź ze mną do Rzymu - powtórzył. - Musisz pojechać! Nie jesteś jednym z uczniów, którzy korzystają z ich dobroczynności. Jeśli powiesz, że musisz jechać, to Maestro Maffeo cię puści. Może ci towarzyszyć hrabina, nie ma żadnych...

- Nie mogę udać się do Rzymu, Domenico! Po co miałbym tam jechać... - Nim zdążył wypowiedzieć te słowa, przypomniały mu się strzępy ich rozmowy.

Na twarzy Domenica malował się taki ból, że Tonio nie mógł na to patrzeć.

- Po prostu jesteś niespokojny, chociaż nie ma po temu żadnych powodów - powiedział. - Zrobisz sensację!

- Nie jestem niespokojny - szepnął Domenico. Odwrócił się i patrzył w mrok. - Myślałem, że będziesz chciał tam jechać, Tonio...

- Owszem, gdybym tylko mógł. Ale nie mogę tak po prostu zebrać się i wyjechać.

Nie mógł znieść widoku Domenica w takim stanie. Chłopak był zupełnie przygnębiony! Tonio przesunął dłonią po jego włosach. Czuł się zmęczony; bolały go ramiona, marzył o śnie bardziej niż o czymkolwiek innym i nagle perspektywa pozostania choćby chwilę dłużej w tym pokoju wydała mu się nieznośna.

- Kiedy znajdziesz się w Rzymie, nie będziesz o mnie myślał, Domenico, sam o tym wiesz - rzekł. - Zapomnisz o mnie i o wszystkich innych znajomych z Neapolu.

Domenico nie spojrzał na niego. Wpatrywał się w dal, jakby nic z tego, co mówił Tonio, do niego nie dotarło.

- Będziesz sławny - dodał Tonio. - Dobry Boże, jak to ujął Maestro? Powiedział, że gdybyś chciał, mógłbyś jechać do Wenecji albo od razu do Londynu. Wiesz, tak samo jak ja...

Domenico odłożył serwetkę i podniósł się z krzesła. Obszedł stół i padł przed Toniem na kolana, nim ten zdążył go powstrzymać. Spojrzał mu w oczy.

- Tonio - rzekł. - Pragnę, żebyś pojechał ze mną nie tylko do Rzymu, ale i wszędzie tam, gdzie znajdę się później. Nie udam się do Wenecji, jeśli nie będziesz sobie tego życzył. Możemy jechać do Bolonii i Mediolanu, a stamtąd do Wiednia. Albo do Warszawy, do Drezna, obojętne dokąd, bylebyśmy podróżowali razem. Miałem zamiar cię o to prosić, dopiero kiedy znajdziemy

się w Rzymie, i zobaczę, że wszystko dobrze się układa; jeśli się nie ułoży, cóż... Wolę nawet o tym nie myśleć. Ale jeśli wszystko byłoby dobrze, Tonio...

- Nie. Przestań - przerwał mu Tonio. - Tak naprawdę nie chcesz tego, zresztą to i tak wykluczone. Nie mogę po prostu rzucić nauki. Nie wiesz, co mówisz...

- Nie na zawsze - odezwał się Domenico. - Tylko na jakieś sześć miesięcy. Masz odpowiednie środki materialne, Tonio, co innego gdybyś był biedny, ale nigdy nie byłeś i...

- To nie ma nic do rzeczy! - Tonia opanowała nagle złość. - Nie chcę z tobą jechać! Nie wiem, dlaczego spodziewałeś się, że będę sobie tego życzył!

Od razu pożałował tych słów.

Było już jednak za późno, a w tym, co mówił, rozbrzmiewała zbyt duża szczerość.

Domenico stał przy oknie. Odwrócił się plecami w stronę pokoju, jego delikatna sylwetka ginęła w cieniu. Patrzył w niebo. Tonio czuł, że musi mu jakoś tę przykrość wynagrodzić.

Nie wiedział jednak, jak boleśnie zranił Domenica, który właśnie odwrócił się i zbliżył do Tonia.

Na jego twarzy, która nagle stała się ściągnięta i mała, widać było ślady łez. Zbliżając się przygryzał usta, a jego oczy migotały i znów napełniały się łzami.

Tonio był absolutnie zaskoczony.

- Nawet nie marzyłem o tym, że będziesz chciał mnie ze sobą zabrać - rzekł. Przerwał jednak, przerażony irytacją, która zabrzmiała w jego głosie. Czuł się pokonany.

Jak mogło do tego dojść?

Chłopak wydawał mu się dotąd silny i chłodny. Te cechy dodawały mu czaru tak samo jak piękne usta, zręczne dłonie, giętkie i pełne wdzięku ciało, które zawsze przyjmowało Tonia.

Zawstydzony i nieszczęśliwy Tonio czuł się teraz w jego towarzystwie bardziej samotny, niż kiedykolwiek indziej. Gdyby chociaż mógł udawać, że go kocha!

Jakby czytając w myślach, Domenico powiedział:

- Nic dla ciebie nie znaczę.

- Nie wiedziałem, że tego pragniesz - rzekł Tonio. - Przysięgam! - Chociaż sam był już bliski łez, nagle ogarnęła go złość. Wezbrało w nim to samo okrucieństwo, któremu często dawał upust w łóżku. - Na Boga! - rzekł. - Cóż w ogóle dla siebie znaczyliśmy!

- Jesteśmy kochankami - odparł Domenico najcichszym, najintymniejszym szeptem.

- To nieprawda! - odparł Tonio. - To wszystko gra i szaleństwo, nic ponad najohydniejsze...

Domenico zasłonił uszy dłońmi, jakby nie chciał tego słuchać.

- I przestańże, na Boga, płakać! Zachowujesz się jak niezdolny eunuch!

Domenico wzdrygnął się. Kiedy przemówił, jego twarz była bardzo mokra i blada. - Jak możesz mi coś takiego powiedzieć! Boże, żałuję, że tu przyjechałeś, że w ogóle cię zobaczyłem. Niech cię piekło pochłonie! Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle...

Tonio wstrzymał oddech. Potrząsnął głową. Patrzył bezradnie, jak Domenico podchodzi do drzwi, jakby chciał wyjść.

Ale Domenico odwrócił się. Jego twarz nawet w tej pełnej cierpienia chwili wydawała się nieprzepraczone piękna. Złość dodała jej koloru, wyostrzyła rysy, tak że wyglądał jak niewinne, zranione dziecko, które właśnie poznało smak rozczarowania. - Nie mogę... nie mogę znieść myśli o rozstaniu z tobą - wyznał. - Nie mogę, Tonio... - Przerwał, jakby nie był w stanie mówić dalej. - Cały czas myślałem, że coś dla ciebie znaczę. Kiedy przyjechałeś, byłeś taki żalony, samotny. Pogardzałeś wszystkimi. W nocy, gdy myślałeś, że wszyscy śpią, słyszeliśmy twój płacz. Słyszeliśmy go. A kiedy wróciłeś i założyłeś szarfę, starałeś się nas zwiść. Ale ja wiedziałem, że wciąż cierpisz. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Samo przebywanie z tobą... sprawiało ból. Myślałem... myślałem, że byłem dla ciebie dobry. Nie płakałeś już, byłeś ze mną. Wydawało mi się, że... że coś do mnie czujesz!

Tonio ścisnął głowę rękami. Jęknął cicho, po czym usłyszał za sobą trzask drzwi i kroki Domenica na schodach.

Cały tydzień był nie do zniesienia. Od czasu wyjazdu Domenica do Rzymu niespokojne noce wyczerpały Tonia i kiedy tego wieczora skończył kolację, wiedział, że nie będzie w stanie więcej pracować.

Guido będzie musiał wcześniej go wypuścić. Nawet gniew i groźby maestra nie zatrzymają Tonia w pokoju ćwiczeń.

* * *

Domenico po nocy spędzonej z Tonim w albergo wyjechał o świcie. Towarzyszył mu Loretti. Maestro Cavalla miał dołączyć do nich później. Na korytarzu słychać było śmiech, tupot nóg.

Domenico miał występować pod pseudonimem Cellino i ktoś krzyknął nawet: - Brawo, Cellino!

Tonio nagle odszedł od okna i nie zatrzymując się, zbiegł z czterech pięter. Przepchnął się przez grupy chłopców stojących w drzwiach. Na chwilę oszołomiło go zimne powietrze, ale udało mu się złapać właśnie ruszający powóz. Woźnica zatrzymał uniesioną rękę, w której trzymał bat.

W oknie pojawiła się twarz Domenica tak nagle rozweselona, że Tonia aż coś ścisnęło w gardle.

- Cudownie się spiszesz w Rzymie - powiedział. - Wszyscy są o tym przekonani. Nikogo nie musisz się obawiać.

Na twarzy Domenica pojawił się wtedy tak smutny, niewinny uśmiech, że Tonio poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Kiedy stał na bruku i patrzył na turkoczący powóz, zaczął otaczać go chłód.

Teraz siedział nieruchomo na ławce w pokoju Guida i czuł, że tego wieczora nie potrafi nic więcej zrobić. Musi iść spać. Albo raczej położyć się w swej małej komnacie i przygotować się na tęsknotę za Domenico, chociaż tak naprawdę nie obchodziło go, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy, na tęsknotę za bliskością jego przytulonego ciała, giętkiego i wonnego, zawsze gotowego dać Toniovi to, czego pragnął.

Przełknął ślinę i uśmiechając się bezgłośnie, zapragnął, by Guido zbił go, kiedy odmówi dalszych ćwiczeń. Zastanawiał się, co będzie musiał zrobić, by Guido go uderzył. Był teraz od

niego wyższy. Wyobraził sobie, że rośnie i rośnie, póki nie sięgnie głową sufitu. Już słyszał jakiś głos, który obwieszczał: - Najwyższy eunuch chrześcijańskiego świata, a przy tym najlepszy ze śpiewaków o wzroście większym niż siedem i pół stopy.

Ze znużeniem podniósł wzrok i zauważył, że Guido skończył zapisywać nuty i przygląda mu się.

Tonio miał przedziwne uczucie, że Guido wie wszystko o nim i o Domenico, zna nawet szczegóły żalostnej sceny w albergo. Pomyślał o tych komnatach i pięknych, woskowych świecach. I o morzu za oknem. Zebrało mu się na płacz.

- Proszę mnie zwolnić dzisiaj z ćwiczeń, maestro - rzekł. - Nie mogę więcej śpiewać. Czuję w sobie pustkę.

- Rozgrzałeś się już. Doskonale wykonujesz wysokie tony - odparł łagodnie Guido. - Chciałbym, żebyś zaśpiewał to dla mnie.

Mówił dziwnie miękkim głosem. Zapalił siarkową zapałkę i dotknął świecy jej wonnym płomieniem. Dokoła nich zapadła nagle zimowa noc.

Tonio, senny i odrętwiały, podniósł wzrok i ujrzał dopiero co przepisany fragment melodii.

- To właśnie masz zaśpiewać na świątecznej mszy - rzekł Guido. - Sam to napisałem, specjalnie dla twojego głosu. - Następnie bardzo cicho dodał: - Po raz pierwszy będzie tu wykonana moja kompozycja.

Tonio uważnie badał jego twarz, usiłując znaleźć w niej ślad gniewu. Ale Guido spokojnie czekał w delikatnym, drżącym blasku świecy. Zdawało się, że w tym momencie uwypuklił się jaskrawy kontrast między nim a Domenico, a jednak coś łączyło tę dwójkę, jakieś uczucie, które żywił do nich Tonio. - Ależ tak! - pomyślał. - Domenico to sylf, a Guido to satyr. A ja? Jestem wielkim, białym, weneckim pajakiem.

Uśmiechnął się gorzko. Patrząc, jak Guido pochmurnieje, zastanawiał się, co on o nim myśli.

- Chętnie to zaśpiewam - szepnął Tonio. - Ale teraz jest jeszcze za wcześnie. Jeśli się tego podejmę, zawiodę ciebie, siebie i wszystkich, którzy będą mnie słuchać.

Guido potrząsnął głową. W jego uśmiechu zagościło na chwilę ciepło. Łagodnie wymówił imię Tonio.

- Dlaczego tak się obawiasz? - spytał.

- Czy nie mógłbyś mnie już dzisiaj puścić? Pozwolić mi odejść?! - zapytał Tonio. Gwałtownie wstał. - Chcę stąd wyjść, chcę się znaleźć w jakimkolwiek innym miejscu. - Ruszył do drzwi, po czym zawrócił. - Czy wolno mi wyjść? - spytał.

- Nie tak dawno wyszedłeś do albergo - rzekł Guido - nie prosząc o niczyje pozwolenie.

Tonio nie spodziewał się tej uwagi, więc zbiła go ona z tropu. Przez chwilę wpatrywał się w Guida z lękiem, niemalże w panice.

Na twarzy maestra nie malowało się jednak ani potępienie, ani złość.

Zdawało się, że nad czymś rozmyśla, po czym wyprostował się, jakby podjął decyzję.

Spojrzał na Tonio z niezwykłą cierpliwością, po czym przemówił wreszcie powoli i niemal tajemniczo.

- Kochałeś tego chłopca, Tonio - rzekł. - Wszyscy o tym wiedzieli.

Tonio był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć.

- Wydaje ci się, że nie widziałem twej walki? - spytał Guido. - Ale tyle już wycierpiałeś, Tonio. Czy to dla ciebie aż taka strata? Z pewnością możesz oddać się pracy jak przedtem i zapomnieć o nim. Ta rana zagoi się i to pewnie wcześniej niż przypuszczasz.

- Kochałem Domenica? - szepnął Tonio.

Guido nieomal niewinnie zmarszczył brwi. - Cóż innego mogłoby to być?

- Nigdy go nie kochałem, maestro! Nic do niego nie czułem! Och, gdyby jego odjazd sprawił mi choć najmniejszy ból, bym mógł to jakoś odpokutować! - Przerwał, wpatrując się w Guida, który zaskoczył go w tak niespodziewanym momencie.

- Mówisz prawdę? - spytał maestro.

- Tak - odparł Tonio. - Niestety, tylko ja ją znałem. I musiałem mu ją jakoś oznajmić. Jakże pogardzałbym kimś, kto pożegnałby mnie tak, jak ja pożegnałem jego, gdy wyjeżdżał do Rzymu, być może na najważniejsze spotkanie w swym życiu. Bóg wie, czy ja kiedykolwiek zdołam wyruszyć w taką podróż. Zraniłem go, maestro! Bezmyślnie, głupio sprawiłem mu ból.

Przerwał.

Czyżby opowiadał to wszystko Guidowi? Patrzył przed siebie, zaskoczony własną słabością. Czuł do siebie wstręt i za tę niemoc i za samotność, która była jej źródłem.

Z twarzy Guida, czekającego bez słowa na dalszy ciąg opowieści, nie dało się nic wyczytać. Tonio przypominał sobie całe jego okrucieństwo.

Wiedział, że zbyt dużo zostało powiedziane. Musi stąd wyjść, gdyż nie może już sobie ufać.

Jednak niespodziewanie, wbrew własnej woli, zaczął mówić dalej:

- Boże, gdybyś nie był tak brutalny i pozbawiony uczuć. Po co ze mną o tym wszystkim rozmawiasz? Usiłuję wierzyć, że jeszcze może być we mnie coś dobrego, wartościowego, a jednak zmieniłem mój związek z Domenico w coś, co niewarte jest nawet rynsztoka. W takie noce jak ta ronił z mojej winy łzy.

Wbił w Guida wzrok pełen złości.

- Dlaczego chciałeś się utopić? - spytał. - Co cię do tego skłoniło? Strata mego głosu? Głosu, po który pojechałeś do Wenecji! Cóż, nie jestem tylko głosem, a człowiekiem z krwi i kości! - wykrzyknął. - Nie jestem jednak ani mężczyzną ani kobietą, nie ma znaczenia z kim śpię, więc zmieniam sam siebie w żywą padlinę.

- Cóż było złego w waszych stosunkach? - szepnął Guido. - Komu mogły przeszkadzać, skoro obydwaj jesteście, jacy jesteście? Cóż było złego w tym, że szukaliście odrobiny uczucia?

- Pogardzałem nim, ot co. Spałem z nim, jakbym go kochał, a nie kochałem go. Uważam to za zło. Nawet w mojej sytuacji te właśnie sprawy mają największe znaczenie!

Guido patrzył wprost przed siebie. Wreszcie bardzo wolno skinął głową. - Więc dlaczego to robiłeś? - szepnął.

- Bo go potrzebowałem - odparł Tonio. - Czuję się tu jak sierota, był mi więc potrzebny! Nie mogłem znieść samotności. Spróbowałem, nie powiodło mi się; znów jestem sam i cierpię jak nigdy przedtem. Tysiące razy stawałem z tym bólem twarzą w twarz i przyrzekłem sobie, że wytrzymam. Ale czasem dokucza mi on dotkliwiej, niż jestem w stanie znieść, a Domenico dał mi namiastkę miłości, pozwolił mi grać rolę mężczyzny, więc zgodziłem się na to.

Odwrócił się tyłem do Guida. Nieźle, co? Tama pękła, wszystkie jego postanowienia przepadły. Był teraz w stanie myśleć jedynie o tym, że zdradza komuś własne przeżycia. Targała nim też nienawiść, nienawiść i obrzydzenie; te same uczucia, którymi pałał do Domenica.

- Jak mam to wszystko znieść? - spytał. Odwrócił się powoli. - Jak ty znosisz codzienną pracę, którą wykonujesz z taką złością i chłodem. Ten głos, w którym nie ma nic prócz inwektyw? Dobry Boże, czy chociaż raz nie zapragnąłeś pokochać tych, których uczysz; obdarzyć uczuciem uczniów, tak bardzo starających się nadażyć za tym bezlitosnym rytmem, jaki dla nich wybijaszesz?

- Pragniesz ode mnie miłości? - spytał łagodnie Guido.

- Tak, chcę od ciebie miłości! - odparł Tonio. - Gotów jestem prosić o nią na kolanach. Jesteś moim nauczycielem! Ty dajesz mi wskazówki, kształtujesz mnie, słyszysz mój głos, jak nikt inny. Starasz się usilnie uczynić go tak dobrym, jak mnie samemu nigdy by się to nie udało. Jak możesz pytać, czy pragnę twej miłości? Czy to w ogóle można robić bez uczucia? Czy nie wydaje ci się możliwe, że jeśli okazałbyś mi choć odrobinę ciepła, otworzyłbym się przed tobą jak wiosenne kwiaty i starałbym się tak, że moje wcześniejsze postępy wydałyby ci się niczym?!

Jeśli byś mnie kochał, śpiewałbym twoją muzykę i zrobiłbym wszystko, co twoim zdaniem potrafię robić; gdybyś tylko wraz z najsurowszą, najszczerzą krytyką dał mi trochę uczucia. Jeśli to zrobisz, uda mi się wydostać z tego mroku, znaleźć jakieś wyjście; będę mógł rozwijać się w tym wilgotnym, dziwnym miejscu jako istota, której imienia nie jestem nawet w stanie wymówić. Pomóż mi!

Tonio przerwał. Nie mógłby sobie wyobrazić niczego potworniejszego; czuł się całkowicie zagubiony i wolał nawet nie patrzeć w tę brutalną, obojętną twarz, w oczy, które zawsze zdawały się płonąć gniewem i pogardą dla bólu i słabości. Zacisnął powieki. Przypomniał sobie, że kiedyś, musiało to być całe wieki temu, w Rzymie - ten mężczyzna objął go. To, co powiedział, wydało mu się tak szalone, że nieomal wybuchnął śmiechem, a kiedy nagle w wyobraźni zamajaczył mu pokój, w którym właśnie zgasła świeca, otworzył oczy na okrywającą wszystko ciemność i pomyślał: - To w końcu tylko słowa, nie czyny. Jakoś to minie, jak wszystko inne, a jutro, tak jak zawsze, każdy z nas będzie znów żył w swym własnym piekle. Tyle, że ja stanę się silniejszy, bardziej się do tego przyzwyczaję.

W końcu takie jest życie, prawda? Takie jest życie, tak miną lata, tak ma być: "Zamknij drzwi, zamknij drzwi, zamknij drzwi". Ostrze, które mnie tu przywiodło to tylko nóż, pod który pójdziemy wszyscy.

W powietrzu wciąż było czuć zapach wosku.

Kiedy Tonio usłyszał odgłos kroków Guida na płytach, pomyślał: - Nadeszło więc ostateczne upokorzenie: wychodzi.

Okrucieństwo maestra nigdy nie wydawało mu się tak straszne i przytłaczające. - Och, te godziny, które spędziliśmy razem, ten obrzydliwy związek oparty na wyczerpującej pracy, która raz po raz osiąga poziom wyrafinowanej tortury.

Jaką wyciągnąłem z tego naukę? Że i w tym, jak we wszystkim innym, jestem samotny, o czym wiedziałem wcześniej i z każdym mijającym dniem coraz lepiej zdaję sobie z tego sprawę. Miał wrażenie, że płynie.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, iż żelazna zasuwka została zamknięta, a Guido nie opuścił go.

Wstrzymał oddech. Nic nie widział. Przez moment nic też nie było słychać. Wiedział jednak, że Guido go obserwuje. Przeraził go nagły przypływ pożądania.

Emanowała z niego żądza. Promieniowała w ciemność, sięgając czterech ścian pokoju, a Tonio odwrócił się i czekał, czekał.

- Mam cię kochać? - doleciały go słowa Guida. Wypowiedział je tak cicho, że Tonio pochylił się w przód, jakby ich pragnął. - Kochać?

- Tak... - odparł Tonio.

- Spala mnie żądza do ciebie. Nigdy się nie domyśliłeś? Nigdy nie dotarłeś do tego, co kryje się pod moim chłodem? Czy mógłbyś być tak ślepy na moje cierpienie? Nigdy w życiu nie zabiegałem tak jeszcze o niczyje względy, nigdy nie cierpiałem tak, jak z twojego powodu. Ale są dwa rodzaje miłości i znużyły mnie już próby oddzielenia ich od siebie...

- Nie próbuj tego robić - szepnął Tonio. I wyciągnął dłoń jak dziecko sięgające po to, co pragnie dostać. - Daj mi swoją miłość! Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, maestro?

Rozległ się cichy szelest ubrań, kroki, Tonio poczuł jakby prąd powietrza, a wreszcie niemalże bolesne dotknięcie dłoni Guida - dłoni, które przedtem tylko go biły - a wreszcie otaczające go ramiona. W tym momencie wszystko zrozumiał.

Był to ostatni przebłysk myśli; wiedział jak było i jak będzie, poczuł pierś Guida, jego napierające usta.

- Tak - szepnął. - Tak, teraz, daj mi wszystko, wszystko... - Płakał.

Guido całował jego usta, policzki, podnosił Tonia, wbijając palce w jego ciało, jakby miał go pożreć i wydawało się, że całe okrucieństwo maestra zmieniło się w ten ogromny wylew uczuć, nie szukających żadnych parodii nienawiści czy kary, a tylko jak najszybszego, rozpaczliwego połączenia.

Tonio padł na kolana, pociągając za sobą Guida. Wziął na siebie całą inicjatywę. Dawał mu siebie, proponując to, co jemu samemu oferował zawsze, nie żądając tego samego w zamian, Domenico.

Nie obawiał się bólu.

Niech boli. I chociaż z trudem zdołał oderwać się od ust otwierających jego własne usta i ssących nawet zęby, położył się na wznak na kamiennych płytach i rzekł: - Zrób to. Zrób to ze mną. Pragnę tego. - Guido położył się na nim. Tonio czuł cały jego przytłaczający ciężar, czuł jak rozrywa jego rzeczy, a pierwsze pchnięcie przeraziło go. Wydał długie westchnienie, po czym całe jego ciało otworzyło się zapraszająco, pod żadnym pozorem nie chciało zabronić Guidowi wstępu, a kiedy znów poczuł jego krótki, ale twardy i pulsujący organ, zaczął się ruszać wraz z nim. Przez chwilę byli złączeni; Guido przyciskał usta do szyi Tonia, wbijał palce w jego ramiona, trzymając go kurczowo blisko siebie, aż wreszcie wydał gardłowy okrzyk i Tonio wiedział, że jest po wszystkim.

Wycierał usta, zaskoczony. Czuł w sobie pożądanie, pragnienie. Nie potrafił powstrzymać się od dotykania Guida, ale to Guido uniósł go w górę, obejmując ramionami biodra Tonia tak mocno, że trzymał go w powietrzu, kiedy otoczył członek Tonia cudownie wilgotnymi, ciepłymi ustami i zaczął go wspaniale, żarłocznie ssać.

Robił to mocniej, gwałtowniej od Domenica. Tonio zacisnął usta, by nie krzyknąć, po czym, zaspokojony, obsunął się w tył, odwrócił się kryjąc głowę w ramionach i podciągnął w górę kolana, czując ostatnie, nikszące fale rozkoszy. Bał się.

Był sam. Znów brzmiała mu w uszach cisza. Świat wracał do niego, a on nie mógł nawet unieść głowy.

I powtarzając sobie, że niczego nie potrzebuje, czuł jednocześnie, iż w tej chwili byłby zdolny błagać o cokolwiek. Czuł jednak bliskość Guida, który przyciągał go rękami. Wstał gwałtownie i wtulił rozpaloną twarz w jego ramię. Te zszarzałe loki otarły się o niego i Tonio miał wrażenie, że Guido przytula go całym ciałem, nawet palcami - tak mocnymi i ciepłymi; Guido był tam z nim, obejmował go, kochał i czule całował; byli jednością.

Tonio był oszołomiony, nie wiedział, dokąd idą. Zdawał sobie tylko sprawę z tego, że spacerują po czystych, zimnych ulicach, a w odbijającym się od ścian lśnieniu pochodni jest przerażające piękno.

W powietrzu wisiał ciężki zapach ognia, na których gotowano kolacje, i płonących węgla, a na każdym zakręcie z ciemności wyłaniały się okna rozjaśnione pięknym żółtym światłem. Potem znów zapadał mrok, słychać było szelest wyschniętych, zimowych liści, a on i Guido wymieniali gwałtowne, okrutne pocałunki, w których zamiast czułości królował głód.

Kiedy dotarli do gospody, z otwartych drzwi wionęło nęcącym ciepłem, a oni, pośród hałasu, pobrzękiwania szabli i ciskanych na stół cynowych kufli, wcisnęli się do najgłębszej alkowy. Jakaś kobieta śpiewała pełnym, mrocznym głosem przypominającym brzmienie organów, jeden z pastuchów grał na fujarce, a wszyscy dokoła dołączyli się do pieśni.

Po stole przesuwały się cienie rzucane przez rozkołysane lampy i przesuający się tłum. Tonio, patrząc na drugą stronę wąskiego pomieszczenia, przeżywał słodkie katusze na myśl, że nie może teraz dotknąć Guida. Kiedy jednak oparł się o drewnianą ścianę i spojrzał w jego oczy, ujrzał w nich miłość tak wielką, że wystarczał mu uśmiech i wino, które trzymał w ustach, przesiąknięte cierpkim smakiem winogron i drewna beczułki, z której je rozlewano.

Dużo pili i Tonio nie pamiętał dokładnie, kiedy Guido zaczął mówić, przypominał sobie tylko, że tym niskim, szorstkim głosem, wyzywającym szeptem, który dobywał się z głębi piersi, wyznawał mu tajemnice, jakich nikomu jeszcze nie odważył się powierzyć. Tonio nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, a do głowy przychodziło mu tylko jedno zadanie: - Miłość, miłość. Jesteś moją miłością - aż wreszcie wypowiedział je w tym ciepłym, hałaśliwym miejscu i ujrzał płomień w oczach Guida. - Miłość. Miłość. Jesteś moją miłością, nie jestem sam. Choć przez tę krótką chwilę nie jestem sam.

Co noc oddawali się miłości pełnej niezaspokojonego głodu i zwierzęcego okrucieństwa, a przy tym przepojonej niewypowiedzianą czułością. Spali objęci ramionami, jakby nawet ciało stanowiło przeszkodę, którą można pokonać tylko najciaśniejszym uściskiem, całowali się gwałtownie i żarłocznie, a rankiem wstawali zjednoczeni jednym celem, by przed świtaniem zabrać się ponownie do pracy w gabinecie Guida.

Lekcje również całkowicie się zmieniły.

Były co prawda tak samo trudne jak przedtem, a Guido zachowywał się równie surowo i porywczo, kiedy Tonio nie spełnił jego oczekiwań. Przenikał je jednak większy zapał, świadomość łączącego ich intymnego związku; byli sobą wzajemnie pochłonięci.

Tonio, który przyrzekł w czasie tego wybuchu nierozważnych zdań i ubranych w słowa emocji, że otworzy się przed Guidem, uświadomił sobie, że przynajmniej jeśli chodzi o muzykę, zawsze to robił, a teraz to właśnie Guido otworzył się przed nim. Maestro po raz pierwszy uznał fakt istnienia umysłu rządzącego ciałem i głosem Tonia. Zaczął powierzać mu tajniki zasad będących podstawą do bezlitosnego powtarzania ćwiczeń.

Chęć do rozmowy nie była właściwie u Guida niczym nowym, jednak w czasie przedstawień operowych, czy następujących później długich przejażdżek nad brzegiem morza, tematem ich konwersacji byli niezmiennie inni śpiewacy. Towarzyszyło im też zawsze złudzenie bezosobowości, a nawet chłód związany ze świadomością, że żarliwość Guida dotyczy zawsze innej muzyki, innych mężczyzn.

Teraz Guido opowiadał o ich wspólnej muzyce i w pierwszych tygodniach ich najgorętszej, najbardziej zapalczącej miłości zdawało się, że rozmowa jest dla niego ważniejsza nawet od miłosnych uścisków.

Co wieczór wychodzili gdzieś; czasem wynajmowali powóz i udawali się na nadmorską przejażdżkę, albo szukali jakiejś cichej gospody, w której rozmawiali żarliwym szeptem, póki specyficzny smak wina w ustach czy zawroty głowy nie kazały im wracać do domu.

Nie jedli już kolacji w konserwatorium. Ramię w ramię przemierzali pogrążone w nieprzeniknionej ciemności ulice i znalazłszy to mroczne drzwi, to zasłaniające ich drzewa, dotykali się, przywierali do siebie, sycąc się niebezpieczeństwem tego, co robili, odurzeni nocą,

jej szelestami, powozami wyjeżdżającymi z mozołem pod górę, by wyłonić się nagle z nicości i oświetlić ich migoczącym, żółtym światłem.

Kiedy jednak dotarli na długą Via Toledo, dzięki pieniądzom Tonia mogli wybierać wśród eleganckich gospód i wkrótce już ucztowali, jedząc pieczone dzikie ptactwo czy świeże ryby i popijając winem, które obydwaj tak uwielbiali: Lagrima Christi. W przyjemnym świetle tych czystych, zatłoczonych miejsc oddawali się rozmowom.

Guido podawał Toniowi nazwiska dawnych mistrzów, którzy napisali ćwiczenia, na których się uczył, i wyjaśniał, czym różnią się od nich wokalizy jego autorstwa.

Największą przyjemność sprawiał Toniowi fakt, że maestro natychmiast podchwytywał teraz zadawane mu pytania. Czy kiedykolwiek widział Alessandra Scarlattiego? Tak, spotkał się z nim jako mały chłopiec, a Maestro Cavalla zachęcał go często, by szedł do San Bartolommeo, aby zobaczyć Scarlattiego siedzącego przy klawikordzie i dyrygującego w czasie wykonywania własnych dzieł. Guido twierdził, że to Scarlatti rozślawił Neapol. Dawniej czekano niecierpliwie na nowe opery z Wenecji i Rzymu. Teraz ich miejsce zajął Neapol i, jak Tonio może zauważyć, to tutaj właśnie przyjeżdżają studenci z zagranicy.

Opera ciągle się jednak zmieniała. Długie, nudne recytatywy, które posuwały akcję naprzód, podając publiczności wszystkie potrzebne informacje, stawały się o wiele żywsze niż te nużące przerwy między ariami. Nowością była też opera komiczna. Poza tym ludzie chcieli słuchać oper w języku ojczystym, a nie tylko w klasycznym języku włoskim. W miejsce recytatywów bez akompaniamentu pojawiało się też coraz więcej recytatywów wygłaszanych z towarzyszeniem orkiestry.

Zawsze trzeba jednak było brać pod uwagę życzenia publiczności, a ta niezmiennie znosiła nawet najdłuższe i najbardziej nużące śpiewy, by tylko usłyszeć piękne arie.

Guido twierdził, że opera to właśnie piękny śpiew. Ani skrzypce, ani klawikord nie są w stanie wywrzeć na człowieku takiego wrażenia, jak piękny śpiew. Albo przynajmniej tak mu się wtedy wydawało.

Czasem, kiedy zmęczyły ich już gospody, wybierali się wieczorami na jeden z ciągle odbywających się bali, szczególnie ceniąc te wydawane przez hrabinę Lamberti, która była mecenasem sztuki. I tutaj toczył się ich nieprzerwany dialog.

Wymykali się jakoś z salonu, zabierali kandelabr, by postawić go na klawikordzie czy nowym fortepianie. Guido przez chwilę przebiegał palcami po klawiaturze, po czym sadowił się

na jakimś wysokim łożu, a Tonio zaczynał zadawać swoje pytania, bądź też Guido sam rozpoczynał rozmowę.

W takich chwilach w jego oczach pojawiała się zaduma, dodająca im łagodności; jego rozluźniona twarz stawała się chłopięca i delikatna, tak że sprawiał wrażenie niezdolnego do gniewu, który okazywał w przeszłości.

Pewnej nocy, kiedy w jednym z muzycznych saloników hrabiny Lamberti znaleźli okrągły stół, talię kart oraz świecę i usiedli naprzeciwko siebie, rozgrywając jakąś prostą partię, Tonio poprosił wreszcie:

- Opowiedz mi o moim głosie, maestro!

- Najpierw ty musisz mi coś powiedzieć - rzekł Guido, a w jego głosie błysnął taki gniew, że Tonio zadrżał. - Czemu nie chcesz śpiewać solo na świątecznej mszy, skoro powiedziałem ci, że jest proste i napisałem je specjalnie dla ciebie?

Tonio odwrócił wzrok.

Rozłożył na stole wachlarzyk kart, które trzymał w ręce i wybrał z nich bez głębszej przyczyny króla i królową. Po czym, niezdolny znaleźć oczywistej odpowiedzi na pytanie Guida, wpadł na najprostsze rozwiązanie problemu, z którym będzie musiał sobie poradzić. Zaśpiewa solo dla Guida, jeśli on tego pragnie. Wykona je, nawet jeśli nie jest jeszcze wystarczająco silny, by zadowolić młodzieńca, który zszedł z wulkanu. Jednak dręczyły go obawy.

W chwili, gdy jego śpiew rozlegnie się w kaplicy, naprawdę stanie się kastratem. Krok ten znaczył o wiele więcej, niż noszenie czarnej szaty przepasanej czerwoną szarfą. O niebo więcej, niż śpiewanie w chórze innych głosów. Chwila ta da mu pełne zrozumienie tego, kim jest.

Będzie czuł się tak, jakby rozebrano go do naga i wystawiono na widok publiczny rany, które mu zadano. Stanowiło to krok nieunikniony, a jednak przerażający. Myśląc o swym wzroście i długiej, szczupłej dłoni, spoczywającej teraz na stole, lekko wygiętej, przesuwającej karty po błyszczącym drzewie, zastanawiał się: - Czy będę jeszcze śpiewał jak chłopiec? Czy jestem jeszcze chłopcem? A może stałem się już mężczyzną?

Mężczyzna. Uśmiechnął się na myśl o brutalnej prostocie tego słowa i lawinie znaczeń, jakie za sobą niosło. Po raz pierwszy w życiu słowo to uderzyło go jako... prostackie? Nieważne. - Oszukujesz się - szepnęła do siebie. Mimo całej swej abstrakcyjności, słowo to miało tylko jedno całkowicie zrozumiałe znaczenie.

Wiedział też, że mimo tej ogromnej zmiany, która w nim zaszła, jest bardzo młody. W innym świecie pewna kobieta drażniła go niegdyś w sypialni, że niedługo już stanie się mężczyzną. Jakże był wtedy dumny z tego naturalnego wyposażenia swego ciała, tak całkowicie go pewien i jednocześnie tak nieszczęśliwy. Znajdował się jednak w świecie odmiennym od tamtego. Był kastratem i będzie nim również w kaplicy, jeśli zdecyduje się śpiewać.

W czasie tego wydarzenia miał zaledwie obnażyć się po raz pierwszy. Nadejdzie tyle podobnych chwil, a wreszcie i finał: moment, w którym wyjdzie sam na scenę jakiegoś ogromnego teatru. Jeśli będzie miał tyle szczęścia! Jeśli będzie dobrym eunuchem o wystarczająco mocnym głosie i podporządkuje się odpowiednio ostrej dyscyplinie; jeśli Guido wystarczająco sumiennie go wyuczy. Tak, na to właśnie miał czekać: aż wyjawi całemu światu, że jest eunuchem.

Spojrzał na Guida. Tak, to w nim kryje się jakaś niezgłębiona niewinność wszystkich tych mrocznych, powiązanych spraw. Kochał Guida. Zaśpiewa dla niego to solo.

Nagle, niespodziewanie przypomniał sobie, że kiedy Guido o tym mówił, dodał: "Po raz pierwszy będzie tu wykonana moja kompozycja". Dobry Boże, czyżby był tak dziecinny, by nie zastanowić się nawet, co to może znaczyć dla Guida? Czyżby był takim głupcem?

Dobrze wiedział, że te wspaniałe arie, które dostawał do odśpiewania wieczorami, napisał Guido.

- Wiele dla ciebie znaczy, bym zaśpiewał to solo, gdyż sam je napisałeś, prawda? - spytał Tonio.

Twarz Guida poczerwieniała; odwrócił wzrok.

- Znaczy to dla mnie wiele, ponieważ jesteś moim uczniem i jesteś już do tego przygotowany - upierał się.

Gniew maestra zapalił się i zgasił. Guido oparł łokieć na stole i złożył brodę na dłoni.

- Prosiłeś, żebym opowiedział ci o twoim głosie - rzekł. - Może zawiodłem cię, nie mówiąc ci o nim więcej i traktując cię tak surowo. Cóż, nie wiedziałem, jak można by się inaczej zachować...

Do pokoju odważył się wejść jeden z tych cichych, poruszających się jak duchy służących w strojach z błyszczącego atlasu. Łagodny blask świecy padł na jego nalewającą wino dłoń.

Guido patrzył, jak kieliszek napelnia się, po czym dał słudze znak, by zaczekał; opróżnił kielich i ponownie obserwował, jak leje się do niego wino.

- Będę wyrażał się jasno - rzekł. - Jesteś najwspanialszym śpiewakiem, jakiego słyszałem, z wyjątkiem Farinello. Mogłeś zaśpiewać to solo pierwszego dnia, kiedy przyszedłeś do konserwatorium. Mogłeś zaśpiewać je jeszcze w Wenecji.

Przyglądał się Toniowi zwięzonymi oczami. Wino wywołało w nim zadziwiające połączenie łagodności i napięcia.

- To solo zostało napisane dla ciebie - ciągnął. - Napisałem je dla głosu, który słyszałem w Wenecji, dla chłopca-śpiewaka, za którym podążałem noc w noc. Znałem już wtedy twoje możliwości i siłę. Dostrzegałem potknięcia, których nikt inny nawet nie zauważył. Wiedziałem, czego zdołałeś nauczyć się sam, przy niewielkiej tylko zachęcie ze strony nauczycieli i byłem zadziwiony. Doskonała wysokość głosu, wrodzone wyczucie. - Potrząsnął głową, wciągając z sykiem powietrze.

- Wyrabiam w tobie tylko elastyczność i siłę. - Westchnął. - Za dwa lata będziesz w stanie zaśpiewać każdą arię z jakiegokolwiek opery, wiedząc dokładnie, jakie dodać do niej ozdobniki, jak wykonać ją doskonale bez względu na to, kto i kiedy będzie tobą kierował. Tyle mogę ci dać... - Przerwał. Odwrócił wzrok, a kiedy znów spojrzał na Tonia, jego oczy były duże i mroczne, zaś głos brzmiał nieco głębiej.

- Masz jednak jeszcze coś, Tonio, coś więcej niż głos - rzekł. - Śpiewacy, którym tego brakuje, na ogół nie są w stanie nic osiągnąć, a tym, którzy dysponują tą siłą, brakuje twojej czystości i siły głosu. Jest w tobie jakaś tajemnicza moc obezwładniająca słuchających cię ludzi i rozpalająca ich tak, że koncentrują się wyłącznie na tobie.

Kiedy w czasie Świąt zaśpiewasz w kościele, ludzie będą wyciągali szyje, by ujrzeć twą twarz, odwrócisz ich myśli od drobiazgów i zmartwień, a po mszy będą pytali o twe imię.

Przez całe lata próbowałem to analizować, dociekać, czym naprawdę jest ta siła. Miałem ją, gdy byłem chłopcem. Wiem, jak czuje się ktoś, kto ją posiada. Nie potrafię jej jednak określić. Być może sekret tkwi w doskonałej intuicji, niezauważalnym i nieomylnym wahaniu, w instynktownym wyczuciu, kiedy należy wzmocnić nutę i kiedy przestać to robić. A może ma to związek z ciałem, oczami, twarzą, postawą, którą przybiera się, wznosząc głos. Nie wiem.

Jego wywód całkowicie pochłonął Tonia. Przypomniał sobie chwilę, kiedy w Wenecji Caffarelli stanął w świetłach rampy i szmer oczekiwania, który przebiegł przez tłum. Myślał o tym, jak on sam biegł niby zahipnotyzowany między krzesłami na parterze, chociaż Caffarelli nie zaczął jeszcze nawet śpiewać, a tylko spacerował po scenie.

Czy to możliwe, by on sam potrafił tak oddziaływać na ludzi?

- Jest w tym jednak coś więcej - ciągnął Guido. - Ten ogień płonąłby w tobie, nawet gdybyś został wykastrowany jako sześciolatek, tak jak ja. Ale tak nie było...

Tonio zeszywniał, był w przemożnym szoku.

Guido uspokoił go dotknięciem ręki. - Wychowano cię tak, byś myślał, poruszał się i zachowywał jak mężczyzna. To również potęguje siłę, którą posiadasz. Nie ma w tobie łagodności niektórych eunuchów. Nie sprawiasz wrażenia, jakbyś...nie należał do żadnej płci.

Guido zawahał się. - Oczywiście - mówił dalej jakby sam do siebie - niektórzy wykastrowani w dzieciństwie chłopcy, też mają tę siłę.

- To wszystko może się zmienić - szepnął Tonio. Czuł, że sztywnieje mu całe ciało, szczególnie twarz; miał ochotę uśmiechnąć się chłodno, jak robił to często w przeszłości, ale mówił dalej równym, łagodnym głosem. - Już teraz, kiedy spojrzę w lustro, widzę Domenica.

Tak, Domenica - pomyślał. - I mojego weneckiego sobowtóra, głowę rodu Treschich, który stoi za nim, uśmiechając się, zadowolony, że wreszcie aż tak się różnimy.

Czuł się lekki, wzniosły - z łuski ciała chłopca, którym był, wyrosło wreszcie coś nienazwanego mimo tylu nadawanych temu imion.

- Tak - powiedział Guido - będziesz bardzo podobny do Domenica.

Tonio nie potrafił ukryć strachu i obrzydzenia. Guido dotknął jego dłoni. Tonio był poruszony jakąś ulotną myślą o Carlu, wspomnieniem dotyku jego szorstkiego, ogolonego podbródka na własnym policzku, stłumionego, ochryplego westchnienia, w którym brzmiał smutek, znużenie i nieunikniona, dana Carlowi przez naturę, męska siła.

- Domenico był piękny - obruszył się Guido. - Miał też w sobie tę męską siłę.

- Domenico? - zdziwił się Tonio. - Męską siłę? Przypominał Kirke - dodał. Nigdy nie zapomniał tych pieszczot, nawet teraz wstydział się swego dawnego pożądania.

Był z nim Carlo. Wdarł się do tego pokoju i właśnie teraz, w tak cennej dla Tonio chwili intymności z Guidem, w korytarzach rozbrzmiewał śmiech Carla. Spojrzał na maestra, poczuł jak bardzo go kocha, a kiedy opuścił wzrok, spostrzegł, że ten wciąż go dotyka. Domenico. Siła. Guido śmiał się cicho.

- Możliwe, że Domenico w łóżku zachowywał się jak Kirke - powiedział. - Niestety będę musiał w tym względzie uwierzyć ci na słowo. Jednak kiedy śpiewał, emanowała z niego inna moc, którą zawdzięczał tak swej urodzie, jak i głosowi. Nawet kiedy był ubrany i uczesany jak

kobieta, wydawał się srogi, przerażający i wprawiał innych w drzenie. Powinieneś był obserwować twarze mężczyzn i kobiet słuchających jego śpiewu. Ta siła nie ma nic wspólnego z owłosioną piersią czy buńczuczną postawą. Emanuje z wnętrza człowieka. Domenico ją posiadał. Nie bał się Boga, ani diabła. A ty, młodzieńcze, nie zacząłeś sobie jeszcze nawet zdawać sprawy z tego, kim może być kastrat.

- Chciałbym to pojąć - szepnął Tonio. - Ale Domenico nigdy mi się taki nie wydawał. Widziałem w nim sylfa, czasem może nawet anioła. - Przerwał. - A może po prostu eunucha - wyznał.

Guido nie poczuł się jednak urażony.

Pochłaniało go jakieś nagłe odkrycie. - Eunucha - szepnął. - Widziałeś w nim to, czym sam się staniesz. A on dostrzegał w tobie własną piękność i siłę. Zawsze pociągali go ci, którzy byli do niego najbardziej podobni. Jednak przez ostatnie dwa lata żył w bolesnej samotności...

- Naprawdę? - spytał Tonio. Nigdy nie przestanie go boleć myśl, że rozczerował Domenico, chociaż ten mógł już o wszystkim zapomnieć.

- Tak, był bardzo samotny - ciągnął Guido. - Dlatego że był lepszy od wszystkich, którzy go otaczali, a to najgorszy rodzaj osamotnienia. Gdziekolwiek by się nie obrócił, spotykał się z zazdrością i lękiem. Upatrzył sobie ciebie, gdy tylko się pojawiłeś. Lorenzo naśmiewał się z ciebie, gdyż kochał Domenica, a ten wcale o niego nie dbał.

Tonio był załamany. Patrzył na leżące przed sobą karty, na króla o twardym wzroku, na królową o zimnych oczach. Oczy królowej były bizantyjskie, skośne. Miała czarne włosy. Była to królowa pik.

- Nie martw się Domenico. Jeśli nawet, jak mówisz, zraniłeś go, to nauczyłeś go czegoś, czego nikt inny mu nie dał. Przypominasz go tylko wytwornością. Masz tę samą piękną postawę i włosy, które tak uwielbiają kobiety. Jesteś jednak od niego większy. Będziesz wyższy. Masz też niemalże niezwykle rysy twarzy, są... - Tutaj Guido, wbiwszy w Tonio wzrok, zaabsorbowany, zaczął szukać właściwych słów. - Są bardziej wyraziste niż u większości mężczyzn. Na scenie zablęsniesz oślepiającą urodą, tylko ty będziesz widoczny; nawet Domenico, twój delikatniejszy sobowtór, gdyby tam był, zniknąłby w twym cieniu.

Tonio milczał, kiedy wracali do konserwatorium. Weszli na pokoje Guida. Chociaż były surowe, ozdobione zaledwie kilkoma ciężkimi meblami i wytartym, tureckim dywanem, jak na

ten budynek wydawały się ekskluzywne, a Tonio bardziej niż kiedykolwiek czuł się związany z Guidem, gdy w nich przebywał.

Łoże z kasetonowym sufitem zostało wyposażone na zimę w proste, ciemne zasłony. Tonio położył się na narzucie i leżał wspierając głowę o obitą drewnem tylną ściankę łóżka, podczas gdy Guido zapalał stojące na klawikordzie świece, co znaczyło, że jeszcze sporo czasu upłynie, nim zaczną się kochać.

Tonio spytał cicho:

- Jak będę wysoki?

- Nie wiadomo. Zależy to od tego, jak wysoki mógłbyś być w normalnych warunkach. Ale rośniesz szybko.

Tonio czuł jakąś ciemną wodę podchodzącą mu do gardła, miał wrażenie, że dostanie torsji. Teraz musi zadać pytania, które tak bardzo chciał po prostu wypowiedzieć, choćby miał je skierować do ryczącego morza.

- Co jeszcze dzieje się ze mną?

Guido odwrócił się. Tonio zastanawiał się, czy pamięta on tę noc w ogródku w Rzymie, kiedy Tonio, dusząc się, dosłownie nie mogąc złapać powietrza, jakby umierał, wyciągnął ramiona do niego, do tego posągu lśniącego bielą w świetle księżyca.

- Co się ze mną dzieje? - powtórzył. - Wiesz przecież. Jakiż obojętny wydawał się Guido. Jego postać zasłoniła blask świecy, tak że twarz Guida zginęła w mroku.

- Będziesz nadal rósł. Twoje ręce i nogi staną się dłuższe, ale i w tym wypadku nie wiadomo, jak bardzo się wydłużą. To właśnie giętkość kości daje taką moc twemu głosowi. Z każdym dniem ćwiczeń zwiększają się rozmiary twych płuc, a elastyczne kości pozwalają im się rozszerzać. Wkrótce będziesz mógł śpiewać tak wysokie tony, jakich nie jest w stanie wydobyć z siebie żadna kobieta. Ani chłopak. Ani mężczyzna.

- Będziesz miał jednak zbyt długie ręce, spłaszczone stopy. Będziesz słaby jak kobieta, pozbawiony naturalnej męskiej muskularności.

Tonio odwrócił się tak gwałtownie, że Guido chwycił go za ramiona.

- Zapomnij o tym! - rzekł maestro. - Tak, wiem, co mówię. Zapomnij! Skoro bowiem fakty te sprawiają ci ból, znaczy to, że nie pogodziłeś się z czymś, czego nie można zmienić. Musisz uświadomić sobie, w czym tkwi twoja siła.

Tonio uśmiechnął się z goryczą i kpina. - O, tak - rzekł.

- Mam ci jeszcze coś do powiedzenia - oznajmił Guido. - Jest ci to najbardziej ze wszystkiego potrzebne.

Tonio skinął głową z uśmiechem. - Poucz mnie - powiedział.

- Niedobrze, że odwróciłeś się od kobiet.

Tonio był wściekły. Już miał zacząć protestować, gdy Guido pocałował go szorstko w czoło.

- Miałeś dziewczynę w Wenecji. Kiedy śpiewacy wracali do domów, ty szedłeś z nią do gondoli. Obserwowałem cię. Robiłeś to co noc.

- O tym także lepiej zapomnieć. - Tonio czuł, jak twarz zastyga mu w chłodnym uśmiechu.

- Wręcz przeciwnie. Nigdy o tym nie zapominaj. Pielęgnuj te wspomnienia i gdziekolwiek, kiedykolwiek nie ogarnęłoby cię pożądanie, jeśli tylko będzie jakaś bezpieczna okazja powtórzenia tego rytuału, zrób to. Jeśli zapłoniesz żądzą do mężczyzn, innych eunuchów, obojętnie kogo, wykorzystaj to, nie zmarnuj szansy, nie pozwól zgasnąć temu płomieniowi. Rób to godnie i rozsądnie, ale nie odwracaj się od tego z miłości do mnie, z miłości do muzyki ani z powodu obojętności; słuchaj swych pragnień.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo nigdy nie wiadomo, kiedy odejdzie pożądanie. Mężczyźni nigdy go nie tracą. Z nami czasami bywa inaczej.

- Ale ty! Ty nie boisz się go stracić! - rzekł Tonio.

- Nie. Nie teraz. Ale nim spotkaliśmy się, niemalże odeszło. Powróciło w Ferrarze, gdy ujrzałem cię leżącego w gorączce na łóżku, potrzebującego pomocy. - Guido przerwał. - Myślałem, że opuściło mnie wraz z głosem.

Tonio bez słowa wpatrywał się w Guida. Wydawało się, że rozważa to wszystko w myślach, ale maestro zorientował się, że nie powinien był wspominać tamtej nocy i tamtego miejsca.

Twarcz Tonia zbladła i wydłużyła się tak, że wyglądał jak jakiś zgorzkniały i przerażający cień własnej osoby.

Mimo to sięgnął po rękę Guida i przyciągnął go do siebie.

Wiele godzin później Tonio obudził się z drzeniem. Śnił najstraszniejszy ze wszystkich koszmarów - sen o prawdziwych zdarzeniach i ludziach, o tej walce zakończonej nieodwołalną porażką.

Siadając w mroku poczuł, że otacza go spokój tej komnaty, że jest tu bezpieczny, chociaż odczuwał też gorycz i żal. Zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu słyszy raz po raz przerywaną muzykę, poważną, rozbrzmiewającą wolno kościelną melodię.

Na drugim końcu mrocznego pokoju ujrzał siedzącego przy klawikordzie Guida. Jak przez ciemną zasłonę widział jego nachmurzoną twarz pod nieruchomymi płomykami świec.

Do nozdrzy Tonio doleciał ostry, wyraźny zapach atramentu: potem chłopak usłyszał skrzyp pióra Guida. Maestro raz jeszcze zagrał tę samą melodię i Tonio po raz pierwszy usłyszał jego własny, niski, niemalże bezdźwięczny głos, jakby Guido szeptał melodię, której nie potrafił zaśpiewać.

Tonio poczuł wtedy do niego taką miłość, że kładąc się znów na poduszce wiedział, iż zatrzymuje tę chwilę w czasie. Nigdy jej nie zapomni.

Rankiem Guido oznajmił mu, że znacznie poszerzył solo, które Tonio ma śpiewać w czasie Świąt. Właściwie napisał całą kantatę i musi teraz iść do Maestra Cavalli, by ten ją zatwierdził i pozwolił wykonać.

Było już południe, kiedy wrócił do pokoju ćwiczeń, by oznajmić, że Maestro, który tyle czasu spędził w tym roku z Domenico, jest zadowolony z dzieła Guida. Tonio je zaśpiewa. Teraz muszą wspólnie doprowadzić je do perfekcji. Nie ma czasu do stracenia.

W Wigilię Bożego Narodzenia kaplica konserwatorium była wypełniona ludźmi po brzegi.

Powietrze stało się czyste i mroźne. Tonio spędził wczesne godziny wieczorne spacerując po mieście i oglądając naturalnej wielkości *presepi* - szopki uwielbiane przez neapolitańczyków, którzy przekazują sobie statuetki występujących w nich postaci z pokolenia na pokolenie. Na dachach, w ogrodach klasztornych, wszędzie dokoła rozpościerały się przed jego oczyma wspaniałe sceny Bożego Narodzenia z figurkami Matki Boskiej, świętego Józefa, pasterzy i aniołów czekających na Zbawcę.

Nigdy przedtem znaczenie tej nocy nie było dla Tonio tak oczywiste. Odkąd opuścił Wenecję Eugenejską, nie znajdował w sobie żadnej wiary ani łaski. Miał jednak wrażenie, że tej nocy świat może się odrodzić, na pewno się odrodzi. W obrządkach, hymnach i wspaniałych figurkach tkwiła jakaś pradawna moc. Wraz ze zbliżaniem się północy czuł ożywienie. Chrystus przychodzi na świat. W ciemności zabłyśnie światło. Była w tym jakaś przedziwna, rozdzierająca serce siła.

Kiedy jednak schodził po schodach w swej czarnej szacie, starannie przepasany słynną czerwoną szarfą, poczuł pierwsze drżenie niepokoju o występ, a zdając sobie sprawę, jak obawa taka może wpłynąć na głos, był jeszcze bardziej zmartwiony.

Nagle nie był w stanie przypomnieć sobie nawet jednego słowa kantaty Guida ani jej melodii. Napomniął sam siebie, że była to nadzwyczajna kompozycja, Guido podchodzi już do klawesynu, by zacząć grać, a on sam ma w dłoni partyturę, nie ma więc znaczenia, czy pamięta słowa i melodię. Nieomal się uśmiechnął.

Jakież to wspaniały dar! Gdyby nie był przerażony, cóż musiałyby czuć? Chór walechów wzniesie teraz swe głosy w niebiosy!

Bał się jednak tak samo jak każdy inny śpiewak. Za chwilę, tak jak przykazał mu Guido, wysłucha spokojnie początkowych taktów i wszystko potoczy się doskonale.

Kiedy jednak przepchnął się przez zgromadzony tłum do barierki na przedzie chóru, w pierwszym dolnym rzędzie ujrzał jasną główkę młodej kobiety, która pochylała się nad programem. Ciemna suknia z tafty tworzyła krąg wokół jej postaci.

Natychmiast odwrócił wzrok. Niemożliwe, by właśnie dzisiaj pojawiła się tu ona! Spojrzał w dół, jakby zmuszała go do tego jakaś ponura, terroryzująca, brutalna siła. Ujrzał wymykające się z jej miękkich loków delikatne kosmyki, a dziewczyna podniosła wzrok i przez chwilę patrzyli wprost na siebie.

Z pewnością pamiętała ten niezręczny moment w jadalni hrabiny; pijacką lekkomyślność Tonia, której on sam nigdy nie zapomni. Na jej twarzy nie malowała się jednak złość. Patrzyła z zadumą, niemalże marzycielską.

Wzbierająca w Tونیu gorycz zatrzała go, zatrzała całe urzekające piękno tego sanktuarium, ozdobionego rzędami świateł i powodzią wonnych kwiatów.

Usiłował się uspokoić. To ona pierwsza odwróciła wzrok, składając małymi dłońmi na kolanach szeleszczący papier, a Tonia ogarnęło napięcie, po czym powoli, całkowicie osłabł. Miał wrażenie, że ból omywa go jak woda.

Czuł się jak w pułapce i tylko to wydawało mu się realne. Rzeczywista była też cisza, która zastąpiła stłumione szepty zebranych, oraz to, że Guido zasiadł do klawikordu. Muzycy niewielkiej orkiestry przygotowywali już instrumenty do gry. Pomyślał: - Nie potrafię tego zrobić. - Muzyka była tylko sekwencją nieodgadnionych znaków. Potem rozbrzmiały trąby.

Spojrzał w otwartą przestrzeń przed sobą. Zaczął śpiewać.

Dźwięki wspinały się, opadały i ponownie się wznosiły, słowa splatały się bez wysiłku. Ścisnął w rękach zwój nut. Nagle zdał sobie sprawę, że idzie mu dobrze. Nie zatracił się w śpiewie; jego głos rozbrzmiewał mocno i pięknie, Tonio poczuł pierwszy, cichy przyływ dumy.

Kiedy skończył, wiedział, że odniósł triumf.

Publiczność nie mogła klaskać, ale szurając nogami, pokaszując i przytupując dawała inne subtelne znaki bezgranicznej aprobaty. Tonio wyczytywał ją na wszystkich twarzach. Opuszczając wraz z innymi kastratami kaplicę, pragnął tylko chwili samotności z Guidem. Była to tak przemożna potrzeba, że z trudem przetrzymał gratulacje, ciepłe uściski dłoni i słowa Francesca szepczącego, iż Domenico byłby chory z zazdrości.

Wystarczającą nagrodą będzie uścisk Guida; całej reszty i tak był świadom, a poza tym czuł się wyczerpany.

Jednak umyślnie powrócił do strumienia ludzi wylewającego się z kaplicy, a kiedy ukazała się w nim jasnowłosa dziewczyna, czego się spodziewał, poczuł ciepło na twarzy.

Zaskakujące było to, że istniała naprawdę. Wspomnienie o niej wyblakło, straciło na znaczeniu, a teraz stała przed nim ze złotymi włosami układającymi się miękko wokół krągłej szyi, zaś jej niezwykle poważne oczy błyszczały granatowo. Szyję zdobiła fioletowa wstążka, rzucająca kolorowy cień na małe usta dziewczyny. Lekko wydęte, soczyste wargi sprawiły, że Tonio niemalże czuł, jak są pełne i jak przed pocałowaniem jasnowłosej dotknąłby ich palcem. Wzburzony, zrozpaczony odwrócił wzrok.

Towarzyszył jej starszy gentleman. Ojciec? Czemu nie opowiedziała mu o wydarzeniu z jadalni? Czemu nie krzyczała?

Znajdowała się teraz dokładnie naprzeciwko Tonia, więc kiedy podniósł wzrok, spojrzał jej prosto w oczy.

Bez wahania zgiął się w odpowiednim ukłonie. Po czym znów, niemalże z gniewem, odwrócił spojrzenie. Czuł się silny, spokojny i być może po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że spośród wszystkich bolesnych odczuć, tylko smutek wyróżnia się tak doskonałym blaskiem. Dziewczyna odeszła.

Maestro di Capella podszedł do Tonia i uściśnął mu dłonie:

- Nadzwyczajnie! - powiedział. - I pomyśleć, że sądziłem, iż zbyt szybko przechodzisz do coraz trudniejszych zadań.

Tonio ujrzał wreszcie Guida, którego radość była tak widoczna, że chłopca aż coś ścisnęło w gardle. Objmowała go hrabina Lamberti. Kiedy odeszła, Guido odwrócił się do swego ucznia i, prowadząc delikatnie po korytarzu, o mało go nie pocałował, po czym rozsądnie zmienił zdanie.

- Cóż ci się tam na górze stało! Już myślałem, że nigdy nie zaczniesz. Przeraziłeś mnie.

- Ale przecież rozpocząłem i to w odpowiednim momencie - odparł Tonio. - Nie złość się.

- Złościć się? - roześmiał się Guido. - Czy wyglądam, jakbym był zły? - Impulsywnie objął Tonia, po czym wypuścił go z ramion. - Byłeś wspaniały - szepnął.

Wyszli już ostatni goście, zamykano frontowe drzwi, a Maestro di Capella pogrążony był w rozmowie z jakimś odwróconym do nich plecami gentlemanem.

Guido otworzył już drzwi, ale Tonio wiedział, że nie odejdzie nie wysłuchawszy, co ma do powiedzenia Maestro.

Kiedy jednak Maestro odwrócił się i poprowadził w ich kierunku swego rozmówcę, Tonio przeżył szok. Sam nie wiedział, dlaczego od razu zdał sobie sprawę, że mężczyzna ten jest Wenecjaninem.

Gdy było już za późno na odwrót, poznał, że ten mocno zbudowany blondyn to Giacomo Lisani, najstarszy syn Catriny.

Catrina go zdradziła! Nie przyjechała sama, ale przysłała syna! Lecz chociaż marzył o ucieczce, dostrzegł, że Giacomo wygląda równie żałośnie jak on. Płonęły mu policzki, spuścił wzrok.

Jakże był różny od tego niezgrabnego żrebaka, którego Tonio znał w Wenecji, od popędliwego studenta uniwersytetu w Padwie, który ciągle szeptał i śmiał się ze swym bratem, trącając go łokciem!

Na jego twarzy i szyi malował się ciemny ślad zarostu. Kiedy głęboko, niemalże ceremonialnie kłaniał się Toniowi, wydawało się, że przytłacza go ciężar jakiegoś obowiązku.

Maestro przedstawiał go. Nie dało się tego uniknąć. Następnie Giacomo spojrzał wprost na Tonia i szybko odwrócił wzrok.

- Czuje odrazę? - zastanawiał się beznamiętnie Tonio. - Czy wydaję mu się wstrętny? - Obawa o to, jak wygląda w oczach kuzyna, skryzalizowała się powoli w postaci bezgłośnej animozji - wroga rozsądku, a jednocześnie na widok naturalnych zmian, które zaszły w Giacomo, a jakich Tonio nie będzie mógł obserwować u chłopców, którzy byli teraz jego jedyną rodziną, ogarnęła go fascynacja.

- Marcu Antonio - zaczął Giacomo. - Przysłał mnie tu twój brat Carlo.

Maestro odszedł. Guido również się odsunął, ale stał wciąż za młodzieńcem i nie spuszczał oka z Tonia.

A Tonio, który po raz pierwszy od długiego czasu usłyszał piękny wenecki dialekt, musiał wyplątać znaczenie słów Giacoma z głębokiego, męskiego tembru jego głosu, który wydał mu się teraz magiczny. Jakże wspaniałe był ten dialekt, jakże dźwięczały w nim złączenia pokrywające ściany, zdobienia, kolumny i malowane drzwi. W głębokim, rozmarzonym głosie Giacoma zdawały się rozbrzmiewać harmoniczne dźwięki, a każde donośne słowo pieściło Tonia jak miękka piąstka dziecka dotykająca jego gardła.

- ...martwi się o ciebie - ciągnął Giacomo. - Doszły do niego plotki, że wkrótce po przybyciu tutaj zyskałeś w którymś z uczniów śmiertelnego wroga, a ten zaatakował cię i byłeś zmuszony się bronić.

Giacomo ściągnął brwi, udając głęboką troskę; ton jego wypowiedzi, w którym wyraźnie rozbrzmiewało poczucie obowiązku, stał się protekcyjny, chociaż była w nim tylko umęczona szczerłość. - Och, ta młodość! - pomyślał Tonio, jakby sam był starcem.

Zapadła cisza. W twarzy Guida Tonio dostrzegł wyraźne ostrzeżenie. Jej wyraz mówił: "niebezpieczeństwo".

- Twój brat obawia się, że być może nie jesteś tu bezpieczny, Marcu Antonio - rzekł Giacomo. - Martwi go, że nie napisałeś o tym zdarzeniu do mojej matki i...

- Tak - pomyślał Tonio. - Moje serce i dusza są w niebezpieczeństwie.

Giacomo, po raz pierwszy odkąd zaczął mówić, patrzył mu w oczy.

W pewnym nieuchwytnym momencie rozmowy Tonio zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, jaki jest jej cel. Martwi się o jego bezpieczeństwo! Ten głupi młodzieniec nie domyślał się nawet celu swej misji!

- Jeśli coś ci grozi, Marcu Antonio, musisz nam o tym powiedzieć...

- Nic mi nie grozi - odezwał się niespodziewanie Tonio. Zdziwił go chłód rozbrzmiewający w jego własnym głosie, lecz mówił dalej. - Nigdy nie istniało żadne niebezpieczeństwo - rzekł niemalże z szyderstwem, a słowa te zabrzmiały tak władczo, że dostrzegł, iż jego kuzyn lekko się wzdrygnął. - Cała sprawa skończyła się niezwykle głupio, ale nie mogłem zrobić nic, by temu zapobiec. Powiedz mojemu bratu, że niepotrzebnie się martwi. Niepotrzebnie dokładał tylu starań i czynił wydatki, by cię tu przysłać.

Stojący w cieniu Guido rozpaczliwie kiwał przecząco głową.

Tonio ujął już jednak kuzyna za ramię i odwróciwszy go, poprowadził do drzwi wyjściowych.

Giacomo był nieco zaskoczony. Nie uraziła go ta odprawa; wpatrywał się w Tonia ze źle ukrytą fascynacją, a kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiała ulga.

- Więc czujesz się zadowolony z pobytu tutaj, Tonio - rzekł.

- Więcej niż zadowolony - roześmiał się krótko Tonio. Prowadził Giacoma po korytarzu. - Powiedz też swej matce, by się o mnie nie martwiła.

- Ale czy ten chłopak rzeczywiście cię zaatakował...

- Ten chłopak - rzekł Tonio - jak go określasz, stoi teraz przed surowszym sędzią niż ty czy ja. Zmów za niego modlitwę w czasie mszy. Mamy świąteczny poranek i z pewnością nie chciałbyś spędzić go tutaj.

Giacomo zatrzymał się w drzwiach. Wszystko to działo się dla niego zbyt szybko. Kiedy stał wahając się, nie mógł powstrzymać się od obrzucenia Tonio szybkim, niemalże zachłannym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się nieznacznie, lecz niezwykle ciepło. - Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz - wyznał. Przez chwilę wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, ale po zastanowieniu szybko wbił wzrok w podłogę. Wydawał się mniejszy, jakby stał się tym samym chłopcem, którym był kiedyś w Wenecji, i Tonio zrozumiał, choć wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na jotę, że kuzyn go kocha i boleje nad nim.

- Zawsze byłeś wyjątkowy, Tonio - powiedział prawie szeptem Giacomo i znów ostrożnie spojrzał Toniowi w oczy.

- Pod jakim względem, Giacomo? - spytał Tonio uprzejmie, choć niemal ze znużeniem, jakby zmuszał się do znoszenia tego wszystkiego.

- Zawsze byłeś... zawsze byłeś małym mężczyzną - rzekł Giacomo w taki sposób, że Tonio zrozumiał, co ma na myśli, i uśmiechnął się wraz z nim. - Tak szybko urosłeś, że zdawało się, iż jesteś od nas starszy.

- Niewiele wiedziałem o dzieciach - uśmiechnął się Tonio.

A kiedy kuzyn nie potrafił już znaleźć odpowiednich słów. Tonio zapytał:

- Dowód na to, że nie cierpię z dala od domu, przyniósł ci ulgę, prawda?

- Ogromną ulgę! - odparł Giacomo.

Tym razem, kiedy na siebie spojrzeli, żaden z nich nie odwrócił wzroku. Trwała cisza; ich cienie to wydłużały się, to kurczyły w ciemnym, migotliwym blasku świec.

- Do widzenia, Giacomo - rzekł miękko Tonio. Chwycił kuzyna mocno za oba ramiona.

Giacomo jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego. Wreszcie, sięgnąwszy do kieszeni swego aksamitnego zakietu, rzekł: - Prawie zapomniałem, że mam dla ciebie list, Tonio. Mama byłaby strasznie zła! - Podał Toniowi list. - A twój śpiew... - zaczął. - W kaplicy... Żałuję, że nie znam języka muzyki; mógłbym ci wtedy powiedzieć, jak brzmiał.

- Język muzyki to tylko dźwięki, Giacomo - odparł Tonio. Objęli się bez wahania.

Kiedy Tonio wszedł do pokoju, Guido zapalał właśnie świece. Rzucili się sobie w ramiona i trwali tak przez długą chwilę.

Tonio trzymał jednak w ręku list i nie mógł przestać o nim myśleć. Kiedy odsunął się, by usiąść przy stole i przeczytać go, po raz pierwszy dostrzegł w twarzy Guida niepokój i gniew.

- Wiem, wiem - szepnął Tonio, rozrywając pergaminową kopertę, na której widniała pieczęć Catriny.

- Naprawdę? - Guido zbliżył się, dotknął go pieśczośliwie, mimo złości rozbrzmiewającej w głosie. Przycisnął usta do głowy Tonia. - Brat przysłał go tu, by zbadał twój stan ducha! - szepnął. - Czy nie mogłeś choć raz udawać nieśmiałego, nie dowierającego własnym siłom ucznia?

- Nieśmiałego, nie dowierającego własnym siłom eunucha - sprostował Tonio. - To właśnie masz na myśli. Dla nikogo nie będę udawał. Nie potrafię! Niech wraca do Wenecji i powie memu bratu, co zechce. Dobry Boże, w końcu słyszał, jak śpiewam z dziećmi i aniołami, prawda? Widział posłusznego ucznia, posłusznego wałacha, czy to nie wystarczy?

W ciemnym świetle nie mógł rozszyfrować listu. Tysiące razy przysięgał sobie nie rozmawiać o tych sprawach z nikim, nawet z księdzem w czasie spowiedzi, ale czyżby był na tyle głupi, by sądzić, że Guido się tego nie domyślił? Siedząc nieruchomo, przyciskał ręką list i patrząc na przesuwający się powoli po pokoju cień Guida, czuł cały ciężar jego niewypowiedzianych słów.

Zdawało się, że siedział tam całe wieki, nim skończył czytać.

Jeszcze raz wrócił do listu, tym razem kiedy skończył, uniósł go i włożył do chłodnego płomienia świecy, aż wreszcie ogień zapłonął cieplej i pochłonął trzeszczący pergamin, zmieniając go w popiół.

Guido obserwował go. Znajome umeblowanie tego pokoju wydawało się teraz Toniowi obce. Chłopak był opanowany, zimny, czuł się częścią nicości. Spojrzał na Guida, jakby nie znał tego człowieka, z którym dopiero co się kłócił, którego dotyk ust czuł wciąż na własnych. Nie znał go, nie wiedział, dlaczego obaj znajdują się w tym miejscu.

Odwrócił wzrok, zdając sobie chłodno sprawę z tego, jakie wrażenie wywarł na Guidzie; Tonio patrzył teraz jednak w twarz swego brata. - Nie, w twarz ojca - pomyślał z nikłym uśmiechem. Ojciec, brat na tle nie rozświetlonej niczym pustki, która oznaczała po prostu koniec życia.

Był świąteczny poranek, dzwoniły wszystkie dzwony Neapolu, a ich śliczny, monotony dźwięk przenikał ściany rytmicznie, jak uderzenia pulsu. Tonio nie czuł jednak nic i nic go nie

zachwycalo. Nie miał żadnych pragnień, prócz jednego: by czas dobiegł do nieuniknionego końca.

Jak mógł zapomnieć o zadaniu, które go czeka? Jak udało mu się żyć, czuć głód i pragnienie, nawet kochać jak inni?

Guido nalał mu wina. Postawił kielich przy prawej ręce Tonia. Zapach winogron wypełnił pokój, a Tonio, usiadłszy ponownie na krześle, spoglądał tępo kątem oka na zmieniony w popiół list i nietknięte jedzenie, leżące jak martwa natura na srebrnym talerzu.

Ożenił się z nią.

Ożenił się z nią! Tego właśnie dowiedział się z listu.

Miał on formę stosownego, prostego zawiadomienia. Ożenił się z nią! Tonio poczuł, że aż do bólu zaciska zęby; nie widział już pokoju. Ożenił się z żoną swego ojca, matką swego nieślubnego syna; pobrał się z nią w obecności doży, Wielkiej Rady, Senatu, weneckich wielmożów i dam. Ożenił się z nią! Teraz spłodzi silnych synów, mych braciszków! Takich jak Giacomo; braci, braci, zawsze pozostających poza moim zasięgiem, jakby sama idea braterstwa była jedną wielką fikcją. Inni biorą w niej udział, kroczą spleceni ramionami. Wspaniała iluzja!

- Cokolwiek by to nie było, zapomnij o tym. Tonio - rozległy się za nim ciche, dyskretne słowa Guida. - Przestań myśleć o tych ludziach. Pokonują tysiące mil, by cię zranić. Nie pozwól im na to.

- Czy jesteś moim bratem? - szepnął Tonio. - Odpowiedz... - Ujął dłoń Guida. - Jesteś moim bratem?

Mistrz, słysząc z jak niezwykłym uczuciem wypowiedziane zostały te proste słowa, mógł tylko zdeorientowany skinąć głową.

- Tak.

Tonio podniósł się i przyciągnął Guida do siebie, zasłaniając mu usta dłonią, tak samo jak dotykał ostatniej nocy w jadalni ust Carla, jakby chciał go uciszyć. Ale Guido zaczął już mówić.

- Zapomnij o nich.

- Dobrze, zapomnę na godzinę - odparł Tonio. - Na dzień, tydzień; tak bardzo tego pragnę - szepnął.

Jednak miał przed oczami Mariannę leżącą w tej cuchnącej, zaciemnionej sypialni; widział ją pogrążoną w głębokim, pijackim śnie, który uczynił z jej twarzy śmiertelną maskę; słyszał jej nieludzkie jęki. A teraz światło rozjaśnia wszystkie te pomieszczenia; te korytarze,

komnaty i ogromny salon są pełne ludzi, tak jak o tym marzyłem, a ona spoczywa w jego ramionach. To on ją uratował. Tak, oto naga prawda. To on ją uratował. Usunął cię, żeby ją wybawić. Już nie ona, lecz ty jesteś skazany, ty znajdziesz się w tym ciemnym pokoju, nie możesz z niego wyjść, a jej już tam nie ma!

- Gdybym tylko mógł uwolnić cię od bólu - rzekł niezwykle delikatnie Guido, złożwszy dłonie na skroniach Tonia. - Gdybym mógł sięgnąć do wnętrza twojej głowy i po prostu go stamtąd wyjąć.

- Ależ robisz to i udaje ci się to lepiej niż komukolwiek innemu - odparł Tonio.

Są małżeństwem.

Małżeństwem. A Francesca Lisani, moja narzeczona, moja panna młoda, ścisła klasztorną kratę, by mi się przyjrzeć. Małżeństwo. Matka przyglądająca mu się znad toaletki, odrzuciła nagle obfitą grzywę czarnych włosów i roześmiała się.

Czy tańczy teraz, czy się śmieje, czy nosi na szyi perły? Czy tłum ludzi wypełnia długą jadalnię, a matka ma wreszcie swego *cavalier servente*? Czy wie, co przydarzyło się jej synowi?

Potem powoli, udając prawdziwe uczucie, pocałował otwarte usta Guida. Ścisnąwszy jego dłonie, puścił je i zaczął się wycofywać. - Nigdy - pomyślał - nigdy nie dowiesz się, co miało miejsce, co musi się zdarzyć ani jak krótki jest czas zwany życiem, który możemy spędzić razem.

Wstawał już prawie świt, gdy Tonio podniósł się z łóżka i napisał odpowiedź na list Catriny:

W komórkach na pierwszym piętrze domu mego ojca znajdowało się kilka starych, lecz jeszcze dobrych szpad. Spytaj, proszę, mego brata, czy mógłbym dostać tę broń, i poproś, by przysłał mi ją, kiedy tylko będzie mu wygodnie. Gdyby znalazła się jakaś szpada należąca do naszego ojca, którą zechciałby mi wysłać, byłbym również głęboko wdzięczny.

Podpisał i zapieczętował list, po czym siedział obserwując, jak na małym dziedzińcu pojawia się światło dnia. To wolne, ciche przedstawienie napępniało go zawsze nadzwyczajnym spokojem. Pod lukami krużganków zaczęły się najpierw zarysowywać niewyraźne kształty drzew. Wreszcie wszędzie ukazywały się plamy światła, tak że Tonio rozróżniał ornamentykę gałęzi i liści. Na końcu pojawiał się kolor; wtedy był już ranek i dom wibrował jak ogromny instrument, przesyłający dźwięki przez organy potężnego kościoła.

Ból minął.

Zamęt, który czuł w swym wnętrzu, nieco się uspokoił. Tonio, patrząc na gładką twarz śpiącego Guida, zaczął nucić cicho hymn, który śpiewał poprzedniego wieczora, i pomyślał: - Zrobiłeś mi prezent, Giacomo. Nie wiedziałem, jak bardzo to wszystko kocham, póki nie przyjechałeś.

Domenico wywołał w Rzymie sensację, mimo że publiczność atakowała Loretiego. Szczególnie dokuczali mu *abbati* - duchowni, zajmujący zawsze pierwsze rzędy w rzymskich operach - którzy oskarżali go o plagiat dzieł ich idola, kompozytora o nazwisku Marchesca, i w czasie całego przedstawienia syczeli: - Brawo Marchesca, wygwizdać Loretiego - a milkli tylko wtedy, gdy śpiewał Domenico.

Każdemu odebrałoby to odwagę, więc Loretto wrócił wkrótce do Neapolu, zaklinając się, że jego noga nie postanie więcej w Wiecznym Mieście.

Natomiast Domenico dostał wspianą posadę na dworze władcy jednego z niemieckich państw. Chłopcy z konserwatorium śmiali się słysząc, że czerpał radość z eskapady z jakimś hrabią i jego małżonką, dla których w jednym łóżku odgrywał jednocześnie rolę mężczyzny i kobiety.

Tonio powitał te wieści z ulgą. Gdyby Domenico nie odniósł sukcesu, Tonio nigdy by sobie tego nie wybaczył. Na dźwięk jego pseudonimu artystycznego "Cellino" odczuwał wciąż wstyd i coś w rodzaju żalu. Guido był głęboko poruszony przyjęciem, jakiego doznał Loretto, i jak zwykle mruczał, że rzymska publiczność jest najgorsza.

Tonio był jednak zbyt zajęty własnym życiem, by myśleć o czymś innym.

Tuż po Świątach zaczął w każdej wolnej chwili odwiedzać starego francuskiego mistrza fechtunku. Bez względu na inne zobowiązania, co najmniej trzy razy w tygodniu udawało mu się wymknąć z konserwatorium na lekcje z nim.

Guido był wściekły. - Nie możesz tego robić - nalegał. - Ćwiczysz całymi dniami, wieczory poświęcasz jak inni na próby, we wtorki chodzisz do opery, a w piątki do hrabiny. A teraz chcesz spędzać te godziny w *salle d'armes*; głupota!

Twarz Tonia wydłużyła się, pojawił się na niej wyraz zdecydowania i lodowaty uśmiezek. Wygrał.

Powiedział sobie, że po całych dniach przepełnionych brzmieniem muzyki i rozdrażnionymi, kłótliwymi głosami musi czasem przebywać z dala od szkoły, pośród ludzi nie będących eunuchami, bo w przeciwnym razie zwariuje.

Właściwie było odwrotnie. Ciężko było mu właśnie iść do sali fechtunku, witać się z Francuzem, który go uczył i stawać pośród tych snujących się w koronkowych koszulach młodzieńców o twarzach błyszczących od wysiłku, którzy chętnie stawiali mu czoła.

Czuł, że na niego patrzą; że naśmiewają się z niego za plecami.

Z zimną krwią przyjmował odpowiednią pozycję, lewe ramię tworzyło doskonały łuk, nogi uginały się do skoku i zaczynał ćwiczyć pchnięcia, odparowywanie ciosów, starał się osiągnąć większą szybkość i dokładność. Długie ręce dawały mu oczywistą, śmiertelną przewagę. Poruszał się z coraz większą swobodą i gracją.

Kiedy inni byli już wyczerpani, on ćwiczył dalej, czując w łydkach i ramionach mrowienie twardniejących mięśni, ból zlewający się z coraz większą siłą. Z ogromną energią przypierał czasem swych partnerów do samej ściany, każąc im zapomnieć, że to tylko sport, póki sam mistrz fechtunku nie przychodził, by go powstrzymać, szepcząc mu do ucha: - Wystarczy, Tonio, odpocznij teraz przez chwilę.

Nadszedł już prawie Wielki Post, kiedy Tonio zorientował się, że nikt nie żartuje w jego obecności i nikt nie wypowiada słowa "eunuch", kiedy jest w pobliżu.

Od czasu do czasu młodzieńcy wykonywali nawet przyjacielskie gesty. Czy nie poszedłby z nimi napić się po ćwiczeniach? Może chciałby jechać na polowanie albo konną przejażdżkę? Zawsze odmawiał. Zrozumiał jednak, że zdobył sobie szacunek tych śniadych, często mrukliwych Włochów z południa, którzy z pewnością wiedzieli przecież, że nie jest jednym z nich. Marna była to jednak pociecha.

Unikał towarzystwa młodzieńców, nieokaleczonych mężczyzn, nawet tych, którzy uczyli się w konserwatorium, chociaż oni nadal zwracali się do niego z respektem, który zaczęli mu okazywać po śmierci Lorenza.

Ale skrzyżować szable z mężczyzną? Zmusił się do tego. Wkrótce dorównywał prawie wszystkim, których wezwanie zdecydował się przyjąć.

Guido twierdził, że to jakaś mania.

Nie domyślał się zimnej jak kamień samotności, którą znajdował w niej Tonio, i ulgi, z jaką wracał do konserwatorium.

Musiał jednak uczyć się fechtunku. Musiał, póki nie czuł się tak wyczerpany, że niemalże padał.

Kiedy ogarniała go świadomość własnej dziwaczności - tego, że stawał się coraz wyższy, a jego skóra lśniła nieczłowiecznym blaskiem - zatrzymywał się, uspokajał oddech. Później chodził, rozmawiał i przemawiał o wiele wolniej; starał się, by każdy gest był pełen wdzięku, powolny - wydawało mu się to mniej komiczne, chociaż właściwie nikt nigdy nie powiedział, że uważa go za śmiesznego.

Tymczasem Maestro di Capella namawiał Tonia, by zajął mały pokój w pobliżu komnat Guida na pierwszym piętrze. Najwyraźniej martwiła go śmierć Lorenza. Nie był też zadowolony, że Tonio spędza tyle czasu ucząc się walczyć szpadą. Pozostali uczniowie patrzyli na Wenecjanina z podziwem, traktując go jako swego rodzaju bohatera.

- Muszę jednak przyznać - dodawał Maestro - że zaskoczyłeś wszystkich tą świąteczną kantatą. Muzyka pulsuje w tym konserwatorium jak życiodajna krew i gdybyś nie miał talentu, nie wywarłbyś takiego wrażenia.

Tonio protestował. Nie chciał zrezygnować z widoku na wulkan; nie chciał porzucić tego należącego tylko do niego, przytulnego pokoju na strychu. Kiedy jednak zdał sobie sprawę, że wszystkie komnaty na pierwszym piętrze połączone są drzwiami, a jego pokój leży zaraz przy sypialni Guida, przyjął propozycję Maestra. I zaczął meblować komnatę stosownie do własnych upodobań.

Maestro był przerażony widokiem skarbów płynących przez drzwi wejściowe: żyrandol ze szkła z Murano, srebrne świeczniki, emaliowane skrzynie, łóżko z baldachimem wyposażone w aksamitne zasłony, orientalne dywany i wreszcie, w długim, trójkątnym futerale wspaniałe klawikord o podwójnej klawiaturze. Ozdabiały go pokryte subtelną glazurą brązowożółte, złote i oliwkowozielone malowidła biegających satyrów i nimf.

Właściwie był to prezent dla Guida, ale otwarte wręczenie mu go byłoby niedyskretne.

W nocy, gdy zasunięto kotary zasłaniające okna od strony krużganków, a korytarze rozbrzmiewały niewyraźnymi, ostrymi dźwiękami, nikt nie wiedział, kto śpi i w którym łóżku, kto przychodzi i wychodzi z pokoi, a miłość Tonia i Guida pozostawała, jak przedtem, tajemnicą.

Tymczasem Guido pracował intensywnie nad wielkanocnym *Pasticcio*, którego przygotowanie dzięki niedawnemu, świątecznemu sukcesowi Maestro powierzył mu z ochotą. *Pasticcio* to było niemalże pełną operą, której większość aktów stanowiły przeróbki wcześniejszych, słynnych dzieł. W pierwszej części muzyka Scarlattiego miała zostać połączona

z librettami Zena, drugą wypełniłoby opracowanie jakiegoś odpowiedniego dzieła Vivaldiego i tak dalej. Guido miał jednak okazję sam napisać ostatni akt.

Znalazły się w nim partie dla Tonia i Paola, który zadziwiał wszystkich swym wysokim, słodkim sopranem, a także dla jeszcze jednego obiecującego ucznia imieniem Gaetano. Przesłano go właśnie do Guida w uznaniu dla dzieła, które przygotował na Święta.

Guido nie posiadał się z radości. Tonio wkrótce zdał sobie sprawę, że choć mógłby zająć Guidowi cały czas, opłacając prywatne lekcje, jego nauczyciel pragnął uznania Maestra dla swych uczniów i kompozycji. Guido pracował także na spełnienie się własnych marzeń.

Kiedy Maestro zaakceptował *Pasticcio*, Guido był tak szczęśliwy, że rzucił w powietrze wszystkie partytury.

Tonio zaczął je zbierać na kolanach, po czym wymógł na Guidzie obietnicę, że na kilka dni zabierze go z Paolem na pobliską Capri.

Kiedy Paolo dowiedział się o tym wyjeździe, zapalał ekscytacją. Ten chłopak o okrągłej twarzy, zadartym nosie i gęstej czuprynie niesfornych, brązowych włosów otwarcie okazywał uczucia, a i jego łatwo było polubić. Późnym wieczorem, w gospodzie, Tonio wypytywał o szczegóły z jego życia i odkrył ze smutkiem, że Paolo nie pamięta rodziców, a tylko różne przytulki dla sierot oraz starego dyrygenta chóru, który przyrzekł mu, że operacja nie będzie bolesna, co okazało się nieprawdą.

W czasie Wielkiego Postu Tonio zorientował się jednak, iż triumf Guida oznaczał, że będzie musiał teraz pokazywać się na scenie samotnie, a nie jako członek chóru.

Dlaczego miałyby się to okazać gorszym doświadczeniem, niż śpiew w kaplicy? Czemu miałyby być straszniejsze, niż posuwanie się w procesji sunącej do kościoła wprost przez tłum prostych ludzi?

Jednak na myśl o tym krew krzepła mu w żyłach. Widział już, jak zbiera się publiczność, i kiedy pomyślał, że ma stanąć w światłach rampy, ogarnął go ten niemalże zmysłowy ból, znane mu uczucie nagości, bezbronności... czego jeszcze? Przynależności do innych? Miał wrażenie, że zmienia się w kogoś innego, by zadowolić obcych ludzi, podczas gdy powinien dbać o swą własną satysfakcję.

Jednocześnie tak bardzo tego pragnął! Chciał farby, blichtru, ekscytacji; przypominał sobie, o czym myślał kiedyś, gdy śpiewał Domenico: - Ja też to kiedyś zrobię i to o wiele lepiej.

Kiedy jednak otworzył wreszcie partyturę Guida, odkrył, że ma grać kobietę. Był zaskoczony.

Znajdował się wtedy sam w teatrze.

Przyszedł z partyturą, bowiem pozwolono mu ćwiczyć na scenie, by słyszał, jak jego głos wypełnia salę.

Do teatru wkradło się parę słonecznych promieni. Łoże stały puste i ciemne, scena pozbawiona była nawet kurtyn, tak że wyposażenie i rekwizyty zostały odsłonięte.

Siedząc przy klawikordzie i wpatrując się w partyturę, poczuł się nagle zdradzony.

Jednak niemalże widział już zaskoczoną minę, jaką Guido zareagowałby na takie oskarżenie. Guido "zrobił" mu to specjalnie. Dawał mu okazję do ćwiczeń, przez które i tak musi przejść.

Zmusił się do zagrania kilku początkowych nut, po czym pełną piersią zaśpiewał pierwsze frazy libretta, wypełniając głosem małą salę teatru. Wyobraził sobie całe przedstawienie. Czuł obecność tłumu, słyszał orkiestrę, widział w pierwszym rzędzie jasnowłosą dziewczynę.

A w samym centrum tego wszystkiego był on sam, obraz przerażającej wspaniałości, mężczyzna w kobiecym stroju. Nie, nie mężczyzna, zapominasz się. Uśmiechnął się. Domenico wydawał mu się teraz we wspomnieniach doskonale niewinny i niezwykle potężny.

Zaschło mu w gardle.

Wiedział, że powinien to zrobić. Powinien się z tym pogodzić. Taką lekcję dał mu wulkan, a w rozchylających się płatkach tej nowej przerażającej próby kryło się ziarno większej siły. Pragnął wrócić na Wezuwiusz. Żałował, iż nie wie, dlaczego za pierwszym razem ta wyprawa tak mu pomogła i tak go zmieniła.

Nie myśląc o niczym wstał i zamknął klawikord.

Znalazłszy w pokoju Guida pióro, zapisał na pierwszej stronie partytury wiadomość:

"Ani teraz, ani w przyszłości nie mogę grać ról kobiecych, więc jeśli nie zmienisz mojej roli, to wcale jej nie wykonam".

Gdyby nie to, że Tonio uparcie milczał, po powrocie Guida wybuchłaby kłótnia. Tonio znał wszystkie jego argumenty: kastraci wszędzie odgrywali damskie role. Czy sądzi, że uda mu się przejść przez życie grając tylko mężczyzn? Czy zdaje sobie sprawę z tego, co poświęca? Czy wydaje mu się, że zawsze będzie mógł kręcić na wszystko nosem?

W końcu Tonio podniósł wzrok i powiedział cicho: - Nie zagram tego, Guido.

Guido wyszedł. Musiał dostać pozwolenie Maestra na przerobienie opery i całkowitą zmianę ostatniego aktu.

Nie było go prawie godzinę.

Tonio czuł dziwne ściskanie i suchość w gardle. Miał wrażenie, że nie może śpiewać. Ulgi nie przynosiły mu nawet mgliste wspomnienia wulkanu i nocy, którą na nim spędził; bał się. Czuł, że został wciągnięty w coś, co go całkowicie zniszczy. Przeliczył się. Gdyby stał się taki, jakim powinien być kastrat - istotą prostą i unikającą głębszych przemyśleń - oznaczałoby to śmierć jego osobowości. Zawsze pozostanie jednak podzielony. Zawsze będzie czuł ból. Ból i zadowolenie, przenikające się i wpływające na niego tak czy inaczej, kształtujące go; żadne z tych uczuć nigdy jednak nie zwycięży. Nigdy nie zapanuje pokój.

Nie był przygotowany na to, że Guido wróci przygnębiony. Od razu domyślił się, że coś poszło źle. Guido długo siedział w milczeniu przy biurku, nim przemówił.

- Dał dobre partie Benedettowi, swojemu uczniowi - rzekł w końcu. - Mówi, że możesz śpiewać końcową arię, którą napisałem dla Paola.

Tonio chciał coś rzec; chciał przeprosić, powiedzieć, że wie, jak potwornie rozczarował Guida.

- To twoja muzyka, Guido - szepnął. - Wszyscy będą jej słuchać...

- Chciałem, żeby słyszeli, jak ty to śpiewasz. Jesteś moim uczniem, chciałem, żeby cię usłyszeli.

Wielkanocne *Pasticcio* odniosło sukces. Tonio pomagał w przerabianiu libretta, dobieraniu kostiumów i do upadłego pracował za kulisami w czasie każdej próby.

Teatr był wypełniony po brzegi. Guido po raz pierwszy grał w czasie przedstawienia, więc Tonio kupił mu z tej okazji nową perukę i modny żakiet z purpurowego brokatu.

Guido zmienił pieśń, którą miał śpiewać Tonio. Była to pełna niezwyklej delikatności *aria cantabile*, doskonale dobrana do coraz większych umiejętności Tonia.

Tonio tak bardzo pragnął stanąć w światłach rampy, że gdy wreszcie się to stało, bezbronność, którą zazwyczaj odczuwał, zmieniła się w radość i uderzającą do głowy świadomość otaczającego go piękna, pełnych oczekiwania twarzy oraz oczywistej, niezawodnej potęgi własnego głosu.

Nim zaczął, oddychał powoli i spokojnie, czując głęboki smutek arii, po czym zaczął śpiewać, oczekując, że wzruszy publiczność do łez.

Kiedy jednak dostrzegł, że mu się to udało i siedzący przed nim widzowie rzeczywiście szlochają, był tak zaskoczony, iż nieomal zapomniał zejść ze sceny.

Jak podejrzewał, na sali znalazła się również znajoma złotowłosa dziewczyna. Patrzyła na niego urzeczona. Był to triumf tak wielki, że prawie nie mógł go udźwignąć.

Noc należała jednak do Guida, który po raz pierwszy wystąpił przed wymagającą neapolitańską publicznością, i kiedy Tonio ujrzał, jak mistrz zgina się w ukłonie, zapomniał o wszystkim innym.

Później, w domu hrabiny Lamberti, ponownie ujrzał złotowłosą dziewczynę.

Panował tłok. Skończył się Wielki Post, ludzie chcieli tańczyć i pić, a ponieważ przedstawienie w konserwatorium bardzo się udało, wszyscy muzycy byli tu mile widziani. Tonio ujrzał dziewczynę niespodziewanie, gdy spacerował z kieliszkiem w ręku. Właśnie wchodziła do komnaty. Podawała ramię jakiemuś bardzo staremu gentlemanowi o ciemnej karnacji, ale skinęła Toniowi głową, kiedy spotkali się oczyma. Następnie przyłączyła się do tańczących.

Oczywiście nikt tego nie zauważył. Nikomu nie wydałoby się to godne uwagi. Ale Toniowi od razu zakręciło się w głowie. Uciekł od niej, jak szybko mógł, i z nagłą złością zastanawiał się nawet krytycznie, co dziewczyna tu robi. Jest przecież tak młoda. Z pewnością

nie była zamężna, a niemalże wszystkie włoskie dziewczęta w jej wieku przebywały zamknięte w klasztorze. Rzadko chodziły na bale.

Jego narzeczona, Francesca Lisani, została tam pogrzebana tak skutecznie, że kiedy oznajmiono mu, iż ma ją poślubić, nie mógł sobie nawet przypomnieć jej twarzy. A kiedy wreszcie spotkali się tamtego popołudnia w klasztorze, okazała się piękna! Wciąż widział jej twarz za kratami i zastanawiał się teraz, dlaczego przedtem był tym tak zdziwiony. W końcu Francesca była córką Catriny.

Czemu o tym myśli? Teraz wydawało mu się to nierealne, czasem jednak stawało się boleśnie realne. Oszałamiał go też niezaprzeczalnie rzeczywisty fakt, że gdy tylko na chwilę gdzieś przystanął, spotykał się z pochwałami swego występu.

Nieznajomi, wymuskani gentlemani dzierżący w jednej dłoni laski, a w drugiej ściskający delikatnie chusteczki, kłaniali mu się i mówili, że był zachwycający. Prorokowali mu wspaniałą karierę. Wspaniałą karierę! Damy uśmiechały się do niego, opuszczając na chwilę malowane w kunsztowne wzory wachlarze i dając jasno do zrozumienia, że gdyby tylko chciał, mógłby się do nich przysiąść.

A Guido? Gdzie poszedł Guido? Stał otoczony ludźmi, roześmiany, a niska hrabina Lamberti trzymała go pod rękę.

Tonio zatrzymał się, pociągnął duży łyk białego wina z kielicha i ruszył na dalszą wędrowkę. Do środka wpływało coraz więcej gości, a wraz z nimi od frontowych drzwi ciągnął prąd świeżego powietrza.

Oparł się o ramę długiego lustra zdobną w deseń z wypukłych prostokątów i, wcale tego nie pragnąc, uświadomił sobie, że dzień, w którym ujrzał swą przyszłą żonę, był jego ostatnim dniem w Wenecji. Ileż się wtedy jeszcze zdarzyło! Spał z Catriną, śpiewał w Bazylice San Marco.

To potworne! Od jak dawna przebywał w Neapolu? Prawie rok!

Podszedł do Guida przywołującego go skinieniem dłoni.

- Spójrz na tego niskiego gentlemana. To Rosjanin, hrabia Szerzyński - szepnął Guido. - Nie jest profesjonalistą, ale doskonale gra. Napisałem dla niego sonatę. Może ją później wykona.

- Wspaniale - odparł Tonio. - Tylko dlaczego ty jej nie zagrasz?

- Nie mogę - Guido potrząsnął głową. - Jeszcze na to za wcześnie. Dopiero co odkryli, że jestem czymś więcej niż... - przełknął te słowa, a Tonio dyskretnie, ukradkiem uściśnął jego dłoń.

Właśnie przybyli inni muzycy z konserwatorium. Guido odszedł, a do Tonia zbliżył się natychmiast Piero, jasnowłosy kastrat z Mediolanu. - Byłeś dzisiaj cudowny - rzekł. - Ilekroć śpiewasz, zawsze się czegoś od ciebie uczy my.

Tonio dostrzegł w oddali ucznia Maestra, Benedetta, który dostał rolę początkowo przeznaczoną dla Tonia. Benedetto przeszedł obok nie obdarzywszy ich nawet jednym spojrzeniem.

- To był jego wieczór - Tonio wskazał na niego z rezygnacją - i oczywiście Guida.

Pomagał Benedettowi dobrać kostium; sam włożył mu na głowę perukę pełną loków i wstążek. Z jakimż lekceważeniem chłopak ten traktował wszystkich dokoła; obdarzył Tonia nie większą uwagą niż lokaja. Benedetto miał długie, doskonale owalne paznokcie, ozdobione przy nasadzie bladym półksiężycem. Z pewnością polerował je, gdy był sam. Kiedy stał na scenie, błyszczały jak polakierowane. Miał jednak w sobie coś twardego; białe koronki i sztuczne kamienie nigdy całkowicie go nie zmieniały, aczkolwiek nosił to wszystko bez najmniejszego skrepowania. - Co pomyślałby - zastanawiał się Tonio - gdyby wiedział, że wolałem zrezygnować z roli, niż włożyć ten kostium?

- Był niezły; zawsze będzie niezły - powiedział Piero, obrzucając Benedetta zimnym, taksującym spojrzeniem.

Ciągnął Tonia do pokoju bilardowego. - Chciałbym z tobą porozmawiać, Tonio - powtarzał. Przez otwarte drzwi widzieli salę balową i długi rząd par tańczących menueta, chociaż muzyka dolatywała tu cicha i zniekształcona. Chwilami, kiedy konwersacja stawała się głośna, zdawało się, że tańcowi tych wspaniale odzianych ludzi nie towarzyszy żadna melodia.

- Chodzi o Giovanniego, Tonio. Wiesz, że Maestro pragnie, by jeszcze przez rok został w konserwatorium, i zmusza go do wypróbowania swych sił na scenie. Tymczasem Giovanni chciałby przyjąć miejsce w rzymskim chórze, które mu zaproponowano. Maestro zgodziłby się, gdyby chodziło o kaplicę papieską, ale na tę ofertę kręci nosem... Co o tym myślisz, Tonio?

- Sam nie wiem - odparł. A jednak miał na ten temat własne zdanie. Już gdy po raz pierwszy usłyszał śpiew Giovanniego wiedział, że chłopak nigdy nie będzie nadawał się do występów scenicznych.

W sklepionym przejściu pojawiła się w oddali złotowłosa dziewczyna. Czyżby miała na sobie tę samą fioletową sukienkę? Jej talia była tak szczupła, że z łatwością objąłby ją dłońmi, a wzdymające się piersi wydawały się nieskazitelne, promieniejące i równie delikatne jak jej

policzki. Brwi dziewczyny, tak samo ciemne jak oczy, nadawały jej wyraz powagi. Jakże wyraźnie dostrzegał wyraz tej twarzy, lekko ściągnięte brwi i nieco wydęte usta.

- Najgorsze jest to, że Giovanni chce jechać do Rzymu. Nigdy nie lubił i już nie polubi śpiewania na scenie, a występy w chórze zawsze sprawiały mu przyjemność... Nawet kiedy był małym chłopcem...

Tonio uśmiechnął się na te słowa. - Co ja mogę poradzić, Piero?

- Możesz wyrazić swoje zdanie. Czy uważasz, że Giovanni kiedykolwiek mógłby zrobić karierę w operze?

- Powinieneś spytać o to Guida.

- Nie rozumiesz, Tonio, Maestro Guido nigdy nie wystąpi przeciwko Maestro di Capella, a Giovanni naprawdę chce jechać do Rzymu. Ma już dziewiętnaście lat, wystarczająco długo przebywał w konserwatorium, a to najlepsza propozycja, jaka mu się trafiła.

Zapadła cisza. Dziewczyna odwróciła się, skłoniła, ujęła dłoń swego partnera i kołysząc spódnicami ruszyła wzdłuż rzędu tancerzy.

Nagle Piero zaśmiał się i szturchnął Tonia w bok. - Więc to na tej ci zależy - szepnął.

Tonio zaczerwienił się. Musiał powstrzymać nagły gniew. - Nie. Nie wiem nawet kim jest. Po prostu ją podziwiałem.

Powiedział to tonem tak obojętnym, jak tylko było go na to stać. Skinąwszy na przechodzącego lokaja, wziął następny kielich białego wina i patrzył na niego pod światło, jakby nagle zafascynował go przelewający się w kryształach płyn.

- Powiedz jej jakiś komplement, Tonio, a może cię namaluje - rzekł Piero. - Jeśli się zgodzisz, to nawet nago.

- O czym mówisz? - przerwał mu ostro Tonio.

- Maluje nagich mężczyzn. - Piero zaśmiał się, jakby drażnienie Tonia niezwykle go bawiło. - Oczywiście w postaci aniołów i świętych, ale są oni niezwykle skąpo odziani. Idź do kaplicy hrabiny, jeśli mi nie wierzysz. To ona malowała wszystkie freski naokoło ołtarza.

- Przecież jest jeszcze taka młoda!

- No właśnie! - szepnął Piero z uśmiechem.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem, spytaj hrabiny. Jest jej krewną. Ale czemu nie skupisz uwagi na jakiejś młodszej, starszej damie? Takie dziewczyny jak ta oznaczają kłopoty...

- To nie ma znaczenia - odparł zdecydowanie Tonio.

Malarka. Autorka fresków. Sama myśl o tym szokowała go, dręczyła i dodawała dziewczynie nowego blasku. Nagle jej obojętność wydała mu się jeszcze bardziej kusząca. Złotowłosa zdawała się koncentrować na czymś innym niż własna uroda i ochrona, jaką jej ona dawała. A była taka ładna! Czy wenecka malarka, Rosalba, była równie piękna? Jeśli tak, to po co malowała? Bzdury! Cóż obchodziła go ta blondynka, nawet jeśli była największą artystką Włoch? A jednak myśl o tym, jak stoi z pędzlem w ręku, doprowadzała go do rozkosznego dreszczu.

Twarz Piera stała się nagle bezbronna, a Tonio wpatrywał się w nią, jakby widział go po raz pierwszy. Dopiero teraz zaczęły do niego docierać słowa mediolańczyka. Ta sprawa była dla Giovanniego przełomowa! Mogła zaważyć na całym jego życiu, a Piero spodziewał się od Tonio rozwiązania tego problemu. Chociaż nie raz zdarzyło się już, że inni przychodzili do niego po radę, Tonio był tym zdziwiony.

- Posłucha cię, jeśli z nim porozmawiasz, Tonio - rzekł z naciskiem Piero. - Uważam, że powinien jechać do Rzymu, ale sam go do tego nie przekonam. Spotka go rozczarowanie i poniżenie, jeśli będzie próbował robić karierę w operze.

Tonio skinął głową. - Dobrze, Piero - rzekł. - Porozmawiam z nim.

Jasnowłosa zniknęła. Taniec został przerwany. Tonio nigdzie nie dostrzegł jej sylwetki. Potem ujrzał, jak idzie w kierunku drzwi, wciąż trzymając pod ramię starszego gentlemana. - Wychodzi - pomyślał i poczuł dotkliwy żal. Oczywiście nie była to ta sama suknia, miała tylko podobną barwę i szeroką spódnicę, ozdobioną bukietami drobnych kwiatów. Złotowłosa dziewczyna z pewnością uwielbia ten kolor...

Ale cóż on ma powiedzieć Giovanniemu? Zmusi go, by sam sobie odpowiedział, a potem doradzi, by pozostał wierny własnym przekonaniom.

Czuł niepokojący ciężar odpowiedzialności, którą go obarczono. Co więcej, ogarnęły go ciepłe uczucia w stosunku do tych wszystkich chłopców, którzy teraz zwracali się do niego często jak do jakiegoś przywódcy. Miał z nimi - i to nie tylko z kastratami - bliskie stosunki. Nie tak dawno Morello, uczący się kompozycji, dał mu egzemplarz swego Stabat Mater z napisem: "Być może kiedyś to zaśpiewasz". Guido pozwolił mu ostatnio dwa razy poprowadzić lekcje z młodszymi chłopcami i Tonio był tym zachwycony, szczególnie, że widział, jak bardzo maluchy go szanują.

O czym to myślał? O kaplicy, o kaplicy hrabiny. Gdzie też ona może być? Wino uderzyło mu do głowy. Hrabina gdzieś zniknęła. Oczywiście każdy ze sług będzie wiedział, gdzie jest kaplica. Guido też. Ale gdzie się podział Guido? Czuł jednak, że jego nie powinien o to pytać. - Jestem haniebnie pijany - szepnął. A widząc własne odbicie w szkle, rzekł: - Prawdziwy syn swojej matki!

Znajdował się w pustym salonie i czuł, że musi się położyć. Kiedy jednak zbliżył się do niego jeszcze jeden służący z chłodnym, białym winem, Tonio wypił je i dotknąwszy rękawa sługi, spytał: - Gdzie jest kaplica? Czy goście mają do niej dostęp?

Już wkrótce podązał za tym człowiekiem po szerokich, głównych schodach, a potem po korytarzu prowadzącym do dużych, podwójnych drzwi. Popędzała go ciekawość. Patrzył, jak służący zapala świece i już wkrótce stał samotnie w przyćmionym świetle kaplicy.

Była piękna, bogata, pełna cudownych szczegółów. Wszędzie lśniło złoto, które tak kochali neapolitańczycy. Otaczały go ozdobne łuki oraz żłobkowane kolumny upiększające okna i ściany oprawą błyszczących arabesek. Naturalnej wielkości statuy świętych ubrano w prawdziwy atłas i aksamit. Obrus kościelny był inkrustowany drogimi kamieniami.

Milcząc szedł między ławkami. Ukląkł cicho przy barierce, przy której przyjmuje się komunię, i złożył ręce, jakby miał zamiar się modlić.

Freski pulsowały w przyćmionym świetle; wydawało się niemożliwe, by to ona namalowała te ogromne, wspaniałe postacie: Matkę Boską wznoszącą się do nieba, anioły o wygiętych skrzydłach i siwowłosych świętych.

Wszystkie wydawały się niemalże żywe, energiczne, potężne. Patrząc, Tonio poczuł nagłą miłość do tej dziewczyny. Wyobraził ją sobie pogrążoną w jakiejś cichej, żarliwej konwersacji, dzięki której on, stojąc w pobliżu, mógłby usłyszeć wreszcie jej głos. Och, gdyby pewnej nocy mógł zbliżyć się do niej na sali balowej, kiedy będzie rozmawiała ze swym partnerem. Nad nim przymykała powieki Dziewica Maryja o nieskazitelnej owalnej twarzy, a falujące, ciemne włosy opadały jej na ramiona. Czy to naprawdę ona to wszystko namalowała? Nagle freski wydały mu się zbyt doskonałe, by ktokolwiek mógł je stworzyć. Zamknął oczy.

Podparł lewą ręką głowę. Wzbierała w nim lawina uczuć. Czuł się nieszczęśliwy i zmuszony do usprawiedliwienia się przed Guidem z tego, że tu przyszedł. - Kocham tylko ciebie - szepnął.

Niezgrabnie oddalił się od ołtarza i oszołomiony winem, czując mdłości, ruszył w stronę drzwi.

Gdyby nie znalazł wtedy w małym pokoju na górze kanapy, mógłby być bardzo chory.

Położył się, zamknął oczy i usłyszał wypowiedziane bardzo wyraźnie słowa matki: "Powinnam uciec z operą". I zasnął.

Kiedy się obudził, wszędzie panowała cisza. Bal z pewnością już się skończył. Wstał szybko i stanął u szczytu schodów. Guido będzie na niego wściekły. Może nawet odjechał już sam do domu.

W ogromnych pokojach zostało tylko gdzieniegdzie paru gości, a dookoła cicho chodzili służący, zbierając na srebrne tace serwetki i kieliszki. Powietrze pachniało tytoniem, a jakiś samotny klawikordzista-amator grał pełną werwy piosnkę.

Zostało jeszcze tylko trzech skrzypków. Gawędzili. Kiedy Tonio dostrzegł między nimi Francesca, zbiegł ze schodów.

- Widziałeś gdzieś Guida? - spytał. - Czy pojechał już do domu?

Francesco, który grał dzisiaj na zamówienie dwa razy, był widocznie bardzo zmęczony, gdyż początkowo zdawał się nie rozumieć, o co Toniowi chodzi.

- Będzie na mnie wściekły, Francesco. Zasnąłem. Pewnie mnie szukał - wytłumaczył Tonio.

Francesco uśmiechnął się. - Nie będzie na ciebie zły - szepnął dziwnie poufnym tonem. Uważnie włożył skrzypce do futerału, zamknął go i podniósł się do wyjścia. Widząc jednak zakłopotaną minę Tonia, uśmiechnął się raz jeszcze i spojrzał znacząco na schody i wyższe piętro.

Tonio pochylił się, jakby chciał usłyszeć jego niewypowiedziane słowa. Francesco raz jeszcze wskazał spojrzeniem schody. - Jest z hrabiną - szepnął w końcu. - Poczekaj na niego.

Przez dłuższą chwilę Tonio po prostu patrzył na Francesca. Obserwował, jak zbiera nuty i żegna się z pozostałymi. Patrzył, jak wychodzi.

Wreszcie, stojąc samotnie z boku pokoju, uświadomił sobie w pełni znaczenie tej krótkiej wymiany zdań i powoli zbliżył się do schodów.

Mówił sobie, że nie ma w tym słowa prawdy. Nic szczególnego. Może źle zrozumiał.

Oczywiście Francesco nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, że Tonio i Guido są kochankami. Nikt o tym nie wiedział. Mimo to, kiedy Tonio stanął na początku ciemnego korytarza na piętrze, wstrząsnęło nim drżenie.

Oparł się o ścianę. Powróciło wcześniejsze oszołomienie i nagle zapragnął opuścić to miejsce, znaleźć się daleko, daleko stąd. Stał jednak bez ruchu. Nie musiał długo czekać.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i w świetle sączącym się na kwiecisty dywan ukazali się Guido i hrabina. Mała, pulchna kobieta była wciąż ubrana w balową suknię, ale rozpuściła włosy. A Guido, odwracając się z czułością, zgiął się, by pocałować ją na pożegnanie.

Ich cienie połączyły się. Hrabina odeszła. Wraz z nią zniknęło światło. Guido podążał w kierunku schodów.

Tonio patrzył na to jak oniemiały. Jak oniemiały obserwował zbliżającą się, niewyraźną sylwetkę Guida.

Kiedy ich oczy spotkały się i ujrzał wyraz jego twarzy, nie miał już najmniejszych wątpliwości.

Płakał. Płakał jak dziecko i wcale się tym nie przejmował. Nie mógł się z tym pogodzić. Guido go oszukał. Guido celowo go zranił. Jeśli w pierwszej chwili Tonio zwrócił się do niego ze złością, to tylko dlatego, że wpadł w panikę i rozpaczliwie próbował odegnać ból.

A teraz Guido przemawiał do niego zimnym, beznamiętnym głosem, nic przed nim nie ukrywając! Czego Tonio oczekiwał? Wymówek, może nawet kłamstw? Ale Guido powiedział mu, że go ostrzegał. Będzie spał z kobietami kiedy i gdzie się uda. Nie miało to nic wspólnego z ich miłością.

- Zrobiłeś ze mnie głupca! - szepnął Tonio. Nie był jednak w stanie myśleć. Nie potrafił nadążyć za własnymi oskarżeniami.

- Jak to? Sądzisz, że cię nie kocham? Tonio, jesteś dla mnie całym życiem!

Ale nie było żadnych usprawiedliwień ani wyrzutów sumienia. Guido nie zgadzał się zaniechać spotkań z hrabiną. Był tylko ten jego chłód i ciche, powtarzane wiele razy słowa.

- Ale czy robiliście to tylko dzisiaj, czy także kiedy indziej? Ach, więc zdarzało się to już nieraz.

Guido nie odpowiadał. Stał, milcząc, z założonymi rękami i wpatrywał się w Tonia, jakby nawet na chwilę nie potrafił się wczuć w cierpienia, jakie mu zadaje.

- Jak długo to trwa? Kiedy się zaczęło? - krzyczał Tonio. - Kiedy to przestałem ci wystarczać, powiedz!

- Wystarczać? Jesteś całym moim światem - powiedział miękko Guido.

- Ale nie zrezygnujesz z niej...

Guido milczał.

Nie było sensu więcej mówić. Wiedział, że będą padały wciąż te same odpowiedzi, że może otworzyć się przed nim otchłań, może wrócić cierpienie, rozdzierające jego stare rany. Zaskoczyło go to. Ból zdawał się być nieznośny. Przenikał wszystkie fibry jego jestestwa. Świat, który tu dla siebie stworzył, chwiał się, groziła mu zagłada. Czy teraz miało znaczenie, że przeżył już większe cierpienia? Wszystkie one straciły wagę, istniała tylko ta chwila.

Pragnął wstać, odejść. Nie chciał już nigdy więcej widzieć Guida, hrabiny, nikogo innego. To wszystko było jednak nie do pomyślenia.

- Kochałem cię... - szepnął. - Nie istniał dla mnie nikt inny. Nigdy.

- Nadal mnie kochasz i tylko ty jesteś dla mnie ważny - odparł Guido. - Wiesz o tym.

- Nie mów nic więcej. Zostawmy to. Im więcej mówisz, tym gorzej. To koniec.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, poczuł, że Guido zbliża się do niego.

Chociaż Tonio był pewien, że go uderzy, poczuł, że odwraca się do niego. Wydawało się, że mimo całego swego cierpienia nie może oprzeć się Guidowi. Guido wciąż mógł go ochronić, nawet przed swym własnym okrucieństwem. A kiedy jego ukochany szepnął raz jeszcze: - Jesteś całym moim życiem - zabrzmiała w tych słowach udręka i głód, a Tonio oddał mu się.

Pocałunki Guida były wolne, jakby delektował nimi. Namiętność przychodziła falami, unosiła Tonia, lekko opadała i znów wzbierała.

Kiedy było po wszystkim i leżeli spleceni, Tonio szepnął mu na ucho: - Wytłumacz mi, jak mam to pojąć. Jak możesz mnie ranić i nic nie odczuwać? Ja za nic na świecie nie sprawiłbym ci takiego bólu, przysięgam.

Miał wrażenie, że Guido uśmiecha się w mroku. Nie był to jednak uśmiech pełen złości. Był smutny. Z piersi Guida wydostało się westchnienie, którego przyczyną zdawał się ciężar jakiejś wiedzy.

Objął wreszcie Tonia z rozpaczą, przytulił go bliżej do piersi, jakby ktoś chciał mu go odebrać.

- Z czasem zrozumiesz to, mój śliczny - rzekł. - A na razie okaż mi hojność.

Toniowi zamykały się oczy. Chociaż pragnął temu zaprzeczyć, nawet zapadając się w sen miał wrażenie, że umyka mu spora część zagadki i że dopiero teraz rozumie, jak jest skomplikowana. Budziły się w nim lęki, których nie mógł wypowiedzieć, i przez moment wiedział, że Guido go kocha, a on kocha Guida. Jeśli starałby się znaleźć brakujące części tej układanki, cierpienie znów mogłoby go pokonać.

Pogodził się z tym. Czuł się bezradny, ale się z tym pogodził. W ciągu następnych dni zrozumiał, że postąpił mądrze, gdyż Guido należał teraz do niego bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Uświadomił sobie pewną gorzką prawdę: to nie Guido trzymał go z dala od złotowłosej dziewczyny. Z drwiną wspominał, iż tamtej nocy czuł się winny spojrzawszy tylko na jej dzieła, wiedział teraz bowiem, że mógłby zbliżyć się do niej nic nawet Guidowi nie wyjaśniając, a mimo to nie potrafił zmusić się do tego. Ilekroć ich ścieżki przecinały się, Tonio był milczący i zrozpaczony.

W następnych miesiącach przepelniała go jednak i uspokajała miłość do Guida. Czasem dręczyła go świadomość, że ma on swoją hrabinę. Guido traktował jednak Tonia z coraz większą delikatnością i pokorą, być może dlatego, że wreszcie zaczynało go cenić jako kompozytora, czego od dawna pragnął.

Wraz z nadejściem cieplejszych miesięcy i świąt, procesji, a czasem wycieczek na wieś z Paolem - stało się jasne, że Guido jest niezwykle poszukiwanym muzykiem.

Powierzano mu zaawansowanych uczniów, zainteresowanych kompozycją, a odebrano początkujących. Mając takiego ucznia jak Tonio i zadziwiającego wszystkich Paola, przyciągał o wiele więcej wspaniałych śpiewaków, niż był w stanie przyjąć.

Sprawował niemal całkowitą kontrolę nad szkolnym teatrem, a chociaż był bezlitosny w swych wymaganiach, w oczach Tonia dodawało mu to uroku. Guido wydawał mu się też bardziej imponujący w wyszukanych strojach, które Tonio sam mu kupił.

Twarz Guida łągodniała jednak wraz z władzą, którą zyskiwał. Nie był już teraz ciągle zagniewany. Miał w sobie coś niedbałego, a jednocześnie nakazującego szacunek, co sprawiało, że na samo dotknięcie ręki Tonio omdlewał z rozkoszy.

Maestro Cavalla ostrzegał Guida, by nie przeciążał Tonia. Jednak prawdziwa wspólna praca tej dwójki zaczęła się wraz z przedstawieniami.

Na scenie Guido mógł lepiej ocenić słabostki i mocne strony swego podopiecznego. Chociaż bezlitośnie zameczał Tonia ćwiczeniami i pisał dla niego różne rodzaje arii, to wiedział, że chłopak celuje w *aria cantabile* pełnej smutku i czułości. Benedetto dobrze wykonywał różne sztuczki; potrafił dawać prawdziwie akrobatyczne popisy wysokich dźwięków, by z niepokojącą łatwością obniżyć głos do kontraltu. Zapierało to widzom oddech w piersiach, ale nie doprowadzało ich do płaczu.

Tymczasem król Karol III Burbon, który od dwóch lat władał Neapolem, zdecydował się zbudować Teatro San Carlos, który wykończono w ciągu paru miesięcy, po czym zburzono starą operę San Bartolommeo.

Chociaż wszyscy zachwycali się szybkością, z jaką zbudowano Teatro, w pierwszą noc okrzyki podziwu i zachwytu wywołało przede wszystkim jego wnętrze.

San Bartolommeo mieścił się w starym, prostokątnym budynku. Nowa opera miała kształt końskiej podkowy i składała się z sześciu kondygnacji. Zdumienie budziła jednak nie tyle jej imponująca wielkość, co rześiste oświetlenie oraz fakt, że każda łoża została wyposażona w

lustro i wiszące po obu jej stronach kinkiety na świece. Kiedy zapalono świece, lustra tysiącrotnie wzmacniały blask maleńkich płomyków i rozpraszały światło we wszystkich kierunkach. To niewiarygodne widowisko przyćmiewał tylko talent primadonny Anny Peruzzi i jej śpiewającej kontraltem rywalki, Vittori Tesi, znanej z doskonałego odtwarzania męskich ról. Wystawiano operę *Achille en Sciro* z nowym librettem Metastasia i muzyką Domenica Sarri, którego neapolitańczycy wielbili od lat.

Zaangażowano Pietra Righini, jednego z najznakomitszych scenografów. Przedstawienie było rzeczywiście wspaniałe.

Guido i Tonio zajmowali miejsca na parterze, z przodu. Były to ogromne fotele z poręczami. Wykupiwszy je dla siebie na cały sezon, można je było zamknąć, gdy były nieużywane - w ten sposób miało się pewność, że nikt tych miejsc nie zajmie. Czekały na właściciela bez względu na to, jak późno się pojawił. A odległości między rzędami były tak duże, że można było dojść do swego fotela nikomu po drodze nie przeszkadzając.

Wszyscy wiedzieli, rzecz jasna, iż monarcha nie interesował się operą; śmiano się, że wybudował tak wielki budynek, by siedzieć jak najdalej od sceny.

Jednakże oczy Europy zwróciły się na Neapol z jeszcze większą uwagą niż zwykle. Neapol prześcignął Wenecję, jeśli chodzi o muzykę, śpiewaków i kompozytorów. Dawno już zaćmił też Rzym.

Guido wciąż jednak uważał Rzym za właściwe miejsce na debiut kastrata. Rzym pozostawał Rzymem, mimo iż nie kształcił kompozytorów i śpiewaków. Guido cały czas przypominał o tym Toniowi.

Tonio robił zadziwiające postępy. I chociaż w jesiennej operze szkolnej śpiewał cztery arie, a wieczorami wychodził z Guidem, to jednak wciąż jadał niektóre posiłki z innymi uczniami, spędzał z nimi czas przeznaczony na popołudniowy odpoczynek i jak oni wykonywał prace, które wyznaczono mu do zrobienia za kulisami.

Niedługo po swych drugich Świątach Bożego Narodzenia spędzonych w Neapolu, Tonio miał jednak utarczkę z pewnym chłopcem uczącym się fechtunku. Okazała się ona równie niebezpieczna jak walka z Lorenzem, którą odbył przed rokiem.

Całe zdarzenie miało miejsce pewnego dnia, kiedy Toniowi ciężko było myśleć, snuł się więc po świecie wyjątkowo ospale i obojętnie reagował na wszystko, co zdarzyło mu się widzieć i słyszeć.

Tego ranka dowiedział się z listu Catriny Lisani, że jego matka powiła zdrowego syna. Urodził się pięć miesięcy temu, miał więc już prawie pół roku.

Tonia ogarnęło osłabienie; ze zdziwieniem spostrzegł, że pogrążył się w bezgłośnie modlitwie. Niemalże wyszeptał: - Obyś był zdrowy na ciele i umyśle. Obyś dostał Boże i ludzkie błogosławieństwo. Gdybym był na twoim chrzcie, sam pocałowałbym cię w delikatne czółko.

Przypląnęła do niego wizja swej osoby: tej wysokiej, białej, podobnej do pająka istoty, którą stał się teraz, sunącej przez wilgotne, stęchłe pokoje. Ujrzał długie ramię poruszające kołyską niemowlęcia. Widział łkającą w samotności matkę.

Dlaczego płakała? Powoli zebrał myśli i zdał sobie sprawę, że matka zanosi się płaczem, ponieważ zabił jej męża. Carlo nie żył. Znów była w żałobie, a wszystkie płonące jasno świece, które sobie wyobrażał, zgasły. Z knotów unosiły się cienkie smużki dymu. W korytarzach czuć było smród kanałów. Równie gęsty i namacalny jak zimowa mgła.

- Czego pragniesz? - rzekł wreszcie, składając sztywny pergamin. - Więcej czasu?

Zrobił następny krok. Następny krok. List Catriny zawiadamiał, że Marianna ma znów dziecko!

Kiedy więc przybył na salę fechtunku, przechodząc przez drzwi, bezmyślnie wepchnął się przed młodego Toskańczyka ze Sieny. Zrobił to przez nieuwagę.

Jednak przygotowując się do pierwszej walki, usłyszał za sobą jego opryskliwe słowa i uniósłszy oczy, poczuł się tak samo zdezorientowany jak wtedy, gdy na Placu Świętego Marka po raz pierwszy dowiedział się o Carlu. Stał nieruchomo; przez moment miał wrażenie, że zapada w sen. Patrzył na wypolerowaną podłogę, wysokie okna i długą, pustą salę. Zaczynał rozumieć słowa tamtego: - Eunuch? Nie wiedziałem, że kapłonom wolno nosić szpadę.

Nie było w nich nic nieoczekiwanego czy inteligentnego. Tonio nieraz widział kapłony, te wykastrowane ptaki, obdarte z pierza i gotowe do zjedzenia, zwisające z rzeźniczych haków. Otaczające go lustra odbijały sylwetki stojących wokół młodzieńców w ciemnych spodniach i białych koszulach.

Zdał sobie sprawę, że na sali zapadła cisza, a on sam powoli odwraca się do tyłu.

Młody Toskańczyk patrzył wprost na niego. Tonio nie dostrzegał jednak rysów jego twarzy; miał wrażenie, że słyszy mnóstwo szeptów, echa szeptów wszystkich obecnych w tej sali, wszystkich tych wspaniałych młodych mężczyzn, z którymi zmagał się tutaj, walczył i

wygrywał. Stał nieruchomo, ze zwężonymi oczami i czekał, aż szmer głosów ukształtuje się w zrozumiałe słowa.

Zaczął jednak mgliście zdawać sobie sprawę z tego, że młodemu Toskańczykowi brakowało odwagi. Pozostali byli niespokojni; Tonio czuł panującą w sali niepewność. Widział ich zmieszane, prawie nadąsane miny, czuł zapach ich potu.

Wyczuł u młodego Toskańczyka strach, który potęgował się, aż zastąpiła go panika oraz rozpaczliwa, zgubna duma.

- Nie skrzyżuję szpad z kapłanem! - krzyknął piskliwie chłopak. Okrzyk ten wywołał niejaki szok nawet u tych przenikliwych młodzieńców z południa Włoch.

Tonioniowi przyszła wtedy do głowy dziwna myśl. Dostrzegł całą głupotę tego chłopca. Zrozumiał, iż wolałby on umrzeć, niż stracić twarz w obecności tej niewielkiej grupy towarzyszy. Tonio nie wątpił, że mógłby zabić Toskańczyka. Nikt nie opanował sztuki władania szablą tak dobrze jak on. Chociaż czuł niezłomny gniew, zdawał sobie sprawę z przewagi swego wzrostu, wiedział też, że byłby to czyn bezsensowny. Nie chciał zabijać tego młodego człowieka. Nie pragnął jego śmierci. Jednak mężczyzna powinien tego chcieć; mężczyzna rozumiałby, że nie można znieść takiej zniewagi. Zbiło go to z tropu. A chłopak dawał mu doskonałą okazję! Czuł smutek z powodu tego chłopca. Jeśli jednak pozwoli sobie na dalsze rozterki, stanie się słabszy.

Miał wrażenie, że widzi z daleka, jak on sam patrzy ze złością w zwężonych oczach na przeciwnika i wolno unosi szpadę.

Toskańczyk dobył swój rapier, który z głośnym świstem popłynął w powietrzu do Tonia. Twarz chłopaka wykrzywił strach i gniew; Tonio natychmiast odparował cios i przeciął przeciwnikowi gardło.

Toskańczyk dysząc, wypuścił szablę z dłoni i przycisnął rękę do rany.

W sali zapanowało natychmiast ciche ożywienie, a wokół Tonia zebrała się grupa młodych ludzi, namawiająca go do wyjścia. Widział, że inni zbierają się wokół Toskańczyka; ujrzał krew spływającą na jego koszulę. Mistrz fechtunku naciskał, by ustalili czas i miejsce pojedynku na zewnątrz.

Przez całą powrotną drogę do konserwatorium Tonio przypominał sobie pełne zamieszania chwile, otaczających go i dotykających przyjacielsko, poufale młodych ludzi.

Jeszcze przed północą przyszedł młody Sycylijczyk z wiadomością, że Toskańczyk spakował się i uciekł. Oznajmił to Tonioniowi bez komentarza, ale z pogardliwym uśmiechem na

śniadej twarzy. Po czym, stojąc w bogato dekorowanym salonie konserwatorium, w którym został przyjęty, z wahaniem zaproponował Toniowi, by wybrał się z nim w najbliższym czasie na polowanie. Regularnie jeździł z przyjacielem w góry. Z radością przyjęliby jego towarzystwo. Tonio podziękował mu za zaproszenie, nie mówiąc jednak, czy ma zamiar je przyjąć.

Zaledwie kilka dni później Tonio pojechał na południe, w góry, z Guidem.

Pogoda była ciepła. Wybrali razem jedno z tych nadmorskich miasteczek, które przywierają do stromego klifu nad wodą tak błękitną i spokojną jak nieskazitelne lustro nieba.

Zjedli niewyszukany posiłek na małej, białej piazzie, po czym wezwali grupę obdartych, lecz energicznych ludowych śpiewaków, którzy śpiewali im barbarzyńskie, pomysłowe pieśni, jakich nigdy nie próbowałby wykonać żaden wykształcony muzyk.

Noc spędzili na wymoszczonym słomą łóżku w gospodzie, przy otwartym oknie.

Rankiem Tonio wyszedł samotnie i trafił na umajoną pierwszymi kwiatami dużą łąkę, na której stała kiedyś grecka świątynia.

Wśród zieleni leżały porozrzucane kręgi żłobkowanego marmuru, jednak stały jeszcze wciąż cztery, odcinające się na tle nieba kolumny; kiedy chmury przesunęły się i pojawiły za nimi, kolumny zdawały się lekkie, dziwacznie falujące.

Tonio znalazł podłogę świątyni. Przeszedł ją całą, stąpając po połamanych kamieniach i położył się na świeżej trawie, która wyrastała ze wszystkich szczelin i pęknięć. Patrząc wprost w oślepiające światło, zastanawiał się, czy w całym swym życiu zaznał kiedykolwiek takiego spokoju jak przez ostatni rok.

Wszystko dookoła było wonne i nieskazitelnie piękne. Nigdzie nie kryły się odrażające tajemnice. Dni nie wypełniało wyczerpujące napięcie.

Uspokajała go miłość, miłość, którą darzył Guida, Paola i wszystkich oddanych przyjaciół dzielących z nim dom, pracę, zabawę, naukę, próby i przedstawienia; jedynych braci, jakich kiedykolwiek znał.

Jednak i tam czaiła się ciemność.

Czyhała na Tonia. Czekał na listy Catriny; na zniewagi popędliwego, niebacznego Toskańczyka. Jakże łatwo było o niej na tak długo zapomnieć!

Sam dziwił się teraz, że mógł kiedykolwiek przypuszczać, iż nienawiść i gorycz podtrzymają go, póki Carlo nie spłodzi tylu dzieci, by Tonio mógł powrócić i wyrównać dawne rachunki.

Czyżby miał w sobie jakąś skazę, która pozwalała zapomnieć o wyrządzonej mu krzywdzie, o świecie, który mu odebrano i tak łatwo zagłębić się w to dziwne życie w Neapolu, które teraz wydawało się realniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek przeżył w Wenecji? Czy fakt, że nie pragnął śmierci młodego Toskańczyka, był oznaką słabości? A może czuł w tych chwilach coś daleko rozsądniejszego, bardziej skomplikowanego?

Nagle ogarnął go przerażający strach, że świat nigdy nie pozwoli mu się tego dowiedzieć.

Nie chciało mu się wierzyć, że kiedykolwiek mieszkał w Wenecji i widział mgłę zasnuwającą nieruchome kanały koloru ołowiu albo mury wyrastające tak blisko po obu stronach, że niemalże zasłaniały gwiazdy.

Srebrzyste kopuły, zaokrąglone łuki, mozaiki migoczące nawet w deszczu: cóż to było za miasto?

Zamknawszy oczy, starał się przypomnieć sobie matkę. Usiłował przywołać brzmienie jej głosu i obraz jej postaci wirującej w tańcu na zakurzonej podłodze. Czy rzeczywiście kiedyś podszedł do niej płacząc, gdy stała przy oknie? Śpiewała jakąś popularną, uliczną piosenkę. Czy myślała o Stambule? Wyciągnął do niej rękę. Odwróciła się, by go uderzyć. Czuł, że pada... Czy to rzeczywiście kiedyś się zdarzyło?

Stał na trawie. Dookoła rozciągał się dywan zieleni. W dali ujrzał ciemną sylwetkę Guida, stojącego samotnie pośród wielkiej smugi drobnych kwiatów przecinającej ogromną, piękną łąkę jak białe ślady chmur. Maestro stał nieruchomo, z głową przechyloną na jedną stronę, jakby słuchał dochodzącego z oddali śpiewu ptaków albo po prostu wsłuchiwał się w pustkę.

* * *

- Carlo. Carlo! - szepnął Tonio, jakby nie był w stanie opuścić tego miejsca, nie uświadamiając sobie realnego istnienia swego ojca. Po czym zacisnął powieki przed widokiem łagodnych, bezkresnych pól i znalazł się w tym dobrze mu znanym, odległym mieście; podkradał się jak kot, zawzięcie, aż wreszcie nieoczekiwanie, w jakimś mrocznym zakątku zbliżył się i ujrzał na jego twarzy przerażenie i szok.

Drogi Guido, ileż bym dał, by przeżyć choć jeden dzień nie wychylając tej czary goryczy!

Minęło następnych siedem miesięcy, nim Tonio dostał od samej Marianny list, zawiadamiający go o narodzinach jej drugiego syna.

Tak był wstrząśnięty widokiem jej pisma na kopercie, że nosił list cały dzień przy sobie i otworzył go dopiero, gdy znalazł się samotnie nad brzegiem morza.

Liczył na to, że ryk fal zagłuszy rozbrzmiewający w jego uszach głos matki, który wydawał mu się równie niebezpieczny, jak pieśń syren.

Nie ma godziny, bym nie myślała o Tobie, nie użalała się nad Tobą i nie obwiniła się o Twój pochopny, potworny czyn. Nie straciłam Cię, bez względu na to, jak się temu opierasz, bez względu na to, jak nierozważnie i mściwie się zachowujesz.

Tydzień temu urodził się w tym domu Twój braciszek, Marcello Antonio Treschi. Żadne dziecko nie zajmie jednak Twojego miejsca w moim sercu.

Za kilka dni Tonio miał zagrać swą pierwszą główną rolę w operze napisanej przez Guida i przeznaczonej na scenę konserwatorium. Wiedział, że jeśli nie uda mu się zapamiętać tego listu, nie będzie w stanie wystąpić.

W miarę zbliżania się przedstawienia pracował uparcie, nawet zbyt ciężko, wiedziony niezłomną wolą. W dniu premiery nie myślał o niczym innym prócz muzyki; był Toniem Treschim z konserwatorium, a później, kiedy tylko szaleńcze uściski mogły zagłuszyć odgłos oklasków rozbrzmiewający mu w uszach, kochankiem Guida.

Dni, które nastąpiły po tym sukcesie, wypełnione były obsesyjnymi myślami o matce, chociaż niewiele zostało już z miłości, którą żywił do niej Tonio, oraz ze wspomnień o jej urodzie i rzadkich między nimi chwilach czułości.

Była teraz żoną Carla; należała do niego! Jak mogła mu uwierzyć? A jednak zawierzyła mu bez cienia wątpliwości.

Rzecz jasna, mimo niemalże szaleńczego gniewu, Tonio znał odpowiedź. Zaufała Carlowi, bo musiała to zrobić, jeśli chciała dalej żyć, uciec od pustych apartamentów i zimnego łóżka. Cóż prócz Carla zostało dla niej w tym domu?

Myśli te prawie bez przerwy krążyły mu po głowie i czasem nie był w stanie uciec od wspomnień tego, jak nieszczęśliwa i samotna była przedtem matka, od wspomnień jej napadów okrucieństwa, które nawet teraz przyprawiały go o dreszcze.

Umarłaby zamknięta w klasztorze, był tego pewien, a jego brat, jego potężny, sprytny, prawy, zdeprawowany i uparty brat, wziąłby sobie inną żonę.

Stała przed niezwykle trudnym wyborem, a życie z mężczyzną, który by jej nie kochał, stałoby się równie nieznośne jak zamknięcie w klasztornej celi. Uczucie mężczyzny potrzebne jej jest tak samo jak jego opieka i nazwisko. Jakież w końcu miała w przeszłości pożytek z samej opieki i nazwiska?

- A ja ponownie każę jej wrócić w samotność - rozmyślał Tonio. - Wyślę ją z powrotem do klasztoru... - Raz jeszcze ujrzał Mariannę w czarnym, wdowim welonie.

Wizja ta wydawała mu się bardziej rzeczywista, niż obrazy wyczarowywane w listach, obrazy chrzczonych dzieci i toczącego się w tym domu życia, jakiego nigdy nie znał.

Odwracała się od niego, lżyła. Przeklinała go, zaciskając pięści. Jej krzyk dobiegał do niego przez lata i mile, przez niewyraźny obraz przeszłości. - Jestem bezradna - krzyczała. Jego gniew zostawił ją nieubłaganie w tyle, tak że stała się cieniem, nie bardziej zdolnym do oddziaływania na jego przyszłość, jak na to, co zdarzyło mu się w przeszłości.

Była dla niego stracona, naprawdę stracona, a jednak czasem myślał o niej z zamglonymi oczami i odwracał się gwałtownie, z mocno bijącym sercem, od codziennego widoku czarno ubranych kobiet we wszystkich kościołach; od starych i młodych wdów zapalających świece, klęczących przed ołtarzami, spacerujących czarnymi grupami po ulicach w towarzystwie starych służących.

Masowo napływały teraz do Tonia zaproszenia do śpiewania na prywatnych kolacjach i koncertach. Raz odważył się wybrać do domu starej markizy, którą spotkał na swym pierwszym przyjęciu u hrabiny Lamberti.

Z czasem zaczął jednak, bez względu na to, o co go proszono, wysyłać tylko odpowiedzi z wyrazami żalu, że nie może przybyć.

Guido był oczywiście wściekły.

- Muszą cię słyszeć! - naciskał. - Muszą cię słyszeć i widzieć w znamienitych domach. Nie rozumiesz, że musisz dać się poznać zagranicznym gościom?

- Mogą mnie usłyszeć i zobaczyć tutaj, jeśli tylko zechcą - odparł Tonio, szybko obarczając winą za swe odmowy napięty plan zajęć. - Zbyt wiele ode mnie wymagasz! - dodał z przekonaniem. - Poza tym Maestro zawsze narzeka, że chłopcy mają tylko kłopoty, kiedy opuszczają konserwatorium, za dużo piją...

- Przestań - przerwał mu z pogardą Guido.

Konserwatorium stało się jednak jedynym miejscem występów Tonia.

Coraz więcej czasu spędzał tutaj, jeśli nie był w szkole fechtunku, i nigdy nie przyjmował od innych uczących się władania szpadą młodych ludzi zaproszeń do lokali czy na polowania.

Raz po raz zaskakiwał go widok złotowłosej dziewczyny. Była w kościele Franciszkanów, gdy wraz z innymi chłopcami przybył tam na tradycyjny występ. W Teatro San Carlos siedziała jak królowa w łożu hrabiny. Była zwrócona twarzą w stronę sceny, jak mieli zwyczaj robić to Anglicy, a muzyka zdawała się ją pochłaniać.

Pojawiała się też w konserwatorium, ilekroć Tonio tam śpiewał.

Chłopak od czasu do czasu wybierał się do hrabiny z jednym tylko celem, do którego sam przed sobą się nie przyznawał. Udawał się do kaplicy i patrzył na delikatne freski w ciemnych kolorach, na Dziewicę Maryję o owalnej twarzy, na anioły o sztywnych skrzydłach i na muskularnych świętych. Kiedy tam przychodził, było już zawsze późno, a on sam był już pod wpływem nieco zbyt dużej ilości wina. Ujrawszy potem na sali balowej dziewczynę, wpatrywał się w nią czasem tak zuchwale, że jej rodzina z pewnością musiała uznać to za obrazę.

Nikt jednak nigdy nie zareagował.

Coraz bardziej pochłaniało go życie w konserwatorium i właściwie nic nie zakłócało reżimu, jakiemu był poddany, ani nie mąciło jego codziennego szczęścia, prócz długich listów kuzynki Catriny, która - mimo iż tak rzadko jej odpisywał, jeśli w ogóle to robił - stawała się coraz bardziej zuchwała.

Listy, najwyraźniej przeznaczone wyłącznie dla oczu Tonia, doręczał zawsze ten sam młody Wenecjanin z ambasady.

Catrina także zawiadomiła go o narodzinach drugiego dziecka Marianny, pisząc po prostu, że jest równie zdrowe, jak jej pierwszy potomek:

Doniesiono mi jednak, że Twój brat ma o wiele więcej bastardów niż prawowitych potomków. Zdaje się, że nawet wspomniały sukces, jaki odniósł w Senacie i radach, nie odstręcza go od ciągłego szukania rozkoszy w ramionach przedstawicielek płci pięknej.

Twoją matkę czci jednak jak zawsze, o nią więc nie musisz się obawiać.

Wszystkich zadziwia wigor i krzepkość Carla, wytrzymałość, która pozwala mu pracować i bawić się od świtu do chwili, gdy zegary wybiją północ. Na wyrazy podziwu od razu odpowiada, że to wygnanie i niepowodzenia sprawiły, iż teraz potrafi delektować się życiem.

Na każdą wzmiankę o młodszym bracie, Toniu, oczy wypełniają mu się, rzecz jasna, łzami. Och, jakżeż wdzięczny jest za wiadomości, iż dobrze wiecie Ci się na południu, mimo to martwi go jednak, iż tak wiele słyszy o Twym śpiewie i waleczności we władaniu szpadą.

- Scena? - pyta mnie. - Chyba nie sądzisz, że kiedykolwiek wystąpi na scenie? - I wyznaje, iż sądził, że masz charakter zbliżony do usposobienia Twego dawnego nauczyciela, Alessandra.

Zauważam wtedy, że masz raczej predyspozycje, by stać się drugim Caffarellim. Powinieneś widzieć, jaki ma wtedy wyraz twarzy!

Chciałby, żeby wszyscy nad nim boleli! Możesz to sobie wyobrazić? Pyta, czy nie wiem, co dla niego znaczy, iż tak często przypomina mu się o całej tej hańbie.

- Ach, fechtunek! - mówi. - Cóż z tego! Pragnę dla niego tylko spokoju.

- A gdzież można znaleźć większy spokój niż w grobie? - odpowiadam mu na to. Ponownie ulega wtedy emocjom i zalany łzami opuszcza mój dom.

Wkrótce jednak wraca, wzmocniony winem i wyczerpany grą w kasynach. Z zamglonymi oczami potępia mnie za to, że go prześladuję, i przyznaje, że owszem, jeśli już koniecznie muszę to wiedzieć, nieraz myślał, że lepiej byłoby dla jego nieszczęsnego brata Tonia, by chirurg nieopatrznie wyrządził mu większą szkodę, a chłopak spoczywał teraz w spokoju.

- Ależ dlaczego? - śmieję się. - Cóż za potworność! Przecież Toniowi najwyraźniej doskonale się powodzi!

- A jeśli zginie w jakiejś głupiej walce na szpady? - pyta. - Martwię się o niego w dzień i w nocy. - Nie powinien był ci posłać szpad, o które prosiłeś, oznajmia.

- Szpady i tak mógłby kupić gdziekolwiek - zauważam.

- Mój braciszek, mój braciszek! - powtarza z takim uczuciem, że wycisnęłoby ono łzy z oczu publiczności. - Czy ktokolwiek wie, ile przecierpiałem? - Wreszcie odwraca się ode mnie, jakby nie mógł powierzyć komuś tak naiwnemu i nieprzychylnemu całej głębi swych przeróżnych żalów!

Poważnie mówiąc, Tonio - błagam, byś był uważany i rozsądny. Jeśli jeszcze coś usłyszysz o Twym doskonałym władaniu szablą, może poczuć się zmuszony do wysłania siepaczy do Neapolu, by cię chronili. Wydaje mi się, że towarzystwo tych ludzi bardzo by cię ograniczało albo wręcz przytłaczało. Toniu, bądź uważny i rozsądny!

Jeśli chodzi o scenę i Twój głos, to jakże ktokolwiek mógłby ci zabronić używania tego Bożego daru? Leżąc w bezsenne noce w łóżku, słyszę Twój głos. Gdybym tylko mogła raz jeszcze

naprawdę go usłyszeć, raz jeszcze wziąć Cię w ramiona, by okazać, że kocham Cię równie mocno, co zawsze! Twój brat musi być głupcem, jeśli sądzi, że nie dokonasz wielkich czynów.

Tonio bardzo długo nosił przy sobie ten list, nim powierzył go w końcu, jak tyle innych, płomieniom.

Wydawał mu się on zabawny, dziwnie fascynujący, a ponadto sprawił, że jego nienawiść do Carla zapłonęła nowym, gorętszym żarem.

Jak dobrze potrafił sobie wyobrazić brata wychylającego puchar, jakim była Wenecja! Jak wyraźnie rysowała się przed jego oczami postać Carla sunąca z sali balowej do Senatu i Ridotto, a stamtąd w ramiona kurtyzany!

Tonio nie zważał jednak na delikatne ostrzeżenia Catriny. Nic nie zmienił w swym życiu.

Tak samo jak zawsze oddawał się fechtunkowi. Doskonalił też strzelanie z pistoletu do celu, gdy tylko znalazł na to czas. Ćwicząc samotnie w pokoju, ulepszył swe umiejętności władania sztyletem na tyle, na ile mógł to zrobić ktoś pozbawiony luksusu zagłębiania go regularnie w ludzkie ciała.

Wiedział jednak, że to nie wojowniczość czy odwaga kazały mu tak władczo zachować się w stosunku do Giacomina Lisaniego czy osiągać takie umiejętności władania bronią.

Pchał go do tego fakt, że w żaden sposób nie mógł ukryć przed innymi, kim jest.

Coraz częściej spojrzenia ludzi, z którymi się stykał, mówiły mu, że wiedzą, iż jest eunuchem. A ze wzroku młodych nepolitańczyków odczytywał, że zdobył sobie ich bezgraniczny szacunek.

Jeśli chodzi o scenę, o stanie się - jak pochlebnie określiła to Catrina - drugim Caffarellim, to pragnął i jednocześnie obawiał się tego tak, że czasem jego samego to zadziwiała.

Upajały go oklaski, makijaż, lśnienie pięknych dekoracji, chwile, w których słyszał własny głos dźwięczący ponad innymi, rzucający ulotne i potężne czary na wszystkich, którzy pragnęli go słuchać.

Jednakże myśl o ogromnych teatrach napelniała go dziwnie podniecającym strachem.

- Dwoje dzieci w ciągu roku!

Czasem uświadamiał sobie to tak wyraźnie, z taką mocą, że aż przystawał. Dwoje dzieci, dwóch zdrowych synów!

Wiele weneckich rodzin tylko w taki sposób zapewniało sobie nieśmiertelność.

Żałował, jakże żałował, że matka i ojciec nie dali mu nieco więcej czasu!

Spacerując w samo południe wśród tłumu rojącego się na Via di Toledo, Tonio zdał sobie sprawę, że jest pierwszy dzień maja i minęły właśnie trzy lata od jego przybycia do Neapolu.

Wydawało mu się to niemożliwe. A jednocześnie miał wrażenie, że zawsze tu mieszkał i nigdy nie znał innego życia.

Zatrzymał się zagubiony, chociaż ciżba ludzi popychała go w przód, i odwróciwszy się, spojrzał na doskonale błękitne niebo. Poczul bryzę tak delikatną i ciepłą, jak uścisk ramion.

W pobliżu znajdowała się mała gospoda, z której wystawiono na bruk kilka stolików. Oślaniały je dwa powykręcane drzewa figowe. Tonio wszedł do środka i zamówił butelkę neapolitańskiego, białego wina Lagrima Christi, które bardzo polubił.

Liście figowców rzucały na kamienie ogromne cienie w kształcie dłoni, a uwięzione między ścianami ciepłe powietrze pulsowało w ciągłym ruchu.

Za chwilę był już pijany. Wystarczyło mu pół kieliszka, by opadając na oparcie prostego krzesła i obserwując sunący ulicami tłum, poczuć zalewającą całe ciało radość. Neapol nigdy jeszcze nie wydawał mu się tak piękny. Mimo wszystkiego, czego w nim nie lubił - widocznej wszędzie biedy i rzucającego się w oczy lenistwa szlachty - czuł się częścią tego miasta i rozumiał je na swój własny sposób.

Być może radość ta spowodowana była faktem, że rocznice zawsze wywoływały w nim jakieś świąteczne uczucia. W Wenecji było ich wiele i zawsze czczono je różnymi uroczystościami; nie były sposobem odmierzania życia, a po prostu sposobem na życie.

Po porannych zajęciach szczęście dawało mu wrażenie cichej ulgi.

Całymi godzinami był uwięziony u krawca. Nie mógł uciec od luster. A szwaczki przypominały mu o jego coraz pokaźniejszym wzroście. Mierzył teraz sześć stóp i nikt nie nazwałby go już chłopcem.

Rumiana twarz, obfitość włosów, niewinna mina: wszystko to, w połączeniu z długimi kończynami, oznajmiało całemu światu, że jest eunuchem.

Chwilami pochwały, jakimi go obdarzano, wywoływały gniew; przypominał mu się jakiś stary mężczyzna w pokoju na strychu, mężczyzna potępiający świat, w którym o wszystkim decydował dobry smak. To dobry smak sprawiał, że taka sylwetka, jaką cieszył się Tonio, była w modzie. To dobry smak kazał kobietom składać mu hołdy i dowody uwielbienia, podczas gdy

Tonio widział w lustrze tylko całkowitą ruinę Bożego dzieła. Przerazające było obserwować, jak cały plan stworzenia sypie się w gruzy. Zastanawiał się czasem, czy ludzie poważnie chorzy nie odczuwają tego samego, kiedy tracą czucie w kończynach albo gdy z powodu jakiejś gorączki wypadają im włosy. Ciężko chorzy pociągali go; interesowały go wybryki natury, liliputy i karły, które widział czasem występujące na małych scenach w mieście, kaleki, para zrośniętych biodrami istot, które siedząc na jednym krześle, śmiały się i piły wino. Takie stworzenia przyciągały go i dręczyły. Uważał się za jedno z nich, ukryte pod wspaniałym przebraniem z brokatu i koronek.

Kupił wszystkie tkaniny, które pokazał mu krawiec; zapłacił za tuzin niepotrzebnych mu chusteczek, fularów, rękawiczek.

- Dzięki nim staniesz się jeszcze bardziej niewidoczny, drażalu - szepnął do swego lustrzanego odbicia.

Teraz uśmiechał się, czując pierwszą, wspaniałą, wywołaną winem euforię - natychmiastową reakcją alkoholu z letnim upałem. - Mógłbyś jeszcze być brzydki - powiedział sam do siebie. - Mógłbyś stracić głos tak jak Guido. Niech już więc będzie, jak jest.

Jednak łagodne tortury w pokoju przymiarek przypomniały mu ostatnie kłótnie z Guidem i z Maestro di Capella, kłótnie, które niewątpliwie jeszcze się powtórzą. Guido był rozczarowany, kiedy Tonio odmówił grania roli primadonny w wiosennej operze szkolnej, stwierdzając raz jeszcze, że nie, nigdy nie pokaże się w stroju kobiety. Maestro ponownie usiłował go ukarać, powierzając drugorzędną rolę. Tonio nie okazał jednak skruchy.

Wiosenna opera zaniepokoiła go tylko dlatego, że na premierze nie było jego złotowłosej przyjaciółki. Od pewnego czasu nie pojawiała się też w kaplicy. Nie widział jej również na ostatnim balu u hrabiny. Bardzo go to poruszyło.

Nauczyciele nie zamierzali dać mu spokoju, jeśli chodzi o role kobiece. Nie dzielili przekonania Tonia, że może zrobić karierę grając tylko męskie postacie. Kilka wieków temu wprowadzono eunuchów na sceny właśnie po to, by grali damskie role, a chociaż teraz kobiety występowały już wszędzie poza Państwem Kościelnym, kastraci nadal słynęli z wykonywania takich ról. Ponieważ większość głównych partii w operach pisano dla wysokich głosów, należało być przygotowanym na wszystko; kobiety grały również często role mężczyzn.

Maestro di Capella zdecydował się wreszcie wezwać Tonia.

- Wiesz równie dobrze jak ja - zaczął - że doświadczenie to jest ci potrzebne, jeszcze nim opuścisz konserwatorium. A czas twojego debiutu już się zbliża.

- To niemożliwe - odparł Tonio. - Nie jestem jeszcze gotów.

- Milcz - rzekł Maestro. - Jestem lepszym sędzią twych postępów niż ty sam. Wiesz, że mam rację. Nie myślę się też naciskając, byś występował poza konserwatorium, ale tego także odmawiasz. Czy nie zdajesz sobie sprawy, Tonio, że zacząłeś traktować tę szkołę jak azył?

Tonio wzdygnął się. - To nieprawda - mruknął z gniewem, wiedział jednak, że Maestro ma rację.

- Kiedy tu przybyłeś, Tonio - rzekł Maestro - i zdecydowałeś się śpiewać, nie sądziłem, że wytrwasz. Myślałem, że tutejsza dyscyplina okaże się dla ciebie o wiele za twarda i uzbroiłem się w męstwo na czas, gdy znów ujrzę rozczarowanie Guida. Zdziwiłeś mnie.

Stałeś się tu arystokratą; zmieniłeś to miejsce w małą Wenecję. Błyszczałeś tutaj tak, jak mógłbyś błyszczeć w rodzinnym mieście.

Ale konserwatorium, tak jak i Wenecja, nie jest całym światem. A ty jesteś już gotów, by wyjść w świat.

Po dłuższej chwili Tonio odwrócił się i spojrzał mówiącemu w oczy.

- Czy mogę zawierzyć panu pewną tajemnicę? - spytał.

Maestro skinął głową.

- Nigdy w życiu nie zaznałem takiej radości jak tutaj.

Maestro uśmiechnął się z czułością i smutkiem.

- Czy to pana dziwi? - zapytał Tonio.

- Nie - odparł Maestro. - Nie w przypadku kogoś, kto dysponuje takim głosem jak ty. Nie dziwi mnie to. - Schylił się nad biurkiem. - W tym tkwi twoja moc i siła. Przyrzekłem ci kiedyś, że będzie tak, jeśli tylko sam na to pozwolisz. Taka jest prawda. Teraz powiem ci coś jeszcze. Guido też jest gotów do wyjścia w świat. Może już napisać dla ciebie premierową operę na rzymską scenę. Traktuje cię z cierpliwością, gdyż nie chce, byś cierpiał. Czeka więc. Ale obaj jesteście już odpowiednio przygotowani, a Guido pracuje i czeka już bardzo, bardzo długo.

Tonio nie odpowiedział. Nie był pogrążony w myślach. Uświadamiał sobie tylko, że w normalnych warunkach stałby się już mężczyzną. Wyglądałby i śpiewał jak swój sobowtór z Wenecji; żałował nieco, że nie pamięta lepiej tembru tego męskiego głosu. On sam mówił z

przyzwyczajenia miękko, nisko. Kontrolował to i nie zapominał się nigdy, nawet kiedy wybuchał śmiechem.

- Będę jeszcze bardziej okrutny - oświadczył Maestro. - Są tu także inni, przygotowani do stanięcia w światłach rampy i gotowi zająć twoje miejsce.

Sądziysz, że nie wiem, co ci się przydarzyło? Guido przez wszystkie te lata odpowiadał mi tylko milczeniem; ty także. Mimo to wiem, co się stało, ile przecierpiałeś...

- Nie wie pan - odparł ostro Tonio - bo panu nigdy to się nie przydarzyło.

- Mylisz się. Prawdziwe zło na tym świecie wyrządzają tylko ludzie pozbawieni wyobraźni. Ja ją mam. Wiem, co straciłeś.

Tonio nie odpowiadał. Nie chciał przyznać mu racji. Te słowa uderzyły go jako dumne i próżne, a jednak pozostałe sądy Maestra były właściwe.

- Proszę mi dać nieco więcej czasu... - rzekł w końcu Tonio, bardziej do siebie niż do Maestra. A Maestro, zadowolony, że został zrozumiany, zostawił całą sprawę otwartą.

A więc dzisiaj była trzecia rocznica jego przybycia do Neapolu.

Pośród radości świętowania, tej delikatnej euforii, wyraźnie poczuł, że Maestro ma rację.

Kiedy wrócił do konserwatorium, prawie zapadł już mrok. Wcześniej udał się do nadmorskiego Albergo Inghilterra i wynajął kilka pokoi. Miał zamiar zabrać tam tej nocy Guida, a po drodze wysłuchać w pobliskim kościele śpiewu Caffarellego. Caffarelli przebywał w Neapolu niemal od roku i często występował w Teatro San Carlos. Obejrzenie go w operze przy tej wyjątkowej okazji znaczyło dla Tonio bardzo wiele.

Nie znalazłszy Guida w gabinecie, wszedł na jego pokoje.

Guido był już ubrany do wieczornego wyjścia w miękki surdut z czerwonego aksamitu, który kupił mu Tonio. Na lewą dłoń zakładał ozdobiony drogimi kamieniami pierścień. Starannie przyczesane, gęste loki lśniły czekoladowym brązem i cała jego postać zdawała się dziwnie jaśnieć. Zakładał nową parę białych, jedwabnych rękawiczek. Miał na sobie buty zdobne w sprzączkę z górskiego kryształu.

- Szukałem cię przez całe popołudnie - rzekł. - Chciałbym, żebyś wcześniej przyszedł dziś do hrabiny. Zjedz lekką kolację i nie pij więcej wina. To szczególny wieczór; zrób, co ci mówię, i nie życzę sobie słyszeć żadnych wymówek. Wiem, że nie chcesz tam iść, ale musisz.

- Kiedyż to nie chciałem tam iść? - spytał Tonio. Guido nigdy nie wydawał mu się tak przystojny jak wtedy, gdy gdzieś wychodził.

- Ostatnie sześć razy, kiedy zostałeś zaproszony - odparł Guido. - Ale dzisiaj musisz przyjść.

- Dlaczegoż to? - spytał zimno Tonio. Nie mógł uwierzyć w ironię tego zdarzenia. Przypomniały mu się plany Domenica, ten sam hotel, pokoje z widokiem na morze. Uśmiechnął się. Cóż może powiedzieć?

- Hrabina miała ciężkie przejścia, to pierwszy bal, jaki wydaje, odkąd wróciła. Wiesz, że zmarł jej kuzyn, stary Sycylijczyk, mieszkający w Anglii. Musiała przywieźć go z powrotem do Palermo i tam pogrzebać. Przypuszczam, że nigdy nie widziałeś pogrzebu w Palermo.

- Niczego nie widziałem w Palermo.

Guido przesuwał leżące na biurku pliki powiązanych partytur.

- Na czas ceremonii pogrzebowej w kościele musieli umieścić staruszka na krześle, a potem ustawić w grobowcu wraz z resztą rodziny Capuchin. Te katakumby tworzą rodzaj podziemnego miasta umarłych: są tam setki odpowiednio odzianych, stojących lub leżących zwłok. O wszystko to dbają mnisi.

Tonio wzdrygnął się. Słyszał już o tym. Nie mógł wyobrazić sobie, by coś podobnego mogło istnieć w północnych Włoszech.

- Cóż, w hrabinie płynie dostatecznie wiele sycylijskiej krwi, by mogła nie przejmować się tym zanadto, ale żona starca, młoda Angielka, którą poślubił, wpadła w histerię, kiedy ujrzała katakumby. Trzeba ją było wyprowadzić.

- Nic dziwnego.

- W każdym razie hrabina wróciła. Wykonała swój obowiązek, kuzyn został pochowany, więc ten bal jest dla niej bardzo ważny. Przyjdź wcześniej, jak prosiłem.

- Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Hrabina lubi cię, zawsze darzyła cię sympatią - odparł Guido. - No! - Objął Tonia i mocno go uścisnął. - Tak jak mówiłem, nie pij więcej wina.

Kiedy przybył, cały dom spowijała ciemność. Wszedł z kościoła, gdy tylko Caffarelli skończył pierwszą arię. Głos tego kastrata ekscytował go, a jednocześnie wywoływał w nim pokorę. Nie zaczęły go prześladować żadne wspomnienia z Wenecji; zbyt wiele razy słyszał już od tego czasu Caffarellego; był spragniony tej doskonałości, żądry rozbrzmiewającej w jego śpiewie, zrozumienia tysiąca drobiazgów, które tak rzadko znajdował teraz u innych otaczających go ludzi.

Pragnął, by Caffarelli zapalił w nim też nowy, szczególny płomień. Chciał, nie zdając sobie z tego sprawy, by ten śpiewak dodał mu odwagi, której było mu brak.

Nie wiedział, czy mu się to udało.

Przyjemnie było przybyć wcześniej do domu hrabiny i ujrzeć cały ten złocony tynk w świetle księżyca. Oddał pelerynę odźwiernemu, oświadczył, że jeszcze nie ma na nic ochoty i zaczął spacerować samotnie po pustych pokojach. Cienie nadawały upiorny wygląd prostym meblom, które zdawały się unosić nad rozświetlonymi dywanami. Do wnętrza wpływało ciepłe, słodkie powietrze. Nie czuć w nim było jeszcze zapachu dymu, palącego się wosku ani francuskich perfum.

W rzeczywistości nie przyszedł tu, jak przypuszczał Guido, z niechęcią. Po prostu znudziły go bale, szczególnie odkąd cztery czy pięć miesięcy temu zniknęła złotowłosa dziewczyna. Ale może będzie tu dzisiaj. Ten dom, otwarty na wonną noc, brzęczącą od owadów i pachnącą różami, stanowił kwintesencję południa. Nawet niewyobrażalna liczba służących wydawała się czymś szczególnym w tej części kraju - tłum cierpiących biedę ludzi, odzianych w koronki i atlas, pracujących prawie za darmo, przenoszących z pokoju do pokoju małe świece.

Znalazł się w ogrodzie. Nie chciał patrzeć, jak dom budzi się do życia, a spojrzawszy w tył na przepaść salonu, który właśnie opuścił, ujrzał odległy pochód muzyków idących korytarzem i dźwigających na zgiętych plecach wielkie kontrabasy i wiolonczele. Przeszedł też Francesco, trzymający swoje skrzypce za gryf, jakby ścisnął szyję jakiegoś dużego, martwego ptaka.

Tonio spojrzął na księżyc. Dookoła rosły schludnie przycięte drzewa cytrynowe, marmurowe ławki błyszczały mgliście na tle dywanu trawy, a przed Toniem ciągnęła się prawie niedostrzegalna kamienna ścieżka.

Zaczął iść. Kiedy z tyłu rozbrzmiały jaśniej światła, minął furtkę wiodącą do rosarium, które, jak wiedział, było położone na lewo od ogrodu. Kwitły tu najpiękniejsze róże, którymi opiekowała się sama hrabina, a Tonio pragnął, by ta słodycz otaczała go jak najdłużej. Był pierwszy maja, wszystko wciąż wywoływało w nim wspomnienia, dziwne myśli; pragnął samotności.

Kiedy wszedł do samego ogrodu różanego, ujrzał w oddali silne światło dobywające się z małego budynku gospodarczego, który stał tuż za domem. Drzwi były otwarte. Zbliżył się do

budyneczku i delikatnie dotykając gdzieś dłońią jakiegoś wyjątkowo obfitego kwiatu, Tonio ujrzał przez nie wspaniałe kolory, twarze i coś, co zdawało się niebem.

Zatrzymał się. Musiało to być złudzenie. Drzwi stanowiły bramę do jakiegoś zatłoczonego, burzliwego świata.

Podszedł bliżej i zrozumiał, że ma przed sobą pokój pełen obrazów! Na ścianie wisiało jakieś ogromne malowidło, ale przed nim, na sztalugach stały inne. Tonio zatrzymał się na jakiś czas i patrzył na nie. Z daleka wyglądały na wykończone i żywe. Grupy biblijnych postaci były z pewnością równie doskonałe, co podobne malowidła zdobiące pałace i kościoły, w których bywał. Był tam święty Michał, zapędzający potępionych do piekła. Archanioł, pod którego wzniesionymi skrzydłami powiewała peleryna, a jego twarz subtelnie oświetlał płonący niżej ogień. Pod nim wisiał obraz nie znanej Toniowi świętej, przyciskającej do piersi krzyż. Barwy pulsowały w świetle. Wszystkie te dzieła zdawały się ciemniejsze, poważniejsze niż te, które Tonio widział jako dziecko w Wenecji.

Z pokoju dobiegały ciche dźwięki.

Spokój ogrodu, skrywająca Tonia ciemność, sprawiły, że poczuł się niewidzialny i podszedł bliżej, wyczuwając woń farby, terpentyny i oleju.

Kiedy jednak dotarł do progu, zorientował się, że w środku pracuje artysta. - Niemożliwe, by to była ona - pomyślał. W malowidłach tych widać było coś władczego, nawet męskiego, czego brakowało w jasnych i pełnych lekkości freskach, zdobiących ściany kaplicy. Gdy jednak ujrzał czarno ubraną postać schyloną nad płótnem, zdał sobie sprawę, że to kobieta maluje. Trzyma w dłoni pędzel, a na jej plecach spadają gęste, błyszczące, jasne włosy.

To ona.

- Jestem z nią sam na sam - pomyślał nagle. Stał nieruchomo.

Widok podwiniętych rękawów, odsłaniających jej ręce i zniszczonego, czarnego fartucha pomazanego farbą, wprowadził go w panikę. Wydawała mu się w tym niekompletnym stroju piękna. Stał patrząc na jej delikatny profil, intensywnie różowe usta, ciemnoniebieskie oczy.

W chwili kiedy zdał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej odejść, dziewczyna odwróciła się szeleszcząc suknią z tafty, którą miała pod fartuchem, i spojrzała Toniowi prosto w oczy.

- Signore Treschi - powiedziała, a jej głos przeniknął go, wywołując skurcz serca. Ten słodki, miękki sopran zabrzmiał tak niespodziewanie, że Tonio musiał przypominać sam sobie, że powinien coś odpowiedzieć.

- Signorina - wyjąkał i uklonił się.

Uśmiechała się; zdawało się, że zapłonęła nagle radością, która sprawiła, iż jej niebieskie oczy rozbłysły. Kiedy wstała, zawiązany pod szyją fartuch rozchylił się, ukazując Toniovi różowe ciało widoczne w dekolcie czarnej sukni dziewczyny. Gdy śmiała się, jej policzki wydały się pulchniejsze, a Tonio miał wrażenie, że ona sama stała się nagle krągła i rzeczywista, tak jakby przedtem widział ją tylko na scenie. Teraz stała przed nim.

Jej włosy nie były sztywno ułożone, a po prostu przedzielone na środku głowy i puszczone luźno w dół; jak zawsze otaczała ją aureola drobnych loczków. Tonio zastanawiał się, jakie były w dotyku. Ta prostota mogłaby okazać się fatalna dla innej twarzy. W obliczu młodej malarki najważniejsze były niebieskie oczy otoczone ciemnymi rzęsami oraz powaga, która nagle się pojawiła.

Wyraz jej twarzy zmienił się tak niespodziewanie, że Tonio był przekonany, iż to jego widok wywołał taką reakcję. Nagle pojął, że ta dziewczyna nie potrafi ukrywać swych myśli i uczuć jak inne kobiety.

Nie poruszyła się, lecz Tonio miał wrażenie, że coś grozi mu z jej strony. Był pewien, że pragnie go dotknąć, tak jak on chciał dotknąć jej! Niemalże czuł już pod palcami jej gładką szyję, policzek; pragnął musnąć delikatne fałdki jej ucha. Wyobraził sobie, że robi z nią różne potworne rzeczy, i zaczerwienił się. Wydawało się absurdalne, że ta dziewczyna w ogóle w coś się ubiera; jej miękkie ręce, szczupłe nadgarstki i błysk różowej skóry pod fartuchem stanowiły część rozkosznej, lecz niepotrzebnie i nienaturalnie przebranej istoty.

To wszystko było przerażające.

Krew pulsowała mu w skroniach i pochyliwszy na chwilę głowę, Tonio przesunął wzrokiem po otaczających dziewczynę malowanych twarzach, po rozbłyskach karmazynu, palonej umbry, złota i bieli składających się na ten oszałamiający wszechświat, który najwyraźniej wyszedł spod jej pędzla.

Ta dziewczyna była czymś nieuniknionym. Przerażała go. Niepokoiła go nawet jej suknia z czarnej tafty. Dlaczego maluje ubrana na czarno? Na błyszczącej materii widać było kolorowe plamy, a złotowłosa była tak młoda i pozornie niewinna, że czerń wcale do niej nie pasowała.

Znalazł w niej rozkoszną niedbałość i łagodne lekceważenie wszystkiego - Tonio odkrywał to, ilekroć spotkały się ich oczy.

Znów się uśmiechała. Odważnie śmiała się do niego. Musi odezwać się do niej; musi. Miał zamiar powiedzieć jej coś właściwego i przyzwoitego, tylko nie wiedział co, aż wreszcie, ku jego ogromnemu przerażeniu, dziewczyna wyciągnęła nagie ramię.

- Może pan wejdzie, signore Treschi? - spytała tym samym słodkim sopranem. - Niechże pan wejdzie i posiedzi ze mną chwilę.

- Nie, signorina. - Tym razem wycofując się, ukłonił się jej głębiej. - Nie chciałbym przeszkadzać i ja... my... chciałbym... to znaczy, właściwie nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ja...

- Wszyscy pana znają, signore Treschi - rzekła, wskazując lekkim skinieniem głowy na stojące obok krzesło, a w jej oczach nagle zalśniła pięknie i zgasła iskra wesołości.

Zaczęła wpatrywać się w niego w całkowitym milczeniu, a Tonio stał, również wbijając w nią wzrok.

Tym właśnie był zajęty, gdy rozległ się za nim głos lokaja hrabiny, który oznajmił, że Tonio jest proszony na górę.

* * *

Rzucił się biegiem na to wezwanie. Dom rozbrzmiewał już śmiechem i piskliwą muzyką, gdy Tonio spieszył korytarzem na piętrze i gdy wprowadzano go wprost na pokoje hrabiny.

Potem ujrzał stojącego beczynniną Guida w rozpiętej koronkowej koszuli, odsłaniającej jego nagą pierś, i hrabinę, która przy ogromnym, zasłanym bogato łóżku dopiero wkładała na siebie falbanisty szlafrok.

Był wściekły. Mało brakowało, by ruszył do wyjścia. Ale ta kobieta nie miała zamiaru go zranić. Tak jak inni, nie wiedziała nic o jego związku z Guidem. A kiedy ujrzała Tonia, od razu się rozpromieniła.

- Och, piękne dziecko! - rzekła. - Chodź tutaj. Chodź tu i posłuchaj mnie. - Przywołała go, wyciągając obie dłonie.

Tonio posłał Guidowi swój najzimniejszy uśmiech i podszedł do niej z ukłonem. Pulchne ciało hrabiny wydawało się gorące, jakby dopiero co otulały je ciepłe koce lub ciało kochanka.

- Jak tam twój głos? - spytała. - Zaśpiewaj teraz coś dla mnie!

Tonio nie posiadał się z oburzenia. Ze złością spojrzął na Guida. Był w pułapce.

- *Pange Lingua* - zaintonowała, wypowiadając pięknie całą łacińską frazę.

- Zaśpiewaj, Tonio - odezwał się cicho Guido. - Jak tam dzisiaj z twoim głosem; dobrze, źle, jak? - Miał zmierzwione włosy, a rozpięta koszula nadawała mu niemal pociągający wygląd.
- Oto masz swe piękne dziecię - pomyślał Tonio. - Twojego cherubina. A oto moja nagroda za to, że zakochałem się w wieśniaku.

Wzruszył ramionami i pełną piersią zaczął śpiewać *Pange Lingua*.

Hrabina odsunęła się z cichym okrzykiem. Nie zdziwiło to Tonia, gdyż wiedział, że w tym pełnym mebli pokoju jego głos brzmi głośno i nienaturalnie.

- Coś takiego - powiedziała hrabina, odsuwając na bok kręcące się w pobliżu pokojówki ze świecami. I poszperawszy w pościeli, wyciągnęła z niej obwiązaną tasiemką partyturę. - Czy mógłbyś to zaśpiewać, piękne dziecię? - spytała. - Dzisiaj, tutaj? - Sama odpowiedziała sobie na to pytanie nieznacznym skinieniem głowy. - Tutaj, ze mną?

Tonio przez chwilę wpatrywał się w przykrycie łóżka. Nie potrafił połączyć jednego z drugim. Oczywiście słyszał nieraz o głosie hrabiny i o tym, że chociaż śpiewa tylko amatorsko, to jest wspaniała, ale nie daje już występów. Teraz nagle, w tym domu, przed setkami ludzi! Guido dobrze wiedział, że Tonio nie chce tego robić! Odwrócił się do niego. Guido z niecierpliwością wskazał na nuty.

- Tonio, bądź uprzejmy zbudzić się ze snu, w którym żyjesz i spojrzeć na to, co trzymasz w ręce - rzekł. - Masz godzinę na przygotowanie...

- Nie zaśpiewam tego! - rzekł z wściekłością Tonio. - Nie mogę tego zrobić, hrabino. To niemożliwe, ja...

- Musisz to zrobić, drogie dziecko - zagruchała. - Musisz zrobić to dla mnie. Przeżyłam w Palermo straszne chwile. Kochałam mojego kuzyna, tego głupca, w dodatku jego młoda żona tak bardzo i niepotrzebnie cierpiała. Tylko jedna rzecz może mnie dziś pocieszyć: znów śpiewać, śpiewać do muzyki Guida i to z tobą!

Tonio wbił w nią wzrok. Przyglądał się jej badawczo czując, że to wszystko kłamstwa, sztuczki! A jednak hrabina zdawała się mówić całkowicie szczerze. Mimo woli zerknął na partyturę. Było to najlepsze dzieło Guida: *Serenadę a duo, Venus i Adonis*, szereg ślicznych pieśni. I przez sekundę wyobraził sobie, że śpiewa je nie na ćwiczeniach z Piero, lecz tutaj...

- To niemożliwe, hrabino; może pani prosić o cokolwiek innego...

- Nie wie, co mówi - wszedł mu w słowo Guido.

- Guido, przecież nigdy tego nie przygotowywałem! Może ze dwa razy śpiewałem to z Piero. - Następnie Tonio dodał szeptem. - Jak możesz robić mi coś takiego!

- Drogie dziecko - odezwała się hrabina - na końcu korytarza jest niewielki salonik. Idź tam i ćwicz. Masz godzinę. I nie złość się na Guida. Zrobił to na moją prośbę.

- Nie rozumiesz, że to wielki zaszczyt? - spytał Guido. - Sama hrabina będzie z tobą śpiewała!

- Dałem się nabrać - myślał Tonio. Za godzinę będą tutaj trzy setki ludzi. Jeszcze raz zaczął myśleć o partyturze. Doskonale znał pełną słodkiej czystości partię Adonisa. Widział przelewający się na dole tłum gości. W zasadzie Guido i hrabina ułatwiali mu całą sprawę. Oszczędzali mu rozterek duchowych i konieczności długiego przygotowywania się do występu. W cichości ducha wiedział dokładnie, że jeśli ulegnie, to kiedy tylko ujrzy wszystkie skierowane na siebie oczy i uświadomi sobie, że po prostu nie może uciec, przerażenie zamieni się w euforię.

- Idź teraz ćwicz. - Guido popychał go w kierunku drzwi. Potem szepnął: - Jak ty możesz mnie robić coś takiego?

Tonio opierał się, nie ustępował. Ale wiedział, że jego twarz już się rozmarzyła. Czuł, że mięknie, przegrywa bitwę i wiedział, był pewien, iż w tej chwili robi krok w kierunku tej siły, której tak pragnął, słuchając dzisiaj Caffarellego.

- Więc uważasz, że uda mi się to zrobić? - Spojrzał na Guida.

- Oczywiście - odparł maestro. - Już kiedy dałem ci to po raz pierwszy, gdy jeszcze nawet nie przysechł atrament, zaśpiewałeś to doskonale. - I stojąc tyłem do hrabiny, starał się dodać Toniovi otuchy spojrzeniem, przekazując mu bezgłośnie swe uczucie, po czym szepnął: - To właściwa chwila, Tonio.

Nie było wątpliwości, że to właściwy moment i Tonio pragnął go tak, iż nie miał czasu na strach. Spędził jednak przedtem półtorej godziny na ćwiczeniach, nim otarł chusteczką czoło, zdmuchnął świece nad klawikordem i ruszył po schodach na piętro.

Wtedy ogarnął go na chwilę strach. A nawet gorzej. Przeważenie. Była to właśnie ta nieunikniona na przyjęciach chwila, gdy w salonie zebrali się wszyscy zaproszeni goście. Ci, którzy przyszli wcześniej, jeszcze nie mieli zamiaru wychodzić, a pojawili się już też wszyscy spóźnialscy. Dźwięk rozmów i śmiechu obijał się o ściany, a wszędzie, gdzie Tonio skierował wzrok, byli mężczyźni i kobiety, opalizujące jedwabie i peruki białe jak żagle. Sunęły przez wzburzone morze falujące w lustrach i wlewające się przez otwarte na oścież drzwi.

Zwinął partyturę i nie myśląc już więcej, ruszył po schodach w dół. Kiedy zbliżał się do orkiestry, przeżył jednak jeszcze większy szok. Przybył właśnie sam Caffarelli, który całował teraz dłonie hrabiny.

- No, to po wszystkim - pomyślał. Chyba nikt nie będzie od niego wymagał, żeby śpiewał przy Caffarellim. Właśnie kiedy zastanawiał się, czy to dobrze czy źle, pojawił się Guido.

- Potrzebujesz więcej czasu? - spytał od razu. - Jesteś już gotów?

- Właśnie przyszedł Caffarelli, Guido - szepnął Tonio. Miał wilgotne i lepkie dłonie. Pragnął śpiewać, a jednocześnie chciał stąd uciec. Nie, nie może śpiewać przy Caffarellim.

Ale Guido posyłał właśnie szyderczy uśmiech w kierunku wielkiego kastrata. Tłum na chwilę się rozproszył, potem znów stał się gęstszy, lecz Tonio zdołał ujrzeć sylwetkę Caffarellego, który nawet tutaj zdawał się tchnąć tą ogromną siłą, widoczną na weneckiej scenie już wiele lat temu. Tonio miał wrażenie, że słyszy jego śmiech.

- Rób teraz, co ci każę - rzekł Guido. - Pozwól hrabinie nadać tempo śpiewu. Będę za nią podążał; ty uczyn to samo.

- Ależ Guido... - zaczął Tonio i zamilkł, jakby nie był zdolny wydobyć z siebie słowa. - To jakaś potworna pomyłka! - Ale Guido już się oddalał.

Właśnie pojawił się Maestro Cavalla w towarzystwie Benedetta, a Guido, wróciwszy szybko do Tonia, powiedział: - Idź teraz do klawikordu i czekaj.

Nie wiedział, co robić z rękami. Trzymał w dłoniach partyturę, ale jak wysoko powinien je unieść? Nagle zaświtała mu myśl, że będzie śpiewała sama gospodyni i wszyscy po prostu będą zmuszeni jej uważnie słuchać. Cóż ten Guido narobił! Maestro i Benedetto wpatrywali się w Tonia, a ktoś wziął na stronę Caffarellego. O Boże, Caffarelli skinął głową! Dlaczego musi być dzisiaj taki uprzejmy, skoro na ogół jest nie do zniesienia?! Dlaczego nie grozi, że stąd wyjdzie? Tak samo jak trzy lata temu w weneckim salonie, oczy wielkiego śpiewaka na moment zatrzymały się teraz na Toniu.

Wśród gości zapadła cisza; pojawili się służcy niosący miękkie krzeselka. Damy zajmowały miejsca, a gentlemani tłoczyli się w drzwiach, jakby chcieli zamknąć wszelkie możliwe drogi ucieczki.

Hrabina dotknęła nagle nadgarstka Tonia małą, pulchną rączką, a on odwrócił się i zauważył, że upudrowała włosy i ułożyła je w gustowne loczki. Wyglądała tak ładnie! Kiwała

głową w obie strony, nucąc pierwsze takty swej pieśni, którą tuż po wstępie miała zacząć serenadę, po czym mrugnęła do Tonia.

Miał wrażenie, że o czymś zapomniał i musi zadać jej jakieś pytanie; dręczyła go uporczywa myśl, ale nie mógł sobie przypomnieć, czego dotyczyła. Zdał sobie sprawę, że nie widzi tu złotowłosej dziewczyny. Gdzie ona może być? Nie wolno bez niej zacząć, z pewnością chciałaby go słyszeć. Na pewno zaraz przyjdzie, za chwilę ujrzy jej twarz.

Na sali panowała teraz cisza, zakłócana tylko szelestem tafty, a Tonio wpadł w panikę zauważywszy, że Guido uniósł dłonie nad klawiaturą i przygotowuje się do gry. Skrzypkowie podnieśli smyczki. Muzyka rozbrzmiewała przepięknym pulsowaniem strun.

Tonio zamknął na chwilę oczy, a kiedy ponownie je otworzył, ogarnął go całkowity spokój. Przyszedł jak ciepła, wolno zalewająca go fala, pełna niezwyklej otuchy, dzięki której poczuł się dobrze we własnym ciele, zapanował nad oddechami i znów brał je regularnie, z łatwością. Widział wyraźnie każdą twarz; masa zamarzniętych kolorów roztopiała się w setki osób, które w rzeczywistości wypełniały salę. Przez chwilę patrzył nawet na Caffarellego, który, siedząc wśród tych zwyczajnych kobiet i mężczyzn, w sposób szczególny przypominał lwa.

Do harcujących skrzypiec dołączyły wspaniałe, złote dźwięki obojów; instrumenty tak pulsowały melodią, że Tonio nie mógł powstrzymać się od poruszania się lekko w jej takt, a kiedy po krótkiej przerwie rozbrzmiewała smutniejsza, wolniejsza muzyka, chłopak poczuł, że się unosi; nic już nie widział.

Następną rzeczą, którą dostrzegł, była postać hrabiny, którą klawikord wiódł właśnie ku pierwszym nutom jej pieśni. W tle cicho jak oddech rozbrzmiewały wiolonczele. Wreszcie hrabina zaczęła ponownie kiwać głową, całe jej ciało rozkołysało się, a z gardła wydobył się niski, dźwięczny głos, tak głęboki i upajająco słodki, że Tonio czuł, iż opuszcza go wszelka myśl. Nie patrzyła już w nuty. Spojrzała na Tonia, a on nie mógł powstrzymać się od długiego, wolno rozkwitającego na jego ustach uśmiechu.

Promieniała, jej małe policzki wyglądały jak mieszki i śpiewała do Tonia; śpiewała, że go kocha i kiedy otworzy usta do pieśni, Tonio stanie się jej kochankiem.

Zakończyła swą arię otwierającą całość. Zapadła nieunikniona cisza, a Tonio zaczął śpiewać w takt lekko szemrzącej muzyki klawikordu.

Nie spuszczał oka z hrabiny, dostrzegł jej uśmiech i lekkie skiniecie głowy. Śpiewał do wtóru cichej melodii fletu, raz niższej, raz wyższej, wreszcie wspinającej się coraz wyżej i znów opadającej, przechodzącej do serii pasaży, które Tonio odśpiewał z łatwością.

Pragnął jednak, czego była ona świadoma, głosu hrabiny, a kiedy rzeczywiście mu odpowiedziała, Tonio poczuł prawdziwą miłość. Fala muzyki instrumentów smyczkowych poniosła go do głośniejszej, szybszej arii hrabiny i, śpiewając ją, Tonio miał wrażenie, że wszystkie piękne, poetyczne słowa, które kieruje do tej kobiety, są całkowicie prawdziwe.

Uwodził głosem jej głos, kusząc, by nie tylko dał mu odpowiedź, ale i złączył się z nim w jednej pieśni. Nawet w jego najcichszych, najtęskniejszych nutach oraz w jej powolnych, mrocznych pasażach, pulsowało to samo gorące pragnienie.

Wreszcie zaczęli pierwszy duet z taką łagodną radością, że Tonio zaczął kołysać się lekko wraz z hrabiną. Jej małe, czarne oczy promieniały śmiechem, a głębokie dźwięki śpiewu splatały się wspaniale z jego wzlatującymi w powietrzu uroczystymi przysięgami miłości. Na tle ich pieśni cudownie rozbrzmiewały instrumenty, niczym trzeci głos, to wznoszący się, to znów opadający, by pozwolić im wzlatywać na wolności.

Tonio przeżywał katusze, gdy musieli się rozłączyć i śpiewał do niej, a ona odpowiadała mu z równie głębokim bólem.

Wreszcie struny zaczęły znów swe harce, a obój prowadził Tonia ku ostatniemu wezwaniu; prośbie, by kochanka szła z nim, dołączyła do niego i wraz z nim dała ponieść się muzyce. Hrabina zdawała się pochylać, stawać na palcach. Całe jej ciało unosiło się wraz z jego oszałamiającym głosem, aż wreszcie szybko przystąpili do ostatniego duetu.

Ich głosy zostały sobie poślubione. Hrabina miała zaczerwienione policzki, w oczach błyszczały łzy. Jej mała postać unosiła się wraz z pełnią własnego głosu i głosu Tonia, wyrrywającego się w górę z jego potężnych płuc oraz z rozluźnionego, szczupłego ciała, które nieruchome i pełne wdzięku zostało porzucone przez fruującego na wolności głosu.

Już było po wszystkim.

Pieśń się skończyła.

Sala falowała. Caffarelli pierwszy zerwał się na równe nogi i majestatycznym gestem rozpoczął burzę gwałtownych oklasków.

Hrabina stanęła na palcach, by ucałować Tonia; dotknęła dłońmi jego twarzy, a gdy ujrzała na niej niewypowiedziany smutek, objęła Tonia i złożyła głowę na jego piersi.

Wszystko zdarzyło się tak szybko. Caffarelli złapał go za ramię i, kiwając do wszystkich głową, wykonał prawą ręką gest, który znów wywołał oklaski. Zewsząd dochodziły Tonia ciche komplementy - śpiewał pięknie, a przy tym dokonał niemałego wyczynu, namawiając hrabinę, by mu towarzyszyła. Miał wyjątkowy głos, dlatego więc jeszcze o nim nie słyszeli przez wszystkie lata, które spędził w konserwatorium San Angelo? Gdzie podziewa się Maestro? (Nawet on sam nie napisałby lepiej tego libretta!)

Czemu tak ciężko było mu wszystkiego słuchać, dlaczego ogarniała go wciąż niepoohamowana chęć ucieczki? Uczeń Guida, tak, uczeń Guida. Cóż za boska kompozycja; gdzież jest ten Guido? Wszystko to było niemal zbyt wspaniałe, a jednak Tonio ledwo mógł to znieść. Może byłoby inaczej, gdyby był tu Guido!

- Gdzie on jest? - spytał szeptem hrabinę. Przez chwilę zamajaczył przed Tonim Maestro Cavalla. Zniknął, nim chłopak zdołał odczytać coś z jego twarzy, a już hrabina koniecznie chciała zwrócić na siebie uwagę Tonia:

- Przedstawiam ci signore Ruggeria, Tonio - powiedziała z uporem, jakby rzeczywiście można było w tym hałasie rozmawiać.

Skłonił się temu człowiekowi, uściśnął mu dłoń. Ktoś go ciągnął; odwrócił się. Była to stara markiza, która znów przycisnęła suche usta do policzka Tonia. Poczł nagły przypływ uczuć do tej kobiety o błyszczących przyćmionym światłem oczach i białej, pomarszczonej skórze; nawet do jej zadziwiająco silnych, podobnych do łapek gada dłoni, którymi go teraz trzymała.

Nagle zamajaczył przed nim ktoś inny. Hrabina rozmawiała z signore Ruggerio i właśnie wtedy, niespodziewanie, tłum przycisnął ich do siebie, tak że hrabina otoczyła Tonia w pasie ramieniem. Nagle chłopiec coś pojął:

- Hrabino - szepnął - ta młoda, złotowłosa kobieta. - Zdał sobie sprawę, że cały czas oczekiwał, iż ją ujrzy, a dziewczyny po prostu nie było. Zamilkł nagle pod wpływem przygnębienia, ale niezdarnymi gestami rąk usiłował opisać jej puszyste włosy. - O niebieskich, ciemnoniebieskich oczach - szeptał - i takich pięknych włosach.

- Ach, masz z pewnością na myśli moją kuzyneczkę, moją młodą wdówkę - odparła hrabina, ciągnąc jeszcze jednego gentlemana, z którym pragnęła go poznać. Był to Anglik pracujący w ambasadzie. - Jest w żałobie, słodziutka, po swym mężu, moim kuzynie z Sycylii...

ale przecież już ci o tym opowiadałam, prawda? I nie chce wracać do Anglii! - Potrząsnęła głową.

- Wdowa...! - Czy dobrze usłyszała? Kłaniał się komuś. A signore Ruggerio najwyraźniej powiedział hrabinie coś ważnego. Miała zamiar zostawić tutaj Tonia samego!

Wdowa. Gdzie jest Guido? Nigdzie go nie widział. Ale po drugiej stronie sali dojrzał Maestra Cavallę, któremu towarzyszył właśnie Guido oraz hrabina i ten mały człowieczek, Ruggerio.

Znów ktoś złapał Tonia i powtarzał mu z żarem, że ma wspaniały głos i powinien zadebiutować tutaj, w Teatro San Carlos, zamiast jeździć do Rzymu. Dlaczego wszyscy wciąż musieli udawać się do Rzymu?

- Wdowa? - myślał. - Czy cokolwiek innego mogłoby ukazać ją w bardziej zmysłowym świetle? Czy można było uczynić ją bardziej kuszącą i dostępną, niż w jednym zdaniu, wydając ją za mąż i zarazem owdawiając, wykluczając tym samym na zawsze z tego niedosiężnego chóru dziewic, w którym zawsze ją widział?

Przerywał teraz wszystkie rozmowy wymówkami i bezskutecznie usiłował pokonać wielką połąć marmurowej podłogi, by dostać się do odległych postaci Guida i Maestra. Wtedy ujrzał biegnącego ku niemu przez tłum, wystrojonego jak księżę Paola, który szybko objął Tonia.

- Co ty tu robisz? - spytał Tonio, odpowiadając ukłonem na powitanie rosyjskiego hrabiego Szerzyńskiego.

- Maestro powiedział, że mogę przyjść cię posłuchać. - Paolo przyłgął do niego. Najwyraźniej tak był wszystkim podekscytowany, że ledwie mógł z siebie wydobyć słowo.

- Jak to? Wiedział, że będę śpiewać?

- Wszyscy wiedzieli - odparł bez tchu Paolo. - Jest tutaj i Piero, i Gaetano, i...

- Och, Guido - szepnął Tonio.

O mało nie roześmiał się w głos.

Tym razem pospiesznie opuścił zbiorowisko, ciągnąc za sobą Paola, kiedy Guido, Maestro i ciemnowłosy gentleman właśnie wychodzili.

Zanim dotarł na korytarz, weszli już do jakiegoś salonu, a wszystkie drzwi były pozamykane. Tonio musiał zatrzymać się, by złapać oddech i delektować się własną ekscytacją.

Był tak szczęśliwy, że mógł tylko zamknąć oczy i uśmiechnąć się. - A więc wszyscy o tym wiedzieli - rzekł.

- Tak - odparł Paolo. - Nigdy nie śpiewałeś lepiej, nigdy. Nie zapomnę tego do końca życia, Tonio.

Ale nagle twarz Paola zmarszczyła się i chłopak o mało nie wybuchnął płaczem.

Przyłgnął do Tonia. Był wysokim i prostym jak trzcina dwunastolatkiem, mógł wtulić głowę akurat w ramię Tonia, zaniepokojonego drzeniem bólu, które wyczuwał u chłopca.

- Co się stało, Paolo?

- Przepraszam, Tonio. To dlatego, że razem przyjechaliśmy do Neapolu. A teraz ty wyjedziesz. Zostanę sam.

- Co ty mówisz? Gdzie wyjadę? Tylko dlatego...

Kiedy wypowiedział te słowa, jego uszu dobiegły podniesione głosy dochodzące z pokoju na końcu korytarza. Delikatnie pociągnął za sobą Paola, który najwyraźniej nadal usilnie starał się nie rozplakać, i pocieszająco ścisnął jego ramię.

Trwała jakaś kłótnia.

- Pięćset dukatów - mówił Guido.

- Pozwól, że ja to załatwię - wtrącił się Maestro.

Tonio bardzo delikatnie pchnął drzwi. Przez rozświetloną szparę dostrzegł, że rozmawiają z signore Ruggerio. Hrabina, dostrzegłszy Tonia, podeszła do niego szybko.

- Idź na górę, promienne dziecię - rzekła, wychodząc na korytarz i zamykając za sobą drzwi.

- Kim jest ten mężczyzna? - spytał szeptem.

- Nie chcę ci nic mówić, póki wszystko nie zostanie ustalone odparła. - Chodź ze mną.

Trzecia w nocy. Mimo to połowa gości ciągle się bawiła.

- Drogie dziecko - powiedziała hrabina, zamykając go w pokoju - Signore Ruggerio miał znaleźć się tu tylko przez przypadek, a wszyscy byliśmy pewni, że jeśli ci o tym powiemy, to nie zaśpiewasz!

Tonio spędził całe godziny, czekając w tej przestronnej komnacie nad hałaśliwą ulicą.

- Pięćset dukatów - myślał - to fortuna. To z pewnością jakieś negocjacje dotyczące opery, ale czego konkretnie?

W jednej chwili był przerażony tym wszystkim, by już w sekundę później obawiać się rozczarowania. Lecz przecież oklaskiwał go Caffarelli! Nie, z pewnością chciał tylko być uprzejmy dla hrabiny. Tonio nie mógł się zdecydować na żadną wersję. Cóż to wszystko mogło znaczyć?

Powozy przyjeżdżały i odjeżdżały. Goście stawali na progu drzwi wejściowych, by śmiać się i obejmować. W migoczącym świetle pochodni ukazywały się ciemne sylwetki stojących naprzeciw na stopniach kościoła *lazzaroni*, którzy nie potrzebowali w czasie tej rozkosznej nocy żadnego schronienia i mogli po prostu wyciągnąć się pod księżycem.

Tonio odszedł od okna i spacerował po pokoju.

Na kominku tykał malowany zegar. Do świtu brakowało jeszcze może zaledwie trzech godzin. A on nawet się nie rozebrał. Guido z pewnością po niego przyjdzie.

A jeśli Guido jest w łóżku z hrabiną? Nie, nie mógłby mu tego zrobić, nie dzisiejszej nocy. Hrabina przyrzekła zresztą Toniowi, że przyjdzie. "Jak tylko wszystko zostanie ustalone" powiedziała.

- To wszystko może nie mieć większego znaczenia - powiedział sobie twardo po raz siedemnasty. - Może ten Ruggerio prowadzi jakąś małą operę w Amalfii albo gdzie indziej i chcą mnie tam zabrać na coś w rodzaju próby... Ale za pięćset dukatów? - Potrząsnął głową.

Jednak, mimo że to wszystko tak go dręczyło, nie mógł przestać myśleć o złotowłosej dziewczynie. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku, wywołanego wiadomością, że blondynka jest wdową i wystarczyło, iż na chwilę przestał myśleć, by przed oczyma pojawił mu się pełen malowideł pokój, żałobna suknia z czarnej tafty i promienna twarzyczka.

Żadnych fioletowych wstążek czy kokard. Tym razem tylko jej usta były fioletowe; została wdową. Teraz odpowiednia stała się dla niej tylko czerń; wyjątkiem były jej włosy i kolory na wiszących płótnach, które z pewnością sama namalowała.

Jakże był głupi jękając się i wbijając w nią oczy; Ileż razy marzył o takiej chwili sam na sam, a dziewczyna była przy tym wdową! Cóż zrobił, gdy w końcu spełniły się jego sny?

A może złotowłosa słuchała jego śpiewu z jakiegoś własnego pokoju w pałacu?

Ujrzał nagle przed sobą te płomienne obrazy. Wydawało mu się niemożliwe, aby to były jej dzieła. A jednak malowała pośród nich. Spoczywało przed nią ogromne płótno i gdyby tylko mógł sobie dokładnie przypomnieć postacie, które się na nim znajdowały, porównałby je w myśli z pozostałymi obrazami.

Nadzwyczajne, że mogła to wszystko stworzyć. Rozumiał już teraz, że była żoną tego starszego mężczyzny, którego uważał zawsze za jej ojca, i ujrzał życie dziewczyny w innym świetle. Jakże wyraźnie pamiętał ich pierwsze spotkanie, jej łzy i wrażenie ogromnego cierpienia, w które wkroczył bezceremonialnie, pijany i niebaczny, zwiedziony jej urodą i młodością.

Była żoną tego starca, a teraz jest wolna.

Malowała nie tylko Dziewice i aniołki; tworzyła olbrzymy, lasy, wzburzone fale mórz.

Stał na środku ciemnej sypialni, wsłuchując się w cichy, poważny głos dzwonów. Malowany zegar spieszył się.

Gwałtownie zapiął kamizelkę, obciągnął żakiet i podszedł do drzwi. Może wszyscy o nim zapomnieli, a Guido rzeczywiście został z hrabiną. W pałacu panowała cisza.

Odległe schody rozświetlił nagle jasny blask. Nadstawił uszu i usłyszał jakieś głosy. Odwrócił się i ruszył w stronę tylnych schodów.

Noc nadal była ciepła, a kiedy Tonio wyszedł na trawę, ujrzał nad sobą nieprzeliczone mnóstwo większych i mniejszych gwiazd. Niektóre były tak wyraźne, że wydawały się jasnożółte czy nawet różowe, inne stanowiły zaledwie maleńkie punkciki białego światła. Stał przez chwilę z podniesioną głową, kołysząc się na palcach. Patrzył na przesuwające się chmury, a cała ziemia albo całe niebo zdawały się poruszać.

Z okien salonu nadal sączyło się światło i, kiedy wreszcie do nich podszedł, zobaczył, że wciąż jest tam Maestro Cavalla. Hrabina przysłuchiwała się rozmowie Guida z signore Ruggerio, który coś mu opisywał, wodząc palcem po gołym blacie stołu.

Tonio odwrócił się, a chociaż był niezmiernie podekscytowany, wiedział, że nie wolno mu tam wkroczyć.

Przeszedł szybko przez ogród, wszedł między drzewka różane i, zwolniwszy nieco, skierował się do małego, lecz już całkowicie ciemnego budynekczku. Księżyc świecił przez chwilę jasno, nim zasłoniły go chmury i Tonio zauważył, że drzwi są wciąż otwarte. Ruszył ku nim cicho; tylko trawa szeleściła pod jego nogami. Czy powinien tu wchodzić, gdy wszystko tak nieoczekiwanie stało przed nim otworem? Przysiękł sobie, że tylko stanie w drzwiach.

Dotykając nieśmiało dłonią framugi, ujrzał przed sobą błyszczące, niewyraźne twarze na obrazach wypranych z kolorów. Powoli dostrzegł świętego Michała i biel do połowy tylko zamalowanego płótna. Jego kroki zdawały się dźwięczeć bardzo głośno na pokrytej łupkiem podłodze; potem Tonio usiadł powoli na ławeczce przed obrazem i dojrzał zbiorowisko białych, skłębionych postaci pod czymś, co wyglądało jak czarna kępa drzew.

Cieszył się do szaleństwa, że może na to patrzeć, a jednak czuł się jak intruz. Nie chciał dotykać jej pędzli, dokładnie zamkniętych pudełeczek farby ani nawet leżącej na boku zwiniętej szmatki. Ale wszystko to fascynowało go. Przypominał sobie, jak siedziała pochylona. Raz jeszcze usłyszał jej głos, słodki, nieco matowy sopran i zdał sobie sprawę, że mówiła z lekkim akcentem.

Po chwili wahania wziął z pobliskiego stoliczka zapałkę i podpalił knot stojącej po prawej stronie świecy.

Płomień trzaskał, rósł, aż wreszcie pokój zalało powoli i równomiernie światło. Wielkie, oparte o ścianę płótno szybko rozbłysło kolorami, a na obrazie przed sobą Tonio ujrzał smukłe, złotowłose nimfy tańczące w ogrodzie z girlandami kwiatów w małych dłoniach, ubrane w przejrzyste suknie ledwie zakrywające ich ciała.

Nie było w nich nic z cnotliwości i surowości fresków w kaplicy hrabiny. To malowidło było żywsze i wykonane z większym kunsztem. - I czemuż by nie - pomyślał. Ileż on sam nauczył się o śpiewie w ciągu trzech lat! Czyż nie byłoby naturalne, gdyby i ona, choć nic o tym nie wiedział, poczyniła postępy we władaniu pędzlem? Zauważył jednak na tych malowanych twarzach pewien wyraz, który niezaprzeczalnie łączył je z Dziewicą Maryją, tyle razy podziwianą przez niego w kaplicy. Wpatrywał się w nagie ręce i nogi nimf z taką fascynacją, że nagle się zawstydził.

Farba była jeszcze świeża; gdyby jej dotknął, zniszczyłby obraz, nie miał jednak zamiaru tego robić. Pragnął tylko patrzeć i myśleć o tym, że to ona go namalowała.

Przypomniała mu się opowieść Guida o pogrzebie na Sycylii. A więc to ona była ową kuzynką z Anglii; młodą wdówką, którą tak przeraziły katakumby, że musiano ją stamtąd wyprowadzić! Wspominając teraz jej słowa, dostrzegał w nich ślad obcego akcentu: wydawała mu się dzięki temu jeszcze bardziej atrakcyjna. Kiedy pomyślał o jej obecnej samotności, zastanawiał się, czy nie jest ona straszniejsza, niż małżeństwo.

Powoli ogarnął go niezgłębiony smutek. Zdał sobie sprawę, że ilekroć ją widział, bez względu na otaczających ją ludzi, zawsze wydawała się samotna.

Jej uroda była przez to jeszcze bardziej wyrazista i dręcząca. Tonio wyciągnął wreszcie dłoń, by zgasić płomień świecy. Umyślnie sparzył palec, po czym podniósł się do wyjścia. Cóż ona w końcu ma z nim wspólnego? Cóż z tego, że posiada sztukę? Gdzieś w głowie kołatała mu się myśl, że sama niewinność nie stworzyłaby czegoś tak interesującego jak te dzieła, niewiele bowiem dostrzegał w nich wdzięczącej się słodyczy, którą utożsamiał z niewinnością. Były za to ogromne. I bardzo dobre.

Ale właściwie co go to obchodzi, czemu się poci? Czemu zwilgotniały mu dłonie?

Kiedy kręcił się niespokojnie przy drzwiach, przyszło mu do głowy, że właśnie chciałby, aby ta dziewczyna zostawiła go w spokoju. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że to on ciągle wpatrywał się w nią do tego stopnia, że w końcu skinęła do niego głową. Czemu więc do diabła, nie poskarżyła się nikomu na jego zuchwałe zachowanie? Był na nią wściekły!

Uniósł wzrok i właśnie wtedy ją zobaczył.

Siedziała w rosarium, a jej długa szata stała się w świetle księżycy niezwykle biała.

Wciągnął oddech. Był tak wstrząśnięty, że czuł się niemalże jak głupiec. Obserwowała go! Zobaczyła światło w swej małej pracowni. I z pewnością widziała go równie wyraźnie, jak on dostrzegał ją teraz.

Krew uderzyła mu do twarzy. Ku jego zdziwieniu dziewczyna uniosła się wtedy z kamiennej ławki i ruszyła naprzód tak powoli i cicho, jakby płynęła. W trawie błysnęła jej bosa stopa, a wiaterek poruszający przejrzyste warstwy sukni uwypuklił kształt ciała tak, że luźne szaty zdawały się dziwną, jasną poświatą.

Miał wrażenie, że dla jej dobra powinien skinać głową i jak najszybciej stąd odejść. Nie poruszył się jednak. Obserwował ją i dostrzegł w zdecydowanych ruchach coś, co go przeraziło.

Podchodziła coraz bliżej, aż wreszcie widział wyraźnie jej twarz, znaczące spojrzenie. Patrzyła na Tonia marszcząc czoło; porozumiewała się z nim bez słów. Pachniała jak letni deszcz. Tonio nie był już w stanie myśleć. Nie widział jej krągłych policzków ani wydętych lekko ust. Dostrzegał teraz ją samą, tę istotę pulsującą pod zasłoną przejrzystej materii i rozsypanych, złotych włosów: jej ciało, niewątpliwie gorące, wilgotne i pachnące jak deszcz padający z całą mocą na kwiaty, ścieżki, opadłe liście.

Pragnął jej tak bardzo, że cierpiał katusze, jakby całe ciało czekało na nią i było jednocześnie pogrążone w niemocy. Czuł się jak we śnie, w którym człowiek nie jest w stanie krzyczeć ani się poruszyć. Przerazało go to. Czyż ta dziewczyna niczego się nie obawiała, o nic nie dbała? Stała z nim sam na sam w tym wielkim ogrodzie na tyłach drzemiącego domu. Czy zrobiłaby to samo z każdym innym mężczyzną? Poczuł w sobie nagle przerażającą furję, jakby złotowłosa dziewczyna była czymś obrzydliwym, a nie najśliczniejszą, najdelikatniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

Chciał ją skrzywdzić, porwać i zgnieść, pokazać jej całą prawdę, by zrozumiała, kim Tonio jest! Drżał: słyszał własny oddech.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Dziewczyna pochyliła głowę i, wzdrygnąwszy się, odwróciła się od niego, jakby spadała z dużej wysokości.

Obserwował załamany, jak się wycofuje. Bezradnie patrzył, jak odchodzi i oddaliwszy się nieco, prostuje się. Nim zniknęła w ciemności, ujrzał jeszcze blask jej gęstych włosów.

Kiedy znalazł się w swym pokoju, oparł się delikatnie o zamknięte drzwi. Przycisnął czoło do twardego, emaliowanego drewna.

Zawstydzony, nie mógł uwierzyć, że do tego doszło! Zdawało mu się, iż przez wszystkie lata byli partnerami w jakimś cudownym tańcu i zawsze istniała przerażająca możliwość, że się spotkają.

A skończyło się tylko czymś takim!

Nie ulegało wątpliwości, że pragnęła mu się oddać, lecz teraz Tonio, rozgoryczony i poniżony, wiedział już dobrze, kim jest on sam; ona też to rozumiała. Jeśli w ogóle może liczyć na jakąś litość, to Guido i hrabina przyjdą tu za chwilę, by oznajmić mu, że jedzie do Rzymu, gdzie nigdy jej już nie ujrzy.

Nim pojawił się Guido, Tonio zasnął kompletnie ubrany z przerzuconym przez ramię kocem. Kiedy się obudził, Guido i hrabina stali nad nim. Hrabina rzekła:

- Usiądź, piękne dziecię, bo musisz mi coś przyrzec.

Guido nawet na niego nie spojrzał. Jak we śnie chodził po pokoju zacisnąwszy usta, rozluźniając je tylko, gdy zagłębiał się w jakimś tajemniczym monologu.

- O co chodzi? Co się stało? - spytał sennie Tonio. - Przez chwilę widział złotowłosą dziewczynę; potem zniknęła. Czuł, że nie wytrzyma dłużej tego oczekiwania.

- Proszę mi powiedzieć - rzekł. - W tej chwili.

- Ale najpierw przyrzeknij mi - mówiła hrabina w ten wyważony, uprzejmy sposób - że kiedy będziesz bardzo sławny, powiesz wszystkim, iż po raz pierwszy śpiewałeś w moim domu w Neapolu.

- Sławny? - Usiadł, a hrabina usadowiła się obok i przycisnęła usta do jego policzka.

- Moje piękne dziecię - rzekła - właśnie napisałam do mojego kuzyna, kardynała Calvino z Rzymu. Będzie was oczekiwał i zamieszkać z nim, na jak długo zechcecie.

Guido pragnie wyjechać natychmiast. Chce poznać publiczność; chce pracować w Rzymie. Ja oczywiście też pojawię się na premierze, by obu was zobaczyć. Wszystko jest już bowiem załatwione. Zadebiutujesz jako główny śpiewak w operze Guida, której premiera odbędzie się pierwszego dnia roku w Teatro Argentina w Rzymie,

Minęły ponad dwa tygodnie, nim nadszedł dzień wyjazdu.

Wszystko zostało spakowane. Pokoje Tonia stały puste, z wyjątkiem jednego, w którym został jego wspaniały klawikord jako prezent dla Maestra di Capella, a załadowane kuframi powozy czekały na stajennym podwórku.

Tonio stał samotnie przy oknie, patrząc po raz ostatni na ogród widoczny za zakurczonymi krużgankami.

Obawiał się chwili pożegnania z Paolem i okazała się ona tak przykra, jak się tego spodziewał. Paolo był milczący i przygnębiony.

W jego słowach nie było żadnej znaczącej treści. Odjazd Tonia i Guida okazał się dla niego nie do zniesienia, więc chociaż chłopiec teraz już gdzieś odszedł, Tonio wiedział, że nie może go tutaj tak zostawić.

Właściwie miał już nawet pewien plan, ale obawiał się, że nie będzie można go zrealizować. Zagłębił się na chwilę w beładnych myślach, gdy do pustego pokoju wszedł Maestro Cavalla.

- To bolesna chwila - westchnął Maestro.

Tonio obdarzył go pełnym uczucia spojrzeniem, ale nie odezwał się. Patrzył, jak Maestro przebiega palcami po subtelnie malowanym klawikordzie. Chłopak z głęboką przyjemnością zauważył, że mistrz ceni sobie ten prezent.

- Czy było ci łatwiej dzięki podstępowi, do którego uciekliśmy się u hrabiny? - spytał Maestro. - Mam nadzieję, że tak.

Tonio tylko się uśmiechnął. Owszem, było łatwiej.

Teraz jednak na jego twarzy malował się ból i Tonio zastanawiał się, czy jego rozmówca to dostrzeże. Nagle poczuł się niepewnie. Maestro pogрузzył się głęboko w myślach; gnębiło go coś więcej niż samo pożegnanie.

- O czym myślisz? - spytał Maestro. - Powiedz.

- Nie jest to nic tak złożonego, jak można by przypuszczać - odparł Tonio. - Myślałem sobie to samo co wszyscy, gdy pana opuszczają. - A kiedy dostrzegł, że na twarzy Maestra wciąż maluje się pytanie, wyznał: - Boję się, że nie powiesz mi się w Rzymie.

Znów spojrzął na ogród, tym razem ze świadomością, że nie powiedział całej prawdy. Poczul się jeszcze bardziej zagubiony. Te uczucia miały związek z życiem; z tym, co mu ono oferowało, a czego tak bardzo pragnął, i z tym, co mocno chciał zapomnieć.

Trzy lata temu powiedział sobie, że będzie śpiewał dla własnej przyjemności; jak prosto to brzmiało, jakie wydawało się nieskomplikowane.

Teraz pragnął być największym śpiewakiem w całych Włoszech. Chciał, żeby Guido napisał operę, jakiej jeszcze nie słyszano. I naprawdę bał się za nich obu i nie mógł oprzeć się myśli, że zawsze obawiał się tej chwili, odkąd tylko zdał sobie sprawę, co jest jego jedynym przeznaczeniem. Czyżby ten strach był tak potężny, że Tonio musiał sobie znaleźć w życiu inny, mroczniejszy cel?

Myślał chaotycznie o swych dawnych postanowieniach, nienawiściach, ponurych przysięgach.

Życie było cudowną pułapką, a teraz potrafił myśleć tylko o życiu. Rozpaczliwie pragnął być już w drodze do Rzymu.

Guido był tak podekscytowany, że nie wykrzesał z siebie wzruszenia nawet na pożegnanie. Dzień i noc zapisywał sceny swojej opery. Wciąż coś nucił. Czasem, kiedy ani Tonio, ani mistrz nie byli zajęci, patrzyli na siebie z obawą i radością, jakiej nikt inny nie mógł z nimi dzielić.

- Na pewno ci się powie - rzekł delikatnie Maestro. - Nie pozwoliłbym ci jechać, gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości.

Tonio skinął głową. Wciąż patrzył jednak na krążanek i łuki ozdobione liśćmi. Wielu innych opuszczało już to miejsce z wielkimi nadziejami; wyjeżdżali z błogosławieństwem Maestra i wracali pokonani.

- Ale czy inni przeżywają klęskę tak samo jak my? - zastanawiał się Tonio. - My, tak okaleczeni i udręczeni po to, by osiągnąć sukces. - Poczul wspólnotę z innymi śpiewakami i jeszcze głębsze braterstwo z tymi, którzy walczyli tutaj u jego boku.

Kiedy jednak usłyszał, że Maestro zbliża się do niego, i wyczuł, że jest on zmartwiony i zamyślony, przyszło mu do głowy coś innego.

A jeśli odniesie triumf? Jeśli wszystko potoczy się dokładnie tak, jak to sobie wyobraża? Publiczność u stóp, powódź oklasków. Przez chwilę poczul się tak, jakby to się już dokonało,

jakby odniósł już niezaprzeczalne zwycięstwo i wyobraził sobie drogę, która będzie go od tej chwili wiodła, drogę życia.

Ujrzał rozkwitające życie i poczuł paraliżujący strach.

- Boże - szepnął, ale Maestro go nie usłyszał. Tonio sam nie słyszał własnych słów.

Potrząsnął lekko głową.

Maestro dotknął jego ramienia, a Tonio odwracając się, zostawił w ukryciu swe tajemne ja i spojrzął Maestrowi prosto w oczy.

Maestra naprawdę coś gnębiło.

- Musimy porozmawiać, nim wyjedziesz - oznajmił zdecydowanym tonem.

- Porozmawiać? - Tonio poczuł się niepewnie. Tak ciężko było się żegnać. Czego więcej pragnął Maestro? I jeszcze sprawa Paola. Tonio wiedział, że nie może go tutaj zostawić.

- Powiedziałem ci kiedyś, że wiem, co cię spotkało - odezwał się Maestro Cavalla.

- A ja odparłem - rzekł niespodziewanie Tonio - że nie może pan tego wiedzieć. - Poczuł, że rośnie w nim dawny gniew i usiłował go zdławić. Teraz darzył tego człowieka tylko miłością.

Maestro mówił jednak dalej.

- Wiem, dlaczego przez tyle lat tak łaskawie traktowałeś tych, przez których tu się znalazłeś...

- Nic pan nie wie. - Tonio usiłował być uprzejmy. - Dlaczego naciska mnie pan teraz, po tak długim milczeniu?

- Mówię ci, że wiem o wszystkim, tak samo jak inni. Wydaje ci się, że jesteśmy głupcami zdolnymi pojąć tylko intrygę sceniczną? Wiem. Zawsze wiedziałem. Wiem też, że twój brat wychowuje teraz w Republice Wenecji dwóch zdrowych synów. Wiem, że nigdy nie nasyłałeś na niego morderców; w Wenecji Eugenejskiej nie krążyła nawet jedna plotka dotycząca takiej próby zakłócenia mu spokojnego snu.

Tonio odczuł każde z tych słów jak uderzenie. Przez trzy lata nigdy z nikim o tym nie rozmawiał; przeżywał katusze słysząc, jak mówi się o tym na głos.

Zdawał sobie sprawę, że odmienia go gniew i zwrócił się do Maestra najchłodniej i najopryskliwiej, jak tylko potrafił. - Proszę o tym ze mną nie rozmawiać - nalegał. - Nic panu nie powiem na ten temat.

Maestro nie dawał jednak za wygraną.

- Wiem też, Tonio, że tego człowieka pilnuje dzień i noc grupa najokrutniejszych siepaczy, jakich udało mu się znaleźć. Plotka głosi, że nigdy, nawet w jego własnym domu, nie oddalają się od niego dalej niż na odległość głosu...

Tonio ruszył w kierunku drzwi.

Maestro chwycił go jednak i delikatnie zmusił do pozostania w pokoju. Przez sekundę jego siła woli zmagala się z uporem Tonia, aż wreszcie chłopak, poruszony i wściekły, pochylił głowę.

- Czemu musimy się kłócić? - spytał cicho. - Dlaczego nie możemy się objąć i pożegnać?

- Nie kłócimy się - odparł Maestro. - Oznajmiam ci tylko, że wiem, iż chcesz sam zemścić się na bracie. - Ściszył głos do szeptu. Stał tak blisko, że Tonio czuł jego oddech na swej twarzy.

- Ale ten człowiek czeka na ciebie jak pajak - mówił Maestro. - A rozporządzenie skazujące cię na banicję zmieniło całą Wenecję w jego sieć. Zniszczy cię, jeśli wystąpisz przeciw niemu.

- Dosyć - rzekł Tonio. Czuł teraz taką złość, że nie kontrolował własnego głosu, a widział, że Maestro nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie wrażenie wywierają na nim jego słowa.

- Nic pan o mnie nie wie - rzekł Tonio. - Ani o tym skąd przybywam, ani czemu tu jestem. Nie jestem w stanie słuchać, jak opowiada pan o tym wszystkim, jakby były to zwyczajne sprawy. Nie wolno panu mówić o nich tym samym tonem, jakiego używa pan ganiąc uczniów! Nie ma pan prawa wyrażać swego zmartwienia z tego powodu, jakby chodziło tylko o klęskę jakiejś opery czy śmierć króla dalekiego kraju!

- Doceniam wagę tej sprawy - rzekł z uporem Maestro. - Na Boga, może mnie wreszcie wysłuchasz? Wyślij kogoś innego, by dokonał tego czynu! Znajdź ludzi równie bezwzględnych jak ci, którzy strzegą twego brata. Jego siepacze to wyszkoleni mordercy; niech walczą z nimi ludzie im podobni.

Tonio rozpaczliwie pragnął się uwolnić, ale nie był w stanie podnieść ręki na tego człowieka. Siepacze, on mu mówi, jacy są siepacze! Czyż Tonio nie dość często budził się, by raz jeszcze walczyć we Flovigo z tymi twardymi, brutalnymi mężczyznami? Czuł ich dłonie na swym ciele, ich smrodliwe oddechy; przypominał sobie w takich chwilach swą niemoc i cięcie noża; nie zapomni tego do końca życia.

- Jeśli się mylę, Tonio - ciągnął Maestro - jeśli nasłałeś na niego siepaczy i nie zdołali oni wykonać zadania, to musisz zdawać sobie sprawę, że nie dokonasz tego samotnie.

Uścisk dłoni Maestra zelżał, a Tonio przez chwilę poczuł się wyczerpany. Odwrócił wzrok; dawno już nie czuł się tak samotny. Nie pamiętał już słów, które właśnie padły; większość z nich zginęła w jego zmieszaniu, ale pozostało przekonanie, że Maestro będzie mówił bez końca, wyobrażając sobie, że rozumie tak wiele, podczas gdy pojmował tak mało.

- Gdybyś był byle jakim śpiewakiem... - Maestro westchnął. - Gdybyś nie miał głosu, o którym wszyscy śnią, radziłbym ci zrobić to, co twoim zdaniem zrobić musisz.

Puścił Tonia. Opuścił rękę.

- Zaniechałem swe obowiązki - rzekł - nie usiłując cię zrozumieć wcześniej. Wydawałeś się tu taki zadowolony, szczęśliwy.

- Czy to, że jestem zadowolony, jest aż takie nienaturalne? - spytał Tonio stanowczo. - Czy to źle, że znalazłem szczęście? Czy wydawało się panu, iż wraz z całą resztą wycięli ze mnie ducha?

Zbyt długo rządziłeś w tym księstwie wałachów, nie będąc jego częścią. Zapomniałeś, jakie jest życie! Czy wydaje ci się, że świat składa się z okaleczonych istot, które krwawiąc podążają za swym przeznaczeniem? Nie tak wygląda życie!

- Odkąd przybyłeś tutaj, głos stał się twym życiem! Widzę to, a nie jestem chyba szalony! - mówił Maestro.

- To nieprawda! - Tonio potrząsnął głową. - To tylko sztuka, malowana scena, muzyka; mały świat, który dla siebie stworzyliśmy, ale nie ma to nic wspólnego z życiem! Jeśli chce pan rozmawiać ze mną o moim bracie i o tym, co mnie spotkało, musi pan mówić o życiu. I powiadam panu, że moja krzywda musi zostać pomszczona! Zrozumiałby to byle człowiek z ulicy. Dlaczego panu tak ciężko jest to pojąć?

Maestro uspokoił się nieco, ale nie dawał za wygraną.

- Opowiadając o tym, jak pojedziesz do Wenecji zabić brata, nie mówisz o życiu, a o śmierci - szepnął. - I to własnej, nie jego. Och, gdybyś był po prostu jednym z wielu! Gdybyś nie posiadał tego daru!

- Jestem tylko mężczyzną - westchnął Tonio. - Nikim więcej. Po to się urodziłem i stałem się mężczyzną, bez względu na to jak usiłowano temu zapobiec. I jestem przekonany, że mężczyzna nie zniósłby spokojnie tego, co mi zrobiono.

Maestro odwrócił się. Przez chwilę nie był w stanie się opanować, a na pokój spłynęła chłodna cisza. Wyczerpany Tonio oparł się o ścianę i znów patrzył na łuki krużganka i zielone liście.

Doznawał tysięcy różnorodnych wrażeń. Zupełnie jakby umysł mógł zostać wyprany z myśli i tworzyć wizje, wizje materialnych, znaczących przedmiotów srebrnej zastawy, świec na ołtarzu w kaplicy, welonów ślubnych, kołyszek, kobiet, obejmujących się przy akompaniamencie cichego szelestu jedwabiu. Tłem wizji była ogromna materia Wenecji, towarzyszyły jej zmieszane dźwięki, wołanie trąb, zapach morskiej bryzy.

- Czego pragnąłem jeszcze przed chwilą? - myślał. Usiłował wpaść w wir podniecenia panującego zawsze za kulisami; czuł zapach farby, pudru, słyszał dochodzący spoza kurtyny ostry, przenikliwy dźwięk skrzypiec, dudnienie nagich desek. O czym myślał? Słyszał własny głos wykonujący czyste nuty, które zdawały się nie mieć nic wspólnego z mężczyznami czy kobietami, z życiem i śmiercią. Jego usta pozostawały nieruchome.

Maestro odwrócił się po długiej chwili.

W oczach Tonia lśniły łzy.

- Nie chciałem się rozstawać z panem w ten sposób - rzekł miękko, pokonany. - Jest pan teraz na mnie zły, a ja pana kocham. Kocham pana, odkąd tu przybyłem.

- Jak niewiele o mnie wiesz - odparł Maestro. - Nigdy nie byłem na ciebie zły. I mało kogo darzę tu takim uczuciem jak ciebie.

Podszedł do Tonia, ale chcąc go objąć, zawahał się, a chłopak poczuł tę siłę i szorstkość, charakterystyczną dla każdego normalnego mężczyzny.

Był też świadom własnego wyglądu, jakby w spojrzeniu Maestra widział odbicie własnej nienaturalnie wyglądającej skóry i młodości.

- Chciałem powiedzieć panu coś przed rozstaniem - odezwał się Tonio. - Chciałem bardzo podziękować.

- Nie trzeba. Wkrótce będę w Rzymie, by oglądać cię na scenie.

- Jest jeszcze coś - rzekł Tonio, nie spuszczać wzroku z Maestra. - Coś, o co chciałem pana prosić i żałuję teraz, że tak długo z tym zwlekałem. Może pan nie spełnić mej prośby, a jest to coś równie dla mnie ważnego jak cały świat.

- Świat? - spytał Maestro. - Mówisz mi najpierw, że zabijesz brata, nawet jeśli miałbyś przepłacić to śmiercią, a potem o czymś, co jest równie ważne jak świat?

Odwrócił się, by spojrzeć na Tonia.

- Całe lata temu usiłowałem powiedzieć ci, czym jest świat, i to nie taki, w którym wyrosłeś, a świat, który możesz podbić swym głosem. Sądziłem, że mnie wysłuchałeś. Ale ty jesteś wielkim śpiewakiem, tak, wielkim śpiewakiem i dlatego odwrócisz się do świata plecami.

- W swoim czasie, Maestro, w swoim czasie - Tonio mówił ostrzejszym tonem. - Wszyscy ludzie kiedyś umierają - powtórzył z uporem. - Ja różnię się od nich tylko tym, że jeśli zechcę, będę mógł z całą pewnością podać miejsce własnej śmierci. Mogę iść po śmierć do domu i zostawić życie za sobą. W swoim czasie.. Ale na razie żyję i oddycham jak wszyscy inni.

- Powiedz, czego pragniesz - rzekł Maestro. - Jeśli znaczy to dla ciebie tyle co świat, oznacza to także więcej czasu, a oddałbym ci cały czas tego świata.

- Chcę Paola, Maestro. Pragnę, by jechał z nami do Rzymu. A kiedy ujrzał na twarzy Maesta szok i dezaprobatę, dodał szybko:

- Będę o niego dbał, Maestro, przyrzekam. Nawet, jeśli pewnego dnia odeślę go tu z powrotem, to na pewno pobyt ze mną nie wyjdzie mu na złe. A jeśli coś łagodzi nienawiść, którą pałam do tych, którzy uczynili mnie tym, czym jestem, to jest to miłość. Miłość do Guida i do Paola, i do pana.

Tonio znalazł Paola na końcu kaplicy. Chłopczyk siedział zgarbiony na krześle, a na jego małej twarzy o zadartym nosku widać było ślady łez. Utkwił czarne oczy w tabernakulum, a kiedy ujrzał, że Tonio przyszedł raz jeszcze, jakby nie dość było jednego pożegnania, poczuł się zdradzony.

Odwrócił się.

- Siedź spokojnie i słuchaj - rzekł Tonio. Wygładził ręką włosy chłopca i złożył ją na jego szyi. Wydawała mu się krucha, tak jak cały Paolo. Przez chwilę poczuł do niego taką miłość, że uczucie odebrało mu głos. Wypełniające kaplicę ciepłe powietrze pachniało woskiem i kadzidłem, a złożony ołtarz jaśniał, jakby wysączył cały blask z zakurzonych snopów światła, które padały na marmurową podłogę.

- Zamknij na chwilę oczy i oddaj się marzeniom - szepnął Tonio. - Czy chciałbyś mieszkać w pięknym palazzo? Jeździć we wspaniałych karocach i jadać na srebrnych talerzach? Czy pragniesz, by na twych palcach lśniły klejnoty? Czy chciałbyś chodzić ubrany w atłasy i jedwabie? Mieszkać ze mną i Guidem? Chcesz jechać z nami do Rzymu?

Chłopiec odwrócił się do niego z tak wrogim wyrazem twarzy, że Toniowi aż zaparło dech w piersiach.

- To niemożliwe! - powiedział Paolo zdławionym głosem, jakby wypowiadał przekleństwo.

- Owszem, możliwe - odparł Tonio. - Wszystko jest możliwe. Szczególnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Na twarzy Paola pojawiła się wiara i zaufanie, a chłopiec podszedł do Tonia, by go ucisnąć. Tonio podniósł go.

- Chodź - rzekł. - Jeśli chcesz stąd coś zabrać, to zrób to teraz.

Kiedy powozy potoczyły się wreszcie po bruku, było już południe. Guido, Paolo i Tonio siedzieli w pierwszym z nich, a w pozostałych znajdowali się słudzy i ogromna ilość kufrów.

Kiedy jechali po Via di Toledo w kierunku morza, by po raz ostatni spojrzeć na miasto, Tonio nie mógł oderwać oczu od garbu Wezuwiusza, który posyłał w niebo wąty pióropusz dymu.

Powóz kołysząc się wjechał na Molo. Lśniące morze zlewało się z horyzontem. Kiedy skręcili na wschód, góra zniknęła.

Wiele godzin później, kiedy nad bezkresnymi, pięknymi polami pszenicy w Kampanii zapadła noc, Tonio, tylko Tonio płakał, gdy powóz toczył się z mozołem do bram Rzymu.

CZEŚĆ PIĄTA

1

Kardynał Calvino posłał po nich, gdy tylko przyjechali. Ani Tonio, ani Guido nie oczekiwali takiej uprzejmości, ale podążyli wraz z Paolem za czarno ubranym sekretarzem kardynała na górę.

Nic, co Guido widział w Wenecji i Neapolu, nie przygotowało go na widok tego ogromnego palazzo, położonego w samym centrum Rzymu, skąd idąc w jednym kierunku można było w ciągu dwudziestu minut dotrzeć spacerkiem do Watykanu, a w drugim do Placu Hiszpańskiego. Jego poważna, żółtawa fasada kryła korytarze, wzdłuż których ustawiono antyczne rzeźby. Ściany ozdobiono flamandzkimi gobelinami, a dziedzińce dosłownie pełne były fragmentów greckich i rzymskich dzieł oraz kolosalnych nowoczesnych posągów, stojących na straży bram, fontann i sadzawek.

Wszędzie kręcili się arystokraci i duchowni w sutannach, a w długiej bibliotece, która ukazywała się za kilkoma parami podwójnych drzwi, czarno ubrani duchowni z piórami w rękach pochylali się nad kartkami.

Najciekawszą niespodzianką okazał się jednak sam kardynał. Plotka głosiła, że jest głęboko religijny, jako że wyszedł ze stanu duchownego, co nie było wśród kardynałów takie częste, oraz że jest ulubieńcem ludzi, kręcących się zawsze na zewnątrz, by zobaczyć, jak przejeżdża jego powóz.

Sz szczególnie interesował się rzymską biedotą; był opiekunem wielu sierocińców i instytucji charytatywnych, które często odwiedzał. Czasem, wlokąc przez błoto swoje purpurowe szaty i każąc czekać świecie, odwiedzał rudery, pił wino z ludźmi pracy i ich żonami; całował ich dzieci. Codziennie rozdawał swoje bogactwo tym, którzy znaleźli się w potrzebie.

Miał już prawie pięćdziesiąt lat i Guido oczekiwał od niego ogromnej srogości, jakiejś świątobliwej przeciwności tego lśniącego przepychu podłóg tak szczerze wykładanych w różne wzory kolorowym marmurem, że konkurowały z posadzkami samej Bazyliki Świętego Piotra.

Kardynał tchnął jednak dobrym humorem.

W jego oczach drgała wesołość i witalność, wynikająca być może z połączenia łaskawości i miłości dla wszystkich, na których spojrzał.

Był szczupłym mężczyzną o szarych włosach i najgładszych powiekach, jakie Guidowi kiedykolwiek zdarzyło się widzieć. Nie miały żadnego wgłębienia, żadnej fałdy. Nieliczne zmarszczki na twarzy, jakby umieszczone tam z rozmysłem, sprawiały, że przypominał stojące na bardzo starych kościołach wymizerowane figury, które teraz stawały się już wychudzone, zniekształcone i często ponure.

W kardynale nie było jednak nic posępnego.

Kiedy otaczający go wspaniale ubrani możnowładcy rozstąpili się na dany znak jak woda, kardynał skinieniem dłoni przywołał Guida. Pozwoliwszy mu ucałować swój pierścień, objął go i rzekł, że tak on, jak i pozostali muzycy jego kuzynki mogą pozostawać w tym domu, jak długo sobie zyczą.

Miał ruchliwe ciało, a jego zmrużone oczy tryskały radością.

- Czy potrzebne są wam jakieś instrumenty? - spytał. - Chętnie wam je dostarczę. Musicie tylko powiedzieć mojemu sekretarzowi, czego chcecie, a on to dla was zdobędzie.

Ujął w dłonie twarz Paola i uważnie przesunął palcem po jego policzku, a chłopiec, jak to było w jego naturze, poczuł do niego sympatię i instynktownie wyprostował się, gdy kardynał przytulił go do swej purpurowej szaty.

- Ale gdzież jest wasz śpiewak? - spytał.

Kiedy spojrzał na Tonia, zdawało się, że dopiero teraz go dostrzegł.

Kardynał był najwidoczniej poruszony, Guido niemalże czuł zachodzącą w nim zmianę. Wszyscy dookoła z pewnością to zauważyli, a Tonio podszedł, by ucałować pierścień duchownego.

Tonio był tylko nieznacznie rozczochrany po podróży w powozie, miał na sobie lekko zakurzony żakiet i w oczach Guida wyglądał jak anioł w ziemskich szatach. Mimo coraz wyższego wzrostu nigdy nie wydawał się niezręczny, a dzięki ostatnim dwuletnim ćwiczeniom fechtunku poruszał się niemalże jak tancerz i wszystkie jego gesty wydawały się, choć Guido nie wiedział czemu, hipnotyczne. Może dlatego, że były takie wolne; nawet oczy Tonio unosił i opuszczał powoli.

Uśmiech zniknął z ust kardynała. Patrzył na Tonia, jakby chłopak był kimś zadziwiającym i nieznanym; wreszcie jego jasnoszare oczy nieco pociemniały i zniknął z nich wszelki wyraz.

Guido poczuł nieprzyjemne ciepło; miał wrażenie, że dusi go żar tego zatłoczonego pokoju. Kiedy jednak zauważył wyraz twarzy Tonia, sposób, w jaki patrzył na kardynała, kiedy wyczuł niezgłębioną ciszę, która zdawała się otaczać tę dwójkę, poczuł coś więcej niż ukłucie strachu. Jednak nie wszystko toczyło się tak, jak to sobie wyobrażał.

Któż nie zauważyłby tak nadzwyczaj urodziwego chłopca, któż nie patrzyłby na Jego Eminencję z pewną dozą grozy i podziwu?

Mimo to strach opuszczał Guida bardzo powoli, przypominał mu wszystkie ciężkie myśli, które dręczyły go w drodze do Rzymu; niepokój dotyczący tysiąca praktycznych drobiazgów związanych z nadchodzącym sezonem operowym i niespodziewaną troską o głos, który stracił przed laty.

- Nigdy nie znajdowałem wiele radości w operze - mówił delikatnie do Tonia kardynał. - Obawiam się, że niewiele o niej wiem, ale miło będzie posłuchać po wieczornym posiłku występu śpiewaka.

Tonio zeszywniał. Guido wyczuł, że - tak jak się spodziewał - chłopiec poczuł się dotknięty. Jak zawsze wtedy, gdy traktowano go jak zwykłego muzyka, na długą chwilę spuścił wzrok, po czym powoli podniósł oczy i powiedział znacząco: - Tak, panie?

Kardynał zauważył, że coś jest nie w porządku. O dziwo, ujął raz jeszcze dłoń Tonia i rzekł: - Będiesz uprzejmy dla mnie śpiewać, prawda?

- To dla mnie zaszczyt, Wasza Ekscelencjo - odparł łaskawie Tonio, jak księżę odpowiadający księciu.

Kardynał zaśmiał się niewinnie i odwróciwszy się do swego sekretarza rzekł niemal jak dziecko: - To da moim wrogom jakiś nowy temat do rozmów.

Wkrótce znaleźli się w apartamentach złożonych z ogromnych pokoi, których okna wychodziły na wewnętrzny ogród, porośnięty przyciętą trawą i rzucającymi na ziemię wyraźne cienie drzewami. Rozpakowali się. Rozejrzeli. Paolo był bardzo podekscytowany, gdy ujrzał ozdobione ciemnobrązowymi kotarami i rzeźbionym zagłówkiem łóżko, w którym miał spać. A Guido zdał sobie sprawę, że muszą zająć z Toniem oddzielne pokoje i spać osobno ze względu na Paola.

Do późnego popołudnia Guido zdążył rozłożyć swoje partytury i przeczytać powtórnie listy polecające, które dostał od hrabiny. Od razu miał zamiar bywać na wszelkich dostępnych mu zebraniach towarzyskich, koncertach czy w szkołach. Musi porozmawiać z ludźmi o operach,

które odniosły tu w ostatnich latach sukces, i dowiedzieć się wszystkiego o miejscowych śpiewakach. Sekretarze kardynała dostarczyli już Guidowi partytury i libretta, których sobie życzył. A tegoż wieczora zamierzał udać się na pierwszy koncert w domu pewnego Anglika.

Czemu więc nie drżał z radości, kiedy ujrzał, że słudzy kardynała wnoszą klawikord i tak starannie układają na półkach jego książki?

Tonio, najwyraźniej urzeczony Rzymem, rozmawiał z Paolem na temat tego, co widzieli jadąc przez miasto. Chcieli od razu tego wieczora iść do Muzeum Watykańskiego, by obejrzeć papieskie skarby. Wychodzili razem, wypełniając różne polecenia, i już samo to stanowiło dla nich przygodę.

Guido, który został wreszcie sam, nie potrafił otrząsnąć się ze złych przeczuc, tak podobnych do smutku, które prześladowały go przez całą drogę z Neapolu do Rzymu.

Cóż go tak gnębiło?

Mogło to być oczywiście związane ze strachem, który zawsze nosił w sobie Guido, a dotyczącym wcześniejszych lat życia Tonia, jego ostatnich dni spędzonych w Wenecji, o których nigdy nie chciał rozmawiać.

Guido wiedział, choć nikt mu o tym nie mówił, że za niewypowiedzianą krzywdę, którą wyrządzono Toniowi, odpowiedzialny był jego starszy brat Carlo, i rozumiał, dlaczego chłopak nigdy tego nie rozgłosił.

Wynikało to jasno z listów, które Tonio podpisał i wysłał do Wenecji, zanim dotarli do Neapolu. Carlo Treschi był ostatnim męskim potomkiem rodu.

Guido pamiętał niewyraźnie tego elegancko ubranego, dosyć wesołego człowieka z kilku zebrań towarzyskich, na które zawędrował młody maestro, nim dni spędzane w Wenecji skończyły się tak dramatycznie i zaskakująco. Guido zauważył go tylko dlatego, że był bratem "arystokratycznego trubadura", jak nazywano Tonia. Carlo był wysokim, niezwykle przystojnym mężczyzną, opowiadał zabawne historyjki, cytował poezje i odnosiło się wrażenie, że wciąż pragnie zadowolić innych; skupić na sobie ich uwagę i ciepłe uczucia. Wydawał mu się wtedy tylko jeszcze jednym dobrze wychowanym, uprzejmym Wenecjaninem.

Guido myślał o nim teraz chłodno.

Nigdy nie wyjaśniał tej sprawy Maestrowi Cavalli. Z czasem okazało się to jednak niepotrzebne, gdyż ten sam domyślił się wszystkiego ze strzępów wiadomości, jak mógłby to zrobić ktokolwiek inny.

Kiedy Tonio całkowicie poświęcił się śpiewaniu, obaj nauczyciele uwierzyli jednak, że czas i osiągnięcia ulecą jego rany. A brat? Sądzieli, że Tonio, chcąc nie chcąc, będzie musiał mu wybaczyć i dziękowali za to Bogu.

Carlo Treschi zadziwił ich jednak. Nie tylko ożenił się z matką Tonia (“Nawet najpokorniejszy eunuch zapłonąłby gniewem”, powiedział wtedy Maestro Cavalla, a Tonio w żadnym calu nie był “najpokorniejszym eunuchem”), ale w ciągu trzech lat spłodził z nią dwóch zdrowych synów.

A Marianna Treschi ponownie była brzemienna.

Nie przykładał do tego wagi, póki - gdy był już gotowy do wyjazdu z Neapolu - Maestro nie zwrócił mu na to uwagi, ostrzegając, że powinien uważnie obserwować Tonia.

- Obawiam się, że czeka na stosowną chwilę. Jest jak dwójka bliźniaków w jednym ciele: jeden miłujący muzykę ponad życie i drugi pragnący zemsty.

Guido nic na to nie odpowiedział. Przypomniał sobie to małe miasteczko w Wenecji Eugenejskiej i posiniaczonego, oszołomionego narkotykami chłopca leżącego na brudnym, splamionym krwią łóżku.

A co najgorsze, przypomniał sobie rolę, jaką on sam odegrał w tym planie.

Niespokojny, prawie oniemiały wpatrywał się w Maestra, podziwiając określenie “dwójka bliźniaków w jednym ciele”. Nigdy o tym nie myślał, nie potrafił nawet nazwać takiego sposobu wyrażania się. Nieraz widział przecież twarz ponurego bliźniaka zastępującą oblicze delikatnego, łaskawego kochanka; nieraz czuł wiejącą od niego nienawiść, gniew, chłód równie wyraźny jak zimowa wilgoć przenikająca ściany jakiejś północnej gospody.

Znał także drugiego z bliźniaków zamieszkujących ciało Tonia; tego, który pragnął premiery w Teatro Argentina równie mocno jak Guido; który miał głos jak nikt inny na świecie, kochał zaciekle i delikatnie, i stał się całym życiem Guida.

- Nie spuszczaaj z niego oka - mówił z obawą Maestro. - Pokaż, co ma mu do zaoferowania świat; niech oddaje się wszystkim przyjemnościom, jakich zapragnie. Karm jednego z bliźniaków, a drugi niech ginie z głodu, walczą bowiem ze sobą i jeden z nich musi ulec.

Guido skinął głową, ponownie oszołomiony tym porównaniem. W grobowej ciszy, niezdolny nawet do potwierdzenia słów Maestra, myślał znów tylko o tym niewielkim miasteczku i okaleczonym dziecku, które trzymał w ramionach. Przypominał sobie, że nawet

wtedy, w obliczu tego przerażającego czynu, tak bardzo pragnął głosu Tonia, że nie był w stanie oplakiwać jego pogwałconej niewinności.

A więc w Toniu żyła istota pragnąca zemsty? Jakże mogłoby być inaczej!

Tak, dręczyły go mary przeszłości. Zawsze się tam kryły. Kiedyś obawiał się, że Tonia zniszczy gorycz; teraz obawiał się, że dokona tego mściwość. Efekt był taki sam. Guido dźwigał ze sobą to przecucie, jak świadomość własnej śmiertelności, i czuł się w jego obliczu równie bezradny. Otaczało go ono ciszą i chłodem.

Nigdy nie udało mu się namówić Tonia do rozmowy na ten temat. Kiedy przychodziły listy z Wenecji, niewątpliwie czytał je i niszczył ten drugi bliźniak, który chodził też potem po świecie, jakby ugodziła go zatruta strzała.

Jednak to promienny i ożywiony Tonio rozmawiał z nim o zbliżającej się premierze opery, o teatrze i o tym, co powinni zabrać ze sobą z Neapolu, a co zostawić. Ilu ludzi może pomieścić Teatro Argentina?

- Wiem, ile to dla ciebie znaczy - powiedział kiedyś do Guida. - Nie, nie mówię teraz o sobie, o tym, że jesteś moim nauczycielem, ale o Guidzie-kompozytorze. Wiem, jakie to ważne.

- Więc nie mów o tym tyle - rzekł z uśmiechem Guido - bo zamartwiasz nas obu. - Rozmawiali cicho, z podnieceniem, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Jednocześnie pakowali nuty, książki i mnóstwo innych rzeczy, w tym imitacje drogich kamieni, koronki; całą fortunę, jaką były warte ubrania Tonia.

- Karm jednego z bliźniaków - przykazał mu Maestro.

Tak robi, gdyż była to jedyna rzecz, jaką potrafił robić: uczenie, udzielanie wskazówek, kochanie i chwalenie tego niezrównanie utalentowanego i pięknego śpiewaka, kochanka, Tonia, pragnącego teraz odnieść sukces, na który przed laty sam liczył, marząc o debiucie w Rzymie.

Czemu więc przez całą drogę do Wiecznego Miasta Guido myślał obsesyjnie o swej tragedii, o stracie głosu? Chociaż przeszłość zajmowała go na ogół równie mało co skomplikowane koncepcje, ilekroć pokonały go wspomnienia, czuł się oszołomiony tym, że czas nie uczynił ich mniej bolesnymi.

Może po prostu ciężko było mu rozstać się z Maestrem Cavallą i szkołą, w której mieszkał od szóstego roku życia.

Być może jego umysł powracał do dawnych bolesnych przeżyć, by uwolnić go od cierpień związanych z wyjazdem? Nie był jednak co do tego przekonany. Nie wiedział.

Wciąż czuł ciężar bólu i straty, słyszał odnoszące się do Tonia słowa Maestra: “Pokaż, co ma mu do zaoferowania świat; niech oddaje się wszystkim przyjemnościom, jakich zapagnie”.

Co właściwie czuł Guido? Czyżby miał poczucie, że stracił coś niezwykle cennego, równie wartościowego, jak jego głos? Tonio nigdy nie opuści go, by udać się na tę potworną wyprawę do Wenecji, jeśli w ogóle kiedykolwiek miał zamiar to zrobić.

Jednak nie opuszczało Guida złe przeczucie i strach.

Czuł go nawet teraz, siedząc cicho w swym pokoju w pałacu kardynała. Raz po raz pojawiał mu się przed oczami wyraz twarzy kardynała Calvino, kiedy ów zobaczył Tonia. Od tego człowieka biła taka niewinność! Z pewnością był święty, jak mówili ludzie, w przeciwnym razie ukryłby swą nagłą fascynację i nie powiedziałby głupiego dowcipu.

Powitawszy muzyków, kardynał wyjechał.

Guido obserwował, jak ta wyjątkowa procesja opuszcza bramy pałacu. Świtę tworzyło pięć powozów z odzianymi we wspaniałe liberie woźnicami i lokajami. Tuż za bramą kardynał rzucił w tłum pierwszą garść złotych monet.

Wszedł Tonio. Był już u krawca z Paolem, by ubrać go tak, jakby chłopiec miał zostać następcą tronu. Kupił mu doskonale wykonaną szablę, jakiś tuzin książek oraz skrzypce, które Paolo szczególnie lubił, a Guido upierał się, żeby chłopak na wszelki wypadek doskonale opanował grę na jakimś instrumencie...

Obawa utraty czegoś; przygnębienie. Czemu Guido się tym wszystkim martwił? Na wszelki wypadek! Paola nie spotka żadna tragedia. Żadnego z nich nie czeka nieszczęście.

Guido czuł się jednak ciężki i znużony w tym ogromnym pokoju. Nie pocieszali go święci patrzący z obrazów w złożonych ramach. Święta Katarzyna na oczach setek gapiów rozpoznawała “prawdziwy krzyż”.

Tuż za drzwiami rozbierał się Tonio.

Guido patrzył, jak zdejmuje miękką białą koszulę i zrzuca spodnie, które znikają za sprawą podnoszącego je starego Nina, lokaja przysłanego przez hrabinę.

Tonio stał nieruchomo tyłem do Guida, jakby sprawiało mu przyjemność owiewające ciało chłodne powietrze tego miejsca. Potem włożył zielony, jedwabny szlafrok. Związał go luźno w pasie, a kiedy odwrócił się i podniósł wolno wzrok, wyglądał zmysłowo, niemalże orientalnie, z opadającymi na twarz włosami. Miękka materia spływała z jego wysokiego, pełnego wdzięku ciała tak naturalnie, jakby taka szata była powszechnie przyjętym strojem.

- Czemu jesteś przygnębiony? - spytał tak cicho, że Guido początkowo go nie usłyszał. Znaczenie jego słów musiało przeniknąć przez cienie pokoju.

- Nie jestem przygnębiony - odparł Guido. Ale wiedział, że taka wymówka nie wystarczy. Tonio usiadł tak blisko, że mógłby dotknąć grzbietu rozprostowanej dłoni Guida. A ten raz jeszcze spostrzegł, iż wciąż obserwuje Tonia, jakby ze sobą nie rozmawiali.

Miał rację przewidując przed laty, że Tonio będzie dysponował całym wdziękiem Domenica. Tonio jednak udoskonalił swój sposób bycia, co wzmagało jeszcze tę grację. Dzięki naturalnym wolnym ruchom panował nad swymi długimi kończynami, a ściszony głos miał w sobie taką głębię, że wydawał się dziwacznym preludium do pełni głosu Tonia w czasie śpiewu.

Jego twarz stała się teraz nieco większa, jej części były nawet nieco bardziej od siebie oddalone niż u normalnego chłopca, nadal też było coś tajemniczego w rozmieszczeniu jego oczu. Nawet teraz, patrząc na niego, Guido czuł się nieco zdezorientowany. - Czary noża - pomyślał ze znużeniem. Nie w tym co wycina, ale w tym co zostawia, tkwi ten niezrównany powab. Tonio nie musi wiedzieć, że go posiada, ani próbować go używać. Po prostu go ma. A ta uwodzicielskość w połączeniu z weneckimi manierami wystarczy, by doprowadzić innych do szaleństwa.

- Guido - dobiegał gdzieś z bardzo daleka jego głos. - Paolo będzie świetny. Jestem tego pewien. Sam będę mu dawał lekcje.

Guido poczuł nagle do niego nienawiść. Pragnął, by odszedł. Patrzył na Tonia, ale nie był w stanie się do niego odezwać. Przypominał sobie scenę sprzed lat, gdy po godzinach miłości sam leżał załóżnie na podłodze pokoju ćwiczeń. Maestro, którego tak pożądał, pochylił się wtedy i powiedział mu coś do ucha. Co to było?

- Nie mam nic przeciwko Paolowi - rzekł, rozzłoszczony nieporozumieniem. - To dobry śpiewak - stwierdził po prostu. Z podnieceniem myślał o tym, że Paolo o wiele więcej zyska dzięki pobytowi w Rzymie, niż kiedykolwiek nauczyłby się w konserwatorium. Miał w sercu osobny kącik dla Paola. Pragnął, by Tonio zostawił go teraz w spokoju.

- Jestem zmęczony po podróży - rzekł krótko. - Czekam na tyle pracy. Nie mam czasu do stracenia.

Tonio nachylił się do niego. Szepnął mu cicho do ucha coś nieco szokującego. Guido zdawał sobie sprawę, że są w tych komnatach sami. Tonio odesłał służących.

- Bądź względem mnie cierpliwy - powiedział ze złością. Po minie Tonia widział, że go zranił. Ten jednak skinął tylko z lekka głową. Zawsze tak się zachowywał, pokazywał swoją piekielną, wenecką uprzejmość! W spojrzeniu, które skierował na Guida, nie było nagany. Podniósł się do wyjścia.

Guido, nieco poruszony, patrzył, jak idzie przez pokój. Wyobraził go sobie na scenie, ujrzał tłumy przy jego garderobie. Raz jeszcze przypomniał sobie twarz kardynała Calvino, jej niewinność i niezwykle żywotne oczy.

Nie masz pojęcia, jakie czeka cię uwielbienie, nawet się nie domyślasz. Oczywiście i kompozytora obdarzą komplementami; jeśli opera okaże się dobra, może nawet umieszczą moje nazwisko na ulotkach, ale mogą tego nie zrobić. To dla ciebie Rzym będzie pękał jak skorupka jajka i rodził się wciąż na nowo; pragnę tego dla ciebie, tak pragnę.

Więc czemu się tak czuję?

Tonio był gdzieś za drzwiami. Guido czuł jego bliskość. Nagle wyobraził sobie, że go uderza; ujrzał tę idealną twarz zeszepeconą czerwonymi śladami. Nim zdał sobie sprawę z tego, co robi, wstał od biurka i wkroczywszy szybko do sypialni, zatrzymał się na widok stojącego przy oknie i spoglądającego na podwórze Tonia.

- Wiesz, jaka jest rzymska publiczność - powiedział Guido. - Wiesz, co mnie czeka. Musisz być cierpliwy.

- Jestem - odparł Tonio.

- Musisz robić wszystko, o co cię poproszę! Musisz mi to obiecać!

Wzbierała w nim ochota do kłótni. Doszło do głosu wszystko, co go złościło i irytowało w Toniu. Wiedział jednak, że nie czas na to. Mieli jeszcze dużo czasu...

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz - odparł uprzejmie Tonio głębokim, wyważonym głosem.

- Tak, wszystko prócz wystąpienia w stroju kobiety, chociaż wiesz, że to właśnie musisz zrobić. Właśnie w Rzymie jest to absolutnie konieczne, ale ty oczywiście zgodzisz się na wszystko prócz tego!

- Guido - przerwał mu Tonio. Po raz pierwszy był rozgniewany i zniecierpliwiony. Zmiana zachodząca na tej anielskiej twarzy nigdy nie przestawała dziwić Guida. - Tego nie mogę zrobić. Nie ma potrzeby więcej się o to spierać.

Guido wydał niski, pogardliwy okrzyk. Miał teraz to, czego pragnął: walkę. Z jego ust padały gniewne słowa, twarz Tonia czerwieniała, oczy robiły się coraz chłodniejsze. Czemu Guido tak się zachowywał? Czemu właśnie teraz, w czasie ich pierwszej nocy w Rzymie, kiedy miał mnóstwo czasu, by zabrać Tonia na różne opery, pokazać mu kastratów w kobiecych kostiumach i sprawić, by pojął ich ogromną moc i urok?

Tonio odwrócił się gwałtownie i wszedł do otwartej przebieralni. Zdejmował z siebie szlafrok. Teraz ubierze się i wyjdzie, a pokoje opustoszeją. Guido zostanie sam.

Ogarnęła go desperacja.

- Chodź tutaj - zażądał zimno. Przysunął się do łóżka. - Nie, najpierw zarygluj drzwi, a potem przyjdź.

Tonio przez chwilę tylko na niego patrzył.

Zacisnął lekko usta, a potem z tym charakterystycznym, arystokratycznym skinieniem głowy, zrobił, co mu kazano. Stał i czekał przy wysokim łóżku, dotykając dłonią narzuty, i spokojnie patrzył Guidowi w oczy. Guido rozpiął spodnie i poczuł, jak namiętność zlewa się z innymi uczuciami w jedną moc.

- Zdejmij szlafrok - powiedział ze złością. - I połóż się twarzą w dół.

Oczy Tonia zdawały się zbyt piękne, niż powinny być oczy. Nie zdradzając najmniejszego niezadowolenia, Tonio ponownie wykonał rozkaz.

Guido położył się na nim brutalnie. Nagość leżącego pod nim Tonia, jego ciało dotykające ubrania Guida doprowadzało maestra do szału. Przycisnął dłonią twarz Tonia do łóżka i posiadał go brutalnymi pchnięciami.

Długo leżał obok Tonia, nim ten podniósł się, by wyjść.

Chłopak ubrał się bez słowa skargi, a kiedy włożył pierścienie z drogimi kamieniami i wziął laskę, podszedł cicho do łóżka. Pochylił się, by pocałować Guida w czoło, a potem w usta.

- Czemu ze mną wytrzymujesz? - szepnął Guido.

- Czemu miałbym z tobą nie wytrzymywać? - odpowiedział cicho Tonio. - Kocham cię, Guido - rzekł. - Po prostu obaj jesteśmy trochę przestraszeni.

Ulica, gwiazdy nad głową, zęby zagłębiające się w czyjeś ciało, nóż, cięcie noża i ten ryk, który był jego własnym krzykiem...

Potem zbudził się z zasłoniętymi dłońmi ustami i zdał sobie sprawę, że nie wydobyl z siebie ani jednego dźwięku.

Znajdował się w pałacu kardynała Calvino, w Rzymie.

Nie było to nic nadzwyczajnego, ten sen i twarze siepaczy, które czasem, jak mu się zdawało, dostrzegał na ulicach. W rzeczywistości oczywiście nigdy ich nie widział; fantazjował tylko, że spotyka jednego z nich, łapie go, gdy tamten niczego się nie spodziewa: - Czy pamiętasz Marca Antonia Treschiego, chłopca, którego wiozłeś do Flovigo? - i wbija sztylet między jego żebra.

Tuż przed opuszczeniem Neapolu spędził całe popołudnie z pewnym siepaczem, który uczył go jeszcze lepiej posługiwać się niewielkim nożem. Zapłacono mu za tę usługę, a przy tym zdawał się być zadowolony z pojętnego ucznia.

- Ale po co samemu się tym zajmować, signore? - spytał szeptem, patrząc na ubrania Tonia i pierścienie na jego palcach. - Właśnie nie mam pracy. Moje usługi nie są tak drogie, jak można by się spodziewać.

- Po prostu naucz mnie, czego trzeba - odpowiedział z uśmiechem Tonio. Uśmiech zawsze poprawiał mu w takich chwilach nastrój. Siepacz, który miał niejako wrodzone zdolności do nauczania, wzruszył tylko ramionami.

To wspomnienie szybko przepędziło sen. Zanim Tonio postawił bosą stopę na rozkosznie chłodnych marmurowych płytach, znów zdawał sobie sprawę, że jest w pałacu kardynała, w środku Rzymu. Sen dokuczał mu jak nieprzyjemny smak w ustach albo lekki ból głowy. Wkrótce całkiem zniknie.

Miasto czekało na niego. Po raz pierwszy w życiu był naprawdę wolny. Wiele lat temu po ograniczeniach narzucanych mu przez nauczycieli zakosztował opieki Guida oraz dyscypliny konserwatorium i nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że to właśnie dobiega końca.

Guido dał mu to jednak jasno do zrozumienia. Dopóki Paolo ma nauczycieli, a sam Tonio poświęca ranki na ćwiczenia, z niczego nie musi się więcej nikomu tłumaczyć. Guido nigdy tego nie powiedział. Tak po prostu się działo. Sam Maestro zniknął po południu, gdy inni jeszcze

drzemali i czasem nie wracał aż do północy. Pytał potem Tonia konwersacyjnym tonem: - A ty gdzie byłeś?

Tonio nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ostatnie strzępki snu zniknęły. Chłopak rozbudził się, a ponieważ był bardzo wczesny rano, wiedział, że jeśli się pospieszy, to będzie jeszcze mógł wysłuchać kardynała Calvino na porannej mszy.

Kardynał Calvino prowadził codziennie mszę w swej prywatnej kaplicy otwartej dla wszystkich domowników. Ołtarz ozdabiały białe kwiaty, a pod ogromnym wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa płonęły łukami maleńkie płomyki świec w kandelabrach. Z dłoni i stóp Chrystusa płynęła obficie błyszcząca, czerwona krew.

Kiedy Tonio wszedł do kaplicy, blask świec poraził jego oczy. Obecni zdawali się go nie zauważać, gdy siadał na krzeselku w samym tyle. Sam nie wiedząc czemu, obserwował odległą postać na ołtarzu, która teraz odwracała się ze złotym kielichem w dłoniach.

Grupa młodych rzymian klęczała, czekając na komunię, za nimi przyklekli ubrani nieco poważniej pokorni duchowni. Tonio czuł się jednak dobrze na swoim miejscu; opierał głowę o złoconą kolumnę za krzesłem. Zamknął oczy.

Kiedy ponownie je otworzył, kardynał unosił dłoń, błogosławiąc zebranych po raz ostatni, a jego gładka, nie zdradzająca wieku twarz, wydawała się niezwykle niewinna, jakby nie wiedział nic o istnieniu zła. Każdy gest wykonywał z przekonaniem i Toniowi zaświtała myśl, jak puls bijący w skroni, że kardynał Calvino ma więcej powodów, by żyć niż większość z nas: wierzy w Boga, wierzy w siebie; wierzy w to, kim jest i w to, co robi.

Było już popołudnie, gdy Tonio, po kilku godzinach ćwiczeń z Guidem i Paolem, wkroczył samotnie do pałacowej sali fechtunku.

Sala nie była używana całymi latami. Błyszcząca pod kurzem odgarniętym przez jego stopy wypolerowana podłoga wydawała się Toniowi znajoma. Wyjawszy szpadę z pochwy, natarł na niewidzialnego przeciwnika, nuąc, jakby bitwie towarzyszyła wspaniała muzyka i jakby była ona częścią jakiegoś wspaniałego przedstawienia na wielkiej scenie.

Mimo znużenia ćwiczył dalej, dopóki nie poczuł pierwszego, przyjemnego bólu w łydkach.

Po godzinie przerwał jednak gwałtownie, przekonany, że ktoś obserwuje go, stojąc w drzwiach.

Odwrócił się, mocno ściskając w dłoni rapier.

Nikogo nie było. Korytarz za drzwiami okazał się pusty, chociaż w całym ogromnym domu słyhać było odgłosy życia.

Nie opuszczało go jednak uczucie, że ktoś tam był i odszedł. Włożywszy szybko żakiet, schował szpadę do pochwy i zaczął spacerować po pałacu niemalże bez celu, witając mijanych ludzi skinieniami głowy i ukłonami.

Zbliżył się do wielkiego gabinetu kardynała, lecz zauważywszy, że jest zamknięty, zaczął przechadzać się po półpiętrze, oglądając ogromne flamandzkie gobeliny i potężne portrety żyjących w zeszłym wieku mężczyzn, którzy nosili takie ogromne peruki. Białe włosy spływały im falami na ramiona. Ich wspaniale oddana na malowidłach skóra zdawała się błyszczeć życiem.

Na dole zapanowała nagle wielka wrzawa. Właśnie przybył kardynał.

Tonio patrzył, jak wkracza na szerokie, białe marmurowe schody w otoczeniu pomocników i służących. Nosił małą perukę z warkoczykiem, doskonale dopasowaną do szczupłej twarzy, rozmawiał uprzejmie z towarzyszącymi mu osobami, a raz zatrzymał się z ręką wspartą o marmurową poręcz, by złapać oddech i wyszeptać jakiś dowcip.

Nawet gdy stał, było w nim coś z monarchy. Mimo bogactwa purpurowego morowanego jedwabiu i srebrnej biżuterii oraz godności, z jaką się poruszał, jego twarz była z natury radosna.

Tonio postąpił w przód bez żadnego określonego celu; może tylko po to, by przyjrzeć się, jak ten człowiek wchodzi po schodach.

A kiedy kardynał znów przystanął, dojrawszy Tonio, i patrzył na niego przez dłuższy czas, ten skłonił się i wycofał.

Nie wiedział, dlaczego mu się pokazał. Stał samotnie w ciemnym korytarzu, na którego końcu wpadało przez okno światło słońca i nagle zawstydzził się.

Mimo to rozkoszował się delikatnym uśmiechem kardynała, sposobem, w jaki patrzył na niego, nim z uczuciem skinął mu głową.

Serce zabiło Toniowi jak młotem. - Idź na miasto - szepnął sam do siebie.

Guido przyrzekł sobie nie przypominać Toniowi w ciągu kilku najbliższych tygodni o sprawie kobiecej roli.

Pracując, był jednak bardziej niż zwykle przekonany, że odegranie jej przez Tonia jest koniecznością.

Odwiedził Teatro Argentina, rozmawiał z Ruggeriem na temat innych śpiewaków, których miał zamiar wynająć, upewnił się, że teatralna maszyna działa i będzie w stanie podolać wszystkim napisanym przez niego scenom oraz ustalił ostatecznie procent, jaki dostanie ze sprzedaży drukowanej partytury.

Tonio kupował tymczasem małemu Paolowi każdą część garderoby, jaką chłopiec mógł nosić, począwszy od przetykanych złotą nicią kamizelek po peleryny letnie i zimowe - chociaż było lato - tuziny chusteczek, koszule obszyte ulubioną przez Tonia wenecką koronką i pantofle z marokinu.

Było to prowokujące, ale Guido nie miał czasu, by go za to zganić, a przy tym Tonio doskonale spisywał się jako nauczyciel, wprowadzając Paola w zawilosci wokaliz i łaciny.

Gęste, brązowe włosy Paola zostały teraz okiełznane i ułożone. Cały czas był ubrany odpowiednio do wyjścia i chłopcy chodzili wieczorami zwiedzać muzea przy blasku pochodni. Grupa Laokooną przeraziła Paola z tego samego powodu co innych: ponieważ ojciec i dwaj synowie schwytni przez węże mieli zginąć w tym samym momencie.

Tonio uczył też swego podopiecznego odpowiednich manier.

Co rano jedli w trójkę śniadanie przy jednym z wysokich okien, którego granatowe kotary były odciągnięte w bok i związane. Guido był zmuszony przyznać, że lubił przysłuchiwać się rozmowie tej dwójki, która wcale nie wymagała, by się do niej przyłączył. Lubił słyszeć dokoła rozmawiających ludzi, o ile sam nie musiał nic mówić.

Wystarczyły mu rozmowy, które był zmuszony odbywać wieczorami. Dzięki hrabinie, która nadal regularnie z nim korespondowała, przyjmowano go wszędzie; wszędzie też pytał o lokalne gusta i, udając ignorancję, prosił ludzi, by opisywali mu w szczegółach wszystkie ostatnie opery.

Krążąc po ogromnych salach balowych, przemierzając schody kardynalskich pałaców i kwatery zagranicznych amatorów sztuki, wyczuwał, że istnieje tu wielka miejscowa społeczność, o wiele bardziej pewna siebie i krytyczna niż te, które znał z innych miast.

Czemuż by nie miało tak być? W końcu był to Rzym, magnes Europy. Wcześniej czy później przybywali tu wszyscy, by zaznać sławy, upokorzenia, czasem wchłaniania przez to miasto, a kiedy indziej unicestwiani, odrzucani i wypędzani.

Mieszkały tu całe społeczności emigrantów. I chociaż nie płynął stąd potok kompozytorów, jak ostatnio z Neapolu, a w przeszłości z Wenecji, to właśnie w Rzymie zaczynały się lub kończyły kariery. W Rzymie doskonalili śpiewacy, zbierający laury na północy i południu, mogli zostać zniszczeni, a kompozytorzy wręcz przepędzeni z teatru.

Południe wydawało się tym ludziom niezwykle łagodne. Jednak nawet odurzenie tamtymi stronami nie wystarczało, by powstrzymać ich przed powrotem do Rzymu. Kpili z Wenecjan twierdząc, że można się od nich spodziewać tylko barcaroli - muzyki sunących po wodzie gondolierów; nie współczuli tym, których niszczyli.

Ten przeraźliwy snobizm złościł czasem Guida, szczególnie odkąd Neapol zaczął wysyłać w świat utalentowanych muzyków. A Vivaldi, Wenecjanin, nie ustępował innym europejskim kompozytorom. Guido zachowywał jednak spokój. Przyjechał tu, by się uczyć.

I był zafascynowany.

W ciągu dnia odwiedzał różne kawiarnie, chłonał życie kwitnącej Via Veneto oraz wąskiej Via Condotti i rozmyślał, patrząc na wchodzących i wychodzących młodych kastratów. Niektórzy przebrani byli zuchwale w ozdobne kobiece suknie, inni skradali się jak piękne koty, prezentując urzekająco surowe czarne stroje, a ich świeża cera i piękne włosy przyciągały wzrok wszystkich.

Znalazłszy się w letnich teatrach na przedstawieniach oper komicznych czy sztuk, przyglądał się tym harującym po scenie chłopcom i coraz wyraźniej rozumiał, że właśnie w Rzymie, bardziej niż gdziekolwiek indziej, kastraci stali się modni i potrzebni.

Tutaj Kościół nie zniósł jeszcze, obowiązującego kiedyś we wszystkich europejskich teatrach, zakazu występowania kobiet na scenie. Ta widownia po prostu nigdy jeszcze nie widziała kobiety stojącej w światłach ramp, blasku jej ciała jaśniejącego dzięki okrzykom i oklaskom tysięcy stłoczonych w ciemnej sali ludzi.

Nawet tancerze w balecie musieli hasać w długich spódnicach.

Guido rozumiał, że jeśli kobieta zostaje wykluczona z całej sfery życia, która zmuszona jest imitować prawdziwy świat, zastosowanie jakiegoś substytutu płci pięknej staje się nieuniknione.

Coś musi wypełnić pustkę, jaka została po kobiecości. Coś musi być kobiece. A kastraci byli nie tylko śpiewakami, muzykami, wybrykami natury; stali się kobietami.

I wiedzieli o tym. Jakże kołysali biodrami, jak drwili i szydzili z wygłodniałej publiczności!

Guido zastanawiał się, czy Tonio to zauważa, czy cierpi nieznośnie z tego powodu? Czy nie uświadamia sobie, że kobieca rola pozwoliłaby drastycznie spotęgować siłę, którą dysponuje?

Słuchając wznoszących się i opadających sopranów, Guido doszedł do wniosku, że tkwiła w tym wszystkim wielka ironia. Oto obserwował, jak umiejętność, której zawsze był świadom, staje się czymś wysoce obscenicznym, o wiele bardziej zmysłowym niż kobiety, w które pozwalała się wcielać.

- To da moim wrogom jakiś nowy temat do rozmów - powiedział kiedyś nieopatrnie kardynał. Miał rację.

Guido westchnął. Zanotował kilka rzeczy na bloczku papieru, który nosił w kieszeni. Zapisywał temperament, zwyczaje i szczególne zamięłowania tych, z którymi się stykał.

Wiedział, że pierwszego dnia roku Tonio musi wystąpić na scenie Teatro Argentina jako kobieta. Jego głos zwróciłby na siebie uwagę bogów; ale w Rzymie on i tylko on musi tchnąć tą siłą cielesności, nie powinien dawać przewagi żadnemu młodemu śpiewakowi. On musi ją mieć. Guido musi wygrać.

A to była zaledwie część walki, która czekała maestra. Guido za wszelką cenę musi triumfować. Jest zmuszony zrozumieć to miasto i wybaczyć mu jego okrucieństwo, gdyż w przeciwnym razie będzie zbyt przerażony, by zrobić to, co powinien. Poznając Rzym dzień po dniu, usiłował objąć jego krajobraz myślą.

Zakochał się w tym mieście.

Bazylika San Giovanni in Laterano, kościół San Pietro in Vincoli, skarbcze Watykanu, rozpadające się cielsko zarośniętego chwastami starożytnego Koloseum, rozległe pozostałości Forum - dumal o tym wszystkim, a obok mknęły z hałasem powozy kardynałów, przechodziły coraz to nowe procesje zakapturzonych mnichów i księży w sutannach. Duchowni przybywali z

całego świata, by usłyszeć głos Ojca Świętego rozbrzmiewający w największym Kościele ziemi i dochodzący na dalekie kontynenty i morza, aż po same granice chrześcijańskiego świata.

Co czuł w atmosferze tego miasta, stojąc na Placu Świętego Piotra; co czyniło Rzym tak pozornie trwałym i niezwyciężonym?

Miał wrażenie, że wyczuwa szum, wrzenie - jakby ta ogromna metropolia była samym jądrem wulkanu. Rzym rzeczywiście stanowił buchający ogniem i dymem kocioł, a wszystkich mieszkających i zmagających się tu z losem ludzi łączyła ta jedna siła.

Czy nie było więc właściwe, że wszystko tu właśnie musiało przechodzić ostateczny test? Niechże publika lży, poniża, wypęda z teatru i z samego miasta wszystkich, którzy nie są godni panteonu. W końcu nie jest to tylko jej rozrywka, a prawo.

Wrócił do domu.

Pisał, póki nie zawiodły go oczy, póki nie przestał słyszeć nut, które zapisywał. Miał już plik arii dla rozmaitych głosów, arii wyrażających wszystkie uczucia.

Nie wymyślił jeszcze jednak fabuły.

Kardynał zażyczył sobie wreszcie kiedyś, by Tonio dla niego zaśpiewał.

Wydawał skromną kolację dla zaledwie trzydziestu pięciu osób. Stół jaśniał od świec, goście mieli ożywione twarze, a w odległym rogu komnaty stał klawesyn.

Guido dał Toniovi prostą arię, która nie mogła ujawnić nawet jednej czwartej jego talentu i siły głosu. Ponieważ sam dawno już znał na pamięć muzykę, kiedy chłopak zaczął śpiewać, maestro znad klawiatury spoglądał na tę małą widownię.

Tonio wydobywał z siebie wysokie, czyste, zabarwione smutkiem nuty. Na ich dźwięk przerwano posłusznie rozmowy, a niektórzy goście bez żenady odwracali głowy.

Kardynał wpatrywał się w swego śpiewaka. Jego oczy, którym gładkie powieki nadawały nieco skośny kształt, delikatnie lśniły.

Mimo wielu spraw rozpraszających uwagę, pochłonał wszystko, co miał na talerzu. W jego sposobie jedzenia tkwiła nieukrywana zmysłowość. Kroił mięso na duże kawałki; ogromnymi łykami pił wino.

Mimo to był tak szczupły, jakby spalał wszystko, co skonsumował, zmieniając zły nawyk w konieczność, nawet gdy unosił do ust lśniące winogrona.

Po posiłku wbił w stół na sztorc długi nóż o ręczce wykładanej masą perłową i ujawszy go w dłonie, oparł na nich brodę.

Nie spuszczał oczu z Tonia. Sprawiał wrażenie kogoś zamyślnego, kto mimo uprzejmości okazywanej otaczającym go ludziami, był czymś tajemnie pochłonięty.

Guido często późną nocą siedział samotnie przy biurku, zbyt zmęczony, by pisać. Czasem czuł się nawet nazbyt wyczerpany, aby rozebrać się i iść do łóżka.

Żałował, że nie może po prostu położyć się obok Tonia, ale - przynajmniej na ten krótki okres - skończyły się już całonocne uściski. Jego zaś opanował znów strach, przeciwko któremu nie potrafił znaleźć w tych obcych pokojach żadnej obrony.

Znajdował jednak niezaprzeczalną przyjemność w szukaniu swego ukochanego, słodczy i tajemnicę w przemierzaniu ogromnej pościeli zimnej podłogi, otwieraniu drzwi, zbliżaniu się do jego łóżka.

Odłożył teraz pióro i wpatrywał się w leżące przed sobą kartki. Czemu wszystko to było takie bezbarwne, pozbawione polotu? Wkrótce będzie musiał nadać całości ostateczny kształt. Przez cały wieczór czytał libretta szalenie teraz modnego Metastasia, który miał szczęście urodzić się w Rzymie. Nie potrafił jednak ciągle znaleźć fabuły, przynajmniej dotąd, póki nie odniesie ostatecznego zwycięstwa, na które nie miał już szans dzisiejszej nocy.

Nie o tym jednak teraz myślał. Pragnął Tonia.

Pozwolił wolno narastać swej namiętności.

Nucił coś, przesunął kostkami palców po wargach, pozwalając, by dręczyły go ulotne fragmenty własnych fantazji.

Potem przemierzył cicho podłogę. Tonio spał głęboko, na oczy spadały mu luźne kosmyki włosów, a twarz młodzieńca zdawała się równie doskonała i pozornie martwa jak oblicza rozrzewniających, białych posągów Michała Anioła. Kiedy jednak Guido podszedł bliżej, całując Tonia, poczuł ciepło; włożył dłoń pod przykrycie, by go podnieść. Oczy chłopca otworzyły się z drżeniem. Tonio, oślepiony na chwilę, jęczał, a jego ciało wydawało się tak ciepłe, jakby był dzieckiem trawionym gorączką. Otworzył usta na przyjęcie Guida.

Leżeli potem blisko siebie w ciemności, a Guido walczył z sennością, jako że nie mógł sobie pozwolić na to, by go tu znalezione.

- Jesteś wciąż całkowicie mój? - szepnął, oczekując w odpowiedzi tylko panującej w komnacie ciszy.

- Zawsze - odparł sennie Tonio. Miał wrażenie, że to nie jego głos, lecz kogoś śpiącego w jego wnętrzu.

- Nigdy nie było nikogo innego?

- Nikogo.

Tonio przesunął się i objął Guida ramieniem, przytulając się do jego piersi tak, że leżeli spleceni, a gładki, gorący brzuch Tonia przylegał do członka Guida, który dotykał czarnych, zawsze zadziwiających go swą fakturą włosów kochanka.

- A nie zastanawiasz się czasem, jakby to było? - spytał powoli. - Z mężczyzną? Albo z kobietą?

Zamknął oczy i niemalże odpływał już w sen, gdy usłyszał cichą jak poprzednio odpowiedź.

- Nie, nigdy.

Guido wrócił bardzo późno.

W pałacu panowała absolutna cisza, jakby kardynał wcześniej udał się na spoczynek. Tylko w pokojach na pierwszym piętrze paliło się kilka świateł. Korytarze biegły w szary mrok, a białe rzeźby - rozpadający się bogowie i boginki - lśniły własnym, dziwacznym blaskiem.

Guido z wyczerpaniem wspinał się po schodach.

Spędził popołudnie z hrabiną w jej willi na obrzeżach Rzymu. Przyjechała, by wydać rozporządzenie co do przygotowania domu do otwarcia za kilka miesięcy i tym razem zamierzała zostać w Rzymie tylko parę dni, a później wrócić tu jeszcze przed Świętami na sezon operowy.

Robiła to dla Guida i Tonia, jako że sama o wiele bardziej wolała południe i Guido był jej wdzięczny za przybycie.

Kiedy jednak zauważył, że być może nie będą mieli dzisiaj okazji nawet przez chwilę przebywać w samotności, zapłonął gniewem i zachowywał się niemalże grubiańsko.

Hrabina, zaskoczona, ale wyrozumiała, zabrała go ze sobą do palazzo, w którym gościła. Kiedy znaleźli się w łóżku, namiętność Guida zaskoczyła ich obojga.

Chociaż nigdy o tym nie rozmawiali, wiadomo było, że to do hrabiny należy inicjatywa w czasie stosunków. Zawsze znajdowała przyjemność w nieustraszoną, pełną miłości drażnieniu Guida dłońmi i ustami, by przed stosunkiem jego członek stał się twardy. Traktowała go właściwie jak swoją własność. Pieściła go, jakby był dzieckiem, zaborczo, dysząc cicho; pieściła jak kogoś nieskończenie dla niej pociągającego i nie stwarzającego najmniejszego zagrożenia.

Guido cenił sobie jej troskę. Chociaż poza nią bali się go prawie wszyscy, nie obchodziło go, co sobie myślała.

W jakiś niewypowiedziany sposób zdawał sobie sprawę, że hrabina ma dla niego czysto symboliczne znaczenie. Była kobietą, ale to Tonio był osobą, którą Guido darzył bezgraniczną miłością.

Sądził, że sprawy zawsze tak się mają między mężczyznami i kobietami oraz po prostu między mężczyznami, więc ilekroć problem ten przyszedł mu do głowy, natychmiast odsuwał go z myśli.

Tego popołudnia zachowywał się jednak jak zwierzę. Wiedział, że do tak szczególnego wzbogacenia gry miłosnej przyczyniła się nieznana sypialnia, jego dziwne zachowanie i krótka rozłąka z hrabiną.

Nie wstali od razu. Wypili jeszcze kawę, odrobinę likieru i rozmawiali.

Guido zastanawiał się w milczeniu, czemu między nim i Toniem toczy się walka. Ich poranna kłótnia na temat kobiecej roli doprowadziła do ohydneho punktu kulminacyjnego, kiedy to Guido wyciągnął podpisany przez Tonia kontrakt z Ruggeriem, w którym było jasne napisane, że śpiewak zostaje zatrudniony jako primadonna. Tonio odrzucił go na bok, poczuł się oszukany.

Guido dostrzegł jednak pierwsze oznaki uległości. Już w chwilę później ponownie się zdenerwował, gdy Tonio uparł się, że nie przyjmie żadnego pseudonimu scenicznego. Będzie znany publiczności jako Tonio Treschi. Jeśli już muszą nazywać go jednym słowem, niech mówią na niego Tonio.

Guido był wściekły. Skądże takie odstępstwo od zwyczaju. Tonio zostanie oskarżony o wyniosłość. Czy zdaje sobie sprawę, iż większość ludzi nigdy nie uwierzy, że jest weneckim patrycjuszem? Uznają to za oszustwo.

Tonio najwyraźniej poczuł się zraniony.

Po długiej chwili odparł cicho: - Nie obchodzi mnie, co myślą ludzie. Moja decyzja nie ma nic wspólnego z tym, gdzie się urodziłem, ani kim mogłem być. Nazywam się Tonio Treschi. To wszystko.

- W porządku, ale będziesz grał rolę, którą dla ciebie napiszę - rzekł Guido. - Płacą ci tyle co doświadczonym śpiewakom, a może i więcej. Zostałeś tu sprowadzony, by zagrać kobiecą rolę. Chociaż jesteś nikim, twoje imię, Tonio Treschi, czy też jakiegokolwiek inne, zostanie wypisane na plakatach, dużymi literami. Twoja młodość i uroda tak samo jak wszystko inne przyciągnie publiczność. Ludzie oczekują, że ujrzą cię w damskim stroju.

Wypowiedziawszy te słowa, nie był w stanie spojrzeć na Tonia.

- Nie wierzę - odparł cicho Tonio. - Od trzech lat powtarzasz mi, że rzymianie są najsurowszymi krytykami. A teraz mówisz, że chcą ujrzeć chłopaka w dziewczęcej spódniczce. Czy widziałeś kiedyś sztychy dawnych narzędzi tortur? Te żelazne maski, kajdany, prawdziwe kostiumy służące do zadawania bólu? Tym właśnie byłby dla mnie strój kobiety, a ty każesz mi go włożyć. Odmawiam.

Guido nic z tego nie rozumiał. Sam wiele razy odtwarzał kobiece role, nim skończył osiemnaście lat. Zawsze zniechęcały go zawilości rozumowania Tonia. Mógł postępować tylko w jeden sposób:

- Musisz ulec.

Jak można było znajdować w śpiewaniu i grze aktorskiej taką przyjemność jak Tonio i nie dostosowywać się do wszystkich wymagań?

Nie powiedział jednak o tym hrabinie.

Nie mógł zwierzyć się jej z najgorszego; przyznać się do chłodu, z jakim traktował Tonia, za który on odwdzięczał mu się wyrozumiałością.

Wysłuchał za to opowieści o kłopotach hrabiny.

Nie udało jej się przekonać wdowy po kuzynie z Sycylii, tej ślicznej, wspaniale malującej Angielki, by rozważyła możliwość ponownego wyjścia za mąż.

Dziewczyna nie chciała wracać do Anglii ani szukać drugiego męża. Pragnęła za to zostać malarką.

- Zawsze ją lubiłem - mruknął z niewielkim zainteresowaniem Guido. Myślał o Toniu. - I ma do tego talent. Maluje jak mężczyzna! Hrabina nie potrafiła tego pojąć: kobieta, która chce założyć własne studio, kobieta wspinająca się na rusztowanie w kościele albo pałacu, by chwycić w rękę pędzel.

- Nie odwrócisz się od niej, prawda? - spytał łagodnie Guido. Dziewczyna była taka młoda.

- Na Boga, oczywiście, że nie! - odparła hrabina. - Nie urodziła się w końcu jako członek mojej rodziny. A mój kuzyn ożenił się z nią, gdy miał już siedemdziesiąt lat. Jestem jej za to coś winna.

I zauważyła z westchnieniem, że dziewczyna jest na tyle bogata, iż może robić sama to, co uzna za stosowne.

- Przywieź ją ze sobą do Rzymu na operę - rzekł sennie Guido. - Może tutaj znajdzie odpowiedniego męża.

- To beznadziejna sprawa - odpowiedziała hrabina. - Ale moja kuzynka i tak tutaj przyjedzie. Za nic w świecie nie opuściłaby pierwszego publicznego występu Tonia.

Teraz, zmierzając powoli korytarzem do swoich apartamentów, Guido dojrzał pod drzwiami smugę światła. Czuł się niemalże z tego zadowolony, póki nie przypomniał sobie panującej między nim a Toniem animozji. Prawie z irytacją przekreślił gałkę.

Tonio nie spał i był kompletnie ubrany. Siedział samotnie w rogu pokoju i pił kieliszek czerwonego wina. Nie wstał, kiedy wszedł Guido, ale podniósł wzrok, a jego oczy zapłonęły.

- Niepotrzebnie na mnie czekasz - odezwał się ostro Guido. - Jestem zmęczony. Idę do łóżka.

Tonio nie odpowiedział. Powoli wstał i zbliżył się do Guida, przyglądając się z pewnej odległości, jak maestro zdejmuje pelerynę. Guido nie zadzwonił po lokaja. Nie lubił mieć wokół siebie służących, a rozebrać się mógł z łatwością sam.

- Guido - odezwał się ostrożnym szeptem Tonio - czy moglibyśmy opuścić ten dom?

- Jak to opuścić?

Guido zdjął buty i powiesił zakiet na kołku. - Nalej mi trochę wina - powiedział. - Jestem bardzo zmęczony.

- Chcę opuścić ten dom - powtórzył Tonio. - Chodzi mi o to, żeby zamieszkać gdzie indziej. Mam na to wystarczająco dużo pieniędzy.

- Co ty wygadujesz? - spytał kostycznie Guido. Ale poczuł delikatne ukłucie przerażenia, które prześladowało go od dawna. - Co ci się stało? - powiedział zmrużywszy oczy.

Tonio pokręcił głową. Usta błyszczały mu od wina. Miał ściągniętą twarz.

- Co się stało? Odpowiedz - pytał niecierpliwie Guido. - Czemu chcesz się stąd wynieść?

- Nie złość się na mnie, proszę - powiedział wolno Tonio, kładąc głęboki nacisk na każde słowo.

- Jeśli mi nie wyjaśnisz, o czym mówisz, uderzę cię. Nie zdarzyło mi się to od lat. Ale teraz zrobię to, jeśli nie przejdziesz do rzeczy.

Zauważył, że Tonio wzdraga się i dostrzegł rozpacz na jego twarzy, ale nie mógł ustąpić.

- Dobrze, w takim razie powiem ci to otwarcie - odezwał się cicho Tonio. - Dzisiaj wieczorem posłał po mnie kardynał. Powiedział, że nie może spać. Że potrzebuje uspokajającej muzyki. W jego sypialni jest mały klawikord. Poprosił, żebym zagrał mu i zaśpiewał.

Mówiąc, patrzył na Guida, który prawie nie słyszał jego słów. Wyobrażał sobie tę scenę i poczuł nieprzyjemne ciepło w klatce piersiowej.

- No i? - spytał z gniewem.

- To nie muzyki pragnął - odparł Tonio. Było to dla niego bardzo trudne. Później dodał: - Chociaż wątpię, czy sam zdawał sobie z tego sprawę.

- Więc jakże ty doszedłeś do takiego wniosku? - warknął Guido. - Tylko mi nie mów, że mu odmówiłeś!

Szok zmasał z twarzy Tonia wszelkie uczucia.

Guido z ogromną irytacją podniósł dłoń. Zaczął chodzić, zatoczył niewielki krąg, po czym wyrzucił obie ręce w górę.

Tonio stał, milcząco go oskarżając.

- W jakim był stanie, gdy go opuściłeś? - spytał Guido. - Czy był zagniewany? Co właściwie zaszło?

Tonio najwyraźniej nie mógł się zmusić do odpowiedzi na to pytanie. Patrzył na Guida, jakby maestro go uderzył.

- Posłuchaj mnie, Tonio - odezwał się Guido. Przełknął ślinę; wiedział, że nie może zdradzić, iż jest w panice. - Wróć do niego i, na Boga, traktuj jego zachcianki z wyrozumiałością. Jesteśmy w jego domu, Tonio; kardynał jest tu naszym mecenasem. To kuzyn hrabiny i księżę kościoła...

- Doprawdy, księżę kościoła? - odparł Tonio. - Mam traktować jego zachcianki z wyrozumiałością! A ja kim jestem, Guido? Kimże ja jestem?

- Jesteś chłopcem, kastratem - powiedział gwałtownie wzburzony Guido. - Nawet jeśli to zrobisz, nie będzie to miało dla ciebie żadnego znaczenia! Ale twoja odmowa może mieć potworne konsekwencje! Nie przeczuwałeś tego? Jesteś aż taki ślepy? Niszczysz moją pozycję w tym mieście, Tonio. Swoim uporem, swoją dumą! Nie mam wobec nich żadnych szans! Musisz natychmiast iść do kardynała.

- Ja cię niszczę! - wykrzyknął Tonio. - Każesz mi iść do niego i spełnić jego zachcianki, jakbym był jakąś dziwką...

- Nie jesteś dziwką. W przeciwnym razie nie mieszkałbyś w tym domu, a kardynał nie karmiłby cię i nie chronił. Jesteś kastratem. Daj mu, czego chce, na Boga! Gdyby pragnął tego ode mnie, zgodziłbym się bez wahania.

- Przerażasz mnie - szepnął Tonio. - Brzydę się tobą. Nie można tego inaczej określić. Wywieźli cię z Kalabrii, ubrali w aksamit i uczynili z ciebie jakąś bezmyślną, bezduszną istotę przypominającą gentlemana, podczas gdy w rzeczywistości nie ma rzeczy, której byś nie uczynił

dla osiągnięcia swych celów; nie masz honoru, uczuć, w nic nie wierzysz. Chcesz odebrać mi nazwisko i pleć, wszystko w imię muzyki i tego, co musi zostać zrobione; a teraz posyłasz mnie w imię tej samej konieczności do łóżka kardynała...

- Tak, tak, tak! - odparł Guido. Nakazuję ci to wszystko zrobić. Rób ze mnie potwora, jeśli chcesz, ale powiadam ci, że zasady, według których sądzisz wszystko, są urocze, lecz nic nie znaczące. Nie obowiązują cię ludzkie prawa. Jesteś kastratem. Wolno ci to wszystko robić.

- A ty? - spytał tym samym szeptem Tonio. - Co dla ciebie znaczy, że się z nim prześpię?
- mówił, jakby bał się podnieść głos. - Wcale cię to nie wzrusza?

Guido odwrócił się do niego plecami.

- Posyłasz mnie ze swojego łóżka do łóżka kardynała - ciągnął Tonio - jakbym nie był niczym więcej niż podarunkiem dla Jego Ekscelencji, wyrazem wdzięczności i szacunku dla Jego Ekscelencji.

Guido tylko potrząsnął głową.

- Nie wiesz, co to honor, Guido? - spytał błagalnie, cicho Tonio. - A może i to wycięli ci w Kalabрії? Mnie nie udało im się tego pozbawić.

- Honor, honor. - Guido ze znużeniem odwrócił się, by spojrzeć mu w twarz. - Jeśli nie ma w nim żadnego sensu ani mądrości, to czymże jest honor? Cóż znaczy? Na czym polega dyshonor ofiarowania temu mężczyźnie tego, o co prosi, skoro w najmniejszym stopniu na tym nie ucierpisz? Jesteś jak wspaniałe danie, którym pragnie się nasycić raz, może dwa, póki przebywasz pod jego dachem. Czy zmieni cię to w jakikolwiek sposób? Mógłbyś się bronić, gdybyś był młodą dziewczyną, wtedy jednak nigdy by tego od ciebie nie zażądał. To święty człowiek. A gdybyś był mężczyzną, jakże wstydziłbyś się, musząc przyznać, że z ochotą spełnisz jego prośbę. Mógłbyś twierdzić, że czujesz do tego awersję, bez względu na to, czy byłoby to prawdą. Nie należysz jednak do żadnej płci i jesteś wolny, Tonio, wolny. Są mężczyźni i kobiety, którzy przez całe życie co noc marzą o takiej wolności! A ty odrzucasz ją, chociaż jest dla ciebie naturalna. A on, on jest przecież, na miłość boską, kardynałem! Czy to, co dał ci Bóg, jest aż tak cenne, że musisz oszczędzać to dla kogoś lepszego niż kardynał Calvino?

- Przestań - powiedział zdecydowanie Tonio.

- Po raz pierwszy posiadałem cię na podłodze mego gabinetu w Neapolu - mówił Guido. - Byłeś samotny, bezradny, pozbawiony matki, ojca, krewnych i przyjaciół. Czy miało to więc cokolwiek wspólnego z honorem?

- Była w tym miłość - odparł Tonio. - I namiętność!

- Więc pokochaj go! Jest wielkim człowiekiem. Ludzie stoją godzinami za bramą tylko po to, by zobaczyć, jak przejeżdża. Idź, pokochaj go na tę krótką chwilę, a pojawi się i namiętność.

Guido natychmiast ponownie odwrócił się tyłem do Tonia.

Cisza była nie do zniesienia, a Guido, nie zdając sobie z tego sprawy, wstrzymywał oddech.

Maestra napelniał gniew, czyniący go obrzydliwym; miał wrażenie, że nękają go wszystkie troski, które mu zagrażały, odkąd wyruszyli w tę długą podróż, a on nie może się bronić.

Jednak mimo tego niepokoju i zamieszania, rozumiał wszystko.

Kiedy usłyszał dźwięk otwieranych, a potem zatrzaszczanych drzwi, miał wrażenie, że dosięgnął go cios w plecy.

Gwałtownie, zdecydowanie podszedł do biurka.

Usiadł przed otwartą partyturą i, umoczywszy szybko pióro, podniósł je i zaczął pisać.

Długo wpatrywał się w znaki na pergaminie. Patrzył na pióro, które trzymał w ręku. Potem odłożył je uważnie, jakby nie chciał poruszyć nawet tańczących w powietrzu cząsteczek kurzu.

Przesuwał wzrokiem po sprzętach. I objąwszy się prawą ręką w pasie, jakby przygotowywał się na jakiś potworny atak, złożył głowę na oparciu krzesła i zamknął oczy.

Tonio stał przed drzwiami kardynała.

Sednem sprawy było jego przekonanie, że sam jest temu wszystkiemu winien. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale czuł, że to jego wina.

Nawet kiedy po raz pierwszy przyszedł po niego stary Nino mówiąc, że Jego Eminencja nie może spać, Tonio poczuł ulotną ekscytację na myśl, że wzywa go taki wielki człowiek.

W zachowaniu sługi, w sposobie w jaki popędzał Tonia, by przebrał się w jeden ze swych obficie haftowanych żakietów, było coś dziwnego. Starzec wykonywał ukradkowe gesty, jakby z jakiejś przyczyny musiał chodzić na palcach, spieszyć się, jak gdyby nikt nie mógł ich zobaczyć. Wyjął dla Tonia z kieszeni stary grzebień, nierówny i połamany.

* * *

Tonio początkowo nie zauważył, że znajduje się w sypialni. Dostrzegł tylko gobeliny na ścianach: starożytne postacie, polujące w towarzystwie wielu maleńkich zwierząt wplecionych w kwiaty i liście. W blasku świec ukazywały się dziwnie roztargnione twarze dosiadających konie mężczyzn i kobiet, patrzących kątem oka w mijający czas.

Potem dostrzegł klawesyn: niewielki, przenośny instrument z pojedynczym manuałem czarnych klawiszy. Gdzieś dalej znajdował się poruszający się cicho, wydający ledwo słyszalne dźwięki kardynał, ubrany w szatę koloru ciemności, widoczny niewyraźnie w blasku kilku świeczek, które wydawały się tkwić w obfitych draperiach. Jego słowa zdawały się nie mieć początku ani końca. Tonio czuł pulsowanie w skroniach, nie wiedzieć czemu miał wrażenie, że robi coś zakazanego. Dotarł do niego sam środek wypowiedzi kardynała, coś o pieśni i jej sile; zdawało się, że chce, by Tonio zaśpiewał.

Tonio usiadł. Dotknął klawiszy. Zabrzmiały krótkie, niezwykle delikatne, melodyjne dźwięki. Zaczął śpiewać jedną z najsłodszych najsmutniejszych arii Guida, rozmyślania miłosne z serenady, której nigdy jeszcze nie wykonywał publicznie. Wolał ją od pieśni, które śpiewał w Neapolu i od ostatnich, burzliwych dzieł Guida. Tekst bardzo podobał się Toniowi; były to słowa jakiegoś nieznanego poety, który w wyznaniu tęsknoty za kochanką zamknął tęsknotę za treściami duchowymi.

Śpiewając, podniósł raz wzrok. Ujrzał twarz kardynała, tak niezwykłą, doskonałą, jakby została wyrzeźbiona. Była ona pełna natychmiast widocznego uczucia, dzięki któremu

gdziekolwiek by się ten człowiek znalazł, od razu stawał się widoczny i tchnął magnetyczną siłą. Nie mówił ani słowa, ale jego satysfakcja była tak widoczna, że Tonio starał się uczynić swą pieśń jak najdoskonalszą. Wracaly do niego jakieś wspomnienia; grając samotnie w pokoju dla tego człowieka, przeżywał znajome uczucie zadowolenia.

Na końcu zatrzymał się, myśląc: - Co mógłbym zagrać, by sprawić kardynałowi największą rozkosz? - A kiedy sam kardynał postawił przed nim ozdobiony klejnotami kielich burgundzkiego wina, zdał sobie sprawę, że są zupełnie sami.

- Pozwól, że ja to zrobię, panie. - Wstał, widząc, że Ekscelencja sam napełnia swój kieliszek.

Ale kiedy sięgnął po dzban o wąskiej szyjce, kardynał schwycił go i przycisnął do siebie tak blisko, że Tonio czuł bicie jego serca.

Nie wiedział, co się dzieje. Czuł pod szatą siłę tego mężczyzny, słyszał jego chrapliwy oddech, wyczuwał, że kardynał puszcza go z prawdziwą udręką.

Tonio pamiętał, że się wycofywał. Kardynał stał wtedy przy oknie, patrząc na dalekie światła. Widać było zarys pobliskiego wzgórza, małe okienka i dachy na tle jaśniejszej połaci nieba.

Cierpienie. Cierpienie. A mimo to jakieś poczucie zwycięstwa, niemalże oszalamiające przecucie rzeczy zakazanych, jak wiszący w powietrzu zapach. Kiedy jednak kardynał znów odwrócił się w jego stronę, był zdecydowany. Objął dłońmi szyję Tonia, delikatnie dotykając kciukami jego gardła i niezwykle łagodnie spytał półszepem, czy Tonio zechciałby się rozebrać.

Powiedział to tak uprzejmie, z taką prostotą, a sam jego dotyk zdawał się mieć siłę zdolną pokonać Tonia i sprawić, by poczuł się zmuszony do wykonania tej prośby.

Młodzieniec jednak nie dostosował się do niej. Niemalże zatoczył się do tyłu. Tysiące myśli przebiegały mu po głowie, uświadamiając budzące się w nim pożądanie, potężniejsze nawet od rozkazu kardynała. Nie był w stanie na niego spojrzeć. Błagał, by pozwolono mu wyjść.

Kardynał zawahał się, po czym rzekł łagodnie i szczerze: - Musisz mi wybaczyć, Marcu Antonio. Tak, tak, oczywiście powinieneś stąd iść.

Cóż mu pozostało? Tylko poczucie, że w jakiś nie wyjaśniony sposób skrzywdził tego człowieka.

Jednak kiedy stał przed drzwiami kardynała, wstrząśnięty i zraniony gniewnymi słowami Guida, myślał: - Dla ciebie, dla ciebie to robię, Guido. - Zawsze dla Guida pokonywał rzeczy, których się obawiał. Dla niego uczył się znosić sytuacje, które mogły go poniżyć.

Ale to - to była zupełnie inna sprawa, a Guido nie pojmował dokładnie tej różnicy. Nie wiedział, co czyni, posyłając tutaj Tonia!

Jednak Tonio pojął nagle, że pożądał kardynała od chwili, gdy pierwszy raz go zobaczył. Pragnął go, jak - otoczony ciepłem i bezpieczeństwem miłości Guida - nie pragnął nikogo przed nim. Tak, kardynał, nieokaleczony, potężny kardynał, był tym właściwym mężczyzną. Tonio miał wrażenie, jakby od długiego czasu podążał na umówione spotkanie z nim.

Drzwi otworzyły się, gdy zaczął pukać. Nie zostały zaryglowane. A kardynał rzekł: - Wejdz.

Kardynał pochylał się nad swym biurkiem. W pokoju nie zmieniło się nic, prócz światła, którym lśniła teraz mała antyczna lampka oliwna. Oświetlała leżącą przed nim książkę, duże litery z wplecionymi w nie maleńkimi postaciami i kartkę, która lśniła, gdy odwracał ją drżącą dłonią.

- Pomyśl tylko - powiedział, uśmiechając się na widok Tonia. - Język pisany staje się własnością tego, kto dołożył starań, by go zachować. Zawsze zachwycają mnie sposoby, w jaki przekazuje nam wiedzę nie natura, lecz inni ludzie.

Nie miał już na sobie luźnej, długiej szaty. Włożył purpurowy strój. Na jego piersi spoczywał srebrny krzyż, a na twarzy widoczne było tak dziwne połączenie sztywności i żywego humoru, że Tonio przez długi czas po prostu się przypatrywał.

- Mój drogi Marcu Antonio - odezwał się kardynał, uśmiechając się - dlaczego wróciłeś? Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż postąpiłeś słusznie?

- Słusznie, panie? - spytał Tonio. Drżał. Dziwnie było drzeć bez żadnych widocznych tego oznak, czując tylko zamknięte we wnętrzu ciała wszelkie sygnały paniki. Podszedł do biurka; spojrzął na łacińskie zdania zagubione w gąszczu ozdobników, w mrowiu maleńkich istotek żyjących i umierających wśród cynobrowych, szkarłatnych i złotych zakrętasów. Kardynał wyciągał do niego otwartą dłoń.

Tonio podszedł pozwalając, by duchowny otoczył go ramieniem. Dotknięcie jego palców rozbudziło w Toniu namiętności, chociaż tak jak przedtem usiłował je stłumić. - Wolny - pomyślał z goryczą. Jeszcze teraz, gdyby tylko mógł, uciekłby i ukrył się w ramionach Guida.

Miał wrażenie, że rozpada się coś, czego bardzo długo strzegł. Jednak nie odsunął się. Patrzył na wniebowziętą twarz kardynała, w jego oczy; pragnął dotknąć tych gładkich powiek, bezbarwnych ust.

Kardynał przeżywał jednak katusze i chociaż nie mógł odepchnąć Tonia, namiętność wywoływała w nim wewnętrzne rozdarcie.

- Zbyt mało popełniłem grzechów cielesnych, by prawić o nich kazania - szepnął niezdecydowanie, jakby się zastanawiał. W jego słowach nie było dumy. - Zawstydzasz mnie, i słusznie. Czemu więc wróciłeś?

- Czy za kilka uścisków czeka nas piekło, panie? Czy taka jest wola boża? - spytał Tonio.

- Jesteś diabłem o anielskiej twarzy - odparł kardynał wzdrygnawszy się, lecz nawet w tym momencie Tonio słyszał, że jego oddech staje się ciężki, nierówny i wiedział, iż zaczęła się w nim wewnętrzna walka.

- Naprawdę, panie? - Tonio uklęknął powoli na jedno kolano i patrzył teraz kardynałowi w oczy. Jąką zadziwiającą miał twarz, twarz mężczyzny, na której zmarszczki powstawały tylko w określonych miejscach, a jednak były tak głębokie; twarz odznaczająca się surowością spiczastej brody. Mimo łagodności oczu nic nie zakłócało jasności jego spojrzenia. - Mój panie - szepnął Tonio - odkąd przez nóż straciłem tak wiele, myślę często, że ciało jest początkiem wszystkiego.

Kardynał poczuł się bezbronny, zmieszany, a Tonio zamilkł, zaskoczony wyznaniem, które padło z jego ust. Cóż miał w sobie ten człowiek, że Tonio zdradzał mu takie rzeczy?

Kardynał jednak wpatrywał się w niego, jakby rozumiał. Jakże niesprawiedliwie oceniał go Tonio! Ten człowiek był niewinny, naprawdę niewinny i pragnął rozpaczliwie, by wskazać mu drogę.

- Nagrzeszyłem wystarczająco za nas obojga - powiedział bez przekonania kardynał. - Musisz odejść i pozwolić mi wygrać walkę o Boga, którą toczę z samym sobą.

- Czy robiąc to, byłbyś przegrany, panie?

- Nie - błagał kardynał, jednocześnie przyciągając Tonia bliżej do siebie i trzymając go mocno ramieniem.

- Panie - nalegał Tonio - niech Bóg mi przebaczy, jeśli się mylę, ale czyż ten grzech nie został już popełniony? Czyż nie jesteśmy już potępieni za namiętność, jaką do siebie czujemy? Nie posłałeś, panie, po swego spowiednika, a ja nawet nikogo takiego nie mam, więc gdybyśmy

mieli w tej chwili umrzeć, płonęlibyśmy w piekle tak samo, jak gdyby doszło już do samego aktu? Jeśli tak ma być, to pozwól panie, że podaruję ci ten skrawek nieba, który jeszcze jest dla nas dostępny.

Dotknął ustami twarzy kardynała. Poczłł nieunikniony szok spowodowany muśnięciem nieznałomej skóry. Kardynał odwrócił się do niego, otworzył przed nim ramiona, wstał i Tonio objął go, czując jędrność ciała, którego jeszcze nie poznał.

Pragnienie czyniło go słabym. Błagałby tego człowieka o miłość, gdyby nagle zaszła taka potrzeba.

Zapłonął ogniem, którym tchnął kardynał.

Poprowadził go chyba do łóżka. Przeniósł tam też świece, postawił je, zgasił wszystkie prócz jednej, wpatrzył się marząco w skaczący po ścianach cień jej płomyczka i poczuł, że kardynał rozpina mu szaty.

Nie popędział go. Nie pomagał. Ze słabnącym szokiem wpatrywał się w samo jądro swych pożądań. Jakby z ogromnej odległości ujrzał swoje opadające na podłogę ubranie, czuł, że prześlizguje się po nim wzrok kardynała. Do uszu Tonia doleciał jego ledwo słyszalny szept: - Wystarczy.

- Płone, panie - odparł Tonio, dotykając dłonią miejsca, gdzie krył się jego twardy, jędrny organ. - Zezwól, bym dał ci rozkosz, bo oszaleję.

Przywarł do ust kardynała, zdziwiony ich miękką niewinnością, po czym, jeszcze bardziej zaskoczony, oddał się w moc jego niezgrabnych rąk. Kardynał lizał sutki Tonia, po czym pochylił się do ciemnych włosów między jego nogami, kładąc dłoń na bliznach chłopaka, dotykając ich, zmożony pożądaniem, niezdolny do zachowania milczenia. Jęczał wraz z Toniem. Martwe szwy na ciele śpiewaka ożyły nagle wstrząsającymi wibracjami i Tonio, wygiąwszy się w łuk, poczuł na swym sztywnym członku usta kardynała.

- Nie, panie, błagam... - Z na wpół zamkniętymi oczyma i drżącymi jak z wielkiego bólu ustami, odsunął się delikatnie i upadłszy przy łóżku na kolana, szepnął: - Pozwól mi to zobaczyć, panie. Pozwól, proszę.

Kardynał niepewnie gładził Tonia po głowie. Był oszołomiony, niezdolny do myślenia; kiedy Tonio zdejmował z niego szatę, rozłożył ręce, niemalże jakby dokonał jakiegoś odkrycia.

Jego członek wyglądał silnie jak korzeń. Był okrągły i twardy jak drewno; Tonio z zapartym tchem chwycił w dłoń ciężką, jedwabistą mosznę. Zadziwiająca była jej jednoczesna

lekkość i ciężar, pozorna kruchość jej zawartości. Pochyliwszy się, Tonio usiłował wziąć ją całą w usta, smakując wiotką, owłosioną, słonawą skórę, czując wydobywającą się z tego miejsca ostrą woń i ciepło. Uniósł głowę i objął ustami sam organ.

Przesuwał go w ustach, czując jak jego czubek dotyka mu podniebienia, gładził go zębami, a między nogami Tonia nastąpiła pierwsza, gwałtowna eksplozja, jego członek, ocierając się nie wiadomo o co, zyskiwał potrzebną mu podniecie.

Tonio nie był jednak w stanie przestać się ruszać. Żądza ponownie zaczęła w nim wzrastać, niemalże od momentu, w którym sięgnęła szczytu; pożerał ten brutalny, nieustępliwy organ, trzymając jednocześnie w dłoni mocno, lecz delikatnie, miękki ciężar moszny. Jeszcze raz sięgnął nieuniknionego szczytu i wstał, przylgnął sztywnym członkiem do kardynała, poczuł, że stykają się ich nagie ciała i nie dbał, czy świat słyszy jego zduszony krzyk. Kardynał wił się, szaleńczo go pragnął, był jednak tak niewinny, że nie wiedział, co robić, jakby był w stanie tylko słuchać rozkazów Tonia.

Tonio rozciągnął się na łóżku i rozkładając nogi sięgnął po niego, jakby kardynał był peleryną, którą pragnął się przykryć. Czuł usta kardynała na swych nagich plecach, dłonie masujące mu pośladki, aż wreszcie Tonio sięgnął ręką po jego członek i włożył go we właściwe miejsce.

Czuł ból, jakby nabijano go na pal, a jednocześnie nieodpartą przyjemność, wspaniałe oszołomienie; pierwsze pchnięcie wyrwało z niego jęk, a następnie Tonio poczuł, że całe jego ciało porusza się w tym samym rytmie, a przez ten otwór promieniuje do jego wnętrza pulsujący krąg rozkoszy; zacisnąwszy zęby, w najbardziej bluźnierczy sposób, dawał znak zgody na to.

Kiedy kardynał doszedł do spełnienia, ostatnim gwałtownym wstrząśm towarzyszył przeciągły jęk, jakby i on cierpiał i nie potrafił się dłużej powstrzymać, po czym wysunął się z Tonia, ściskając go, jakby jakaś siła mogła go stąd zabrać.

Tonio obudził się może jakąś godzinę później. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Potem zauważył, że nad łóżkiem, tyłem do okna, w którym widać było przesuujące się wolno gwiazdy, stoi, przyglądając mu, się kardynał.

Kardynał mówił coś, jego dłoń spoczywała na ramieniu Tonia, a widząc, że chłopak otworzył oczy, dotknął nią jego policzka.

- Czy Bóg mógłby mnie potępić za te chwile ekstazy? - szepnął. - Jaką mam z tego wynieść naukę? - Raz jeszcze w jego słowach zabrzmiała zadziwiająca niewinność. A jego oczy

błyszczały takim dziecięcym ożywieniem, chociaż na twarzy, z jej gładkimi, lekko skośnymi powiekami i ustami o opuszczonych w dół kącikach, malował się wyraz równie majestatyczny co zawsze.

- Ja zostałem za to potępiony już dawno, dawno temu - odparł szeptem Tonio i natychmiast ponownie zapadł w sen.

Kiedy powtórnie się obudził, niebo nabrało już intensywnego różowego koloru, przeplatanego złotymi pasmami chmur. Z daleka dochodziło niewyraźne gęganie gęsi i ryczenie krów. Kiedy zapiał kogut, coraz cieplejsze powietrze jakby rozszczepiło komnatę sprawiając, że brokat i emalia zlały się w jedno, zyskując równie zaniedbany wygląd jak ginąca pod warstwami kurzu zawartość pokoju na tyłach składu tekstylnego. W pierwszych promieniach słońca, które padły na dywan, unosiły się ciężko drobiny kurzu, a każdy powiew ciepłego wietrzyku niósł ze sobą zapach świeżo skopanej ziemi. Przenikał on nietkniętą dotychczas woń kadzidła i wosku.

Tonio od razu się przebudził. Zastanawiał się, czemu kardynał go nie odesłał. Wydawało mu się to niezwykle uprzejme. Kardynał spał jednak, choć nawet teraz sięgnął ręką do ciepłego wgłębienia na prześcieradle, które właśnie opuścił Tonio.

Tonio cicho się ubrał i poszedł do siebie mrocznymi, szarymi korytarzami.

Wkroczywszy do sypialni Guida, zobaczył, że maestro zasnął przy biurku. Twarz miał ukrytą w zagięciu ramienia. Świeca całkowicie wypaliła się i zgasła.

Tonio długo patrzył na pochyloną głowę, na gęste, zszarzałe loki. Następnie uniósł Guida, a ten zerwał się i poszedł powoli, niezgrabnie do łóżka. Do pokoju wszedł cicho stary Nino i, kiedy Guido zdjął buty, okrył go przykryciem.

Tonio stał patrząc na Guida, po czym odwrócił się i poszedł do własnego apartamentu.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, że obejmuje kardynała, wtula twarz w jego szczupłe, nieustępliwe ciało, czując wzburzenie i dotykając chropowatej, choć nieskazitelnej skóry. Jeszcze raz otworzył usta, by dotknąć nimi tajemnic tego ciała, aż wreszcie nie mógł już dłużej znieść tych myśli, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

Wpadł w pewien rytm, zataczał kręgi, wreszcie otworzył okno i wychylił się daleko przez parapet, jakby chciał wypić powietrze. Na dole lśniła okrągła fontanna. Kiedy zaczęły go pochłaniać wzory, w jakie układała się wzburzona woda, zdał sobie sprawę, że nie dobiega tu do niego jej plusk. Między nim a Guidem nigdy już nie będzie tak samo!

A Guido z pewnością wcześniej o tym wiedział; cóż więc zrobił? Tonio mieszkał ze swym kochankiem w zamkniętym pokoju, a Guido sam kazał mu z niego wyjść, sam otworzył drzwi. Cała subtelna złożoność, ta raniąca czułość zbladła i opuściła Tonia, nie zostawiając po sobie nawet śladu; nagle nie był w stanie przypomnieć sobie nic, co uspokoiłoby go i dodało otuchy. Wszystko zdawało się przebrzmiałe, jakby minęło już mnóstwo czasu. Płomień kardynała zbyt dotkliwie go poparzył.

Chciało mu się płakać. Czuł się jednak zbyt pusty i mimo ciepła coraz jaśniej świecącego słońca, przenikał go poranny chłód.

Ukląkł przy oknie, złożył głowę na parapecie, a Rzym wydał mu się nie tyle miastem, co jakąś ideą. - Jaką mam z tego wynieść naukę? - pytał kardynał.

Tonio wiedział. Pojął, że traci Guida. I pragnąc kardynała, tej palącej namiętności, wiedział, że zrobi wszystko, by Guido o tym się nie dowiedział. Cała sztuka tkwiła w tym, by odnaleźć Guida tracąc go i już na zawsze zamknąć w nowym uścisku.

Kiedy usiadł w tym pokoju, opanowała go senność. Panująca tu woń, odcień światła przypominały mu jakieś zamknięte pomieszczenie pełne tkanin i sztucznej biżuterii, w którym samotnie kiedyś przebywał, czując na ramionach i plecach rozkoszne ciepło słońca.

Nie chciał jednak wracać do tego myśla. To nieważne. Najistotniejszą sprawą było teraz skończyć to, co zaczął.

Ta kobieta czekała, sądząc najwyraźniej, że będzie potrzebował jej pomocy, a zajęte pracą służące stłoczyły się pod ścianami jak kosy; ich małe, brązowe rączki to zbierały kawałki wstążki czy nitki, to poprawiały peruki spoczywające na drewnianych głowach. Tonia rozbawił nagle fakt, że kobieta oczekuje, iż zdejmie męskie szaty i wyciągnie do niej ręce, jakby była jakąś piastunką.

Opierał się na łokciu, rozproszony nieco własnym obrazem w ciemnym lustrze. Prawie zawsze wydawało mu się, że ma dziwną twarz bez żadnego wyrazu i to bez względu na to, jak groteskowe myśli właśnie go prześladowały. Jakby miękka, kobieca skóra, która ją pokrywała, pozbawiła jego twarz wyrazu i dała mu wieczną młodość.

- Ale jakże mam zapiąć ten gorset? - myślał. - Jak zawiązać spódnice? Czy mam to wszystko zabrać do pałacu kardynała i dać temu bezzębnyemu staremu służącemu, który, nawet jeśli splodził tuzin dzieci w jakiejś małej norze na przedmieściu, nie wie nic o kobiecych strojach?

W pokoju było gorąco, za okiennicami klekotał i szumiał Rzym, a na tę ogromną jedwabną spódnicę padały pręgi światła.

Miał wrażenie, że kobieta wyczuła jego wahanie. Zaklaskała w dłonie, by zwrócić na siebie uwagę i odesłała swe pomocnice.

- Signore... - Podeszła do Tonia i sięgnęła po jego pelerynę. Zupełnie jakby zdjęła mu z ramion jakiś ciężar. - Ubieram najślynniejszych śpiewaków świata - rzekła. - Moim zadaniem jest nie tylko szycie ubrań! Jestem mistrzynią iluzji. Pozwólcie, że wam to udowodnię, signore. Gdy ponownie spojrzycie w to lustro, nie uwierzycie własnym oczom. Jesteście niezwykle piękni, signore, to o was marzę szyjąc.

Tonio zaśmiał się cicho, sucho.

Wstał, wyciągając się na całą długość i uśmiechając się spojrział w dół na jej drobną, pooraną zmarszczkami twarz. Jej oczy przypominały dwa małe, osadzone w ciele orzeszki, błyszczące i wilgotne, jakby ktoś wyjął je właśnie z ust.

Zdjęła z niego żakiet i, niemalże z czułością, odłożyła go na bok, gładząc dłonią materię, jakby chciała w ten sposób wskazać przyszłemu kupcowi jej wartość. Jednak gesty pełne największego uwielbienia zachowała dla ubrań, które miała Toniowi pomóc włożyć.

- Jeszcze spodnie, signore. To ważne. - Wyczuwając jego opór, zaczęła gestykulować. - W tych sprawach musicie myśleć o mnie jak o mamie. Żeby poruszać się jak kobieta, musicie pod tymi wszystkimi ubraniami czuć się jak kobieta.

- A nie jak centaur, signora? - spytał szeptem. - Gotowy w każdej chwili zdeptać falbany i siać zniszczenie wśród zasiadających w pierwszym rzędzie dziewic? - Drżał.

Roześmiała się. - Dowcipni jesteście, signore - rzekła, odbierając od niego pończochy i buty. Wziął głęboki oddech, przymknął oczy.

Stał nieruchomo, czując swą nagość, jakby otaczało go zimne powietrze. Kiedy kobieta zbliżyła się do Tonia, dotykała jego ciała, jakby było równie delikatne jak materia i opasała go halką na obręczach, z szerokimi tiurniurami, po czym zawiązała z tyłu tasiemki. Tonio kołysał w przód i w tył całą konstrukcją, kiedy naciągała na nią następne halki. Na nie weszła jeszcze obfita spódnica z fioletowego jedwabiu w drobne, różowe kwiatuszki. Doskonale, doskonale. Wreszcie fałdzista koronkowa bluzka, którą kobieta zręcznie zapięła z przodu.

Teraz poruszała się wolniej, jakby wyczuwała, że miękki gorset, ta zbroja, stanowi najważniejszy krok. Zakryje ramiona Tonia, a ciemnofioletowe rękawy spłyną aż do miejsca, w którym zaczyna się morze falbanek. Podniosła go w górę, nakładając na ręce Tonia i zapinając ten strój najpierw w talii.

- Jesteście spełnieniem moich modlitw, signore - powiedziała zapinając haftkę. Po raz pierwszy poczuł wszyte w gorset fiszbiny; miał wrażenie, że ograniczają mu ruchy, ale ich powierzchnia była chłodna i gładka, a gdy kobieta coraz mocniej zaciskała je na piersi Tonia, ogarnęło go przedziwne uczucie, niemalże przyjemność, jakby gorset podtrzymywał go, wspierał, a nie tylko kształtował jego ciało.

Małe dłonie kobiety krążyły przez chwilę w okolicy jego obnażonej szyi i gładkiego ciała ginącego w nisko wyciętym dekolcie, ozdobionym falbanką biegnącą prosto przez pierś Tonia. - Pozwólcie, signore - powiedziała niezwykle poufnym szeptem i wsunawszy szorstkie ręce w

gorset, który właśnie umocowała, zaczęła kształtować ciało Tonia, unosić je, aż wreszcie spojrzawszy w dół, ujrzał tam niewielkie wzniesienie i małą szparkę jak między kobiecymi piersiami.

Poczuł gorycz w ustach. Nie spojrzął w lustro. Stał nieruchomo jak zaczarowany i patrzył posepnie w bok, kiedy kobieta przekreśliła obfita, fioletową spódnicę i wygładziła stanik, po czym poprosiła go, by usiadł. Wbił wzrok we własne ręce.

- Wasza twarz nie potrzebuje farby, signore - powiedziała. - Niektóre kobiety byłyby w stanie was zamordować za te rzęsy i włosy, takie piękne włosy. - Zaczesała je w tył, rozprostowała i Tonio poczuł na głowie ciężar peruki. Była ona niewielka, śnieżnobiała, usiana maleńkimi perełkami, włosy zostały spięte na karku, skąd miękkie loki spływały na gołe plecy Tonia. Kobieta trzymała go za szyję, tuż pod linią włosów i odwróciła go teraz do siebie tak, że niemal dotknął twarzą jej obfitych piersi.

- Jeszcze tylko trochę farby, signore, nieco czarnej magii... - skrzywiła się - ...dla oczu.

- Potrafię to zrobić - szepnął, usiłując odebrać jej pędzelek.

- Nawet jeśli mielibyście mnie ukarać, signore, pragnę zrobić to sama - odparła i zaśmiała się chrapliwym, bezpłciowym, starczym śmiechem. - Nie, proszę nie patrzeć w lustro - powiedziała unosząc w górę ręce, jakby miał zamiar uciekać. Pochyliła się i dotknęła pędzelkiem jego powiek z taką pewnością, że sam nie zrobiłby tego lepiej. Czuł ciężar farby na rzęsach, czuł, jak wygładza i usztywnia mu brwi. - To tak, jakbym chciała upiększyć różę. - Mlasnęła z podziwem językiem, kręcąc głową, po czym nagle, jakby nie mogła się powstrzymać, pocałowała go w oba policzki.

Tonio przechylił głowę, myśląc: - Kiedy stąd wyjdę, służący będzie musiał nieść mi szpadę, a taki z niego imbecyl! Czasem ma się wrażenie, że kardynał lubi się otaczać kompletnymi idiotami. Może i ja jestem kompletnym idiotą. - Pochylił się i osłonił ręką oczy. Kobieta otworzyła okiennice; do pokoju wlało się ciepłe światło słońca. Czuł i widział, jak wszystko wokół się rozjaśnia. - Drogie dziecko - powiedziała kobieta, zaciskając dłonie na ramionach Tonia.

- Co za wyrażenie - pomyślał z obrzydzeniem.

- Wstań i spojrzysz w lustro. Czyż nie spełniłam swej obietnicy? - szepnęła. - Jesteś doskonały. Mężczyźni będą padać do twych stóp.

Stał i patrzył w milczeniu.

Nie wiedział, kim jest ta istota. Śliczna? Tak, jest śliczna i niewinna, najwyraźniej niewinna; jej duże ciemne oczy wpatrywały się w niego, jakby oskarżały go o jakąś haniebną myśl. Jej gorset tak doskonale zwężał się w kierunku talii; rzędy kremowych falbanek i kokard wiodły do tej gładkiej, białej skóry do złudzenia udającej piersi. Domenico nie posiadałby się z zazdrości. A te białe włosy, jakże czyniły twarz kruchą i delikatną, zmieniając ją w oblicze szczerzej, młodziutkiej dziewczyny.

Wyrastały z gładkiego szwu na czole i opadały lokami na długie, bufiaste rękawy z błyszczącego jedwabiu.

Kobieta, stojąc na palcach, jakby chciała dostrzec jakiś szczegół, okręciła go dookoła obiema rękami i wsadziwszy palec wskazujący do słoiczka z różem, przesunęła nim po ustach Tonia.

- Och! - Odsunęła się, wydając gwałtowne westchnienie. - Teraz pokaż mi nogę - powiedziała siadając i unosząc szeleszczące spódnice. Położył stopę na jej kolanach. Zebrała pończochę w dłoniach i włożywszy ją Toniowi, ciągnęła ją w górę, póki nie sięgnęła kolana. W tym miejscu kobieta umocowała ją podwiązką.

- Tak, wszystko, i na zewnątrz, i pod spodem, musi być doskonale - powiedziała, jakby sama sobie o tym przypominała. Trzymała w dłoniach białe, skórzane pantofle, jakby były ze szkła.

Kiedy wreszcie skończyła, stanęła, jakby zabrakło jej tchu. - Signore. - Zmrużyła oczy. - Klnę się na Boga, że nawet mnie moglibyście zwieść. - I dalej wpatrywała się w niego tak, jakby nie chciała, by się poruszył.

- Pamiętajcie, co wam mówiłam - powiedziała, gdy podchodził do haczyka, na którym powiesiła jego pelerynę. - Poruszajcie się powoli, nie tak jak kobiety. Szybkie, energiczne damskie ruchy zniszczyłyby złudzenie, gdyż jest ono kłamstwem. Poruszajcie się wolniej niż inni i trzymajcie ręce blisko ciała.

Skinął głową. Przemyślał już to wszystko doskonale, od wielu dni obserwując każdą napotkaną kobietę tak długo i natarczywie, że ryzykował posądzeniem o nieprzyzwoitość.

- Czego szukacie, signore? - Podeszła, by odsunąć Tonia od jego starego ubrania. Wyciągnął sztylet, na którego widok kobieta zatrzymała się.

Uśmiechał się do niej, wsuwając lodowate ostrze między piersi.

Odwróciła się gwałtownie i wyjąwszy z wazonu małą czerwoną różę, uniosła ją do światła, by widział porośniętą włoskami łodyżkę zamkniętą w szklanej rurce. Włożyła kwiat w to samo miejsce co sztylet, tuż obok jego rączki, tak że widać było tylko mały pąk.

Ujęła jego palce i pieściła, wsuwając na nie sztuczne pierścienie, po czym złożyła je na róży.

- Zobacz, jaka jest miękka - szepnęła. - I ty powinieneś się taki wydawać. - Ponownie przesunęła szorstkimi ustami po policzku Tonia. Dotknęła jego uśmiechniętych ust. - Kocham cię - rzekła niskim, dudniącym głosem, ukazując w uśmiechu równe, małe zęby.

Powóz jechał powoli po Via Veneto, zatrzymywany co kilka sekund przez sunącą przed nim procesję. Zaschnięte po wczorajszym deszczu koleiny sprawiały, że powierzchnia drogi była nierówna i nieprzyjemna; tłum pieszych przepychał się koło niecierpliwych, parszkających i podrzucających głowami koni.

Tonio jechał trzymając jedną dłoń w białej rękawiczce na oknie i obserwując uważnie kawiarnie, po czym nagle zapukał w dach powozu i poczuł, że pojazd skrzypiąc zawraca niezgrabnie do nieociosanego krawężnika.

Bezzębny, stary lokaj zeskoczył, by otworzyć Toniovi drzwi. Nosił szablę, tak jak miał przykazane i podążał za swą wchodzącą w otwarte drzwi panią przez rozstępujący się przed nią tłum, obdarzający ją ostrożnymi, lecz pełnymi podziwu spojrzeniami.

Na prawo, niemalże na środku sali, by móc obserwować niekończącą się paradę na ulicy, siedział nad nietkniętym kieliszkiem wina Guido, wspierając się łokciem o stół. Był znużony, miał na wpół przymknięte oczy, a jego grubo ciosana twarz wydawała się dziwnie młoda, jakby wyczerpanie nie pozwalało mu już tak trzymać się na baczności, a rozczarowanie i troski pozwoliły przyjąć naturalniejszą, nachmurzoną chłopięcą minę.

Nie zauważył nawet, że ktoś zajął miejsce obok niego; usiadła przy nim dama.

Potem podniósł się zaskoczony, dostrzegając najpierw fioletowy jedwab. Tonio, sztywny w szerokich spódnicach jak lalka, siedział patrząc spokojnie na ulicę.

Powietrze było ciepłe i łagodne, Tonio pozwolił więc, by chusteczka zsunęła mu się z szyi, odsłaniając piersi. Miał wrażenie, że zewsząd padają ukradkowe spojrzenia. Wprowadził tu takie zamieszanie, że nawet zajmujący się obsługą chłopiec nie wiedział, czy ma podejść, uklonąć się, czy też jakoś połączyć jedno z drugim i niezgrabnie krążył w pobliżu, trzymając w ręku tacę.

Tonio czuł na sobie wzrok Guida, skłonił więc głowę i odwrócił się tak, że patrzył na maestra podnosząc spojrzenie w górę.

Twarz Guida, wyraz jego oczu, układ ust wydawały mu się bardzo zmienione. Nagle opanowało go niezwykle uczucie. Guido go nie rozpoznaje! Uniósł wachlarz tak, jak pokazała mu staruszka, całkowicie go rozłożył, jakby odkrywał jakąś cudowną tajemnicę, zakrył nim usta, po czym opuścił spojrzenie i ponownie je uniósł.

Był tak wniebowzięty, że niewiele rozumiał ze słów Guida, z jego pięknej, entuzjastycznej przemowy stanowiącej znak, że jest wreszcie zadowolony. Płynęła nad nim, a Tonio od czasu do czasu kiwał uprzejmie głową.

Mimo ciężkiego, popołudniowego upału udali się wynajętym, otwartym powozem na przejażdżkę po mieście: dama i jej zakochany towarzysz, którego łąjała od czasu do czasu za zuchwałą zaczepkę, którą uczynił, nim dowiedział się, że nie oznacza ona zdrady. Spacerowali trzymając się pod rękę po kościołach, a dama otwierała od czasu do czasu parasolkę, wzdychając omdlewająco z powodu upału. Zjedli wczesny obiad na Via Condotti, po czym, odbywszy obowiązkową przejażdżkę z jednego końca Corso na drugi, udali się do domu.

Wcześniej jednak wrócili do signory Bianchi, krawcowej, i zatrudnili ją do pracy za kulisami na cały okres, w czasie którego będzie wystawiana opera Guida. Ten wiedział już, że będzie to *Achille en Sciro*, oparta na nowym librecie tak bardzo teraz popularnego poety Pietra Metastasia, którego tekstu od początku pragnął użyć.

- Dla ciebie będzie doskonały - mówił. - Matka Achillesa nie chce, żeby mieszał się on do wojny trojańskiej, wysłała go na wyspę Skyros przebranego za młodą dziewczynę, Pyrrę. Przez część opery będziesz występował jako Pyrra, wreszcie, podstępnie zmuszony do ujawnienia swej prawdziwej tożsamości, zmienisz się w Achillesa zakutego w złotą zbroję. Nawet na scenie będziesz tylko mężczyzną przebrany w kobiecy strój!

- Tak, to wspaniale - szepnął Tonio. A przecież myślą nie znajdował się nawet w tym pokoju, rzadko kiedy był świadom czasu, w którym to wszystko się toczy. Być może zastanawiał się ze zdziwieniem nad tym, jak rozkoszował się przebraniem. Gdy podziwiali go mężczyźni, myślał o niewyraźnej, przesiąkniętej kpina mściwości, która w nim wezbrała; o jakimś nierozważnym, niewinnym, chłopięcym uczuciu. Miał w rękach świetnie trzymającą się dzięki wodzie różę, którą dała mu krawcowa. I półleżąc, przebrany znów w wygodniejszą koszulę i spodnie, z nogą wspartą na stojącym przed nim krześle, gładził szorstko małe płatki kwiatka, prowokując, by je rozwinął.

- Więc cały czas inni kuszą cię, byś pokazał, kim naprawdę jesteś...

- W Teatro San Carlo wystawiają teraz tę opowieść w wersji Sarriego. Oglądaliśmy ją wspólnie - powiedział delikatnie Tonio.

- Owszem, ale nie zwracałeś takiej uwagi na libretto, prawda? Poza tym ja znacząco ją zmieniam. Zapomnij o tamtej wersji. Wiem, czego pragną rzymianie. Widziałem już to wszystko. Chcą całkowitej oryginalności z niezwykle ostrożnie wprowadzonymi nowymi pomysłami; poczucia rzetelności i przepływu, pewności, że całość została wykonana z artystem.

- To było wyzwanie - myślał Tonio. - Ukrycie się w tej sukni i obserwowanie dyskretnych, czasem otwarcie zapraszających spojrzeń, które mu rzucali. Zastanawiał się, kiedy nastąpił punkt zwrotny. Kiedy z ofiary ohydnej mistyfikacji zmienił się w jej sprawcę? Kiedy poczucie władzy zastąpiło bezbronność? Nie wiedział.

Dawno minął już czas obiadu, gdy Guido wstał z fotela pod oknem, by odebrać dostarczony do bram pałacu list.

Paola wysłano już do łóżka; Tonio drzemał z kielichem wina w dłoni.

- Co to? - spytał, gdy Guido usiadł ciężko z trudną do określenia miną, zmiął kartkę z wiadomością i wyrzucił ją.

- Ruggerio wynajął dwóch kastratów, którzy z tobą wystąpią - odparł Guido. Wstał i stanąwszy z rękoma w kieszeniach swej jedwabnej szaty, zamyślił się. Spojrzał na Tonia. - Mogło być... gorzej.

- Co to za ludzie? - spytał Tonio.

- Jeden z nich to Rubino, stary śpiewak, bardzo elegancki, ale przypuszczalnie hołdujący przebrzmiałemu już stylowi śpiewu. Ale rzymianie kiedyś go lubili. Z jego strony nie musimy się absolutnie niczego obawiać. Trzeba się tylko modlić, żeby przypadkiem nie zaczął już tracić głosu. - Zawahał się, tak zagłębiany we własnych myślach, jakby zapomniał o obecności Tonia.

- A ten drugi? - spytał przymilnie Tonio.

- Bettichino - odparł Guido.

- Bettichino! - szepnął Tonio. Wszyscy go znali. - Bettichino... na tej samej scenie.

- Pamiętaj - odezwał się ostro Guido. - Mówiłem, że mogłoby być gorzej. - Natychmiast stracił jednak co do tego przekonanie. Zrobił kilka kroków, gwałtownie się odwrócił. - Jest zimny - rzekł. - Jest władczy, zachowuje się, jakby był królem, podczas gdy przyszedł znikąd jak my wszyscy... no, jak niektórzy z nas. - Rzucił na Tonia rozbawione spojrzenie. - Orkiestra niezmiennie dostrajała się do jego głosu. Zdarzało się, że dawał wskazówki śpiewakom, którzy ich, jak sądził, potrzebowali...

- Ale jest dobrym, wspaiałym śpiewakiem - odezwał się Tonio. - Dobrze wiesz, że doskonale przysłuży się to operze...

Guido wpatrywał się w niego, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Potem szepnął: - Ma w Rzymie licznych wielbicieli.

- Czyżbyś we mnie nie wierzył? - uśmiechnął się Tonio.

- Wierzę tylko w ciebie - odparł cicho Guido. - Stworzą się jednak dwa obozy: twój i jego.

- Muszę więc zadziwić wszystkich - powiedział Tonio, figlarnie podnosząc głowę. - Prawda?

Guido wyprostował się. Patrząc przed siebie, ruszył przez pokój wprost do swego biurka.

Tonio wolno podniósł się z krzesła. Cicho wszedł do zagraconego pokoiku, który był jego garderobą, usiadł przed stolikiem pełnym pudełek i słoiczków, po czym wbił wzrok w fioletową suknię.

Po obu stronach stały komody wypełnione żakietami i pelerynami; w otwartej szafie na broń błyszczał tuzin szpad; a okno, które być może jeszcze przed chwilą było złote, teraz miało kolor jasnego błękitu.

Suknia leżała na fotelu, tak jak ją zostawił, ze zmiętymi halkami, ziejąc dekoltem ozdobionym kremowymi falbankami, jakby została rozcięta, by ukazać czarną pustkę wnętrza sztywnego gorsetu.

Oparł się na łokciu i wyciągnął dłoń, by dotknąć lśniącego w mroku jedwabiu, jakby muskał światło.

Wyobrażał sobie, że ta materia okrywa go, czuł niezwykłą nagość nad falbanami dekoltu i ciężkie falowanie spódnic. W każdym nowym ponizeniu tkwiło poczucie nieograniczonej władzy, tej radującej go siły. Jak to powiedział Guido, że Tonio jest wolny, a mężczyźni i kobiety mogą tylko marzyć o takiej wolności? W ramionach kardynała Tonio wiedział, że jest to całkowita prawda.

Niemniej zadziwiało go to. Ilekroć opadała z niego jakaś warstwa osobowości, drżał. Patrząc na pustą suknię, która miała teraz kolor dokładnie taki jak cienie, zastanawiał się: - Czy po premierze zachowam tę siłę? - Widział już galerię teatru pełną Wenecjan, dookoła słyszał znajomy, łagodny dialekt, szepty i pocałunki, dostrzegał twarze pełne oczekiwania i nieznacznie

tylko skrywanego przerażenia na widok owałaszonego patrycjusza, wystrojonego jak francuska królowa w sztuczne klejnoty, z farbą na twarzy.

Przestał o tym myśleć.

I do tego Bettichino. Tak, Bettichino. Może by tak nim się zająć? Zapomnieć o sukniach, wstęgach, jadących na południe weneckich powozach i całej reszcie?

Przez chwilę pomyśl o Bettichinie, o tym, co oznacza jego obecność.

Tonio obawiał się złych śpiewaków i wszystkich przyziemnych potworności, jakie potrafili spowodować: kartonowych szpad, które, gdy próbowało się je wyciągnąć, okazywały się przyklejone do pochwy, wina z niewielką dawką trucizny, powodującej mdłości tuż po rozpoczęciu śpiewu. Kohorty przepłaconych ludzi, którzy zaczynają cię wygwizdywać, jeszcze nim zdążysz otworzyć usta.

Ale Bettichino? Zimny, dumny, wyniosły księżę sceny wraz z jego reputacją i doskonałym głosem? Śpiew z nim oznaczał uszlachetniające wyzwanie, nie poniżającą rywalizację.

Jego obecność będzie jak oślepiające światło zdolne całkowicie zaćmić Tonia, zepchnąć go na obrzeża w walce o odzyskanie publiczności, która przecież dosyć już nasłuchiwała się Bettichina.

Wstrząsnął nim dreszcz. Tak zagłębił się w myślach, że zaczęło go opanowywać własne ciało; chwycił sukienkę, jakby chciał zatrzymać ostatni odcień fioletu, jaki ukazywało jeszcze gasnące światło. Podniósł ją tak, by poczuć na twarzy gładkość materiału.

- Czy kiedykolwiek wątpiłeś we własny głos? - szepnął. - Co się z tobą dzieje?

Zapadł mrok. Okno pulsowało głębokim, lśniącym błękitem nocy. Tonio wstał ze złością, wyszedł z pokoju i podążył korytarzem, nie dopuszczając do myśli niczego prócz echa własnych kroków na kamiennej posadzce.

- Ciemność, ciemność - szeptał niemalże z czułością. - Dzięki tobie staję się niewidzialny. Sprawiasz, że nie czuję się ani mężczyzną, ani kobietą, ani eunuchem, a po prostu żyję.

Kiedy jednak dotarł do drzwi gabinetu kardynała, zapukał natychmiast, nie wahając się ani przez chwilę.

Kardynał siedział przy biurku, a pokój o ścianach zastawionych książkami, przesycony nikłym blaskiem świec, przez chwilę wydawał się tak podobny do innego pomieszczenia, że

Tonio przypomniał sobie miłość i pożądanie, które poczuł na widok jaśniejącej namiętnością twarzy kardynała.

Nim lato dobiegło końca, dla wszystkich stało się jasne, że kardynał Calvino jest mecenasem Tonia Treschiego, weneckiego kastrata, który uparł się, by występować pod prawdziwym nazwiskiem.

- Tonio! - powiedziała hrabina, która coraz częściej odwiedzała Rzym. - Jeszcze usłyszysz, jak to imię rozbrzmiewa w całej sali; poczekaj, a sam zobaczysz.

Tymczasem kardynał trzymał swego słowika w klatce, nie pozwalając mu śpiewać poza pałacem, z którego grupa jego przyjaciół przynosiła opowieści o wspaniałym głosie Tonia.

Guido wiódł jednak inne życie.

Na koncerty zabierał zawsze zwój własnych nut. A kiedy, czasem ze zwykłej uprzejmości, proponowano mu grę na klawesynie, natychmiast przyjmował taką ofertę.

Był teraz stałym gościem w domach wielbicieli sztuki, a jego kompozycje na klawikord stały się głośnie; mówiono, że czegoś podobnego nie słyszano od czasów starszego Scarlattiego, chociaż muzyka Guida była bardziej melancholijna i mogła wywołać łzy. To samo można było powiedzieć nawet o lżejszych utworach i sonatach, które były tak melodyjne, lekkie i słoneczne, że oszałamiały jak szampan.

Wkrótce Guido otrzymał zaproszenie od będącego tu przejazdem francuskiego markiza, następnie od angielskiego wicehrabiego; często wzywano go też do domów organizujących regularne koncerty rzymskich kardynałów, czasem nawet do ich prywatnych teatrów, a do tworzenia dla nich delikatnie go teraz zachęcano.

Guido był jednak rozważny. Nie mógł pozwolić sobie na przyjęcie żadnego zamówienia. Przygotowywał operę. W każdej chwili był wszakże gotów wystąpić i wyjąć z teczki pełnej partytur nuty wspaniałego koncertu.

- Tak, z pewnością ta nowa opera to nie byle co - szeptali ludzie - jeśli sędzić po jego krótszych kompozycjach. A jego uczeń, Tonio, jest taki piękny, doskonały w każdym calu, chociaż zawsze, bez wyjątku, uprzejmie odmawia wykonania jakiegokolwiek utworu.

Tak wyglądało życie publiczne.

W domu Guido pracował bez wytchnienia i zmuszał Tonia do ćwiczeń surowszych niż te, które kiedykolwiek przecierpiał w konserwatorium, szczególnie jeśli chodziło o wysokie, szybkie glissanda, jakie były specjalnością Bettichina. Po dwóch godzinach porannych ćwiczeń kazał

teraz Toniowi wykonywać nuty i pasaże, które był on w stanie zaśpiewać tylko wtedy, gdy miał całkowicie rozgrzany głos. Tonio nie czuł się w tej dziedzinie najbezpieczniej, lecz praktyka da mu poczucie pewności i choć być może nie będzie zmuszony używać wysokich nut, musi być gotowy na sztuczki Bettichina. Guido wciąż mu o tym przypominał.

- Ma już prawie czterdziestkę. Potrafi to jeszcze zaśpiewać? - Tonio wbił wzrok w nowy zestaw ćwiczeń o dwie oktawy wyższych od środkowego C.

- Jeśli on potrafi, ty musisz - powiedział Guido. I wręczając Toniowi nową arię, która być może nie przetrwa nawet dnia, by pojawić się jako część wykończonej opery, rzekł: - Nie jesteś już ze mną w tym pokoju. Stoisz na scenie, słuchają cię tysiące. Nie wolno ci się pomylić.

Tonio w cichości ducha nie posiadał się z zachwytu nad tą nową muzyką. Nawet raz, jeszcze w Neapolu, nie odważył się skrytykować Guida, zdawał sobie jednak sprawę, że jego własny gust ukształtował się, nim jeszcze opuścił rodzinny dom.

Poznał tam nie tylko muzykę wenecką; słyszał też dużo neapolitańskich utworów wykonywanych na północy.

Zdawał sobie sprawę, że Guido, uwolniony od posepnego reżimu konserwatorium i ciągłych wymagań swych dawnych uczniów, zadziwił teraz nawet sam siebie. Doskonalił swe występy oraz kompozycje i rozkoszował się tym, że zwracano na niego uwagę.

Po zakończeniu lekcji i on, i Tonio byli całkowicie wolni. Jeśli Tonio nie chciał towarzyszyć mu na różnych przyjęciach i koncertach, Guido nie naciskał.

Tonio mówił sobie, że wszystko to go cieszy. Nie była to jednak prawda. Niezależność Guida wprawiała go w zakłopotanie. Dzięki hojności hrabiny Guido zaczął nosić się ładniej niż w Neapolu i prawie zawsze wkładał perukę. Otaczające jego twarz białe włosy sprawiały, że Guido wyglądał cywilizowanie i uroczyście, a dziwaczne rysy twarzy - ogromne, wyzywające oczy, płaski, brutalny nos i usta rozciągające się szeroko w zmysłowym uśmiechu - jak magnes przyciągały do niego uwagę nawet w zatłoczonym pokoju. A widok kobiety wspartej o ramię Guida, często przyciskającej piersi do jego rękawa, wprawiał Tonia w bezgłośną furję, którą mógł wyładować tylko na sobie.

Wszystko się zmieniało.

- Nic nie możesz na to poradzić; jeśli mu tego załujesz, to musisz być tak zepsuty i próżny, jak cię o to oskarżano - myślał Tonio.

Czasem jednak z zadowoleniem opuszczał te zebrania towarzyskie. Nie wolno mu było śpiewać. Ciągła rozmowa wyczerpywała go. I z goryczą myślał o tym, że Guido “dał” go kardynałowi; wciąż pragnął złościć się na Guida. Czasem chciał też móc wierzyć w to, że wszystko było winą maestra.

Jednak nim dotarł do bram pałacu kardynała Calvino, zapominał o wszystkim.

Myślał wtedy tylko o jednym: by znaleźć się w jego łóżku.

Wieczorami, kiedy kardynał nie przyjmował gości, zaczynali wcześniej. Paolo smacznie spał. Tonio zawsze tego pilnował. Wślizgiwał się wtedy na pokoje kardynała, nie pukając nawet i nie pytając o pozwolenie.

Kardynał był w gorączce oczekiwania i zawsze najpierw rozbierał Tonia. Pragnął, by Tonio zachowywał się jak dziecko, więc bez jego pomocy walczył z guzikami, koronkami i haftkami, nawet jeśli doprowadzało go to do szału.

Kiedy powiedziano mu, że Tonio chodzi od czasu do czasu w kobiecym stroju, bynajmniej nie zaszokowany, zapragnął go zobaczyć i często kazał przynosić fioletową suknię z kremowymi wstążkami, żeby móc ubrać w nią Tonia, a potem, wedle własnego życzenia, rozebrać go z niej.

Czasem wydawało się, że bardziej niż czegokolwiek innego, pragnął skóry Tonia. Odsunawszy materiał, kosztował jej językiem i wargami.

Tonio stawał się w jego ramionach równie posłuszny, jak Domenico był w jego własnych. Z najłagodniejszym uśmiechem patrzył, jak kardynał zrywa bogactwo kremowych falbanek, tylko po to, by położyć dłoń na kryjącej się pod nimi płaskiej klatce piersiowej; jak szczypie jego sutki tak mocno, że Tonio nie może powstrzymać krzyku, by całować go potem, jakby błagał o przebaczenie, a potem unieść w górę te wszystkie spódnice i wepchnąć swój róg między nogi Tonia. Ten przerażająco długi organ zawsze sprawiał Toniowi ból, lecz kardynał obejmował ustami usta Tonia, jakby chciał powiedzieć: “Jeśli masz krzyczeć, krzycz do mnie.”

We wszystkim, co robił kardynał, była łagodna rozkosz: w sposobie, w jaki przesuwiał palce we włosach Tonia, w pocałunkach, jakie składał na jego powiekach, i w tym rozwijającym się we własnym tempie, gorączkowym uwielbieniu.

Jednak to nie delikatny dotyk i pocałunki rozpałały do białości namiętność Tonia. Podniecał go sam kardynał, nie to, co mu robił. Dopiero kiedy ścisnął w ramionach uda tego mężczyzny, gdy mógł otoczyć ustami jego korzeń, kiedy czuł obfity strumień kwaśnego jak

maślanka i jednocześnie słodkiego nasienia kardynała, ciało Tonia drżało w grożącej mu unicestwieniem ekstazie.

To i nieunikniony gwałt, który zawsze lubił kardynał; żelazo wepchnięte między nogi Tonia.

Znosił więc całą resztę, zachwycony, że robi mu to wszystko ten człowiek, i myśląc: - Tak, to kardynał Calvino, księżę kościoła towarzyszący Ojcu Świętemu, zasiadający w kolegium kardynalskim; ta potężna osobistość, której ulegam i którą biorę w ramiona. - Jego dłonie z niecierpliwością spieszyły, by ująć ciężkie jądra, czuć ciepło tych luźnych, owłosionych woreczków i lekko, jakby z groźbą je ścisnąć tylko po to, by poczuć, jak ciało kardynała zmienia się w jedno przerażające i okrutne ostrze.

Zaczął jednak rozumieć, że dla kardynała nawet najdelikatniejsza gra była formą gwałtu. Tak samo jak pragnął wgnieść Tonia w prześcieradła, tak samo chciał, by Tonio jęczał z rozkoszy; pragnął wtargnąć do niego za jej pomocą, zniewolić go nią tak samo jak bólem.

Spędzali razem wiele godzin. Tonio leżał później obok kardynała ze szklanymi, niewidzącymi oczami, niemal jak zapasnik wymykający się na chwilę ze słabnącego uścisku przeciwnika.

Jednak było w tym jeszcze coś więcej. Już niemalże pierwszej nocy zaczęła się inna jeszcze wymiana.

Ubierali się po chwilach miłości. Czasem jedli posiłek. Kardynał miał różne doskonałe wina. Później, wezwawszy starego Nina z pochodnią, zaczęli swą zwykłą przechadzkę po pałacu.

Przystawali koło jakichś widocznych w migoczącym świetle posągów, które, jak wyznawał kardynał, od lat go nie cieszyły. - Kiedyś uwielbiałem tę małą nimfę - mówił o rzymskiej rzeźbie. - Znaleziono ją w ogrodzie mojej willi, kiedy skopywano miejsce na fontanny. A ten gobelin przysłano mi przed laty z Hiszpanii.

Pochodnia Nina trzeszczała głucho, jej duszący zapach przenikał otaczającą ich ciemność, a Tonio, patrząc na szare oczy kardynała i na jego delikatną, choć zniszczoną dłoń spoczywającą na starożytnym posątku z brązu, czuł przedziwny spokój.

Podążał za kardynałem do wielkich ogrodów, pełnych delikatnego plusku fontann i cierpkiej woni świeżo ściętej trawy.

Potem wkraczali do biblioteki, sanktuarium wypełnionego rzędami oprawionych w skórę tomów, ginących gdzieś poza zasięgiem migoczącego światła.

- Poczytaj mi, Marcu Antonio - mówił kardynał, odnajdując dzieła swych ulubionych poetów, Dantego i Tassa. Siadał z rękami skrzyżowanymi na wypolerowanym stole, poruszając delikatnie ustami, podczas gdy Tonio czytał miękko, powoli, cicho.

Ogarniało go rozmarzenie. Przed laty, w innym życiu zaznawał takich chwil jak ta, zatracił się we wszechświecie doskonale oddanych obrazów i idei. Poczł nagłą bliskość w stosunku do kardynała; tego królestwa Tonio nigdy nie mógł dzielić z Guidem.

Był jednak ostrożny w wyjawianiu swych uczuć. Zdawał sobie sprawę, że kardynał może ludzi się, iż jego kochanek jest tylko łobuziakiem wychowanym przez muzyków i to właśnie mogło go zadowalać. W oczach kardynała wystarczająco często gościła rozpacz. A jeszcze częściej smutek. Znajdował się w szponach "bezbożnej" namiętności do Tonia. Był człowiekiem wewnętrznie rozdartym.

Tonio wyczuwał, że wszystkie te przyjemności: poezja, sztuka, muzyka i ich gorączkowe stosunki, w jakiś sposób związane były z wyobrażeniami kardynała na temat świata i ciała - wrogów duszy.

Kardynał nagabywał go jednak:

- Opowiedz mi coś o operze, Marcu Antonio. Co dobrego można w niej znaleźć? Czemu jest popularna?

Jakże niewinny wydawał się w takich chwilach. Tonio mógł się tylko uśmiechnąć. Nikt nie musiał mu mówić o długiej walce Kościoła ze sceną i aktorami, z każdą muzyką prócz muzyki religijnej, o odrazie, jaką żywił do występujących kobiet, a która powołała do życia kastratów. Wiedział o tym od dawna.

- W czym tkwi wartość opery? - szepnął kardynał, mrużąc oczy. - Och - pomyślał Tonio - wydaje mu się, że uwięził tu jakiegoś wysłannika piekieł, który szczerze wyzna mu całą prawdę.

- Usiłował nie sprawiać wrażenia, że się temu sprzeciwia.

- Panie - rzekł powoli - nie potrafię odpowiedzieć na twe pytanie. Znam tylko radość, jaką zawsze dawał mi śpiew. Wiem tylko, że muzyka jest tak piękna i potężna, iż przypomina czasem morze lub niebiańskie przestrzenie. Z pewnością stworzył ją Bóg. Wypuścił ją na świat jak wiatr.

Kardynał był zdziwiony tą odpowiedzią. Zapadł się w fotel.

- Mówisz o Bogu, jakbyś go kochał, Marcu Antonio - rzekł ze znużeniem.

Nadchodziła boleść.

Tonio myślał: - Kochać Boga? Tak, pewnie kiedyś Go kochałem; przez całe życie, ilekroć myślałem o Nim, kochałem Go: w kościele, na mszy, kiedy klęczałem przy łóżku z różańcem w rękach. Ale trzy lata temu we Flovigo? Nie sądzę, bym tej nocy kochał Go czy nawet w Niego wierzył.

Nic jednak nie odpowiedział. Widział, że kardynała ogarnia rozpacz. Wiedział, że ich noc dobiegła końca.

Zdawał też sobie sprawę, że kardynał nie będzie w stanie długo wytrzymać tej walki. Grzech był dla niego karą za jego popełnienie. Tonio posmutniał na myśl o tym, że ich objęcia skazane są na krótki żywot.

Wcześniej czy później nadejdzie chwila, gdy kardynał się go wyrzeknie i Tonio pragnął tylko, by zrobił to uprzejmie, bo jeśli oznajmi mu to niegrzecznie... Ale czegoś takiego nie mógł sobie nawet wyobrazić.

Rozstali się teraz pośród ciemnego, uśpionego domu.

Jednak Tonio, gnany uczuciami, jakich nigdy przedtem nie doświadczył, wrócił ukradkiem, by chwycić w ramiona szczupłe, ustepliwe ciało kardynała i obdarzyć go ostatnim, długim pocałunkiem.

Niepokoilo go potem to wspomnienie. Dotknął dłonią własnych ust. Jak mógł paść uczuciem do kogoś, kto uważał go za coś plugawego, traktował kastrata niczym rzecz, którą można obdarzyć wszystkimi namiętnościami, jakich kardynał nie może dać kobiecie; jak brudną tajemnicę?

Ostatecznie nie było to jednak ważne.

Tonio wiedział w głębi serca, że nie ma to żadnego znaczenia.

Codziennie obserwował z cichym przerażeniem, jak kardynał podchodzi do ołtarza Pana, by dokonać dla wiernych cudu przeistoczenia, podczas gdy we własnej duszy dopuszczał się świętokradztwa. Patrzył, jak podąża na Kwirywał. Śledził kardynała wzrokiem, gdy ten spieszył do chorych i biednych.

Poruszyło go, że człowiek ten, bez względu na to jak jasno płonęła jego sekretna namiętność, nigdy się nie zawahał. Ukazywał wszystkim swą miłość do Chrystusa, miłość do swych braci, jakby, pokonawszy własną dumę, pojął, że to właśnie jest wieczne i nieskończenie ważniejsze od jego własnych słabości i grzechów.

Wkrótce Tonio nie był w stanie spojrzeć na kardynała, wspaniałego w swych purpurowych szatach, czy samotnego pośród bogactwa apartamentów, by nie pomyśleć: - Tak, przez cały ten czas, jaki dane nam jest spędzać razem, kocham go, kocham go szczerze i, tak długo jak mnie pożąda, chcę dawać mu rozkosz.

Gdyby tylko mogło się to okazać wystarczające.

Tonio, zachęcony nie powiązanymi ze sobą wizjami mężczyzny, który nie przyznając się do tego, wziął go w posiadanie, należał teraz właściwie do wszystkich nieznanym mu prawdziwych mężczyzn; obcych, którzy mijali go za dnia na korytarzach pałacu kardynała, nawet do łotrów rzucających mu gorące, jednoznaczne spojrzenia na ulicach.

Sala fechtunku, w której szukał w przeszłości kojącego wyczerpania, zmieniła się teraz w salę tortur pełną kuszących ciał tych zdrowych, nieokaleczonych, czasem okrutnych młodych arystokratów, których zawsze trzymał na dystans.

Dostrzegał teraz ich piersi błyszczące pod rozpiętymi koszulami, napięte, cudownie umięśnione ręce i wybrzuszenie jąder między nogami. Prześladował go nawet zapach ich potu.

Zatrzymał się, otarł pot z czoła i zamknął oczy. Po to tylko, by po chwili dostrzec młodego florentczyka, hrabiego Raffaele di Stefano, swego najbardziej wytrzymałego przeciwnika walk, wpatrującego się w Tonia z nieukrywaną żądzą i fascynacją, który teraz z poczuciem winy odwrócił wzrok.

Czy kiedykolwiek podniecał go po prostu strach przed tymi mężczyznami? Czy zawsze tkwiła w nim ta nierozpoznana żądza?

Wyprostował się, gotowy do zmagania z hrabią; w szale walki zaczął na niego napierać, odpychając go w tył; zauważył, że młodzieniec zaciska zęby. Jego okrągłe, czarne oczy otoczone były tak gęstymi rzęsami, że wyglądały jak podkreślone czarną kreską. Pod skórą jego twarzy o drobnych, delikatnych rysach, nie rysowały się żadne kości. A włosy miał czarne jak atrament.

Rozdzielił ich mistrz fechtunku. Hrabia został draśnięty, a jego cienka koszula była rozcięta na ramieniu. Nie, nie chciał zakończyć walki.

Kiedy ponownie się starli, w hrabim nie było śladu urażonej dumy; poruszał tylko z koncentracją ustami, usiłując wydostać się poza zasięg długich rąk Tonio.

Walka dobiegła końca.

Hrabia stał dysząc; czarne włosy porastające jego pierś sięgały aż do gardła, skąd zostały usunięte brzytwą. Skóra twarzy była jednak tak gładka, że Tonio niemalże czuł ją pod palcami. Zgolona broda zdawała się tak ostra, że mogłaby ranić.

Odwrócił się do hrabiego plecami. Stał z szablą u boku na środku wypolerowanej podłogi. Czuł, jak inni mierzą go wzrokiem. Wiedział, że hrabia zbliża się do niego. Dotknął ramienia Tonio, który wciągnął w nozdrza jego zwierzęcy zapach, rozkoszny i gorący. - Zjedz ze mną obiad. Jestem w Rzymie sam - powiedział niemalże gwałtownie. - Jesteś jedynym szermierzem, który potrafi mnie zwyciężyć. Chciałbym, żebyś mi towarzyszył, ja stawiam.

Tonio powoli odwrócił się, by na niego spojrzeć. Nie mylił się co do jego intencji. Hrabia zmrużył oczy. Na jednym z jego nozdrzy i na szczęce lśniły małe, czarne pieprzyki. Tonio zawahał się, opuszczając powoli wzrok. Wreszcie wyszeptał, wyjąkał odmowę, jakby się spieszył, znajdując jednak czas na uprzejmość.

Niemalże ze złością ochlapał wodą twarz i wytarł ją pobieżnie ręcznikiem, po czym odwrócił się do lokaja po swój żakiet.

Kiedy wyszedł na ulicę, hrabia, przesiadujący w winiarni naprzeciwko, uniósł wolno kielich w geście pozdrowienia.

Towarzyszący mu młodzieńcy w bogatych szatach skinęli Toniowi głowami. On zaś uciekł, gubiąc się w spieszącym zewsząd tłumie.

Jednak tejże nocy w ciemnej alkowie dusznej willi Tonio oddał się dłoniom i ustom, których prawie nie znał.

Gdzieś daleko Guido grał dla niewielkiej grupy gości, a Tonio, aby uniknąć niebezpieczeństwa, że zostaną odkryci, odciągał swego prześladowcę w coraz dalsze miejsca, aż wreszcie nie był już w stanie bronić się przed jego silnymi dłońmi.

Czuł język tego mężczyzny wślizgujący się siłą do jego ust, jego twarde członek, który Tonio uwolnił wreszcie ze spodni, pozwalając mu wcisnąć się do groty między swymi zaciśniętymi udami. W takich chwilach był Ganimesesem unoszonym przez słodkie ponizienie uległości, która przybierała postać młodzieńca ukształtowanego już przez własne podboje.

W następne noce zdobywali go starsi mężczyźni, mężczyźni w sile wieku czy nawet już siwiejący, chętni, by pokosztować młodego ciała; czasem zaskakiwał ich padając na kolana, by wziąć w usta całą siłę, jaka mogła się w nich pomieścić.

Kiedy było już po wszystkim, klęczał dalej z pochyloną głową, jakby był pierwszym z klęczących przy ołtarzu komunikantów, czujących obecność Chrystusa Żywego.

Oczywiście później unikał tych partnerów, o ile w ogóle można ich tak nazwać. Nigdy też nie przebywał z nimi sam na sam na ich terenie. Wynajdywał sekretne miejsca spotkań, zamknięte saloniki czy nieużywane pokoje, do których dochodziły dźwięki tańczących par, głosy tłumu. Zawsze miał w pogotowiu sztylet i szablę przy boku.

Zaskakiwało go, że mężczyźni i kobiety tak starali się go skusić. Zaczęły krążyć opowieści o naiwnym cudzoziemcu, który zakochał się w nim w przekonaniu, iż Tonio jest przebraną młodą kobietą.

Przed wizytą u kardynała brał kąpiel. Starannie ubierał się w nieskazitelnie czyste lub całkiem nowe szaty. Po czym przekonany, że żadne z tych przypadkowych spotkań nigdy nie zaszło, zatracił się w ramionach kardynała.

A jednak wspomnienie tych ukradkowych uścisków dodawało żaru wszystkiemu, co zachodziło między nimi.

Wreszcie pewnego popołudnia skierował powóz na najbiedniejsze ulice Rzymu.

Ujrzał bawiące się w drzwiach dzieci, ludzi gotujących strawę w otwartych sklepach, sery i mięsa zawieszane na łukach domów. Powóz zatrzymał się, by przepuścić grubą, lśniąca maciorę i podążające za nią z kwikiem prosiaki. Suszące się na obwisłych sznurach pranie zasłaniało niebo.

Opadł na skórzane poduszki. Mimo bryzgającego od czasu do czasu błota i odoru, którego nie był w stanie rozwiać wiaterek znad pobliskiego Tybru, okno powozu było otwarte.

Wreszcie Tonio dostrzegł osobę, której szukał. Stojącego w drzwiach młodego mężczyznę w rozpiętej aż po gruby skórzany pas koszuli, ukazującej linię krętych, czarnych włosów. Rosły one od pasa w górę i otaczały jego małe, różowe sutki, tworząc jakby ramiona krzyża. Jego twarz, choć gładko wygolona, była szorstka jak świeżo przecięte drewno, a kiedy ich oczy spotkały się, zniknęła nagle dzieląca ich niewielka odległość, a Toniowi zaparło dech w piersiach.

Otworzył malowane drzwiczki. Powóz stał przechylony w nieprzejezdnym, wąskim miejscu, a Tonio ubrany w złoty brokat patrzył przed siebie, unosząc zapraszająco jedną rękę.

Stojący w drzwiach młodzieniec zmarszczył nieznacznie brwi. Przesunął się, wysuwając w przód biodra, a wzniesienie pod jego obcisłymi spodniami stało się większe, jakby samo specjalnie chciało zwrócić na siebie uwagę.

Wreszcie ruszył w stronę powozu, a Tonio zaciągnął zasłony, by odgrodzić ich od świata, z którego dochodziły tylko cieniutkie pręgi światła.

Koń zaczął się ciężko posuwać w przód. Mała kabina kołysała się powoli na ogromnych sprężynach. Tonio spojrzał na czarne, wijące się włosy widoczne na tle oliwkowej skóry młodzieńca. Po czym nagle, rozkładając szeroko palce, położył na nich swą białą dłoń i poczuł twardą pierś mężczyzny.

Widział tylko błysk jego oczu, zarys szczęki. Bardzo ostrożnie dotknął także i jej, czując ostrą szczecinę, którą zostawiła brzytwa, a pod nią niezwykle jędrną skórę.

Odsunął się i przechylił na bok głowę. Odwracając się, dotknął mężczyzny lewym ramieniem, tak by go od siebie odsunąć lub przyciągnąć. Schyliwszy się w przód, wspierając dłonie na siedzeniu, poczuł na plecach ciężar jego ciała. Położył się na skórze siedzenia tak płasko, że dotknął jej twarzą i zamknął oczy, jakby zasypiał.

Mężczyzna objął Tonia ciasno lewą ręką, jakby chciał go lepiej trzymać w czasie napaści. Ta jędrna skóra, umięśnione ciało napierającego na niego mężczyzny wstrząsnęły Toniem tak samo mocno jak wsuwające się w niego żelazo.

Przez chwilę ból zdawał się nie do wytrzymania. A jednak zlewał się on w jeden dręczący płomień z rozkoszą. Nagle zdał sobie sprawę, że zdobywca nie puszcza go. Z rosnącą złością uwolnił jedną dłoń, by sięgnąć po sztylet. Jednak delikatny dotyk dał mu znać, że młody rzymianin po prostu przygotowuje się do następnego ataku.

Było już po wszystkim. Młodzieniec wyprostował się z chłodem, gdy zaproponowano mu pieniądze. Wszedł na ulicę. Ale kiedy powóz ruszył, chwycił obiema rękami framugę okna i wyszeptał imię świętego, patrona ulicy, na której mieszkał. Tonio uśmiechnął się do niego i skinął głową. W odpowiedzi otrzymał rzadko spotykany, piękny uśmiech.

Potem były znów tylko wznoszące się po obu stronach ponure mury koloru ochry i ciemnej zieleni, rozplywające się za pierwszą zasłoną deszczu.

Oczy Tonia zamgliły się. Patrzył niespokojnie, jak powóz zbliża się do Watykanu. Nagle jakby z koszmarne snu, z którego nawet trzeźwy umysł nie był się w stanie całkowicie otrząsnąć, wynurzył się wiszący na małym zakładzie napis oznajmiający światu:

TUTAJ KASTRUJE SIĘ
PAPIESKICH ŚPIEWAKÓW

Nim nadszedł pierwszy grudnia, Rzym opanowała obsesja nowej opery. Lada dzień miała przyjechać sama hrabina Lamberti, a dostojny kardynał Calvino po raz pierwszy w życiu wykupił łożę na cały sezon. Guido i Tonio mieli gorące poparcie wielu możliwych panów, ale i *abbati* zaczęli już o tym mówić. A wszyscy wiedzieli, że to właśnie oni wydadzą wiążący wyrok w noc premiery.

To oni wygwizdywali wszelkie plagiaty; oni przepędzali ze sceny tych, którym nie dostawało umiejętności czy nie byli warci zaszczytów.

Znamienite rodziny zasiadające w pierwszych i drugich rzędach nie były w stanie, mimo wysiłku, uratować przedstawienia, jeśli potępili je *abbati*, a ci rozgłaszali już, że to Bettichino zyskał sobie ich szczerą oddanie. Był on śpiewakiem sezonu; śpiewał teraz o wiele lepiej niż w poprzednich latach; cudownie spisał się w zeszłym roku w Bolonii; jeszcze nim wyjechał do Państw Niemieckich był wspaniały.

Jeśli w ogóle wspominali o Toniu, to tylko po to, by naigrywać się z tego weneckiego parweniusza, który wyjawiał, że jest patrycjuszem i upierał się przy używaniu swego prawdziwego nazwiska. Któż by mu zresztą wierzył? Każdy eunuch przyznawał się do jakiejś rodziny, kiedy stanął w blasku świateł rampy i rozpuszczał jakąś głupią historyjkę na temat tego, dlaczego trzeba było dokonać kastracji.

Trzeba jednak przyznać, że i opowieść o pochodzeniu Bettichina była absurdalna. Czyżby rzeczywiście był potomkiem niemieckiej damy oraz włoskiego kupca i zachował głos tylko dzięki nieszczęsnemu atakowi ulubionej gęsi, który przeżył w dzieciństwie?

Do Guida, który pisał dzień i noc, dochodziły jedynie strzępy tych plotek. Wychodził tylko po to, by dopilnować wszystkiego w willi hrabiny, a kiedy zaczął się zbliżać dzień premiery, zarzucił wszelkie wizyty u miłośników sztuki.

Tonio wysłał jednak Paola, by chłopiec dowiedział się, czego tylko się da.

Paolo, uszczęśliwiony, że uwolnił się od swych nauczycieli, odwiedził signorę Binachi, która pracowała zawzięcie nad kostiumami Tonia, a potem kręcił się koło mężczyzn zajmujących się montażem całej zakulisowej maszynerii. Jak długo mógł, chodził ponury po zatłoczonych kawiarniach, jakby kogoś szukał.

Przyszedł wreszcie czerwony od gniewu, ze łzami w oczach.

Tonio nie słyszał, kiedy wrócił.

Zagłębił się w liście od Catriny Lisani, która donosiła mu, że wielu Wenecjan udało się już w podróż do Wiecznego Miasta tylko po to, by ujrzeć go na scenie. "Przyjadą ciekawi" - pisała - "i ci, którzy wciąż wspominają cię z wielką miłością".

Bardzo nieprzyjemnie go to zaskoczyło. Żył w strachu przed premierą; czasem odbierał to przerażenie jako rozkoszne i rozweselające. Kiedy indziej było torturą. Na wiadomość, że rodacy przybędą, by oglądać jego występ jak karnawałowe widowisko, poczuł chłód, który nie ustępował, minio że Tonio grzał się przy kominku.

Był też tym zaskoczony. Wydawało mu się, że został wyrwany z weneckiego środowiska, tak jakby ktoś uniósł go w górę, a tłum obojętnie ruszył, by zapełnić miejsce, które kiedyś zajmował Tonio. Na wieść o tym, że ludzie ci słyszeli o tej operze i dużo o niej rozmawiali, doznał dziwnego, nieokreślonego uczucia.

Oczywiście powodem do rozmów był też fakt, że mąż Catriny, stary senator Lisani, raz jeszcze próbował zyskać unieważnienie wyroku skazującego Tonia na banicję. Jednak rząd potwierdził tylko swą wcześniejszą decyzję: pod groźbą śmierci zabroniono Toniowi wkraczania w granice Wenecji Eugenejskiej.

Ostatnia część listu Catriny najdotkliwiej ugodziła go w serce.

Matka Tonia błagała, by pozwolono jej jechać do Rzymu. Od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszała, że został zaangażowany przez Teatro Argentina prosiła, by mogła samotnie wybrać się w tę podróż. Carlo twardo odmawiał i Marianna była teraz chora, zamknięta w swych apartamentach.

"W opowieściach o chorobie jest ziarno prawdy" pisała Catrina, "lecz myślę, że zdajesz sobie sprawę z tego, iż jest to choroba duszy. Trzeba przyznać, że twój brat, mimo swych ułomności, był dla niej bardzo czuły. To ich pierwsza poważna kłótnia małżeńska."

Odłożył list.

Czekał na niego Paolo, a Tonio wiedział, że był teraz chłopcu bardzo potrzebny. Coś go przestraszyło. Przez chwilę niemalże nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

A więc pragnęła przyjechać! Nigdy, nigdy by się tego nie spodziewał! Miał wrażenie, że pękła cienka przegroda dzieląca jego teraźniejsze życie od przeszłego i sączyły się przez nią delikatne, dziwne, oszłamiające wspomnienia o matce. Przez wszystkie te lata nigdy tak

gwałtownie i całkowicie nie czuł jej obecności, woni jej skóry, nawet faktury włosów. Zupełnie jakby wspierała się zagniewana na jego ramieniu, płacząc i usiłując go objąć.

Targały nim tak gwałtowne i niezwykle uczucia, że sam o tym nie wiedząc, zerwał się na równe nogi i ruszył przez pokój.

- Tonio! - Paolo pociągnął go za rękaw. - Nie wiesz nawet, co za okropne rzeczy opowiadają w kawiarniach...

- Ciiicho, nie teraz - szepnął. Ale nawet wypowiadając te słowa czuł, że przegroda zasklepiła się i rozdzieliła ich, zamykając matkę wraz z jej miłością i rozpaczą w dalekim świecie, do którego on sam już nie należał. A gdyby był prostym śpiewakiem? Co znaczyłoby dla niego, że pragnie tu przyjechać jego matka?

- Głupiec z ciebie - szepnął. - Wystarczy, że wyciągną dłoń, a już obnażasz swe serce.

Wyprostował się i odwróciwszy się, złapał Paola za ramiona i dłonią uniósł mu w górę twarz.

- Co mówią? Opowiedz. Na pewno nie było w tym nic aż tak złego.

- Sami nie wiedzą, co mówią, Tonio. Uważają, że Bettichino jest najlepszym śpiewakiem w Europie. Twierdzą, że to oburzające, iż masz wystąpić na tej samej scenie.

- Zawsze tak mówią, Paolo - odezwał się cicho, uspokajająco Tonio. Wyjął chusteczkę i wytarł twarz Paola.

- Ale oni opowiadają, Tonio, że jesteś nikim i przyszedłeś znikąd. Mówią, że kłamiesz rozgłaszając, iż pochodzisz ze znamienitego, weneckiego rodu. Mówią, że wynajęto cię tylko dla wyglądu. Kiedy zaczynał Farinelli, nazywano go *il ragazzo* - chłopak, a oni twierdzą, że ty zyskasz sobie przydomek *la ragazzina* - dziewczyna. I powiadają, że jeśli ta młoda dama, to znaczy ty, nie będzie umiała śpiewać, to zbiorą dla niej posag, żeby zamknąć ją w klasztorze, w którym nikt nie będzie musiał słuchać jej głosu. Tonio wbrew sobie wybuchnął śmiechem.

- Co za bzdury, Paolo - rzekł.

- Powinieneś ich słyszeć, Tonio.

- Oznacza to tylko - odparł - że na premierę przybędą tłumy.

- Nie, Tonio, nie będą cię słuchać. Tego właśnie obawia się signora Bianchi. Będą krzyczeć, wyć, tupać nogami. Nie dadzą ci szansy.

- Zobaczymy - szepnął Tonio. Zastanawiał się, czy Paolo zauważył, że blednie. Był pewien, że nieco pobladł.

- Co robić, Tonio? Signora Bianchi mówi, że kiedy są w takim nastroju, mogą nawet doprowadzić do zamknięcia teatru, a wszystko przez signorę Grimaldi, od niej się to zaczęło. Przyjechała do Rzymu i rozgłosiła, że śpiewasz lepiej niż Farinelli. Dlatego zaczęli mówić te wszystkie rzeczy związane z Farinellim.

- Signora Grimaldi - powtórzył cicho Tonio. - Ale kto to jest?

- Znasz ją, Tonio, szaleje za tobą. W Neapolu zawsze siedziała w pierwszym rzędzie, kiedy śpiewałaś. Teraz wywołała tu ogromne wzburzenie. Wczoraj wieczorem oznajmiła wszystkim gościom angielskiego ambasadora, że jesteś największym śpiewakiem od czasów Farinellogo i że słyszała Farinellogo w Londynie. Wiesz, rzymianie mówią od razu, iż żadna Angielka nie będzie im nic wmawiała.

- Przerwij na chwilę, Paolo. Kim ona jest? Jak wygląda?

- Ma jasne włosy, takie rozczochrane. Była żoną kuzyna hrabiny, a teraz jest bogata i nic nie robi, tylko maluje...

W Toniu zaszła taka zmiana, że Paolo zamilkł na chwilę.

- Tonio! - Chłopiec ciągnął go za rękę. - Już zanim przyjechała, było źle, a teraz jest o wiele gorzej. Signora Bianchi twierdzi, że taki tłum może doprowadzić do zamknięcia teatru.

- Jest w Rzymie... - szepnął Tonio.

- Tak, w Rzymie. Wolałbym, żeby była w Londynie - oświadczył Paolo. - A w tej chwili jest z maestrem Guidem.

Tonio natychmiast skierował wzrok na Paola.

- Jak to z Guidem?

- Są w willi hrabiny. Wprowadza się. - Paolo wzruszył ramionami. - Co masz zamiar zrobić, Tonio?

- Nie bądźże głupi - szepnął Tonio. - To nie jej wina. Po prostu wszyscy emocjonują się operą. Jeśli nie mówiliby tego, to...

Tonio gwałtownie się odwrócił i sięgnął po żakiet. Poprawił koronki na szyi i podszedł do szafy po szpadę.

- Gdzie idziesz, Tonio? - spytał Paolo. - Co masz zamiar z tym zrobić?

- Bettichino nie dopuści, by zamknęli teatr, Paolo - odparł poufnym tonem Tonio. - Znalazłby się wtedy bez pracy.

* * *

Do znajdującej się na południe od Rzymu willi hrabiny dotarł pod wieczór.

Dookoła domu ogrodnicy przycinali nożycami wiecznie zielone zarośla na kształt ptaków, lwów i jeleni. Zachodzące słońce padało na zielone, nieskazitelne trawniki; w kwadratach przyciętej trawy, na ścieżkach i pod kolumnadami małych, idealnie okrągłych drzewek tryskały fontanny.

Tonio wszedł do świeżo wytapetowanego pokoju i dostrzegł pod śnieżnobiałym prześcieradłem kształt klawikordu.

Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w podłogę i już miał opuścić pokój równie gwałtownie i zdecydowanie, jak do niego wkroczył, gdy pojawił się, powłócząc nogami, stary lokaj z założonymi na plecy rękami.

- Hrabina nie przybyła jeszcze, signore - powiedział świszczącym głosem. - Ale już w każdej chwili należy się jej spodziewać.

Tonio chciał wymamrotać coś na temat Guida, gdy ujrzał na przeciwległej ścianie olbrzymie płótno. Jego barwy wydawały mu się równie znajome co maleńkie postacie, które przedstawiał - krąg nimf tańczących w przejrzystych, miękkich szatach.

Ruszył w jego kierunku, a za jego plecami rozległ się cichy szept starego sługi:

- Ach, tak, młoda signora już przyjechała. Tonio odwrócił się.

- Może w każdej chwili wrócić, signore. Pojechała po południu z maestrem Guidem na Plac Hiszpański.

- A konkretnie?

Na pomarszczonej twarzy starca pojawił się uśmiech. Kołysał się na palcach, wciąż trzymając ręce za plecami.

- Do pracowni młodej signory - powiedział. - Jest malarką, wspaniałą malarką. - W jego głosie zabrzmiał cień kpiny, ale był on tak nieznaczny, że mógł odnosić się do całego świata.

- Ma tam pracownię... - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Tonio ponownie spojrzał na krąg nimf na ścianie.

- Ale właśnie przyjechała z maestrem Guidem, signore - powiedział starszek i po raz pierwszy wykonał wskazujący ruch prawą ręką.

Szli ogrodową ścieżką.

Trzymała dłoń na ramieniu Guida. I niosła grubą, ciężką teczkę, nie tak jednak dużą jak ta, którą dźwigał dla niej Guido. Miała na sobie suknię z kwiecistego płótna, błyskającą

jaskrawymi kolorami spod lekkiej, wełnianej peleryny. Opuściła kapturek, by pozwolić wiatrkowi igrać ze swymi włosami. Rozmawiała z Guidem. Śmiała się, a on patrząc w dół na ścieżkę, którą ją prowadził, uśmiechał się i kiwał głową.

Tonio wyczuł, że są w zażyłych stosunkach. Nie byli sobie obcy. Rozmawiali z przejściem na jakiś temat, jakby znali się od lat.

Kiedy weszli do pokoju, wstrzymał oddech.

- Czy mnie wzrok nie myli? - wykrzyknął ironicznie Guido. - To młody Tonio Treschi, słynny i tajemniczy Tonio Treschi, który wkrótce zadziwi cały Rzym.

Tonio wpatrywał się w niego jak ogłupiały, bez słowa. Słodki śmiech dziewczyny wypełnił powietrze.

- Signore Treschi. - Szybko dygnęła i powiedziała ślicznym, śpiewnym tonem: - Jak wspaniale, że pan tu przybył.

Była bardzo ożywiona, mrużyła rozświetlone oczy, a kwiecista sukienka sprawiała, że chociaż dziewczyna stała bez ruchu, wydawała się lekka i ruchliwa.

- Muszę ci coś pokazać, Tonio - rzekł Guido. Wziął ciężką teczkę i położył ją na klawikordzie. - Christina skończyła to dziś po południu.

- Jeszcze nie jest dopracowane - sprzeciwiła się. Guido unosił duży szkic pastelem.

- Christina? - zdziwił się Tonio. Miał wrażenie, że jego głos brzmi szorstko i jest dziwnie zduszony. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Promieniała po spacerze. Miała zaczerwienione policzki i chociaż jej uśmiech na chwilę zgasł, natychmiast ponownie pojawił się na ustach.

- Wybacz - powiedział swobodnie Guido. - Myślałem, Christino, że poznałeś już Tonia.

- Ależ tak, prawda, signore Treschi? - odparła szybko. I wysunawszy się do przodu, podała mu dłoń.

Patrzył na jej rączkę, świadom, że obejmuje ją palcami i że jest niewypowiedzianie miękka. Wyglądała jak dłoń lalki: tak mała, iż wydawało się niemożliwe, by mogła robić cokolwiek poważnego. Drgnął, zorientowawszy się, że stoi nieruchomo jak posąg, a oni obydwój się wpatrują w niego. Od razu schylił się, by ucałować jej dłoń.

Nie miał zamiaru naprawdę dotykać jej ustami. Dziewczyna musiała to zauważyć, gdyż w odpowiednim momencie uniosła nieco rączkę i otrzymała pocałunek.

Spojrzał na nią. Nagle wydała mu się niewypowiedzianie delikatna. Wpatrywała się w niego, jakby znajdowali się w ogromnej odległości od siebie; jakby miała mnóstwo czasu.

- Spójrz tylko na to, Tonio - powiedział swobodnie Guido, który nie zauważył, że coś jest nie w porządku. Trzymał swój własny portret namalowany w pastelu.

Był doskonały. Guido wyglądał na nim jak żywy; obraz oddawał jego zamyślenie, nawet groźny błysk w oczach. Malarka nie oszczędziła spłaszczonego nosa ani pełnych ust; uchwyciła charakter Guida, który zmieniał jego powierzchowność.

- Powiedz mi, jak ci się to podoba, Tonio! - nagabywał go Guido.

- Może i pan zechciałby mi pozować, signore Treschi - powiedziała szybko dziewczyna. - Tak bardzo chciałabym pana namalować. Właściwie już pana namalowałam - dodała niemalże zawstydzona, czerwieniąc się nieco - ale tylko z pamięci, a tak pragnęłabym z uwagą namalować pana prawdziwy portret.

- Przyjmij tę propozycję - radził praktycznie Guido, opierając się łokciem o nakryty prześcieradłem klawesyn. - Za miesiąc Christina będzie najbardziej znaną portrecistką w Rzymie. Jeśli teraz się nie zgodzisz, będziesz musiał się umawiać i czekać na swoją kolej jak zwykli śmiertelnicy.

- Nie, nigdy nie będzie pan musiał czekać w kolejce. - Zaśmiała się prawie wesoło i nagle znów stała się ruchliwa, a jej jasne loki zdawały się lekkie i puszyste w poruszającym się niezauważalnie powietrzu. - Mógłby pan przyjść na przykład jutro - powiedziała żarliwie. - Tak bardzo chciałabym już zacząć! - Miała nieopisanie piękne, ciemnoniebieskie, niemalże fioletowe oczy. Nigdy w życiu nie widział jeszcze takich oczu.

- Może pan przyjść w samo południe - mówiła swoim sopranowym głosem. - Jestem Angielką. Nie śpię popołudniami, ale jeśli pan woli, możemy spotkać się później. Chciałabym pana namalować, nim stanie się pan tak niesamowicie sławny, że wszyscy będą pragnęli to zrobić. Czułabym się zaszczycona.

- Jakaż skromność. Och, te utalentowane dzieciaki - powiedział Guido. - Tonio, signora mówi do ciebie...

- Ma pani zamiar mieszkać w Rzymie? - spytał szeptem Tonio. Słowa zabrzmiały tak cicho, że był przekonany, iż dziewczyna zapyta, czy nie jest chory.

- Tak - odparła. - Tyle jest tutaj do zobaczenia, do malowania. - Jej twarz gwałtownie się zmieniła i malarka dodała z dziwną prostotą. - Ale może kiedy skończy się sezon operowy, pojedę za panem, signore Treschi, stanę się jedną z tych szalonych kobiet podążających za

śpiewakami po całej Europie. - Jej oczy rozszerzyły się, ale dziewczyna wciąż była poważna. - Może nie potrafię malować, gdy nie słyszę dźwięku pana głosu.

Tonio gwałtownie się zaczerwienił. I z zaskoczeniem usłyszał śmiech Guida.

Była taka młoda! Nie rozumiała znaczenia swych własnych słów! Nie może zostać tu sama, bez hrabiny! I ten jej wygląd, te wspaniałe piersi splecione niemal brutalnie pod sztywną koronką dekoltu...

Krew uderzyła mu do twarzy.

- Byłoby wspaniale - rzekł Guido. - Wszędzie, gdzie jeździłabyś z nami, pojawiałyby się portrety wielkiej Christiny Grimaldi, zainteresowałyby się więc nami świat. Wkrótce całkowicie pozbawieni słuchu ludzie wzywiliby nas, byśmy dla nich śpiewali, pragnąc tylko, abyś unieśmiertelniła ich w oleju lub pastelu.

Zaśmiała się i lekko zaczerwieniła. Nieznacznym ruchem głowy odrzuciła w tył włosy, które zwilgotniały na jej białej szyi. Do policzków przylgnęły drobne loczki. W śmiechu dziewczyny zabrzmiał jednak cień napięcia.

- Oczywiście pojechałaby też z nami hrabina - ciągnął Guido, udając znudzenie. - Podróżowałibyśmy wszyscy razem, prawdziwą kawalkadą.

- Czyż nie byłoby wspaniale? - szepnęła, ale była nieco przygnębiona.

A Tonio zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią, jakby stracił zmysły. Odwrócił wzrok; usiłował myśleć. Żeby móc powiedzieć chociaż jedno zdanie, ale co? Słowa, które znał, nie pasowały do niej; nie rozumiała ich. Były zmyślne, odpowiednie dla *cavalieri serventi* i rozwiązłych kobiet, a ona wydawała się czysta i poważna. Niedawno owdowiała, była jak motyl wydostający się z kokona.

Dzięki swej kruchości wydawała się taka inna, całkowicie egzotyczna. Nie mógł się powstrzymać od ponownego spojrzenia na nią i chociaż nie patrzył na Guida, wyczuł w nim drobną zmianę.

- Mówiąc poważnie, signore Treschi - rzekła z tą samą prostotą - wynajęłam pracownię na Placu Hiszpańskim. Będę tam mieszkać. Guido był uprzejmy mi pozować, abym mogła zdecydować, gdzie jest najlepsze oświetlenie.

- Tak, co jakies pięć minut musieliśmy się przenosić w inne miejsce - wtrącił Guido, udając rozżalenie - wieszac na ścianach mnóstwo obrazów. Ale to dobra pracownia. Poza tym, kiedy jestem zmęczony i zły, mogę iść tam piechotą z pałacu, by patrzeć, jak Christina maluje.

- Zapraszam - powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. - Odwiedzaj mnie jak najczęściej. Pana również zapraszam, signore Treschi.

- Nie chciałbym cię poganiać, moja droga - odezwał się Guido - ale jeśli mamy jeszcze pomóc wprowadzić się twoim pokojówkom i wnieść kufry, to musimy ruszać, bo inaczej będziemy się potykać w ciemności.

- Racja - odparła. - Więc przyjdzie pan jutro, signore Treschi?

Tonio milczał przez chwilę. Potem usłyszał, jak z jego ust wydobywa się cichy dźwięk niezwykle przypominający słowo "tak". Jednak pospiesznie wyjąkał: - Nie mogę, nie mogę, signora. Bardzo dziękuję, ale muszę ćwiczyć, do dnia premiery został zaledwie niecały miesiąc.

- Rozumiem - odparła cicho. I raz jeszcze obdarzając go przez ramię promiennym uśmiechem, przeprosiła i wyszła z pokoju.

Tonio ruszył od razu w stronę wyjścia i dotarł już do ogrodowej ścieżki, gdy Guido schwycił go za rękę.

- Powiedziałbym, że zachowałeś się po grubiańsku, gdyby nie to, że dostrzegłem przyczynę tego wszystkiego - powiedział poważnie.

- A cóż to za przyczyna? - wydusił Tonio przez zaciśnięte zęby.

Wydawało się, że Guido wybuchnie za chwilę gniewem. Zacisnął jednak usta i zmarszczył brwi, jakby miał się roześmiać.

- Chcesz powiedzieć, że sam jeszcze jej nie znasz?

Przez następne trzy dni Tonio ćwiczył od wczesnego ranka do późnej nocy. Dwa razy zrywał się, by wyjść z pałacu, po czym zmieniał zdanie. Guido skończył wszystkie arie. Tonio musiał teraz doprowadzić do perfekcji ozdobniki i przygotować się do wykonywania arii w niezliczonych wariacjach. Żaden bis nie może zabrzmieć dokładnie tak jak poprzednie wykonanie. Musi być przygotowany na każdy popis, na zmianę nastroju, tak swojego, jak i publiczności. Nie wychodził więc z domu, nawet posiłki zjadał przy klawikordzie i pracował tak długo, póki nie padał z nóg.

Tymczasem pod drzwiami komnaty zbierali się słudzy, pragnący posłuchać jego głosu. Często aż do łez wzruszał Paola. Nawet Guido, który zazwyczaj wychodził po południu, by odwiedzić Christinę Grimaldi w jej nowej pracowni, zostawał, by wysłuchać jeszcze chociaż kilku taktów.

- Kiedy słyszę twój śpiew - wzdychał - nie boję się nawet samego diabła.

Tonio przyjął tę uwagę z wdzięcznością. Przypomniała mu ona, że Guido jest naprawdę przestraszony.

Raz Tonio przerwał w samym środku arii i wybuchnął śmiechem.

- Co się stało? - spytał Paolo.

Tonio mógł w odpowiedzi tylko potrząsnąć głową. - Wszyscy tam będą - szepnął. Zamknął oczy, po czym zaśmiał się raz jeszcze, niemalże wstrząsany dreszczami.

- Nie rozmawiajmy o tym, Tonio - powiedział z rozpaczą Paolo, zagryzając wargę. Chciał, by Tonio go pocieszył, a wreszcie do oczu napłynęły mu łzy.

- Zupełnie jak publiczna egzekucja - powiedział Tonio, wciągając oddech. - Oczywiście jeśli coś pójdzie nie tak. - Wybuchnął cichym śmiechem. - Przepraszam, Paolo, nie mogę się powstrzymać. - Próbował zachować powagę, ale nie udało mu się to. - Będą tam wszyscy, absolutnie wszyscy.

Położył ręce na klawiaturze i trząsł się od bezgłośnego śmiechu. Teraz pojął znaczenie debiutu: było to wspaniałe zaproszenie do zaryzykowania najstraszniejszej w życiu publicznej porażki.

Przestał się śmiać, dopiero kiedy spojrział na zrozpaczoną twarz Paola. - No już już - powiedział delikatnie, otwierając partyturę duetu. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

Nim skończył się dzień czwarty, wszystko wydawało się szumem. Tonio nie mógł więcej pracować. Pojął, w czym tkwiła zaleta tych ćwiczeń: nie musiał myśleć ani niczego pamiętać; nie był zmuszony zastanawiać się, planować ani martwić.

Kiedy wezwał go kardynał, którego nie odwiedzał od ponad dwóch tygodni, westchnął z irytacją, wstając od klawikordu. Nikt go nie słyszał. Nino wyjmował już rzeczy Tonia. Czerwony aksamit i przetykaną złotem kamizelkę - miał to włożyć specjalnie dla kardynała. Jeszcze kremowe spodnie i wygięte, białe pantofle zostawiające na podbiciu Tonia okrutny znak, którego być może dotknie później z miłością kardynał.

Nie wydawało mu się, żeby był teraz w stanie zadowolić Jego Eminencję. Ruszył jednak, by wykonać to zadanie, chociaż czuł się o wiele bardziej znużony i rozproszony, niż kiedykolwiek.

Dopiero kiedy znalazł się przy drzwiach komnaty kardynała, zorientował się, że jest o wiele za wcześnie, by mogli dyskretnie cieszyć się swym towarzystwem. Pałac był pełen pracowitych duchownych i próżnujących gentlemanów. A przecież wezwano go do sypialni.

Kiedy wszedł do środka, zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

Kardynał był ubrany jak na uroczystość, odpowiednio do wykonywania obowiązków, na jego piersi lśnił srebrny krzyż. Siedział na krześle z rękami złożonymi na otwartej księdze, przed nim płonęły dwie duże świece.

Miał dziwnie rozświetloną twarz, na której malowała się niewinna radość, jakiej Tonio nie zauważył u niego od miesięcy.

- Usiądź, mój piękny - powiedział. Rozkazał służącym opuścić pokój.

Drzwi zamknęły się; zdawało się, że zalegająca dookoła cisza otacza ich jak powracająca od brzegu fala.

Tonio z niejakim wahaniem podniósł wzrok. Kiedy dostrzegł w oczach kardynała nieskończoną cierpliwość i zdziwienie, poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Powoli, nim jeszcze duchowny się odezwał, opanowało go nikłe przecucie końca.

- Podejdz tutaj - szepnął kardynał, jakby wzywał dziecko. Tonio znalazł się w królestwie, w którym nie panowała nawet myśl; wstał powoli i zbliżył się do kardynała, który podniósł się z krzesła. Stali patrząc sobie w oczy, aż wreszcie kardynał ucałował go w oba policzki.

- Tonio - odezwał się wolno poufnym tonem. - W tym życiu mam tylko jedną prawdziwą namiętność; jest nią miłość do Chrystusa.

Tonio uśmiechnął się. - Cieszę się, panie, że nie jesteś już rozdarty wewnątrz - odparł.

W blasku świecy oczy kardynała wydawały się piwne; zmrużył je i nim odpowiedział, przyglądał się Toniowi.

- Mówisz to szczerze, prawda?

- Kocham cię, panie - rzekł Tonio. - Jakże mógłbym nie pragnąć twego dobra?

Kardynał rozważał te słowa z o wiele większą uwagą, niż Tonio się tego spodziewał. Odwrócił się na chwilę i ponownie gestem poprosił Tonia, by usiadł. Chłopiec jednak stał nadal z założonymi za plecy rękami, obserwując jak kardynał siada przy biurku.

Pokój przesycony był szarym światłem, które miało niemalże kolor popiołu. Wszystkie sprzęty wydawały się Toniowi obce i nieważne; pragnął jedynie, by świece dawały lepsze oświetlenie, a nie tylko ponury kształt mrokowi. Przesunął wzrok na wysokie, dzielone kamiennymi słupkami okna i widoczne za nim pierwsze wieczorne gwiazdy.

Kardynał westchnął. Przez chwilę milczał zagubiony we własnych myślach, po czym rzekł: - Dziś rano po raz pierwszy od miesiąca odprawiałem mszę w stanie łaski. - Kiedy jednak spojrział na Tonia, miał zmartwioną twarz. Delikatnie, jakby z szacunkiem, spytał: - A ty, Marcu Antonio? W jakim stanie jest twoja dusza?

Był to zaledwie szept i zabrzmiało w nim potępienie.

Tonio wolałby jednak teraz cokolwiek innego od tej rozmowy. Rozumiał tylko, że ten rozdział jego życia został zamknięty. Nie wiedział, czy wybuchnie płaczem, kiedy opuści te komnaty, a być może chciał się dowiedzieć. Obawiał się, że pozostając tutaj stanie się zbyt bezbronny.

- Uczucie, które do ciebie żywiłem, było grzeszne, Marcu Antonio - powiedział z wysiłkiem kardynał. - Było nieprawością, która zniszczyła już mężczyzn nieskończenie silniejszych ode mnie. Jednak mimo wszystko... - Zawahał się. - Mimo wszystko nie potrafię znaleźć w tobie oznak zła ni złej woli czy rozkładu, które muszą wynikać z dobrowolnego popełnienia takiego grzechu. Pomóż mi zgłębić tę tajemnicę - błagał Tonia. - Czy nie masz żadnego poczucia winy, Marcu Antonio, czy nie żałujesz? Pomóż mi to pojąć!

- Ale po cóż, panie! - odpowiedział nagle bez zastanowienia Tonio. Czuł nie tyle gniew, co zdziwienie. - Każdy, kto choć na chwilę się z tobą zetknął, wie, że należysz do Chrystusa. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, powiedziałem sobie: "Oto człowiek, który ma po co żyć."

Ale ja nie mam twej wiary, panie, nie cierpię też z powodu jej braku, stąd nie dokucza mi poczucie winy, które gnębi ciebie.

Słowa te niezwykle wzburzyły kardynała, który wstał i ujął twarz Tonia w obie dłonie. Ten gest zaniepokoił chłopaka, który jednak nie odsunął się. Czuł, że kardynał przyciska delikatnie kciuki do skóry tuż pod jego oczami.

- Są ludzie, którzy nie wierzą w żadnego Boga, Marcu Antonio - oświadczył kardynał - a jednak potępiłoby to, co zaszło między nami jako sprzeczne z naturą i prowadzące nas obu do zagłady.

- Czemuż miałoby to nieść zagładę, panie! - spytał Tonio. Strasznie go to wszystko oburzało. Pragnął, żeby kardynał po prostu go odesłał. - Mówisz niezrozumiałym dla mnie językiem - ciągnął. - Nasz związek przyniósł ci ból, gdyż ślubowałaś Chrystusowi. Ale jeśli nie składałbyś żadnej przysięgi, jakież to wszystko miałoby znaczenie? Nasz związek był jałowy, panie. Jestem niezdolny do prokreacji. Ty nie możesz prokreować ze mną. Cóż więc komu szkodzi to, co robimy ze sobą; to uczucie i ciepło, którym się obdarzamy? Nie zniszczyło ono przecież twego życia codziennego. A już z pewnością nie naruszyło mojego. W końcu była to miłość, a jakąż zagładę może przynieść miłość?

Tonio, sam nie wiedząc czemu, był teraz gniewny.

Przypomniało mu się niewyraźnie, że wiele lat temu Guido skierował do niego słowa wyrażające w o wiele prostszy sposób te same myśli.

Problem był tak doniosły, że Tonio nie potrafił go nawet objąć myślą i nie czuł się z tego powodu zadowolony. Przypominało mu to boleśnie o nietrwałości wszelkich sądów.

Wciąż tkwiło w nim obezwładniające wspomnienie samotności jego matki, tej pustej sypialni, w której spędziła młodość, płacąc za szaloną namiętność, jaka przyniosła go na świat. Wrzał w nim też niszczycielski gniew na starego człowieka, który zamknął ją tam w imię honoru i prawa.

- A ja zapłaciłem za to najdroższą cenę - myślał. Jednak nawet w najcięższych chwilach nie był w stanie potępić jej za to, że leżała w ramionach Carla. A czasem, nawet gdy miotła nim najsrozsza wściekłość, jak szpony sępa targała go myśl o tym, że on, Tonio, może pewnego dnia znów wepchnąć ją do tego pustego pokoju. Wdowia czerń. Poczuł, że jego ciałem wstrząsa dreszcz i usiłował to ukryć, odwracając wzrok.

Do dzisiaj wypędzał go z pokoju widok ćmy objijającej się o szybę. Przez gnębiące go myśli o matce samotnej w tej sypialni, nie mógł nawet zmusić się do tego, by ująć ćmę w dłonie i uwolnić ją.

Jednak w ramionach innych zaznawał uśmierzającej ból przyjemności tak potężnej, że odczuwał ją jak oczyszczającą łaskę.

Grzechem była zła wola. Okrucieństwo. Ci ludzie unicestwiający we Flovigo jego nienarodzonych synów.

Ale nikt go nigdy nie przekona, że grzechem jest jego miłość do Guida czy do kardynała. Nawet wtedy, w zamkniętym powozie, z tym twardym, smagłym młodzieńcem, nie popełnił grzechu. Ani w Wenecji, w gondoli, w której Bettina składała mu głowę na piersi.

Wiedział jednak, że nie będzie w stanie przekazać tego człowiekowi, który jest księciem kościoła. Nie może połączyć dwóch światów: nieskończenie potężnego, związanego z objawieniem i tradycją, oraz tego nieuniknionego, niezwyciężonego królestwa panującego nad każdym ciemnym zakątkiem ziemi.

Gniewało go, że kardynał chce, by to zrobił. A kiedy ujrzał w jego oczach cień porażki i smutku, poczuł się tak, jakby ich intymna znajomość miała miejsce wiele, wiele lat temu.

- Nie rozumiem cię - szepnął kardynał. - Powiedziałeś mi kiedyś, że muzyka jest dla ciebie czymś naturalnym, stworzonym przez Boga. Także i ty, mimo swej niezwyklej urody, wydajesz się naturalny, jak kwiaty winorośli. A jednak jesteś dla mnie złem, dla ciebie byłem gotów skazać swą duszę na wieczne potępienie. Nie rozumiem tego.

- A więc to nie ode mnie oczekujesz odpowiedzi - rzekł Tonio.

Coś rozbłysło w oczach kardynała. Patrzył na spokojną twarz Tonia.

- Czy nie rozumiesz, że możesz doprowadzić człowieka do szaleństwa! - wydusił przez zęby.

Chwycił Tonia za ramię i z niezwyklej siłą zacisnął na nim palce.

Tonio wziął głęboki oddech, usiłując odegnać gniew i powtarzając sobie: - Ten lekki ból to nie dość.

- Pozwól mi teraz odejść, panie - błagał cicho. - Czuję do ciebie tylko miłość i pragnę, byś zaznał spokoju.

Kardynał potrząsnął głową. Patrzył ze złością na Tonia, a z jego gardła wydobywał się niski pomruk. Oddychał chrapliwie, miał nieco zaczerwienioną twarz. Jeszcze mocniej zacisnął palce. Gniew Tonia potęgował się.

Rozwścieczył go ten uścisk, napiętność i siła emanująca z rąk mężczyzny.

Wiedział, że jest bezbronny. Zbyt dobrze pamiętał moc tych ramion obracających go w łóżku z taką łatwością, jakby był kobietą czy małym dzieckiem. Myślał o ramionach zmagających się z nim w sali fechtunku, w mrocznych sypialniach, wgniatających go w skórzane siedzenie powozu, o ramionach jak gałęzie drzew i o tłącej się energii, która zdawała się emanować z każdego pora męskiej skóry, kiedy Tonio w szale napiętności wciąż na nowo szukał dowodu uległości.

Wizja znikła. Tonio miał wrażenie, że wydaje jakiś rozpaczliwy dźwięk. Nagle poruszył się, jakby chciał uciec od kardynała czy nawet go uderzyć i poczuł ten uścisk pełen nieobliczalnej siły. Był równie bezbronny jak to sobie wyobrażał. Duchowny trzymał go z taką łatwością, że mógłby połamać mu rękę.

Kardynał był jednak zaskoczony. Zupełnie jakby konwulsyjny ruch Tonia obudził go; wpatrywał się w niego teraz jak w przerażające dziecko.

- Czy chciałeś podnieść na mnie rękę, Marcu Antonio? - spytał, jakby obawiał się odpowiedzi.

- Ależ nie, nie, panie - odparł cicho Tonio. - Chciałem, żebyś ty podniósł na mnie rękę. Uderz mnie, panie! - Wykrzywił twarz, drżąc. - Chciałbym poczuć tę niezrozumiałą dla mnie siłę. - Wyciągnął dłoń i chwycił kardynała za ramię. Trzymał go mocno, jakby chciał odebrać siłę jego muskularnej, szczupłej ręki.

Kardynał puścił go i odsunął się do tyłu.

- A więc jestem czymś naturalnym, jak kwiaty winorośli, tak? - szepnął Tonio. - Gdybym tylko potrafił zrozumieć którekolwiek z was, wasze uczucia. Ciebie z kończynami, które są jak oręż użyty przeciwko mnie, nieuzbrojonemu. I ją, tak miękką, o głosiku jak nieprzerwany dźwięk małych dzwoneczków i kryjącą pod spódnicami tę sekretną, ustępliwą ranę. Och, gdybyście nie byli dla mnie obydwójcie tajemnicą, gdybym mógł być częścią jednej z płci albo nawet obojga!

- To co mówisz, to szaleństwo - szepnął kardynał. Wyciągnął dłoń i dotknął policzka Tonia.

- Szaleństwo? - szepnął Tonio. - Szaleństwo! Wyparłeś się mnie, nazywając mnie jednym tchem istotą naturalną i złem, czymś co doprowadza mężczyzn do szału. Cóż mogą dla mnie znaczyć te słowa? Jakże mam je zaakceptować? A jednak twierdzisz, że to, co mówię, to szaleństwo. A czymże była szalona wyrocznia delficka, jeśli nie nieszczęsną istotą o kończynach, które miały niefortunny kształt obiektu pożądania!

Wytarł usta grzbietem dłoni i przycisnął ją do nich, jakby chciał siłą zatrzymać strumień słów.

Zdawał sobie sprawę, że kardynał zamilkł i patrzy na niego. Trwali w ciszy, nieruchomo.

- Przebacz mi, Marcu Antonio - rzekł powoli, cicho kardynał.

- Co mam ci przebaczyć, panie? - spytał Tonio. - Wspaniałomyślność i cierpliwość, które wykazałeś nawet w tym względzie?

Kardynał potrząsnął głową, jakby obcował z własnymi myślami.

Z ociąganiem oderwał wzrok od Tonia i zrobił parę kroków w kierunku biurka, po czym odwrócił się. W jednej dłoni trzymał srebrny krzyż, a blask świecy rozświetlał jego szatę z czerwonej morowanej tafty. Zwężone oczy błyszczały pod jego gładkimi powiekami; miał niewypowiedzianie smutną twarz.

- Jakie to przerażające - szepnął - że łatwiej będzie mi żyć z tym wyrzeczeniem teraz, gdy wiem, jak cierpisz.

Kiedy Guido wrócił tej nocy z willi hrabiny, został wezwany przez kardynała, który chciał się dowiedzieć, czy - skoro miał się właśnie zacząć sezon operowy - maestro nie potrzebuje pomocy.

Zapewnił Guida, że w tym roku będzie na przedstawieniu, chociaż nigdy przedtem nie wynajmował łoży. A przed premierą może wydać w swym pałacu bal, jeśli tylko Guido sobie tego życzy.

Guido był głęboko wzruszony jego uprzejmością. Później spytał jednak zwięźle i bezpośrednio, czy kardynał byłby w stanie dać Toniowi do ochrony dwóch uzbrojonych strażników.

W ten sam sposób wyjaśnił, że Tonio został wygnany z Wenecji Eugenejskiej trzy lata temu, gdy został kastratem. Należy do starego rodu, a całą tę sprawę otacza tajemnica, o której Guido nic nie wie. A do Rzymu przybywa teraz wielu młodych Wenecjan.

Kardynał zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym skinął głową.

- Słyszałem o tym. - Westchnął. Dostarczenie Toniowi pary siepaczy, podążających wszędzie w ślad za nim, nie stanowiło żadnego problemu. Kardynał nie bardzo się znał na takich sprawach, ale otaczało go wielu gentlemanów, którzy doskonale się w nich orientowali. - Zorganizujemy to bez wiedzy Marca Antonia - zaproponował. - Dzięki temu nie będzie się czuł zaniepokojony.

Guido nie mógł ukryć ulgi, z jaką zareagował na te słowa, podejrzewał bowiem, że Tonio odmówiłby takiej ochrony, gdyby pytano go o zgodę.

Ucałował pierścień kardynała i usiłował wyrazić swe podziękowania.

Kardynał był jak zawsze delikatny i uprzejmy. Jednak nim pozwolił maestrowi odejść, spytał:

- Czy Marc Antonio ma szansę na sukces sceniczny?

Na widok konsternacji Guida wyjaśnił pospiesznie, że nie zna się na muzyce. Nie jest w stanie ocenić głosu Tonia.

Guido odparł z przekonaniem, niemal szorstko, że Tonio jest w tej chwili największym śpiewakiem w Rzymie.

Kiedy jednak powrócił na swe pokoje, był więcej niż rozczarowany zauważywszy, że Tonia nie ma w domu.

Potrzebował go. Potrzebował pociechy, którą znajdował w jego ramionach.

Paolo smacznie spał. Pokoje zalane były księżycową poświatą i Guido, zbyt znużony i niespokojny, by pracować, po prostu siedział długo w samotności.

Wprost od kardynała Tonio udał się na salę fechtunku i zadawszy kilka pytań, dowiedział się o adres florentczyka, hrabiego Raffaele di Stefano, który w przeszłości tak często był jego partnerem w walkach.

Kiedy dotarł do jego domu, było już ciemno, a hrabia miał gości. Jadł obiad w towarzystwie kilku przyjaciół, najwyraźniej bogatych, gnuśnych i nierozważnych, podczas gdy młody, przebrany za kobietę kastrat śpiewał i grał na lutni.

Miał on prawdziwie kobiece piersi, które doskonale eksponował dekolt jaskrawej, pomarańczowej sukni.

Stół był zastawiony pieczonym drobiem i baraniną, a młodzieńcy zachowywali się tak wojowniczo, jakby pili od wielu dni.

Kastrat, który miał włosy równie długie i obfite jak kobieta, wyzwał Tonia, by zaśpiewał, gdyż ma już dosyć słuchania opowieści o Jego głosie.

Tonio przyjrzał mu się. Przyjrzał się młodzieńcom. Spojrzał na hrabiego di Stefana, który przestał jeść i obserwował go z napięciem. Wstał.

Jednak natychmiast podążył za nim hrabia di Stefano. Powiedział przyjaciołom, że jeśli chcą, mogą spędzić noc w sali bankietowej, po czym zaprosił Tonia na górę.

Kiedy drzwi sypialni zostały zamknięte, Tonio stał nieruchomo, patrząc na zasuwę. Hrabia podszedł zapalić świecę i pokój równomiernie wypełnił się światłem. Ukazało się masywne łóżko z obficie rzeźbionymi słupkami baldachimu. Za otwartymi oknami wisiał ogromny księżyc.

Na twarzy hrabiego malowała się powaga. Błyszczące, czarne loki nadawały mu prawie semicki wygląd, a zgolona broda tworzyła niemalże skorupę na jego twarzy.

- Przykro mi, że moi przyjaciele cię obrazili - powiedział szybko.

- Nie obrazili mnie - odparł spokojnie Tonio. - Ale przypuszczam, że ten eunuch na dole wywołał pewne oczekiwania, których nie mogę spełnić. Chciałbym wyjść.

- Nie! - szepnął hrabia prawie z rozpaczą. Miał szkliste, dziwne oczy; zbliżał się do Tonia, jakby coś go do niego pchało, aż wreszcie podszedł tak blisko, że dotknięcie stało się nieuniknione, po czym rozłożywszy grube palce, uniósł dłoń, która zawisła w powietrzu.

Wyglądał jakby był szalony. Równie szalony jak kardynał czy najstarszy, najwdzięczniejszy z kochanków Tonia. Nie było w nim żadnej dumy. Nie miał nawet wyniosłości wyrobnika, którego Tonio poderwał na ulicy.

Tonio wyciągnął rękę do drzwi, ale już rosnąca namiętność czyniła go nierozważnym i równie szalonym jak ten mężczyzna.

Odwrócił się i oddychał z sykiem, gdy hrabia przyparł go do drzwi.

Jak rzadko, bardzo rzadko kiedy Tonio nie był panem samego siebie.

A tak długo wydawało mu się, że może panować nad własnymi namiętnościami! Było tak i z Guidem, i z wszystkimi innymi kochankami, których wybierał jak kielichy wina, a teraz zatracił się w swej żądzy, wiedząc doskonale, że znajduje się pod dachem hrabiego, w jego mocy, co nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się w przypadku któregokolwiek młodego, nieposkromionego kochanka.

Hrabia zdarł z siebie koszulę i rozpiął spodnie. Całując szyję Tonia, boleśnie drażnił go swą odrastającą, ciemną brodą, po czym, nieomal jak dziecko, pociągnął za żakiet Tonia i odpiął mu szpadę.

Broń brzęknęła, spadając na podłogę.

Kiedy jednak hrabia przylgnął nagim ciałem do Tonia i wyczuł sztylet ukryty w jego koszuli, nie wyjął go. Z jękiem przyciągnął śpiewaka do siebie. Jego gruby, rozszczepiony na końcu członek wznosił się.

- Daj mi go, pozwól - szepnął Tonio; padł na kolana i wziął go do ust.

Tonio zebrał się do wyjścia o północy, kiedy dom pogrążył się w ciszy. Leżący na białych prześcieradłach nagi hrabia miał na sobie tylko pierścionki, na czwartym i piątym palcu lewej ręki.

Tonio, spojrzawszy na niego, dotknął jedwabistej skóry na nosie i policzkach, po czym cicho wyszedł.

Wziął powóz i kazał wieźć się na Plac Hiszpański.

Kiedy dotarł do stóp wysokich Schodów Hiszpańskich, długo patrzył przez okno na mijających go w mroku ludzi. Nad nim, na tle rozświetlonego księżycem nieba, jarzyło się wiele okien, ale Tonio nie znał tu żadnych domów czy ludzi.

Przez chwilę zaświeciła mu prosto w twarz latarenka, aż wreszcie niosący ją człowiek uprzejmie ją odsunął.

Być może na chwilę zasnął. Nie wiedział. Przebudził się gwałtownie, czując jej obecność, usiłując przywołać sen, w którym pogrążeni byli w szybkiej rozmowie; on na próżno usiłował jej coś wytłumaczyć, ona siedziała smutna, jakby chciała się oddalić.

Zdał sobie sprawę, że jest na Placu Hiszpańskim. Musiał wracać do domu. Przez krótką chwilę nie był pewien, gdzie się znajduje.

Uśmiechnął się. Wydał polecenie woźnicy i zastanawiając się w półśnie, czemu jeszcze nie przybył Bettichino, wzdrygnął się na myśl, że od premiery dzielą go niecałe dwa tygodnie.

W pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia dowiedzieli się, że przyjechał Bettichino.

Pierwsze dotknięcie mrozu oczyściło powietrze, w którym rozbrzmiewały wszystkie kościelne dzwony Rzymu. Z chórów niosły się hymny, a dzieci, jak to było w zwyczaju, wygłaszały z ambon kazania. Dzieciątko Jezus lśniło blaskiem pośród oślepiających szeregów świec w tysiącach wspaniałych szopek.

Guido, odkrywszy, że skrzypkowie z Teatro Argentina są doskonałymi muzykami, przerobił wszystkie partie dla instrumentów smyczkowych. I uśmiechnął się tylko na wieść o tym, że Bettichino, powołując się na drobne niedomaganie, prosi o zwolnienie go z obowiązku kurtuazyjnej wizyty. Czy Guido nie mógłby mu po prostu przysłać partytury?

Guido był przygotowany na wszelkie trudności. Znał zasady gry i dał wielkiemu śpiewakowi trzy arie o wiele lepsze od arii Tonia, w których Bettichino doskonale mógł pochwalić się wszystkimi swoimi sztuczkami. Nie był zdziwiony, gdy w ciągu dwudziestu czterech godzin odesłano mu partytury z zaznaczonymi starannie ozdobnikami śpiewaka. Będzie mógł teraz odpowiednio dostosować do nich akompaniament. I chociaż nie załączono pochwał dotyczących kompozycji, nie było też żadnych zażaleń.

Wiedział, że kawiarniane plotki sięgnęły szczytu. Wszyscy odwiedzali też nową pracownię Christiny Grimaldi, która nie mówiła o nikim prócz Tonia. Teatr będzie pełny.

Najważniejszym zadaniem Guida było teraz ochronić Tonia przed jego własnym strachem.

Na dwa dni przed premierą odbyła się pierwsza i jedyna próba dla śpiewaków.

Guido i Tonio przybyli wczesnym popołudniem, by spotkać się z przeciwnikiem, którego wielbiciele mogą próbować przepędzić Tonia ze sceny.

Natychmiast jednak pojawił się impresario Bettichina i oświadczył, że śpiewak wciąż jest niedysponowany, więc przeciwiczy tylko poruszanie się na scenie. Tenorzy od razu zażądali tego samego przywileju, a Guido rozkazał Toniowi, by i on zachował całkowite milczenie.

Tylko stary Rubino, starszy kastrat, który miał grać rolę drugiego amanta, oświadczył radośnie, że będzie śpiewał. Muzycy odłożyli instrumenty, by nagrodzić go oklaskami i eunuch z zapalem zaczął pierwszą z przydzielonych mu przez Guida arii. Od dawna nie potrafił już wykonywać wysokich dźwięków. Aria została napisana dla kontraltu i wykonana tak gładko i

czysto, że wszyscy prawie łkali, gdy dobiegła końca. Nawet sam Guido wzruszył się tym, że słyszy swoje dzieło zaśpiewane przez nowy głos.

Tuż po tym niewielkim występie pojawił się Bettichino. Tonio poczuł muśnięcie przechodzącej obok postaci i odwrócił się z drgnieniem. Ujrzał mijającego go ogromnego mężczyznę, którego szyja owinięta była grubym, wełnianym szalem. Nad nim błyszczały włosy tak jasne, że zdawały się niemalże srebrzyste. Bettichino miał wąskie, niezwykle proste plecy.

Dopiero kiedy dotarł do drugiego końca sceny, minąwszy w ten sam obojętny sposób starego Rubino, odwrócił się na pięcie i rzucił Toniowi pierwsze zdecydowane spojrzenie.

Miał najzimniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział Tonio. Zdawały się przepełnione jakimś światłem północy. Zatrzymał je na Toniu z nagłym wahaniem, jakby miał zamiar odwrócić spojrzenie, ale widok chłopca natychmiast przykuł jego wzrok.

Tonio nie ruszał się, ani nie odzywał, ale czuł przenikające całe ciało drzenie, jakby ten człowiek wywołał w nim jakiś obrzydliwy wstrząs, jak znaleziony na piaszczystej plaży żywy węgorz.

Spojrzał powoli, niemalże z szacunkiem w dół, po czym podniósł wzrok na tę mierzącą co najmniej sześć stóp i trzy cale postać, która tak wspaniale zaćmi delikatne złudzenie, które on sam będzie kreował na scenie.

Bettichino niedbałym gestem pociągnął prawą ręką za koniec szala, który z cichym sykiem spłynął z jego szyi, ukazując całą dużą, kwadratową twarz.

Tak jak mówiono, był przystojny, nawet majestatyczny, przepełniony tą zniewalającą siłą, którą przed laty Guido opisał jako magię dostępną tylko niektórym śpiewakom. Kiedy zrobił krok w przód, zdawało się to mieć ogromne znaczenie dla losów całego świata.

Wciąż patrzył na Tonia; wyraz jego twarzy był tak zimny i nieustępliwy, że otaczający go ludzie wydali się nagle zakłopotani. Zachowywali się, jakby stawiali czoła jakiemuś przerażającemu wyzwaniu, muzycy kasłali w zwinęte dłonie, a impresario nerwowo zacierał ręce.

Tonio stał nieruchomo. Bettichino skierował w jego kierunku wolne, wymierzone kroki. Po czym, stanąwszy tuż przed nim, wyciągnął do niego czystą, bladą dłoń.

Tonio od razu ją uściskał; powitał go cicho, z szacunkiem. A wielki śpiewak, odwróciwszy się, nim skierował na nich spojrzenie, dał muzykom znak, że mogą zaczynać.

Tego popołudnia Paolo przywłókł się z kawiarni, by oznajmić, iż *abbati* grożą, że wygwizdzą Tonia.

- Nic dziwnego - szepnął Tonio. Grał dla przyjemności krótką sonatę, zadowolony, że może słuchać melodii wydobywającej się z klawikordu, zamiast tworzyć ją samemu.

Kiedy wszedł Guido, Tonio spytał go praktycznym tonem, czy Christina Grimaldi będzie zajmowała łożę hrabiny.

- Tak. Dojrzysz ją bez kłopotu. Będzie siedziała przodem do sceny. Chce wszystko słyszeć.

- Dobrze jej idzie? - spytał Tonio.

- Słucham?

- Czy dobrze jej idzie? - powtórzył ze złością, głośno Tonio.

Guido uśmiechnął się chłodno. - Czemu nie pójdziesz, by sam się o tym przekonać?

Na godzinę przed podniesieniem kurtyny na Rzym spadł potok deszczu. Jednak nic, ani trzaskające błyskawice, ani wiatr bijący w okna teatru, nie mogło powstrzymać tłumu widzów przepychających się do głównej bramy.

Ulicę zablokowały złożone powozy, których cielska kołysząc się, stawały jeden po drugim, by wyrzucić - jak rozbryzgi światła - wystrojonych w klejnoty, białowłosych mężczyzn i kobiety. Na najwyższych galeriach widać już było w mroku blade twarze, a w ciemnym teatrze rozbrzmiewały gwizdy, krzyki i lubieżne wierszyki.

Małe, zamglone płomyki oświetlały drogę rzemieślników, wiodących swe żony do wyższych łóż i szybko zajmujących miejsca, by obserwować zapierającą dech w piersiach paradę pięknie odzianych postaci, które wkrótce zapelniały niższe galerie i wszystko, co działo się na samej scenie.

A Tonio, który właśnie wkroczył za kulisy, chociaż ociekał wodą, od razu podszedł do dziurki w kurtynie.

Signora Bianchi prawie dostawała hysterii i od razu zaczęła wycierać Toniowi włosy.

- Cccc... - Schylił się i patrzył na widownię.

Lokaje w liberjach na pierwszej galerii chodzili od świecznika do świecznika, wlewając życie w aksamitne draperie, lustra, lśniąca stoliki i miękkie krzesła, które wyglądały jak setki pływających w ciemności duchów salonu.

Poniżej, na parterze, siedziały już ze świecami w dłoniach i z rozłożonymi na kolanach partyturami setki *abbati*, których cięte spory i komentarze przebijały się przez szum tłumu.

Jakiś samotny skrzypek zajął już swoje miejsce. Właśnie dołączył do niego trębacz w taniej, małej peruce, która ledwo co zakrywała jego ciemne włosy.

Na najwyższej galerii ktoś nagle krzyknął; pocisk poszybował w mrok, a z pierwszego piętra doleciało przekleństwo, jakaś postać zerwała się z uniesioną pięścią na równe nogi, ale ktoś odciągnął ją w tył. Powyżej rozgorzała walka; za ścianą dudniły drewniane schody.

- Odwróć się do mnie - powiedziała histerycznie signora Bianchi. - Jak ty wyglądasz, rzucałeś się do rzeki, czy co? Za godzinę stracisz głos! Muszę cię rozgrzać!

- Jest mi ciepło - szepnął Tonio, całując jej małą, pomarszczoną buzię. - Ciepłej niż kiedykolwiek. - I poprowadził ją przez zagracone kulisy do swej garderoby, w której panował już żar, a stary Nino rozniecał koks w piecyku.

Tego ranka Tonio obudził się wcześniej i kiedy tylko zaczął śpiewać, ogarnęła go radość. Całymi godzinami ćwiczył swe najbardziej skomplikowane pasaże, póki nie poczuł, że ma głos tak elastyczny, jak nigdy.

Ucałował Guida w oba policzki, nim ten wyszedł do teatru. Pouczył Paola, by wmieszał się w publiczność i wszystko uważnie obserwował.

A kiedy czyste jeszcze niebo zabarwiło się kolorem lawendy nad rozproszonymi na zboczu wzgórza, mrugającymi oknami, powędrował w zabłocone, leżące nad Tybrem uliczki i, zebrawszy przed sobą grupę poszarpanych dzieci, zaczął śpiewać.

Właśnie pojawiały się gwiazdy. Po raz pierwszy od trzech lat słyszał jak jego głos unosi się między kamiennymi murami wąskich uliczek. Tonio, z wilgotnymi oczami, wznosił go coraz wyżej i wyżej, sięgając nut, których nigdy jeszcze nie próbował nawet wyśpiewać i słyszał jak szybują, kragłe, doskonale, w zamykającą się nad nim noc. Zewsząd przybywali ludzie. Tłoczyli się w oknach, w drzwiach, w małych uliczkach. Kiedy przerwał, częstowali go winem i jedzeniem. Wynieśli dla niego zydelek, a potem pięknie wyszywane krzesło. Raz jeszcze dla nich zaśpiewał. Wykonywał każdą pieśń, o jaką prosili, ożywiał ją, a w uszach rozbrzmiewał mu ich krzyk, oklaski, okrzyki "brawo!", wszystkie otaczające go twarze płonęły uwielbieniem, kiedy wreszcie spadł deszcz.

Teraz ucałował signorę Bianchi. Ucałował Nina. Pozwolił im zedrzeć z siebie mokre ubrania i wytrzeć głowę ręcznikami. Pozwolił, by go besztali i przeklinali.

- Wszystko pójdzie doskonale - szepnął do signory Bianchi. - Doskonale i dla mnie, i dla Guida. - Przysięgł sobie w duchu, że będzie się rozkoszował każdą minutą tego występu, bez względu na to, czy okaże się on triumfem, czy porażką. Ciemności jego życia muszą się rozstać, by mógł przemierzyć to jakże ważne morze.

W chwili milczenia wyobraził sobie tych wszystkich ludzi, którzy będą w teatrze. Patrzył na wspaniałe suknie, kobiece falbanki, wstążki, farby. Christina! Powiedział to bezgłośnie, tak że tylko powietrze wybuchło między jego ustami. Nic nie znaczył teraz dla niego ból ani strach.

Ważne było tylko to, że miał wreszcie pojawić się na scenie i na razie, w tej chwili, tylko tam pragnął być.

- No, moja droga - powiedział do signory Bianchi - odpraw swoje czary. Spełnij wszystkie swe obietnice. Uczyni mnie tak pięknym i kobiecym, że mógłbym oszukać własnego ojca, gdybym usiadł mu na kolanach.

- Niegodziwy chłopcze! - Uszczypnęła go w szyję miękkimi, gorącymi palcami. - Zachowaj swój srebrny głos dla publiczności. Nie mów do mnie o takich sprośnościach.

Zagłębiwszy się w krzesło, czuł pierwsze, miękkie, zmysłowe dotknięcie pędzelka na twarzy, grzebień we włosach i żar jej dotknięcia.

Kiedy wreszcie wstał i spojrział w lustro, miał to znajome i niepokojące uczucie, że coś stracił. Gdzież w tej klepsydrze z ciemnoczerwonego atlasu znajdował się Tonio? Gdzie podział się chłopiec ukryty za tymi pomalowanymi na ciemno oczami, poróżowanymi ustami i powodzią białych włosów, spływających od czoła falami na plecy?

Miał wrażenie, że unosi się, patrząc na nią w lustrze, a ona szepnęła do niego jego własne imię, po czym odsunęła się jak znajdująca się po drugiej stronie zjawy, która nagle mogła - gdy stał tak nieruchomo - pozbawić go życia.

Dłonią w rękawiczce dotknął swych nagich ramion; zamknął oczy i musnął palcami znajomy kształt twarzy.

Zdał sobie sprawę, że signora Bianchi odsunęła się od niego, jak miała to czasem w zwyczaju robić. Jakby sama była zaskoczona ostatecznym efektem swej pracy. A kiedy bardzo wolno odwrócił się od niej, miał wrażenie, że jest wystraszona.

Jakby z innego, odległego świata doleciał ryk tłumu. Stary Nino oznajmił, że zapalono wielki żyrandol; teatr był przepełniony. A przecież jest jeszcze tyle czasu...

Spojrzał na signorę Bianchi. Na jej twarzy nie malowała się radość; obrzucała go szybkimi spojrzzeniami małych, zezujących oczek, jakby czegoś się obawiała.

- O co chodzi? - spytał. - Czemu tak na mnie patrzysz?

- Mój drogi... - odparła mechanicznie. - Jesteś wspaniały. Nawet mnie byś oszukał.

- Nie... Powiedz, czemu tak na mnie patrzysz? - szepnął raz jeszcze, pewien, że nikt nie byłby w stanie poznać, że nie jest to szept kobiety.

Nie odpowiedziała.

Nagle zbliżył się do niej jak pływająca w powietrzu lalka, a signora Bianchi cofnęła się z cichym okrzykiem.

Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Przestań, Tonio - powiedziała zagryzając usta.

- No więc o co chodzi? - spytał.

- No dobrze, powiem. Wyglądasz demonicznie, jak doskonała kobieta, ale zbyt... zbyt duża! Jesteś piękny i delikatny, ale zbyt wielki! Przerażasz mnie i mam wrażenie, jakby w tym pokoju miały pojawić się boskie anioły i łopotać skrzydłami, z których wylatywałyby pióra, tak że anioły spadałyby w dół, zaczepiając skrzydłami o sufit. A jego głowa, dłonie byłyby większe... Tak właśnie wyglądasz... Jesteś piękny i doskonały, a jednak...

- Potworny, moja droga - szepnął. Gnany impulsem, ujął jej twarz w dłonie i raz jeszcze pocałował.

Wciągnęła oddech, zamknęła oczy, otworzyła usta, po czym jej piersi uniosło westchnienie.

- Twoje miejsce jest gdzieś tam... - szepnęła. I otworzyła oczy. Długo po prostu się w niego wpatrywała, po czym jej twarz zmarszczyła się z radości i dumy. Objęła go w talii.

- Kochasz mnie? - spytał.

- Och! - Odsunęła się od niego. - A cóż ja cię obchodzę! Niedługo pokocha cię cały Rzym, cały Rzym padnie do twych stóp! A ty pytasz, czy cię kocham. A kimże ja jestem?

- Owszem, ale chcę, żebyś mnie teraz, w tym pokoju kochała.

- O, jakże szybko się to zaczyna. - Uśmiechnęła się. Podniosła ręce, by dotknąć pieszczotliwie białych fal jego włosów i wsunąć na miejsce długą, ozdabianą kamieniami szpilkę.

- Ta bezgraniczna próżność. - Westchnęła. - I bezgraniczna chciwość.

- Myślisz, że to właśnie to? - spytał cicho.

Przerwała.

- Boisz się - szepnęła.

- Troszkę, signora, troszkę. - Uśmiechnął się.

- Ale, mój drogi... - zaczęła.

W tym momencie otworzyły się drzwi, a do pokoju wbiegł bez tchu rozczochrany Paolo.

- Powinieneś słyszeć, co za bzdury wygadują, Tonio! Mówią, że Ruggerio zapłacił ci więcej niż Bettichinowi i palą się do walki. A w teatrze jest pełno Wenecjan, Tonio; przyjechali tylko po to, by wysłuchać twego śpiewu! To rzeczywiście będzie walka, tylko że oni nie mają zamiaru nawet dać ci szansy, Tonio!

Nie było już czasu. Przez dwadzieścia pięć lat zbliżał się z mozołem do tej chwili, potem jeszcze kilka lat, wreszcie moment ten był już coraz bliżej - z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień. A teraz właśnie trwał. Skończyło się oczekiwanie.

Guido słyszał orkiestrę strojącą instrumenty. Signora Bianchi powiedziała mu, że Tonio jest gotów, ale Guidowi nie wolno wchodzić do garderoby. Umówili się tak z Toniem tego popołudnia, gdy objęli się z najczulszymi słowami: postanowili w ostatnich chwilach nie niepokoić się wzajemnie własnymi wątpliwościami.

Guido po raz ostatni spojrzął z przyzwyczajenia w lustro. Gładka, biała peruka była doskonała, a żakiet ze złotego brokatu, po kilku krawieckich przeróbkach, pozwalał mu wreszcie na swobodne poruszanie rękami. Usiłował wygładzić koronki na szyi, wzburzyć te przy mankietach; rozluźnił też nieco pasek, pewien, że nikt tego nie zauważy i wziął partyturę.

Zanim jednak zszedł do orkiestry, stanął za kurtyną i spojrzął na salę.

Wielki żyrandol zgiął właśnie pod sufitem, zabierając ze sobą światło dnia.

Zapadający mrok zdawał się wyzwalać dziki krzyk. Na galerii tupano nogami, z obu stron dochodziły wulgarne okrzyki.

Tak jak przypuszczał, *abbati* zajęli przednie rzędy, a loże były dosłownie zapchane. Wszędzie powpychano dodatkowe krzesła, a tuż nad sobą Guido widział - był tego pewien - parunastu Wenecjan, z których jeden wyglądał szczególnie znajomo: był to ogromny eunuch z Bazyliki Świętego Marka, były nauczyciel i przyjaciel Tonia.

Również i neapolitańczycy pojawili się w pełnym składzie. Hrabina Lamberti i Christina Grimaldi siedziały w loży tyłem do stołu kolacyjnego, chociaż inni zasiedli właśnie do kart. Był tam też Maestro Cavalla, który przesłał już za kulisy swe pozdrowienia.

Kardynał Calvino był zaledwie jednym z wielu obecnych kardynałów; wokół niego zgromadziło się mnóstwo młodych arystokratów, kiwających głowami i rozmawiających przy winie.

Nagle do orkiestry podbiegł jakiś mężczyzna i złożwszy dłonie wokół ust, wydał długi, pogardliwy okrzyk. Guido zeszywniał, wściekły, że nie jest w stanie go zrozumieć i w tym momencie spod sufitu spadł śnieg łopoczących białych kartek, a ludzie podnosili się, by je chwycić.

Zaczęły się gwizdy i tupanie nogami. Nadszedł czas na wkroczenie Guida.

Zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Poczuł, że ktoś go szarpie i zacisnął zęby, gotów domagać się w tej ostatniej chwili spokoju.

- Spójrz tylko na to! - To Ruggerio trzymał w dłoni jedną z kartek, które z łopotem sfrunęły spod sufitu.

Guido złapał ją i przechylił do światła. Był to wulgarny sonet sugerujący, że w swym rodzinnym mieście Tonio był zaledwie gondolierem i powinien wrócić tam, by śpiewać w kanałach *barcarolę*.

- Niedobrze, niedobrze - mruzczał Ruggerio. - Znam takie sytuacje; mogą doprowadzić do zamknięcia teatru! Nie będą niczego słuchać, bo dla nich to tylko zabawa. Mogą drwić z weneckiego patrycjusza, a że Bettichino jest ich ulubieńcem, doprowadzą do zamknięcia teatru!

- Gdzie jest Bettichino? - spytał Guido. - On jest za to odpowiedzialny! - Odwrócił się z zaciśniętą pięścią.

- Nie czas na to, maestro! Poza tym oni nie słuchają rozkazów Bettichina. Wiedzą tylko, że zaczął się sezon; a pana chłopak dał im do ręki wspaniałą broń swoim zadzieraniem nosa. Gdyby chociaż przyjął pseudonim i nie zachowywał się jak taki cholerny arystokrata...

- Zamknijże się! - odpowiedział Guido. Odepchnął impresaria. - Czemu mi to teraz wszystko mówisz, do diabła? - Szalał. Przypomniawszy sobie opowieści o niesprawiedliwości i pogromach, smutny los Loretiego, który przegrał mimo triumfu Domenica, i dawną historię Pergolesiego, który nigdy już nie powrócił do Rzymu.

Nagle opanowało go najrozpaczliwsze w świecie uczucie, że jest głupcem. Któż mu powiedział, że ten sąd wydaje tylko szlachetne i sprawiedliwe wyroki? Ruszył w kierunku schodów.

- Zachowaj zimną krew, maestro - rzekł Ruggerio. - Jeśli zaczną czymś w ciebie rzucać, nie odpowiadaj im tym samym.

Guido zaśmiał się w głos. Rzucił ostatnie pogardliwe spojrzenie i ruszył w kierunku klawikordu, a muzycy wstali, by szybko mu się skłonić.

Teatr zamilkł. Wydawało się, że nawet krzyki się uspokoiły, gdy zaczął wygrywać pierwszy triumfalny temat, a wokół rozbrzmiały radosne dźwięki skrzypiec.

Siła muzyki zniweczyła na chwilę cały strach i Guido poczuł, że to nie on nadaje jej szybkie tempo, a ona niesie go ze sobą.

Kurtyna poszła w górę. Oklaski powitały Bettichina. Jedno spojrzenie na jego błyszczące w świetle blond włosy i jasną skórę doskonale podkreśloną białym pudrem, powiedziało Guidowi, że człowiek ten jest wspaniałym obrazem jakiegoś boga. Wiedział, że mężczyźni posyłają śpiewakowi ukłony z łóż. Kątem oka widział, że Bettichino je odwzajemnia. Na scenie pojawił się Rubino i w tej chwili Guido ujrzał Tonia.

Nawet przez dźwięki muzyki dochodziły do niego westchnienia i szepty, jak cichy szmer towarzyszący wcześniej podnoszeniu wielkiego żyrandola.

I rzeczywiście było na co popatrzeć. W światłach rampy stała wspaniała kobieta, ubrana w szkarłatny atlas i wyszywane złotem koronki. Otoczone czarną kreską oczy Tonia wyglądały niby migoczące szklane paciorki. Chociaż stał nieruchomo jak manekin, miał w sobie coś władczego. Światło pięknie podkreślało kształt jego twarzy.

Guido rzucił mu szybkie spojrzenie, ale Tonio nie dał żadnego znaku, że to zauważył i wydawał się spokojnie obserwować widownię. Dopiero kiedy Bettichino zakończył swą przechadzkę po scenie, Tonio odpowiedział na powitania, którymi go obdarzano. Przesuwając powoli wzrok z lewa na prawo, schylił się w głębokim kobiecym ukłonie. Wyprostował się, a nawet najdrobniejsze z jego gestów wydawały się niezwykle znaczące. Z pewnością przyciągnął oczy wszystkich.

Nieubłaganie zbliżał się dla Guida moment rozpoczęcia opery. Śpiewacy byli już w połowie recytatywu. Głos Bettichina wydawał się gładki i mocny.

Nagle zaczął swą pierwszą arię. Guido musiał być przygotowany na najmniejsze zmiany; gra skrzypiec i klawikordu stała się tylko tłem.

Śpiewak wystąpił na przód. Długi, niebieski zakiet nadawał jego oczom taki blask, jakby żyły swym własnym życiem. Głos Bettichina wzniósł się z niesamowitą siłą.

Zakończywszy drugą część, przystąpił do powtórki pierwszej, tak bowiem wyglądała standardowa forma każdej arii, po czym, jak było to przyjęte, zaczął ją upiększać, powoli, lecz z coraz większą fanfaronadą, nie ukazując jednak swej prawdziwej siły, którą - jak wiedział Guido - pochwali się później. Jednak wzlatając ku ostatniej nucie, zaczął wspaniale wzmacniać ją i przyciszać, śpiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, wykonując całość na jednym, długim oddechu, aż widownia całkowicie zamilkła. Nieruchomy śpiewak bez najmniejszej oznaki wysiłku posyłał w powietrze niekończący się strumień dźwięków, a kiedy zaczął go przyciszać i widzom wydawało

się, że musi skończyć, bo inaczej umrze, Bettichino raz jeszcze wzmocnił nutę, śpiewając ją jeszcze wyżej i głośniej, po czym nagle przerwał.

Cała sala rozbrzmiewała oklaskami. *Abbati* krzyczeli przenikliwie, prawie niechętnie: "Brawo, Bettichino!"; ten sam okrzyk dochodził z galerii, tylnej części parteru i z łóż. Śpiewak opuścił scenę, jak zobowiązany jest to zrobić po swej arii każdy występujący. Rzuciwszy się ponownie w wir muzyki, Guido poprowadził pozostałych ku następnym partiom opery. Czuł, że płonie mu twarz. Nie miał odwagi spojrzeć na scenę. Kiedy zaczął grać wstęp do pierwszej arii Tonia, palce spocły mu się tak bardzo, że czuł, jak ślizgają się po klawiszach. Wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, w obawie, że zawiedzie Tonia, jeśli tego nie zrobi, stłumił strach i spojrzął na stojącą powyżej nieruchomą postać kobiety.

Tonio nie widział go. Nawet jeśli go potrzebował, nie okazywał tego. Utkwił swe wspaniałe czarne oczy w pierwszym rzędzie, jakby patrzył śmiało na wszystkich zasiadających w nim ludzi. Zaczął z ogromną energią, głosem tak nieskazitelnym, czystym i absolutnie przejrzystym, jakiego nie udało się jeszcze dotąd Guidowi słyszeć.

Zewsząd dochodziły już jednak hałasy, tupanie, gwizdy rozlegające się z tyłu widowni i niosące się spod sufitu okrzyki.

- Wracaj do Wenecji, do kanałów! - ryknął ktoś przenikliwie z najwyższej galerii.

Niektórzy *abbati* wstali z miejsc z zaciśniętymi pięściami, krzycząc: - Cisza! Cisza!

Tonio niewzruszenie śpiewał dalej, nie wyężdżając głosu, by zagłuszyć hałas, co zresztą byłoby niemożliwe. Guido zaciskał zęby i mimowolnie walił w klawisze, jakby był w stanie wydobyć z nich głośniejsze dźwięki.

Pot kapał mu z twarzy wprost na grzbiety dłoni. Nie słyszał już Tonia ani nawet własnego instrumentu.

Tonio zakończył pieśń, skłonił się i ze spokojną miną odszedł za kulisy.

Cały pierwszy rząd rozgrzmiał hałaśliwymi oklaskami, które pogłębiły tylko harmider krzyków i gwizdów.

Guido miał wrażenie, że samo piekło nie może być potworniejsze niż to, co nastąpiło później. Zaczynała się ostatnia scena pierwszego aktu, na którego zakończenie Guido przeznaczył najwspanialszą arię Tonia. Wszystkie melodie, które dla niego napisał, były po mistrzowsku dostosowane do jego głosu tak, by mógł się nim pochwalić, ta pieśń stanowiła

jednak główny punkt programu i miała powstrzymać wielkie damy i gentlemanów Rzymu od obojętnego opuszczania łóż i przenoszenia się gdzie indziej.

Tuż przed nią zabrzmiała najlepsza aria Bettichina, ale jego będą przecież słuchać! Guido szalał.

Kiedy tylko Tonio wkroczył na scenę, na nowo rozległy się gwizdy, a Guido dojrzał kątem oka następny potok białych karteczek, niewątpliwie ze złośliwymi wierszykami.

Bettichino wystąpił naprzód. Wygłaszał teraz najbardziej intrygujący i oryginalny z recytatywów z akompaniamentem. Był to jedyny fragment opery, w czasie którego pieśń łączyła się z akcją, Bettichino śpiewał teraz bowiem o samej akcji, i to z uczuciem, a nie jakby ciągnął nudne opowiadanie.

W tym właśnie fragmencie smyczki dawały najwspanialszy popis, a Guido sam ledwo myślał o tym, co gra. Na dźwięk głosu Bettichina gwizdy zamilkły, a śpiewak przeszedł do swych najpiękniejszych arii.

Nie spieszył się z daniem Guidowi sygnału, a widownia po raz pierwszy burzliwie zareagowała na oklaski, które rozległy się po recytatywie. Guido wziął głęboki oddech. A więc Tonio miał, dzięki Bogu, własnych wielbicieli, którzy zwalczają Bettichina takimi samymi gwizdami i okrzykami sprzeciwu.

Guido zauważył, że śpiewak daje mu znak i samotnie zaczął grać wprowadzenie do tej najczulszej z arii. Nie dorównywał jej żaden inny fragment opery, prócz tego, który Tonio miał wykonać tuż po niej.

Bettichino zwolnił. Guido natychmiast się do niego dostosował. I nawet on sam wyczuł mistrzostwo gładkiego, przejmującego początku pieśni Bettichina, którego głos snuł się delikatnie, a jednak z taką mocą jak zwoje twardego, powoli rozwijającego się drutu.

Bettichino odchylił głowę w tył. Zaczął powtarzać pierwszą część arii wspaniale ozdabiając pierwszą nutę tryłem, ani przez chwilę nie śpiewając niżej czy wyżej, a tylko akcentując nutę raz po raz, jakby jego głos pulsował staccatem światłości. Potem przeszedł płynnie do czułych fraz, wspaniale je wymawiając, a zbliżając się do końca kolejno wzmacniał i przyciszał nutę, stosując jednak tym razem *Esclamazio Viva* - zaczął śpiewać nutę pełnym głosem, po czym przyciszał ją bardzo powoli i tak słodko, że stworzyło to wrażenie głębokiego smutku.

Zdawało się, że tę znikająca nutę, która zmieniała się niemalże w swe własne echo, otula całkowita cisza. Następnie Bettichino ponownie zaczął ją wzmacniać, aż wreszcie przerwał ze zdecydowanym ruchem głowy w momencie, gdy śpiewał pełnym głosem.

Jego wielbiciel szaleli. Nie musieli jednak starać się rozpalać entuzjazmu wśród publiczności na parterze. *Abbati* wyrażali go ogłuszającym tupotem nóg i zachrypłymi okrzykami “brawo!”

Bettichino okrążył scenę i wystąpił naprzód, by wykonać bis.

Oczywiście nikt nie oczekiwał, że wykona arię w ten sam sposób - miał niemalże obowiązek wprowadzić zmiany i Guido przy klawikordzie był przygotowany na wszystkie subtelne różnice - ale niewątpliwie nikt nie był przygotowany na prezentację takich tremoli i tryli, ani na to niemal nadludzkie wzmacnianie i przyciszenie nut, które robiło największe wrażenie.

Bettichino wykonał pieśń po raz trzeci i ostatni, po czym odszedł ze sceny jako nie kwestionowany zwycięzca.

W porządku. Guido nie mógł być z tego niezadowolony. Nie mógł nie cieszyć się, że widzowie siedzą z podniecenia na brzeżkach krzesel, ale jeśli te bestie mają choć trochę przyzwoitości, to pojmą, że ich śpiewak miał już swój moment chwały i nic, co zrobi Tonio, nie może tego zniszczyć. Ale kiedyż rywalizacja była uczciwa? Nie wystarczy, że ich idol właśnie udowodnił, iż jest niezwyciężony; muszą jeszcze zniszczyć Tonia.

I znów w światłach rampy stanęła pozornie niewzruszona, zachwycająca młoda kobieta o twarzy tak gładkiej, że wyglądała, jakby była głęboko pogrążona w myślach.

Tak jak przedtem, z galerii rozległy się krzyki, lecz tym razem podchwycił je parter.

- Wracaj na swoje kanały! - krzyczeli. - Nie jesteś godzien przebywać na tej samej scenie co śpiewacy!

Jednak rozjuszeni *abbati* wykrzykiwali już własne obelgi: - Pozwólcie chłopcu śpiewać! Boicie się, żeby nie ośmieszył waszego ulubieńca? - Była to prawdziwa wojna, a z góry zaczęły zlatywać pierwsze pociski: miękkie, zgniłe gruszki i ogryzki jabłek. W przejściu pojawiła się policja. Zapadła cisza, ale wkrótce znów rozległy się gwizdy i krzyki.

Guido przerwał, z trzaskiem kładąc ręce na klawiaturze.

Już miał się podnieść z ławki, gdy nagle zobaczył, że Tonio odwraca się i daje mu zdecydowany znak, by zaniechał swego protestu. Potem gwałtownie skinął głową: graj dalej.

Guido zaczął grać, choć nie słyszał, ani nie czuł nic z tego, co robił. Wśród krzyków na chwilę zabrzmiały skrzypce, ale okrzyki wzmogły się tylko, sprowokowane tym wyzwaniem.

Wznosił się także głos Tonia, który zdawał się być nieporuszony. Śpiewał pierwsze pasaże z takim przekonaniem i tak pięknie, jak Guido sobie wymarzył. Maestro niemalże płakał.

Nagle wielka sala teatru rozbrzmiała niebywałym hałasem!

Na pierwszym piętrze wypuszczono psa, który z wyciem i szczekaniem biegł ku orkiestrze.

Wszyscy widzowie z pierwszego rzędu porwali się na równe nogi z rykiem oburzenia. Kardynał Calvino z wściekłością dawał znaki, że ma zapanować spokój.

Guido przestał grać.

Zamilkła orkiestra. *Abbati* przeklinali psa, a na galerie i parter wkroczyła policja. Słysząc było odgłosy bójek i krzyki, gdy zabierano garstkę winowajców, którzy przed powrotem do teatru mieli zostać wychłostani.

Guido siedział na ławce całkowicie nieruchomo i patrzył przed siebie. Wiedział, że w ciągu paru sekund teatr opróżni się i to nie z powodu działania władz, ale dlatego, iż wszyscy pójdą za przykładem możnych panów i dam, którzy zaczną wychodzić z pierwszego rzędu, by zostawić ten motłoch, aż sam się uspokoi. Było mu niedobrze, nie był w stanie logicznie myśleć.

Krzyki *abbati* zlewały się w jego uszach w jeden ryk i przez zasłonę gorzkich łez spojrział ponownie na pełną rozwścieczonych twarzy salę w kształcie podkowy.

Coś jednak zaczęło się dziać. Coś się zmieniało. Usuwany z sali pies wydał ostatni przesywający skowyt i nagle powódź zdyscyplinowanych oklasków zalała wszelkie odgłosy gwizdów, tupania i śmiechu.

Na scenę powrócił Bettichino. Wyrzucił w górę ręce, prosząc o spokój.

Jego wykrzywiona gniewem twarz aż po czubki włosów zalała się czerwienią i śpiewak ryknął na cały głos:

- Cisza!

Wokoło rozległ się okrzyk aprobaty, zagłuszający ostatnią salwę gwizdów i przekleństw.

- Pozwólcie chłopcu zaśpiewać! - krzyknął Bettichino.

Pierwszy rząd od razu głośnymi oklaskami dał wyraz swej zgody, wszyscy ponownie rozparli się w krzesłach, widząc że także *abbati* biorą swoje partytury i poprawiają świece.

Bettichino stał, patrząc przed siebie z wściekłością.

W teatrze zapadła całkowita cisza.

Wtedy Bettichino, zarzucając na ramię pelerynę i przybierając ponownie spokojny wyraz twarzy, odwrócił się powoli w stronę Tonio. Na jego twarzy zakwitł niewinny uśmiech; wyciągnął do Tonio dłoń. Skłonił mu się.

Oniemiały Guido wpatrywał się w Tonio, stojącego całkowicie samotnie w tej pustce bezlitosnego światła i absolutnej ciszy.

Bettichino założył ręce za plecy i zrobił minę człowieka, który na coś czeka.

Guido zamknął oczy; zdecydowanie skinąwszy głową rozpostarł ręce, słysząc szum czyniony przez otaczających go muzyków, po czym wszyscy razem zaczęli grać wstęp do arii.

Tonio, równie spokojny co przedtem, wpatrzony nie tyle w znajdującą się przed nim widownię, co w odległą postać wspaniałego śpiewaka, otworzył usta, z których, jak zawsze na odpowiednim tonie, popłynął pierwszy złoty strumień melodii.

- Powoli, powoli - myślał Guido, a Tonio zaczął drugą część arii, teraz dopiero śpiewając bardziej skomplikowane pasaże, nuty raz niższe raz wyższe; wolno, bez wysiłku, doskonale panując nad głosem wykonywał tryle i powróciwszy do początku, zaczął swój prawdziwy popis dodając ozdobniki.

Guido sądził, że jest na to przygotowany, jednak od razu musiał się dostosować do Tonio; wybrał on dokładnie ten sam tryl na jednej nucie, który tak doskonale wykonał Bettichino i podtrzymał go teraz w tym samym rytmicznym tempie arii tamtego - nie swej własnej, choć dla wszystkich pozostałych zmiana ta zaszła niezauważalnie. Kryształowo czysta, iskrząca się nuta stawała się coraz mocniejsza, aż wreszcie Tonio, wciąż wykonując tryl, zaczął ją wyciszać. Wykonywał naraz, po mistrzowsku, oba wyczyny Bettichina i ciągnął tę nutę coraz dłużej, w nieskończoność. Guido sam nie był już w stanie oddychać, a włosy zjeżyły mu się na karku, gdy Tonio lekko unióśł głowę, by bez żadnej przerwy wznieść się w swym najwspanialszym pasażu, coraz wyżej i wyżej, póki nie doszedł do tej samej, tyle że o całą oktawę wyższej nuty.

Bardzo wolno wzmacniał ją i przyciszał, wypuszczał z gardła ten pulsujący dźwięk, a chociaż sięgał kresu tego, co osiągnąć może ludzki głos, nuta była gładka i miękka jak najpiękniejsze westchnienie żalu, przedłużane tak długo, że stawało się nieznośne.

Jeśli oddychał, nikt tego nie widział ani nie słyszał; publiczność zauważyła tylko, że Tonio w tak samo leniwym tempie zaczął obniżać głos, śpiewając miękko o smutku i bólu, coraz

niżej, aż rozległo się nieskazywane niczym pulsowanie jego kontraltu. Wtedy zakończył z nieznacznym ruchem głowy i stał nieruchomo.

Guido schylił głowę. Deski pod jego stopami trzęsły się od dochodzącego zewsząd ogłuszającego ryku. Motłoch nie byłby w stanie zagłuszyć grzmiących wyrazów uwielbienia tych dwóch tysięcy mężczyzn i kobiet. Jednak Guido czekał, czekał, póki z pierwszego piętra nie usłyszał samych *abbati* krzyczących: - Brawo, Tonio! Brawo, Tonio! - I właśnie kiedy powiedział sobie w tej chwili najśłodsze zwycięstwa, że o to nie dba, usłyszał dobiegający ze wszystkich stron wrzask: - Brawo, Guido Maffeo!

Raz, dwa, sto razy słyszał te dwa splatające się ze sobą okrzyki.

A nim wstał, by się skłonić, spojrział na Tonia, który stał równie nieruchomo jak przedtem, nie sięgając wzrokiem poza otaczający go malowany świat sceny. Wpatrywał się w Bettichina.

Bettichino miał zmrużone oczy, odległy wyraz twarzy. Wreszcie powoli, szeroko się uśmiechnął, skłaniając przy tym głowę. Na ten widok budynek opery raz jeszcze rozgrzmiał wrzawą.

Minęła północ; teatr rozbrzmiewał tupotem kroków wylewających się na ulicę ludzi oraz śmiechem i piskami tych, którzy schodzili w dół po całkowicie ciemnych schodach.

Tonio zatrzasnął drzwi garderoby, szybko zamykając zasuwę. Zdjął hełm ze złożonego kartonu i oparłszy głowę o drzwi, spojrzął na signorę Bianchi.

Prawie od razu zaczęto dobijać się do garderoby. Drzwi klekotały zawzięcie.

Stał łapiąc oddech i nagle poczuł, jak bardzo jest wyczerpany. Przez cztery godziny zmagął się z Bettichinem, każda aria stanowiła nowy pojedynek, każdy bis pełen był nowych triumfów i niespodzianek. Teraz nie bardzo potrafił uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Pragnął, by inni powiedzieli mu, że wszystko odbyło się tak, jak się Toniowi wydawało. Jednocześnie nie chciał niczyjego towarzystwa, tylko samotności, i widział już fale snu zbliżające się, by unieść go z pokoju, z dala od tych, którzy tak głośno domagali się teraz, by ich do niego wpuszczono.

- Mój drogi, mój drogi - odezwała się signora Bianchi. - Musisz ich wpuścić, bo zawiasy nie wytrzymają!

- Nie, najpierw mnie z tego rozbierz. - Ruszył do przodu, zdzierając kartonową tarczę przymocowaną do ramienia i odrzucając drewniany pałasz.

Zatrzymał się, zaskoczony obrazem przerażającej postaci w lustrze. Kobieta, pomalowana twarz, szkarłatne usta, podkreślone na czarno oczy i ten grecki strój z napierśnikiem - nieziemski wojownik.

Zdjął upudrowaną perukę, lecz mimo to widział postać jeszcze bardziej piekielną niż Pyrra, którą był, gdy kurtyna po raz pierwszy poszła w górę; miał przed oczami Achillea w splamionej potem tunice, którego twarz była biała jak karnawałowa maska i tak samo ukrywała jego prawdziwe oblicze.

- Zdejmij to wszystko ze mnie - powiedział, poruszając niezręcznie rękami, podczas gdy signora Bianchi usiłowała mu pomóc.

Wciągnął na siebie swój codzienny strój; tarł powieki, całą skórę.

Wreszcie przed drzwiami stanął wyszorowany, młody chłopak, o nieco poczerwieniałej twarzy i spadającej mu na ramiona czuprynie czarnych, błyszczących włosów, gotowy na przyjęcie pierwszych okrzyków zachwyty i objęć.

Nieznani mu mężczyźni i kobiety, muzycy z orkiestry, skrzypek Francesco z konserwatorium, młoda ulicznica o pięknych, rudych włosach - wszyscy oni ściskali go i całowali, zostawiając wilgotne ślady na policzkach. W garderobie tłoczyło się też kilku służących czekając, aż będą mogli mu wręczyć trzymane w dłoniach prezenty. Posłańcy doręczali listy nalegając, by je natychmiast przeczytał i przesłał odpowiedź. Wnoszono kwiaty. Impresario Ruggerio tak mocno przycisnął Tonia do piersi, że niemalże podniósł go w górę. Signora Bianchi łkała.

W jakiś sposób wypchnięto go na rozległą przestrzeń przed garderobą i przyparto do kotary, która trzeszczała, gdy się o nią opierał. Nagle przez harmider przebił się głos Paola wołającego: "Tonio! Tonio!" i Tonio przepychał się przez tłum ludzi, aż wreszcie, ujrawszy wyciągnięte ramiona Paola, złapał go i posadził sobie na ramiona. Ktoś pomógł mu złapać równowagę. Jakiś wysoki gentleman schwycił prawą rękę Tonia i włożył w nią małą, ozdobioną klejnotami tabakierkę. Tonio nie mógł nawet odpowiedzieć ukłonem. Wyszepiane podziękowanie trafiło pod zły adres. Jakaś młoda kobieta pocałowała go nagle w usta i Tonio, w panice, niemal przewrócił się w tył. Kiedy tylko Paolo znów stanął na ziemi, ludzie zaczęli go traktować.

Tonio szybko zorientował się, że Ruggerio wpycha go z powrotem do garderoby, w której ustawiono już sześć małych, miękkich, obciągniętych jedwabiem krzeseł, a toaletki zmieniły się w rabaty wonnych kwiatów.

Opadł na krzesło; pojawiła się jakaś kobieta w otoczeniu, jak się zdawało, gentlemanów ubranych w liberie i schwyciwszy nagle w dłonie mnóstwo delikatnych, białych kwiatów, przycisnęła mu je wprost do twarzy, a Tonio wybuchnął głośnym śmiechem, czując cały ich chłód i miękkość. Kiedy uniósł spojrzenie, jej oczy otoczone były zmarszczkami śmiechu. Z wdzięcznością skinął głową. Był tam też Guido. Guido, który wślizgnął się przy ścianie do garderoby i patrzył na Tonia z wyjątkowym wyrazem twarzy. Tonio nieomylnie powrócił pamięcią do chwili, kiedy po raz pierwszy śpiewał w domu hrabiny Lamberti, a w oczach Guida dostrzegał tę samą ogromną dumę i miłość. Rzucił się Guidowi w ramiona i obejmował go przez długą chwilę ciemnej, ukrywającej wszystko ciszy, póki pokój nie zamilkł i nie było w nim już nikogo prócz niego i Guida. A w każdym razie tak mu się wydawało. Prawda nie miała więc znaczenia.

Gdzieś w oddali Ruggerio uprzejmie komuś odmawiał. Jakiś głos odpowiedział: - Ale moja pani czeka na odpowiedź. - A signora Bianchi była przerażona odkrywszy, że prawa ręka Paola została zraniona i krwawi. - Dobry Boże, ugryzł cię pies! - Tonio nic jednak z tego nie słyszał. Serce Guida biło naprzeciw jego serca, aż wreszcie maestro delikatnie zaprowadził go znów do krzesła i trzymając za ręce, rzekł:

- Musimy teraz iść złożyć nasze uszanowanie wielkiemu śpiewakowi...

- Nie, nie przez ten tłum! - Tonio potrząsnął głową. - Nie teraz...

- Musimy, i to właśnie teraz... - nalegał Guido i dodał z bladym uśmiechem: - Jest bardzo, bardzo ważne, żebyśmy to zrobili.

Tonio posłusznie wstał, a Ruggerio i Guido ustawili się po jego obu stronach i przepchnęli go przez tłum w kierunku jeszcze jednego zbiegowiska pod drzwiami Bettichina, a potem do jego większej, jasno oświetlonej garderoby. Wyglądała ona właściwie jak salon, w którym zasiadło już nawet przy winie pięć czy sześć osób. Bettichino, jeszcze w kostiumie, natychmiast wstał, by powitać Tonia.

Po chwili zamieszania na usilną prośbę Bettichina opróżniono pokój; został tylko stojący ze śpiewakiem Guido, który cicho zachęcał Tonia, by wykazał się swą największą uprzejmością.

Tonio pochylił głowę i cicho przemówił.

- Wiele się dzisiaj od pana nauczyłem, signore. Nie nabyłbym tej wiedzy, gdybyśmy nie występowali na tej samej scenie...

- Ależ, co pan mówi - odparł z kpiną Bettichino. Zaśmiał się głośno. - Proszę oszczędzić mi takich bzdur, signore Treschi. Obydwaj wiemy, że to pan odniósł triumf. Muszę przeprosić za mych wielbicieli, choć wątpię, czy kiedykolwiek zachowają się lepiej w stosunku do któregoś z mych rywali.

Przerwał. Jednak jeszcze nie skończył, wyprostował się, jakby był w środku jakiejś debaty; farba, złoty pył i biały puder, których jeszcze nie zmył, podkreślały wyraz jego twarzy.

- Od dawna już nie dawałem z siebie wszystkiego na jakiegokolwiek scenie. Ale zrobiłem to dzisiaj, a pan dopilnował, bym był zmuszony na to się zdobyć. Dziękuję, signore Treschi. Ale proszę nie stawać wraz ze mną jutro, pojutrze czy jeszcze później na tych deskach bez wszystkiego, czym został pan obdarowany przez Boga. Jestem gotów do zmagania. Będzie to panu potrzebne, by mi dorównać.

Tonio głęboko się zaczerwienił, oczy mu zwilgotniały. Uśmiechał się jednak, jakby nie mógł się od tego powstrzymać.

Potem Bettichino, jakby czytając w myślach Tonia, otworzył nagle ramiona. Na chwilę mocno przytulił Tonia, po czym go puścił.

Tonio był w amoku, kiedy otwierał drzwi. Zatrzymał się jednak, gdy usłyszał, jak za jego plecami Bettichino mówi do Guida:

- W rzeczywistości nie jest to pana pierwsza opera, prawda, maestro? Gdzie udacie się później?

Na trwające do rana przyjęcie kardynała Calvino przybyły setki ludzi. Po ogromnych, zalanych światłem salach chodzili członkowie starych rzymskich rodów, bawiący tu przejazdem szlachcice, a nawet członkowie rodziny królewskiej.

Sam kardynał przedstawił wielu gościom Tonia, który przeżywał rozkosznie rozdzierające chwile, słysząc nie kończące się pochwały, ciche opowieści o poszczególnych momentach przedstawienia, uprzejme powitania i czując ściskające go dłonie. Uśmiechnął się, słysząc lekceważące uwagi na temat Bettichina. Bez względu na to, co mówili, Bettichino był niewątpliwie lepszym niż on śpiewakiem.

Tonio sprawił jednak, że wszyscy na chwilę o tym zapomnieli. Przedstawienie poruszyło nawet samego kardynała, który odciągnąwszy w końcu na bok Tonia, usiłował mu opisać swoje reakcje.

- Anioły, Marcu Antonio - powiedział z cichym zdziwieniem. - Czymże są, jak brzmią ich głosy? I jak ktoś zamknięty w powłoce ciała może śpiewać tak, jak ty dzisiaj?

- Zbyt jesteś łaskaw, panie - odparł Tonio.

- Czy pomyłę się, jeśli powiem, że było to niezziemskie? Czy źle coś pojąłem? W teatrze połączył się w pewnej chwili świat ducha ze światem ciała, a z ich związku powstał twój głos. Widziałem wokół zwykłych ludzi, śmiejących się, pijących, bawiących się jak wszędzie robią to ludzie, a po chwili wszyscy oni słuchali w absolutnej ciszy twego śpiewu. Czy był to więc najwyższy stopień ich zmysłowych rozkoszy? Czy może na chwilę rozkosz duchowa stała się przyziemna?

Tonio dziwił się powadze kardynała. Cieszył go jego wyraźny podziw i chętnie porzuciłby teraz tłumy, alkohol, słodkie oszołomienie wieczoru, by znów przebywać sam na sam z kardynałem i porozmawiać z nim o tych sprawach.

Kardynał jednak wziął go za rękę i poprowadził z powrotem do innych. Służący w liberiach otworzyli drzwi do sali balowej, Tonio i książe kościoła znów mieli się nawzajem zgubić.

- Nauczyłeś mnie czegoś, Marcu Antonio - wyznał szybkim, sekretnym szeptem kardynał.

- Nie wiem jednak, jak kochać. Powiadam ci, że niedarzenie miłością czegoś pięknego i

niezrozumiałego byłoby próżnością, nie cnotą. - Po czym obdarzył Tonia krótkim, ceremonialnym pocałunkiem.

Hrabia Raffaele di Stefano również chwalił muzykę wyznając, że w przeszłości opera nigdy nie wywierała na nim większego wrażenia. Trzymał się blisko Tonia, choć niewiele z nim rozmawiał i patrzył na wszystkich dokoła oczami pełnymi zazdrości.

Kiedy przyjęcie dobiegało już końca, widok Raffaele zaczął dręczyć Tonia. Przypomnił mu on wyraźnie scenę w sypialni, a czasem Raffaele wydawał się nawet istotą, która nie powinna być ubrana jak inni mężczyźni. Gęste włosy porastające jego nadgarstki wydawały się nie pasować do warstw otaczających je koronek i Tonio musiał odwrócić wzrok, gdyż w przeciwnym razie natychmiast wyszedłby z nim.

Rozczarowało go jedynie to, że nie przybyła Christina Grimaldi.

Wszędzie jej szukał. Nie mógłby jej przeoczyć, ale nie rozumiał też, dlaczego jej tu nie ma.

Oczywiście była w teatrze, sam ją widział! Rozumiał również, że, rzecz jasna, nie przyjdzie za kulisy. Ale dlaczego nie ma jej tutaj, w pałacu kardynała?

Do głowy przychodziły mu odrażające myśli. Pograżał się w koszmarze, myśląc o tym, jak patrzyła na jego postać przebraną za kobietę. Ale przecież skłonił jej się, a ona odpowiedziała ukłonem z łoży hrabiny, biła małymi rączkami szaleńcze brawa po jego ariach. A Tonio, mimo dzielącej ich przestrzeni, wyraźnie dostrzegął jej uśmiech.

Czemu jej tu teraz nie ma?

Nie mógł zdobyć się na to, by spytać Guida czy pozostającej wciąż u jego boku hrabiny.

Wiele osób przyszło tu tylko dlatego, że kardynał Calvino wydawał bal. A hrabina zdecydowała się dopilnować, by jej muzyków poznała jak największa grupa ludzi, którzy odwiedziliby jutro operę, nawet jeśli nigdy wcześniej w niej nie byli.

Sukces opery wydawał się jednak niemalże pewny.

Ruggerio był przekonany, że będzie wystawiana co noc, aż do końca karnawału, a Tonia i Guida pytano kilka razy o ich plany na przyszłość.

Wymieniano Bolonię, Mediolan i Wenecję. Wenecja! Tonio od razu przeprosił i odszedł.

Te słowa ekscytowały go jednak, tak samo jak podniecał go fakt, iż raz po raz przedstawiano go członkom rodzin królewskich.

Wreszcie pozostali z Guidem sam na sam. Drzwi były zamknięte. I dziwiąc się nieco sile własnego pożądania, zaczęli się kochać.

Guido zasnął potem, ale Tonio leżał rozbudzony, jakby nie chciał dać tej nocy odejść.

* * *

Kiedy na wykładane płytkami podłogi zaczęły wreszcie padać promienie zimowego słońca, Tonio spacerował przez wielkie, pełne sprzętów pokoje, przyglądając się od czasu do czasu leżącemu na marmurowym stole, równie wysokiemu jak on stosowi prezentów i listów.

Odstawił wino i posłał po mocną kawę.

Przyniósł krzesło i zaczął przeglądać zwoje sztywnego, bogato zdobionego pergaminu. Powiedział sobie, że niczego nie szuka. Po prostu robi to, co należy. A jednak czegoś oczekiwał.

Och, wszędzie widniały weneckie nazwiska. Goszcząca w jego ciele chłodna, cicha osoba przeczytała życzenia od kuzynki Catriny, zdając sobie sprawę, że wbrew przysiędze, Catrina przybyła do Rzymu. Cóż, i tak się z nią nie zobaczy. Był teraz zbyt szczęśliwy, by to zrobić. Na widowni zasiadła też rodzina Lemmo, jacyś inni Lisani i wiele osób, których prawie nie znał.

A więc świat zobaczył, jak w tym kobiecym przebraniu wydaje z siebie dźwięki właściwe dzieciom i bogom. Stare koszmary i poniżenia, a przecież wszystko było tak wspaniałe jak w najśmielszych snach.

Wziął duży łyk gorącej, aromatycznej kawy.

Przeczytał kilka bilecików pełnych zachwytów, przeżywając raz jeszcze niektóre fragmenty występu. I zagłębiwszy się w krzesło, gwizdząc na sztywnym papierze jakiegoś listu, zdał sobie sprawę że dokładnie o tej porze *abbati* siedzą w kawiarniach i także wspominają przedstawienie.

W stosie były też różnego rodzaju zaproszenia. Dwa od rosyjskich szlachciców, jedno od bawarskiego pana możnego rodu i jedno od potężnego księcia. Najbardziej zaintrygowało go jednak kilka zaproszeń na późne kolacje po występach.

Wiedział, czego tam oczekiwano. I czuł ich powab, jakby odległa grupa muzyków wzywała go rytmicznymi, przenikającymi ściany uderzeniami.

Pomyślał o Raffaele di Stefano i o tym, ile czasu zajęłoby mu ubranie się i dojście do jego domu. Raffaele będzie spał w ciepłym pokoju. Nagle delikatnie musnął Tonia sen, więc młodzieniec skrzyżował ramiona i oparł się wygodnie, zamykając oczy.

Wśród listów nie było niczego od Christiny. A dlaczego właściwie miałyby być?

Dlaczego?

Zmobilizował się jednak i przejrzał cały stos jeszcze raz. Rozkładając wachlarzowato nie otwarte listy, zauważył znajomy charakter pisma.

Nie potrafił go z nikim połączyć. I otworzywszy list, przeczytał następujące słowa:

Mój drogi Tonio!

To, co cię spotkało, zniszczyłoby słabszego od ciebie człowieka. Ty zmieniłeś to w zwycięstwo. Niewiele osób mogłoby ci dorównać. Dzisiaj zmusiłeś anioły, by słuchały Twego głosu. Niech Bóg zawsze będzie z Tobą.

Alessandro

A na dole, jakby dodany po namyśle, widniał adres, pod którym mieszkał w Rzymie.

Niemalże godzinę później Tonio, kompletnie ubrany, wynurzył się z pałacu. Powietrze było rześkie i czyste, więc piechotą przeszedł kilka ulic dzielących jego dom od tego, który wspominał w swym liście Alessandro.

A kiedy otworzyły się drzwi Alessandra, a Tonio podniósł oczy na jego znajomą twarz, poczuł się niezwykle wstrząśnięty. Nigdy jeszcze nie czuł nagle takiego chłodu, nie wydawał się sobie tak mały, chociaż przecież dawno już dorównał Alessandrowi wzrostem.

Potem Alessandro wziął go w objęcia, a Tonio, po raz pierwszy odkąd opuścił Neapol, był tak bardzo bliski łez.

Stał nieruchomo, niewypłakane łzy piekły go w oczach i nagle załazała go cicha fala bólu. W tym pokoju mieściła się Wenecja, jej kręte uliczki i ogromne komnaty, które przez wiele lat były dla niego całym miastem. Kiedy wszystko to nagle się zapadło, został nagi, monstrualny, poniżony.

Tonio zdobył się na niezwykle delikatny, powolny uśmiech. A kiedy Alessandro w milczeniu posadził go w fotelu, Tonio obserwował jego zwykłe, powolne, pełne gracji ruchy, z jakimi usiadł naprzeciw i sięgnął po karafkę czerwonego wina. Napenił Toniowi kieliszek. Wypili razem. Ale nie rozmawiali.

Alessandro niewiele się zmienił. Nawet delikatna siatka zmarszczek pokrywająca jego twarz była dokładnie taka jak przedtem, stanowiła przejrzystą zasłonę, przez którą doskonale widać było wieczny blask.

Miał na sobie szlafrok z szarej wełny, a kasztanowe włosy spadały mu luźno na ramiona. Z każdym ruchem jego delikatnych dłoni wracały setki cichych, rozzierających wspomnień.

- Jestem niezwykle wdzięczny, że przyszedłeś - odezwał się Alessandro. - Catrina kazała mi przysiąc, że cię nie zaczepię.

Tonio z szacunkiem skinął głową. Bóg wie, iż wielokrotnie powtarzał Catrinie, że nie spotka się z nikim z Wenecji.

- Przyszedłem do ciebie w pewnej sprawie - odparł Tonio, ale jego głos wydał mu się obcy. On sam był zamknięty gdzieś w środku i zastanawiał się: - Co widzisz, patrząc na mnie? Czy dostrzegasz te długie ramiona, wzrost, który powoli zaczyna już robić się groteskowy? Czy widzisz...? - Nie był w stanie dokończyć myśli.

Alessandro obdarzał go pełną szacunku uwagą.

- Nie przywiodła mnie tu jedynie miłość - ciągnął Tonio - chociaż jej moc wystarczyłaby, by tego dokonać. Nie przyszedłem też tylko dowiedzieć się, co u ciebie. Muszę przyznać, że zniósłbym stratę tego wszystkiego, nawet gdybym miał cię więcej nie zobaczyć. Oszczędziłbym sobie wtedy tak wiele bólu.

Alessandro skinął głową. - O co więc chodzi? - spytał usłużnie. - Powiedz. Cóż mogę ci opowiedzieć? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie wolno ci nikomu powtórzyć, że o to pytałem, ale powiedz, czy mojemu bratu służą nadal ci sami siepacze, których widziałem, gdy byłem po raz ostatni w Wenecji?

Alessandro milczał przez chwilę. Potem odparł: - Ci mężczyźni zniknęli po twoim wyjeździe. Sędziowie śledczy wszędzie ich szukali. Teraz zatrudnia innych, bardzo niebezpiecznych ludzi...

Tonio skinął głową. Jednak wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Po prostu stało się tak, jak sobie tego życzył. Uciekli, by zachować życie. Połknęły ich Włochy. Może gdzieś, kiedyś ujrzy którąś z tych twarzy i wykorzysta nadarzącą się sposobność. Oni nie mieli jednak dla niego znaczenia. Można było się spodziewać, że Carlo znalazł sposób, by uciszyć ich na zawsze. Teraz czekał na niego tylko Carlo.

- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? - spytał Alessandro.

Tonio odparł po chwili:

- Coś o matce. Catrina pisała, że jest chora.

- Jest bardzo chora, Tonio - odparł Alessandro. - Dwójka dzieci w ciągu trzech lat, a ostatnio strata trzeciego. Tonio westchnął i potrząsnął głową.

- Twój brat jest w tym względzie równie niepoohamowany i nierozważny, jak w wielu innych sprawach. Ale winna jest temu także jej dawna choroba, Tonio - Alessandro ściszył głos niemalże do szeptu. - Wiesz, o co chodzi.

Tonio schylił lekko głowę, odwrócił wzrok.

Po długiej chwili spytał: - Ale chyba uczynił ją szczęśliwą? - W jego głosie brzmiała rozpacz.

- Tak szczęśliwą jak tylko można, lecz na krótko - odparł Alessandro. Przyglądał się Toniovi. Rozważał jego pytanie.

- Płacz za tobą, Tonio - rzekł. - Nigdy nie przestała cię opłakiwać. Kiedy dowiedziała się, że będziesz występować w Rzymie, opętało ją pragnienie ujżenia cię. Jednym z moich najpoważniejszych zadań jest przywiezienie jej partytury wykonywanego przez ciebie dzieła i jak najdokładniejszego sprawozdania z tego, co widziałem. - Uśmiechnął się blado. - Kocha cię, Tonio - rzekł. Potem, głosem tak cichym, że niemal nie było go słyszeć, powiedział: - Jest w tragicznym położeniu.

Tonio w milczeniu pochłonął te słowa, nie patrząc na Alessandra.

Kiedy się odezwał, mówił napiętym, nienaturalnym głosem.

- A mój brat? - spytał. - Czy jest jej wierny?

- Wydaje się mieć werwę za czterech - odparł Alessandro.

Jego twarz spoważniała. - Wspaniale spisuje się w życiu publicznym, ale przez te nienasycone żądze prywatnie niewielu ludzi go podziwia.

- Czy ona wie o tym?

- Nie sądzę - odparł Alessandro. - Bardzo o nią dba. Nigdy nie ma jednak dosyć kobiet, hazardu i alkoholu...

- A te kobiety... - zaczął Tonio monotonnym głosem, dotykając dłoni Alessandra dla podkreślenia swych słów. - Opowiedz mi o nich. Jakie to kobiety?

Pytanie to najwyraźniej zaskoczyło Alessandra. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. - Różne. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście najlepsze kurtyzany, znudzone męzatki, czasem nawet młode dziewczęta, jeśli są wystarczająco ładne i sprzedajne. Wydaje mi się, że liczy się tylko, by były ładne i nie wywołały skandalu.

Przyglądał się twarzy Tonio, najwyraźniej usiłując zgłębić, czemu ta informacja jest dla niego tak ważna.

- Zawsze zachowuje się jednak rozważnie i ostrożnie. A dla twojej matki jest słońcem i księżycem: tak mały jest jej świat. Jednak nie może dać jej tego, czego ona pragnie... jej syna, Tonia.

Twarz Alessandra stała się zamyślona i smutna.

- Ciągle mnie kocha - szepnął Tonio.

- Tak - odparł Alessandro - ale czy kiedykolwiek mogła zrobić coś z własnej woli? Powiadam ci, w ciągu ostatnich miesięcy bywały takie chwile, że gdyby jej nie powstrzymali, opuściłaby dom piechotą.

Tonio potrząsnął głową; nagle zaczął wykonywać szereg nieznaczących ruchów, jakby nie potrafił nad sobą zapanować, pragnął powstrzymać łzy i nie potrafił. Wreszcie zapadł się w fotel i wypił wino, którym poczęstował go Alessandro.

Kiedy podniósł wzrok, miał zaczerwienione, puste, bardzo zmęczone oczy. Zrobił bezradny ruch ręką.

Obserwujący go Alessandro impulsywnie wyciągnął dłoń i chwycił Tonia za ramię.

- Posłuchaj - rzekł. - Carlo jest zbyt dobrze chroniony! W dzień i w nocy, w domu i poza nim towarzyszy mu czterech siepaczy.

Tonio z gorzkim uśmiechem skinął głową. - Wiem... - szepnął. - Więc nigdy w to nie uwierzyłeś? - spytał.

Na twarzy Alessandra pojawiła się taka złość, że przez chwilę wydawał się nie być sobą. Wzdrygnął się, wreszcie uśmiechnął się szyderczo. Tonem pełnym gorzkiej ironii rzekł: - Jak możesz pytać? - Potem przysunął się bardzo blisko Tonia. - Gdybym mógł, sam bym go zabił.

- Nie - szepnął Tonio, potrząsając głową. - Zostaw to mnie, Alessandro.

Alessandro zagłębił się w fotelu. Spojrzał na swoje wino i lekko poruszając kielichem, podniósł go do ust. Po czym rzekł: - Nie spiesz się z tym, Tonio, nie spiesz się i, na miłość boską, bądź ostrożny! Nie oddawaj mu własnego życia. Już i tak zbyt wiele ci odebrał.

Tonio uśmiechnął się i, ujawszy dłoń Alessandra, ścisnął ją delikatnie, by go pocieszyć.

- Zawsze możesz na mnie liczyć - powiedział Alessandro.

Zapadła długa cisza, która nie ciążyła im, wydawała się naturalna, jakby byli przyjaciółmi od tak dawna, że niczego nie trzeba było mówić. Tonio przez chwilę zagubił się we wspomnieniach.

Wreszcie jego twarz rozjaśniła się i złagodniała, a w oczach pojawił się ponownie blask zadowolenia.

- No - rzekł - to teraz powiedz mi, co u ciebie. Ciagle śpiewasz w Bazylice Świętego Marka? Czy wczorajszego wieczora byłeś dumny ze swego byłego ucznia?

W godzinę później podniósł się do wyjścia. Do oczu znów napłynęły mu łzy i chciał, by pożegnalne uściski trwały jak najkrócej.

Jednak kiedy ich oczy spotkały się po raz ostatni, Tonio przypomniał sobie wszystkie swe dawne myśli dotyczące tego tak uwielbianego człowieka, to niewinne, chłopięce poczucie wyższości w stosunku do Alessandra, którego uważał za coś mniej niż mężczyznę. Powróciło cierpienie - wszystko to przeżył Tonio, stojąc w drzwiach.

Zdał sobie sprawę z całej wagi tego, czego żaden z nich za nic w świecie nie powiedziałby głośno - że są sobie podobni.

- Jeszcze się spotkamy - szepnął Tonio niepewnym głosem. I równie niepewny tego, co właśnie powiedział, objął Alessandra ramionami i na chwilę przywarł do niego, nim odwrócił się i spiesznie odszedł.

Było już prawie południe. Powinien iść spać, ale nie mógł. I minąwszy dom kardynała, jakby go nawet nie poznał, znalazł się wreszcie w jednym z tych nieznanym mu rzymskich kościołów pełnych cieni oraz zapachu i blasku setek świec.

Ze złoconych kapliczek zerkali na niego malowani święci, a ubrane na czarno kobiety sunęły cicho do odległej szopki, w której wyciągało ramiona Dzieciątko Jezus.

W jednej z nisz Tonio ujrzał nieznanego mu świętego. I w mroku przed ołtarzem padł na kolana, położył się na kamieniach i ukrywszy twarz w ramionach, płakał, niezdolny opanować się, chociaż delikatne rzymianki klękały przy nim, szepcząc słowa pociechy.

Przez następny tydzień Guido i Tonio żyli i oddychali operą jak nigdy przedtem. W ciągu dnia omawiali “błędy” i słabe punkty poprzedniego przedstawienia, Guido zapisywał zmiany w akompaniamencie i dawał Toniowi doskonałe rady, jakich nie mógł udzielać mu przedtem. Signora Bianchi darła szwy, poprawiała tiurniury, naszywała nowe koronki i sztuczne kamienie. Paolo był wciąż gotów na wykonanie najdrobniejszego zlecenia.

Bettichino przechodził sam siebie w trylachs i wysokich nutach, a Tonio udoskonalił wszystkie swe sztuczki. W duetach ich głosy brzmiały niezrównanie pięknie, a widownia, milknąca raz po raz, słysząc takie błyski doskonałości, szybko wybuchała krzykami i brawami. Każde podniesienie kurtyny witane było burzliwymi oklaskami.

W pierwszym i drugim rzędzie zbierała się niezmiennie śmietanka towarzyska. Do gier karcianych i kolacji dołączali masowo cudzoziemcy, bilety na każde przedstawienie były wyprzedane, nim jeszcze Ruggerio zdążył otworzyć drzwi.

Co noc popychany przez tłum Guido przedzierał się za kulisami przez korytarze, a za nim podążali impresariowie proponujący mu kontrakty na całe sezony w Dreźnie, Neapolu, Madrycie.

Przynoszono kwiaty, tabakierki, związane wstążeczką listy. Woźnice czekali na odpowiedzi. Ponury hrabia di Stefano ponownie cierpliwie skinął głową, gdy maestro oświadczył mu twardo, że Tonio nie może jeszcze włączyć się w wir życia towarzyskiego.

Wreszcie, po siódmym udanym występie, Guido zasiadł z signorą Bianchi w zagraconej garderobie, by zrobić listę zaproszeń, które Tonio musi przyjąć w pierwszej kolejności.

Na razie może widywać się z hrabią Raffaele di Stefano, kiedy zechce. Nawet dzisiejszego wieczora.

Guido nie miał już wątpliwości. Jego uczeń przeszedł wszystkie możliwe testy. Miał propozycje od najlepszych oper w Europie. I po raz pierwszy Guido zgodził się z zapewnieniami Ruggeria, że opera będzie na afiszu do końca karnawału.

Guido nie czuł jednak w pełni tego triumfu, póki nie obudził się następnego dnia wczesnym rankiem, by ujrzeć Tonia stojącego przy jego łóżku i wyglądającego przez okno.

Poprzedniego wieczora hrabia di Steffano wziął ze sobą Tonia niemalże siłą. Pokłócili się, pogodzili i odjechali. A chociaż oddanie hrabiego zaniepokoiło nieco Guida, to czuł się on nim również rozbawiony.

Sam, uwolniony od hrabiny, która wróciła już do Neapolu, spędził cztery rozkoszne godziny ze śniadym enunuchem z Palermo. Chłopak ten, imieniem Marcello, śpiewał wystarczająco dobrze, by obejmować tylko pomniejszych role i Guido szczerze mu to powiedział.

Potem kochali się niezwykle powoli, radośnie, delikatnie; młodzieniec okazał się znawcą wszystkich zmysłowych sekretów. Jego skóra pachniała jak ciepły chleb, a przy tym należał do tej niewielkiej grupy eunuchów, którzy mają małe, pulchne piersi, równie rozkoszne i soczyste jak kobiece.

Był później wdzięczny za kilka złotych monet, które wcisnął mu do ręki Guido. I błagając, by wpuszczono go za kulisy, obiecał, że kupi za nie nowy żakiet.

Guido zdawał sobie sprawę, że takie wspaniałe spotkania czekają go teraz co noc, usiłował więc nie robić z tego wielkiej sprawy i myśleć jak zwyczajny człowiek.

Teraz wstawał już świt, a chłodne, zimowe światło wypełniało pokój jak para, gdy Tonio odwrócił się i zbliżył do Guida.

Guido przecierał oczy. Miał wrażenie, że Tonia pokrywają maleńkie świetlne punkciki. Zorientował się, że są to krople deszczu, ale mimo to Tonio wyglądał jak duch w złotym aksamitnym żakiecie, na którym iskrzyło się światło, z białymi falbankami przy kołnierzu i z nieco wzburzonymi czarnymi włosami. Kiedy usiadł obok Guida, tchnął energią, jakby nie spał przez całą noc.

Guido usiadł i wyciągnął ramiona. Poczul usta Tonia dotykające jego czoła, powiek, a potem ten mocny, jakże znajomy uścisk.

Tonio wydawał mu się w tym momencie wspaniały, niemalże cudowny. Guido usłyszał, jak pyta cicho:

- Udało nam się, prawda, Guido? Udało nam się!

Guido siedział w milczeniu, patrząc na Tonia, owiewany przez dochodzące z okna rozkoszne powietrze, przepelnione wonią deszczu. Nagle przyszła mu do głowy dziwna, niespodziewana i piękna myśl, że to zimowe powietrze zapachniało nagle tak świeżo, jakby znalazł się bardzo daleko od miejskiej zgnilizny, na wzgórzach Kalabrii, gdzie się urodził.

W tej chwili, kiedy całe życie, przeszłość i przyszłość, stało przed nim otworem, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Tak ciężko pracował, był zmęczony. Nie przyzwyczajony do takiego szczęścia.

Wiedział jednak, że Tonio wyczyta odpowiedź w jego oczach.

- Teraz możemy już to zrobić, gdybyśmy chcieli, prawda? - spytał Tonio cichym szeptem.
- Możemy urządzić sobie życie, jeśli zechcemy. Wszystko na nas czeka.

- Jeśli zechcemy, Tonio? Jeśli, Tonio?

W pokoju panował taki chłód. Guido patrzył poza Tonia, na mleczne niebo. Szare chmury deszczowe wydawały się błyszczące, prawie srebrne, namacalne.

- Czemu mówisz "jeśli"? - spytał delikatnie.

Na twarzy Tonia zagościł niewypowiedziany smutek.

Może zresztą było to złudzenie, gdyż kiedy ponownie podniósł na Guida wzrok, uśmiechał się.

Jego czarne oczy zmarszczyły się w kącikach, a twarz miał tak promienną, że Guido poczuł nieunikniony smutek: nigdy nie będzie w stanie naprawdę połączyć się z TONIEM i samemu na zawsze stać się częścią tego piękna.

- Jedziemy stąd do Florencji. - Guido ujął obie ręce Tonia. - A potem, kto wie gdzie? Może do Drezna, może nawet do Londynu? Wszędzie tam, gdzie będziemy chcieli!

Czuł, jak jego własne drżenie przenosi się na Tonia, który skinął głową i przez moment chwila ta wydawała się nieznośnie doskonała. Guido był za nią milcząco, bezgranicznie wdzięczny.

Tonio zagłębił się teraz we własnych myślach, znieruchomiał, odcinając się od Guida, któremu został tylko widok tej promiennej młodości.

Patrząc na niego, Guido przypomniał sobie obraz Tonia, który widział niedawno, namalowany wspaniale na porcelanie. Dał mu on to samo przemożne, tajemnicze przecucie natury Tonia.

Ogarnęła go ekscytacja. Niemal delikatnie, co nie było częste, pocałował Tonia, po czym wstał i poszedł cicho po lodowato zimnej podłodze na drugi koniec pokoju, gdzie pośród różnych zaścielających jego biurko rzeczy, znalazł ten porcelanowy portrecik. Owalny, oprawiony w złotą, filigranową ramkę. Nie był widoczny w ciemności. Guido zawahał się, patrząc na niewyraźną, siedzącą na skraju łóżka postać.

Potem włożył malowidło w ręce Tonia.

- Wiele dni temu prosiła, by ci to przekazać - wyznał, nie analizując przyjemności, z jaką wręczał teraz prezent TONIOWI.

Tonio spojrzął na portrecik; włosy wymykały mu się ze wstążki i spadały na twarz.

- Doskonale cię oddała, prawda? I to tylko z pamięci! - Guido potrząsnął głową.

Spoglądał w dół na małą podobiznę Tonia, białą twarz, czarne oczy. Portret lśnił na rozłożonej dłoni Tonia jak biały płomień.

- Będzie na mnie zła - rzekł Guido - że o tym zapomniałem. Nie zapomniał. Czekał tylko na chwilę taką jak ta, gdy choć raz wszystko stanie się ciche i spokojne; nie wiedział, czemu dało mu to taką satysfakcję.

- A jak jej się powodzi? - szepnął Tonio. Jego głos zabrzmiał piskliwie, jakby mówiąc wciągał powietrze, zamiast je wypuszczać. - Mieszka sama w Rzymie, maluje portrety?

- Och, zrobiła furorę. - Guido uśmiechnął się - Chociaż wydaje mi się, że ostatnio spędza zbyt dużo czasu w operze.

Guido patrzył, jak Tonio raz jeszcze zerka na portret.

Za każdym podniesieniem kurtyny patrzył na łożę Christiny i składał jej niski, pełen wdzięku ukłon. Ona zaś przechylona przez barierkę, posyłała mu w dół promienny uśmiech, bijąc małymi dłońmi szaleńcze brawa.

- Ale jej życie prywatne! - naciskał Tonio. - Czy nikt się o nią nie stara? Czy hrabina nie? To znaczy...

Guido odczekał chwilę, po czym odwrócił się powoli i podszedł do biurka. Usiadł i patrzył przez okna na rozjaśniające się, zmieniające kształt niebo, pozbawione gwiazd, ale pokryte pierwszym blaskiem zimowego słońca.

- Czy nie ma rodziny, która interesowałaby się tym, co ona robi? - szepnął Tonio. - I cóż pomyśleliby wiedząc, że przesłała prezent takiemu... - Znowu przerwał, trzymając teraz portrecik w obu dłoniach, jakby był czymś niezwykle kruchym.

Guido nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Ona jest niezależną młodą kobietą, Tonio - powiedział delikatnie - i tak jak my, żyje własnym życiem. - I jeszcze łagodniejszym tonem dodał: - Czy to znowu ja mam być osobą, która wepchnie cię w czyjeś ramiona?

CZEŚĆ SZÓSTA

1

Tonio zgiął się w ostatnich ukłonach, przepchnął do swej garderoby przez oszłamiający tłum za kulisami i powiedziawszy signorze Bianchi, by odesłała stangreta Raffaele z wyrazami ubolewania, szybko się przebrał.

Po drugim antrakcie przesłał Christinie bilecik i przez całą dalszą część przedstawienia cierpiał katusze.

Kiedy wreszcie opadła kurtyna, Paolo włożył mu do ręki jej odpowiedź.

Jednak dopiero kiedy ubrał się już we własny strój, nie czesząc rozczochranych włosów, otworzył jej liścik:

Plac Hiszpański, Palazzo Sanfredo; moje studio jest na ostatnim piętrze.

Przez chwilę nie był w stanie nic zrobić. Guido wszedł z jakąś doniosłą wiadomością na temat sezonu wielkanocnego we Florencji i z pierwszą propozycją, by przed wyjazdem za granicę wystąpili w każdej większej włoskiej operze.

- Wkrótce trzeba będzie im dać na to odpowiedź - powiedział, pukając palcem w trzymany w ręce skrawek papieru.

- Ale dlaczego, co chcą wiedzieć? - szepnął Tonio.

Weszła signora Bianchi, z trudnością zamykając za sobą drzwi. - Musisz wyjść chociaż na kilka minut - powiedziała jak co wieczór.

- ...bo mówimy o Wielkanocy, Tonio, która nastąpi zaledwie czterdzieści dni po tym, jak skończymy występować tutaj. O Florencji, Tonio! - wykrzyknął Guido.

- Tak, oczywiście, to znaczy porozmawiamy o tym, Guido - wyjąkał Tonio, na próżno usiłując rozczesać włosy.

Czyżby złożył liścik Christiny i schował go do kieszeni? Guido nalewał sobie wina do kielicha.

Do garderoby wsunął się Paolo z zaczerwienioną twarzą i z przesadzonym westchnieniem ulgi oparł się o drzwi.

- Wyjdź tam, Tonio. Będziesz to miał za sobą! - powiedziała signora Bianchi. I odwróciwszy go, popchnęła go w tłum.

Czemu było to dla niego tak trudne? Wszyscy chcieli go dotknąć, pocałować, ująć jego dłoń i powiedzieć, jak wiele znaczy dla nich jego śpiew; we wszystkich było tyle uczucia, że nie chciał ich zawieść. Jednak im więcej się uśmiechał i kiwał głową, tym więcej mówili, więc nim udało mu się z powrotem dotrzeć do garderoby, był tak podekscytowany, że wziął od Guida wino i całe je wypił.

Jak zwykle wnoszono kwiaty, wielkie bukiety pięknych, cieplarnianych kwiatów, a signora Bianchi szeptała mu do ucha, że za drzwiami czekają ludzie hrabiego di Stefano.

- Cholera! - powiedział. Czuł w kieszeni liścik Christiny. Nie widniał na nim żaden podpis, ale mimo to wyjął go nagle i choć Guido, Paolo i signora Bianchi patrzyli na niego jak na wariata, spalił go doszczętnie w płomieniu świecy.

- Czekaj chwilę - odezwała się signora Bianchi, kiedy odwrócił się do wyjścia. - Gdzie idziesz? Powiedz nam.

- Co to za różnica! - odparł ze złością, a gdy ujrzał na twarzy Guida tajemniczy uśmiešek, udawaną wyższość w stosunku do tego młodzieńczego uczucia, ogarnęła go bezgłówna wściekłość.

Kiedy tylko wyszedł na korytarz, ujrzał ludzi Raffaele. Nie byli to słudzy hrabiego, tylko jego siepacze.

- Signore, Jego Ekscelencja pragnąłby zobaczyć się...

- Wiem, ale dzisiaj to niemożliwe - odparł szybko Tonio i ruszył do wyjścia.

Przez chwilę miał wrażenie, że mężczyźni go nie przepuszczą. Nim jednak sięgnął po szpadę czy zrobił coś równie głupiego, raz jeszcze powtórzył swą lodowatą odmowę. Najwyraźniej nie byli na to przygotowani, nie wiedzieli, co robić, a nie mieli na tyle odwagi, by siłą wepchnąć go do czekającego na zewnątrz powozu.

Kiedy jednak Tonio wspiął się do własnej karety i zauważył, że dosiadają koni, każąc stangretowi jechać na Plac Hiszpański, ułożył sobie pewien plan.

Przy Palazzo Sanfredo kareta zwolniła. I dwie przecznice dalej, gdy niemal ocierała się o mury, Tonio wymknął się, zamykając szybko drzwi i stał w ciemności, patrząc jak mijają go siepacze hrabiego.

Nadeszła ta znacząca chwila.

Wszedł do pałacu i, widząc płonąca na półpiętrze pochodnię, stanął nieruchomo i spojrzał w górę. Klatka schodowa była tak zaniedbana i zimna jak ulica. Patrząc na nią, porzucił wszelką

myśl. Wiedział, jakie nawiedziłyby go myśli, gdyby tylko im na to pozwolił: że przez trzy, właściwie cztery lata, nie trzymał w ramionach żadnej kobiety, nie mówiąc już o tej. I że nie jest w stanie umknąć temu, co go czeka, chociaż prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, jak to się wszystko skończy.

W pewnej chwili powziął postanowienie. Christina nie wyda mu się piękna; ani słodka. Wtedy się od niej uwolni. Ale nie poruszył się.

Nie był przygotowany na nagłe otwarcie się drzwi i wkroczenie dwóch rozmawiających w swym ojczystym języku Anglików, którzy natychmiast wylewnie go powitali. Jego wzrost zdawał się ich przerażać, chociaż sami byli nieco wyżsi niż przeciętny Włoch. Czuł się upokorzony. Był pewien, że wpatrują się w niego, ponieważ jest odrażający; z chłodem patrzył, jak wspinają się po schodach.

Przyszło mu do głowy, że gdyby w pobliżu znajdowało się lustro, mógłby ujrzeć w nim przerośnięte dziecko, które czasem widywał; a może po prostu potwora. Zastanawiał się. Ogarniał go smutek i pomyślał, że mógłby tej nocy pojechać do hrabiego, a dziewczyna, którą by w ten sposób obraził, od tej pory unikałaby go.

Ze zdziwieniem położył nogę na pierwszym stopniu i wszedł na górę.

Drzwi do jej studia stały otworem, a pierwszą rzeczą, którą ujrzał, był firmament; czarne, rozjaśnione gwiazdami niebo.

Sam pokój był wielki, pusty i nieoświetlony, a naprzeciw i po prawej stronie Tonio zauważył ogromne, wznoszące się wysoko okna. W suficie tkwiła duża, otwierająca się w noc szyba.

Jego kroki brzmiały głucho. Przez chwilę stracił równowagę, jak gdyby niebo otaczające ten mały szczyt w samym środku Rzymu przesuwawało się, jak kołyszący się statek.

Gwiazdy wydały mu się cudowne. Niezwykle wyraźnie dostrzegał konstelacje. Przez długą chwilę wdychał pełną piersią otaczające go chłodne, świeże powietrze i bardzo powoli obracał się pod niebem, jakby niczego na świecie nie musiał się obawiać, jakby poczuł się nagle mały i wolny.

Dopiero później przed jego oczyma ukazały się sprzęty: stół, krzesła, ustawione na sztalugach malowidła z zaznaczonymi na białym tle ciemnymi postaciami, buteleczki, słoiki. Poczul zapach terpentyny przebijający nagle przez intensywniejszą, rozkoszniejszą woń farb olejnych.

Potem ujrzał Christinę otuloną całunem cienia, stojącą daleko w rogu przy oknie. Jej głowę okrywały wiotkie fałdy kapturka.

Ogarnął go obezwładniający strach. Zaczęły gnębić go myśli o wszelkich trudnościach, jakie sobie wyobrażał. Cóż jej powie? Jak zaczną? Co zajdzie między nimi? Jakie poczynili założenia? Czemu oboje się tu znaleźli?

Poczuł drżenie nóg i, zadowolony z panującego mroku, skinął głową. Do tego wysokiego pokoju wkradał się smutek; smutek oplatał go i gasił noc. Dziewczyna wydawała się Toniovi tak niewinna, a wspomnienie jej urody prawie niezemskie.

Ciemna, tajemnicza postać zbliżyła się do niego i z pustki dobiegł głos Christiny:

- Tonio - powiedziała, jakby już łączyły ich jakieś intymne więzy, i słuchając jej cichego, słodkiego głosu, dotknął palcem własnej wargi.

Dostrzegł teraz jej twarz pod kapturem, który przywiódł mu na myśl przerażające skojarzenie z zakonnikami towarzyszącymi skazańcom na szafot, wyciągnął więc dłonie i z łatwością sięgając przez dzielącą ich przepaść, zdjął kapturek z jej włosów.

Nie odsunęła się. Nie wystraszyła. Nie bała się nawet jego palców zaplątanych w jej sztywne loki, rozczesujących kosmyki włosów i zaciskających się z tyłu jej głowy. Podeszła bliżej.

I nagle, stając na palcach, oddała mu całe swe ubrane w cienką wełnę i koronki ciało, a Tonio poczuł niezwykłą miękkość jej podbródka, usta tak niewinne, że pozostały rozluźnione, nie potrafiąc całować, po czym zauważył jak delikatność Christiny rozplywa się pod wpływem przeszywającego jej ciało pożądania.

Jej żądza przeniknęła Tonia, czuł ją w kończynach, sącył ją ustami z ust Christiny, z cieplej, słodkiej skóry jej szyi i wreszcie z krągłości zakrytych piersi.

Przerwał, przycisnął jej głowę do swych piersi tak mocno, że mógł ją tym zranić, po czym uniósł połyskujące włosy, które skrzyły się złotem nawet w tym ciemnym, zimnym pokoju i ukrył w nich twarz. Poczuł drobne, wijące się kosmyki i westchnął cicho.

Dziewczyna odsunęła się, i ująwszy dłoń Tonia, zaprowadziła go do innego pokoju.

Nawet jej miękkie, jasne palce wydawały mu się dziwne i cenne. Podniósł jej dłoń do ust.

Przed nimi, przy odległej ścianie stało łóżko otoczone meblami w pokrowcach, jakby pokój nie był używany.

- Świece - szepnął Tonio do dziewczyny. - Światło.

Stała nieruchomo, jakby go nie rozumiała. Potrząsnęła głową.

- Chcę cię widzieć - szepnął i przyciągnawszy ją do siebie tak, że znów musiała stanąć na palcach, uniósł lekko w górę i trzymał tak, że patrzyli sobie w oczy. Jej włosy opadły w przód, jakby chciały ukryć ich obojga, i przez chwilę Tonio nie czuł nic prócz własnego wewnętrznego drżenia i przenikających go drgnień ciała Christiny.

Uniósł ją wtuloną w jego ramię. Omal nie zdawał sobie sprawy z tego, że zamknął zasuwę. I znalazłszy niewielki kandelabr, wziął go ze sobą do łóżka, wokół którego zaciągnął wszystkie ciężkie, aksamitne, pachnące intensywnie kurzem zasłony. Kiedy zapalił zapałkę i dotknął jej płomykiem świec, a ten mały, miękki, otoczony draperiami pokoik zalało światło, ujrzał klęczącą przed sobą Christinę, której twarz pełna była ślicznych kontrastów. Ciemnoniebieskie oczy otoczone czarnymi rzęsami były wilgotne, jakby płakała, a nigdy nie malowane usta miały dziewiczy, różowy kolor. Niespodziewanie spostrzegł, że pod czarną peleryną ma tę suknię ze wspaniałego, fioletowego jedwabiu, którego lśnienie nadawało jej policzkom nieziemski blask i sprawiało, że krągłe piersi Christiny wzniesione nad falbankami dekoltu wydawały się tak nadzwyczajnie białe, iż niemal lśniły. Jej skóra, policzki pokryte najdelikatniejszym, jasnym puszkim błyskały odcieniem fioletu.

Tonio objął to wszystko jednym spojrzeniem, najbardziej wzruszył go jednak wyraz twarzy dziewczyny. Wzruszył i przestraszył; przyspieszył i tak bijący już mocno puls, bowiem Tonio dostrzegł goszczącego w jej ciele ducha, równie niezłomnego i niepohamowanego, co jego własny. Nie bała się go; była zachwycona, odważna, zdecydowana. Wyciągnęła dłoń do świec i błagała go wzrokiem, by je zdmuchnął.

- Nie... - szepnął. Sięgnął dłonią, by dotknąć jej twarzy, lecz zawahał się. O ileż łatwiej było dotykać całej reszty jej ciała w ciemności; potem musnął palcami ten delikatny, biały puszek i znajdującą się pod nim skórę; skrzywił się, jakby coś go zabołało. Z twarzy Christiny zniknęła powaga; jej zmarszczone, ciemne brwi były teraz długie i proste, jakby namalowano je jednym pociągnięciem pędzla nad promiennymi oczami dziewczyny, w których lśniły zamazujące i potęgujące ich błękit łzy.

Zgasił palcami świece i zaciągnawszy zasłony odgradzające ich od bladego światła wypełniającego pokój, odwrócił się do niej spragniony i chociaż Christina odsunęła się, zaniepokojona jego niecierpliwością, uwolnił z jedwabiu i falbanek jej piersi.

Krzyknęła cicho. Odpychała go, lecz Tonio ponownie schwycił ją i zatrzymał pocałunkami, czując nagle jej zęby i wzruszającą miękkość skóry nad górną wargą. Odwrócił Christinę, przechylił ją tak, że nie całował już teraz jej ust, lecz jakiś mały, miękki otwór.

Pozwolił, by opadło z niego ubranie. Ich ciała gniotły je, aż wreszcie Tonio położył się na Christinie, złożony głowę na jej piersiach.

Namiętność kazała mu porzucić dobre maniery. Przepelniony zapachem i widokiem Christiny, Tonio otoczył ustami jej sutek, potem drugi; czuł, jak dziewczyna sztywnieje pod nim i uniósłszy się na kolana, podniósł także ją, jakby na chwilę próbował uchronić przed sobą samym.

Włosy dziewczyny opadły na jego nagie ramiona; czoło dotykało jego policzka jak ciepły kamyk; żar jej nabrzmiąłych, miękkich piersi na jego ciele był spełnieniem wszystkich marzeń Tonia, a ona sama była słodyczą, uległością i Tonio, niezdolny dłużej czekać, czuł, że musi ją osiąść.

Opierała się, kiedy nagle na nią opadł. Zesztywniała; uspokajał ją pocałunkami, zbliżając dłoń do wilgotnych włosów między jej nogami.

A kiedy wydała cichy okrzyk strachu, czekał, czekał, dotykał tego sekretne miejsca, czuł, jak rośnie, wydając przenikający Tonia, ostry zapach.

Christina otaczała go ramionami, zatapiała się w nim, aż wreszcie uniosła biodra i Tonio wdarł się do niej, czując otaczający go ciasny otwór i tracąc kontrolę nad własnym ciałem. Był już na skraju wytrzymałości, gdy poczuł barierę jej dziewictwa i zatopił się w ekstazie.

Płakała. Przytulona do niego płakała, odgarniając ręką z twarzy mokre kosmki włosów. Usiadł na łóżku, obejmując ją ramieniem. Patrząc na pochyloną, otoczoną powodzią włosów postać i unosząc w górę jej twarz czuł, że umarłby, gdyby miała się teraz odsunąć.

- Nie chciałem cię zranić... - szepnął. - Nie wiedziałem...

Ale Christina oddała mu swe usta równie chętnie jak przedtem.

Przylgnęła do niego nagim, bezradnym ciałem przypominającym zbiorowisko wonnych cieni i kształtów; na prześcieradle widniała ciemna plama dziewiczej krwi.

Tonio jeszcze raz skierował do niej ciche, pocrzepiające słowa, otoczył ją ramieniem swego głosu i pocałunkami. Sam miał wrażenie, że to co mówi, dobiega spoza jego ciała, z bardzo, bardzo daleka. Po prostu kochał ją do szaleństwa. Należała do niego, widok krwi na prześcieradłach pozbawił go jakiegokolwiek racjonalnej myśli. Christina była jego i nigdy przedtem nie posiadał jej inny mężczyzna. TONIEM targano szaleństwo i żądza. Życie jawiło się

przed nim jak miotana wstrząsami, niewyraźna, cienka dróżka wijąca się ku północy; był przerażony. Ogarnęła go ślepa żądza, którą zaledwie kilka miesięcy temu obserwował u kardynała w czasie ich pierwszych, pełnych zamieszania nocy, by koniecznie dać jej rozkosz.

Kilka miesięcy! Wydawało się, że minęły lata. Czas uczynił te wydarzenia równie odległymi i fantastycznymi, jak Wenecję.

Pragnął posiąść ja raz jeszcze. Teraz zrobi to z taką wprawą i delikatnością, że ból rozplynie się, jak płynąca spomiędzy jej nóg krew, a Tonio ucałuje to miejsce i jedwabistą skórę między jej udami, pod pachami i ciężkimi, białymi piersiami, dając jej coś, czego nie mógłby ofiarować inny mężczyzna: wszystkie tajemnice cierpliwości i umiejętności, kadzidło i wino wszystkich tych nocy, w czasie których chleptał miłość dla samej miłości, gdyż nie miał jeszcze w ramionach tej cennej, drżącej, delikatnej istoty.

- Zagadka, zagadka - szepnął i poczuł przenikające go pulsowanie.

Kiedy o dziesiątej następnego ranka ocknął się we własnym łóżku w pałacu, szybko przystąpił z Paolem do rozgrzewania głosu w szeregu skomplikowanych duetów. Następnie ubrał się w swój ulubiony żakiet z szarego aksamitu, tkaną kamizelkę i śnieżnobiałe koronki, przypasał najcięższą szpadę i natychmiast udał się na Via de Corso, gdzie tak dyskretnie jak mógł, przeszedł z własnej karety do jadącego obok powozu Christiny.

Wyglądała wspaniale: Tonio rzucił się na nią, obsypując szorstkimi pocałunkami, i wzięły ją natychmiast w powozie, gdyby tylko dała się do tego namówić.

Jej włosy były ciepłe, przepojone gorącą wonią porannego słońca, a kiedy zmrużyła lekko powieki, ciemne rzęsy sprawiły, że oczy wydały się pełne jeszcze przejrzystego błękitu i piękna. Dotknął jej rzęs palcem. Poczuł, że kocha jej lekko wydętą, pełną dolną wargę.

Miał jednak wrażenie, że gdyby jednak tylko na to pozwolił, ogarnąłby go smutek, przestał ją więc całować i zadowolił się trzymaniem w ramionach. Posadził ją sobie na kolana; otoczył prawym ramieniem. Włosy Christiny załyły go powodzią pszenicznej żółci, a jej twarz przybrała pociągający wyraz niewinności i powagi. Tonio po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu:

- Christina. - Zmarszczywszy brwi, usiłował żartem wymówić je tak, jak robili to Anglicy i ona sama, zbijając głoski w jeden nieprzerwany ciąg; nie udało mu się to jednak, więc wypowiedział je jak włoskie imię, trzymając język z przodu, tak że powietrze śpiewnie, bez oporu formowało sylaby.

Zaśmiała się żywo.

- Nie powiedziałaś nikomu, że byłem u ciebie zeszłej nocy? - spytał nagle.

- Nie. A dlaczego nie powinnam tego robić?

Jej sopranowy głos, nakazujący szacunek, oczarowywał go. Z trudnością zwracał uwagę na słowa.

- Jesteś młoda, głupiutka i najwyraźniej nie znasz świata - odparł. - Nie pozwolę, byś na tym ucierpiała. Nie zniósłbym nawet myśli o tym. Nie dbasz o siebie.

- Czyżbyś już chciał mnie opuścić? - spytała.

Pytanie to wprawilo go w oslupienie; zastanawial sie, czy widać to na jego twarzy. Nie potrafil jednak teraz skoncentrować sie na niczym prócz tego, że jest blisko niej, trzyma ją w ramionach.

- Pozwól więc, że odstraszę cię raz na zawsze - powiedziała. - Pozwól, że powiem ci, jak niewiele dbam o opinie świata.

- Hmm... - Rozpaczliwie usiłował jej słuchać. Była jednak zbyt ponętna, a zuchwałość, z jaką mówiła, czyniła ją szczególnie rozkoszną. Emanowała z niej determinacja, jakby naprawdę była człowiekiem, choć wydawało się całkowicie niemożliwe, by miała w sobie coś ludzkiego i by w tak pięknym ciele mógł gościć rozum.

Bzdury; wydawało mu się tak tylko dlatego, że była bardzo ponętna, a jednocześnie tchnęła niezwykle widoczną, błyskotliwą inteligencją.

- Nie obchodzi mnie, czego oczekują inni - wyjaśniała. - Byłam mężatką. Byłam posłuszna. Robiłam, co mi kazano.

- Miałaś jednak za męża, jak rozumiem, człowieka zbyt starego, by pamiętać o swych prawach i przywilejach - odparł Tonio. - Jesteś młoda, odziedziczyłaś majątek, możesz powtórnie wyjść za mąż.

- Nie mam zamiaru - odparła, mrużąc oczy przed słońcem przeświecającym między zwisającymi liśćmi. - Dlaczego właśnie ty mówisz mi to wszystko? - spytała ze szczerą ciekawością. - Czemu tak trudno jest ci pojąć, że chcę być wolna, malować, mieć własne studio i żyć tak, jak mi się podoba?

- Teraz tak mówisz - odparł - ale później możesz zmienić zdanie, a nic nie zaszkodziłoby ci bardziej niż nierozwaga.

- Nie. - Dotknęła palcami jego ust. - Kocham cię. Zawsze cię kochałam. Dobrze wiesz, że kocham cię od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam cię wiele lat temu. Nawet wtedy byłeś tego świadom.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Kochałaś kogoś, kogo widziałaś na scenie, na chórze w kościele...

Niemalże wybuchnęła śmiechem. - Kochałam ciebie, Tonio, i teraz też darzę cię miłością - powiedziała. - Nie świadczy to o braku rozwagi, a nawet gdyby, to z pewnością nie przejmowałabym się tym.

Pochylił się, by ją pocałować, przez chwilę dając wiarę słowom. Trzymając ją w ramionach, czuł słodycz młodości i niewinności Christiny, zmienioną nagle w coś mocniejszego i dojrzałego.

Powiedział jednak cicho: - Boję się o ciebie. Niezupełnie cię rozumiem.

- A cóż tu jest do rozumienia - szepnęła mu do ucha. - Czy przez wszystkie te lata w Neapolu nie dostrzegałeś, jaka byłam nieszczęśliwa? Zawsze mnie obserwowałeś. - Pocałowała go i oparła na nim głowę.

- Cóż mogę ci powiedzieć o moim życiu? Że maluję od rana do wieczora? Nocą tworzę przy słabym świetle. Marzę o zamówieniach, o ścianach kaplic i ogromnych kościołów. Coraz częściej przekonuję się, że pragnę malować twarze bogatych i biednych, tych, którzy czynią mnie tak popularną i tych, których spotykam czasem na ulicach. Czy tak ciężko to zrozumieć?

Nie mógł powstrzymać się od dotykania i gładzenia jej; odgarniał jej złote loki tylko po to, by patrzeć, jak delikatnie spadają w dół.

- Czy wiesz, kim jestem? - odezwała się ze ślicznym uśmiechem. - Na Placu Hiszpańskim poznałam taką radość, że stałam się prostytutką.

Wybuchnął śmiechem.

Wkrótce jednak pochłonęły go jej słowa i wyraz twarzy uległ zmianie. - prostytutką - szepnął.

- Tak, kimś w rodzaju głupca. - Zmarszczyła brwi. - Wstając, myślę o malowaniu, idąc spać, myślę o malowaniu i istnieje dla mnie tylko jeden problem: by znaleźć wystarczającą ilość wolnych godzin w ciągu dnia...

Zrozumiał. W najstraszniejszych chwilach, kiedy nie był w stanie odegnąć od siebie myśli o Carlu i Wenecji, kiedy zdawało się, że napierają na niego ściany Palazzo Treschi, a światło może być tylko weneckie, pragnął prostoty, o jakiej mówiła. I osiągnąłby ją, gdyby nie to wszystko. Guido posiadał tę boską prostotę, ponieważ muzyka stanowiła trawiącą go namiętność, jego pracę i marzenie. Przez ostatni tydzień, kiedy maestro pracował ponad siły dzień i noc, ona właśnie czyniła jego twarz tak dziwnie pozbawioną wyrazu.

- Gdyby nie brak miłości i samotność - mówiła Christina, a jej głos stał się odległy i znaczący - ...gdyby nie brak miłości i samotność, moje życie, takie jakie jest, byłoby boskim darem.

- Czy więc potrzebna jest tylko miłość? - szepnął. - Czy moje uczucie to wszystko, czego trzeba, by uczynić je darem od Boga?

Uniosła się, otaczając ramionami szyję Tonio. Za nią zabłysło złote, zielone, potem ciemne światło, a on zamknął oczy i przytulając ją, obejmował długimi, szerokimi rękami, czując jak jest drobna i miękka. Miał wrażenie, że jeśli kiedykolwiek wcześniej zaznał takiego szczęścia, to musiał o nim zapomnieć, ale z pewnością nigdy nie wyrzuci z pamięci tej chwili, bez względu na to, co po niej nastąpi.

Wszystko, co robili do południa, wydawało się lekkie i szybkie.

Odwiedzili kilka sklepów, w których Christina szukała starych obrazów i targowała się o nie żarłocznie jak mężczyzna. Znała właścicieli sklepów, a kilku z nich nawet jej oczekiwało; sunęła przez stosy zakurzonych skarbów z taką pewnością, jakby zapomniała na chwilę, że jest z nią Tonio.

Zachwycały go te ciemne, zatłoczone miejsca. Oglądał stare manuskrypty, mapy, szpady. Znalazł plik nut z muzyką Vivaldiego i inne, jeszcze starsze utwory, które natychmiast kupił.

Jednak większość czasu spędził obserwując z cichą fascynacją Christinę, z którą handlarze przekomarzali się i targowali po to tylko, by w końcu zgodzić się na jej cenę. Kupiła fragmenty starorzymskiej rzeźby, które Tonio kazał stangretowi owinąć ostrożnie w starą pościel i przymocować do powozu; Christina wyjaśniła w tym czasie, że ma zamiar potraktować je jako model, z którego będzie malować. Kupiła też spękane, pociemniałe, ale pełne bogatych, żywych detali portrety.

Przebywając z nią czuło się swobodę. Tonio podniecało jej opanowanie i był zachwycony tym, że jej życie napęłnia się treścią. Słuchał, jak mówi o swych skarbach i o tym, że musi nauczyć się lepiej malować dłonie i stopy, przyjrzeć się, jak zostały oddane te kwiaty, tamte kotary. Słuchał też, jak objaśnia, które malowidło jest dobre, które złe.

Miał cudowne wrażenie, że zawsze ją znał, zawsze był z nią, cieszył się jej delikatnym towarzystwem, jednocześnie zaś każdy jej gest, sposób w jaki odrzucała złote włosy, był dla niego nowy i zaskakujący.

Powóz wyjechał z Rzymu i podążał na południe przez tereny pełne ruin, wśród których widać też było od czasu do czasu wielki, porośnięty winoroślą akwedukt czy kolumnę oznaczającą jakąś niszczącą budowlę. Christina mówiła cicho o pięknie Włoch, które - gdy

ujrzała je po raz pierwszy - wydały jej się krajem marzeń. Opowiadała, że zawsze delikatny mąż woził ją wszędzie, gdzie chciała; pozwalał jej szkicować i malować do woli.

Przez jakiś czas Tonio wiedział, że są w pobliżu willi hrabiny, później jednak pojechali bardziej na południe, w kierunku morza i sunęli aleją porośniętą wyschniętymi topolami, wznoszącymi swe cienkie kolce ku błękitnemu niebu.

Tonio ujrzał przed sobą prostokątny dom o spękanej, pomalowanej kiedyś na brunatnożółty kolor fasadzie, pokrytej teraz różnymi kolorami przez pogodę. Miękka farba łuszczyła się tak, że gdzieniegdzie trzepotała jak płatki kwiatów winorośli. Błyszczała jednak w zalewającym budynek słońcu; kiedy podjechali bliżej, Tonio zauważył, że okna zieją czernią. Christina, ująwszy jego dłoń, wprowadziła go przez otwarte frontowe drzwi.

Na ciemnych kamienicach leżały liście. Z cienia dobiegł szelest wywołany przez chyże kurki biegnące ku światłu. Pod wysokimi sufitami niosło się głucho, przenikliwie beczenie owiec, pod malowanymi ścianami stały gnieniegdzie sterty słomy i płynęły rzeczki, pozostałe po deszczu spływającym po freskach na szczątki mebli.

- Czyj to dom? - spytał. Idąca przed nim Christina, unosząca spódnice tuż nad podłogą, wyglądała majestatycznie dzięki swemu wzrostowi. Fale włosów spływały na jej plecy, sięgając poniżej pasa.

Stanął nieruchomo. Niemalże drżąc patrzył na ten obraz ruiny, który nagle przeniósł go w przeszłość, do jakiejś słonecznej chwili w Wenecji, kiedy stał z tamburynem w ręku w takich właśnie pustych pokojach; rozległa się rytmiczna, niepohamowana muzyka, która ucichła, gdy zamknął oczy i poczuł na powiekach ciepło słońca.

Coś krążyło w powietrzu. Nie czuł ani smutku, ani żalu. A kiedy otworzył oczy, ujrzał promienie dnia przedzierające się przez okna, ziemię rozciągającą się, wznoszącą w oddali i miał wrażenie, że ten budynek jest szkieletem domu, otwartym na deszcze, wiatry, zapach zieleni i wyrastające z ziemi rośliny.

Christina stała na schodach, przywołując Tonia skinieniem ręki.

- To mój dom - powiedziała, wspierając się na jego ramieniu, kiedy za nią podążył. - Jeśli go zechcę. Otrzyma twoje błogosławieństwo? - Spojrzała na niego niewinnie i niespodziewanie bezradnie. - Mogłabym pracować i jeździć po całej Europie. Mogłabym malować portrety, a może nawet moje wymarzone, wielkie kościelne malowidła; a potem wracałabym tutaj, do tego budynku, do mojego domu.

Poszedł za nią po schodach do ogromnego salonu, z którego widać było rozciągającą się niżej okolicę. Trawa rosła tak wysoko jak pszenica, kołysana wiatrem przy długim szarym ogrodzeniu z topoli. Niskie chmury błyskały złotem.

Stała przed nim nieruchomo, a jej twarz była tak okrągła i mała, policzki wydawały się tak miękkie, że miał ochotę ująć ją w obie dłonie.

Czuł teraz żywotność Christiny równie głęboko jak kilka chwil temu, gdy mówiła o swych marzeniach. Nagle uderzyło go, że otaczają go mężczyźni i kobiety, cała społeczność, która nie wie nic o takiej żywotności, takich marzeniach. Guidowi nie były one oczywiście obce; ani Bettichinowi. Znali je wszyscy, którzy pracowali i żyli dla muzyki. Ona również.

To właśnie oddzielało ją od hrabin, markiz, hrabiów - wszystkich tych wspaniale odzianych istot, z których składała się krzycząca z zachwytu i oklaskująca go co noc widownia. Czuł, że prawie rozumie Christinę, jej słowa i czyny, całą jej siłę, pojmuje, czemu zawsze wydawała mu się samotna, nawet wiele lat temu, kiedy tańczyła w tych komnatach wypełnionych ludźmi.

Patrzył na nią, wpatrywał się w jej ciemniejące, zmartwione oczy.

Zastanawiał się nad tym, jak sobie ją kiedyś wyobrażał - jako cielesną piękność, która zwróci mu straconą moc? A teraz stała przed nim - ta łuska, którą mu się wydawała. Głupiutka, piękna, nieosiągalna istota - która nagle z drzeniem otworzyła się przed nim ukazując całą siebie. I ujrawszy na jej twarzy smutek, na pewno smutek, Tonio przyciągnął dziewczynę do siebie i wziął w ramiona.

Ujął jej twarz w dłonie. Odgarnął włosy z oczu i oddał się jej, a ona uległa i kochali się na posłaniu z siana, dając sobie nawzajem własne ciepło.

Śnił o śniegu.

Nie widział go od czasu Wenecji, a z pewnością nie widział takiego obfitego, pokrywającego wszystko puchową kołderką, zacierającego wszystko śniegu. Śnił jednak, że budzi się w tym właśnie miejscu i widzi ziemię pokrytą białymi płatkami, tak daleko jak sięga wzrok. Nagie topole lśniły od lodu, a w zagięciach ich kolczastych gałęzi błyszczał śnieg. Lekkie, wspaniałe płatki spadały na cały świat, wpadały przez potłuczone okna, tak że leżały nawet na otaczającej Tonia podłodze, tworząc dywan o zadziwiającej bieli.

Christina była z nim. Nie mógł jej jednak dotknąć. Na ścianie przed sobą zauważył setki namalowanych postaci, których nie było tam przedtem: długoskrzydłe archanioły z płonącymi

mieczami, zapędzające potępionych do piekła i świętych patrzących w niebo w paroksyzmach śmiertelnego bólu. Ich nakreślone czarną kredą postacie wydawały się teraz tak pełne życia, jakby ręka Christiny zaledwie uwolniła je z muru, który je więził. Tonio widział ich ściągnięte brwi, wrzące na niebie chmury nad głowami i płomienie unoszące się, by pochłonąć zwyciężonych grzeszników.

Przeraził go ten obraz, jego ogrom i jej maleńka postać ze spływającymi na plecy włosami. Przesuwała się z miejsca na miejsce, kołysząc miękko spódnicami i wyciągała rękę, by zamazać to, co wydawało się nieuniknione i niezmiennie.

Kiedy się odwróciła, zauważył, że i ją pokrył śnieg wpływający przez otwarte okna, by zapalić światełka płatków na jej sukni, piersiach, krągłych ramionach. Włosy Christiny roiły się od nich, a płatki opadały delikatnie, pokrywając ich obojga.

Co miał znaczyć ten padający w tak dziwnym miejscu śnieg? Nawet we śnie rozpaczliwie pragnął znaleźć odpowiedź. Czemu tak nadzwyczajne miejsce, takie oślepiające piękno? Spojrzawszy raz jeszcze na falisty krajobraz, rozciągający się pod perłowym niebem, pomyślał, że może wcale nie jest we Włoszech, a gdzieś bardzo, bardzo daleko od wszystkiego, co kochał, czego się obawiał i co nadawało jego życiu znaczenie. Wenecja, Carlo, życie podążające wolno ku chaosowi nie istniały! Był po prostu gdzieś na świecie, nie w jakimś konkretnym miejscu, a cienka pokrywa śniegu stawała się coraz grubsza, bielsza, coraz bardziej oślepiająca.

Stojąc tak, czuł, że otaczają go ramiona Christiny. Anioły i święci groźnie patrzyli na nich ze ścian, a Tonio wiedział, że ją kocha i już się jej nie boi.

Obudził się.

Na twarz padały mu ciepłe promienie słońca; leżał sam na słomie, popołudnie dobiegało końca, a Tonio przez długi czas nie ruszał się, nawet nie wyciągnął do niej ręki. Dojrzał powoli przez cienie, że tak jak w jego śnie, ścianę pokrywa ogromny szkic, który musiał widzieć, nim zasnął, chociaż tego nie pamiętał. A i ona stała przed nim.

Co noc, gdy opadała kurtyna, wychodził spieszenie, wymykał się z powozu na Via de Corso i podążał płatanią błotnistych uliczek na Plac Hiszpański, by spotkać się z nią w sekrecie, jako że wciąż chodzili za nim siepacze Raffaele.

Stara służąca, pomarszczona i sniada, krzątała się zawsze, ścierając kurze. Układała jakieś nic nie znaczące przedmioty i patrzyła na Tonia z pogardą, jakby był jednym z odwiedzających jej panią "mężczyzn". Na jej widok natychmiast ogarniała go wściekłość. Z szarości pokoju wyłaniała się jednak Christina, by go uspokoić. Chłonęła jego pocałunki jak narkotyk, z na wpół przymkniętymi powiekami i rozpływała się cicho w uczuciu, pozwalając się długo przytulać, nim zaczynała błagać, by pozwolił jej malować swój portret.

Drżał. Miłość zadawała mu katusze. Czyste podniecenie, które odczuwał na scenie, napełniało go głodem i desperacją.

Kiwał jednak głową. Pozwalał jej się oddalić, choć nigdy w życiu jeszcze nikogo tak nie pragnął; czuł się bezradny.

Wkrótce cała pracownia płonęła świecami, rozbłyskujące światło zmieniało wysokie okna w lustra, a Christina, usadziwszy Tonia przed sobą, brała papier, rozpinała go na desce i zaczynała rysować w pastelu portret, zamalowując go szybko, a jej palce pokrywały się kredą.

Rytmiczny szelest kredy na papierze kołysał go często do snu, a zewsząd patrzyły zdrowe, wspaniale rozognione twarze, przyglądali mu się znajomi mężczyźni i kobiety, czy też inni ludzie, powiększeni do ogromnych rozmiarów na tle wielkiego nieba i chmur wyglądających tak prawdziwie, jakby miały się za chwilę poruszyć. W odległej ramie wznosił się nad nim delikatnie tętniący życiem, bezbłędnie rozpoznawalny portret kardynała Calvino, przedstawionego z siłą, która nieco dręczyła Tonia.

Talent Christiny nie ulegał wątpliwości. Malowane przez nią krzepkie postacie, znajome i obce, emanowały niepoohamowaną energią.

W samym centrum pracowała ona, a jej lśniące, wijące się w świetle włosy, wydawały mu się coraz bardziej dziwaczne. Zastanawiał się, czy byłaby zła, gdyby wiedziała, że wygląda w tym miejscu na coś równie egzotycznego jak biały gołąb, który przyleciał z jakiejś wielkiej wysokości, by z doskonałym wyczuciem taktu grać na klawesynie. Była tak zmysłowa,

wydawała się ucieleśnieniem pożądania. Jakże w jej ciele mógł mieścić się rozum, talent i taka silna wola? Sprawiało mu to niewiarygodną udrękę.

I czując, iż niemal zapada w trans, przyprawiał się o jeszcze słodsze cierpienia, wyobrażając sobie, że Christina czyta książki, co z pewnością robiła, albo pisze dzieła filozoficzne, do czego jego zdaniem była zdolna. Podchodził do niej. Christina pracowała zawzięcie, palce miała oblepione kredą, którą łamała, kawałek za kawałkiem, robiąc bałagan w pudełku. Musiała mieć możliwość kładzenia kolorów szalącymi, krótkimi pociągnięciami. Jej twarz drżała; pochłonięta pracą, a Tonio patrzył pustym wzrokiem, pragnąc ją osiąść.

Zawsze starczało jednak czasu na miłość.

Obawiał się, że potem odczuje jeszcze dotkliwszy ból.

Dręczyło go niewyraźne wspomnienie jakiegoś wspaniałego miejsca pełnego muzyki, która nagle milkła, a Tonia ogarniał strach. Był to chyba utwór Vivaldiego, spieszne brzmienie skrzypiec "Czterech pór roku". Czuł, jaka pustka wypełniała powietrze, gdy kończyła się muzyka.

* * *

Wreszcie skończyła obraz. Przez dziesięć pełnych dni znajdował się w jej niewoli, oddawał się tylko operze i Christinie, nikomu i niczemu więcej.

Nadchodził świt. Christina podniosła portret, a Tonio wydał ciche westchnienie.

W emaliowanej miniaturce, którą przesłała przez Guida, uchwyciła słodką niewinność. W tym obrazie Tonio wyczuwał jednak mrok, zamyślenie, a nawet chłód, których - jak mu się zdawało - nigdy nie dawał po sobie poznać.

Nie chcąc jej rozczarować, wymruczał jakieś zwykłe pochwały. Odłożył jednak portret i podszedł do niej, usiadł tuż obok na drewnianej ławce i wyjął jej kredę z dłoni.

- Kochaj ją, kochaj. - Jedynie tyle był w stanie pomyśleć, czuć, robić i raz jeszcze schwycił ją, zastanawiając się nad cienką granicą oddzielającą okrucieństwo od przemożnej namiętności.

Kochać kogoś tak mocno, znaczyło należeć do niego. Wolność odchodziła wraz z rozsądkiem, a szczęście znajdowało sobie doskonałe miejsce, idealną chwilę. Przytulał ją mocno, nie mając ochoty się odzywać i miał wrażenie, że wszystkie jej miękkie, gorące kosteczki przywarły do niego, by zdradzić mu najstraszniejsze tajemnice.

Kochać ją, kochać, osiąść ją.

Zaniósł Christinę do łóżka, wypuścił z ramion, położył; usiłował się w niej zatracić.

A potem nadeszły te spędzane razem chwile, które tak często przeżywał w przeszłości z Guidem, kiedy ciało było nareszcie spokojne i Tonio pragnął tylko być blisko niej.

Nakryto stół. Wniesiono świece. Naciągnęła mu na ramiona szlafrok i zaprowadziła tam, gdzie stara służąca przygotowała wino i talerze pełne dymiącego makaronu. Jedli pieczoną cielęcinę, gorący chleb, a kiedy wreszcie najedli się do syta, a nawet bardziej, Tonio wziął ją na kolana i z zamkniętymi oczami zaczęli obydwójce grać w pocałunki i dotyki.

Wkrótce, kiedy on dotykał, nie patrząc, jej twarzy, ona na ślepo muskała jego twarz; kiedy chwycił jej drobne ramiona, ona brała w dłonie jego i bawili się tak, póki nie poznali wszystkich części swych ciał.

Roześmiał się; ona potraktowała to jako pozwolenie i zaczęła chichotać jak dziecko. Poznali różnice między wszystkimi częściami swych ciał. Tonio dotykał tej jedwabistej, dolnej wargi, krągłego, gładkiego brzucha, skóry w zagięciu kolan i podniósłszy ją, położył ponownie na prześcieradła, by odnaleźć wszystkie te wilgotne szparki, pokryte meszkiem fałdki, wszystkie ciepłe, pulsujące cząstki jej ciała. Za oknem wstawał świt.

Nadszedł poranek. Do pokoju wlało się światło słońca. Tonio siedział przy oknie i skrzyżowawszy ręce na parapecie, myślał o Domenicu, Raffaele i kardynale Calvino, na których wspomnienie czuł wciąż ból i rozbrzmiewało w nim coś jakby dźwięk skrzypiec.

Najdziwniejsze było to, że wszystkich ich kochał. Jednak w tej chwili spokoju z uczuć tych nie zostało już nic, co mogłoby go dręczyć. Guida, Guida kochał teraz bardziej niż kiedykolwiek, ale to uczucie było pełne, ciche. Namietność nie była mu już więcej potrzebna.

Cóż to było? !

Czuł się na wpół oszalały. Spokój snu o śniegu był dla niego nieosiągalny.

Spojrzał na Christinę.

Leżała głęboko uspiona na łóżku. Czuł się jej mężem, bratem, ojcem. Pragnął wynieść ją z tego miejsca, zabrać gdzieś daleko, daleko, ale gdzie? Tam gdzie pada śnieg? Czy z powrotem za bramę willi, w której mogliby zawsze żyć razem? Ogarnęło go potworne przeczucie nieuchronnie czekającego ich nieszczęścia. Cóż zrobił? Czego naprawdę chciał? Nie mógł przecież nikogo i niczego, nawet życia, kochać.

Wiedział, że jeśli teraz od niej nie odejdzie, utraci ją na zawsze. Miał niemalże ochotę płakać, czując jej niewytłumaczalną siłę. Albo znów położyć się obok i po prostu ją przytulić.

Kochał ją tak rozpaczliwie, że wkrótce będzie mogła wyrządzić mu każdą krzywdę. Zrozumiał, że kochając, nigdy jeszcze nie czuł strachu, nie bał się nawet Guida. Ale jej się bał, bał się i nie wiedział czemu; rozumiał tylko, iż jest to miarą siły, jaką dysponowała, by go omotać.

Ale Christina nigdy mu tego nie zrobi. Znał ją. Znał niuanse jej charakteru. Wyczuwał tkwiącą w niej ogromną prostą dobroć, której pragnął całą duszą.

Podszedł szybko do łóżka i wsunawszy ręce pod jej ciało, tulił ją, póki powoli, bardzo powoli nie otworzyła oczu i nie poderwała się na oślep w górę.

- Kochasz mnie? - szepnął. Kochasz mnie?

A kiedy na jego widok oczy Christiny rozszerzyły się, złagodniały i wypełniły smutkiem, Tonio czuł, że całkowicie się przed nią otworzył.

- Tak! - wyszeptała, jakby dopiero teraz sama zdała sobie z tego w pełni sprawę.

Wiele dni później, kiedy w jej pracowni zebrało się pół Rzymu, słońce wpływało przez niezastłonięte okna, a panowie i panie rozmawiali, popijali wino i angielską herbatę oraz czytali angielskie gazety, Christina pochyliła się nad sztalugami; miała pobrudzony kredą policzek, a jej włosy otaczała niedbale fioletowa wstążka. A patrzący na nią z boku Tonio zrozumiał, że do niej należy. - Jakież z ciebie głupiec, Tonio - pomyślał. - Potęgujesz tylko własny ból. - Ale tak naprawdę nie podjął decyzji.

Guido wiedział, że co jest nie tak, lecz Christina nie ma z tym nic wspólnego.

Zbliżał się rzymski karnawał, opera od tygodni osiągała sukcesy, a mimo to Tonio nie chciał rozmawiać o żadnych przyszłych angażach. Bez względu na to, jak mocno naciskał Guido, Tonio prosił zawsze, by zostawiono go w spokoju.

Twierdził, że jest wyczerpany, rozkojarzony; musi iść do Christiny. Oświadczał, że jeśli o trzeciej ma ich obojga przyjąć elektorka, nie jest w tej chwili w stanie o niczym myśleć.

Wymówkom nie było końca. A kiedy od czasu do czasu Guidowi udało się złapać go z tyłu teatralnej garderoby, twarz Tonia sztywniała, przybierała ten zimny wyraz, który wywoływał zawsze w Guidzie ciche przerażenie i chłopak jękał ze złością: - Nie mogę teraz o tym myśleć, Guido. Czy to wszystko nie dosyć?

- Dosyć? To dopiero początek, Tonio - odpowiadał maestro.

Początkowo Guido powiedział sobie, że musi temu być winna Christina.

W końcu nigdy jeszcze nie widział, aby miłość tak ogarnęła Tonia, by zabierała mu każdą spędzaną poza operą chwilę.

Kiedy jednak wreszcie, pewnego popołudnia, gdy Tonio był na przyjęciu, którego nie mógł uniknąć, udał się do Christiny, nie zdziwiły go jej zaprzeczenia.

Oczywiście, że nie starała się odwieść Tonia od przyjęcia na Wielkanoc angażu we Florencji. Nawet jej o tym nie powiedział.

- Wszędzie jestem gotowa za nim podążyć, Guido - rzekła po prostu. - Wszędzie mogę malować z równą łatwością co tutaj. Potrzebuję tylko sztalug, farb, płócien. Mogę jechać do każdego miejsca na ziemi - ściszyła głos - jeśli tylko on będzie ze mną.

Właśnie opuścili ją ostatni goście. Służące wносиły kieliszki i filiżanki. A Christina, umocowawszy zakasane rękawy, malowała farbami olejnymi i pigmentami. Stały przed nią szklane pudełka pełne szkarłatu, cynobru i ochry. Koniuszki palców miała czerwone.

- Dlaczego, Guido? - spytała, odgarniając włosy. - Dlaczego nie chce rozmawiać o przyszłości? Dlaczego, chociaż wszystkim wydaje się, że jesteśmy jego jedynymi przyjaciółmi, tak uparcie coś przed nami ukrywa? Powiedziałam mu, że jeśli wszystko miało iść po mojej myśli, to wprowadziłby się do mnie! Wszyscy, których cokolwiek to obchodzi, wiedzą, że jest moim kochankiem! A wiesz, co mi odparł? Było to bardzo niedawno, późną nocą, Tonio trochę

za dużo wypił; powiedział, że nie ma wątpliwości, iż mimo tego co dla niego zrobiłeś, ty także skorzystałeś na znajomości z nim i wszystko ci się ułoży. “Wiatr wypełni mu po tym żagle”, powiedział. Rzekł jednak, że jeśli zostawi mnie ze zniszczoną reputacją, nie wyjdzie mi to na dobre, a on za nic w świecie do tego nie dopuści. Ale dlaczego mówi o rozstaniu, Guido? Do dzisiejszego wieczora obawiałam się, że to ty chcesz, by mnie porzucił.

Guido wiedział, że Christina wpatruje się w niego, błaga go, lecz chociaż mocniej ścisnął jej dłoń, nie mógł dać teraz zadowalającej odpowiedzi. Patrzył na dachy rozciągające się za wysokimi, pustymi oknami i przebiegał go dreszcz na myśl, że odkrył starego wroga, dawne przerażenie.

Christinie obiecał tylko, że porozmawia z TONIEM i delikatnie musnąwszy wargami jej policzek, podniósł się do wyjścia.

Zapomniawszy trójgraniastego kapelusza, zszedł po głuchych schodach wprost na zatłoczony Plac Hiszpański i ze schyloną głową, założywszy w tył ręce, powoli skierował się w stronę Tybru.

* * *

Zagubił się wśród krętych rzymskich uliczek, które wiodły go od jednej nieregularnej piazza do drugiej, koło ogromnych posągów i migoczących fontann. Jego nagle pojmujący wszystko umysł uciekał przed świadomością faktów, po to tylko, by po chwili ponownie się nad nimi zadumać.

Całe godziny później stanął na pięknej, różnokolorowej posadzce Bazyliki Świętego Piotra. Sunął obok majestatycznych grobowców papieży. Uśmiechały się do niego szkielety tak wspaniale wyrzeźbione w twardym kamieniu, że zdawało się, iż musiały w nim tkwić, nim zostały odkryte i odsłonięte. Wierni z całego świata popychali go to w przód, to w tył.

Wiedział, co się dzieje z TONIEM. Zdawał sobie z tego sprawę, jeszcze nim poszedł do Christiny, ale musiał mieć pewność.

Powrócił do niego obraz zaszczipiony w wyobraźni przez elokwentnego Maestra Cavallę: obraz coraz bardziej rozdartego Tonia.

Przed jego oczyma rozgrywała się bitwa bliźniaków: jednego, pragnącego życia i drugiego, który nie mógł żyć, nie licząc na zemstę.

A teraz, kiedy bliźniaka należącego do jasności przyciągała Christina, otaczała takimi błogosławieństwami i obietnicami opera, mroczny bliźniak, z obawy że zostanie zniszczony, usiłował unicestwić swego rywala.

Guido nie w pełni to pojmował. Niełatwo było mu objąć myślą ten obraz. Dostrzegał za to, że im więcej dawało Toniowi życie, tym dobitniej zdawał on sobie sprawę, że nie może się nim cieszyć, póki nie wyrówna w Wenecji starych rachunków.

Guido stał samotnie pośród tłumu wlewającego się do największego kościoła świata. Wiedział, że jest bezradny.

- Nie mogę... - szepnął, słysząc wyraźnie pośród setek otaczających go dźwięków własne słowa. - Nie mogę bez niego żyć. - Jasne promienie słońca zamazały mu obraz. Nikt nie zwracał uwagi na to, co mówił, stojąc tak nieruchomo. - Moja miłość, moje życie, mój głos - szeptał. - Bez ciebie żaden wiatr nie wypełni moich żagli. Bez ciebie nie będzie nic.

Złe przeczucia, które nawiedziły go, kiedy przyjechali do Rzymu, ten strach, że straci swego młodego, wiernego kochanka, były niczym w porównaniu z coraz głębszą ciemnością.

* * *

Nadszedł karnawał. Noce stały się cieplejsze. Publiczność dosłownie szalała. Hrabina wróciła i co wieczór wydawała bale w swej willi.

Guido zarzucił wszelkie plany na sezon wiosenny. Nie powiedział tego jednak impresariom z Florencji. Gdyby mógł zmusić Tonia do zawarcia chociaż jednej jeszcze umowy! Tonio nigdy nie złamałby danego słowa, a angaż dałby mu więcej czasu. Tylko o tym był teraz w stanie myśleć.

Jednak pewnego wczesnego popołudnia, kiedy Guido pisał nowy duet dla Tonia i Bettichina, który mogliby wypróbować, gdy się znudzą (a już teraz byli znudzeni), jeden z ważniejszych służących kardynała przyszedł, by mu oznajmić, że signore Giacomo Lisani z Wenecji przybył zobaczyć się z Toniem.

- Któż to jest? - spytał ze złością Guido. Tonio wraz z Christiną zagubili się gdzieś w wirze karnawału.

Kiedy tylko ujrzał jasnowłosego młodzieńca, przypomniał go sobie. Wiele lat temu przybył on w Wigilię Bożego Narodzenia, by odwiedzić Tonia w Neapolu.

Był jego kuzynem, synem kobiety, która tak często pisała do Tonia. Miał ze sobą mały kuferek, a raczej szkatułę, którą pragnął wręczyć Toniowi osobiście.

Był rozczarowany, dowiedziawszy się, że nie może natychmiast się z nim zobaczyć. Kiedy Guido przedstawił mu się, wyjaśnił, z czym przybywa.

Ponad dwa tygodnie temu po długiej chorobie zmarła w Wenecji Eugenejskiej matka Tonia. - Sam pan widzi - rzekł - że muszę mu to oznajmić osobiście.

Okazało się jednak, że Tonia nie można nigdzie znaleźć, a Guido nie chciał się zgodzić, by dowiedział się o tym tuż przed wieczornym przedstawieniem.

Młody Wenecjanin powrócił więc ze szkatułką do pałacu kardynała przed północą i przekazał Toniovi tę wiadomość tak prosto i bezboleśnie, jak tylko potrafił.

Guido nigdy więcej nie chciałby zobaczyć wyrazu, który zagościł w tym momencie na twarzy Tonia.

A kiedy Tonio ucałował kuzyna, zabrał szkatułę do swego pokoju i przyjrzał się jej zawartości. Powiedział Guidowi po prostu, że chce wyjść.

- Pozwól, że będę ci towarzyszył albo zabiorę cię do Christiny - zaproponował Guido. - Nie próbuj znieść tego bólu bez nas.

Tonio przez chwilę wpatrywał się w niego, jakby zaskoczyło go to oświadczenie. Guido czuł ciężar tego, co go dzieli i zawsze będzie dzieliło od Tonia. Jego ponure, tajemnicze życie, związane z tymi, których znał i kochał w Wenecji było czymś, do czego chłopak nikogo nie chciał dopuścić.

- Proszę - rzekł Guido; zaschło mu w gardle, trzęsły mu się ręce.

- Jeśli mnie kochasz, Guido - odparł Tonio - zostaw mnie teraz samego. - Nawet tym słowem towarzyszyła delikatność, półuśmiech, wyciągnięta w pokrzepiającym geście dłoń. Guido patrzył, jak Tonio odchodzi.

Wkrótce do pokoju wszedł kardynał.

Guido patrzył w samotności na przedmioty, które Tonio zostawił na wierzchu.

Kiedy uważnie im się przyglądał, nappełnił go tak nieutulony żal, że odebrało mu mowę.

Szkatuła zawierała wiele rzeczy.

Nuty, głównie utworów Vivaldiego, zebrane dawno temu w księgi, dziewczęcym pismem podpisane przez Mariannę Treschi. Znajdowały się w niej też książki, francuskie bajki, greckie opowieści o herosach i bogach, które można było czytać dzieciom.

Najbardziej jednak przepełniły Guida chłodem i dotkliwym cierpieniem małe chłopięce ubranka i bielizna.

Znalazło się wśród nich ubranko do chrztu, należące najprawdopodobniej do Tonia i sześć małych zestawów bielizny. Widać było, że wszystko to przechowywano z miłością. Były tam też małe buciki, a nawet rękawiczki.

Leżały tam wreszcie portrety, emaliowane miniatury i jedno doskonałe malowidło przedstawiające ślicznego, ciemnookiego chłopca, jakim był kiedyś Tonio.

Patrząc na te rzeczy, Guido rozumiał, że pamiątki życia przechowywane jak skarb przez innych, rzadko kiedy zachowuje się samemu.

To, że zebrano je, zapakowano i przesłano do Rzymu, było najlepszym dowodem, że w Pałacu Treschich nie ma już nikogo, kto kochałby tego młodzieńca, który kiedyś w nim mieszkał. Tak jakby Tonio i ci, z którymi dzielił kiedyś życie, umarli.

Kardynał raz jeszcze delikatnie spytał, czy może w czymś pomóc. Odesłał swych służących i stał samotnie, cierpliwy i nieskończenie życzliwy, czekając na odpowiedź muzyka, który pozwolił mu stać w drzwiach, jakby kardynał był jakimś sługą.

Guido podniósł na niego wzrok. Wyszeptał pełne szacunku przeprosiny za całe zamieszanie. Usiłował zgadnąć, jak wiele chciałby wiedzieć o Toniu ten człowiek i co byłby władny dla niego zrobić.

Patrzył, jak kardynał przygląda się zebranym w szkatule bogactwom.

- Matka Tonia nie żyje - odezwał się cicho Guido. Za tymi kilkoma prostymi słowami kryła się świadomość, że Marianna Treschi, której nigdy nie widział ani nie poznał, mogła być ostatnią osobą, która powstrzymała Tonia od nieuniknionej podróży do Wenecji.

Trwał rzymski karnawał, a wraz z nim nadeszły ostatnie, najbardziej szalone noce w operze. Wąska Via del Corso była od świtu do zmroku zapchana przebranymi w kostiumy ludźmi, a po obu stronach ulicy zbudowano platformy, które pełne teraz były widzów w maskach. Zaułkami wlokły się bogato zdobione powozy znanych rodów, wioząc fantastycznie przebranych Indian, sułtanów, bogów i boginki. Na wielkiej platformie rodziny Lamberti przedstawiono narodziny Wenus z morskiej piany - sama hrabina przystrojona w girlandy kwiatów stała na wielkiej muszli z papier-mâché. Za nią nadciągnęły przesuwające się cal po calu karoce, z których postacie w maskach sypały dookoła konfetti migdałów w cukrze. Wszędzie wokół paradowali mężczyźni przebrani za kobiety, panie w męskich strojach i mnóstwo anonimowych ludzi ubranych jak książęta, marynarze czy bohaterowie komedii dell'arte. Te same stare motywy, to samo szaleństwo...

Tonio w masce i ukrywającym jego ubranie *tabarro* ciągnął za sobą Christinę, która związała włosy jak mężczyzna i przyodziła swe małe ciało w zgrabny oficerski mundur. Biegli całą drogę tutaj. Od czasu do czasu schylali głowy, a Tonio unosił rękę zagubioną w szerokim rękawie, by ochronić Christinę od wirującego w powietrzu deszczu konfetti. Potem oglądali dziki pokaz wybryków jakiejś Pulcinelli i wymykali się na chwilę z tłumu, by się pocałować, zaczerpnąć tchu czy przyłgnąć do siebie w bramie jakiegoś kościoła.

Kiedy dzień zaczął się zmieniać w późne popołudnie, tłum wreszcie przerzedził się, nadszedł bowiem ostatni, radosny punkt kulminacyjny dnia - wyścigi. Piętnaście koni przeprowadzono z Piazza del Popolo na Piazza Venezia i z powrotem, po czym puszczono je, by popędziły luzem, na złamanie karku tą samą drogą. Ich gonitwa była brawurowa i niebezpieczna, kopyta stukotały, nie można było uniknąć wpadania koni w tłum, aż wreszcie zwierzęta wbiegły na Piazza Venezia i można było ogłosić zwycięzcę.

Kiedy wreszcie zaszło słońce, zdjęto maski, ulica opustoszała, a wszyscy podążyli na inne jeszcze widowisko: bale, które odbywały się w całym mieście, czy wreszcie na największą ucztę - do opery.

Publiczność operowa szalała. Chociaż zniknęły maski, na sali wciąż przeważały kostiumy, szczególnie ciemne, nie krępujące ruchów *tabarra*, wśród kobiet zaś najpopularniejsze były wojskowe mundury, w których wyglądały one uroczo i mogły cieszyć się swobodą, jaką

dawały im spodnie. Wrogie obozy Tonia i Bettichina zmagaly się szaleńczo, starając się nawzajem prześcignąć.

Loże były tak przepełnione, że mogły się rzeczywiście urwać, a całą salą raz po raz wstrząsały burzliwe oklaski i okrzyki “brawo!”, tupanie i krzyki.

Potem wszyscy - również przytuleni do siebie Tonio i Christina - udali się do domów, by o świcie znów ruszyć w wir tych samych zabaw.

Tonio stawał czasem pośród tłumu z zamkniętymi oczami i kołysząc się na palcach, wyobrażał sobie, że jest na Placu Świętego Marka. Wąskie uliczki zniknęły, a w ich miejsce pojawiła się otwarta przestrzeń i złote mozaiki migoczące nad rzeszą ludzi jak wielkie, nie zamykające się oczy. Niemal czuł zapach morza.

Towarzyszyła mu matka i Alessandro; był to ten pierwszy, fantastyczny karnawał, kiedy wreszcie wydostali się na wolność, a świat wydawał się wspaniały, pełen rozkosznych cudów. Miał wrażenie, że słyszy jej śmiech, czuje nawet dotyk jej dłoni, a wspomnienia wydawały się tak pełne, nienaruszone, jakby nie dotknęło ich nieszczęście, które nastąpiło później. Mieli własne życie i tak miało pozostać na zawsze.

Pragnął wierzyć, iż jest przy nim, w jakiś sposób wie o wszystkim i rozumie to.

A jeśli w czasie tych dni gorzkiego, tajemnego żalu przeszywał go ból, to tylko na myśl, że nigdy nie mógł z nią o tym porozmawiać, usiąść przy niej i ująwszy dłonie, powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Martwa wydawała się równie bezradna jak za życia.

Kiedy jednak otwierał oczy, powracał do Rzymu. Widział rzymskie dziewczęta łaskoczące wiklinowymi miotłami wszystkich, którzy nie ukryli twarzy pod maskami, napominających tłum mężczyzn w strojach adwokatów i tych najgrzeszniejszych ze wszystkich, odzianych w kobiece stroje młodzieńców, obnażających piersi i nogi, oferujących swe ciała innym; kiedy patrzył na tętniące dookoła życie, wiedział, że nigdy nie rozstanie się z matką. Nawet w swych najszańszych marzeniach o zemście i sprawiedliwości nie wyobrażał sobie nigdy ulotnego słowa, wyciągniętej ręki, pełnego uczucia westchnienia. W zamglonej dali dostrzegał raczej matkę w żałobie, płaczącą nad swymi osieroconymi dziećmi i odebrany jej mężem. Jedyńm, jakiego znała; zamordowanym.

Zostało jej to oszczędzone. I jemu. Nie miała na sobie wdowich szat żałobnych. Spała w trumnie. I to Carlo ją oplakiwał. “Szaleje z żalu” napisała Catrina. “Nie posiada się z bólu i

przysięga nie szczędzić niczego w opiece nad dziećmi. Lecz choć pracuje coraz ciężiej, klnąc się, że będzie dla nich i matką, i ojcem, jest tak załamany, że bez względu na porę wychodzi z budynków rządowych i jak głupiec spaceruje po piazzie.”

Christina ścisnęła dłoń Tonia.

Tłum popychał go to tu, to tam, tak że przez chwilę musiał walczyć, by utrzymać się na nogach. Jeszcze raz ujrzał obraz matki w trumnie i zastanawiał się, jak ją ubrali. Czy włożyli te piękne, białe perły, które podarował jej Andrea? Zobaczył szkarłatną procesję pogrzebową, kołyszącą się na falującej wodzie, czerwień, kolor śmierci, spływający z czarnych gondoli, morze; usłyszał cichy płacz żałobników ginący w słonym wietrze.

Twarz Christiny tchnęła miłością i smutkiem.

Stała na palcach, otaczając go ramieniem. Była cudownie realna, ciepła i bardzo delikatnie usiłowała ustami przywołać go znów do siebie.

Pospieszyli wzdłuż Via Condotti. Wbiegli z tupotem po schodach do pracowni nad Placem Hiszpańskim.

I pociągając z tej samej butelki duże łyki wina, zaciągnęli otaczające łóżko kotary i kochali się gorączkowo, spieszenie.

Później, leżąc nieruchomo, słyszeli odległy ryk tłumu, a tuż za oknem jakiś dziwny śmiech, który zdawał się wspinać po murach i znikać, kiedy dotarł w otwartą przestrzeń.

- Powiedz mi, co ci chodzi po głowie - rzekła. - O czym myślisz?

- O tym, że żyję. - Westchnął. - Po prostu o tym, że żyję i jestem tak bardzo, bardzo szczęśliwy.

- Chodź - powiedziała nagle. Pociągnęła go, żeby wyszedł z ciepłego łóżka i zarzuciła mu na ramiona koszulę. - Do czasu, kiedy będziesz musiał się stawić w operze, brakuje jeszcze godziny. Jeśli się pospieszymy, zobaczymy wyścig.

- Niewiele mamy czasu. - Uśmiechnął się, pragnąc ją tu zatrzymać.

- A wieczorem - powiedziała, całując go kilka razy - pójdziemy do hrabiny i tym razem ze mną zatańczysz. Nigdy nie tańczyliśmy ze sobą, chociaż w Neapolu byliśmy na tylu balach... razem.

Nie poruszył się, więc ubrała go jakby był dzieckiem, zręcznie zapinając guziki z pereł.

- Włóżysz tę fioletową sukienkę? - szepnął jej do ucha. - Jeśli tak, to zatańczę z tobą.

Upił się po raz pierwszy od długiego czasu i wiedział, że pijaństwo jest wrogiem smutku. Jak to mówiła Catrina? Że Carlo jak głupiec spaceruje po piazzy, mając za jedyne gowarzysza alkohol?

Sala była zatłoczona i wirowała kolorami; orkiestra grała jakąś niespokojną melodię, a on sam tańczył. Od lat już tak nie tańczył, a wszystkie stare kroki powróciły jak za sprawą czarów. Ilekroć ujrzał wniebowziętą twarz Christiny, pochylał się, by ukraść jej pocałunek i miał wrażenie, że są w Neapolu, gdzie tyle razy tak jej pragnął.

Miał też wrażenie, że to Wenecja, piękny dom Catriny i dawne lato spędzone nad Brentą.

Całe życie wydało mu się nagle wielkim kręgiem, a on tańczył, tańczył, skłaniał się w żywym rytmie menueta i otaczali go wszyscy, których kochał.

Był tu Guido, jego kochanek Marcello - przystojny eunuch z Palermo, hrabina i Bettichino ze swymi wielbicielami.

Kiedy na salę wkroczył Tonio, wszyscy odwrócili głowy; dosłownie słyszał ich szept: - Tonio, to Tonio.

W powietrzu unosiła się muzyka, a kiedy tancerze się rozeszli, w jego dłoni natychmiast znalazł się kieliszek białego wina, który był już po chwili pusty.

Christina zapraszała go teraz do kadryla, lecz Tonio, ucałowawszy delikatnie jej dłoń, oświadczył, że będzie się przyglądał.

Nie był pewien, kiedy dokładnie wyczuł, że mogą być kłopoty, ani kiedy dostrzegł zbliżającego się do niego Guida.

Odkąd wszedł na salę, wyczuł w nim coś bardzo dziwnego, więc teraz, objąwszy go delikatnie, usiłował rozweselić, wywołać uśmiech na jego twarzy, chociaż Guido zdecydowanie się temu opierał.

Miał smutną twarz i gorąco nalegał szeptem, by Tonio sam wyjaśnił hrabinie, czemu nie jadą do Florencji. Nie jadą do Florencji?

Kiedy podjęli tę decyzję? Miał wrażenie, że świat pokrywa ogromna ciemność i przez długą chwilę nie potrafił udawać, że jest w Neapolu czy w Wenecji. Był w Rzymie, sezon operowy niemalże dobiegał końca, jego matka nie żyła, wieziono ją przez morze, by pochować w ziemi, a Carlo chodził po Placu Świętego Marka, czekając na niego.

Guido miał ciemną, napuchniętą twarz i szybko mówił coś szeptem: - Tak, powiedz hrabinie, powiedz jej, czemu nie możemy jechać do Florencji.

W tym momencie Tonio czuł wbrew sobie ponurą radość. - Nie jedziemy, nie jedziemy... - szepnął, a już po chwili Guido ciągnął go jakimś ciemnym korytarzem. Świeżo malowane ściany, boazeria z brokatu koloru morwy ze złotymi burbońskimi liliami i otwierające się drzwi.

W głosie Guida brzmiały groźby i okropne, okropne oskarżenia. - Co będziemy robić? - pytał. - W porządku, jeśli nie pojedziemy do Florencji, to z pewnością na jesieni udamy się do Mediolanu. Chcą nas zaangażować w Mediolanie. I w Bolonii.

Wiedział, że jeśli się nie powstrzyma, powie coś strasznego i ostatecznego, a słowa wynurzą się z ciemności, w której się czają.

Była tam hrabina, a jej okrągła twarz wyglądała tak staro. Jedną dłonią unosiła spódnice, a drugą niemalże z miłością klepała Guida po ramieniu.

- ...nigdzie już nie masz zamiaru jechać, prawda? Odpowiedz mi, odpowiedz, nie masz prawa mi czegoś takiego robić. - Guidowi pękało serce.

Nie doprowadzaj do konfrontacji, nie prowokuj mnie, żebym to powiedział, bo wtedy nie będę mógł już cofnąć tych słów. Wzrastała w nim radość. Czuł się, jakby stał na szczycie. Jeśli zrobi pierwszy krok, zacznie spadać i nie będzie w stanie tego powstrzymać.

- Wiedziałeś, zawsze o tym wiedziałeś. - Czy Tonio to mówił? - Byłeś tani, jedyny, najwierniejszy, najdroższy przyjacielu. Mój jedyny prawdziwy bracie, byłeś i widziałeś na własne oczy tych małych, wymytych i wymuskanych chłopców, prowadzonych do konserwatorium, jak kapłony na rynek, Guido...

- Na mnie wyładuj więc swoją wściekłość - błagał Guido - za rolę, którą w tym wszystkim odegrałem. Wiesz, że byłem narzędziem twego brata.

Hrabina wzięła Guida w ramiona i bezskutecznie usiłowała go uspokoić. Gdzieś daleko rozlegał się jego głos: - Nie mogę bez ciebie żyć, Tonio, nie mogę bez ciebie żyć...

Tonia ogarnął jednak chłód i wszystko to wydawało mu się odległe, smutne i niezmiennie. Usiłował powiedzieć: "nie odegrałeś w tym żadnej roli. Byłeś zaledwie pionkiem przesuniętym z jednego pola na drugie."

Guido krzyczał, że siedział w kawiarni na San Marco, kiedy przyszli ci ludzie i powiedzieli, iż musi wziąć Tonia do Neapolu.

- Nie mów o tym - odezwała się hrabina.

- To była moja wina, mogłem ich powstrzymać; mścij się na mnie! - błagał Guido.

A hrabina, odepchnąwszy go, odciągnęła Tonia i z postarzałą, śniadą twarzą, głosem coraz cichszym, jakby wyznawała jakieś straszne tajemnice, błagała go, jak dawniej, by wysłał płatnych morderców. Nie było potrzeby, by sam brudził sobie ręce, czyż nie wie, że ma przyjaciół, którzy mogą się tym wszystkim zająć? - Powiedz tylko słowo. - Prowadziła go do okna. Świecił księżyc, ogród był jasny, a po jego drugiej stronie widać było okna sali balowej, którą właśnie opuścili. Zastanawiał się, czy jest tam Christina. Oczywiście duszy ujrzał, jak tańczy z Alessandrem.

- Żyję - szepnął.

- Promienne dziecię - powiedziała hrabina.

Guido płakał.

- Zawsze wiedział przecież, że nadejdzie czas, kiedy będzie musiał ruszyć dalej sam - powiedział Tonio do hrabiny. - Nie pozwoliłbym mu odejść, gdyby nie był gotów. W Mediolanie będzie tak samo chętnie widziany beze mnie. Sama pani wie...

Potrząsnęła głową. - Ale wiesz przecież, promienne dziecię, co będzie, jeśli pojedziesz teraz do Wenecji! Cóż mam powiedzieć, by cię od tego odwieść...

A więc padły te słowa. To, co tak długo czekało w mroku, wydostało się na wolność i nie dało się już tego okiełznać.

Znów ogarnęło go rozradowanie. Jedź do Wenecji. Zrób to: Niech się to zdarzy. Koniec z czekaniem, czekaniem w nienawiści i goryczy, więcej nie będziesz widział za płonącym wokół pięknym życiem kryjącej się ciemności, niezgłębionego mroku.

Guido ruszył do niego, a hrabina rzuciła się całym ciałem, by go powstrzymać. Na twarzy maestra malowała się niepokonana wściekłość.

- Jak możesz mi to robić! - krzyczał. - Powiedz, jak możesz! Byłem tylko pionkiem w rękach twego brata, zabrałem cię z tego miasta, wziąłem, kiedy byłeś zraniony i załamany...

Hrabina, próbując go uciszyć, podniosła głos.

- ...powiedz, że wolałbyś, bym zostawił cię tam na pewną śmierć; zabiliby cię, gdybym cię ze sobą nie zabrał. Powiedz, że wolałbyś, aby nie zdarzyło się nic, co nastąpiło potem!

- Przestań... - Hrabina wyrzuciła przed siebie ręce. Radość zmieniała się w gniew. Odwrócił się do Guida i usłyszał własny, wyraźny, ostry głos:

- Wiesz dlaczego, właśnie ty, lepiej niż ktokolwiek inny, wiesz dlaczego! Człowiek, który mi to zrobił, wciąż żyje, nie został ukarany! Czy jestem mężczyzną, powiedz, czy mogę uważać się za mężczyznę, jeśli będę w stanie to znieść?

Nagle poczuł, że słabnie.

Potykając się, wyszedł do ogrodu.

Gdyby służący nie podtrzymali go, upadłby w drzwiach sali balowej.

- Chodźmy do domu... - powiedział, a Christina, z twarzą zalaną łzami, skinęła głową.

Nadszedł ranek.

Miał wrażenie, że walczyli z Guidem całą noc. A te pokoje, tak nagle zimne, nie były już ich sypialniami, lecz jakimś ponurym polem bitwy.

Gdzieś tam, za murami, czekała na niego Christina. Rozbudzona, ubrana, siedziała może w oknie, wsparłszy twarz na dłoniach i patrzyła na Plac Hiszpański.

Ale Tonio siedział nieruchomo i daleko. Po drugiej stronie pustki komnaty widział w zamglonym lustrze siebie, zjawę o białej twarzy tak pozbawionej wszelkiego wyrazu, że wydawał się demonem o anielskim obliczu. Cały świat był teraz inny.

Paolo płakał.

Paolo wszystko słyszał. Przyszedł do Tonia, który wzdurliwie odtrącił go swym milczeniem.

Więc Paolo łkał niepokieszenie, skulony gdzieś w cieniu. Ten wznoszący się i opadający dźwięk rozbrzmiewał echem po korytarzach ogromnego, chylącego się ku ruinie domu, przez które Tonio włókł się przy ścianie. Jego nagie stopy okrywał kurz, łyzy szczypały w twarz, a kiedy wszedł do pokoju, ujrzał matkę przechyloną przez parapet. W gardle zamarł mu okrzyk bezradności i przerażenia; ciągnął za jej suknię, a płacz rozbrzmiewał coraz głośniejsz. Kiedy się odwróciła, zasłonił oczy, by nie widzieć jej twarzy. Czuł, że spada. Jego głowa uderzała o ściany i marmurowe schody; nie potrafił się zatrzymać. Wzniósł się nad nim jego własny krzyk, który ona, zbiegając w dół w wydymającej się sukni, podjęła i zaczęła powtarzać piszcząc coraz przenikliwiejsz.

Podniósł się. Stał na środku pokoju, patrząc w to zaciemnione lustro. - Kochasz mnie? - szepnął, nie poruszając ustami, i ujrzał, że Christina otwiera oczy jak mechaniczna lalka, a jej błyszczące usta mówią tylko jedno słowo: - Taaaak...

Obok niego stał Paolo. To on był ciężarem wspierającym się o Tonia, który musiał z jego powodu łapać równowagę. Z daleka dochodził płacz Paola. Ręce Paola ciągnęły go, póki nie otoczył ich swymi białymi palcami, nie chwycił mocno. Spojrzał wprost, w lustro.

- Czemu mnie nie ostrzegłeś? - spytał tego odzianego w czarne, weneckie *tabarro* olbrzymia o białej twarzy i przytulonego do niego dziecka, które spuszczało głowę i przywierało do czarnej szaty tak, jakby nie można go już było od niej oderwać. - Czemu mnie nie ostrzegłeś, że czas już się skończył? Wszystko prawie dobiegło końca.

A potem, ciągnąc za sobą Paola, ruszył niezdarnie w stronę łóżka. Upadł na poduszki, Paolo skulił się przy nim. Miał wrażenie, że we śnie wciąż słyszy jego płacz.

Kiedy dotarł do opery, wciąż czuł się zmęczony. Przedtem wziął Paola do małej kawiarenki, w której obydwaj zbyt dużo zjedli. Czuł się roztargniony, miał wrażenie, że otaczający go świat płonie. Kolory rozmywały się w deszczu, który przepędził zamaskowanych uczestników karnawału. Paolo nie chciał jeść, póki nie zobaczył, że to samo robi Tonio, który dał mu o wiele za dużo wina.

Miał wrażenie, że nie będzie mógł śpiewać. Jednocześnie wiedział, że nic go od tego nie powstrzyma.

A kiedy tylko usłyszał tupot i wycie tłumu, ujrzał pomalowanego już Bettichina, którego ciało wyglądało jak pełne dumy rusztowanie odziane w jedwab i zbroję, na ratunek, wraz z siłą woli, pospieszyła mu zwykła w takiej chwili ekscytacja.

Większą niż zazwyczaj uwagę przyłożył do stroju, wycieniował twarz białą farbą równie subtelnie i umiejętnie, jak robił to zawsze Bettichino, a kiedy wreszcie stanął w światłach sceny, był znów sobą. Jego głos, choć początkowo Tonio musiał go nieco wysilić, wydobywał się z jego piersi z całą mocą. Wyczuwał u publiczności radość karnawału, słyszał ją w ochrypłych, pełnych miłości okrzykach "brawo!". Pozwolił sobie na chwilę roztargnienia, by ujrzeć cały teatr, tę zasnutą dymem masę twarzy i pojął, że tej nocy należy liczyć się z ryzykiem, podstępami, różnymi wybrykami fantazji.

Christina przyszła po pierwszym akcie za kulisy. Po raz pierwszy dopuścił ją blisko siebie, kiedy był w kobiecym stroju, ale przed wpuszczeniem jej, założył zdobioną klejnotami maskę i nie był zdziwiony zauważywszy, że jego wygląd ją pociąga.

Wydała ciche westchnienie, patrząc na niego; albo raczej na kobietę w śliwkowym aksamicie ozdobionym białymi, atlasowymi rozetami.

- Podejdz do mnie, mój drogi - powiedział łagodnym szeptem po to tylko, by ją przestraszyć. Ona sama wyglądała jak oficer, miała nawet epolety, a jej nogi w obcisłych bryczesach wydawały się niezwykle zgrabne. Kiedy jednak zbliżyła się do niego, niemal ze strachem, i podniosła dłoń, by dotknąć jego twarzy, wyglądała raczej jak przestraszony chłopczyk. Uśmiechał się do niej, widząc doskonale ich odbicie w lustrze, a kiedy usiadł na krzesło, rozkładając szeroko spódnicę, posadził sobie Christinę na kolana. Zauważył napięty

materiał, tworzący trójkątne zmarszczki między jej nogami, i zapragnął go dotknąć. Zamiast tego pogładził jedwabistą szyję.

Uniosła kielich wina, dała mu posmakować, po czym pocałowała go z zapalem. Tonio powoli odwrócił ją tak, by widziała odbicie w lustrze: wysoką, wypudrowaną na biało, czerwonoustą kobietę w masce z cekinów i siedzącego na jej kolanach chłopca o pięknej twarzy.

Christina odwróciła się i dotknęła pieprzyków na buzi Tonia. Zerwała z niej maskę i na widok jego pomalowanych oczu wydała jeszcze jedno stłumione westchnienie.

- Przeraza mnie pan, signore - szepnął tym samym zdławionym, damskim szeptem; a ona zrobiła gest, jakby chciała go zaatakować. Szyja jej pulsowała.

Uniosła jego spódnicę, odszukała znajdującą się pod nią nagość i natrafiwszy na sztywny organ, schwyciła go tak brutalnie, że Tonio szepnął: - Ostrożnie, moja droga, nie zniszcz tego, co jeszcze zastało.

Zaskoczona, wybuchnęła śmiechem. Potem, przytuliwszy się do niego, westchnęła i znieruchomiała. Nigdy jeszcze nic podobnego jej nie powiedział, nigdy żartobliwie nie mówił o tym, kim jest, a teraz patrzył na nią z pobłażaniem, jakby była dzieckiem.

- Kocham cię - szepnęła.

Zamknął oczy. Znikło lustro i okrywające ich obojga ubrania; a przynajmniej tak mu się zdawało. Myślał marzycielsko o tym, że jako dziecko bardzo pragnął być niewidzialny. Kiedy ponownie na nią spojrzął, Christina nie widziała już farby, peruki, aksamitu, czy atlasu, a tylko jego i miała wrażenie, że oboje ich otacza ciemność.

- O co chodzi? O czym myślisz, kiedy patrzysz w ten sposób? - spytała szeptem.

Potrząsnął głową. Uśmiechnął się. Pocałował ją. I ujrzał w lustrze migoczące odbicie ich obojga, zagubionych w przebraniach, a jednak tworzących idealną parę.

Kiedy tylko dotarli tego wieczora do jej pracowni, wiedział już, że Guido rozmawiał z Christiną.

Była gotowa zostawić wszystko, by pojechać na Wielkanoc do Florencji. Zdoła dokończyć portrety przed końcem Wielkiego Postu, a do tego czasu Tonio z pewnością będzie mógł poczekać. Mogliby udać się do Florencji razem.

Lekko, szybko chodziła po pracowni objaśniając, jak zostanie wykończony ten obraz i że tamten jest już prawie skończony. Niewiele potrzebne jej było do podróży; kupiła już nową

skórzaną teczkę na pastele; tak dużo szkiców pragnęła zrobić we florenckich kościołach. Czy wie, że nigdy tam nie była? We właściwym momencie rozwiązała wstążkę i rozpuściła włosy.

Tonio, jak zawsze po przedstawieniu, czuł się szczupły i lekki, a jego męskie ubranie wydawało mu się nieco zbyt małe w porównaniu z grecką zbroją i suknią. A ona była wciąż chłopcem, tylko teraz opływały ją jedwabiste, pszeniczne włosy, tak że wyglądała jak paż albo anioł na starym malowidle.

Wpatrywał się w nią bez słowa, żałując, iż Guido jej powiedział i jednocześnie będąc świadomym, że tym samym maestro w jakiś sposób ułatwił mu całą sprawę. Ale ostatnie noce z nią... te ostatnie noce... jakie były w jego pragnieniach?

Patrząc na nią miał wrażenie, że nic nie brakuje tej scenie, a Christina nie okazywała ani smutku, ani strachu.

Skinął na nią, by szła za nim do sypialni i dziewczyna znalazła się nagle w jego ramionach, pozwalając się nieść. - Ganimesesie - szepnął do niej, czując zmysłowość przenikającą przez jej spodnie i twarde przód dwurzędowego munduru.

Czuł się tak jak w kawiarni z Paolo: senny i jednocześnie niezwykle ożywiony, a wszędzie, gdzie spojrzął, atakowały go kolory. Czuł między palcami fakturę prześcieradeł, wilgotną, ciepłą skórę w zgięciu jej kolan. Jej ramiona zdawały się skąpane w niebieskawym blasku świec i, przyciągając ją do siebie, Tonio zastanawiał się, jak długo będzie w stanie to wszystko znieść? Kiedy nadejdzie ten potworny, rozdzierający ból?

Kiedy Christinę uspokoiła miłość, ponownie zapaliła świece. Nalała im obojgu wina i zaczęła mówić.

- Pójdę z tobą wszędzie - rzekła. Będę malowała damy Drezna i Londynu. Rosjan w Moskwie, królów i królowe. Pomyśl o tym, Tonio, o tych wszystkich kościołach, muzeach, niemieckich zamkach z setkami wież i wieżyczek strzelniczych na szczytach gór. Czy kiedykolwiek widziałeś, Tonio, pełne witraży katedry północy? Wyobraź to sobie: kamienny, nie marmurowy kościół o wysokich, wąskich łukach wznoszących się jakby ku niebu i maleńkie fragmenty jaskrawych kolorów, ułożone w kształty aniołów i świętych. Pomyśl Tonio o Petersburgu zimą, o nowym mieście zbudowanym na wzór Wenecji, pokrytym pięknym, białym śniegiem...

W głosie Christiny nie rozbrzmiewała desperacja, oczy błyszczały marzycielsko i Tonio, nie odpowiadając, uściśnął jej dłoń, jakby chciał powiedzieć: "Mów dalej."

Guido nie odebrał mu jednak tych kilku szczęśliwych chwil; w tym, że tak wyraźnie teraz wszystko rozumiał, był jakiś dziwaczny urok.

- Objedziemy w czwórkę cały świat - mówiła Christina. - Ty, Guido, Paolo i ja. Kupimy ogromny powóz i weźmiemy ze sobą nawet paskudną, starą signorę Bianchi. Może Guido zabierze także swojego przystojnego Marcella. W każdym mieście będziemy wynajmować wystawną kwatere, będziemy razem jeść, klócić się, chodzić do opery. W dzień ja będę malowała, ty będziesz śpiewał wieczorami. A jeśli jakieś miejsce spodoba nam się bardziej niż inne, zostaniemy tam, a czasem będziemy może wyjeżdżać wszyscy na wieś i zaczniemy się coraz bardziej kochać, coraz lepiej rozumieć. Wyobraź to sobie, Tonio!

- Powinam była uciec z operą - szepnął cicho. Pochyliła się w przód i zmarszczyła z koncentracją brwi, a kiedy zrozumiała, że nie powtórzy tych słów, pocałowała go w usta.

- Zajmiemy willę, którą pokazałam ci miesiąc temu i będzie ona naszym prawdziwym domem. Wrócimy, kiedy zmęczą nas obce słowa i jakże rozgorzeje wokół nas Italia! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak to będzie! Guido mógłby pisać wieczorami sonaty, a Paolo wyrósłby na wspaniałego śpiewaka. Debiutowałby w Rzymie.

- Wszyscy należelibyśmy do siebie nawzajem. Bez względu na to, co może się zdarzyć, mielibyśmy siebie, jakbyśmy tworzyli wielką rodzinę, ogromny klan. Tysiące razy o tym marzyłam! - powiedziała. - I jeśli po tych wszystkich dziewczęcych marzeniach życie mogło dać mi ciebie, i to może stać się prawdą.

- Co powiedziałeś Paolowi, kiedy zabierałeś go z Neapolu? - przerwała, uważnie mu się przyglądając. - Paolo mówił mi, że stwierdziłeś, iż wszystko może się zdarzyć, nawet kiedy najmniej się tego spodziewamy. A jego życie jest jak bajka pełna pałaców, bogactw i niekończącej się pieśni. Wszystko może się zdarzyć, Tonio, sam to powiedziałeś.

- Naiwność - rzekł. Pochylił się, by ją pocałować. Głaskał jej twarz, dziwiąc się temu niewypowiedzianemu miękkiemu, ledwo dostrzegalnemu puszkowi na policzkach. Czubkiem palca dotknął jej wargi. Nigdy nie mogłaby być piękniejsza niż w tym momencie.

- To nie sprawa naiwności, a wyboru, Tonio - zaprotestowała.

- Posłuchaj mnie, moja piękna - powiedział niemalże ostro, głosem nieco twardszym niż zamierzał. - Kochasz mnie równie mocno jak ja ciebie. Ale nigdy naprawdę nie poznałeś miłości mężczyzn; nie znasz ich siły, potrzeb, zarliwości. Mówisz o katedrach północy, o kamieniu i witrażach, o innym rodzaju piękna; cóż, tak samo jest z mężczyznami, to inna miłość. Z czasem

zrozumiesz, że świat kryje dla ciebie sekrety w codziennych aktach, które inni przyjmują za oczywistość, w zwykłej, męskiej sile. Czy nie rozumiesz, że to właśnie nam odebrano, to odebrano mnie?

Nie wiesz, co znaczy dla mnie fakt, że nie potrafię dać ci tego, co mógłby ci dać byle prostak; iskierki życia w twym wnętrzu, dziecka, w którym stalibyśmy się jednością. I bez względu na to, jak bardzo kochasz mnie teraz, nie możesz przewidzieć, czy nie nadejdzie dzień, kiedy zobaczysz mnie dokładnie takim, jakim jestem?

Widział, że ją przestraszył. Trzymał ją za ramiona, tak kruche i doskonałe, a usta Christiny drżały, w oczach żarzyły się łzy.

- Nie wiesz, kim jesteś - rzekła. - Inaczej nigdy byś mi czegoś takiego nie powiedział.

- Nie mówię już o opinii ludzi - zripostował. - Wierzę, że nie dbasz o małżeństwo i nie ma dla ciebie znaczenia, iż ludzie oczerniają cię, ponieważ kochasz śpiewaka-eunucha. Przekonałaś mnie, że jesteś wystarczająco silna, by to lekceważyć. Ale nie wiesz, jakie to uczucie trzymać w ramionach mężczyznę; czy wydaje ci się, że zniósłbym wyraz twoich oczu w chwili, kiedy skończysz ze mną i będziesz gotowa na przyjęcie innych...

- Czy to źle, że znajduję w tobie tak rzadką u mężczyzn delikatność? - spytała. - Czy to takie dziwne, że wolę twój płomień od żaru, który mógłby mnie pochłonąć? Nie rozumiesz, czym mogłoby być nasze wspólne życie? Czemu miałabym pragnąć czegoś, co mógłby mi dać ktokolwiek inny, skoro mam ciebie! Jakież wszystko miałyby wtedy znaczenie? Cóż miałyby jakkolwiek wartość? Ty, Tonio Treschi, masz talenty i wielkość, o które inni walczą przez całe życie i to na próżno! Złócisz mnie, mam nagle ochotę cię zranić, bo nie wierzysz we mnie! I nie chcesz uwierzyć w to, czym byłoby nasze wspólne życie! Nigdy ci nie wybaczę, że dokonujesz tego wyboru za nas oboje! Rozumiesz? Oddałaś mi się na tak krótką chwilę! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Siedziała pochylona, zasłona złotych włosów spływała na jej nagie piersi, zakrywała dłońmi twarz, a całym jej ciałem wstrząsały krótkie, zdławione szlochy.

Pragnął jej dotknąć. Pragnął ją pocieszyć, błagać, by przestała. Był jednak zbyt zdenerwowany, zbyt przygnębiony.

- Jesteś bezlitosna - powiedział nagle. A kiedy spojrzała na niego z zalaną łzami, napuchniętą twarzą, ciągnął: - Nie masz litości dla chłopca, którym byłem, ani dla mężczyzny,

którym mógłbym być. Jesteś bezlitosna, bo nie rozumiesz, że ilekroć biorę cię w ramiona, wiem co mogłoby między nami zajść, gdyby...

Zakryła mu usta dłonią. Patrzył na nią głęboko zdumiony, po czym odsunął jej rękę.

- Nie - potrząsnęła głową. - Nigdy byśmy się nie poznali. I przysięgam ci na wszystkie świętości, że twoi wrogowie są moimi wrogami, a ci którzy ranią ciebie, ranią i mnie. Jednak ty nie mówisz tylko o zemście, ale o śmierci. Chcesz dla tej sprawy oddać życie! Guido wie o tym. I ja wiem. Po co to wszystko! Dlatego, że on musi wiedzieć, prawda? On musi wiedzieć, że to ty przyszedłeś go zabić, po wszystkim, co ci zrobił. Musi wiedzieć, że to ty!

- Zgadza się - powiedział cicho. - Zgadza się. Wyraziłaś to lepiej i prościej, niż mnie się to kiedykolwiek udało zrobić.

Później, kiedy od dawna był już przekonany, że zasnęła, zapłakana, otoczywszy go gorącymi, wilgotnymi rękami i nogami, ułożył ją delikatnie na poduszce, poszedł do jej pracowni i usiadł przy oknie, patrząc na zasypane drobnymi gwiazdami niebo.

Chyży wiatr przegnał chmury deszczowe, miasto błyszczało wymyte i piękne pod plasterkiem księżyca, a w dole, pod lśniącymi dachami, na balkonach, w oknach, w szparach połamanych okiennic, w wąskich uliczkach migotały setki światełek.

Zastanawiał się, czy Christina kiedykolwiek w przyszłości go zrozumie. Jeśli teraz się wycofa, to wycofa się już na zawsze; jakże będzie więc żył z tą wewnętrzną słabością, z poczuciem przerażającej porażki, wiedząc, że pozwolił Carlowi tak zmienić, zniszczyć swe życie i żyć dalej jego własnym?

Widział swój dom w Wenecji. Dostrzegał widmową żonę, której nigdy nie miał, gromadę widmowych dzieci. Miał przed oczami dobiegające z kanału światła i pałac migoczący, blednący, jakby powoli zapadał się w wodę. - Dlaczego mnie to spotkało? - miał ochotę krzyknąć, a wtedy poczuł ją u swego boku.

Opierała o niego głowę, a kiedy Tonio ujrzał jej oczy, wydało mu się, że musiał przeoczyć sens własnego życia, wyrządzić jakieś potworne zło, bo inaczej to wszystko po prostu by się nie zdarzyło! Nie Toniowi Treschiemu, który urodził się do takich zaszczytów!

Szalone myśli.

Największym złem tego świata jest to, że tysiące krzywd dotykają ludzi bez skazy, nikogo nigdy nie spotyka kara, a najwspanialsze obietnice współlistnieją z cierpieniem i nędzą. Dzieci

kaleczone, by stworzyć chór serafinów, których pieśń jest krzykiem ulatującym w niesłyszące niebios.

I on, który stoczył się tutaj dzięki jakiemuś wspaniałemu przypadkowi, dlatego, że w zimowe noce wyśpiewywał w weneckich uliczkach swoją duszę pod gwiazdami takimi jak te.

Ale przypuśćmy, że ona ma rację. Stał patrząc na nią w ciemności, na krągłość jej głowy, na nagie ramiona pod luźno spowijającym ją prześcieradłem, a kiedy podniosła na niego wzrok, ujrzał biel jej czoła i ciemną twarz.

Przypuśćmy, że mogłoby się to ziścić. Gdzieś na ich własnym marginesie świata mogliby razem żyć i kochać, nie zwracając uwagi na całą resztę.

- Kocham cię - powiedział. "Sprawiłaś, że niemalże w to uwierzyłem" pomyślał. Zamilkł. Jakże mógłby ją opuścić? Jak mógłby porzucić Guida? Jak mógłby odejść od samego siebie?

- Kiedy wyjedziesz? - spytała. - Jeśli już zdecydowałeś się to zrobić i nic nie może cię powstrzymać...

Potrząsnął głową. Pragnął, żeby nic więcej nie mówiła. Nie pogodziła się z tym jeszcze, nie, i w tej chwili nie mógł znieść, by udawała, że tak jest. Jutro było ostatnie przedstawienie sezonu. Chociaż tyle czasu jeszcze im zostało.

Skończył się ostatni wyścig, w czasie którego konie przedarły się przez tłum, kilka razy w niego wjeżdżając i tratując widzów. Krzyki wypełniły powietrze, nic jednak nie było w stanie powstrzymać rączego biegu rumaków do Piazza Venezia. Odciągano rannych i martwych. Tonio, stojąc na samym przodzie podestu dla widzów, mocno przytulał do siebie Christinę i patrzył w stronę piazza, gdzie na łby oszalałych zwierząt narzucano duże płachty.

Na dachy opadała powoli ciemność. Zaczęła się wielka uroczystość, która zawsze odbywała się na zakończenie karnawału, na parę godzin przed początkiem Wielkiego Postu: *moccoli*.

Wszędzie rozbłysły świece.

Ukazały się w oknach wzdłuż wąskich uliczek, na powozach, na tyczkach, w rękach kobiet, dzieci i mężczyzn siedzących w drzwiach, aż wreszcie mrugały delikatnie tysiące płomyków. Tonio szybko odpalił świeczkę od stojącego obok mężczyzny i dotknął nią świece Christiny, a wokół natychmiast rozbrzmiały szepty: "*Sia ammazzato chi non porta moccolo*" - "Śmierć temu, kto nie niesie świeczki."

Jakaś ciemna postać wyskoczyła szybko w przód i zdmuchnęła płomień Christiny, który próbowała osłaniać dłonią. "*Sia ammazzato la signorina!*". Tonio szybko podał jej ogień, usiłując ochronić swą własną świecę przed tym samym łobuzem, a jednocześnie, dobywając oddechu ze swych silnych płuc, zdmuchnął jego płomień z tym samym przekleństwem: "*Sia ammazzato il signore*".

Cała ulica zamieniła się w morze nikle oświetlonych twarzy ludzi, chroniących swe własne płomienie i usiłujących zgasić inne: "Śmierć ci, śmierć, śmierć..."

Ująwszy dłoń Christiny, Tonio prowadził ją między wznoszącymi się amfiteatralnie siedzeniami, od czasu do czasu zdmuchując delikatny płomyk, za co otaczający go ludzie usiłowali mu odpłacić tym samym; wsunąwszy się w najgęstszy tłum, ciągnął za sobą Christinę, obejmując ją ramieniem i marząc o jakiejś bocznej uliczce, w której mógłby na chwilę odetchnąć i rozpocząć grę miłosną, którą dręczyli się przez cały dzień pośród niemalże rozpaczliwej radości, pijąc wino i śmiejąc się.

Tej nocy opera miała być krótsza, tak by mogła zakończyć się z wybiciem północy, kiedy zacznie się Środa Popielcowa, ale na razie dla Tonia liczyło się tylko gwiazdziste niebo i ten

otaczający go ogromny ocean delikatnych płomyków i szeptów. Śmierć ci, śmierć, śmierć. Jego świeca i świeca oddychającej teraz ciężko Christiny zgasły, ale Tonio nie przejmował się tym w tej chwili, tylko szturchany i popychany przez tłum, przyciągnął dziewczynę do siebie i otworzył swymi ustami jej wargi. Rzesza ludzi unosiła ich, ciągnęła ze sobą, jakby stali w morzu, na piasku i otwierali się na fali, pozwalali jej się podtrzymywać.

- Daj mi swój płomień. - Christina szybko odwróciła się do stojącego obok wysokiego mężczyzny, po czym zapaliła również świecę Tonio.

Jej twarz wydawała się dziwaczna, podświetlona od dołu, a miękkie kosmyki włosów płonęły złotem; położyła głowę na piersi Tonio, trzymając swoją świecę przy jego, tak że chronił je obie zwiniętą dłonią.

Wreszcie trzeba było wracać. Tłum się przerzedzał, dzieci ciągle zdmuchiwały świece rodziców, drażniąc ich przekleństwem, na co rodzice odpowiadali im tym samym. Całe to szaleństwo wlewało się w boczne uliczki, a Tonio stał w milczeniu, nie chcąc się ruszać, nie chcąc porzucić tych pozostałości karnawału nawet dla ostatnich chwil ekstazy w operze.

We wszystkich oknach ciągle błyszczało światło; nad uliczkami wisiały latarnie, a na przejeżdżających powozach lśniły świece.

- Mam jeszcze trochę czasu, Tonio... - szepnęła Christina. Jakże łatwo było utrzymać jej rękę wbrew jej woli. Ciągnęła go; nie poruszył się. Stała na palcach i położyła mu dłoń na karku. - Marzysz, Tonio...

- Tak - szepnął. - O życiu wiecznym...

Pospieszył jednak za nią w kierunku Via Condotti. Prawie tańczyła przed nim i ciągnęła go, jakby jego długie ramię stanowiło smycz.

Małe dziecko podbiegło do niego sycząc: "*Si ammazzato...*" Ale Tonio podniósł rękę z wyzywającym uśmiechem i uchronił płomień.

To co zdarzyło się później, przebiegło tak szybko, że nie był potem w stanie tego odtworzyć. Nagle ujrzał przed sobą jakąś postać, mówiącą z grymasem twarzy: "Śmierć ci!", a Christina puściła go i Tonio, straciwszy równowagę, upadł na plecy, słysząc jej krzyk.

Wyjął swój sztylet i w tej samej chwili poczuł na szyi nóż.

Odepchnął go w górę, tak że ostrze zadrapało go w policzek i pchnął dwa, trzy razy w przód własną bronią, wbijając ją w osobę, która usiłowała go przyprzeć do ściany.

Kiedy jednak ciało mężczyzny osunęło się, Tonio poczuł za sobą jeszcze jednego napastnika i nagle zaciskającą się pętlę wokół szyi.

Niezmiernie przerażony walczył, usiłując dosięgnąć twarzy atakującego go od tyłu mężczyzny i prawą ręką wbijając ostrze w jego wnętrzności.

W powietrzu pełno było odgłosów kroków, wrzasku, krzyku Christiny, a Tonio dusił się, sznur wpijał mu się w ciało, po czym nagle wszystko zniknęło.

Odwrócił się i rzucił na napastnika, lecz zorientował się, że mężczyzna trzyma go za obie ręce i krzyczy: - Signore, signore, jesteśmy na pana służbie!

Spojrzał przed siebie. Nigdy nie widział tego człowieka, przy którym stali siepacze Raffaele. Podążali za nim od miesiący, a teraz trzymali między sobą Christinę, jakby ją ochraniali, nie mając zamiaru skrzywdzić. U stóp Tonia leżało ciało mężczyzny, którego zasztyletował.

Oddychał ciężko. Stał przy murze, jak osaczone zwierzę, nie ufając, nie wierząc i nie rozumiejąc tego, co widzi.

- Służymy kardynałowi Calvino - oświadczył jeden z mężczyzn.

Ludzie Raffaele także nie zaatakowali go. Po prostu tam byli.

Napierał na nich tłum z setkami małych świeczek, a Tonio wreszcie zaczął pojmwować, że wszyscy ci mężczyźni stanęli w jego obronie.

Spojrzał na trupa.

W uliczkę wbiegła grupa dzieci, które od razu wycofały się z cichymi okrzykami, osłaniając czerwonymi, przezroczystymi palcami płomienie świec.

- Musi pan teraz stąd odejść, signore! - powiedział siepacz, a ludzie Raffaele kiwnęli głowami. - Ktoś może tu jeszcze na pana czyhać. - Kiedy go odprowadzali, jeden z siepaczy pochylił się nad martwym mężczyzną i rozpiął jego żakiet.

Siedział przy samej ścianie. Kardynał Calvino był w białej gorączce.

Wezwał hrabiego Raffaele di Stefano i podziękował mu wylewnie za pomoc jego ludzi w ochranianiu Tonia oraz Christiny, którą odwieźli bezpiecznie do domu hrabiny.

Raffaele nie był zadowolony, że napastnicy zdołali podejść tak blisko Tonia.

Ale kimże byli? Obydwaj mężczyźni spojrzeli na Tonia, lecz ten tylko potrząsnął głową, by pokazać, że wie tyle samo co oni.

Obydwaj napastnicy byli zwykłymi weneckimi bandytami. Mieli przy sobie weneckie paszporty i monety. Jednego z nich zarżnęli siepacze kardynała; drugiego zabił Tonio.

- Kto w Wenecji Eugejskiej mógłby chcieć cię zamordować? - pytał Raffaele, wbiwszy w Tonia swe małe, czarne oczy. Obojętny wyraz twarzy Tonia doprowadzał go do wściekłości. Tonio raz jeszcze potrząsnął głową.

Cudem zdołał dotrzeć do teatru i wejść na scenę, a to, że dobrze się na niej spisał, wynikało z przyzwyczajenia i kunsztu, których dotychczas nie doceniał.

Przebywanie w tym pokoju było dla niego jednak większą pokutą niż scena, na której słuchał własnego głosu jakby z wielkiej odległości i zagłębiał się w myślach.

Czuł radość, tę samą radość, która przepełniła go, gdy kilka dni temu otworzył swą duszę przed Guidem. To ona uspokoiła go i zahartowała; farba i kostium tak doskonale ją ukrywały.

Teraz zmuszał się do milczenia, do trwania w bezruchu. Nie mógł jednak się powstrzymać od dotykania rany na gardle i zastanawiania się, jak głęboko musiałby wpić się sznur, by pozbawić go głosu, jeśli nie życia.

Nóż także dosięgnął jego gardła. Nóż, pętla, gardło.

Podniósł wzrok i wpatrzył się w Guida, który obserwował wszystko, jakby był równie zdziwiony i przerażony.

Miał południowowłoską twarz, nie wiedzącą twarz, która nie odkrywa się przed nikim.

- Od tej chwili czterech siepaczy będzie strzegło Marca Antonia - oświadczył kardynał. Taktownie, rozważnie, chociaż wciąż kipiał w nim gniew, nie spytał Raffaele, co robili tam jego ludzie. Siepacze kardynała rozmawiali z nimi, jakby ich znali i jakby ich obecność nie była żadną niespodzianką.

A gdyby żadnego z nich tam nie było? Tonio zmrużył oczy i odwrócił wzrok, kiedy Raffaele pochylił się, by ucałować pierścień kardynała.

Stojący po drugiej stronie pokoju Guido starał się pod maską niewinności skrywać poczucie klęski. Jakby widział ciało zamordowanego Tonia leżące na ulicy.

Tonio raz jeszcze dotknął rany na szyi. Raffaele wychodził. Siepacze będą trzymali straż nawet na korytarzach pałacu, tak jak siepacze Carla, których Tonio widział, gdy kryli się w mrokach Palazzo Treschi.

- Wyjdź, Guido - szepnął.

Wreszcie został sam na sam z kardynałem Calvino.

- Mój panie, czy po tylu łaskach, jakich mi udzieliłeś, mogę liczyć na jeszcze jedną? - spytał. - Czy moglibyśmy iść sami do kaplicy? Czy wysłuchasz mej spowiedzi?

W milczeniu szli korytarzem. Otworzywszy drzwi, ujrzeli wypełnione ciepłym powietrzem wnętrze, świece błyszczące przed marmurowymi świętymi i złote drzwiczki tabernakulum, połyskujące blado nad gładką białą ołtarza pokrytego lnem.

Kardynał podszedł do pierwszego rzędu rzeźbionych krzeseł przed ołtarzem i zajmąwszy jedno z nich, wskazał Tomowi miejsce obok. Nie musieli używać drewnianego konfesjonału. Pochylona głowa kardynała, jego szczupły profil powiedziały Toniowi, że może zacząć, kiedy zechce:

- Panie - rzekł. - To, co ci wyznam, musi być objęte tajemnicą spowiedzi; nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Kardynał zmarszczył brwi. - Czemu mi o tym przypominasz, Marcu Antonio? - spytał.

Podniósł prawą dłoń i pobłogosławił go.

- Nie proszę bowiem o rozgrzeszenie, panie; szukam być może jakiejś prawości, sprawiedliwości w obliczu nieba. Nie wiem, dlaczego oczekuję, ale muszę ci wyznać, że ten, który nasłał na mnie morderców to mój ojciec, znany wszystkim jako mój brat.

Opowieść płynęła z jego ust szybko, gładko, jakby lata zamazały nieważne szczegóły, zostawiając tylko nagie fakty. Twarz kardynała ściągnęły skurcze bólu i koncentracji. Opuszczone powieki otaczały gładko oczy, a duchowny delikatnie potrząsał głową w wymownej ciszy.

- Krzywda, którą mi wyrządzono, kogoś innego zmusiłaby do zemsty już wiele lat temu - szeptał Tonio. - Teraz wiem, że to szczęście kazało mi powstrzymać się od wykonania mego zadania. Nie czułem odrazy do mego życia; kochałem je. Głos był dla mnie nie tylko bożym darem, ale i radością, a wszyscy otaczający mnie ludzie również dostarczali mi radości, chociaż zgadzam się, że było w tym także pożądanie i namiętność. Nie mogę temu zaprzeczyć. Ale naprawdę żyję i czasem czuję się jak kielich wody rozświetlony promieniami słońca, który wybucha jasnością i wreszcie sam zmienia się w światło.

Jakże więc mogłem go zabić? Jakże mogłem raz jeszcze uczynić matkę wdową, a jej dzieci sierotami? Jak mógłbym wprowadzić do tego domu ciemność i śmierć? Jak mógłbym podnieść na niego rękę, skoro jest moim ojcem i z miłości do matki dał mi życie? Jakże mógłbym

to zrobić skoro, prócz nienawiści do niego, moje życie toczyło się w szczęściu i zadowoleniu, którego nie zaznałem jako dziecko?

Odłożyłem to więc. Czekałem, aż będzie miał nie jedno, lecz dwoje dzieci. Czekałem, aż moja matka powędruje wreszcie do nieba. Lecz nawet wtedy, kiedy wypełniłem już obowiązki w stosunku do tych, których kochałem i nic nie stało mi na drodze, wahałem się z powodu mego szczęścia i konieczności porzucenia go. Ale do rzeczy, panie. Otóż moje szczęście kazało mi czuć się winnym za to, że pragnę go zabić! Zadawałem sobie pytanie, czemu ma umierać, skoro do mnie należy cały świat, miłość, wszystko, czego może zapragnąć człowiek? Jeszcze dziś wahałem się, walcząc z mym sumieniem; z celem, który sobie postawiłem, a kłótnie z innymi były dla mnie utarczkami z samym sobą.

Widzicie więc, że sam sprowadził na siebie zgubę! Wysłał ludzi, by mnie zamordowali. Teraz może to zrobić. Matka nie żyje, została pogrzebana, cztery lata dzielą go od czasu, gdy miał wyraźne motywy do popełnienia tej zbrodni i sam wydałby na siebie wyrok, popełniwszy ten czyn wtedy, kiedy tak liczył na moją wierność w stosunku do rodu, nazwiska i, tak, nawet do niego, ostatniego z rodziny.

Wysyłając tych zabójców, usiłował zdmuchnąć życie, które kusząco mnie do niego odciągało, mówiąc: "Zapomnij o nim, pozwól mu żyć!"

Ale nie mogę o nim zapomnieć. Teraz nie zostawił mi żadnego wyboru. Muszę udać się tam i usunąć go, a nie ma żadnej przyczyny, dla której nie miałbym później powrócić do tych, których kocham i którzy na mnie czekają. Powiedz mi, że nie ma powodu, bym niszczył siebie, unicestwiając człowieka, który dziś próbował mnie zabić!

- Ale czy możesz go zniszczyć, Marcu Antonio, nie tracąc własnego życia? - spytał kardynał.

- Tak, panie - odparł z przekonaniem Tonio. - Mogę. Od dawna znam już sposób, by dostać go w swoje ręce, nie narażając się zbytnio na niebezpieczeństwo.

Kardynał rozważał to w milczeniu. Kiedy patrzył na tabernakulum, zmrużył oczy.

- Jakże niewiele o tobie wiedziałem, jakże niewiele wiedziałem o twych cierpieniach... - rzekł.

- Coś mi przyszło do głowy - ciągnął Tonio. - Prześladowuje mnie to cały wieczór. To historia, opowiadana dzieciom i dorosłym, o tym, jak wspaniały zdobywca Aleksander Wielki przeciął mieczem węzeł gordyjski. To właśnie tkwiło we mnie, prawdziwy węzeł gordyjski

pragnienia życia i wiary, że nie mogę żyć, dopóki go nie zniszczę i nie doprowadzę tym samym do własnej ruiny! On go przeciął nożami płatnych zabójców. I nawet dzisiaj, kiedy inni widzieli tylko, jak uśmiecham się, rozmawiam, czy nawet śpiewam na scenie, myślałem o tym, jak bardzo zawsze rozczarowywała mnie ta stara opowieść. Cóż za mądrość tkwiła w rozcinaniu zagadki, której nie podołały lepsze umysły? Cóż za brutalne, tragiczne nieporozumienie! A jednak takie właśnie są sposoby mężczyzn, panie, którzy przecinają, odcinają. I być może tylko ci z nas, którzy mężczyznami nie są, postrzegają dobro i zło w pełniejszym świetle, a wizja ta paraliżuje ich.

Spędzałbym czas wśród eunuchów, kobiet, dzieci i świętych, którzy stronią od wulgarności szabli, gdybym tylko mógł to robić. Ale nie mogę. On do mnie przychodzi. Przypomina mi, że nie można tak łatwo zabić męskości. Mogę wydobyć ją z własnego wnętrza, by się z nim zmierzyć. Jest tak, jak zawsze sądziłem: jednocześnie nie jestem i jestem mężczyzną, ale nie mogę żyć życiem ani jednego, ani drugiego, póki on nie został ukarany!

- Jest więc tylko jedno pewne wyjście. - Kardynał wreszcie odwrócił się do niego. - Nie możesz bezkarnie podnieść ręki na ojca. Sam mi to powiedziałeś. Nie muszę ci cytować Pisma. A jednak twój ojciec usiłował cię zabić, gdyż obawia się ciebie. Słyszając o twym scenicznym triumfie, o sławie, majątku, umiejętnościach we władaniu szablą, o potężnych ludziach, którzy zostali twymi przyjaciółmi, nie może oprzeć się myśli, że wystąpisz przeciw niemu.

Musisz więc udać się do Wenecji. Musisz dostać go w swoje ręce. Mogę posłać z tobą moich ludzi albo siepaczy hrabiego di Stefano, jak wolisz. Jeśli chcesz, stań z nim twarzą w twarz. Zadowol się tym, że przez te cztery lata cierpiał za zło, które ci wyrządził. Ale potem puść go wolno. Będzie miał wtedy pewność, której mu potrzeba, że nigdy nie zrobisz mu krzywdy; ty też będziesz miał satysfakcję. Węzeł gordyjski zostanie rozwiązany bez użycia miecza.

Nie mówię ci tego wszystkiego jako ksiądz i spowiednik. Przemawiam jako ktoś, kto trwa w grozie wiedząc, ile przecierpiałeś, straciłeś i zyskałeś na przekór wszystkiemu. Bóg nigdy nie zesłał na mnie takiej próby. A kiedy zawiodłem mego Pana, ty byłeś dla mnie łagodny w moim grzechu, nie okazałeś mi pogardy ani nie wykorzystałeś podle mej słabości.

Zrób, jak mówię. Człowiek, który przez tak długi czas pozwolił ci żyć, nie może naprawdę chcieć cię zgładzić. Pragnie przede wszystkim twego przebaczenia. Ale dopiero kiedy padnie przed tobą na kolana, będziesz w stanie go przekonać, że jesteś na tyle silny, by mu go udzielić.

- Ale czy mam w sobie taką siłę? - spytał Tonio.

- Kiedy zdasz sobie sprawę, że jest to największa ze wszystkich moc, posiadasz ją, staniesz się człowiekiem, jakim pragniesz być. A twój ojciec na wieki będzie mógł dać temu świadectwo.

* * *

Guido nie spał, kiedy Tonio wszedł do komnaty. Siedział w ciemności przy biurku, od którego dochodziły ciche dźwięki podnoszenia kielicha, picia, potem znów niemalże bezgłośnie kieliszek został postawiony na drewnianym blacie.

Paolo leżał skulony na środku łóżka Guida, a w świetle księżyca widać było jego pomazaną łzami twarz, rozpuszczone włosy, zmarznięte ciało.

Tonio uniósł złożone przykrycie i nakrył nim chłopca aż po brodę. Pochylił się, by go pocałować.

- Czy i nade mną płaczesz? - Odwrócił się do Guida.

- Być może - odparł maestro. - Może nad tobą, nad sobą, nad Paolem. I także nad Christiną.

Tonio podszedł do biurka. Stanął przy nim, patrząc jak twarz Guida powoli wyłania się z mroku.

- Czy zdążysz napisać do Wielkanocy operę? - spytał.

Guido z wahaniem skinął głową.

- A czy jest tu jeszcze ten impresario z Florencji?

Guido ponownie z wahaniem skinął głową.

- Idź więc do niego i zorganizuj wszystko. Wynajmij powóz, który pomieści was wszystkich: Christinę, Paola, signorę Bianchi. Jedź do Florencji i wynajmij tam dla nas dom.

Przyrzekam, że jeśli nie dotrę tam wcześniej, to na pewno będę z wami w wielkanocną niedzielę, nim otworzą się drzwi teatru.

CZEŚĆ SIÓDMA

1

Nawet za zasłoną drobnego deszczu to miasto wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Zdawało się raczej rzucającym wyzwaniem rozsądkowi snem o mieście, którego starodawne pałace wyrastały z powierzchni ołowianej wody smaganej ulewą, by stworzyć jeden wielki, wspinały, niekończący się miraż. Słońce wylewało się przez poszarpane, obramowane srebrem chmury, pod szybującymi mewami wyrastały ostre maszty okrętów, a chorągwie, wybuchające kolorami na tle błyszczącego nieba, łopotały i trzepotały.

Wiatr smagał płachtę wody, w którą zmieniała się piazzetta, a z daleka doleciał z Campanile głos dzwonu zaplątany w zimne wycie wichru, tak że jego dźwięk wydawał się snem o samym sobie, jak krzyk mew.

Spod portyków Pałacu Dożów wyszedł tradycyjny, otoczony najwyższą czcią pochód członków Najwyższego Senatu, we wlokących się po wilgotnej ziemi purpurowych szatach i białych perukach, targanych wiatrem. Zbliżył się do brzegu wody, a jego członkowie, jeden za drugim, znikali w lśniących, czarnych jak smoła barkach pogrzebowych, stojących wzdłuż pełnej przepychu alei, którą tworzył Canale Grande.

Czyż nigdy nie przestanie zadziwiać, pustoszyć serca i umysłu? A może po prostu przez piętnaście lat gorzkiego wygnania w Stambule tak jej pragnął, że nigdy nie będzie mu dosyć? Zawsze dręcząca, tajemnicza, bezlitosna Wenecja, jego miasto, sen ziszczający się wciąż na nowo.

Carlo uniósł do ust butelkę wódki. Czuł, jak pali go w gardle, wzrok mu się zaćmił, po czym wszystko się uspokoiło, tylko wiatr kłuł go w oczy, kiedy patrzył na mewy unoszące się w niebo.

Odwrócił się, niemalże tracąc równowagę. Ujrzał swoich zaufanych ludzi, siepaczy stojących jak cienie na brzegach piazzzy, przysuwających się nieco bliżej, niepewnych, czy powinni mu pomóc i gotowych podbiec, gdyby padał.

Carlo uśmiechnął się. Trzymał butelkę za szyjkę. Wziął głęboki łyk i tłum zmienił się w leniwą masę kolorów, odbijającą się w wodzie, równie ulotną co deszcz rozplywający się w cichą mgłę.

- Za ciebie - szepnął do otaczającego go powietrza i nieba, tego cudu trwałości i efemeryczności. - Za ciebie i za wszystkie poświęcenia, moją krew, mój pot, moje sumienie. - Zamknawszy oczy, pozwolił się wspierać wiatrowi, który mroził mu skórę w tym cudownym pijaństwie, pozwalającym wyjść poza ból i żal. - Za ciebie, którego morduję - szepnął. - Za ciebie, którego zabijam.

Otworzył oczy. Wszyscy arystokraci w czerwonych szatach zniknęli. Przez chwilę wyobraził sobie z przyjemnością, że utonęli w morzu, jeden po drugim.

- Ekscelencjo, pozwólcie, że zaprowadzimy was do domu.

Odwrócił się. To Federico, ten zuchwalec, któremu wydawało się, że jest służącym, nie tylko siepaczem. Carlo znów podniósł butelkę do ust, ale nim zdecydował się przełknąć alkohol, najpierw go posmakował.

- Zaraz, zaraz... - Chciał coś mówić, ale napływające do oczu łzy zamazały mu obraz; opustoszałe pokoje, jej puste łóżko, jeszcze wiszące na haczykach suknie, nikły zapach perfum. - Czas niczego nie łagodzi - powiedział głośno. - Ani bólu po śmierci, po jej stracie, ani tego, że na łożu śmierci wypowiedziała jego imię!

- Signore! - Federico wskazał oczyma tajemniczą postać, która nagle w zabawny sposób wycofała się z pola ich widzenia; jednego z wstrętnych, nieuniknionych państwowych szpiegów.

Carlo zaśmiał się. - A więc ma zamiar na mnie donieść? "Stoi pijany na piazzy, bo jego żona pod ziemią wydaje ucztę dla robaków!" - Odepchnął Federica ręką.

Tłum powiększał się, żył, gdzieś rozstępował się po to tylko, by znów się zamknąć. Niesiony wiatrem deszcz smagał Carla po powiekach, po ustach rozciągniętych w uśmiechu, który czuł całą twarz. Zrobił krok w bok, wyprostował się i biorąc następny łyk, rzekł: - Czas - głośno, z brawurą, jaką może dać tylko alkohol. Pomyślał: jeśli czas nie pomaga. - I pijaństwo - szepnął. - Nie dają nic prócz siły postrzegania od czasu do czasu tej wizji, tego piękna, znaczenia wszystkiego.

Deszczowe chmury otoczone srebrem, migoczące, falujące złote mozaiki. Czy kiedykolwiek miał taką wizję, kiedy piła w sekrecie, kiedy wrywała mu z ręki kielich, chociaż błagał, by tego nie robiła: "Marianno, zostań ze mną, nie pij tego, zostań ze mną!" Czy śniła chociaż, kiedy leżała nieprzytomna na łóżku?

- Wasza Ekscelencjo - szepnął siepacz Federico.

- Daj mi spokój!

W wódce krył się wspaniały żar, była jak płynny ogień. Wyobraził sobie, jak go przenika, jej ciepło podtrzymuje go, a lodowate powietrze nie może go dotknąć. Uderzyła go myśl, że piękno zyskuje największą wartość, kiedy człowieka nie może osiągnąć ból. Powietrze na nowo wypełniło się deszczem, zacinającym i rozpryskującym płachtę wody rozciągającą się przed Carlem.

- On już wkrótce będzie z tobą, ukochana - szepnął przez wykrzywione grymasem usta. - Będzie z tobą; położycie się razem na wielkim łóżku ziemi.

Jakże się na końcu awanturowała! "Pojadę do niego, rozumiesz, pojadę! Nie możesz mnie tu trzymać jak więźnia. On jest w Rzymie, pojadę do niego." A Carlo odparł: "Moja droga, czy jesteś chociaż w stanie znaleźć własne buty albo grzebień do włosów?"

- Taaak, bądźcie wreszcie znów razem. - Słowa wypływały mu z ust jak głębokie westchnienie. - A wtedy, wtedy znów będę mógł oddychać.

Zamknął oczy tak, by po otwarciu ich raz jeszcze ujrzeć to piękno; słońce rozpryskujące się nagle srebrem i złotem, ostre wieżyczki unoszące się nad połyskującymi mozaikami. - Śmierć, i wszystkie moje dawne błędy zostaną naprawione, śmierć, i nie będzie więcej Tonia-eunucha, Tonia-śpiewaka! - szepnął. - To ciebie wzywała na łożu śmierci, nieprawdaż? Wymówiła twoje imię!

Przełknął wódkę, z radością odczuwając drzenie i zbierając językiem z ust jej posmak.

- Dowiesz się, jak za to wszystko zapłaciłem. Jak cierpiałem, jak drogo kosztowała mnie każda chwila, którą ci podarowałem i wreszcie nie mogę ci już dać nic więcej, mój synu z nieprawnego łóża, mój nieposkromiony, nieunikniony rywalu; umrzesz, umrzesz, bym ja mógł żyć na nowo!

Wiatr odgarniał mu z twarzy zmierzwione włosy. Parzył w uszy, przedostawał się nawet przez cienki żakiet, oplatając nogi Carla długim, czarnym *tabarro*.

Kiedy jednak ponownie zaczął opierać się wichrowi, usiłując zwalczyć wizję pokoju żałobnego, od której nie był w stanie się, uwolnić przez kilka ostatnich tygodni, ujrzał idącą ku niemu przez piazzę niezwykle realną postać spowitej w żałobę kobiety, którą w ciągu tych ostatnich zapijaczonych, wojowniczych, gorzkich dni widywał raz po raz na *calli i riva*.

Zmrużył oczy; głowa opadła mu na bok.

Jej spódnice tak wolno płynęły nad migoczącą wodą, że zdawała się poruszać nie jak człowiek, a jedynie za sprawą jego rozgorączkowanego, przesiąkniętego żalem umysłu.

- Jesteś częścią tego wszystkiego, najdroższa - szepnął, z lubością wsłuchując się w dźwięk rozbrzmiewającego mu w uszach własnego głosu, chociaż nikt inny nie zwracał na niego najmniejszej uwagi ani na otwartą butelkę w jego ręku. - Wiesz o tym? Jesteś częścią tego wszystkiego, bezimienną, bez oblicza, a jednak piękną częścią i jakby to piękno nie wystarczało, wychodzisz z samego centrum tego wszystkiego, ubrana jak śmierć, czarna jak śmierć, zawsze zbliżając się do mnie, jakbyśmy byli kochankami, ty i ja, śmierć...

Piazza przechyliła się, po czym wróciła do równowagi.

Był to najwyższy cud wódki, wina i cierpienia Carla: doskonała chwila, w czasie której wszystko można było znieść.

- Tak; warta śmierci Tonia, ponieważ nie mam wyboru, nie mogę postąpić inaczej! Niechże zatraci się to w poezji. Pieśń ptaka, śpiewak, mój syn-eunuch! Moje długie ramię sięgnie Rzymu; schwyci cię za gardło i uciszy na zawsze, a potem, potem, potem wreszcie będę mógł oddychać!

Pod arkadami, nigdy się zbytnio nie oddalając, skradali się siepacze.

Pragnął raz jeszcze się uśmiechnąć, poczuć ten śmiech. Jasno świecąca piazza musi rozprysnąć się w bezkształtny blask.

Czuł jednak, że zagraża mu atak innego uczucia, zmiana wizji; coś rozprasającego tę wspaniałą przyjemność i dającego mu posmak... czego? Czegoś zbliżonego do bezgłośnego krzyku, wydobywającego się z otwartych ust.

Napił się wódki. Czy to ta kobieta, coś w falowaniu jej spodniej w kształcie twarzy, który dostrzegął przez przylegający do niej; odwiewany w tył welon, wywoływały panikę, która kazała mu zbyt szybko łykać alkohol?

Szła w jego kierunku, tak jak przedtem zbliżała się do niego na piazzetcie, a jeszcze wcześniej na *riva*.

Czy była jakąś kurtyzaną w wielkopostnej czerni? Szła tak zdecydowanie. Zdawało się, że z przewalającego się tłumu jego wybrała na swój cel. Taak! Tak, podążała za nim, bez wątpienia. A gdzież są jej damy do towarzystwa, słudzy? Czyżby snuli się gdzieś w oddali, jak jego ludzie?

Przez chwilę z przyjemnością to sobie wyobraził. Tak, ścigała go. Spoza tego czarnego welonu dostrzegła jego uśmiech; widziała go teraz.

- Pragnę, pragnę tego wszystkiego! - Zacisnął szczęki. - Tego pragnę, nie cierpienia, tylko przyjdźcie, przyjdźcie mi powiedzieć, że on już nie żyje!

Wytrzeszczył oczy; kobieta nie była człowiekiem, a jakimś demonem wysłanym, by go prześladował i pocieszał. Patrzył na niewyraźny owal jej białej twarzy i ruchy bladych dłoni pod unoszącym się na wietrze welonem.

Nagle zmieniła się; odwróciła się tyłem, ale nie przestała iść. Nie! Było to tak nadzwyczajne, że wysunął nieco w przód głowę i zmrużył oczy, by lepiej widzieć.

Szła tyłem pozwalając, by wszystkie te warstwy gazy rozplatały się przed jej twarzą, a spódnice powiewały przed nią. Szła tyłem na piętach, nie myśląc kroku, jak zrobiłby to przy takim wietrze mężczyzna, aby obciągnąć płaszcz. Potem znów się odwróciła.

Carlo zaśmiał się cicho, dyskretnie. Nigdy w życiu nie widział jeszcze, by kobieta zrobiła coś takiego.

Kiedy się odwróciła, odzienie otaczało ją luźniej. Sunęła w przód tak dziwnie, lekko, a on poczuł nagle przenikliwy ból w boku.

Z sykiem wypuścił powietrze.

- Ślepa, głupia kurtyzany, wdowo, kimkolwiek jesteś - myślał, a wrogość sączyła się, jakby nagle został przekłuty jakiś niewielki, mroczny punkt, tak by trucizna mogła się rozprzestrzeniać. - Cóż wiesz o wszystkim, co cię otacza, o tym, że jesteś częścią tego piękna, piękna, bez względu na to jak ohydne, trywialne i najpewniej odpychające są twe własne myśli!

Butelka była pusta.

Nie miał zamiaru jej upuścić, a jednak rozprysła się na wilgotnych kamieniach u jego stóp. Cienka warstewka wody falowała, kawałki szkła zabłysły i znieruchomiały. Nadepnął na nie. Podobał mu się dźwięk miażdżonego szkła.

- Przynieście mi następną! - Skinął dłonią. I jeden z cieni, które widział kącikiem oka ruszył w przód, powiększał się, stawał się coraz wyższy.

- Signore. - Podano mu butelkę. - Powinniście iść do domu. Proszę.

- Aaach! - Otworzył butelkę. - Wszyscy ludzie, mój przyjacielu, dają specjalne przywileje tym, którzy są w żałobie. A czyż ja nie mam dziś większego powodu niż kiedykolwiek, by opłakiwać zmarłych? - Spojrzał z ukosa na twarz Federica. - Pewnie gnije, kiedy my tu sobie stoimy. Wszystkie kobiety, mdlejące na dźwięk jego głosu, zawodzą teraz, a jego bogaci i potężni przyjaciele z Rzymu i Neapolu może w tej właśnie chwili uroczyście składają go do grobu.

- Błagam, signore...

Potrząsnął głową. Znowu ten pokój, w którym leżała chora i... co to było? ...przerażenie, które może smakować jak osad na języku. Usiadła gwałtownie. "Tonio!"

Położył dłoń na piersi Federica i odepchnął go.

Pił długo, chciwie i powoli, zapraszając znów smutek - to lśniąca, niezgłębiona, niezmażone uczucie.

A ona, kobieta w czerni, gdzie poszła?

Odwrócił się na pięcie i ujrawszy ją o dziesięć kroków od siebie, był pewien, że odwróciła się, by rzucić mu spojrzenie dokładnie wtedy, kiedy on na nią spojrzał!

Tak, nie mylił się.

Patrzyła na niego spośród tego mroku. Pogardzał nią, chociaż wiedział, że jego oczy błyszczą pożądliwie, kiedy obdarzał ją powolnym, pełnym uwielbienia uśmiechem. Zawsze ta sama buta, kokieteria, gra w kotka i myszkę, podczas gdy w nim szalał żal: myślisz, że cię pragnę i pożadam. Wypiję cię jak kielich wina i odrzucę, nim zorientujesz się, co się dzieje. Ale ona! To dopiero była miłość, której nie mógł dotknąć czas. Nie, jego trzeba było, by ją zniszczyć! "Tonio!" i nie wypowiedziała już ani jednego słowa więcej do chwili śmierci.

Zbyt szybko pił wódkę; spływała mu po brodzie, na ubranie.

Ktoś powitał go, zgiął się w ukłonie i odszedł pospiesznie, widząc jak się sprawy mają. Ale wybaczą; wszyscy mu wybaczyli. Żona nie żyje, dzieci za nią płaczą, on ją oplakuje. A gdzieś pięćset mil na południe ta hańba, ten dawny skandal. - Och, senator Carlo Treschi - mówią pewnie do siebie. - Cóż on musi znosić!

Jeszcze coś. Federico stojący u jego boku. Wpatrzył się w kobietę w czerni. Nie uległo wątpliwości, że starała się go zwabić. - Mówiłem, żebyś dał mi spokój.

- ...zawinał, ale nikogo na nim nie ma, signore.

- Na czym? Nie słyszę.

- Na statku pocztowym, signore. Nie było na nim...

Pełna wdzięku dziwka o kocich ruchach, jest w niej coś niewątpliwie eleganckiego, w kołysaniu się jej sukni; w sposobie, w jaki gięła się z wiatrem. Pragnął jej, pragnął jej, a kiedy wszystko to się skończy, padnie na kolana przy konfesjonale: - Zabiłem go, nie miałem wyboru, nie... - Odwrócił się i usiłował wyraźniej dojrzeć Federica. - Co mówiłeś?

- Na statku nie było nikogo, signore. Ani żadnej wiadomości... - ściszył głos tak, że nie był to już nawet szept - ...żadnej wiadomości z Rzymu.

- To będzie później. - Wyprostował się. A więc oczekiwanie przedłuża się, a wraz z nim poczucie winy. Nie, to nie wina, a po prostu niepokój, napięcie, wrażenie, że nie można oddychać.

Poza tym właściwie obawiał się tej wiadomości. Powiedzieli: - Przywieziemy panu dowód - po pierwszym wybuchu wściekłości, kiedy stawał pod znakiem zapytania ich uczciwość. - Doprawdy, a cóż to będzie? - spytał. - Jego głowa w zakrwawionym worze?

Zaśmiał się i nawet oni, ci płatni mordercy, byli przerażeni i usiłowali ukryć wyraz tego na twarzach, które wyglądały, jakby wy-rzeźbiono je niedbale z drzewa i zapomniano wypolerować. - Nie musicie przywozić mi dowodu. Po prostu to zróbcie. Wiadomość dotrze do mnie wystarczająco szybko.

Tonio Treschi - śpiewak. Tak mówili o nim teraz ludzie, nawet przy Carlu, przy jego bracie odważali się go tak nazywać: Tonio Treschi - śpiewak!

Wiele lat temu tamci powiedzieli, że dostarczą mu dowodów, a on to zlekceważył. Kiedy położyli przed nim skrwawione trzewia w zaschniętym, łamliwym płótnie, przewrócił krzesło, by uciec od tego widoku, krzycząc: - Weźcie to ode mnie, weźcie to!

- Wasza Ekscelencjo... - Federico coś do niego mówił.

- Nie pójdę do domu.

- Ekscelencjo, wciąż nie ma wiadomości, co oznacza, że istnieje możliwość...

- Jaka możliwość?

- ...że im się nie udało.

Cień irytacji w głosie Federica, cień niepokoju, oczy przebiegające po piazzie, omijające tę ciemno odzianą kobietę, która nagle znów się pojawiła. Nie widzisz jej? A ja ją widzę. Carlo uśmiechnął się.

- Nie udało? - Uśmiechnął się pogardliwie. - Jest przecież tylko cholernym eunuchem, na miłość boską! Mogliby go zadusić gołymi rękami!

Podniósł butelkę, odpychając Federica niemalże zażyłym gestem, by odsłonił tę doskonałą wizję. Tak, znów tam była. - No dobrze, moja śliczna, chodź do mnie - powiedział szeptem i znów pociągnął szybko wódki.

Tym razem był to duży łyk, przemywający mu usta i oczy. Deszcz był bezgłośny i lekki, jak srebrny wir.

Rozkosznie paliło go w piersiach; nie odrywał butelki od ust.

Przez ostatnie dni życia Marianna biegła otwierając gwałtownie szuflady i komody. - Oddaj mi to, nie masz prawa tego zatrzymywać. Włożę to tutaj, nie zatrzymasz mnie w domu.

I ostrzeżenie starego lekarza: "zabije się", a wreszcie Nina biegnąca korytarzem. - Nie odzywa się, nie rusza... - Zawodzenie, zawodzenie.

Cztery godziny przed śmiercią wiedziała, że umrze. Otworzyła oczy i powiedziała: - Umieram, Carlo.

- Nie pozwolę ci umrzeć! Marianno! - mówił, a później obudził się, kiedy nieznacznie się poruszyła, zobaczył jej otwarte oczy, usłyszał, jak mówi: - Tonio! - Nic już więcej nie rzekła.

Tonio, Tonio i Tonio.

- Do domu, signore... jeśli nie zostało to wykonane, jak trzeba, istnieje niebezpieczeństwo, że...

- Że co? Pojechali ukreć szycę kapłonowi. Jeśli jeszcze tego nie zrobili, to zrobią wkrótce. Nie chcę o tym rozmawiać, odejź ode mnie...

- Tonio Treschi - śpiewak! - szydził.

- Statek powinien przywieźć jakąś wiadomość.

- Tak, i jeszcze dowód! - rzekł. - Dowód. - Jego głowę w zakrwawionym worku. Weźcie to ode mnie, weźcie tooo...!

Nigdy nie przestała go pytać: - Nie zrobiłeś tego, nie zrobiłeś? - Tysiące razy zaprzeczał szeptem, tysiące razy w czasie pierwszych dni po tym wydarzeniu, kiedy wszyscy napadli na niego jak drapieżne ptaki gotowe szarpać ciało. Przywieriała do niego za zamkniętymi drzwiami, chwytała dłońmi jak szponami. - Mój syn, mój jedyny syn, nasz syn, nie zrobiłeś tego!

- Powiedz mi to. - Śmiał się, śmiał. - Nie, kochana, po tysiącokroć nie, nie mógłbym doprowadzić do czegoś takiego. On zrobił to w swej popędliwości. - Wtedy jej twarz stawała się łagodniejsza i, przynajmniej na chwilę, w jego ramionach, wierzyła.

- ...nic dobrego nie wyniknie z takiej żałoby...

- Któż to powiedział?

Odwrócił się zbyt szybko i dojrzał dwie oddalające się postacie w fałdzistych, czarnych *vesti patricie* i białych perukach. Jego bezlitośni, zawsze czujni koledzy senatorowie.

Federico obserwował go wraz z innymi z bardzo, bardzo daleka, spod arkady. Cztery dobre sztylety i tyle mięśni mogły uchronić go od wszystkiego prócz szaleństwa, goryczy, jej śmierci; prócz niekończących się, okropnych lat bez niej, lat, lat...

Oplotła go wilgotna samotność. Pragnął jej, swej Marianny. Jakże można to opisać? Nawet kiedy płakała w jego ramionach, kiedy krzykiem domagała się wina i oskarżała go pijanymi oczami, ze ściągniętymi ustami ukazującymi najbielsze zęby. - Nie widzisz, że jestem teraz z tobą - mówił do niej. - Jesteśmy razem, inni odeszli, nigdy już nas nie rozdziela, a ty jesteś tak piękna jak zawsze. Nie, nie odwracaj wzroku, patrz na mnie, Marianno!

I przez krótką chwilę łagodność, uległość: - Wiedziałem, że nie mógłbyś tego zrobić, nie mojemu Toniowi. Jest teraz szczęśliwy, prawda? Ty nie... a on jest szczęśliwy.

- Nie, moja ukochana, mój skarbie - odpowiadał. - Oskarżyłby mnie, gdybym to ja mu wyrządził tę krzywdę. Na własne oczy widziałaś papiery, które podpisał. Cóż mógłby zyskać, nie oskarżając mnie?

Tylko czas, żeby uknuć, jak mnie zgładzić. Oto co mógł zyskać; ach, ale najpierw moi synowie, synowie z rodu Treschich, z których powodu milczał. Tonio - śpiewak, Tonio - szermierz. Tonio, Tonio Treschi!

Czy nigdy nie skończą się plotki?

Powiadam ci, że Neapolitańczycy dosłownie się go boją; robią, co mogą, by go nie rozzłościć. Podobno wpadł w furję, kiedy znieważył go ten młody Toskańczyk; rozciął mu gardło. A ta awantura w gospodzie, kiedy zabił innego chłopca; jest jednym z tych niebezpiecznych, bardzo niebezpiecznych eunuchów...

- Gdzie się podziała moja dziwka w czerni? - pomyślał nagle. - Moja piękna Kostucha, moja kurtyzana tak zuchwale spacerująca samotnie po piazzie? Zaczynij myśleć o żyjących, zapomnij zmarłych, zmarłych, zmarłych.

Tak, żywe, ciepłe ciało. Lepiej żebyś była piękna, warta cekina. Ale gdzież ona jest?

Płachta wody, którą wiatr uwolnił od deszczu, ponownie zmieniała się w doskonałe lustro. W nim właśnie Carlo dostrzegł zbliżającą się wielką, ubrana na czarno postać. Nie, nie zbliżała się. Stała przed nim.

- Och!

Uśmiechnął się, patrząc na jej odbicie. - A więc do tego doszło, moja zuchwała, mała, uwodzicielska suko w czerni.

Ale dla niej usta Carla ułożyły się tylko w jedno słowo: - Piękna.

Czy to dostrzegła?

A jeśli wezmę w dłonie ten welon i odrzucę go w tył? Nie odważyłabyś się mnie zwieść, co? Nie, okażesz się piękna, prawda? Wdzięcząca się i bezmyślna, będziesz używać języka prostytutek. Cały czas targujesz się, ukrywając to pod maską kokieterii i myślisz, że cię pragnę. Otóż przez te wszystkie lata nigdy nie pragnąłem nikogo prócz jednej, pięknej i szalonej kobiety: - Tonio! - i skonała w moich ramionach.

Nieznana dama w żałobie była teraz tak blisko niego, że widział haftowany brzeżek jej welonu. Czarna, jedwabna nić, wielkopostne kwiaty, dżetowe koraliki.

A potem coś białego przesuującego się pod welonem, jej nagie dłonie.

Jej twarz, twarz; pokaż mi twarz.

Stała nieruchomo i daleko od niego, o wiele dalej niż mu się wydawało, kiedy patrzył na jej odbicie w wodzie. Musi być ogromna! A może to jakaś pomyłka? Niechże się odwróci, nie podąży za nią; nie po takiej ilości wódki, nie w takim cierpieniu. Niemalże podniósł dłoń, by przywołać Federica.

Ale kobieta nie odwróciła się.

Jej głowa przechyliła się delikatnie w bok pod długim całunem, wydawała się ulegać Carlowi całym ciałem, tak że wszystkie jego mętne, sentymentalne myśli rozpięchły się nagle pod wpływem jednego gestu mówiącego "tak".

- Tak, moja droga? - szepnął, jakby mogła go usłyszeć z takiej odległości.

Nadchodzili jednak inni: grupa mężczyzn w ciemnych strojach walczyła z wiatrem. Oddzielili go od niej, sami o tym nie wiedząc, lecz Carlo nie spuszczał oka z samotnej, ponętnej postaci patrzącej wprost na niego przez żałobny welon.

I właśnie kiedy z niejaką paniką pomyślał, że może stracić z oczu tę kobietę, ujrzał jej postać ponad ramieniem mijającego ją mężczyzny, welon unoszący się w białych dłoniach, a potem jej twarz.

Przez chwilę był oszołomiony.

Odeszła. Wiedział, że nie jest aż tak pijany, by mieć złudzenia. Była piękna! Była równie urocza jak wszystko dokoła i wiedziała o tym, kiedy się do niego zbliżała. Pojawiła się, jakby sam ja wyczarował, bez wahania, z twarzą jak cukierek, z obliczem cudownego manekina, lalki naturalnej wielkości.

Wyglądała jak porcelana, była doskonale biała. A te oczy!

Teraz on podążał za nią, a deszcz wirował w srebrnym świetle tak, że Carlo mrużył oczy i drżał, usiłując ją dojrzeć, kiedy raz jeszcze, przez ramię, ukazała mu swą twarz. Tak, za nią. Za nią.

Jakże śmiało, wspaniale przywoływała go teraz skinieniem!

Jakże to było nadzwyczajne, rozkoszne. Tego właśnie potrzebował, by choć na chwilę zdławić ból.

Szła coraz szybciej.

Kiedy dotarła do brzegu kanału, zatrzymała się.

Bardzo wolno opuściła welon.

To właśnie wydawało mu się wspaniałe. Dogonił ją, lecz zeszła już o kilka stopni niżej od niego. Jej suknia nieomal dotykała wody. Wydawało mu się, że widzi, jak pierś kobiety wznosi się i opada wraz z oddechem.

- Równie zuchwała co piękna - powiedział do niej, chociaż wciąż stała nieco zbyt daleko, by go usłyszeć. Odwróciła się i ruchem dłoni przywołała gondoliera.

Widział, że jego ludzie zbierają się. Zbliża się Federico.

I odwróciwszy się, pospieszył za nią, wchodząc ciężko, niezręcznie do łodzi, która zakołysała się pod nim, tak że wpadł za kobietą do zamkniętego *felze* gondoli.

Kiedy opadł na siedzenie, poczuł obok jej taftową suknię.

Gondola ruszyła. Nozdrza napełnił mu odór kanału. A ona stanęła przed nim, żywa, na tle tej wspaniałej draperii.

Przez chwilę był w stanie tylko łapać oddech.

Serce biło mu jak młotem, oblał się potem - płacił tak za pośpiech. Ale miał tę kobietę, chociaż ledwie co widział ją w świetle sączącym się przez rozsunięte zasłony.

- Chcę zobaczyć - szepnął, walcząc z ostrym bólem w piersiach. - Chcę ją zobaczyć...

- Co? - szepnęła zachrypniętym, niskim głosem, w którym nie było cienia strachu.

Mówiła z weneckim akcentem, tak, z weneckim. Jakże na to liczył!

Zaśmiał się sam do siebie.

- To! - Odwrócił się od niej, szarpnął za welon. - Twoją twarz!

Rzucił się na nią, nakrywając otwartymi ustami jej usta, pchając ją na poduszki, tak że zeszywniała i podniosła ręce, by go odepchnąć.

- Cóż sobie myślałaś? - Wyprostował się, oblizując usta i patrząc wprost w jej czarne oczy, które wyglądały w mroku jak lśniące punkty. - Że będziesz mogła sobie ze mną uprawiać swoje gierki?

Na jej twarzy pojawił się przedziwny wyraz zaskoczenia. Nie było w nim nic z kokieteryjnego oburzenia, czy udawanego strachu. Po prostu patrzyła na niego, jakby ją niejasno fascynował, przyglądała mu się jak jakiemuś przedmiotowi, a w mroku *felze* wydawała się piękniejsza od jakiegokolwiek znanej mu istoty.

Niewyobrażalne piękno. Szukał jakichś jego granic, nieuniknionego rozczarowania, nieuniknionych skaz. Ale, przynajmniej w tej chwili, wyglądała dla niego tak ślicznie, jakby od zawsze znał tę urodę, jakby w jakimś tajemniczym zakątku duszy szeptał pożądliwie i nieprzyzwoicie do boga miłości: - Daj mi ją, właśnie i tylko ją. - I oto stała przed nim. Nic w jej twarzy nie wydawało mu się obce. Jej oczy, czarne, zawinięte w górę rzęsy, skóra napięta na kościach policzkowych i szerokie, soczyste i rozkoszne usta.

Dotknął jej skóry, ach! Oderwał od niej palec, po czym dotknął czarnych brwi, kości policzkowych, ust.

- Jesteś zimna, co? - szepnął. - Teraz chcę, żebyś naprawdę mnie pocałowała! - Słowa te przypominały raczej jęk. Ująwszy jej twarz w obie dłonie, napał na nią i ukradł pocałunek, dwa razy mocno wpijając się w jej usta.

Miał wrażenie, że kobieta się waha. Zamarła na sekundę, po czym z rozmysłem, który go zadziwił, oddała mu się. Jej usta i ciało zmiękły, a Carlo, mimo że był pijany, poczuł pierwsze drgnienie między nogami.

Zaśmiał się.

Opadł na poduszkę, spomiędzy zasłon sączyło się bezbarwne, posępne światło, a twarz kobiety wydawała się zbyt biała, by mogła należeć do człowieka. Ale posmakował już, że należy.

- Pani cena, signora. - Odwrócił się do niej, przysuwając się tak blisko, że jej białe, upudrowane włosy łaskotały go w twarz. Kiedy opuściła wzrok, poczuł jej rzęsy na policzku. - Ile wynosi i czego pani chce?

- A ty, czego chcesz? - rozbrzmiał ten głęboki, zachrypnięty głos. Zabrzmiał tak, że Carla ścisnęło coś w gardle.

- Wiesz, o czym myślę, moja droga... - wymruczał. Ile weźmiesz za przyjemność zdercia z ciebie sukni. - Takiej piękności trzeba złożyć hołd - rzekł, muskając ją wargami po policzkach.

Uniosła dłoń. - Trwonisz to, czym mógłbyś się rozkoszować - odparła. - Dla ciebie nie ma żadnej ceny.

Byli w jakimś pokoju.

Szli przedtem po wijących się coraz wyżej, wilgotnych schodach. Nie podobało mu się to zaniedbane miejsce. Wszędzie biegały szczury, słyszał je, ale ona karmiła go soczystymi pocałunkami, a jej skóra, ta jej skóra, można by dla niej zabić.

A teraz trafili do jakiegoś pokoju.

Namawiała go, by jadł; po wódce wino smakowało jak woda.

Nie znał tego domu.

Znał jednak tę dzielnicę, wiele z sąsiednich budynków, niejedną sypialnię jakiejś kurtyzany w jego guście, ale ten dom...

Blask świec raził go w oczy; stół był zapchany wystygłym jedzeniem, a dalej majaczyło niedbale osłonięte przetykanymi złotą nicią kotarami łóżko. Żar ogromnego kominka wydawał się zbyt wielki.

- Za ciepło tu - powiedział. Zamknęła wszystkie okiennice. Coś go niepokoiło, wiele rzeczy było tu dziwnych, tyle pajęczyn pod sufitem i wilgoć, zapach rozkładu.

A jednak pośród tego było tyle bogactwa, puchary, srebrna taca; przypominało mu to wszystko teatralne dekoracje postrzegane z tak bliska, że widzi się też krokwie i kulisy.

Jednak dręczyło go coś jeszcze, coś szczególnego. Co? Jej... jej dłonie.

- Są takie ogromne... - szepnęła. Dźwięk własnego głosu i widok tych długich, białych palców wyrwał go z odrętwienia. Nagle zaniepokoił się; tylu chwil z tego popołudnia nie pamiętał.

Co ona wtedy powiedziała? Nie mógł sobie przypomnieć, jak wychodzili z gondoli.

- Za ciepło? - szepnęła. Ten sam zachrypnięty głos, który sprawiał, że miał ochotę dotknąć jej gardła.

Kiedy zaczął lepiej widzieć, ujrzał ją jakby po raz pierwszy. Nie dłonie tej kobiety, ale ją samą. Jeśli przedtem była chwila, w której na nią patrzył, nie był w stanie jej odtworzyć i z przyzwyczajenia pomyślał, że jego ludzie, z pewnością są w pobliżu.

Ale ona... Podnosząc kielich patrzył na zamazany zarys jej sylwetki i mrugając od czasu do czasu, zmagał się z pijaństwem. Burgund był doskonały, chociaż słaby.

- Nie będziesz miała nic przeciw temu, moja droga - powiedział wyciągając korek z trzymanej w ręku butelki.

- Wciąż mnie o to pytasz. - Uśmiechnęła się. Jej głos brzmiał jak tchnienie; był jej częścią. Czy kiedykolwiek brzmiał tak głos kobiety?

Miała na sobie francuską perukę. Białe kędziory bez skazy spływały na ramiona, w loczkach osadzone były perły, a ona, ach, jakże była młoda! O wiele młodsza niż wydawała mu się w gondoli, kiedy to miał wrażenie, że nie ma wieku albo jest bardzo stara i niewątpliwie - choć nie wiedział, czemu był tego pewien - pochodzi z Wenecji.

- Dziecko - powiedział teraz do niej delikatnie; głowa opadła mu w przód, aż poczuł ostry ból i usiłując zachować godność, wyprostował się. Jej usta nie były różane ani różowe, miały jakiś głęboki, naturalny kolor. Nie, nie pokrywała ich farba. Poczulby jej smak i zapach w gondoli. Ona była po prostu wizją; i jej wpatrujące się w niego oczy.

A ta suknia z zakrywającym piersi haftowanym pasem materii. Pragnął wsunąć dłoń między piersi za ten ciasny pas i zerwać go, uwolnić je.

- Czemu czekałaś tyle lat, by do mnie przyjść? - Zaśmiał się żartobliwie.

Jej twarz nagle się zmieniła.

Miał wrażenie, jakby nagle cała jej postać się przesunęła. Jednak stało się to tak szybko, że nie był pewien tego, co widzi. A teraz usiadła i swobodnie rozciągnęła szerokie, soczyste usta w uśmiechu, a jej oczy zmarszczyły się w kącikach.

Odparła: - Wydawało mi się, że wybrałam idealną chwilę.

- Tak, idealną chwilę - powtórzył. Och, gdybyś tylko wiedziała, gdybyś wiedziała. Ilekroć trzymał w ramionach inną kobietę, trzymał w nich swą żonę, przytulał ją coraz mocniej i mocniej po to tylko, by dostrzec z przerażeniem, iż nie jest to Marianna, a po prostu nikt, tylko jakaś... jakaś dziwka.

Lepiej o tym wszystkim teraz nie myśleć. Lepiej nie rozmyślać o niczym.

Wyciągnął rękę i gwałtownie przesunął na prawo rażącą w oczy świecę.

- Żeby cię lepiej widzieć, moje dziecko. - Przedrzeźniał francuską bajkę.

Zaśmiał się i położył głowę na niezwykle wysokim oparciu masywnego, dębowego krzesła.

Kiedy jednak pochyliła się w przód i, podparłszy się łokciami o stół, wystawiła twarz do światła, przeżył szok. Wciągnął oddech i zeszywniał, unosząc nieco ramiona.

- Boisz się mnie? - szepnęła.

Nie odpowiedział. Strach przed nią był czymś absurdalnym! Czuł, że nawiedza go okrucieństwo, przypomniał sobie, że ta kobieta z pewnością go zawiedzie, że w końcu okaże się, iż za jej tajemniczością kryje się tylko kokieteria, może wulgarność, a z pewnością chciwość. Nagle poczuł się zmęczony, znużony. A ten pokój był tak duszny. Widział, jak wsuwa się do własnego łóżka; poczuł obok ciała Marianny. Powoli, gorzko pomyślał, że Marianna leży w mogile.

Był na to zbyt pijany, zbierało mu się na torsje. Nie powinien był tu przychodzić.

- Czemu jesteś taki smutny? - zamruczała. Wyglądało na to, że naprawdę oczekuje odpowiedzi i było w niej coś tak pełnego siły... cóż to... w jej urodzie była dzikość. Może rzeczywiście zmusić go... ale tak przecież zawsze wydawało mu się na początku, a jak się to skończyło? Zmaganiem w prześcieradłach, jakimś drobnym okrucieństwem z jego strony i później targowaniem się, może nawet groźbami. Był na to zresztą zbyt pijany.

- Muszę iść... - powiedział, niechętnie ruszając ustami. Wyjmie sakiewkę - jeśli jeszcze ją ma. Gdzie podziało się jego *tabarro*, co z nim zrobił? Leżało u jego stóp. Musiałaby przecież być kompletną idiotką, żeby go okraść. Nie była taka głupia.

Jej twarz wydawała się... za duża. Niemożliwie duża. A jednak szeroko rozstawione, czarne oczy zadziwiały go. Patrzył na jej dłonie, kiedy bawiła się białymi włosami na skroniach; takie doskonałe czoło, wznoszące się bez najmniejszej pochyłości aż do drogich, francuskich loków. Ale takie duże ręce u pięknej kobiety, u jakiegokolwiek kobiety, i te oczy. Miał nagle uczucie, że płynie, że jest zdezorientowany. Uczucie, które pamiętał z gondoli i nie miało ono nic wspólnego z wodą. A może miało?

Miał wrażenie, że pokój porusza się, jakby wciąż byli na wąskiej łodzi.

- Muszę... iść. Muszę się położyć.

Patrzył, jak się podnosi.

Wstawiała, wstawiała i wstawiała.

- To przecież niemożliwe... - mruknął.

- Co jest niemożliwe? - szepnęła. Stała nad Carlem, a on wdychał jej zapach, o którym stanowiły nie tyle francuskie perfumy, co jej świeżość, słodycz, młodość. Trzymała coś w rękach. Wyglądało to jak wielka pętla ze skóry albo pas z klamrą.

- Żebyś... żebyś była taka wysoka... - odparł. Uniosła pętlę nad jego głową.

- Dopiero teraz to zauważyłeś? - spytała, uśmiechając się. - Wyborne!

Miał niemalże wrażenie, że mógłby się w niej zakochać. Pomyślcie tylko, zakochać się, jakby było w niej coś więcej, niż ta możliwa do przewidzenia zagadka i jej nieuniknione, wulgarnie rozwiązanie. - Co robisz? - spytał. - Co trzymasz... w rękach?

Te dłonie nie wyglądały jak dłonie człowieka.

Opuściła na niego pętlę ze skózanego pasa. Zdziwiał ją. Spojrzał w dół i zobaczył, że pętla opasuje mu ręce i klatkę piersiową.

- Co zrobiłaś? - spytał.

A potem, kiedy usiłował się poruszyć, wiedział już.

Zarzuciła pas także na oparcie krzesła, a był on tak ciasny, że Carlo nie mógł się ruszyć w przód. Mógł unieść tylko przedramiona. To było najdziwniejsze.

- Nie - powiedział z uśmiechem. Mógł unieść przedramiona i wykorzystał to, niemalże wylewając wódkę z butelki. Nagle szarpnął się w przód.

Nic nie dało się zrobić. Krzesło, ogromne i ciężkie, nie poruszyło się.

- Nie - powtórzył, uśmiechając się do niej chłodno. - Nie podoba mi się to. - I delikatnie potrząsnął głową, jakby napomniawszy małe dziecko.

Ale ona stanęła teraz za jego plecami, nie widział jej. Usiłując podnieść prawą ręką pas zdał sobie sprawę, że jest on zbyt ciasny.

Wtedy pojawiła się po jego prawej stronie.

- Nie podoba ci się to? - spytała.

Znow poślął jej chłodny uśmiech. Kiedy skończy się ta głupia zabawa, zapłaci mu za to, gdy będzie obdarta z ubrań, bezradna, a on położy dłoń na jej ustach. Nic zbyt okrutnego, tylko swego rodzaju nauczka. Widział już, jak wsuwa palce za jej wyszywany dekolt i rozrywa go.

- Zdejmij to ze mnie, najdroższa - powiedział zimno, niskim, rozkazującym głosem. - W tej chwili to ze mnie zdejmij.

Ujrzał tuż przed sobą jej zwisającą u boku dłoń o nieprawdopodobnie długich, szczupłych i białych palcach, ozdobionych pierścieniami. Nawet one wydawały się za duże: rubiny, szmaragdy. Musiała to być jakaś dobrze urodzona kobieta; rubiny, szmaragdy i maleńkie perełki.

Wyrywając nagle prawą dłoń, chwycił ją za nadgarstek i posadził sobie twardo na kolanach.

- Nie podoba mi się to - powiedział jej do ucha - i ukręcę ci tę piękną szyjkę, jeśli natychmiast nie rozepniesz klamry.

- Och, chyba byś mi tego nie zrobił? - powiedziała bez cienia strachu.

Działy na niego jakieś czary. Kiedy patrzył na nią, na jej doskonałą twarz, jego umysł stawał się coraz jaśniejszy, chociaż ciało było wciąż beznadziejnie pijane. Głowa zaczynała mu pulsować tęnym bólem. Miał tak ciasno związane ramiona, że lewym z pewnością nie sięgnie jej szyi. Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, złamie jej rękę, upokorzy ją i tak to się skończy. Był na to zbyt pijany. Nie powinien był przychodzić.

- Zdejmij ze mnie pas - rzekł. - Natychmiast.

Patrzyła na niego nie odpowiadając i nagle wydawało się, że zmiękła. Czując, jak porusza się na jego kolanach, zauważył w samej głębi jej oczu ledwo widoczny pobłysk ciemnego błękitu. Zasłaniała głową światło. Dziewczyna była tak blisko niego, że czuł jej oddech. Miała nieskazitelną twarz. W Carlu obudziła się żądza, którą czułby do niej nawet, gdyby okazała się pospolita, była bowiem tak świeża i młoda.

Przez chwilę była tylko ciałem. Dotknęła wargami jego ust; zamknął oczy. Rozluźnił palce na jej nadgarstku, ale nie cofnęła ręki, a pocałunek przenikał Carla jak prąd, rozpalając jego żądze niemalże do tego stopnia, kiedy nic innego już się nie liczy.

Potem jednak poruszył się, położył głowę na oparciu krzesła. - Zdejmij pas - powiedział delikatnie. - Pragnę cię! Pragnę... - szepnął. - Głupio robisz, prowokując mnie, kobieto.

- Nie jestem kobietą - powiedział cicho, nim zdążył uciszyć ją pocałunkiem.

- Hmmmm... - Zmarszczył brwi. W tym żarcie brzmiało coś niepokojącego, potwornie niepokojącego. Rozkosz przychodziła leniwie, walcząc z alkoholem i Carlo mgliście tylko zdawał sobie sprawę, że dziewczyna ułożyła jego ręce na poręczach krzesła i przyciskała je do nich. Delikatnie, żartobliwie; dotyk jej rąk był kuszący, ale dziwny.

- Nie jesteś kobietą? - Faktura jej skóry wydawała się niesamowita, taka gładka, miękka, a jednak nie... - Kimże więc jesteś - szepnął uśmiechając się nawet wtedy, gdy ją całował - jeśli nie kobietą?

- Jestem Tonio. - Tchnęła mu oddechem w usta. - Twój syn.

T o n i o .

Otworzył oczy, nim jeszcze zdążył pomyśleć, jego ciało wygięło się w gwałtownych, bolesnych konwulsjach, coś głośno brzęczało mu w głowie, rękami usiłował odepchnąć ją, a jednocześnie utrzymać, złapać ją i odegnąć, a z gardła wydobywał się zachrypnięty krzyk.

Zniknęła. Stała przed nim, górowała nad nim, wpatrywała się w niego i Carlo w jednej chwili pojął wszystko, to przebranie, całą sytuację i ogarnął go szal.

Jego stopy ślizgały się po podłodze, kopał nogami, ciągnął za skórzany pas, rzucał głową z boku na bok.

- Federico! - wrzasnął. - Federico! - Jego zmaganiom, walce, towarzyszył dalej ten ryk bez słów; usiłował wbić stopy w kamienną podłogę. Nagle, niespodziewanie, kiedy zdał sobie sprawę, że krzesło nawet się nie poruszyło, że jest bezradny i nic nie może zrobić, znieruchomiał.

Uśmiechała się do niego, uśmiechała.

Głowa opadła mu na ramię, z wściekłością wpatrywał się w nią rozszerzonymi oczami, a ona nagle roześmiała się równie niskim, przytłumionym, chrypliwym i zmysłowym śmiechem, jak przedtem brzmiał jej głos.

- Chciałbyś mnie jeszcze pocałować, ojczy? - szepnęła. I ta piękna twarz, to oblicze bez skazy zamarło w najpiękniejszym, najpogodniejszym uśmiechu!

Splunął na nią.

Z zaciśniętymi zębami, z rękami wyciągniętymi, jakby wygięte palce mogły ją jakoś przywołać, raz jeszcze splunął.

Potem drżąc opadł w tył, głowę ponownie przechylił na ramię, a cała ta sytuacja stanęła mu zadziwiająco jasno przed oczyma.

Scena, ciągle opowieści o jego urodzie, umiejętności tworzenia iluzji, o tym, że w światłach rampy wygląda jak wcielenie kobiety, i dłonie, te okropne, przerażające dłonie, ta skóra!

Czuł, że zbiera mu się na torsje. Zacisnął zęby i zebrał całą siłę woli, by nie wpaść w panikę, nie rzucać się, nie dać jej tej przyjemności. Nie mógł jednak powstrzymać wydobywającego się z ust ryku, jęku.

Jej. Ona! Z drżeniem zamknął oczy. Opanowały go mdłości. Przełykał, trząsał się. A kiedy ponownie otworzył oczy, stał przed nim bez wątpienia Tonio, trzymając w rękach ozdobioną perłami, wielką, białą, francuską perukę.

Z jego twarzy zniknął już uśmiech. Miał szkliste, szeroko rozwarłe, zdziwione oczy.

Zdjął czarny gorset jakby to była zbroja. Rozwiązane spódnice zsunęły się na podłogę.

Przed Carlem stał teraz ubrany w pomiętą białą koszulę i spodnie ogromny mężczyzna o kociej sylwetce i wilgotnych, zmierzwionych włosach. Za pas miał wetknięty sztylet; jego rękojeść zdobiły drogie kamienie. Tonio, wychodząc z leżących na podłodze taftowych spódnic, poprawił broń jedną z tych długich rąk.

Carlo przełknął ślinę. Czuł nieprzyjemny smak w ustach; cisza migotała między nimi jak wibrujący drucik.

Długo na siebie patrzyli: ten demon o zimnych oczach i twarzy anioła oraz Carlo, który zaczął teraz bardzo powoli, obrzydliwie, cicho śmiać się.

Oblizął usta.

Były suche, bolące, czuł smak krwi sączącej się z pęknięcia na środku dolnej wargi.

- Moi ludzie... - powiedział.

- ...są zbyt daleko, by mogli cię usłyszeć.

- Przybędą...

- ...za bardzo, bardzo długi czas.

Niewyraźnie przypomniały mu się wiodące coraz wyżej i wyżej schody. Rzekł: - Gdzieś tutaj wlewa się woda, słyszę ją, ściana musiała pęknąć... - Czuł zapach kanału. A ona, ta suka, ten potwór, ten demon, odparła: - To nie ma znaczenia. Nikt tu nie mieszka.

Nie, w tym ogromnym, walącym się, starym domu nie ma nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Sam podszedł wcześniej do okien tego pokoju z płonącym kominkiem, by zaczerpnąć powietrza i ujrzał nie ulicę, na której czekali i obserwowali go jego ludzie, ale głęboką na jakieś cztery piętra studnię wewnętrznego dziedzińca budynku. Byli w samym sercu tego domu, a ona od początku pozwoliła, by zdawał sobie z tego sprawę.

Och, jakże to było idealnie przemyślane, jakie sprytne!

Zalewał go pot. I na kogoś takiego posłałem parę zwykłych morderców. Pot ściekał mu po plecach, pod pachami. Czuł, że ma wilgotne, śliskie dłonie, chociaż nic nimi nie robił, tylko je zaciskał i otwierał, zaciskał i otwierał, zmagając się z paniką, z chęcią walki z krzesłem, które, jak wiedział, nie przesunie się ani o cal.

Ileż to razy instruował Federica, by, kiedy Carlo jest z kobietą, trzymał się od niego z daleka; ileż to razy ostrzegał go, by nie ważył się wyciągać go z niczyjego łóżka?

Wspaniale zostało wszystko zainscenizowane, tylko że to nie jest opera. Pomyśleć, że sam powiedział: - Jest przecież tylko eunuchem, mogą go zadusić gołymi rękami!

Patrzył, jak Tonio siada naprzeciw przy stole w rozpiętej przy szyi koszuli, na światło igrające na jego twarzy i ruchy pełne dziwnego wdzięku, przypominające ogromnego kota czy panterę.

Poczuł w sobie rosnącą, niebezpieczną nienawiść do tej doskonałej twarzy, każdego szczegółu ciała, które miał przed oczyma, do wszystkiego, co kiedykolwiek wiedział i musiał z cierpieniem wysłuchać na temat Tonia-śpiewaka, Tonia-czarownicy stojącej w światłach rampy, Tonia, młodego i pięknego; tego sławnego Tonia, dziecka wychowanego przez Andreę pod dachem jego domu, otoczonego wszelkimi dobrodziejstwami, któremu folgowano przez wszystkie lata, gdy on szalał, szalał ze złości w Stambule, Tonia, który dostał wszystko, przed którym nigdy, ani na chwilę, nie udało mu się uciec, Tonia, Tonia, Tonia, którego imię wykrzyknęła na łożu śmierci, który trzymał go teraz bezbronno w niewoli, mimo iż poszedł pod nóż, mimo tych długich kończyn eunucha, mimo siepaczy i ostrożności. Oszalałby z tej nienawiści, gdyby nie wyraził jej głośnym rykiem.

Ale myślał jednak, cały czas myślał. Jego siepacze potrzebowali czasu. Czasu, by zorientować się, że ten dom jest pusty, zbyt ciemny. Czasu, by zacząć się po nim skradać.

- Czemu mnie nie zabiłeś? - powiedział, zmagając się nagle ze skórzanym pasem i łapiąc rękami powietrze. - Dlaczego nie zrobiłeś tego w gondoli? Czemu mnie nie zabiłeeeś?

- Szybko, ukradkiem? - Usłyszał znajomy, zachrypnięty szept. - Bez wyjaśnienia? Tak jak zaatakowali mnie w Rzymie twoi ludzie?

Carlo zmrużył oczy.

Czas, potrzebował czasu. Federico świetnie wyczuwał niebezpieczeństwo. Zorientuje się, że coś jest nie tak. Był przy budynku.

- Chcę trochę wina - rzekł Carlo. Przesunął wzrok na stół, na tkwiący w pieczonym kurczaku, poza jego zasięgiem nóż z kościaną rączką, na puchary i przewróconą butelkę wódki.

- Chcę trochę wina! - Głos mu zachrypl. - Jeśli już mnie, do jasnej cholery, nie zabiłeś w gondoli, to daj mi wina!

Tonio przyglądał mu się, jakby miał mnóstwo czasu.

Potem sięgnął jedną z tych niemożliwie długich rąk i przesunął kielich w stronę Carla.

- Weź go, ojczu.

Carlo podniósł kielich, ale musiał schylić głowę, by się napić. Wysączył wino, wymywając z ust nieprzyjemny smak, a kiedy podniósł oczy, tak mocno zakręciło mu się w głowie, że z pewnością musiała mu ona opaść ciężko na ramię.

Opróżnił kielich.

- Daj jeszcze trochę - powiedział. Nóż był o wiele za daleko. Nawet gdyby jakoś udało mu się przechylić masywny stół, cięższy niż krzesło, na którym siedział, uwięziony i bezradny, nie zdołałby złapać noża na czas.

Tonio podniósł butelkę.

Federico domyślił się, że źle się dzieje. Podejdzie do drzwi. Do drzwi, do drzwi.

Kiedy wspinał się przed nią po schodach, usłyszał jakiś głośny hałas, odbijający się w budynku echem jak wystrzał armatni i błysnęła mu myśl, że kobieta nie powinna być w stanie tak zaryglować drzwi.

Ale to nie zatrzyma jego ludzi.

- Czemu tego nie zrobiłeś? - spytał nagle, trzymając kielich w obu dłoniach. - Dlaczego jeszcze mnie nie zabiłeś?

- Chciałem z tobą porozmawiać - odpowiedział Tonio tak cicho, że jego słowa brzmiały jak szept. - Chciałem wiedzieć, czemu ty usiłowałeś zabić mnie. - Na jego dotychczas gładkiej i beznamietnej twarzy zaczynał się pojawiać najbledszy rumieniec jakiegoś uczucia. - Czemu posłałeś za mną do Rzymu płatnych zabójców, skoro przez cztery lata nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy, niczego od ciebie nie żądałem? Czy to moja matka cię powstrzymywała?

- Dobrze wiesz, czemu ich posłałem! - oświadczył Carlo. - Jak długo zamierzałeś czekać, nim tu po mnie wrócisz? - Czuł, że ma zaczerwienioną, wilgotną twarz, oblizał usta i poczuł słony smak potu. - Wszystko, co robiłeś, ostrzegało mnie, że nadchodzisz. Posłałeś po szpady mego ojca, spędzałeś czas na nauce fechtunku, nie byłeś w Neapolu jeszcze nawet pół roku, kiedy zabiłeś innego eunucha, a rok później pokonałeś młodego Toskańczyka! Wszyscy się ciebie bali!

A twoi przyjaciele, twoi potężni przyjaciele, czy nigdy nie przestanę o nich słyszeć, ta Lamberti, kardynał Calvino, di Stefano z Florencji. W dodatku odważyłeś się używać na scenie mego nazwiska, jakbyś rzucał mi rękawicę w twarz! Żyłeś, by mnie dręczyć. Twoje życie było jak ostrze zbliżające się coraz bliżej mego gardła!

Oparł się. W piersiach palił go ból, ale, och, jak dobrze, jak wspaniale było to wszystko wreszcie powiedzieć, słyszeć płynące słowa, ten niepoohamowany strumień jadu i wściekłości.

- Wydawało ci się, że temu zaprzeczę? - Patrzył ze złością na milczącą postać, na jej duże, białe dłonie, te szpony, bawiące się kościaną rękojeścią długiego noża.

- Raz już darowałem ci życie oczekując, że wepchniesz je sobie między nogi i umkniesz z nim. Ale ty zrobiłeś ze mnie głupca. Dobry Boże, nie było nawet jednego dnia, bym o tobie nie słyszał, nie musiał o tobie mówić, zaprzeczać temu czy tamtemu, przysięgać niewinność, udawać płacz, wyrażać rezygnację, mówić banały i kłamstwa bez końca. Zrobiłeś ze mnie wariata! Sentymentalnego głupca, niezdolnego do przelania twojej krwi!

- Powstrzymaj język, ojcze. - W szeptcie Tonia brzmiało zaskoczenie. - Nie zachowujesz się rozsądnie!

Carlo wybuchnął smutnym, suchym śmiechem, który sprawił, że jego boląca głowa zaczęła pulsować.

Pił wino, sam nie zdając sobie z tego sprawy, a kiedy z wysiłkiem sięgnął po butelkę, zobaczył jak przesuwają się w jego stronę, potem widział wlewający się do kielicha płyn.

- Jestem nierozsądny, tak? - Śmiał się i śmiał. - Jeśli spodziewasz się, że będę zaprzeczał, błagał cię, to spotka cię rozczarowanie! Weź tę swoją szpadę, tę swoją słynną szpadę, bo z pewnością masz ją gdzieś tu schowaną, i użyj jej! Przelej krew własnego ojca! Nie okazuj mi łaski, którą ja ci okazałem!

Na chwilę ochłodziły go obfite łyki burgunda, który koił ból i suchość tego śmiechu zdającego się nieść słowa Carla.

Chciał obetrzeć usta ręką. To, że nie mógł ich dotknąć, doprowadzało go do szaleństwa.

Pozwolił, by wino omywało mu usta i poczuł znów dreszcze i panikę, chęć ponownej, beznadziejnej walki.

- Nie chciałem wysyłać tych ludzi do Rzymu! - powiedział. - Nie miałem wyboru! Gdyby stało się inaczej, gdyby oznajmiono mi, iż stałeś się potulny i nieśmiały, że boisz się własnego cienia... Znałem takich eunuchów, tego zasługującego na pogardę starego Beppa, który po twoim zniknięciu powiesił się w swej celi, i tego podstępnego Alessandra, który mimo całej swej bezczelności jest całkowicie pozbawiony energii. Ze strony takiego wałacha niczego nie trzeba się obawiać. Ale ty, o, na ciebie to nie podziałało! Byłeś za to zbyt silny, zbyt doskonały, może za bardzo podobny do mego ojca albo za duży! Wciąż o tobie słyszałem, powiadam ci, jakbyś

leżał przy mnie w łóżku, jakbyś żył i oddychał pod moim dachem! Co miałem robić? Powiedz! Nie miałem wyboru!

Przez mgłę płonących świec ujrzał, że odległa twarz Tonia, wciąż pełna zdumienia, staje się coraz bardziej roztargniona, niemalże smutna.

- Ach, nie miałeś wyboru! - szepnął Tonio niemalże z goryczą. - A gdybyś to tak ty przyjechał do Rzymu? Gdybyśmy spotkali się i porozmawiali, jak rozmawiamy teraz?

Spotkać się? Rozmawiać? - spytał z obrzydzeniem Carlo. - W jakim celu? Żebym mógł błagać o przebaczenie za to, że cię owałaszyłem? - szydził. - Kiedyś już raz prosiłem cię, byś poddał się mej woli, mój synu z nieprawego łoża! Odmówiłeś. Twój los jest twoim własnym dziełem! To ty podjąłeś decyzję, nie ja!

- Chyba nie wierzysz w to, co mówisz! - szepnął Tonio.

- Nie miałem wyboru! - ryknął Carlo. - Raz jeszcze powtarzam ci, że nie miałem wyboru! I nich diabli wezmą ludzi, których posłałem za tobą do Rzymu, nieważne. Jeśli popędzili cię do wykonania twego zadania, tym lepiej, bo sam wiesz, że i tak byś tu przybył, a ja powtarzam, że nie miałem innego wyboru!

Wzrok mu się zamglił, ale, ach, jakże piękna była, nawet teraz, ta twarz, demon, i cała ironia tego wszystkiego; młodość, młodość, której odejście najbardziej opłakiwał.

Znów widział dno kielicha. Czuł, że wino spływa mu po brodzie. Sięgnął po butelkę.

Spotkać się z tobą, rozmawiać. - Pierś uniosło mu westchnienie; miał na wpół przymknięte oczy.

Ale cóż on robi, co mówi?

Przesunął wzrokiem po wysokim suficie, wielkim, ciemnym, drgającym nieznacznie od płomieni świec sklepieniu, pod którym żyły pająki, a przez wąskie szczeliny sączyły się skrzące krople deszczu.

Potrzebował czasu, czasu, by zapadła ciemność, ale co on wygaduje, wylewa z siebie cały jad tych dawnych ran.

Nie dbał jednak o to, czując jak ciało zalewa mu ciepło wina i jakieś wielkie, delikatne znużenie.

Myślał tylko o niesprawiedliwości tego wszystkiego, brutalnej, bezlitosnej niesprawiedliwości, która spotykała go przez całe lata. Niekończące się kłamstwa i oskarżenia, wszystko, czym za to płacił, płacił i płacił! Najdziwniejsze było to, że wszystko, o co zabiegał,

kosztowało go tak wiele, iż w końcu nie okazywało się tego warte. Och, czy kiedykolwiek miał coś, za co nie zapłacił młodością, krwią i niekończącymi się awanturami? Czy kiedykolwiek mógł odkryć wszystko przed jakimś sędzią?

- Cóż ty możesz o tym wiedzieć? - spytał. - O tych wszystkich latach w Stambule, kiedy ciebie psuto i rozpieszczano, a mnie odebrano ją; o tych oskarżeniach, bo kiedy wreszcie wróciłem do domu, oskarżała mnie! Nigdy mi nie uwierzyła! Zawsze tylko Tonio i Tonio! Tysiące razy błagałem, by zrezygnowała z wina, przyprowadzałem opiekunki, lekarzy. Czego jej brakowało? Dałem jej perły, paryskie stroje, ludzi, którzy usługiwali jej na kolanach, najłagodniejsze piastunki dla naszych chłopców. Miała wszystko! Ale czego pragnęła? Tonia i wina; to właśnie wino doprowadziło ją do grobu, a na łożu śmierci pragnęła ciebie!

Przyglądał się Toniowi. Co malowało się teraz na jego twarzy? Niedowierzanie? Mimowolny ból? Nie wiedział. Nie obchodziło go to.

- Z pewnością cię to cieszy - powiedział z goryczą, znów pochylając się w przód; głowa wydawała mu się już teraz zbyt ciężka, w ustach czuł smak chłodnego, świeżego wina.

- A jaka była w tych ostatnich dniach! Wiesz, co mi powiedziała? Że ją doprowadziłem do ruiny, zniszczyłem, wpełchnąłem w szaleństwo i nałogowe picie, a w dodatku odebrałem jedyną pociechę: naszego syna! Tak mi powiedziała!

- Z pewnością jej nie uwierzyłeś, prawda? - szepnął Tonio.

- Uwierzyć w to! Po wszystkim co dla niej przecierpiałem! - Carlo poczuł ostry ból wpijającego się w skórę pasa i opadł w tył, mocno ściskając w dłoni butelkę. - Po tym co dla niej zrobiłem! Zostałem wygnany za miłość do niej, a po tych wszystkich latach w Stambule, kiedy ona była w domu mego ojca, któż inny znów by się nią przejmował!

Ale kochałem ją i ta namiętność przetrwała piętnaście lat, by zostać unicestwiona - przez co? Nie przez czas, o nie, nie przez mego ojca, ale przez ciebie! "Tonio" powiedziała i umarła. Na końcu nie chciała nawet patrzeć na nasze dzieci...

Głos mu się załamał. Był zaskoczony jego brzmieniem i gdyby mógł, złożyłby głowę w dłoniach.

Ta niewola była nieznośna, ale jeszcze gorzej byłoby szarpać się i czuć jej ograniczenia - powiedział z rozpaczą, usiłując dosięgnąć dłońmi twarzy; głowa lekko kiwała mu się z jednej strony na drugą.

- Pytasz, czy jej wierzyłem. Jakie masz prawo, by domagać się ode mnie jakiegokolwiek odpowiedzi? Co upoważnia cię do sądzenia mnie?

Sięgnął po butelkę wódki i szybko opróżnił ją, wlewając zawartość do kielicha. Wysączył alkohol do dna, czując jego ostrzejszy, mocniejszy, wyśmienity żar. Cały pokój zdawał się poruszać, nim samym zaś wstrząsały jakieś konwulsje, aż wreszcie przewracał nawet oczami. Stał przed nim obraz jego młodej i pięknej Marianny, którą właśnie wziął z klasztoru i zaprowadził do swego apartamentu, a ona zrozumiała, że się z nią ożeni i zaczęła krzyczeć.

Drżał, przypominając sobie tylko potok słów, którymi usiłował ją pocieszyć, zapewniając, że potrzebuje zaledwie czasu, czasu, by przekonać ojca! - Nie rozumiesz, że jestem jego jedynym synem i musi mi ulec!

Ale nie tego teraz pragnął. Był niemalże w delirium i w milczeniu powracały do niego wspomnienia lat jeszcze wcześniejszych, kiedy żyła matka i wszyscy bracia, a życie było proste, pełne nadziei i miłości. Między nim a ojcem był ten wielki bufor sprawiający, iż nie istniało nic, czego nie mógłby naprawić, doprowadzić do porządku. Został tego jednak z okrucieństwem pozbawiony, tak samo jak pozbawiono go Marianny i młodości. Miał teraz wrażenie, iż tak naprawdę pamięta tylko walkę i gorycz, które zacierały wszystko inne.

Jęknął. Patrzył na stół. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest i że Tonio go więzi. Czuł wpijający się w ciało pas i choć kręciło mu się w głowie, usiłował widzieć wyraźnie wszystko dokoła i raz jeszcze przypomniał sobie, że potrzebny mu jest tylko czas.

Świece wypalały się, ogień na kominku zmienił się w rozżarzony popiół. Kiedy tego dnia poszedł pijany na Broglio, zaklinając się, że poślubi ją z pozwoleniem czy bez, ojciec stanął nad nim, odpychając go tym okropnym wyrazem twarzy: - Jak śmiesz mi się przeciwstawiać! - A ona leżała szlochając na łóżku w tych brudnych apartamentach: - Dobry Boże, za co mnie tak karzesz!

Z pewnością znów wydał jakiś dźwięk, jęk.

Z drgnieniem zorientował się, że pokój pogrążył się w ciemności, stał się ogromny, a stojący naprzeciw niego Tonio przypatruje mu się bez wyrazu, ma tylko twardo zaciśnięte usta.

Jego czarne włosy stały się miększe i naturalniej otaczały twarz. Jak wyglądał? Mimo działania noża pozostało to dawne podobieństwo, kiedy jeszcze wszyscy byli razem, on, bracia, matka; ale przed nim stał Tonio!

Jeszcze raz poczuł wzbierające mdłości.

- Ty... - Wszystko w nim wrzało, drżał na całym ciele. - Więżysz mnie tutaj, sądzisz mnie! Czy po to wróciłeś, by mnie sądzić? Ty, rozpieszczany... - Uśmiechnął się, znów wybuchnął tym niskim, szeleszczącym, suchym śmiechem, który zdawał się nieść ze sobą słowa - wybraniec mego ojca, śpiewak, tak, wielki śpiewak, rzymska osobistość, której powóz kobiety obrzucają kwiatami i którą przyjmują władcy. Tonio, z którego sakwy wysypuje się złoto, a wielki kardynał Calvino spełnia każde jego życzenie.

Na twarzy Tonia pojawił się zaledwie cień jakiegoś uczucia.

- Tak, tak. - Zaśmiał się nisko, sucho. - Wydaje ci się może, że nie znam ohydneho losu, na który tak niebacznie i popędliwie cię skazałem, że nie słyszałem o twoich kochankach, wielbicielach, przyjaciołach? Czy jakiegokolwiek drzwi są dla ciebie zamknięte? Czy odmówiono ci czegośkolwiek? Eunuch. Cóż ci wycięli, na Boga, że przystąpiłeś do oblężenia rzymskich łożnic równego temu, którego dopuściły się barbarzyńskie hordy?

I przybywasz tu, bogaty, młody, obdarzony łaską bogów, mimo że jesteś potworem, aby uwieść własnego ojca i sądzić go! Żeby pytać mnie, czemu zrobiłem to czy tamto!

Przerwał, usiłując na próżno obetrzeć palcami usta. Z kielicha został jeszcze palący smak wódki.

- Powiedz mi - ponownie pochylił się w przód, przechyliwszy głowę na jedną stronę - czy porzuciłbyś to wszystko, gdybyś mógł, Tonio? Czy zamieniłbyś to wszystko na życie, które wiodłem od tamtej chwili? - Ze złością spojrział mu w twarz. - Zastanów się, nim odpowiesz. Czy mam ci powiedzieć, jakie było? Nie mówmy już nawet o twojej matce jęczącej za swoim straconym synem, ani o twojej kuzynce Catrinie, która dzień i noc napadała na mnie jak harpia, coraz głębiej wbijając pazury i czekając na najmniejsze przejęzyczenie! Ani o tych starych senatorach i członkach Rady, jego zwolennikach, tych sępach ciągle obserwujących mnie kątem oka!

Nie, mam na myśli Wenecję, życie pełne obowiązków i powinności, którego tak brutalnie cię pozbawiłem, Tonio, śpiewaku, sławo, kastracie! Słuchaj mnie więc.

Ściszył głos, jakby zdradzał mu sekret, jego słowa brzmiały niemalże gorączkowo. - Zaczniemy od tego wielkiego, niszczonego pałacu, którego niezliczone pokoje, walące się ściany, gnijące fundamenty opróżniają ci kieszenie, wsysają cały majątek jak wielka gąbka, która wciąż pragnie więcej; od tego symbolu całej Republiki, jej wielkiego rządu, który codziennie wzywa cię do Pałacu Dożów, byś tam zginał się w ukłonach, uśmiechał, targował, kłamał, błagał

i przewodniczył nieprzerwanej, niekończącej się kakofonii paplaniny będącej codziennym zajęciem tego dumnego, bezsilnego miasta bez imperium, bez przeznaczenia, bez nadziei! Szpiedzy, sędziowie, przepisy kościelne, tradycja i przepych, a na każde nowe widowisko, święto, rocznicę, uroczystość czy ekstrawagancki pokaz biorą pieniądze z twojej kieszeni.

A potem, kiedy wreszcie zdejmiesz te ogromne szaty, przestaniesz mamrotać bzdury, masz odciski na stopach, a mięśnie twarzy bołą cię od udawania, wtedy możesz po raz setny tracić pieniądze w Ridotto albo spać z tą samą kurtyzaną, dziewczyną z gospody czy cudzołożnicą, z którą siedem razy pokłóciłeś się w zeszłym tygodniu, a przy twoim boku zawsze jest pełno szpiegów, wrogowie wciąż cię osądzają, twoje zachowanie jest ciągle pod lupą; kiedy wreszcie jesteś tym znużony, niedobrze ci się od tego robi, dusisz się, możesz tylko odwrócić się i rozejrzeć, ogarnąć tę wąską wyspę wzrokiem z jednego krańca po drugi i uświadomić sobie, że nazajutrz wszystko to zacznie się od początku!

A ty przybywasz, by mnie osądzać!

Chcesz dostać to z powrotem! Chcesz mieć to zamiast opery i swojej angielskiej piękności z Placu Hiszpańskiego, chcesz oddać ten swój głos, który uczynił cię wśród ludzi bogiem, największą doskonałością, byś mógł powrócić tutaj jako zaledwie jeden z tysiąca chciwych arystokratów, walczących o kilka drogich i nudnych urzędów tej Republiki, która skurczyła się do rozmiarów murów, które widziałeś dookoła siebie na piazza, kiedy odgrywałeś dla mnie to podstępne przedstawienie!

Niski śmiech. Toczył się własnym rozpędem, równie wymowny jak słowa; potok, którego nie dało się powstrzymać.

Weź ten cholerny, cuchnący dom. Ten cholerny, śmierdzący rząd. Weź to wszystko i...

Zawahał się.

Przerwał.

Patrzył wprost przed siebie i przez chwilę wydawało się, że w głowie ma pustkę, jakby wybuch energii, który go rozpałił, skończył się i zostawił go słabego i zmęczonego.

Szukał czegoś w myślach, nie wiedział czego.

Zdawał sobie tylko sprawę, że wszystko to miało jakiś porządek. Gdyby znalazł tę nitkę i szedł za nią w przeszłość przez labirynt własnych szaleństw, z pewnością znów znalazłby się w deszczu na piazza, wróciłby do tej doskonałej chwili, gdy w powietrzu unosiły się mewy, a wiatr smagał proporce. Powrócił do niego ten odległy, całkowity, kompletny, lśniący smutek, ta chwila

tak pełna rezygnacji, nadziei i jakiejś wspaniałej wdzięczności, że przez chwilę wszystko zdawało się mieć jakiś sens. Gdyby tylko Tonio nie żył, gdyby wreszcie został pochowany, gdyby tylko... wtedy mógłby oddychać.

Wbił wzrok w Tonia. Zdawało się, że są razem w tym pokoju przez całą wieczność.

Świece dopalały się trzeszcząc, ogień dogasał, ale powietrze było wciąż ciepłe jak niezdrowy płyn, a jego głowa, jakże pulsowało mu w głowie.

Coś tu się jednak nie zgadzało.

Coś było obrzydliwie nie tak, i to z nim. Coś się tu nie zgadzało, bo Carlo nie kłamał, nie używał forteli, nie gawędził po to tylko, by zdobyć czas potrzebny na przybycie jego ludzi. Wylewające się z niego słowa miały siłę i blask prawdy, ale to, co mówił, nie mogło być prawdą, niemożliwe, by tak wyglądało jego życie.

Twarz Tonia była wykrzywiona, piękno jego młodości nie tyle zniknęło, co przeobraziło się w coś pełniejszego, bardziej złożonego niż niewinność; w kłębiącą się duszę kusicielki, czarodzieja.

Ale Tonio nie obchodził Carla.

Wpatrywał się teraz w chaos własnego umysłu. W pobliżu czyhało przerażenie, przerażenie, którego zakosztował na piazzy i słowo zastygło mu w ustach jak bezgłośny krzyk!

Rozpaczliwie pragnął wyjaśnić coś, czego nigdy, nigdy nikt nie rozumiał.

Czy kiedykolwiek pragnął mordować, kastrować, czy kiedykolwiek chciał walczyć tak, jak został do tego zmuszony...?

Przerażało go własne milczenie. Przerażał go bezruch, a potem ujrzał, że Tonio podnosi się z krzesła, jakby Carlo zamilkłszy przestał go od tego powstrzymywać.

Patrzył na te długie, szczupłe ręce sięgające po czarny strój, gorset, spódnice, perukę ozdobioną maleńkimi perełkami.

Obserwował z trwogą, jak Tonio rzuca to wszystko na gasnące ognie w kominku.

Kiedy rozniecił pogrzebaczem żar, na tle poczerniałych kafelków rozgorzał płomień, a wielką, pustą perukę nappełnił dym.

Perełki błyszczały w świetle, po czym cała peruka zapadła się, zapłonawszy maleńkimi ognikami. Z trzaskiem zaczęła się robić coraz węższa, jak ściągnięte usta. A pod nią wybuchła płomieniem czarna tafta.

- Czemu palisz ten strój? - usłyszał Carlo pytanie padające z jego własnych ust. Jeszcze raz przesunął językiem po wyschniętych ustach. Butelka była pusta, nic nie było w kielichu...

Nigdy w życiu nie zaznał takiego lęku jak teraz. Wiedział, że musi coś powiedzieć, zacząć wszystko od początku, znaleźć jakiś sposób, by to przeciągnąć, póki nie odnajdą go jego ludzie, ale nie mógł się otrząsnąć z tego przerażenia...

- A więc do tego doszło - szepnął tak cicho, że tylko on słyszał te słowa. - Do tego to wszystko doprowadziło, taką w końcu płacę cenę; cóż właściwie było to warte, cóż było warte? - Potrząsał głową, kierując te pytania nie do Tonio, lecz do siebie samego.

Ale Tonio go usłyszał.

Ścisnął w ręce pogrzebacz. Jego czubek lśnił w ciemności czerwienią, a Tonio, trzymając go u boku, z wolnym, kocim wdziękiem zbliżył się do Carla.

- O jednym zapomniałeś, ojczu - powiedział głosem tak spokojnym i zimnym, jakby uroczyście przemawiał do przyjaciela. - Opowiedziałeś mi o żonie, która cię zawiodła, o rujnującym cię i gnębiącym rządzie, o prześladowających cię towarzyszach, o mej dręczącej cię wciąż oskarżeniami kuzynce, o tylu rzeczach, które cię trapią, czyniąc twoje życie niczym innym niż litanią nieszczęść. Ale nie powiedziałeś mi o swych synach!

- O synach... - Carlo zmrużył oczy.

- O twoich synach - powtórzył Tonio. - O młodych Treschich, mych braciach. Czym oni cię gnębią, ojczu? Czymże dręczą cię te niemowlęta, jaką wyrządzają ci krzywdę; czyż noc w noc płaczą nie dając ci zasnąć, czyż pozbawiają cię zasłużonej chwili snu?

Carlo wydał jakiś niezidentyfikowany dźwięk.

- No, ojczu - wydusił cicho przez zęby Tonio. - Z pewnością, nawet jeśli cała reszta jest tylko obowiązkiem i harówką, oni są tego warci, ojczu, warci są tego, że cztery lata temu złamałeś mi życie!

Carlo patrzył przed siebie. Potem niepewnie potrząsnął głową. Wyprostował się, uniósł ramiona, cicho uderzał stopami o podłogę.

- Moi synowie... - rzekł - Moi synowie... dorosną, odszukają cię i zabiją za ten czyn! - krzyknął.

- Nie, ojczu - odparł Tonio. Odwrócił się i spokojnie wrzucił pogrzebacz do ognia. - Twoi synowie nigdy się nie dowiedzą, co ci się przytrafiło - szepnął - jeśli ty umrzesz.

- To niecne kłamstwo; dorosną pragnąc twej śmierci, czekając na dzień, kiedy...

- Nie, ojciec, zostaną wychowani przez Lisanich i nigdy nie dowiedzą się wiele o żadnym z nas, ani o naszej starej waśni.

- Kłamstwa, kłamstwa, moi ludzie nigdy nie spoczną...

- Twoi ludzie uciekną jak szczury z tego miasta, kiedy spostrzegą, że nie zdołali cię ochronić.

- Sędziowie wyśledzą cię i...

- Gdyby wiedzieli, że tu jestem, już by mnie aresztowali - odparł cicho Tonio. - A ty przecież na oczach wielu ludzi opuściłeś piazzę z samotną dziwką.

Carlo, niezdolny wykrztusić słowa, podniósł wzrok.

- Nikt nie będzie wiedział, co ci się przydarzyło, ojciec - westchnął Tonio - jeśli tu zginiesz.

Odwróciwszy się, przemierzył pokój kilkoma długimi krokami i otworzył ciemną, lakierowaną szafę na broń.

Carlo siedział jak skamieniały, obserwując Tonia, który pełnymi wdzięku ruchami wyciągnął i włożył na siebie podniszczony żakiet, a potem wyjął i przypasał do boku szpadę. Następnie zarzucił na ramiona wełnianą pelerynę, której obfite, czarne fałdy opadły do samej ziemi i zapiął ją pod brodą.

Długimi palcami uniósł kaptur, spod którego jego twarz lśniła bielą.

Carlo miotał się. Wił się, zaciskając z wysiłku zęby i całym swym ciężarem usiłował przechylić w tył krzesło, które nawet się nie poruszyło.

Postać w czerni zbliżała się do niego, peleryna kołysała się w tym samym dziwacznym rytmie co spódnice kobiety na piazzy. Tonio spojrzął na leżący na stole posiłek i wyciągnął z kurczaka nóż o długiej ręczce.

Oczy Carla zaszklily się łzami wściekłości, ale nawet nie mrugnęły. Jeszcze nie jest po wszystkim. To jeszcze nie koniec. Jeśli choć przez chwilę pomyślałyby, że to koniec, zaczęłyby szaleńczo krzyczeć; niemożliwe, by do tego doszło, to wszystko nie mogło skończyć się tą samą niesprawiedliwością, tą samą niesprawiedliwością. Czuł tylko pulsującą nienawiść do Tonia i bezdenny żal, że nie zabił go dawno temu.

- Wiesz, jak sobie zawsze wyobrażałem tę chwilę? - szepnął Tonio. Trzymał przed Carlem nóż, który lśnił od tłuszczu i gasnącego światła.

Carlo przywarł do oparcia krzesła.

- Zawsze myślałem, że wydłubię ci oczy - rzekł Tonio, uważnie podnosząc nóż. - Tak, byś ty, który kochałeś, jak ja nigdy kochał nie będę i splodziłeś synów, co mnie nigdy się nie uda, byś tak jak ja był odcięty od życia, a jednak żył, jak i ja żyję!

Ze szklistych oczu Carla popłynęły łzy. W milczeniu poruszał ustami, patrząc na Tonia. I zebrawszy całą ślinę, splunął mu w twarz.

Oczy Tonia rozszerzyły się.

Mimowolnie uniósł rąbek peleryny i stał plwocinę.

- Wydaje ci się, że jesteś niezwykle odważny, prawda, ojcze? - szepnął. - Taki nieustraszony, prawda? Czy pamiętasz, że przed laty powiedziałeś mi, że jestem mężny? Ale czy to rzeczywiście męstwo każe ci przeciwstawić mi się teraz, ojcze, gdy jestem panem twego życia i śmierci? Czy to odwaga sprawia, że nawet dla swoich synów, dla Wenecji, nawet dla samego życia, nie pochylisz głowy, nie ugniesz się?

A może to coś nieskończenie brutalniejszego, niegodziwszego od odwagi? Czy to nie duma i egoizm uczyniły cię niewolnikiem własnego, nieposkromionego uporu, każąc ci, bez względu na koszty, traktować każdego, kto wystąpi przeciw tobie jako śmiertelnego wroga?

Tonio podszedł bliżej, mówił coraz żarliwiej.

- Czyż to nie egoizm, duma i nieposkromiona żądza kazały ci wziąć moją matkę z chroniącego ją klasztoru, zrujnować ją i doprowadzić do szaleństwa, chociaż mogła jeszcze mieć wielu konkurentów, wielokrotnie wyjść za mąż, żyć dobrze i w zadowoleniu? Była ulubienicą Piety, jej śpiew stał się legendą, ale ty musiałeś ją mieć, nieważne czy jako żonę, czy nie!

Czyż to nie egoizm, duma i niezłomny upór kazały ci sprzeciwić się ojcu, grożąc mu wygaśnięciem rodu, który trwał od tysiąclecia, nim ty jeszcze się narodziłeś!

A kiedy powróciłeś wreszcie do domu i okazało się, że nadal spotyka cię za te zbrodnie kara, czyż przez dumę, egoizm i upór nie starałeś się zdobyć tego, czego pragnąłeś za wszelką cenę, nawet jeśli miałyby to oznaczać okrucieństwo, zdradę i kłamstwa? "Ustąp mi" powiedziałeś, a kiedy się na to nie zgodziłem, kazałeś owałaszyć, wygnałeś mnie z rodzinnej ziemi, oddzieliłeś od wszystkiego, co znałem i kochałem. Zniosłem banicję, zamiast cię oskarżać, hańbę, gdyż nie chciałem widzieć cię ukaranego, co zagroziłoby ciągłości rodu, a teraz mówisz mi, że wszystko to, z powodu czego okaleczyłeś mnie i skrzywdziłeś, to nic innego niż prześladowania, obowiązki i ciężkie próby!

Dobry Boże, przez ciebie nieomal nie zaginał cały ród, zrujnowałeś i doprowadziłeś do szaleństwa kobietę, owałaszyłeś oraz zniszczyłeś syna i masz jeszcze czelność żalić się na oskarżenia, podejrzenia oraz to, że jesteś zmuszony kłamać!

Kimże jesteś, na Boga, że twój upór, egoizm i duma warte są takiej ceny!

- Nienawidzę cię! - krzyknął Carlo. - Przeklinam cię. Szczerze żałuję, że cię nie zabiłem. Gdybym tylko mógł, zarżnąłbym cię jeszcze teraz.

- Wierzę - odparł Tonio trzęsącym się, zdenerwowanym głosem. - I gdybyś miał to zrobić, z pewnością znów sam byś mi powiedział, że, jak w każdej innej sprawie, nie miałeś wyjścia!

- Tak, tak i jeszcze raz tak! - ryknął Carlo.

Tonio przerwał. Drżał, wstrząśnięty mocą własnych słów i zdawało się, że usiłuje się teraz uspokoić, pozwala ciszy ukoić gniew; wpatrywał się w Carla, ale na jego twarzy nie malował się żaden wyraz, tylko znów ta niewinność.

- Teraz także nie dasz mi wyboru, prawda? - spytał Tonio. - Będziesz chciał, bym natychmiast cię zabił, chociaż wszystko we mnie usiłuje uratować cię nawet wbrew takiej własnej woli.

Wyraz zastygłej z wściekłości twarzy Carla uległ nieznaczonej zmianie.

- Nie chcę cię zabić! - szepnął Tonio. - Mimo całej twojej nienawiści, lekkomyślności i nieskończonej złej woli, nie pragnę twojej śmierci! I to nie z litości dla ciebie, nieszczęsny, ale z powodu rzeczy, których nigdy nie szanowałeś i nie rozumiałeś.

Przerwał, chwytając oddech. W jego połyskującej twarzy odbijał się blask ognia.

- Z tej przyczyny, że jestem synem Andrei - powiedział wolno, niemalże ze znużeniem - że jesteś krwią z jego krwi, moim krewnym, dlatego, że jesteś Treschim i głową domu mego dziadka. Ponieważ masz pod opieką moich małych braci, których nie chcę osierocić oraz ponieważ, mimo swych gorzkich żali, reprezentujesz nasz ród w weneckim rządzie!

Z tych wszystkich powodów pozwolę ci żyć, przyjechałem tu bowiem po to, by móc ci na to pozwolić z tej choćby przyczyny, że jesteś niestety moim ojcem i nie chcę splamić rąk twoją krwią!

Tonio ponownie przerwał. Nadal trzymał w ręku nóż, a jego wzrok stał się nagle odległy i zamglony. Wydawało się, że nagle opanowało go ogromne zmęczenie i obrzydzenie.

Carlo zauważył to z radością, chociaż jego twarz pełna była kpiny. Nie chciał dać się oszukać.

- A może wreszcie dlatego - szepnął Tonio - że nie pozwolę, byś mnie do tego zmusił. Nie stanę przed Bogiem jako ojcobójca jęczący, jak ty jęczałeś: "nie miałem wyboru".

Ale czy jesteś w stanie to pojąć? Czy potrafisz zaakceptować mądrość wykraczającą poza twój upór, twoją dumę? Czy nie ma sposobu, by rozplatać ten węzeł zemsty, niesprawiedliwości, krwi?

Carlo przechylił głowę i spojrzał na Tonia jednym zmrużonym okiem. Czuł nienawiść do niego, pulsującą w nim jak serce.

- Przestałem cię nienawidzić - ciągnął Tonio. - I nie boję się już ciebie. Teraz nie wydajesz mi się niczym więcej niż sztormem, który zepchnął moją bezbronną barkę z kursu. Nigdy nie odzyskam tego, co straciłem, ale nie chcę już więcej kłótni z tobą, nienawiści i mściwości.

Powiedz mi teraz, ojcze, czy, chociaż o nic nie prosiłeś, będziesz w stanie pogodzić się z tym, że nie pragnę od ciebie niczego więcej prócz przysięgi? Od tej chwili nie będziesz próbował odebrać mi życia, a ja nie wyrządę ci krzywdy. Odjadę z Wenecji tak, jak do niej przybyłem i nigdy nie będę usiłował zranić ciebie, ani tych, których kochasz. Jeśli nie wierzysz mi w tej chwili, uwierzysz, kiedy cię tu zostawię, ale żeby to nastąpiło, musisz się nieco ugiąć, ojcze. Musisz złożyć przysięgę.

Po to przybyłem. Oto dlaczego nie zabiłem cię wcześniej. Chcę wszystko między nami wyjaśnić! Chcę, byś wrócił do naszego pałacu, do moich małych braci. Pragnę, byś złożył mi tę przysięgę!

Carlo powoli zmarszczył brwi. Niskim, gardłowym głosem mruknął: - Chcesz mnie wyprowadzić w pole...

Twarcz Tonia ściągnął gwałtowny spazm. Potem znów się wygładziła, jakby nie była zdolna wyrazić złośliwości. Opuścił wzrok.

- Ojcze, na miłość boską! - szepnął. - Tu chodzi o życie.

Carlo przyglądał mu się. Widział teraz wyraźnie, boleśnie wyraźnie, chociaż w pokoju zapadł mrok i czuł tak czystą nienawiść do stojącej przed nim ciemnej postaci, że o niewielu więcej sprawach był w stanie myśleć.

Ujrzał jak nóż, który trzyma Tonio, przesuwają się. Tonio zgrabnie go odwrócił i trzymał teraz tak, że Carlo mógł chwycić za rączkę noża.

- Twoja przysięga, ojczy. Twoje życie za moje, teraz i na zawsze. Złóż ją! - powiedział Tonio. - Złóż ją, bym mógł ci uwierzyć!

Carlo powoli skinął głową.

- Złóż przysięgę, ojczy - szepnął Tonio.

- Przysięgam... nigdy, nigdy więcej nie będę próbował odebrać ci życia... - rzekł Carlo.

I patrzył w milczeniu, zadziwiony, jak Tonio podaje mu nóż. - Weź go i przetnij pas - rzekł Tonio. - Uwolnijmy się od siebie raz na zawsze.

Carlo ujął nóż. Natychmiast podniósł ostrze, by przeciąć pas tuż pod swym lewym ramieniem.

Skóra pękła z głośnym trzaskiem i Carlo pochylił się w przód. Wstał ostrożnie, z nożem w ręku.

Tonio odsunął się o parę kroków w tył, powoli. Peleryna falowała wokół niego, a ogień złościł jej brzegi i zapalał iskry w ciemnych oczach Tonio.

Oczy Carla powoli się rozszerzały. Gdyby tylko mógł dostrzec, co kryje się pod tymi fałdami czarnej wełny, które tak dokładnie otulały całą sylwetkę, gdyby potrafił lepiej zgłębić wyraz tej twarzy; ale cała jego zdolność rozumowania ustępowała nienawiści karmionej wydarzeniami tego długiego popołudnia, wszystkimi ujmami, tym, że Tonio trzymał go tutaj, Tonio, którym pogardzał i którego dawno już powinien był zabić, Tonio, eunuch, który nawet w tej sprawie wystrychnął go na dudka.

Opierając się po raz ostatni, przesuwając powoli, znacząco wzrokiem w górę i w dół po stojącej przed nim postaci, rozciągając usta w pogardliwym uśmiechu.

Gwałtownie rzucił się w przód, uderzając przed siebie nożem, a lewą ręką sięgnął w tę czarną wełnę, gdzie, jak wiedział, powinno się kryć wątłe ramię.

Ale wysoka, owinięta w czerń postać odsunęła się od niego tak szybko, że nawet tego nie zauważył, jakby wszystko to było jakimś złudzeniem i odwracając się, usłyszał szcęk szpady Tonio. Między nimi zabłysł cienki promień światła, a pierś Carla przeszył ból.

Nóż z brzękiem upadł na podłogę.

Sięgnął po klingę rapiera, ognistego błysku, który go przebił, a kiedy usiłował przemówić, usta wypełnił mu ciepły, tryskający płyn, który zaczął spływać po brodzie.

To jeszcze nie koniec, jeszcze nie koniec! Ale jego głos zagubił się w jakimś ohydny, gulgoczącym odgłosie.

A kiedy poczuł, że osuwa się w dół, dookoła wstaje ciemność i było w nim już tylko absolutne przerażenie, ujrzał wylewający się blask oczu Tonia, jego zrozpaczoną twarz, która wkrótce wygładziła się, przybierając ponownie wyraz niewinności.

Tonio przez dwie godziny został w pokoju z Carlem.

Ciało Carla stało się zimne, wreszcie zgasły wszystkie światła, świece wypaliły się, a węgle na kominku zmieniły się w popiół. Tonio chciał przykryć Carla czarnym *tabarro*. Pragnął ułożyć jego ramiona bliżej ciała. Nie zrobił tego jednak, a kiedy w pokoju zapadła ciemność, wstał i cicho opuścił dom.

Jeśli ktokolwiek widział, jak wynurza się z bocznych drzwi, to działo się to bez oznak. Nawet najmniejszy odgłos kroków nie podążał w ślad za nim po tak dobrze znanych mu *calli*. Żaden cień nie skradał się za nim po ogromnej pustce piazza.

A kiedy okazało się, że drzwi Bazyliki Świętego Marka, do której podszedł, są zamknięte, stał jak oszołomiony, nie będąc przez chwilę w stanie zrozumieć, że nie może wejść.

Wreszcie oparł się o kolumny portyku i spojrzał na czarne niebo za niewyraźnie rysującą się Campanile.

W Pałacu Dożów płonęło tylko kilka rozproszonych świateł. Drzwi kawiarni na piazza od czasu do czasu otwierały się na deszcz. A ci, którzy spieszyli walcząc z wiatrem, nie zwracali na niego uwagi.

Twarz i ręce zmarzły mu wkrótce na lód. Jednak nie poruszył się, a zacinający deszcz powoli przemacał mu ubranie.

Zapadała noc. Zegar wybijał godzinę. W kawiarniach pogasły światła, nawet żebracy opuścili arkady, a miasto zapadało w sen.

Z cywilizacji został tylko bijący zegar i niepewny blask kilku dalekich pochodni.

Miał wrażenie, że ból i zimno, które odczuwa, to jedno. Nie wierzył teraz w prawość niczego. Usiłował sobie wyobrazić tych, których kochał, poczuć ich obecność. Nie wystarczyło powtarzać ich imiona jak modlitwy. Wyobraził sobie, że w towarzystwie kardynała Calvino przebywa w jakimś spokojnym, bezpiecznym miejscu, gdzie mógłby mu spróbować wyjaśnić, co zaszło.

To tylko marzenia.

Był sam, zabił własnego ojca.

Od tej pory będzie wszędzie dźwigał ze sobą ten ciężar. Nigdy nikomu nie wyzna, co się zdarzyło. Nigdy nie poprosi o rozgrzeszenie czy przebaczenie.

Wreszcie, kiedy zbliżał się świt, zarzucił na głowę kaptur, by ukryć twarz i wyszedł na piazzę.

Spojrzał na monumentalne budowle, które kiedyś wydawały mu się całym światem i na zawsze opuścił Wenecję.

Przez wiele dni podróżował przez Florencję. Wciąż była zima i na polach leżał niewielki szron. Nie był jednak w stanie znieść towarzystwa innych ludzi w pocztowym dylizansie. Na każdym przystanku wynajmował osiodłanego konia i jechał na nim stępa przy drodze; często o zmroku był jeszcze daleko od miejsca przeznaczenia.

Jeszcze nim dotarł do Bolonii, zaczął podróżować pieszo. Miał oblepioną błotem pelerynę, przetarte na wylot podeszwy butów i gdyby nie szpada, wyglądałby jak żebrak.

Popychano go na ulicach, drażnił go hałas. Jadł tak mało, że kręciło mu się teraz w głowie i nie dowierzał własnym zmysłom.

Kiedy ponownie dotarł na wieś, wiedział, że nie jest w stanie dalej iść. Zapukawszy do drzwi jakiegoś klasztoru, włożył w dłoń ojca przełożonego połowę pieniędzy, które posiadał.

Był wdzięczny, kiedy położono go do łóżka. Podano mu rosół i wino, zabrano do naprawy buty i ubranie. Przez okno widział zalany słońcem ogródek, a nim zamknął oczy, spytał o datę i o to, ile dni zostało jeszcze do wielkanocnej niedzieli.

Jednego był pewien. Przed wielkanocną niedzielą musi być z Guidem i Christiną.

Mijały dni. I tygodnie.

Leżał w łóżku patrząc na ogród. Przypominał mu on o jakiejś innej chwili, kiedy przepełniało go zadowolenie, słońce padało na kamienne płyty, rozbłyskujące nagle w wodzie tryskającej z niewielkiej fontanny. W klasztorze panował półmrok i igrały cienie. Ale Tonio niczego nie potrafił sobie wyraźnie przypomnieć. W głowie miał pustkę.

Żałował, że jest Wielki Post i nie może posłuchać śpiewu mnichów.

Kiedy zapadała noc i zostawał samotny w swym pokoju, nachodziła go rozpacz tak głęboka, że wydawało mu się, iż każdy rok jego życia przyniesie mu tylko jeszcze większą zdolność odczuwania jej. Widział upojoną alkoholem matkę śpiącą na łóżku i wydawało mu się, że znała jakąś tajemnicę pełną mądrości.

Nic się w nim nie zmieniało. Tak się w każdym razie wydawało. Jednak z dnia na dzień więcej jadł. Wkrótce zaczął wcześniej wstawać, by wraz z zakonnikami udać się na mszę. Zauważył, że coraz więcej myśli o Guidzie i Christinie.

Czy bezpiecznie przebyli drogę z Rzymu? Czy Paolo martwił się o niego? Miał nadzieję, że wzięli ze sobą Marcella, tego sycylijskiego śpiewaka i oczywiście signorę Bianchi.

Często nie tyle o nich myślał, co sobie ich wyobrażał. Widział, jak razem jedzą, rozmawiają. Złościło go, że tak naprawdę nie wie, gdzie są. Czy wynajęli na wzgórzach willę z tarasem, na którym mogą siadywać wieczorami? A może mieszkali w samym sercu miasta, na jakiejś ruchliwej ulicy przy teatrze i pałacach Medicich?

Wreszcie pewnego ranka, nie podjąwszy żadnej decyzji, ani nie ułożywszy planu, ubrał się, włożył buty, przypasał szablę i zarzuciwszy pelerynę na ramię, poszedł pożegnać się z ojcem przełożonym.

Mnisi obcinali w ogrodzie młode liście palm i wkładali je do drewnianych tacek. Wiedział więc, że jest piątek w Wielkim Poście. Miał tylko dwanaście dni, nim rozpocznie się opera.

Pierwszy operowy afisz ujrzał tuż przed świtem w miasteczku Fiesole.

Stare kobiety i wyrobnicy wychodzili z porannej mszy z okazji Niedzieli Palmowej. Nieśli poświęcone palmy, a z otwartych drzwi katedry sączyło się na kamienie ciepłe, żółte światło.

Tonio przejeżdżał stępą na koniu przez piazczę, gdy na wyblakłym murze ujrzał wypisane dużymi literami własne nazwisko: **SIGNORE TONIO TRESCHI**.

Miał wrażenie, że to zjawą. Potem ogarnęło go niepohamowane podniecenie. I chociaż czuł się trochę głupio robiąc to, podjechał do muru i spojrzał na pomięty papier.

Plakat, obramowany czerwienią i złotem, obwieszczał, że w czasie Wielkanocy w Teatro Di Via Della Pergola we Florencji przedstawiona zostanie opera "Kserkses". Było na nim nawet wypisane skromnymi literami nazwisko Guida. Plakat zawierał też portret Tonia; niezwykle udany, owalny sztych oraz kilka kwiecistych wersów chwalaących jego śpiew.

Kilkakrotnie konno przejeżdżał do muru, wspierając się o niego. Nie mógł przestać czytać tego ogłoszenia.

Potem spytał pierwszego przechodzącego człowieka, jak daleko jest do miasta.

- Wjedź na wzgórze, to je zobaczysz, signore - usłyszał.

Kiedy dotarł na szczyt, niebo było wciąż ciemnoniebieskie i zasypane drobnymi gwiazdami; przed nim, w dolinie, rozciągała się Florencja. Przez mgłę dostrzegł dzwonnice, setki migoczących światełek i nieruchomą ścieżkę rzeki Arno. Miasto wydało mu się równie piękne jak uśpione Betlejem na świątecznych malowidłach.

Patrząc na odległe strzeliste wieże, zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu nie przeżył takiej chwili.

Może kiedy w noc premiery w Rzymie czekał za kulisami teatru, czuł coś podobnego do tego wzmagającego się oczekiwania. Może wiele lat temu posmakował je w Wenecji, kiedy wypłynął na wodę w czasie Senzy.

Ale nie myślał dłużej o tamtych chwilach.

Nim wszędzie słońce, spotka się już z Guidem i Christiną. I po raz pierwszy będą naprawdę razem.